



TAJEMNICA NAJSTARSZEJ KULTURY NA ZIEMI

Podwodne świadectwa
istnienia i zagłady cywilizacji Lemurii

FRANK JOSEPH


AMBER

Polecamy również

Frank Joseph

OCALENI Z ATLANTYDY
ZAGINIO NA HISTORIA STAROŻYTNYCH AMERYK
ZAGŁADA ATLANTYDY

oraz

Daniel Costa

ZAGINIONE ZŁOTO RZYMU

Erdogan Ercivan

PATENTY FARAONÓW

Christopher Knight, Alan Butler

KTO ZBUDOWAŁ KSIĘŻYC
PIERWSZA ZIEMSKA CYWILIZACJA

Edward F. Malkowski

PRZED FARAONAMI

Dick Parry

NIEZWYKŁA TECHNIKA STAROŻYTNOŚCI

Laird Scranton

KOSMICZNA TAJEMNICA DOGONÓW

G.F.L. Stanglmeier

ZAGINIONE SKARBY FARAONÓW

TAJEMNICA NAJSTARSZEJ KULTURY NA ZIEMI

FRANK JOSEPH

Przekład

EWA WITECKA



Redakcja stylistyczna
Dorota Kielczyk

Redakcja techniczna
Andrzej Witkowski

Korekta
Jolanta Kucharska
Magdalena Kwiatkowska

Ilustracja na okładce
Corbis Stock Market

Opracowanie graficzne okładki
Wydawnictwo Amber

Skład
Wydawnictwo Amber

Druk
Drukarnia Naukowo-Techniczna
Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA, Warszawa, ul. Mińska 65

Tytuł oryginału
The Lost Civilization of Lemuria
The Rise and Fall of the World's Oldest Culture

Copyright © 2006 by Frank Joseph.
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2007 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-2826-6

Warszawa 2007. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
00-060 Warszawa, ul. Królewska 27
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

*Profesorowi Nobuhiro Yoshidzie,
przewodniczącemu Japońskiego Towarzystwa Petrograficznego*

Spis treści

Wstęp: Terra incognita	9
1. Utracona supernauka	19
2. Pępek Świata	54
3. Giganci mówią	79
4. Technika starożytnej Oceanii	96
5. Pułkownik z Mu.	115
6. Rajski ogród?	126
7. Hawajska praojczyzna.	149
8. Lemuryjczycy w Ameryce	163
9. Dług Azji wobec Lemurii	190
10. Co takiego jest w nazwie?	220
11. Śpiący Prorok Lemurii	230
12. Zagłada Lemurii.	244
13. Odkrycie Lemurii	260
Podsumowanie: Dwieście tysięcy lat w tysiącu słów.	286
Posłowie: Prawdziwe znaczenie Lemurii	289
Bibliografia	295



Scena z *Ramajany*, hinduskiego eposu, przedstawiająca ucieczkę ocalałych Lemuryjczyków z ich pacyficznej ojczyzny. Fresk znajduje się w kompleksie świątynnym Wat Phra Keo w Bangkoku w Tajlandii.

Wstęp: Terra incognita

*Kusi nas, żeby dowiedzieć się, w jakim stopniu fakt,
że niektóre z tych wierzeń i legend mają tak dużo wspólnych cech,
to dzieło przypadku, i czy podobieństwo między nimi
może wskazywać na istnienie jakiejś starożytnej,
całkowicie nieznannej, zadziwiającej cywilizacji,
której wszystkie inne ślady zaginęły.*

Profesor Frederick Soddy,
laureat Nagrody Nobla w roku 1910

Groźna sylwetka nieznanego nagle wyskoczyła z mroku. Kiedy podniosłem pięści, żeby się bronić, jego dwaj współnicy napadli mnie od tyłu. Ktoś chwycił mnie za szyję. Dusząc się, upadłem na bruk.

Upłynęło wiele czasu, zanim mój spragniony tlenu mózg zaczął reagować na otoczenie. Byłem sam w nocnych ciemnościach. Niespodziewany atak wydawał mi się odległy, niejasny i nierealny, gdy spojrzałem na nocne niebo, na którym iskrzył się gwiazdny naszyjnik – Mleczna Droga. Przez kilka chwil leżałem spokojnie na plecach, jak na pogodnych preriach Illinois z czasów mojego dzieciństwa. W rzeczywistości znajdowałem się na kocich łbach bocznej ulicy w Cuzco, starożytnej stolicy Peru. Uliczka łączyła zbudowaną po konkwiście katedrę z Korikanczą, główną świątynią Inków, znaną jako Złoty Przybytek. Zrządzeniem losu napadnięto na mnie między tymi dwoma światami. Cuzco było Pępkiem Świata, świętym ośrodkiem wiecznego odrodzenia.

Z trudem podniosłem się na nogi, wdzięczny losowi, że żyję i nie zostałem zraniony sztyletami, których tradycyjnie używają bandyci w tej części świata, gdzie kradzież jest narodowym zajęciem. Ale bolała mnie szyja. Nie mogłem przełknąć śliny bez bólu. Co gorsza, ograbiono mnie z pieniędzy, czeków

podróżnych, karty kredytowej i paszportu. Znalazłem się bez środków do życia i dokumentów w bardzo dziwnym kraju – nikomu nie życzyłbym takiej sytuacji.

Pomyślałem o ostatnim inkaskim władcy Atahualpie, zaduszonym garotą przez Hiszpanów przed 500 laty. Teraz już wiedziałem, jakie to uczucie być mordowanym. Nie takie złe. To życie jest bolesne. Poczulem coś w rodzaju więzi z Atahualpą.

Pomimo nieszczęśliwego wypadku pojechałem staroświeckimi kolejami przez Andy do podniebego miasta władcy Inków. O północy, samotny wśród górskich szczytów, zobaczyłem, jak obłok mgły rozsuwa się powoli niczym widmowa zasłona, odsłaniając Machu Picchu iskrzące w blasku księżyca. Potem zwiedziłem okolicę jeziora Titicaca, najwyższej położonego naturalnego zbiornika wodnego na naszej planecie, oraz pobliskie ruiny Tiahuanaco, stolicy nieznanego ludu, który kiedyś stworzył potężne imperium. W Limie, w Herrera Museum, znalazłem jasno- i rudowłose mumie jakiegoś preinkaskiego ludu, najwidoczniej nienależącego do Indian, który dawno temu władał wybrzeżem Pacyfiku. Kilka dni później, z dobrego punktu obserwacyjnego, jakim był wynajęty samolot, obejrzałem rozpościerającą się w dole największą kolekcję sztuki na świecie. Były tam ogromne figury wyobrażające rośliny, zwierzęta, kształty geometryczne i biegnące prosto na dziesiątki kilometrów linie na równinie Nazca podatnej na trzęsienia ziemi.

Potem, na bardziej solidnym gruncie, na północy stanu Illinois, nadal miałem przed oczami obrazy i doznawałem uczuć, które zrodziły się we mnie podczas trwającej prawie dwa miesiące trudnej podróży po przedhiszpańskiej przeszłości Ameryki Południowej. Dla uczczenia mojego powrotu (jeśli nie przetrwania) przyjaciele zaprosili mnie do restauracji w chicagowskim Chinatown w dzielnicy South Side. Kolacja w tę sobotnią noc nie ograniczyła się tylko do smacznego posiłku. W programie wieczornych rozrywek były występy sponsorowanego przez uniwersytet ludowego zespołu pieśni i tańca z Hongkongu. Był to rodzaj widowiska, w którym pantomimiści w regionalnych strojach przedstawiali najważniejsze wydarzenia z historii Chin.

Przez głośniki ktoś zakomunikował łamaną, ale zrozumiałą angielszczyzną, że pierwszym punktem widowiska będzie najstarszy znany chiński taniec. Wykona go młoda kobieta w stroju, którego krój pochodzi z czasów cesarza Xin Hou Ji z legendarnej dynastii Xin (około 3000–2600 roku p.n.e.), od którego Chiny wywodzą swoją nazwę, sprzed przeszło 4000 lat. Po tych słowach muzycy zaczęli grać charakterystyczne rytmy. Lecz widok tancerki bardzo mnie zdziwił. Nie wierzyłem własnym oczom. Małeńka chińska panna wykonywała najstarszy znany taniec swojego kraju, ubrana w osobliwy strój, niemal taki sam, jakie nosiły dziewczęta z plemienia Aymara. Zaledwie kilka dni wcześniej

widziałem, jak płaśły w najstarszym tańcu ludowym ich ojczyzny w wysokich Andach w Peru.

Podobieństwo tych ubiorów było zdumiewające, ale niezaprzeczalne. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że kiedyś ktoś z Chin (co najmniej raz) przebył ogromny, groźny ocean i pozostawił niezatarty ślady kulturowy wśród ludu Ameryki Południowej na początku ich historii. Chińczycy byli doskonałymi żeglarzami przez wiele stuleci, natomiast peruwiańscy rybacy zapuszczali się w morze tylko tak daleko, aby nie stracić łądu z oczu. Doszedłem więc do wniosku, że wpływy musiały dotrzeć z zachodu na wschód. Mimo to cywilizacja andyjska nie wywodziła się z Chin. Wydawało się, że obie te kultury nie miały ze sobą nic wspólnego oprócz niemal identycznych strojów, noszonych przez tancerki w obu częściach świata.

Po kilku miesiącach pracowałem jako niezależny reporter dla „Asian Pages”, czasopisma w St. Paul wydawanego przez azjatycką społeczność w stanie Minnesota. Wykonując pewne zlecenie, trafiłem do miejscowego ośrodka kultury, gdzie obchodzono kambodżański Nowy Rok z zachowaniem tradycyjnych obrzędów. Ponieważ już zwiedziłem Azję Południowo-Wschodnią, miałem pojęcie o atrakcyjnej syntezie tematów muzyczno-tanecznych charakterystycznych dla Tajlandii, Indii, Wietnamu, Laosu, Birmy i Kambodży. Ale jeden z tych tańców, podobno wywodzący się z prowincji czczonej z powodu trwałych, starożytnych tradycji, nie przypominał niczego, z czym zetknąłem się podczas moich podróży – w każdym razie w Azji.

Był całkowicie niekambodżański. Oddzielne szeregi tancerzy i tancerek płaśły nie w typowych ozdobnych i połyskliwych strojach, ale w prostych przepaskach na biodrach i sarongach, z dużymi zielonymi liśćmi we włosach. Mężczyźni byli nadzy do pasa. Tancerze zaśpiewali kilka pieśni do rytmicznych uderzeń w przepołowione skorupy orzechów kokosowych, jednocześnie wykonując płynne ruchy ramionami. Był to najbardziej polinezyjski występ, jaki widziałem poza Honolulu.

Czy Kambodżanie rzeczywiście mogli w starożytności zapuścić się na odległość tysięcy kilometrów na Ocean Spokojny i nauczyć wyspiarzy tego tańca? A może Polinezyjczycy przenieśli elementy swoich ceremonii do Kambodży? Wydawało się, że obie te możliwości są bezpodstawne i niedorzeczne. A przecież „kambodżański” występ noworoczny był lustrzanym odbiciem tańca powszechnie znanego na Hawajach. Czy te podobieństwa należało uznać za przypadkowe? Jeżeli nie, to co znaczyły? Przypomniałem sobie Chinkę z Chicago tańczącą w peruwiańskim stroju. Bardziej niż południowoamerykańskich gości w starożytnych Chinach lub Kambodżan w Polinezji, należałoby się spodziewać wpływów kulturowych innego, wspólnego dla nich wszystkich, zewnętrznego

źródła być może mieszkańców wysp Pacyfiku, Indian Aymara, przybyszów z Azji Południowo-Wschodniej i Chińczyków z III tysiąclecia p.n.e.

Takie rozważanie wcale nie były nowe. Badając przez ćwierć wieku cywilizację Atlantydy, od czasu do czasu napotykałem wzmianki o jej domniamanym odpowiedniku, znanym jako Lemuria lub Mu. Zapoznałem się z zawartymi w pięciu tomach rezultatami badań Jamesa Churchwarda. Praca była napisana napszonym stylem, w większości nieudokumentowana i ogólnie rzecz biorąc, nieprzekonująca. Reszta prac o Lemurii skupiała się na teozoficznych lub antropozoficznych rozważaniach o przypuszczalnych „pierwotnych rasach, olbrzymach mających zdolność widzenia z tyłu” oraz innych wytworach wyobraźni, i bardziej przypominała treść współczesnych tandetnych czasopism fantastycznych niż poważne badania odległej przeszłości.

Straciłem wszelkie zainteresowanie jakimkolwiek pacyficznym (czasami hinduskim) „zatopionym kontynentem” i dlatego nie byłem odpowiednio przygotowany na jego nagłe ponowne pojawienie się w moim życiu. Właśnie skończyłem wywiad dla „Asian Pages”, przeprowadzony z elokwentną przedstawicielką rządu Malezji, którą na krótko wysłano do St. Paul, stolicy stanu Minnesota. Po półgodzinnym wywiadzie rozmawialiśmy jeszcze prywatnie o jej kraju. Wtedy wspomniała, że Malezyjczycy niewiele wiedzą o swoim pochodzeniu sprzed Wielkiego Potopu.

– Czego? Myślałem, że pani rodacy nie są chrześcijanami? – powiedziałem.

– Owszem – odparła z uśmiechem. – Mamy własną wersję Potopu. To stara baśń, znana na całym archipelagu. Każde dziecko usłyszało ją od rodziców lub w szkole podstawowej.

Poprosiłem, żeby opowiedziała mi tę historię.

– Legenda głosi, że kiedyś, bardzo dawno temu, na dużej wyspie na wschodzie, na Oceanie Spokojnym, istniało wielkie królestwo. Cudowne miejsce, jak raj, gdzie Bóg stworzył pierwszych ludzi. Powstały tam wspaniałe miasta z wielkimi świątyniami i pałacami. Mieszkańcy byli bardzo bogaci, ponieważ morza roiły się od ryb, a ziemia w ciepłym klimacie dawała obfite plony. Wszystkiego mieli pod dostatkiem. Nie brakowało więc im czasu, dlatego wynaleźli pismo, stworzyli religię, żeglugę, astrologię, medycynę, muzykę... prawie wszystko. Byli też wielkimi czarodziejami, obdarzonymi magicznymi mocami. Mogli na przykład bez wysiłku unosić ciężkie kamienie. Ta cywilizacja kwitła przez tysiące pokoleń.

Ale pewnego dnia woda zaczęła podnosić się ponad wybrzeże i zagroziła ich krajowi. Mędrcy zrozumieli, że w końcu morze pochłonie ich ojczyznę, więc na czas ewakuowali większość ludzi. Patrzyli ze smutkiem, jak wyspa stopniowo

na zawsze znika w falach, Ale kiedy tylko zatoneła, inny ląd, na zachodzie wynurzył się z dna morza. Ocaleni z radością przenieśli się na nowy teren i z czasem go zaludnili. Właśnie tak powstała Malezja – zakończyła niemal z dziecinną dumą, że tak sprawnie streściła prastare dzieje swojego kraju.

– I tej historii uczą was w domu i w szkole? – zapytałem lekko zaskoczony.

– To ma sens – odparła. – Wie pan, że siły tektoniczne jednego lądu usuwają drugi? Coś takiego mogło się wydarzyć.

Po chwili, jakiej potrzebowałem na złapanie oddechu, popatrzyłem na nią poważnie i spytałem:

– Słyszała pani kiedyś o Lemurii lub o Mu?

– O czym?

Po latach dowiedziałem się, że kontrowersyjny uczony katastrofista Immanuel Velikovsky przedstawił dokładnie tę samą historię, którą rdzenni mieszkańcy Samoa powtarzają z pokolenia na pokolenie, wyjaśniając pochodzenie ich wyspy. Ale aż do spotkania z przedstawicielką rządu Malezji nigdy nie słyszałem o żadnej opowieści o potopie związanej z Pacyfikiem, która nie była przekształcona lub wymyślona przez chrześcijańskich misjonarzy. Jeżeli malezyjska wersja stanowiła narodowy epos, zadałem sobie pytanie, jak wiele podobnych, zachowanych w pamięci ludu wspomnień o zatopionej ojczyźnie może nadal istnieć. Uderzyła mnie również wyraźna różnica od interpretacji zniszczenia Atlantydy, niezmiennie przedstawianego jako gwałtowna katastrofa z wszystko pochłaniającymi płomieniami i kolosalnymi zabójczymi falami niszczącymi skazany na zagładę lud w ciągu jednego dnia i jednej nocy. Tutaj, o pół świata od Oceanu Atlantyckiego, powtórzył się proces zalania lądu. Najwidoczniej jednak malezyjska opowieść nie była zmienioną wersją ani Księgi Rodzaju, ani relacji Platona. Jak więc wyjaśnić jej pochodzenie?

Po raz pierwszy w życiu zapoznałem się z bogatą mitologią polinezyjską i znalazłem kilka przekonujących odpowiedzi. Prowadziły one do innych obszarów poza Pacyfikiem, przez Azję, na Bliski Wschód i nieoczekiwanie do Włoch. Dowiedziałem się, że terminu „lemuria”^{*} po raz pierwszy w historii pisanej użyli Rzymianie. Była to nazwa ich najstarszego obrzędu, którego dokonywano co roku 9, 11 i 13 maja, podobnego do Halloween. Święto Lemuraliów miało ułagodzić niespokojne duchy ludzi, przedwcześnie lub tragicznie zmarłych. Rzymianie wierzyli, że tym niespokojnym duszom towarzyszyły duchy pewnego ludu – ich przodków. Lud ten miał umrzeć tragicznie, kiedy jego odległa ojczyzna, lemuria, zatoneła z powodu naturalnej katastrofy na

^{*} W polskiej nauce jest stosowany termin „lemuralia” – *Mała encyklopedia kultury antycznej*, PWN 1988 (przyp. tłum.).

nieznanym dalekim morzu. Istnieje pewna wskazówka filologiczna, że inicjatorzy tego obrzędu, Romulus i jego brat bliźniak Remus byli Lemuryjczykami.

W każdym razie, na zakończenie rytuału wrzucano do Tybru figurki przedstawiające przedwcześnie zmarłych, co symbolizowało zgon przodków podczas Wielkiego Potopu. Nazywano ich *lemures* – od tego terminu wywodziła się nazwa lemuraliów. Według mitu te duchy miały duże, świecące oczy, jak pewien gatunek naczelnych, który XIX-wieczni zoologowie skojarzyli z rzymskimi widmami. W konsekwencji naukowcy wskrzesili pojęcie „zaginionego kontynentu”, bo w inny sposób nie można było wyjaśnić nieprawdopodobnego rozprzestrzenienia się podobnych do małp lemurów między Madagaskarem a Borneo.

Rzymscy geografowie jeszcze przed wiktoriańskimi uczonymi wyraźnie odróżniali Lemurię od Atlantydy, która miała panować na Atlantyku i nigdy nie występowała w żadnym systemie religijnym. Atlantyda rządziła Zachodem; Lemuria gdzieś znacznie dalej, na Wschodzie. Słynny geograf Strabon (I wiek) nazywał Lemurię „Trobane”, czyli „początkiem innego świata”, znajdującym się w odległości „dwudziestu dni podróży” od południowego krańca Półwyspu Indyjskiego. W drodze do tej dużej wyspy z 500 miastami mijało się niewymienione z nazwy mniejsze wyspy, prawdopodobnie archipelag Wysp Kokosowych.

Wiedział o tym już wcześniej Euhemeros, wybitny grecki myśliciel, który odkrył i przetłumaczył „święte pisma” znalezione w różnych częściach Peloponezu. Zapewniło mu to patronat Kassandra, rządcy Macedonii, w 301 roku p.n.e. Teksty te opisywały pochodzenie bogów, nie ze szczytu Olimpu, ale z wielkiego królestwa położonego w odległości wielu miesięcy podróży na wschód przez daleki ocean. Kassander zorganizował ekspedycję w poszukiwaniu mało znanej cywilizacji. Euhemeros i jego załoga w końcu znaleźli i zwiedzili jej siedzibę. Wyspa ta nazywała się Panachaea. Dowódca wyprawy zanotował, że jej mieszkańcy „są niezwykle pobożni i czczą bogów najwspanialszymi ofiarami i wspaniałymi wotami ze srebra i ze złota. Na wyspie, na wyjątkowo wysokim wzgórzu stoi świątynia Zeusa, którą założył on sam, kiedy był królem całego zamieszkanego świata i nadal przebywał wśród ludzi. W tej świątyni znajduje się złota stela, gdzie opisano w skrócie, pismem Panachaejczyków, czyny Uranosa, Kronosa i Zeusa”. Napis na steli głosił, że Uranos był pierwszym królem na Ziemi i świetnym astronomem, stąd nadano mu miano „Niebo”. Po nim na tron Panachaei wstąpił Kronos, którego synowie, Posejdon i Zeus, zwiedzili cały świat, zanim przejęli rządy nad morzem i lądem.

Po powrocie do Macedonii Euhemeros opublikował swój „raport”. *Święta historia* greckiego myśliciela częściowo przetrwała zagładę świata starożytnego

w dziełach innego greckiego pisarza, Diodora Sycylijszycy. Choć większość współczesnych uczonych odrzuca ten tekst jako bajkę, niewykluczone że jego autor znalazł pozostałości Lemurii, może ląd podobny do Wyspy Wielkanocnej, której mieszkańcy rzeczywiście mieli własne pismo, tak jak Panachaeajczy. Lemuria uchodziła za pierwszą światową cywilizację, Euhemeros zaś określał Panachaeę jako *oikumene*, czyli światową potęgę, która rządziła całą Ziemią w mrokach prehistorii. Napisał, że jednym z wczesnych królów Panachaei był Posejdon, przedstawiony w pochodzącym z IV wieku p.n.e. dialogu Platona jako boski założyciel Atlantydy.

Badacze długo zastanawiali się nad rolą, jaką ten bóg morza odegrał w *Kritiaszu* Platona: czy był mitycznym symbolem sił natury kształtujących tę wyspę, czy też przedstawiał wysoce cywilizowany lud, który przybył tam w odległej przeszłości, aby założyć nowe społeczeństwo? Platon napisał, że miejscowa kobieta Klejto urodziła Posejdonowi 10 bliźniaków, pierwszych królów Atlantydy. Czyżby wspomniany grecki filozof sugerował, że Atlanci byli z pochodzenia Lemuryjczykami?

Wskazywałyby na to sama nazwa kraju, Panachaea. Po grecku oznacza bowiem ojczyznę wszystkich pierwotnych ludów: *pan*, czyli „wszystko”, i *Achaea*, czyli Achaja – pod tą nazwą Grecja była znana w epoce brązu (3000–1200 p.n.e.), okresie cywilizacyjnego apogeum i ostatecznej zagłady Lemurii. Odpowiednio, tytuł Panachaea nosiła też Atena, bogini, która nauczyła ludzi umiejętności stanowiących podstawy cywilizacji. Potwierdzając tezę Euhemeros, Churchward stwierdził, że przybysze z Mu nie tylko wprowadzili na Peloponezie alfabet grecki, lecz także postarali się o taką jego postać, by zawierał informację o zagładzie ich ojczyzny. Jego interpretacja alfabetu, litera po literze, od alfy do omegi, była dostatecznie intrygująca, aby nie zasługiwała na natychmiastowe odrzucenie. Przecież dwunastą literą greckiego alfabetu jest *mu*.

Podczas gdy zapoznawałem się z tymi rewelacjami, profesor Nobuhiro Yoshida, przewodniczący Japońskiego Towarzystwa Petrograficznego poprosił mnie, abym wygłosił przemowę na kongresie w Ena. Wykorzystałem tę okazję, aby poszukać lemuryjskich śladów nie tylko w Japonii, lecz także w całej Azji Południowo-Wschodniej i Polinezji. Onieśmieliłyby mnie wiedza i inteligencja profesora Yoshidy, gdyby nie był on wyrozumiałym i pogodnym człowiekiem. Zaprzyjaźniliśmy się od razu podczas pierwszego spotkania w roku 1996, ale nadal szanuję go jako mojego prawdziwego *sensei*, największy żyjący autorytet w dziedzinie korzeni cywilizacji japońskiej. Profesor ma niepospolity umysł. Przedstawił pochodzenie swoich przodków tak, jak nie mógłby tego zrobić żaden autor uczonej książki lub wykładowca uniwersytecki. Zawiózł mnie do dalekich, rzadko odwiedzanych miejsc wykopalisk archeologicznych, prawie

nigdy lub wcale nieoglądanych przez ludzi Zachodu, i przedstawił licznym historykom, którzy poświęcili życie zrozumieniu i zachowaniu zabytków z przeszłości swojego narodu.

Będąc w Tokio, przed wyjazdem do Tajlandii, spotkałem się z małą grupą japońskich wydawców i dziennikarzy. Jeden z nich pokazał mi niedawno opublikowane zdjęcia. Wywarły one ogromny wpływ na moje poszukiwania. Widniały na nich struktury, które wyglądały jak masywne kamienne ruiny jakiejś obrzędowej budowli, wznoszące się z dna oceanu w pobliżu Yonaguni, najdalej wysuniętej na południe japońskiej wyspy. Te fotografie i opisy w czasopiśmie wydawały się autentyczne. Czyżby odkryto Lemurię?

Po powrocie do Wisconsin wykorzystałem zdjęcie tego podwodnego znaleziska jako element okładki czasopisma popularnonaukowego, które wydawałem. „Ancient American” (Starożytny Amerykanin) opublikował tę historię i czytelnicy w Stanach Zjednoczonych po raz pierwszy dowiedzieli się o istnieniu maleńkiej dalekiej wyspy z jej ciekawą budowlą tuż przy brzegu.

Przez następnych sześć lat co roku wracałem do Japonii, za każdym razem w towarzystwie profesora Yoshidy, do tajemniczej ruiny, o której istnieniu wiedziało niewielu cudzoziemców, a nawet Japończyków. Zapuszczając się dalej, znalazłem lemuryjski pomnik w Tajlandii oraz szczątki jakiejś świątyni w dżunglach Oahu – podobnej do tajemniczej konstrukcji w pobliżu półwyspu Iseki, przypisywanej przez miejscowych starożytnemu ludowi, który nadal nazywali Mu.

Po tych dalekich podróżach zaproszono mnie, żebym po raz pierwszy publicznie przedstawił zgromadzone dowody na konferencji Quest for Knowledge (Poszukiwania na rzecz wiedzy) w Saint Albans, w której uczestniczyli wybitni eksperci nauki alternatywnej – Maurice Cotterell, John Anthony West i inni. Moja teza, że to ludzie zbudowali „pomnik” z Yonaguni, spotkała się z mieszaną reakcją, chociaż powszechnie zachęcano mnie do dalszych badań. Po powrocie do domu opublikowałem kilka artykułów o swoich lemuryjskich poszukiwaniach w „Atlantis Rising”, bardzo potrzebnym czasopiśmie przedstawiającym niekonwencjonalne poglądy z dziedziny antropologii, geologii, astronomii i duchowości. Jeden z tych artykułów zwrócił uwagę niezależnej producentki filmowej. Poprosiła mnie, żebym napisał scenariusz do filmu dokumentalnego, który właśnie przygotowywała. Miał to być film o odkryciach na Yonaguni i ich wpływie na archeologię wysp Pacyfiku. Moja zleceniodawczyni zebrała już sporo wspaniałych zdjęć podwodnych. Łącząc je z rezultatami moich własnych poszukiwań, napisałem scenariusz do *Świątyni z Mu*.

Ten film dokumentalny, po raz pierwszy nadany przez telewizję australijską w 2000 roku, został też wyemitowany w Japonii przez Fuji Television Network, a potem wybrany na Międzynarodowy Festiwal Filmowy. Co istotne, film

opisywał pewien punkt odniesienia we współczesnej nauce, nadal oficjalnie nieuznawany przez akademickich naukowców. Przez ponad wiek, aż do tych podwodnych odkryć w Japonii i na Tajwanie w ostatnich kilku latach, uczeni odrzucaли każdą wzmiankę o Lemurii jako teozoficzną fantazję – „gorszą niż Atlantyda”, jak stwierdził jeden z profesorów antropologii, który nalega na zachowanie anonimowości. Ale nasz godzinny film *Świątynia z Mu* ukazywał materialny dowód, poparty przez opinie kilku wybitnych ekspertów i zaprezentowany w racjonalny sposób – a więc nie można było go tak łatwo odrzucić. Pomimo niechęci uczonych należących do oficjalnego nurtu nauki cywilizacja Oceanu Spokojnego żywiłowo wynurzała się z głębin mitu do rzeczywistości archeologicznej.

Część tego mitu opowiedział na początku XX wieku Edgar Cayce, tak zwany Śpiący Prorok. Bez wątpienia ten fakt, łącznie z wypowiedziami przekazywanymi przez Cayce'a w transie, tylko szybciej zniechęci sceptyków i oddali ich od rozważenia tego tematu. Ale żadna liczba niepodważalnych dowodów nigdy nie zdoła przekonać ograniczonych ludzi. Włączenie przenikliwych opisów Cayce'a do badania niedostępnej przeszłości ostatecznie dobrze przyczyni się sprawie nowej wizji historii.

Znałem już „odczyty życia” Cayce'a dotyczące Atlantydy, ale nie zapoznałem się z jego mniej licznymi wypowiedziami na temat odpowiednika tego zaginionego ładu. Z dreszczem emocji zauważyłem, że jego uwagi względnie dobrze pasują do wszystkiego, co do tej pory dowiedziano się o obu zaginionych królestwach, a jednocześnie rzucają nowe światło na ich odrębne, choć powiązane ze sobą losy. Organizacja uwieczniająca dzieło Śpiącego Proroka, Association for Research and Enlightenment (Stowarzyszenie Badań i Oświecenia) w Virginia Beach w stanie Wirginia, wydała książkę *Edgar Cayce's Atlantis and Lemuria* (Atlantyda i Lemuria według Edgara Cayce'a), przedstawiając rezultaty badań i jego wypowiedzi dotyczące tych kontrowersyjnych cywilizacji w świetle ostatnich odkryć naukowych.

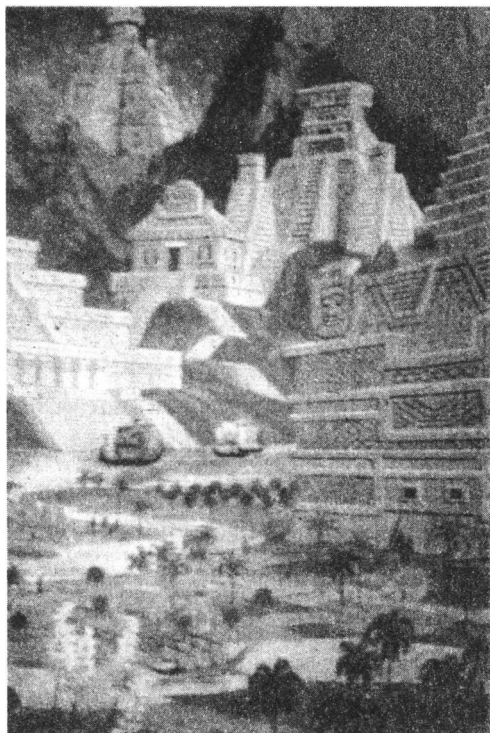
Od czasu publikacji w 2001 roku dostarczono mi nowych dowodów, które jak nigdy dotąd potwierdzały istnienie, historię i losy pacyficznego królestwa. Przygotowując się do napisania tej książki, zgromadziłem bogaty materiał badawczy. Podczas długiego procesu łączenia rezultatów badań uznałem, że nie sposób uniknąć kilku zasadniczych wniosków, które raz po raz same się wyłaniały:

Lemuria bez wątpienia istniała w dalekiej przeszłości.

Stanowiła miejsce narodzin ludzi cywilizowanych.

Był to biblijny „Rajski Ogród”.

Lemuryjczycy osiągnęli niewiarygodnie wysoki poziom rozwoju techniki, podobny do naszego i przewyższający go w pewnych dziedzinach.



Oryginalne malowidło przedstawiające Lemurię (L.T. Richardson).

Spotkała ich nie jedna, lecz wiele naturalnych katastrof w ciągu tysięcy lat przed ostateczną zagładą.

Ich zasady religijne przetrwały i wywarły decydujący wpływ na niektóre z największych światowych religii.

Te ustalenia stanowią podstawę *Tajemnicy najstarszej kultury na Ziemi*. Zbadanie ich polega na zgromadzeniu najlepszych i najpóźniejszych dowodów na istnienie Lemurii jako prawdziwego miejsca w czasie i przestrzeni, zamieszkanego przez wielki lud, którego osiągnięcia duchowe są najcenniejszym dziedzictwem ludzkości. Nowe odkrycia wskazują, że wielkimi krokami zbliża się chwila, kiedy to podmorskie królestwo zostanie powszechnie uznane za to, czym naprawdę było: a mianowicie bezdyskusyjnym źródłem wiedzy ludzkości. Dzięki temu współczesnemu uznaniu Lemuryjczycy w pewien sposób znowu wrócą do życia. Siły, które tak dawno wprawili w ruch, nawet teraz przybliżają tę nieuniknioną chwilę, gdy ponownie staniemy twarzą w twarz z nieśmiertelną istotą ich zaginionej ojczyzny. Wtedy uświadomimy sobie, że jesteśmy Dziećmi Mu.

1. Utracona supernauka

I wszędzie wokół, rozciągnięte na swoich kanałach znajdują się obwałowane wysepki, których tajemnicze wały spoglądają poprzez stulecia; unikane przez tych, którzy żyją w ich pobliżu.

Abraham Merritt *The Moon Pool*

Jedna z największych tajemnic starożytnego świata jest też najmniej znana. W dalekim zakątku na zachodzie Oceanu Spokojnego, prawie 1600 kilometrów na północ od Nowej Gwinei i 3207 kilometrów na południe od Japonii, stoją masywne ruiny od dawna martwego miasta. Absurdalnie zbudowane na rafie koralowej tylko 1,5 metra nad poziomem morza między równikiem a 11. równoleżnikiem, Nan Madol to szereg prostokątnych wysp i kolosalnych wież, oplecionych gęstą roślinnością. W czasach prehistorycznych dostęp do Nan Madol możliwy był tylko od strony oceanu. Statki wpływały tu do otwartego korytarza pod gołym niebem, obramowanego z obu stron sztucznymi wysepkami. Na końcu tego morskiego szlaku nadal pozostaje jedyne wejście do miasta – wywierające wrażenie szerokie schody prowadzące do jakiegoś placu. Dziewięćdziesiąt dwie sztuczne wysepki są zamknięte w „dolnomiejskim” obszarze o powierzchni 2,5 kilometra kwadratowego. Wszystkie są połączone ze sobą gęstą siecią kanałów, każdy o szerokości 8,1 metra i ponad 1,20 metra głębokich przy wysokim przypiływie.

Szacuje się, że do budowy Nan Madol użyto ponad 250 000 000 ton pryzmatycznego bazaltu rozłożonego na powierzchni 68 hektarów. Jego kamienne dźwigary wznoszą się na 7,5 metra w konfiguracji drewnianej cembrowiny typu nazywanego „linkolniańskim”. Początkowo mury były jeszcze wyższe, może o 3 lub 6 metrów. Bardziej precyzyjne szacunki nie są możliwe, ponieważ ta pacyficzna metropolia jest powoli, nieubłaganie „rozmontowywana” przez

dżunglę, która wrywa niezłączone zaprawą obwałowania i rozsypuje ich nierówno ociosane bloki. David Hatcher Childress, który przeprowadził kilka podwodnych badań w Nan Madol w latach 80. i początku 90. XX wieku, konkluduje, że „cały projekt ma tak ogromną skalę, iż łatwo można go porównać z budową Wielkiego Muru Chińskiego i piramid w Egipcie pod względem objętości kamieni, nakładu pracy i ogromnego rozmachu”. W istocie, niektóre pryzmaty z ociosanego lub rozłupanego bazaltu wbudowane w Nan Madol są większe i cięższe niż większość z 2 000 000 bloków piramidy Chufu. Na budowę prehistorycznej metropolii Wysp Karolińskich poszło od 4 000 000 do 5 000 000 kamiennych kolumn.

Bazaltowe bloki wydobywano, rozszczepiając skały na cztero-, pięcio- lub sześciokątne „polana”, których użyto do budowy Nan Madol. Ociosywano je z grubsza, a potem luźno układano bez zaprawy czy cementu – w przeciwieństwie do pięknie ustawionych i połączonych kamieni w domniemanych kanałach. Te pryzmatyczne kolumny mają zazwyczaj od 90 centymetrów do 3,6 metra długości, chociaż wiele może być nawet 7,5-metrowych. Ich przeciętna waga to około 5 ton, ale większe ważą od 20 do 25 ton każdy. Według czasopisma „Science”: „W pewnych miejscach w rafie koralowej były szczeliny, które służyły jako wejścia do portów. W tych kanałach przeznaczonych dla statków znajdowała



Nan Madol (fot. Sue Nelson).

się pewna liczba wysp, zwykle otoczonych kamiennymi murami o wysokości od 1,5 do 1,8 metra”.

W istocie całe miasto było wcześniej opasane murem długim na 8443 metry. Zaledwie kilka odcinków tych masywnych fortyfikacji nie rozpadło się w ciągu wieków pod ciosami szturmów, przeciw którym nadal bronią się dwa falochrony. Jeden ma długość 500 metrów, ale drugi jest niemal trzykrotnie większy – liczy sobie 1600 metrów. Niektóre z murów Nan Madol są grube na ponad 3,6 metra, chociaż nikomu nie udało się stwierdzić dlaczego, bo nie stanowią części żadnych fortyfikacji obronnych. Nie ma śladów zworników lub luków, są tylko proste kamienne nadproża, umieszczone nad otworami wejściowymi. Żaden z przypuszczalnych „domów” nie ma okien; nie ma tam też ulic. Istnieją tylko domniemane kanały. A przecież ta osada nie była rezultatem chaotycznych epizodów budowlanych na przestrzeni kilku pokoleń. Ogólne rozmieszczenie celowo zgrupowanych struktur i ułożonych w uporządkowane „dzielnice” świadczy o istnieniu przemyślanego planu, który wprowadzono w życie z wyraźną determinacją we względnie krótkim czasie.

Najlepiej zachowany budynek w mieście, znany jako Nan Dowas, to wysoka, kwadratowa, pusta, pozbawiona okien wieża, zbudowana z długich na 5 metrów sześciokątnych czarnych bazaltowych kolumn, ułożonych poziomo między warstwami niekształtnie ociosanych bloków i mniejszych kamieni. Wysepkę otacza podwójny mur, zawierający 1350 metrów sześciennych koralu oraz dodatkowo 4500 metrów sześciennych bazaltu. Chociaż w tym miejscu jest wiele innych konstrukcji, Nan Dowas góruje nad wszystkimi. Childress wskazuje, że „całą tę masywną strukturę wzniesiono, układając kamienie tak, jak można by zbudować chatę z bali”. W południowo-wschodnim boku Nan Dowas znajduje się największy kamienny blok w całym mieście – kamień węgielny ważący nie mniej niż 60 ton. Kopiając pod tym olbrzymim megalitem, archeolodzy ze zdziwieniem odkryli, że został celowo umieszczony na zakopanej kamiennej platformie.

Czekała ich jeszcze jedna niespodzianka. Ze środka Nan Dowas biegł szeroki tunel, wycięty w koralu. Potem odsłonięto całą sieć podziemnych korytarzy, zespalających wszystkie sztuczne wysepki, w tym wysepkę Darong, połączoną długim tunelem z zewnętrzną rafą, która okrąża miasto. I, nie do wiary, wydaje się, że niektóre tunele biegną pod samą rafą, wchodząc do podwodnych jaskiń. Darong jest godna uwagi z powodu otoczonego kamieniami sztucznego jeziora, jednego z kilku w tym kompleksie budowlanym. Najprawdopodobniej najdłuższy tunel ciągnie się od centrum miasta do morza na odległość około 800 metrów. Większa od Nan Dowas jest sztuczna wysepka Pahnwi, zawierająca 20 000 metrów sześciennych bloków z koralu i bazaltu.

Do budowy Nan Madol potrzeba było od 20 000 do 50 000 robotników, a przecież rdzennych mieszkańców Pohnpei musiało być o wiele mniej. Ta obecnie niezamieszkała wyspa, położona w niewielkiej odległości od brzegu, nigdy nie mogłaby wyżywić takiej gromady.

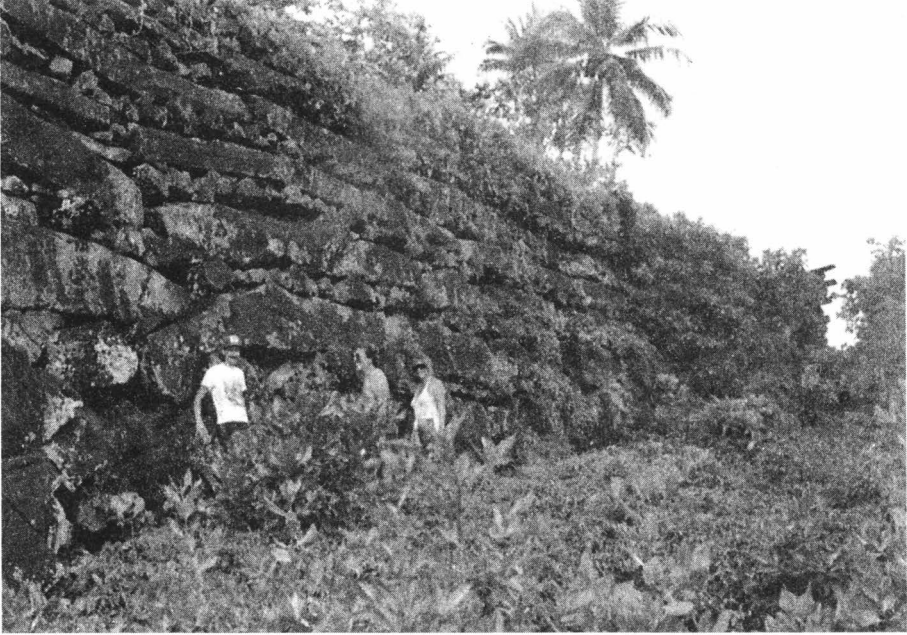
Ale w Nan Madol nie znaleziono ani jednej rzeźby, płaskorzeźby lub dekoracji, ani jednego posągu bóstwa czy przedmiotów obrzędowych, co pozwoliłoby zidentyfikować budowniczych. Żadne posągi lub rzeźby nigdy nie zdobiły wodnych bulwarów Nan Madol. Nie trafiono choćby na małą przenośną kamienną figurkę, jakie zwykle znajdowano w pozostałej części Mikronezji i w środkowej oraz zachodniej Polinezji. Jak dotąd nie odkryto również żadnego narzędzia ani broni.

Chociaż to miasto jest zrujnowane, nietrudno wyobrazić je sobie w dniach świetności. Wystarczy usunąć całą zasłaniającą je roślinność i goście ujrzeliby nierówno ociosaną bryłę bazaltu, która kontrastuje z uporządkowanymi liniami masywnych kamiennych wież, wysokich murów wśród kompleksu mniejszych prostokątnych budynków i sztucznych jezior połączonych tuzinami kanałów. Nic więc dziwnego, że Nan Madol nazywano Wenecją Pacyfiku. Nie miało ono jednak placu targowego, świątyni, a nawet cmentarza*.

Nazwa Nan Madol znaczy „przestrzeń między”, odnosząc się do przestrzeni stworzonych przez sieć kanałów. Pohnpei (Ponape aż do czasu wcielenia do Federacji Mikronezji w roku 1991) oznacza natomiast „na ołtarzu”. Jej ruiny nie ograniczają się do rafy koralowej naprzeciwko zatoki Madolenihmw Harbor, ale można je znaleźć z drugiej strony samej Pohnpei i na kilku innych przybrzeżnych wyspach. Wysoko w górach w pobliżu Salapwuk, na oddalonej, bagnistej łące odkryto prostokątne ogrodzenie długości 13,8 metra i 10 metrów szerokości z dzielącym je na połowę wysokim 90-centymetrowym murkiem. Chociaż te bliźniacze ogrodzenia otaczają teren o powierzchni 15,2 metra kwadratowego, para wewnętrznych platform wysoka jest tylko na 30 centymetrów. Podobnie jak w Nan Madol, z grubsza ociosane bazaltowe bloki i „polana” ułożone są w formie ogrodzenia. Kilka innych „ogrodzeń” stoi na południowo-wschodnim wybrzeżu Pohnpei, z których ruiny największego przetrwały na 24-metrowej górze. Jej wierzchołek otaczają mury wysokości 1,5 i 2,1 metra połączone brukowanymi drózkami z kilkoma platformami w kształcie tarasu.

Około 400 metrów dalej, na południowym wschodzie, na Pohnpei znaleziono kilka tak zwanych krypt, ale w pojemnikach o wymiarach od 3,75 do 4,4 metra nie odkryto żadnych śladów ludzkich szczątków. Nie udało się też

* Odmienny opis topografii tego miasta można znaleźć w książce Zygmunta Krzaka *Megalithy świata*, rozdział *Mikronezja*, Ossolineum, Warszawa 2001, s. 431–433 (przyp. tłum.).



Nan Madol (fot. Sue Nelson).

ustalić ich prawdziwej funkcji. Na położonej bliżej lądu wyspie Diadi znajduje się pięknie skonstruowane bazaltowe ogrodzenie z platformą o powierzchni 353 metrów kwadratowych. Dwustopniowa piramida o podstawie 113 metrów kwadratowych z centralnym ogniskiem wznosi się na wyspie Alauso, w pobliżu morza, nieopodal mierzącej 8 metrów kwadratowych platformy z czterema bazaltowymi kolumnami w każdym z wewnętrznych rogów na szczycie Kiti Rock. Natomiast wyspę Sokehs, oddzieloną od Pohnpei bagnem porośniętym mangrowcami, przecinają liczne kamienne drogi, łączące platformy podobne do wyżej opisanych.

To niezwykle tajemnicze konstrukcje. Trudno sobie wyobrazić mniej odpowiednie dla nich miejsce niż Pohnpei – kropka pośrodku liczącej 7 240 500 kilometrów kwadratowych zachodniej części Oceanu Spokojnego, mały punkcik, zewsząd otoczony Mikronezją. Morskie trasy i szlaki handlowe oddalone są od tej wyspy o tysiące kilometrów. Jak zauważył encyklopedysta starożytnych anomalii historycznych William R. Corliss, to tylko 207 kilometrów kwadratowych powierzchni niemal zagubionych na ogromie Pacyfiku”.

Totolom, Tolocome lub Nahnaud, czyli Wielka Góra wznosi się na wysokość 865 metrów od środka wyspy, zbliżonej kształtem do kwadratu o wymiarach 19,3 na 23,3 kilometra, pełnej mangrowych bagien, lecz pozbawionej plaż.

Pohnpei ma tylko 20 kilometrów szerokości i otoczona jest rafą koralową, wraz z 23 mniejszymi wyspami. Obfite deszcze – od 48,7 do 50 centymetrów rocznie – sprzyjają wzrostowi paproci, storczyków, pnączy, kacycierni i poświernika w gęsto zalesionych dolinach i na stromych górskich zboczach. Panuje tu nadmierna wilgotność powietrza, dlatego wyspa przesiąkła odorem pleśni, zgnilizny i rozkładu. W dodatku położenie na uboczu, daleko od głównych szlaków morskich na pewno nie czyni z niej idealnego miejsca do budowy cywilizacji.

A przecież w Nan Madol niewątpliwie istniało planowanie miejskie, był system miar i wag, podział pracy i hierarchii władzy, posiadano zaawansowaną wiedzę mierniczą i znano techniki budowlane. Wszystkiego tego potrzebowano do wzniesienia jedyne starożytnego ośrodka miejskiego na całym Pacyfiku. Ale co to było za miejsce, to miasto bez ulic, okien ani sztuki? Bill S. Ballinger, autor *Lost City of Stone* (Zaginione Kamienne Miasto) wczesnej popularnonaukowej pracy na ten temat, zauważył: „Nic podobnego do Nan Madol nie istnieje nigdzie indziej na Ziemi. Budowa tego starożytnego miasta, architektura i lokalizacja są unikatowe”.

Na północnym krańcu Pohnpei leży Kolonia, stolica wyspy i jedyne tamtejsze miasto; ostro kontrastuje ze wspaniałym osiągnięciem starożytnej wiedzy po drugiej stronie zatoki. W przeciwieństwie do porządku i precyzji widocznych w Nan Madol, Kolonia rosła chaotycznie, bez planu i dzisiaj zamieszkuje ją być może 2000 osób. Żyją one przeważnie w parterowych domach z żelbetonu, z dachami z cynowej blachy falistej. W przeciwieństwie do prehistorycznych kamiennych traktów, które nadal krzyżują się na wyspie, dzisiejsze liczące około 24 kilometrów nieutwardzone drogi są często nie do przebycia, zwłaszcza podczas ulew. Wielu wyspiarzy mieszka też w małych chatkach z suchej trawy, trzciny i bambusa, a nie z monumentalnych kamieni. „Kolonia właściwie nie ma w sobie nic pięknego”, napisała Georgia Hesse z „San Francisco Examiner”. „To tylko skupisko wietrzącego drewna i rdzewiejących budynków z blachy falistej, rozrzuconych bez ładu wzdłuż szerokiej ulicy”. Możliwości znalezienia pracy praktycznie tam nie istnieją, rdzenna ludność żyje więc z uprawy bardzo żyznej wulkanicznej gleby, urozmaicając dietę drobiowym i rybim mięsem.

Wyspy Karolińskie nigdy nie miały populacji porównywalnej z liczbą pracowników niezbędnych do budowy Wenecji Pacyfiku. Jak ujął to Ballinger: „Sęk w tym, że duże zasoby siły roboczej nigdy nie były łatwo osiągalne na i wokół Ponape. Ten czynnik zawsze trzeba brać pod uwagę, kiedy próbuje się rozwiązać tajemnicę budowy Nan Madol. Licząca 207 kilometrów kwadratowych Pohnpei w większości jest górzysta i nienadająca się do zamieszkania. Z trudem może utrzymać dzisiejsze 30 000 mieszkańców. A przecież potrzeba byłoby znacznie więcej ludzi zdolnych wznieść miasto wielkości Nan Madol.

Wybitny nowozelandzki uczyony z początku XX wieku, John Macmillan Brown, zauważył: „Przewiezienie na tratwach przez rafę koralową przy wysokim poziomie wody podczas przyływu i przetransportowanie na wysokość 20 metrów tych ogromnych bazaltowych bloków musiało wymagać dziesiątków tysięcy robotników, którym należało dać dach nad głową, ubrać i nakarmić. A przecież w odległości 4500 kilometrów od środka tej wyspy dzisiaj mieszka nie więcej niż 50 000 osób”. Tylu robotników przetransportowałoby 4 000 000 lub 5 000 000 milionów bazaltowych bloków Nan Madol w ciągu około 20 lat.

Dzisiejsi Pohnpejanie nie interesują się stanowiskiem archeologicznym, które cudzoziemcy uważają za tak zdumiewające. Czasopismo „Science” donosi: „Tubylcy unikają kamieniołomu, z którego wydobyto te kamienie. Nie pytają, kiedy wzniesiono miasto i dlaczego zaprzestano robót”. Przeważnie unikają tego miejsca jako złego i niebezpiecznego. Twierdzą, że zdarzało się, iż po zmroku tajemnicza siła zabijała tam nieproszonych gości. I rzeczywiście, wyspiarze traktowali Nan Madol jako tabu, w każdym razie pod koniec XIX wieku. Ponad 100 lat później kilku miejscowych przewodników zaprowadzi cudzoziemców na stanowisko archeologiczne, ale nigdy po zmierzchu. Według Ballingera, „obecni Ponapianie i poprzedzające ich pokolenia nie okazali ani umiejętności budowlanych, ani nawet zainteresowania kamiennymi obiektami. Wzniesienie tego miasta wymagało znacznej wiedzy inżynierskiej”, której rdzenni mieszkańcy nigdy nie posiadali. „Musiałem użyć całej mojej zdolności przekonywania, żeby znaleźć choćby dwóch chłopców, którzy by zawozili mnie codziennie do Nan Madol”, skarżył się słynny teoretyk od „starożytnych astronautów” Erich von Däniken, kiedy odwiedził Pohnpei na początku lat 70. XX wieku. Analizując olbrzymi zakres prac, skomplikowaną organizację w kamieniołomie, przy transporcie i wzniesieniu 250 000 000 ton bazaltu, autor pewnego raportu amerykańskiego Departamentu Spraw Wewnętrznych stwierdził: „Niepisana historia Ponape wskazuje, że Nan Madol zostało zbudowane przez lub pod kierunkiem ludzi niepochodzących z wyspy Ponape”. Von Däniken nie brał pod uwagę współczesnych tubylców jako „biednych, niewiarygodnie leniwych i [nie] zainteresowanych [tym] biznesem”. William Churchill, amerykański etnolog, który badał Pohnpei na początku XX wieku, doszedł do wniosku, że budowa prehistorycznego miasta była „całkowicie poza obecnymi możliwościami wyspiarzy”. Powtórzył w ten sposób tezę wyrażoną przez lekarza okrętowego brytyjskiego kutra „Lambton”, który zarzucił kotwicę przy tej wyspie w 1916 roku. Doktor Campbell kończy swoją opinię wnioskiem, że Nan Madol było „dziełem rasy ludzi przewyższających obecne pokolenie [wyspiarzy]; od epoki ich świetności upłynęło wiele stuleci, a dzieje [dawnych mieszkańców] na zawsze odeszły w niepamięć, a ich wielkość i potęgę można teraz tylko odgadnąć

na podstawie rozrzuconych pozostałości konstrukcji, które wzniesli i które teraz otula wiecznie zielona roślinność ponad popiołami minionej chwały, pozostawiając potomności przyjemność snucia domysłów i rozważań”.

Wyspiarze opowiadają, że 17 mężczyzn i kobiet przybyło z łądu położonego daleko na południu i stworzyło Pohnpei, układając skały na rafie koralowej. Po wykonaniu tej pracy zamieszkali na wyspie i dzisiejsi Pohnpejanie – mieszane potomstwo tubylców i nowo przybyłych – pochodzą od tych pierwszych mieszkańców. Z czasem ich liczba wzrosła, ale żyli oni w ciągłej anarchii. Znacznie później dwaj bracia bliźniacy Olisihpa i Olsohpa przybyli w „wielkim canoe” z innej ojczyzny na zachodzie, zapamiętanej jako Katvau Peidi. Ta ojczyzna, znana pod różnymi nazwami przez mieszkańców różnych wysp Pacyfiku, zwana Kanamwayso, opisywana jest w mitach jako wspaniałe królestwo, którego mieszkańcy, ludzie o wielkiej mocy, bardzo dawno temu żeglowali po Pacyfiku. Spadające gwiazdy i trzęsienia ziemi podpaliły Kanamwayso i strąciły je na dno morza. Zatopione królestwo nadal zamieszkują duchy zmarłych w kataklizmie, a teraz przewodzą one duchom wszystkich tych, którzy umierają na morzu.

Olisihpa i Olsohpa byli czarownikami, mądrymi i świętymi mężami, bardzo wysokimi. Po raz pierwszy dotarli na północ Pohnpei, ale przekonali się, że jej geografia nie pasuje do ich zamierzeń. Trzykrotnie próbowali osiedlić się wzdłuż wschodniego wybrzeża – na szczycie góry Net, Nankopworemen i U, gdzie miejscowi przewodnicy nadal pokazują domniemane pozostałości tych nieudanych prób.

Ale w każdym z tych miejsc brakowało czegoś, co odpowiadałoby wymaganiom braci. Wreszcie, po starannych poszukiwaniach, znaleźli doskonałe miejsce w Sounahleng, na rafie na wyspie Temwen. Tam Olisihpa i Olsohpa zbudowali Nan Madol z pomocą „latającego smoka”. Kiedy smok przebił się przez rafę koralową, żłobiąc kanały, czarownicy bliźniacy przenosili w powietrzu ciężkie bazaltowe bloki, ustawiali je w wysokie mury i umieszczali dokładnie we właściwym miejscu. Cała ta tytaniczna praca zajęła im tylko jeden dzień. Potem Nan Madol stało się świętym miastem i ośrodkiem administracyjnym, z którego bracia przynieśli porządek społeczny i sprawny rząd mieszkańcom Pohnpei. Rządzili razem wiele lat, aż Olisihpa umarł ze starości. Potem Olsohpa sam sprawował władzę jako pierwszy saudeleur, czyli pan Deleuru – była to wczesna nazwa wyspy. Poślubił miejscową kobietę, z którą dał początek 12 pokoleniom saudeleurów. Kolejni saudeleurowie zarządzili mądrze i pokojowo aż do przybycia przodków współczesnych Polinezyjczyków.

Przybyszami dowodził wojowniczy wódz z południa, Isokelekel, który zabił Saudemwohla, ostatniego saudeleura. Było to łatwe zwycięstwo, ponieważ

władcy Deleuru nigdy nie wojowali. Dynastia Isokelekela przetrwała aż do współczesnej epoki, mimo wieloletniej okupacji wyspy przez obce mocarstwa, i wygasła na krótko przed tym, zanim Pohnpei najpierw stało się częścią, a następnie stolicą Federacji Mikronezji, w 1991 roku. Samuel Hadley był ostatnim Nahmwarki, który przyjął ten tytuł w 1986 roku.

Cząstka tej mitycznej wersji pochodzenia Nan Madol wyszła na jaw w 1928 roku, kiedy japońscy archeolodzy wykopali ludzkie szczątki w pobliżu kilku prehistorycznych stanowisk archeologicznych na Pohnpei. Chociaż znaleziono zaledwie kilkadziesiąt kości, niekompletnych i w złym stanie, przetrwało dość, by wykazać, że należały do ludzi niepodobnych do obecnych mieszkańców. Ich starożytni poprzednicy byli znacznie wyżsi i silniejsi. Odkrycie fragmentów szkieletów poparło istniejące dowody. Pohnpejanie nadal używają włóczni, które, jak twierdzą, są dziedzictwem dawnych saudeleurów. Podczas gdy Polinezyjczycy i pozostali Mikronezyjczycy tradycyjnie stosują włócznie długie na 2,1 metra, ich pohnpejański odpowiednik jest unikatowy, ponieważ mierzy 3,6 metra, co sugeruje, że używali ich wysocy potomkowie Olisihpy i Olsohpy.

Według legendy obaj czarownicy przenosili w powietrzu kamienie, których użyto do budowy Nan Madol. Godny uwagi jest fakt, że ten sam motyw znajdujemy w innych częściach świata bardzo oddalonych od zachodniego Pacyfiku, gdzie podobnie wyjaśnia się starożytne megalityczne cuda. Najsłynniejszym przykładem jest Stonehenge w Wielkiej Brytanii, gdzie wielki czarownik Merlin identycznie sprowadził głazy z saracenu o wadze 50 ton każdy. Jeżeli te doniesienia o lewitacji, szeroko rozprzestrzenione przez całkowicie odmienne ludy na przeciwnych krańcach świata, nie tłumaczą przetrwania zadziwiających ruin, to mogą wskazywać na istnienie jakiejś zapomnianej techniki.

Konwencjonalni badacze niechętnie akceptują taki wniosek, ale są w opałach, gdy się ich zapyta, jak ważące 25 ton bazaltowe bloki zostały podniesione 10, a może na ponad 16 metrów i umieszczone dokładnie we wznoszonych murach i wieżach Nan Madol, lub jak 65-tonowy głaz ułożono na wierzchu platformy. Dzisiaj największy dźwig w Polinezji może podnieść 35 ton. Powtórzenie wyczynu, jakim było zgromadzenie 200 000 000 ton kamienia nie na twardej ziemi, lecz na rafie koralowej o kilkadziesiąt centymetrów ponad poziomem otaczającego ją oceanu, mogłoby zniechęcić nawet współczesnych inżynierów, używających najnowocześniejszych maszyn.

Fizyk z Marquette University ze stanu Michigan, doktor Randall Pflingston, który odwiedził Pohnpei wraz z Childressem pod koniec lat 80. XX wieku, teoretyzował w książce Childressa *Zaginione miasta Lemurii i wysp Pacyfiku*:

Grawitacja w rzeczywistości jest pewną częstotliwością, częścią jednolitej teorii pola Einsteina. Wystarczy, że skryształizowane bloki bazaltu będą rezonować z częstotliwością grawitacji, 1012 herców, lub częstotliwością pomiędzy krótkimi falami radiowymi a promieniami podczerwonymi, wtedy stracą one swoją wagę. Kryształy, nawet bazaltu, idealnie nadają się do takiego rezonowania. Jeżeli dzięki zastosowaniu tej metody kamienie z Nan Madol „magicznie” latały w powietrzu, w takim razie mogły unosić się i kierować na wschód, tak jak mówi legenda, z powodu obrotu Ziemi. Siła odśrodkowa obrotu Ziemi sprawiała, że bloki mogły się wznosić. Wtedy ludzie dosiadaliby bazaltowych kolumn, a następnie pomagali osadzić je na właściwym miejscu w Nan Madol, gdy częstotliwość osłabła i kamienie znów odzyskały ciężar.

Paul Devereaux, który potwierdził niezaprzeczalny związek między starożytnymi ośrodkami megalitycznymi a tellurycznymi, czyli „ziemskimi” energiami, pisze:

Ponad pewnymi strefami uskoku, różne minerały i skały zostały gwałtownie wymieszane, tworząc anomalie magnetyczne i elektryczne, a nawet możliwą do zmierzenia zmienność grawitacji. Albowiem grawitacja, magnetyzm i kierunek północny wcale nie są stałe, ale wszystkie mogą się różnić w oddalonych od siebie miejscach na powierzchni Ziemi. Na przykład rodzaj złoża metalu w skale określa jej właściwości magnetyczne, a grubość skorupy ziemskiej lub wysokość w pewnym miejscu jest w stanie wywrzeć wpływ na wielkość siły ciężenia, która tam występuje. Pod naciskiem sił tektonicznych strefy uskóków mogą też zmieniać pola energetyczne.

Arthur C. Clarke stwierdził w ostatnim ze swoich Trzech Praw: „Każda dostatecznie zaawansowana technika jest nie do odróżnienia od magii”.

Pewni badacze, jak nieżyjący Thor Heyerdahl, sugerują, że skoro bataty i maniok pochodzące z Ameryki Południowej są uprawiane na Pohnpei, wskazuje to na związki kulturowe między cywilizacjami Peru i Oceanii. Childress zastanawia się nad więcej niż fonetycznym podobieństwem między Nahnwarkis z Pohnpei i staroegipskimi nomarchami. Można nawet dopatrzeć się paraleli między saudeleur, czyli pan Nan Madol, Olisihpa i ElasiPOSEM, królem Atlantydy wspomnianym w *Kritiasz* Platona (IV wiek p.n.e.).

Jeszcze bardziej poszerzając porównanie, atlantydzcy monarchowie, jak posagowi Olisihpa i Olsohpa, byli bliźniakami opisanymi w greckiej mitologii jako Tytani. Ale inkaskie i preinkaskie miasta nie mają nic wspólnego z czymkolwiek w Nan Madol i przeniesienie budowniczych z Egiptu lub Atlantydy na małą wyspę na zachodnim Pacyfiku to przesada, nawet dla zwolenników teorii

o dyfuzji kultur. Widoczne analogie pomiędzy mikronezyjską wyspą a Ameryką Południową, dynastycznym Egipcem lub Atlantydą wskazują raczej, że na te miejsca i na Pohnpei wywarła wpływ jakaś zewnętrzna cywilizacja X, którą tubylcy niejasno pamiętają jako Katau Peidi.

Określanie ram czasowych budowy i zamieszkania Nan Madol mogłoby długo trwać. Podejmowano różne próby datowania tego prehistorycznego miasta, zwłaszcza od wynalezienia metody węgla ^{14}C .

W latach 60. XX wieku archeolodzy zatrudnieni przez Smithsonian Institute przebadali znalezione resztki jedzenia, które uznali za jakiś gatunek żółwia, i obliczyli, że Nan Madol pozostawało zamieszkane około 1285 roku. Dodatkowe badania pobliskich warstw popiołów wykazały, że był on starszy o dwa stulecia. Szersza próba termoluminescencji, podjęta przez Stevena Athensa w latach 70. dla Pacific Studies Institute (Honolulu), datowała odłamki ceramiki poniżej sztucznie zasypanej wysepki Dapahu na ponad 2000 lat. Ten wynik wydawał się bardziej niezwykły niż ustalenie, że miasto było zamieszkane w starożytności, ponieważ nie wiedziano, czy kiedykolwiek używano ceramiki na wyspie. Jak zauważyli europejscy podróżnicy, którzy przybyli do Nan Madol po raz pierwszy na początku XIX wieku, miejscowa ludność nie miała ceramiki. Doszli więc do tego samego wniosku, co wspomniany wcześniej doktor Campbell, że ruiny były „tak stare jak piramidy [egipskie]”.

Ale te bardzo rozbieżne daty, dostarczone przed badania naukowe nie są zbyt pomocne. Nie można ich połączyć z budową lub rozkwitem miasta. Wskazują tylko, że ktoś zjadł żółwia w Nan Madol pod koniec XIII wieku lub posługiwał się dzbankiem w czasach Chrystusa. Nie można otrzymać rzetelnych próbek, które można by datować metodą węglową w wilgotnej dżungli, gdzie materia organiczna gnije bardzo szybko. W czasopiśmie „Archaeology” John Brandt napisał: „Nie sposób udzielić pełnej odpowiedzi na często powtarzane pytanie o prawdziwy wiek Nan Madol”.

Bardziej wiarygodna metoda określania parametrów czasowych Nan Madol niż niepewne datowanie za pomocą ^{14}C to analiza podniesienia się dna morskiego. Już w 1885 roku czasopismo „Science” informowało, że: „szczególną cechą tych wysp jest to, że mury znajdują się o 30 i więcej centymetrów poniżej poziomu wody. Kiedy je zbudowano, najwidoczniej znajdowały się nad wodą i były połączone z kontynentem, ale stopniowo się zapadły, aż poziom morza uniósł się na ponad 30 lub więcej centymetrów wokół nich”.

W latach 70. XX wieku, przed uzyskaniem niepodległości przed Pohnpei, wyspę po raz pierwszy fachowo zmierzył doktor Arthur Saxe z University of Oregon na zlecenie Trust Territory of the Pacific. Zaskoczony odkryciem dziwnych tuneli, biegnących pod powierzchnią morza do podmorskich jaskiń, rozszerzył

pomiary na wody otaczające wyspę. Doktor Saxe i jego zespół nurków odkryli pojedynczy szereg głazów jednakowej wielkości, stojących prostopadle do stromego zbocza w odległości około 25,5 metra poniżej portu Madolenihmw Harbor. Po następnych 3 metrach szereg kamieni zniknął w piaszczystym dnie. Sztuczne pochodzenie głazów ustalono, kiedy geometrzy potwierdzili ich celowe ułożenie w kierunku dwóch wysp – Pieniot i Nahkapw. I właśnie tam lokalna tradycja umiejscawiała zatopione ruiny, zapamiętanej jako Kahnihmw Namkhet.

Mit ten zmaterializował się, kiedy doktor z zespołem odkryli pewną liczbę kamiennych kolumn wysokich na 2,1 i 7,5 metra, stojących na głębokości od 3 do 20 metrów. Wyspiarze opowiedzieli mu o jeszcze jednym podwodnym stanowisku w postaci ogromnej kamiennej bramy lub łuku w głębokim kanale między Nahkapw i Nanmwoluhei. I rzeczywiście, zauważono dodatkowe kolumny stojące lub leżące na dnie oceanu, chociaż nigdy nie znaleziono dużej bramy. Łącznie opisano 12 lub 15 bazaltowych słupów w wodach otaczających Nan Madol.

Kilka lat później płetwonurkowie robiący zdjęcia dla japońskiej telewizji sfotografowali dodatkowy tuzin kamiennych kolumn znajdujących się w podwójnych rzędach na dnie portu Madolenihmw Harbor. Kiedy dyrektorzy Telewizji Australijskiej dowiedzieli się o tym odkryciu, wysłali własny zespół filmowców podmorskich do zbadania głębiny wokół Nahkapw. Oni zaś ponownie zlokalizowali obrośnięte koralami kolumny, które odkrył doktor Saxe, i sfotografował je do filmu dokumentalnego *Ponape: wyspa tajemnic*. Kopię filmu otrzymali dyrektorzy Community College of Micronesia, w Kolonii.

Childress na początku lat 90. XX wieku przeprowadził energiczne poszukiwania podwodnych ruin Kahnihmw Namkhet między wyspami Nahkapwi i Nanmwoluhei. On i jego zespół płetwonurków z World Explorers Club nie zlokalizowali ani Kahnihmw, ani ogromnego łuku. „Odkryliśmy jednak dużo dowodów na to, że na południe od wyspy są zatopione konstrukcje, nadające wiarygodność legendzie o zatopionym mieście pod Nahkapw”, oświadczył. Z drugiej strony portu Madolenihmw Harbor, na południowej stronie Nahkapw, dokładnie na wschód od samego Nan Madol, Childress i jego towarzysze zauważyli nienaturalnie proste linie, które biegły przez rafę koralową, będące wynikiem kamiennej architektury zrujnowanej przez koralowce. Natknęli się też na liczne kolumny, których wagę ocenili z grubsza na 10 ton każda. Niski przyptyw po prostu odsłonił szczyty niektórych monolitów, co było tymczasowym dowodem istnienia starożytnych budowli na terenie ciągnącym się od dna morza w stronę lądu.

Podwodne odkrycia nie tylko ujawniają, że pierwotnie Nan Madol rozciągało się na znacznie większej przestrzeni niż te jego części, które znajdują się

na lądzie, ale dostarczają też znacznie dokładniejszych danych dotyczących czasu niż badania metodą węglową dla prehistorycznej cywilizacji na Pohnpei. Głębokość obszarów morza wokół Pohnpei, na których znaleziono zatopione kolumny i formacje z gładów, przekraczała 22,5 metra. Doktor Saxe i jego zespół dostrzegli co najmniej jeden układ z kamiennych bloków znikających pod piaskami oceanicznymi na głębokości 31,6 metra, co sugerowało, że odległość od powierzchni morza do dna wynosiła maksymalnie 33,3 metra dla możliwych materiałów archeologicznych na Pohnpei. Poziom morza nie był taki niski od ostatniej epoki lodowcowej. Obecnie zalane przez morze głązy, między wyspami Pieniot i Nahkapw, przykryte 33,3 metrów wody, znajdowały się na suchym lądzie około 12 000 lat temu. Mimo że na Pohnpei nie znaleziono kolumn, jej podwodne stanowisko lub stanowiska nie różnią się aż tak znacznie od samego Nan Madol, aby wnioskować, że jakieś późniejsze miasto zbudowano na wcześniejszym, odmiennym, a potem zostało ono częściowo zalane. Raczej daje się dostrzec ciągłość konstrukcji, do której używano bazaltu. Regularnie ułożone grupy gładów ciągną się bez przerwy z dna morza na ląd jako część jednolitego planu.

Najwidoczniej kanały Nan Madol musiały zostać zbudowane długo po ustawieniu podwodnych kolumn i gładów, a następnie zalane: 12 000 lat temu kanały znajdowały się 33 metry nad powierzchnią oceanu. W takim razie mogły funkcjonować dopiero wtedy, gdy poziom morza osiągnął obecną wysokość, czyli przed około 5000 lat. Wydaje się więc, że Nan Madol powstało przed rokiem 10 000 p.n.e., wraz z tym, co teraz znajduje się na głębokości 33,3 metra. Kiedy po zakończeniu epoki lodowej poziom mórz się podniósł, ludzie nie opuścili miasta i wznosili nowe budowle ponad podnoszącym się poziomem oceanu, nadążając za zalewaniem wyspy przez Pacyfik, aż do chwili, gdy osiągnął on obecny poziom około 3000 roku p.n.e. Archeologiczne konstrukcje na różnych głębokościach 31,6 metra (lub 33,3 metra), 25 metrów, 6,6 metra i 3 metrów określają podnoszący się poziom wód oceanu.

Wszystkie te rozważania można jednak wyrzucić do kosza, jeżeli struktury zwane „kanałami” w istocie są czymś innym. Nigdy nie znaleziono w nich wrót śluzu ani innego zamknięcia, aby można z pewnością określić je jako część drogi wodnej. Mogły być czymś zupełnie innym, może dużymi basenami lub zbiornikami dla świętych węgorzy, które podobno hodowali saudeleurowie.

Chociaż nikt nie może powiedzieć, jak dawno założono Nan Madol, jego pierwsza i najstarsza warstwa sugeruje, że musiało zostać zbudowane tak, aby dostosować się do poziomów morza przed końcem ostatniej epoki lodowcowej. Podwodne badania archeologiczne wokół Pohnpei wykazują, że pomimo zalewania miasta w ciągu następnych tysiącleci, było ono zamieszkane – sądząc po

zachowanych śladach – przynajmniej do końca IV tysiąclecia p.n.e. Jak dotąd nie można również określić, kiedy zostało porzucone. Datowanie metodą węglową sięga zaledwie XV wieku lub kilka wieków wcześniej i nie mówi o budowniczych ani mieszkańcach miasta. Wskazuje tylko, że ludzie – na pewno przodkowie dzisiejszych Mikronezyjczyków – od czasu do czasu przebywali wśród ruin na długo po opuszczeniu Nan Madol przez jego twórców.

Nan Madol ma wiele wspólnych cech z inną ruiną znajdującą się 2091 kilometrów dalej po drugiej stronie Pacyfiku: zatopioną kamienną platformą w pobliżu japońskiej wyspy Yonaguni. Te dwa tak bardzo od siebie oddalone stanowiska mimo to łączy coś więcej niż wspólna zagadka – wiek i zalanie przez morze. Childress i jego zespół znaleźli krzyże, kwadraty, zamknięte i otwarte prostokąty, zdobiące głazy częściowo zarośnięte koralami na rafie położonej na głębokości 3 metrów, w pobliżu Nan Madol. To ważne odkrycie pomogło też sprawdzić sztuczne pochodzenie tych petroglifów, bo podobne ideogramy znaleziono już wcześniej w górach w środku samej Pohnpei. Dlatego bezpośrednio skojarzono podwodną ruinę i pozostałości miasta na lądzie. Co o wiele bardziej znaczące, japońscy badacze sfotografowali co najmniej jeden krzyż i kilka kwadratów na zatopionej strukturze koło Yonaguni. Pojawienie się identycznych petroglifów na japońskich i karolińskich ruinach ustanawia ściśle związki między nimi i dostarcza ważnych wskazówek co do prawdziwej tożsamości.

Podczas swoich dalekich podróży David Childress zauważył też podobieństwo między kolumnami na dnie morza koło Nan Madol i tak zwanych *lat te* filarów, które bezpośrednio zbadał na wyspie Guma, odległej o 547 kilometrów na południowy wschód od wyspy Kosrae. Ta najdalej wysunięta na wschód z Wysp Karolińskich, o powierzchni 67,5 kilometra kwadratowego stanowiła lustrzane, nieco mniejsze odbicie Nan Madol. Nigdzie indziej nie było tak ogromnych bazaltowych bloków i z grubsza ociosanych monolitów, ułożonych jak tak zwane bale Lincolna w masywne wieże, grube mury i rozległe kanały. Nawet otoczenie osady na Kosrae miało przypominać swój odpowiednik z Pohnpei, z większością konstrukcji umiejscowionych na mniejszej, sztucznej wyspie – Lelu – naprzeciwko portu na wschodzie.

Sama ta ruina nazywa się Inсарu, chociaż na Kosrae są inne stanowiska archeologiczne w głębi lądu na południowym wschodzie tej wyspy w Menka i na południowym zachodzie – w Walungu, połączone długim na 8 kilometrów kanałem z Utwe, na południowym wybrzeżu. Prace budowlane były głównie skoncentrowane w Inсарu, gdzie z 40-tonowych bazaltowych bloków wzniesiono identyczne wersje fortyfikacji Nan Madol, początkowo wysokich na 10 lub 20 metrów, chociaż są tam też pewne interesujące różnice. W 1999 roku doktor

Felicia Beardsley przeprowadziła badania archeologiczne na stanowisku znanym jako Safonfok w pobliżu Walung, dla kosrańskiego Historical Research Preservation Office (KHRPO). Nie spodziewała się znaleźć niczego interesującego w próbnym wykopie poza jakimiś śladami z XVIII lub z początków XIX wieku w tym najwyraźniej często naruszanym gruncie.

„A przecież bogactwo pogrzebanego zapisu archeologicznego”, według współczesnego raportu KHRPO, „ujawniło istnienie »przemysłu« nigdy przedtem nieoglądanego na wyspach Pacyfiku”. Znaleziono dużą manufakturę do masowej produkcji pięknych koralowych haczyków na ryby i narzędzi. Odkopano też prosty, ale niemal elegancki bazaltowy nóż, pierwszy z tego rodzaju kiedykolwiek znaleziony na Kosrae, Pohnpei czy gdziekolwiek indziej, oraz szczególny paciorek w kształcie brylantu. Niezwykły jest fakt, że ten paciorek był cięty ukośnie, a tej techniki w ogóle nie znano w Mikronezji. Mierzący 5 na 5 metrów kwadratowych wykop doktor Beardsley odsłonił mniej niż 10 procent podziemnej manufaktury, w której musiało pracować kilkadziesiąt, a może setki robotników przy produkcji towarów „przemysłowych”. Stanowisko Safonfok jest unikatowe na Pacyfiku i uważa się je za pozostałość przeszłości, kiedy jakaś wyższa kultura dominowała na wyspie.

Na Kosrae znaleziono w przybliżeniu 90 „kanałów”, co odpowiada liczbie odkrytych w Nan Madol, ale „kanały” w Insaru są niemal suche. Mała wysepka Lelu, na której zbudowano miasto, była wypiętrzana w nieregularnych odstępach czasu. Ten brak stabilności geologicznej w połączeniu z fluktuacjami poziomu morza od końca epoki lodowcowej uniemożliwia wiarygodne datowanie Insaru. Mimo to nawet ostatnie badania metodą węglową ludzkich szczątków znalezionych na Kosrae, które przeprowadzono na początku XXI wieku, wykazały, że wyspa była zamieszkała przynajmniej przed 3000 lat. Lecz bliskie podobieństwo odkrytych na niej ruin i brak jakichkolwiek zmian wskazują na chronologię pokrewną stanowiskom z Pohnpei.

Archeologiczne pozostałości na Lelu różnią się od swoich odpowiedników na Nan Madol jedynie mniejszą powierzchnią oraz dodatkowymi dwoma stosami bazaltowych bloków, ułożonych we wzgórki w kształcie piramidy. Tubylcy nazywają je „grobami”, chociaż nigdy nie odkryto tam śladów ludzkich szczątków. Co do reszty, zarośnięte skalne dróżki, kwadratowe budowle, przystanie i imponujące mury są takie same, jak ich większe wersje z dalekiego północnego zachodu. Childress stwierdził to, co oczywiste, gdy napisał: „Z powodu podobieństwa w technice budowy między Nan Madol oraz Lelu z Insaru można łatwo wyciągnąć wniosek, że obie zbudowali ci sami mistrzowie kamieniarscy”.

Cokolwiek miejscowe tradycje mogłyby ujawnić o tym stanowisku archeologicznym, w większości zostało zatarte przez zagorzałych misjonarzy, pragnących

nawrócić wyspiarzy na chrześcijaństwo. Tylko słabiutkie echo mitu o powstaniu Insaru opowiada, że zbudowała je przez jedną noc para czarowników, chociaż nawet ten fragment wydaje się zapożyczony z historii o braciach bliźniakach z Pohnpei, Olisihpie i Olsohpie. Wersja z Kosrae różni się tylko co do rasy „białych olbrzymów”, zwanych Kona, którzy zbudowali z bazaltowych bloków tajemnicze miasto pod kierunkiem czarowników. Kolejna strata po zaginionym mieście to zniszczenia dokonane na przełomie XIX i XX wieku, kiedy Insaru użyto jako kamieniołomu do budowy mola. Te grabieże poważnie zmniejszyły starożytne miasto; najlepsze fotografie zrobiono na Lelu pod koniec lat 90. XIX wieku. Dzisiaj ta ruina jest już tylko cieniem dawnej wielkości, która skończyła się ponad 100 lat temu.

Inna legenda opisuje jakiś obcy statek, czyli „Auk Palang”, przyplływający z południowego zachodu i przywożący załogę złożoną w morskich inżynierów, którzy wyszli na ląd na Kosrae i bardzo dawno temu wzniesli potężne konstrukcje. W każdym razie ten mityczny dowód, chociaż marny, opisuje legendarnych przybyszy jako cudzoziemców, mistrzów władających nadnaturalnymi siłami, przekraczającymi wszystko, co tubylcy mogliby sobie wyobrazić. Ale ani oni, ani archeolodzy z uniwersyteckim wykształceniem, geolodzy lub zawodowi konstruktorzy nie potrafią wyjaśnić, jak preindustrialny lud mógł podnieść, dokładnie umiejscowić i zbudować z 40-tonowych kamieni mury wysokie na 6 i więcej metrów.

Podejmowano próby powtórzenia tego, co zdaniem naukowców mogło być jedynymi środkami, za których pomocą przemieszczono i ułożono potężne głazy. Próbowali oni sprawdzić swoją teorię w 1995 roku, co zostało zrelacjonowane w filmie dokumentalnym nakręconym przez Discovery Channel. Przywiązano 1-tonową kolumnę bambusowymi linkami do tratwy z pni palm kokosowych. Pomimo wielokrotnie powtarzanych prób, doświadczenie okazało się całkowitą katastrofą. W najlepszych wypadkach odtworzone tratwy mogły przewieźć jedynie kilkaset kilogramów, a to daleko do 20-tonowych kolumn i 60-tonowych bloków, z jakimi z wyraźną wprawą radzili sobie budowniczowie Nan Madol i Insaru. Zbudowanie statku, który mógłby przetransportować wielotonowe ciężary potrzebne do budowy tych miast, znacznie przekracza możliwości zarówno rdzennych Mikronezyjczyków, jak i aroganckich archeologów. Nawet dzisiaj stanowi największe wyzwanie dla zajmujących się dostawą budulca ekspertów, wyposażonych w najnowocześniejsze zabieraki i dźwigi.

Badacze nadal nawet nie określili, jak wykuwano takie ogromne bazaltowe kolumny, nie mówiąc już o ich transporcie. „Prawdopodobnie”, spekulował Brandt, górnicy podgrzewali ścianę skalną za pomocą wielkich ognisk, a potem oblewali ją zimną wodą. W rezultacie dzięki rozciąganiu, a potem kurczeniu się

skął, odpadały bloki przeznaczone do budowy”. Ale to tylko teoretyczne rozważania; nie ma dowodów, że na Pohnpei kiedykolwiek znano lub stosowano taką metodę rozbijania skał. Z powodu jednak braku śladów narzędzi zastosowanie jej jest przynajmniej możliwością. A może tę enigmatyczną Wenecję Pacyfiku zbudowano z pomocą zaginionej techniki, niepodobnej do naszej.

Czym naprawdę było Nan Madol? Budynki bez okien, surowa, utylitar-na konstrukcja i brak magazynów nie przypominają niczego innego na Ziemi, oprócz ruin na Kosrae. Nan Madol i Kosrae również sprawiają wrażenie miast zupełnie niepasujących do żadnej z tych wysp. Nie znaleziono jakiegokolwiek dowodu, że istotnie były zaludnione przez licznych mieszkańców wyspiarskiej metropolii. Nie ma tam cmentarzy (z wyjątkiem „grobow” na Safonfok), nigdy nie znaleziono też ani sprzętów domowych, ani towarów. Całkowity brak ozdób dyskwalifikuje natomiast oba „miasta” jako ośrodki religijne, gdzie przeprowadzano specjalne obrzędy. O dziwnej metropolii Pohnpei Ballinger napisał: „Jako konstrukcja była surowa, naga i niczym nieozdobiona”.

Może początkowo Nan Madol miało być czymś tak odmiennym, że nie jesteśmy w stanie odgadnąć jego prawdziwego przeznaczenia. A przecież takie niezwykle miejsca zawsze zdradzają swój cel, jeżeli otworzymy na nie umysł i serce. Nan Madol nie jest wyjątkiem. Na pewno jakaś tajemnica musi pozostać na zawsze w ukryciu dla kogoś, kto chce użyć jedynie kompletu kluczy uznanych przez naukę. Tylko dlatego, że właściwego klucza nie ma pod ręką, nie znaczy wcale, iż on nie istnieje. Stojąc przed problemem tajemnicy Pohnpei, badacze mają prawo spróbować wszystkiego, aby ją zrozumieć, chociażby tylko dlatego, że uczeni nie zdołali wyjaśnić, jak zbudowano Nan Madol, kto to zrobił, kiedy i w jakim celu. Nie mogą nawet znaleźć kamieniołomu, skąd pochodzi budulec.

Kwestia lokalizacji Nan Madol mogłaby być pierwszym krokiem w kierunku końcowej odpowiedzi: dlaczego nieznaną wyspą, bardzo oddaloną od innych centrów i za małą, aby utrzymać ludne miasto, została wybrana na miejsce realizacji wielkiego, skomplikowanego projektu budowlanego, w którym wzięło udział tak wielu robotników i inżynierów? Dlaczego ze wszystkich 500 Wysp Karolińskich wybrano Pohnpei i Kosrae do realizacji ważnych i kosztownych projektów? Żadna z nich nie ma nic, co pozwalałoby ją wytypować na przyczółek ważnego, wysoko zorganizowanego społeczeństwa. Wyróżnia je jednak unikatowe położenie: znajdują się mniej więcej w połowie drogi między Hawajami a Filipinami. Po przepłynięciu około 9332 kilometrów przez środek Pacyfiku od 20. stopnia długości geograficznej północnej, północny Prąd Równikowy nagle dzieli się na dwa inne, północny i południowy, między Kosrae i Pohnpei. Ten podział jest ważny, bo daje początek wielkim sztormom, kiedy zimne powietrze zetknie się z ciepłymi wodami Wysp Karolińskich.

„Faktem jest, że wiele tajfunów na północno-wschodnim Pacyfiku powstaje w pobliżu Pohnpei”, podkreśla Childress. „Cyklony zazwyczaj nie uderzają w tę wyspę, ponieważ właśnie tam powstają”. Czy budowniczowie Nan Madol celowo wybrali Pohnpei, ponieważ docenili szczególne położenie tej wyspy? W każdym razie jest to intrygujący zbieg okoliczności, że ich cudowne miasto znalazło się w najbezpieczniejszym miejscu na całym Oceanie Spokojnym. Ludzie mający dość geniuszu, aby podnosić 25-tonowe bazaltowe kolumny przynajmniej na wysokość 13 metrów ponad twardą koralową skałą na środku oceanu; manewrujący 60-tonowymi kamiennymi blokami, tworzący sieć tuneli od lądu poprzez rafę koralową do morza i do podmorskich jaskiń, mogli znacznie lepiej rozumieć środowisko naturalne, niż gotowi byłibyśmy uznać za wiarygodne. Jeśli tak się rzeczy miały, czy starożytni mieszkańcy tej położonej na uboczu, choć faworyzowanej przez naturę wyspy, postanowili osiąść tutaj jak w naturalnym schronieniu przed tajfunami, które gdzie indziej pustoszą wschodni Pacyfik? A może mieli inny cel, zadając sobie ogromny trud przetworzenia 250 000 000 ton kamienia w miasto z wieżami i kanałami?

Pohnpei i Kosrae tworzą między sobą długą na 482,7 kilometra strefę, gdzie rodzą się tajfuny i uzyskują pierwsze etapy swojej mocy. Szybko zamieniają się w monstrialne burze, które co roku pustoszą Filipiny, pozostawiając za sobą śmierć i zniszczenie. Do niedawna uważano je wyłącznie za rezultat zetknięcia się mas zimnego powietrza z cieplejszą od nich powierzchnią wód oceanu. Naukowcy wyodrębnili trzystopniowy proces powstawania cyklonów: najpierw występuje gwałtowna burza tropikalna, potem zmienia się temperatura powietrza, a na koniec dochodzi do wymiany ciepła z oceanem. Jednak u schyłku XX wieku pewien amerykański wynalazca, Joseph Newman, napisał:

Największy wpływ na huragany ma pole elektromagnetyczne. Jeżeli bowiem huragan ma pozostać huraganem, nie zależy wyłącznie od temperatury wody, nad którą wędruje. Dowód: średnia temperatura wód Zatoki Meksykańskiej, w odległości 32 kilometrów od wybrzeży Luizjany jest następująca:

czerwiec – 82 stopnie F (około 29°C)

sierpień – 87 stopni F (około 31°C)

wrzesień – 82 stopnie F (około 29°C)

październik – 76 stopni F (około 21°C)

listopad – 66 stopni F (około 15°C)

Gdyby to, co powiedzieli eksperci od pogody, było prawdziwe, najwięcej najbardziej niszczycielskich huraganów zawsze występowałyby w lipcu i w sierpniu. Ale tak nie jest! Szczyt pory huraganów przypada we wrześniu, a nie w lipcu lub w sierpniu. Jeszcze w 1984 roku opublikowałem spis najstraszniejszych

huraganów, jakie kiedykolwiek odnotowano, co właśnie potwierdziło ten fakt. We wrześniu i w październiku wystąpiło ponad 300 procent bardziej niszczycielskich huraganów niż w lipcu i w sierpniu. Nawet listopad (ze średnią temperaturą wody wynoszącą 66 stopni F) miał 80 procent huraganów, jakie wydarzyły się w sierpniu z temperaturą wody 87 stopni F.

Newman jest przekonany, że „najważniejszy, dominujący czynnik w powstawaniu huraganów ma naturę elektromagnetyczną; drugim jest gorąco. Zrozumienie tego faktu może w końcu doprowadzić do umiejętności kontrolowania przez nas lub nawet „uśmierzenia huraganów”.

A może ta umiejętność już została osiągnięta bardzo dawno temu, na dwóch dalekich wyspach na wschodnim Pacyfiku? Nan Madol i Insaru obramowują meteorologiczną strefę, gdzie rodzą się tajfuny. Należy też wziąć pod uwagę fakt, że są one unikatowe na świecie z milionami ton namagnetyzowanego bazaltu. Jeżeli płynna lava odpowiednio szybko stygnie, powstają drobnoziarniste słupy, które są charakterystyczne dla bazaltu, jednej z najcięższych, najtwardszych skał na Ziemi. Podczas procesu krzepnięcia nadal wysoka, choć obniżająca się, temperatura wywiera taki wpływ na żelazne nici uwięzione w stygnącej lawie, że te ostatnie się magnetyzują.

Zaciekawiony, czy bazalt z Nan Madol wykazuje anomalie magnetyczne, pod koniec lat 80. XX wieku Childress przesunął kompas po jednym z masywnych murów. „Igła kręciła się bez końca”, wspomina. Jego podniecenie zwróciło uwagę pewnego odwiedzającego to miejsce geologa. „To normalne, że bazalt się magnetyzuje, bo to część procesu krzepnięcia lawy”, wyjaśnił. „Ale igła powinna stać pionowo, a nie wirować. Te kamienie są dziwnie namagnetyzowane!”

Nan Madol i Insaru są zbudowane niemal całkowicie z namagnesowanego bazaltu.

Pohnpei była kolonią kajzerowskich Niemiec, aż do ich klęski w I wojnie światowej, kiedy przeszła z rąk aliantów pod zarządek cesarskiej Japonii. Od 1919 roku przez następnych 20 lat archeolodzy z Uniwersytetu Tokijskiego prowadzili prace wykopaliskowe wokół wyspy i w samym Nan Madol. Niestety, wszystkie zebrane materiały i wyczerpujące raporty z badań Japończyków zaginęły podczas II wojny światowej. Wspomnieliśmy już o odkryciu przez nich szczątków szkieletów ludzi wyższych niż obecni mieszkańcy wyspy. Kości znaleziono w głównej konstrukcji budynku określanego przez miejscowych przewodników jako Dom Umarłych.

Kopiąc głębiej pod kamienną podłogą, Japończycy dokonali jeszcze bardziej spektakularnego odkrycia. Znaleźli kolekcję dużych trumien z platyny. Po

dokładniejszym zbadaniu okazało się, że te długie na 2,4 metra metalowe skrzynie nie przypominały sarkofagów – nie miały pogrzebowych dekoracji. Archeologów jeszcze bardziej zdumiał fakt, że pojemniki były zamknięte niezwykle szczelnie, chociaż nie wiadomo dlaczego, skoro nic nie zawierały. Jako szczególnie cenne znalezisko, należące do cesarskiego rządu, który administrował Pohnpei, zostały wysłane do Japonii, gdzie zaginęły podczas bombardowania bombami zapalającymi, które niemal spopieliło Tokio w 1944 roku. Ale przed tą katastrofą w Nan Madol znaleziono dodatkowe przedmioty z platyny i nawet srebrne sztaby.

Z powodu izolacji politycznej od większości świata zewnętrznego w latach 30. XX wieku Japończycy podzielili się informacjami o odkryciu wyrobów z platyny dopiero w 1939 roku z Herbertem Rittlingerem, który zwiedzał wówczas Nan Madol jako przybysz z Niemiec, sojusznika i członka paktu antykominternowskiego. Sam Rittlinger był jednym z najwybitniejszych podróżników swojej epoki, cieszył się międzynarodową opinią rzetelnego pisarza, którego książki – a przynajmniej część z nich – nadal są publikowane, chociaż relacja z podróży po Wyspach Karolińskich *The Measureless Ocean* (Niezmierny ocean) nadal czeka na nowe wydanie. W dokładnym opisie Pohnpei i jej ruin autor wspomniał, że japoński eksport z wyspy – kopry, macicy perłowej, sago i wanilii – w okresie międzywojennym został uzupełniony platyną. „Opowieści tubylców, obrosłe odwiecznymi legendami, są prawdopodobnie przesadzone”, napisał sceptycznie o mitach o saudeleurach. „Ale znaleziska z platyny na wyspie, gdzie w skałach nie ma [złóż] platyny, były i pozostają najprawdziwszym faktem”.

Michael Sage, jeden z kolegów Childressa, podczas badań Nan Madol pod koniec lat 80. XX wieku napisał: „Sprawdziłem w bibliotece University of Indiana, czy platyna rzeczywiście była eksportowana z Pohnpei. Trudno dostać raporty o wyspach w tamtych czasach. Nie otrzymałem żadnych szczegółowych danych o platynie, ale zdołałem potwierdzić, że [można mówić o] wielkim skoku w eksporcie cennych metalów z Wysp Karolińskich w okresie tuż przed wybuchem [II] wojny światowej”. Rezultat poszukiwań Sage’a jest tym bardziej niezwykły, że cennych minerałów nie ma nigdzie indziej na Pacyfiku. Ale dlaczego znaleziono je na zapomnianej wyspie? Kolejna wielka tajemnica.

Jak na zamieszkane miasto Nan Madol ma jeszcze jedną niezwykłą cechę. Na wysepce znanej jako Darong znajduje się małe sztuczne jezioro z brzegami wyłożonymi ładnie ociosanymi i dopasowanymi blokami kamiennymi. Pod Darongiem jest wykuty w rafie koralowej tunel, który prowadzi na otwarte morze, pozornie bez celu. Teraz przez ten tunel ryby wpływają z oceanu do sztucznego jeziora. Wydaje się jednak, że nie takie było jego pierwotne przeznaczenie i że to bardziej skutek zaniedbania. Childress dodaje: „Podobno w jezioru tym

[żyje] święty węgorz o magicznych właściwościach”. Czy chodzi o węgorza elektrycznego?

Pohnpei jest niestabilne geologicznie, co nie dziwi ze względu na wszechobecność aktywności sejsmicznej na Oceanie Spokojnym. Od czasu do czasu potężnymi murami Nan Madol wstrząsają podziemne dreszcze. Rdzenni mieszkańcy nadal widują widmowe światła, które wzbudzają w nich lęk. „Ludzie ci wierzyli”, pisze Childress, „że jeśli ktoś spędzi całą noc w opustoszałym mieście, umrze; prawdopodobnie zostanie zabity przez duchy przodków (czyli umrze ze strachu!)”. A może przez coś innego.

To, co Childress nazywa „dziwnym zjawiskiem świetlnym”, kojarzonym z wymarłym miastem, jest bardzo realną, znaną naukowcom poświatą andyjską. Choć najpowszechniej występuje ona wśród wysokich szczytów Ameryki Południowej, jest obserwowana w wielu innych częściach świata tam, gdzie ciśnienie tektoniczne kumuluje się pod ciężkimi masami skryształizowanych skał, takich jak granit. Siły sejsmiczne ściskają te kryształy, które zamieniają napięcia geologiczne w energię elektryczną, tak jak stare radiodbiorniki na kryształki „motały iskry”, kiedy zostały ściśnięte. Rezultat znany jest jako piezoelektryczność, zdolność pewnych kryształów do generowania prądu pod ciśnieniem. Uwolniona energia elektryczna objawia się jako „wyładowanie koronowe” uaktywnionych jonów i tworzy ruchomą, oświetloną chmurę lub rozproszone niebieskawe światło tańczące nad szczytem góry przed trzęsieniem ziemi lub przynajmniej sygnalizujące początek miejscowej aktywności sejsmicznej.

Podczas gdy poświata andyjska jest zwykle niegroźna, od czasu do czasu przyjmuje postać piorunu kulistego, który – jak wiadomo – może poparzyć i, co zdarza się dość rzadko, zabić zwierzęta lub ludzi znajdujących się w jego pobliżu. Tuż przed pierwszym wstrząsem o 3.42 rano, kiedy 650 000 ludzi w Tangshan w Chinach zginęło podczas wielkiego trzęsienia ziemi z 5 czerwca 1976 roku, „New York Times” doniósł, że „różnokolorowe światła, głównie czerwone i białe, były widoczne w odległości 320 kilometrów. Liście na wielu drzewach spaliły się na węgiel, a świecące warzywa były przypalone z jednej strony, jakby od kuli ognistej”. Również wyładowanie koronowe w postaci świetlistej chmury lub mgły jest częściej przerażające niż niebezpieczne, chociaż wiadomo że może czasami zlać się w mniej mgliste, jaskrawsze światła jako reakcja na rosnące napięcie tektoniczne.

Z powodu braku stabilności geologicznej Pohnpei, w dodatku obciążonej 250 000 000 ton zmagnetyzowanego bazaltu, przekazywane z pokolenia na pokolenie opowieści wyspiarzy o „widmowych światłach”, widywanych również w XXI wieku, prawdopodobnie są relacjami naocznych świadków o zjawisku poświaty andyjskiej. Nie można odrzucać tych opowieści jako przykładów

halucynacji przesądnych tubylców, ponieważ o niezwykłych światłach mówili również przybysze niemający pojęcia o tym zjawisku. W latach 70. XX wieku wolontariusz z amerykańskiego Korpusu Pokoju powiedział Childressowi, że patrzył z ganku na pobliskiej wyspie Temwen w stronę Nan Madol, kiedy zobaczył dziwny świecący obiekt wielkości piłki do koszykówki, poruszający się wśród ruin. Następnego dnia oświadczył wyzywająco swoim uczniom ze szkoły podstawowej: „Nigdy nie zgadniecie, co zobaczyłem ostatniej nocy w Nan Madol”. Oni zaś odpowiedzieli chórem: „Widmowe światło!”

Z 60 lat przed tym wydarzeniem niemiecki gubernator Pohnpei nalegał, by spędzić samotnie noc w ruinach, mimo ostrzeżeń tubylców. Następnego ranka znaleziono go martwego, chociaż nie można było określić przyczyny śmierci.

Sporadycznie na zwłokach ludzi zabitych przez wyładowania elektrostatyczne nie występują poparzenia lub zewnętrzne oznaki porażenia: w tym wypadku chodzi o niezwykłą ofiarę pożaru w Chicago z 1871 roku. Pewien mężczyzna znalazł się między dwoma ścianami ognia, które, zbliżając się do siebie, generowały tak dużo energii, że został on porażony prądem elektrycznym. Płomienie natomiast zostały odepchnięte przez siłę wybuchu. Chociaż zegarek kieszonkowy w kamizelce ofiary stopił się, na ciele nie znaleziono żadnego śladu ognia. Znacznie więcej takich przykładów – dziesiątki tysięcy – zanotowano po burzach ogniowych wywołanych przez alianckie bombowce, które zbombardowały Hamburg podczas II wojny światowej.

Łącząc te pozornie różne, a nawet całkowicie odmienne elementy, moglibyśmy ujawnić prawdziwą tożsamość Nan Madol. Zaczniemy od elektryczności. W Nan Madol i Insaru z milionów ton namagnetyzowanego bazaltu zbudowano wielkie ogrodzenia, wieże, mury, pokoje i kanały. Sztuczne jeziora były wypełnione rybami, które najprawdopodobniej należą do gatunku węgorzy elektrycznych. Jeden taki gatunek, *Electrophorus electricus*, może wytworzyć do 650 wolt. Niewykluczone że wszystkie sztuczne stawy, jeziora i kanały początkowo miały być wypełnione tysiącami tych stworzeń. Stanowiłyby one potężne, choć nieregularne źródło energii, które mogłoby kontaktować się z geopiezo-elektrycznością Pohnpei przez wodoszczelne „trumny” znalezione przez japońskich archeologów w Domu Umarłych. Platyna, z której wykonano pojemniki, ma wysoką temperaturę topnienia i wyjątkowy opór właściwy, co sprawia, że jest używana do wyrobu elektrod poddawanych wysokim temperaturom. Platynę umieszcza się w kontaktach elektrycznych i w miejscach, gdzie zachodzą wyładowania iskrowe, ponieważ jest odporna zarówno na wysokie temperatury, jak i na chemiczne oddziaływanie łuków elektrycznych. Innymi słowy, użycie platyny w silnych polach elektrycznych zmniejsza akumulację energii i w ten sposób uniemożliwia wybuch lub stopienie się danego przedmiotu.

Znalezienie w Nan Madol platyny – a zwłaszcza prehistorycznych artefaktów wykonanych z tego rzadkiego metalu, cenniejszego niż złoto – jest tym bardziej niezwykle, że nawet nie wiedziano o jej istnieniu, aż hiszpański matematyk Antonio de Ulloa i brytyjski geolog Charles Wood zebrali pierwsze rozpoznawalne próbki z Ameryki Południowej w 1741 roku. A przecież ktoś na mało znanej wyspie na zachodnim Pacyfiku przed tysiącami lat użył platyny w dostatecznej ilości, aby zbudować pojemniki wielkości trumien. Co więcej, platyna nie występuje ani na Pohnpei, ani nigdzie indziej na Wyspach Karolińskich. Jej najbliższe złoża znajduje się o 3539 kilometrów na południowy zachód, na Borneo, na które saudeleurowie z Nan Madol bez wątplenia popłynęli. Wydaje się więc, że zrobili wiele, aby otrzymać ten rzadki metal, który najwidoczniej wysoko cenili.

Kolejna kwestia to widmowe światła z Nan Madol, zapewne wariant poświaty andyjskiej generowanej przez napięcia sejsmiczne. Światła te nadal, choć rzadko, występują na tym wielkim „urządzeniu przewodzącym” z namagnetyzowanego bazaltu. Jak stwierdził znajomy geolog Childressa, graniastopowowe kolumny bazaltu były „dziwnie namagnetyzowane”. Ich pole magnetyczne powinno rozciągać się pionowo w stosunku do płaszczyzny Ziemi. Zamiast tego obracało strzałkę kompasu, wskazując, że zmieniono konfigurację pola magnetycznego bazaltowych bloków, nadając mu kształt korkociągu. Co mogłoby dokonać takiej drastycznej zmiany i dlaczego? W każdym razie zmiana naturalnego pionowego pola magnetycznego bazaltu w spiralę zwiększyłaby moc każdego wyładowania piezoelektrycznego, obracając je wkoło w zwężającym się, zaciskającym obwodzie, a potem kierując snop jego skoncentrowanego wyładowania koronowego ku niebu.

Więc co tu opisujemy? Sama sugestia o starożytnej technologii przewyższającej obecną oszałamia współczesnego człowieka, ale mimo to wydaje się, że Nan Madol stanowi przykład jej istnienia. Rozważmy ponownie unikalną lokalizację wyspy tam, gdzie „rodzą się” tajfuny wschodniego Pacyfiku, analogiczny układ z Insaru na wyspie Kosrae. Sztormy powstają na obszarze 482 kilometrów rozdzielającym oba te miasta. Meteorolodzy uznają teraz pola elektromagnetyczne za podstawowy czynnik burz tropikalnych i uważają, że można zmniejszyć lub nawet zahamować rozwój huraganu na pierwszych jego etapach przez rozproszenie elektromagnetycznego „serca” huraganu, zanim nabierze on mocy.

Wcześniej już cytowaliśmy Josepha Newmana ze względu na jego przekonujący dowód na elektromagnetyczną naturę najważniejszego czynnika w burzach tropikalnych. Obserwację tę poparła rosnąca liczba naukowców, poczynając od słynnego wynalazcy Nikoli Tesli. Pod koniec XIX wieku Tesla

odkrył, że nasza planeta pulsuje elektrycznym prądem w zakresie częstotliwości ELF (Extremely Low Frequency) [najniższa częstotliwość]. Wysunął teorię, że 10-hercowe snopy ELF, odbite od jonosfery, najwyższej warstwy atmosfery, zapoczątkowałyby rezonans elektronów około 11 kilometrów nad ziemią, powodując dielektryczne przebicie chmur burzowych, skracając ich jądro i rozpraszając energię. Wzywał do ustawienia gigantycznych powiększających nadajników, które miałyby działać jak globalne generatory i pełniłyby funkcje takiego samego obwodu elektromagnetycznego, jakie znajdują się w gwałtownych burzach.

Tesla był głęboko przekonany, że ten proces zatrzymałby huragany krótko po ich utworzeniu się, i apelował do sponsorów o budowę elektrowni. Po powrocie do Nowego Jorku w 1900 roku po udanym pokazie pierwszego na świecie zdalnie sterowanego modelu statku, zabrał się do swojego najambitniejszego projektu. Dzięki zaliczce w wysokości 150 000 dolarów, otrzymanej od finansisty J.P. Morgana, Tesla zaczął budowę ogromnej wieży do odbijania 10-hercowych snopów ELF od jonosfery i kierowania ich w dół przeciwko kształtującym się chmurom burzowym. Lecz w trakcie realizacji projektu kontroli pogody kryzys finansowy poraził amerykańską gospodarkę i Morgan nagle wycofał obiecowane wsparcie, pozostawiając wielką wieżę w połowie budowy. Jej zburzenie z powodu braku funduszy było punktem zwrotnym w życiu Tesli. Siódmego stycznia 1943 roku Nikola Tesla zmarł w samotności, bez grosza przy duszy w nędznym pokoju w podrzędny hotelu w Nowym Jorku.

Ale marzenie Tesli o modyfikacji pogody żyło długo po jego śmierci. W wydaniu miesięcznika „Spectrum” z kwietnia 1969 roku, opublikowanym przez prestiżowy Institute of Electrical and Electronics Engineers, inżynier lotniczy Seymour Tilson napisał:

Prace w dziedzinie atmosferycznych pól elektrycznych i fizyki chmur doprowadziły do zgromadzenia dostatecznych dowodów, które pozwalają na wysunięcie sugestii, że elektryczne pola, siły i zmiany w najniższej warstwie ziemskiej atmosfery odgrywają rozstrzygającą – może przełomową – rolę w rozwoju i zachowaniu chmur, które wytwarzają opady atmosferyczne. To z kolei wskazuje, że manipulacja elektrycznymi właściwościami chmur może pewnego dnia dostarczyć od dawna poszukiwanego klucza do modyfikacji pogody przez człowieka.

Osiemnaście lat później doktor Bernard J. Eastlund, fizyk z Atlantic Richfield Oil Company (ARCO) otrzymał patent na plan kontroli pogody, który, według audycji National Public Radio z 6 września 1987 „używa źródła zasilania opartego na energii Ziemi, aby stworzyć elektromagnetyczne fale radiowe, skupić je w wiązkę i skierować w górę atmosfery”. Artykuł w marcowym numerze

miesięcznika „Omni” z następnego roku przedstawił, jak doktor Eastlund „obliczył, że kiedy te fale radiowe dotrą do jonosfery, zaczną silnie oddziaływać na uwiecznione tam naładowane cząstki. Rezultatem będzie zjawisko magnetyczne znane jako siła lustrzana. Ogólnie rzecz biorąc, stanie się tak, że ogromna część naładowanej atmosfery zostanie wypchnięta do góry i na zewnątrz Ziemi przez tę elektromagnetyczną siłę, dostatecznie potężną, aby rozproszyć huragan”.

Plan doktora Eastlunda został włączony do gigantycznego projektu rządu USA, High Frequency Active Aural Research Program, lepiej znany jako HAARP. Na Alasce, na 13 hektarach ustawiono wieże antenowe nadające potężne sygnały radiowe do jonosfery, rzekomo w celu przeprowadzenia badań nad pogodą. Niektórzy obserwatorzy podejrzewają jednak autorów o bardziej nikczemne intencje, a mianowicie o manipulację pogodą w celach militarnych i/lub masową wojnę psychologiczną. Jeszcze bardziej zaniepokoił ich podobny projekt rządu federalnego, Ground Wave Emergency Network, czyli GWEN, którego oficjalnym celem w czasie budowy w latach 80. XX wieku było utrzymanie komunikacji sił obrony na wypadek ataku nuklearnego na Amerykę. Podobnie jak HAARP, GWEN działa z wielu wież przeznaczonych do transmisji fal o bardzo niskich częstotliwościach (ELF) do górnych warstw atmosfery naszej planety.

We wszystkich przedsięwzięciach mających na celu kontrolę pogody ogólnie, a huraganów w szczególności – poczynając od nieukończonych próby Tesli, kończąc na HAARP i GWEN – stosowano wieże obsługiwane przez elektromagnetyczne elektrownie. Wydają się one współczesną wersją starożytnych masywnych wież Nan Madol ze spiralnie zmagnetyzowanego bazaltu. Wieże te były połączone ze sztucznymi zbiornikami wodnymi, gdzie hodowano węgorze elektryczne, i czerpały energię z tektonicznych napięć pod Pohnpei. Jeżeli, tak jak one, cały kompleks był w istocie olbrzymim obwodem, który przyciągał niebezpiecznie potężne energie z ziemi i z nieba, potrzebowano czegoś do poskromienia zarówno sił geologicznych, jak i meteorologicznych, aby uniemożliwić im zniszczenie całego „urządzenia” przez jeden wybuch elektromagnetyczny. Stąd istnienie platynowych „trumien” w centrum tego stanowiska archeologicznego.

Nan Madol nigdy nie było miastem, na pewno nie w potocznym znaczeniu. To raczej rodzaj siłowni zbudowanej przez przodków Pohnpejan, którzy dostarczyli siły roboczej, a która pracowała pod kierunkiem cudzoziemskich saudeleurów. I rzeczywiście, Nan Madol w niczym nie przypomina z wyglądu żadnej innej niezamieszkanego metropolii na świecie. Surowe, niczym nieozdobione mury i brak budowli o charakterze publicznym – to wskazuje na miejsce stworzone dla czegoś odmiennego od obrzędów i rytuałów dokonywanych w ośrodku religijnym.

A oto jak mogła działać ta siłownia. Kiedy tropikalny sztorm wszedł w wczesne stadium rozwoju w 482-kilometrowej strefie, rozciągającej się od Pohnpei do Kosrae, rozpoczynał narastający rezonans z wieloma milionami ton wzajemnie się uzupełniającego zmagetyzowanego bazaltu na wyspach w dole. Kiedy przyszły tajfun osiągnął pewną moc, jego rozdęta energia była przyciągana i łączyła się z energiami, nad którymi się przemieszczała. Stacje odbiorcza na Nan Madol i Insaru tworzyły biegunowość, podobną do dodatnich i ujemnych biegunów suchego ogniwa akumulatora. W pewnym punkcie maksymalnej koncentracji energii w granicach tej biegunowości następowała wymiana wyładowań elektromagnetycznych. W efekcie sztorm był „powstrzymany” dzięki spowodowaniu dielektrycznego przebicia (według Tesli) w jego elektromagnetycznym jądrze. Chmury burzowe nagle wyładowały się w gwałtownej ulewie, a potem rozprasały.

Krótko mówiąc, Nan Madol i Insaru, były ośrodkami modyfikacji pogody, zbudowanymi po to, aby uniemożliwić burzom tropikalnym przekształcenie się w tajfuny. Żadna inna charakterystyka nie może wyjaśnić jego lokalizacji w miejscu, gdzie powstają cyklony; milionów ton nienaturalnie zmagetyzowanego bazaltu; platynowych „trumien” działających jak elektryczne tłumiki lub sejsmicznie wywołanych widmowych światła.

Ale dlaczego ktokolwiek byłby zainteresowany kontrolą pogody tak dawno temu? Odpowiedź leży w odległości 2815 kilometrów na wschód od Pohnpei, w Luzon na Filipinach. Około 249 kilometrów na północ od Manili, 1330 metrów nad poziomem morza, znajduje się to, co liczni turyści opisują jako Ósmy Cud Świata. Jeśli zaś chodzi o zasięg, jest to nadal największy cud inżynierii, chociaż prawie niezauważany i niedoceniany przez cudzoziemców. Rosnące, żywe schody wznoszą się aż na wysokość 1000 metrów z dna doliny prowincji Ifugao w naprawdę zdumiewającym szeregu sztucznych płaskowyży, a ich wysokość w pionie od dołu do góry przekracza wymiary najwyższego drapacza chmur na świecie. Ryżowe tarasy Banaue ciągną się na 19 600 hektarów wzdłuż łańcucha gór Cordillera. Gdyby ułożono je obok siebie, te pola ryżowe utworzyłyby linię o długości połowy obwodu Ziemi. A przecież nadal istnieje tylko niewiele ponad 50 procent początkowej sieci pól.

Za czasów swojej świetności, gdy ryżowe tarasy były nietknięte, dostarczały fenomenalnych plonów, nie tylko z powodu swojej wielkiej skali, lecz także dzięki pomysłowej, efektywnej irygacji. Ogromne zaniedbania, nieodpowiednia wymiana urządzeń nawadniających, skażenie i rosnąca liczba slumsów wyrastających nielegalnie na polach ryżowych, zmusiły jednak urzędników UNESCO do przeniesienia Banaue z listy Światowego Dziedzictwa na listę Zagrożonego Światowego Dziedzictwa. Przy obecnym coraz szybszym tempie zniszczeń

urzednicy UNESCO nie oczekują, że filipiński Ósmy Cud Świata przetrwa XXI wiek.

Archeolodzy nie wiedzą, kto to zbudował, ponieważ rolnictwa na tak ogromną zorganizowaną skalę nie można łączyć z żadną współczesną kulturą. Choć zakłada się, że przodkowie rdzennej ludności prowincji Luzon z mozołem wykuli je z twardego, górskiego terenu przy użyciu prymitywnych narzędzi, dzisiejsi mieszkańcy Ifugao okazują niewielkie zainteresowanie tarasami. Co więcej, miejscowa tradycja ustna dowodzi, że ich przodkowie ani nie wymyślili, ani nie zapoczątkowali największego na świecie projektu rolniczego, chociaż zrealizowali go na rozkaz „potężnych czarowników”, którzy przybyli z morza w odległej przeszłości. Ta opowieść przypomina historie o stworzeniu Nan Madol przez cudzoziemskich czarodziejów. Ale te dwa stanowiska archeologiczne łączy ze sobą więcej niż tylko mit założycielski. Mają takie same ramy czasowe, ustalone metodą węglową – 200 rok p.n.e. – chociaż ten okres najprawdopodobniej był rozkwitem kulturowym, który nastąpił jednocześnie na Filipinach i na Wyspach Karolińskich, i nie musi stanowić daty założenia cywilizacji w prowincji Luzon i na Pohnpei.

Oba stanowiska, chociaż tak bardzo od siebie różne – jedno jest „przemysłowe”, drugie – rolnicze – łączy ogromny zakres ich wykonania. Konstrukcje z 250 000 000 ton zmagnetyzowanego bazaltu w Nan Madol i 400 000 hektarów powierzchni pól ryżowych wydają się wytworami tej samej „czarodziejskiej” kultury. Jeżeli oba te stanowiska archeologiczne to dzieło jednego społeczeństwa, ich powiązania stają się bardziej zrozumiałe. Pięć tysięcy lat temu lub jeszcze wcześniej lokalne potrzeby żywnościowe mogły wymagać tylko drobnej części zbiorów z filipińskich tarasów z polami ryżowymi, które – jak się zdaje – były głównym źródłem dostarczenia pożywienia dla znacznie liczniejszej populacji. Chociaż górskie zbocza w prowincji Luzon stanowią idealne miejsce dla tak ogromnego agrarnego przedsięwzięcia, tamtejsze tarasy były narażone na ataki tajfunów. Dlatego, aby chronić „narodowy” spichlerz jakiejś większej cywilizacji, geniusze inżynierii, „budowniczości” Banaue wzniesli również stację kontroli pogody na Wyspach Karolińskich.

Najwidoczniej stacja już nie funkcjonuje, bo tajfuny nadal nękają wyspy zachodniego Pacyfiku, w tym Filipiny, i się ją zniszczenie. Tak niedawno, w listopadzie 2004 roku kolejny tajfun uderzył w prowincję Luzon, zabijając 4000 osób, z których wiele było ofiarami katastrofalnych osuwisk. Dzisiaj tylko widmowe światła, z rzadka przemykające wśród obalonych kamiennych bloków wskazują, że energia tektoniczna nadal jest aktywna na Pohnpei. Przecież Nan Madol to ruina, a z jego wież, które na początku mierzyły 13,3–16,6 metra, ocalała pewnie połowa ich wysokości; natomiast większa część Insaru została

rozebrana ponad 100 lat temu. Choć przeznaczenie obu „miast” wydaje się jasne, nie wiemy, jak dawni konstruktorzy osiągnęli zamierzony cel. Ponieważ ci prehistoryczni inżynierowie nie posiadali żadnego odpowiednika współczesnych źródeł energii, byli w stanie użyć tysięcy węgorzy elektrycznych do „rzucania iskry”, żeby zapoczątkować znacznie bardziej złożony proces, oparty na współdziałaniu pól elektromagnetycznych. Fragmenty spalonych węgorzy, które gdzieś można zdrapać z kamieni Nan Madol, raczej nie były, jak zakładają archeolodzy, resztkami uczyty przygotowanej przez saudeleura, lecz szczątkami przypalonych ryb, które eksplodowały podczas nagłego przypływu energii lub przeciążenia tego gigantycznego obwodu elektrycznego. Bez wątplenia zdarzało się to od czasu do czasu, zwłaszcza gdy w grę wchodziły wyjątkowo potężne burze tropikalne. Nic więc dziwnego, że rdzenni Pohnpejanie wciąż uważają Nan Madol za Dom Śmierci!

„Pierwsze i najbardziej oczywiste pytanie, jakie należy zadać o Nan Madol, brzmi: Dlaczego [są tam] 92 sztuczne wysepki?” – pisze encyklopedysta nietypowej archeologii, William Corliss. „Pohnpejanie mieli dużo miejsca na swojej wyspie. Nie umiemy odpowiedzieć na to pytanie, więc można oświadczyć, że mamy tu do czynienia z drobną anomalią”. Ale być może ta anomalia nie jest taka drobna, jeżeli stworzone ludzką ręką wysepki stanowią część prehistorycznego elektromagnetycznego kompleksu, który od tamtej pory nie został skopiony. Starożytna technika, bardziej zaawansowana niż nasza własna, na mało znanej wyspie na dalekim zachodnim Pacyfiku, w dodatku bardzo oddalonej od tradycyjnych centrów cywilizacji... Prawdopodobnie to zbyt śmiała teza, aby zaakceptowali ją naukowcy. Mogą się spierać, że każda społeczność, która osiągnęła tak wysoki stopień materialnego wyrafinowania, potrzebowałaby wielu wieków wcześniejszego rozwoju, po czym nie ma żadnych śladów. A przecież Nan Madol i Insaru są związane z Banaue poprzez strategiczną lokalizację w strefie, gdzie powstają tropikalne tajfuny. Te trzy ogromne stanowiska archeologiczne oferują liczne materialne dowody na istnienie zaginionej cywilizacji, której przywódcy doskonale rozumieli i stosowali prawa natury, aby wyżywić miliony ziomków i chronić ich źródło pożywienia przed katastrofami naturalnymi. W.S. Cerve, autor klasycznej pozycji *Lemuria: The Lost Continent of the Pacific* (Lemuria: zaginiony kontynent Pacyfiku) mógł się odnosić do filipińskich wielkich tarasów z polami ryżowymi, kiedy napisał: „W botanice [Lemuryjczycy] byli tak biegli, że uprawiali rolnictwo jak eksperci, których pracę widać w ogrodzie botanicznym”.

Wszystko to prześciga jakkolwiek inną starożytną kulturę, ale wskazuje na znane nam wiadomości lub przypuszczenia o pacyficznej Praojczyźnie. Jeżeli to legendarne miejsce rzeczywiście wywodziło się z epoki przedlodowcowej,

jego mieszkańcy mieliby setki lub tysiące lat niezbędnych do rozwoju wszelkich dziedzin życia. Według Jamesa Churchwarda, wybitnego badacza z początku XX wieku: „W czasie zniszczenia Mu, Praojczyzny [Ludzkości], około 10 000 roku p.n.e., nauki, które wówczas znano i praktykowano, były rezultatem ponad 100 000 lat badań i doświadczeń, jeżeli [zechcemy] datować ich powstanie na określony moment [w historii]”. Sto tysięcy lat to może być za długo jak na początek historii, nawet dla Lemuryjczyków, którzy jako jedyni zdają się zdolni do prowadzenia prac publicznych na tak olbrzymią skalę. Mimo to ludzie nie byli bardziej inteligentni albo niedouczeni, niż są dzisiaj. Bez wątpienia każde pokolenie, tak jak teraz, miało swoich geniuszy. Co więc mogło przeszkodzić im w osiągnięciu wyższego niż nasz stopnia rozwoju techniki?

Jak Cerve wiarygodnie założył, Lemuryjczycy:

wyrośli ze wszystkich wcześniejszych wierzeń, które mogli mieć ich prymitywni przodkowie, że sztormy i konflikty, kataklizmy i niszczycielskie siły były zsyłane przez złych bogów lub przez kochającego boga, który wyrażał swój gniew. Patrzyli na wszystkie procesy Przyrody jak na działania konstruktywne, nawet gdy czasowo były niszczycielskie, i uważali je za prawa ewolucji, które kochający bóg stworzył na początku czasu. Już wyraziłem moją opinię, iż wiedza stanowiła religię Lemuryjczyków, bo fundamentalną zasadą ich [światopoglądu] było przekonanie, że bóg, czyli stwórca wszechrzeczy, wyjawiał człowiekowi całą wiedzę w procesie ewolucji rodzaju ludzkiego do tego samego stopnia rozumienia, jaki posiada sam stwórca. A zatem zdobywanie wiedzy było uważane za duchowe dostrojenie się [do stwórcy], a jej pogłębianie cieszyło się [powszechnym] szacunkiem. Nie widziano w tym natomiast atutu handlowego.

Dlatego Lemuryjczycy najpierw zbadali, a potem zastosowali prawa natury przy tworzeniu projektu kontroli pogody.

Przedstawiony w miejscowym micie „latający smok”, wezwany przez Olishpę i Olsohpę, to nic innego jak opis tego, co zapamiętali niepiśmienni tubylcy: całkowicie dla nich niewyobrażalnej techniki budowlanej, której lemuryjscy konstruktorzy użyli do wzniesienia Nan Madol. Dlatego przodkowie dzisiejszych rdzennych Pohnpejan mogli być świadkami zastosowania w starożytności jednolitej teorii pola Alberta Einsteina: Lemuryjczycy transportowali w powietrzu wielkie bazaltowe bloki na wybrane miejsce, sprawiając, że rezonowały z częstotliwością grawitacji, czyli czegoś, co uczeni z XXI wieku uważają przy najmniej za teoretycznie możliwe.

Po zakończeniu konstrukcji siłowni Nan Madol i Insaru czekały na meteorologiczny dramat, który miał się rozegrać wysoko w górze. Kiedy pierwsza

tropikalna burza zaczęła się tworzyć w atmosferze między Pohnpei a Kosrae, jej pole elektromagnetyczne zetknęło się z 500 000 000 ton namagnetyzowanego bazaltu zgromadzonego na obu wyspach. Wielkie, oślepiające łuki energii błysnęły od morza do nieba, wywołując krótkie spięcie w elektromagnetycznym „sercu” burzy. Pozbawione swojego naturalnego generatora chmury oddały nagromadzoną wodę w postaci ulewnego deszczu, potem spokojnie rozproszyły się na zachodzie.

Ta interpretacja dowodów archeologicznych na Wyspach Karolińskich, wskazująca na użycie wysoko zaawansowanej techniki, ma oparcie w miejscowej tradycji. Ponad 3500 kilometrów na południowym wschodzie na małej, oddalonej od innych wyspie Vao, w archipelagu Nowych Hebrydów, znajdują się kamienne słupy, które mieli wznieść przodkowie dzisiejszych mieszkańców posiadający wielką *mana*, czyli duchową moc. Te prehistoryczne monolity wy-ciosano z andezytu, rodzaju granitu nasyconego kwarcem i zdolnego do wytwarzania takiego samego piezoelektrycznego zjawiska, jak zmagnetyzowany bazalt Nan Madol. Childress przytacza opinie archeologów z nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej. Uważają oni, że kamienne słupy z Vao „związane są z rytuałami przodków i wykorzystywane w magii pogodowej. Mają przedstawiać duchy, które kontrolują pogodę”. Najwyraźniej rdzenni mieszkańcy wyspy zapamiętali tę meteorologiczną funkcję kolumn z andezytu.

Jeżeli środki fizyczne, za których pomocą zbudowano kompleksy energetyczne na Pohnpei i Kosrae, są kontrowersyjne, nie mniej sporne jest miejsce pochodzenia ich budulca.

„Ruiny Insaru na wysepce Lelu” muszą zawierać co najmniej kilka milionów ton bazaltu”, podkreśla Childress. A na pewno zawierały znacznie więcej przed zniszczeniem tego stanowiska archeologicznego około 1900 roku. Miejscowi przewodnicy opisują wychodnię na południowym krańcu Kosrae, w Utwe, jako miejsce, z którego wydobyto kamienie do konstrukcji Insaru. „Lecz w Utwe nie znaleziono śladów masowego wydobycia bazaltowych bloków, a objętość użytego budulca jest tak ogromna, że musiano by zniwelować całe to bazaltowe wychodzisko”, pisze Childress.

Ten sam problem pojawia się w Nan Madol. Jego budowniczowie przypuszczalnie sprowadzili budulec z Sokehs Rock, w pobliżu Kolonii, i w zachodniej części wyspy. Ale w żadnych z tych miejsc nie wydobyto dużej ilości kamienia, a na pewno nie 250 000 000 ton, których użyto do budowy Nan Madol. Co więcej, strome, gęsto pokryte dżunglą wnętrze Nan Madol uniemożliwiało transport jakichkolwiek wydobytych materiałów łodem na drugą stronę wyspy, gdzie zbudowano tę siłownię. Jak wspomniano wcześniej, przewiezienie 25-tonowych monolitów bazaltowych wokół wybrzeża do miejsca budowy byłoby całkowicie

niemożliwe, chyba że saudaleurowie skonstruowali do tego celu superfrachtowiec, wykorzystując swoją zaawansowaną technikę.

Childress zacytował Gene'a Ashby'ego, rzecznika Community College of Micronesia, który miał powiedzieć, że nikt nie wie, skąd się wzięły kamienie, których użyto do budowy Nan Madol. Nigdy nie znaleziono kamieniołomu lub kamieniołomów ani na Kosrae, ani na Pohnpei czy gdziekolwiek indziej na ogromnym Pacyfiku. Źródło tych wielu milionów ton graniastołupowego bazaltu zniknęło, najprawdopodobniej podczas jednej z kilku katastrof geologicznych, które zatopiły Praojczyznę. Nie mając innego wytłumaczenia, może się nie mylimy, wyciągając wniosek, że ogromne kamienie wykorzystane na Pohnpei lub Kosrae sprowadzono z Mu, gdzie zostały wydobyte przez tych samych czarowników, którym polecono zbudować stację kontroli pogody na Wyspach Karolińskich.

Jak już zostało wspomniane, widmowe światła połączone z bazaltowymi blokami pojawiają się w wielu innych częściach świata, gdzie ogromne ilości skryształizowanych skał reagują na działanie sił tektonicznych. Nie powinno więc dziwić, że takie same zjawiska świetlne pojawiają się na całym Oceanie Spokojnym, gdzie znajduje się aktywny sejsmicznie Ognisty Pierścień. Ale chińska tradycja specyficznie identyfikuje pewne zatopione królestwo, zwane P'eng-lai, Pałac Smoka, pod oddaloną wyspą na Morzu Wschodnim. Smoki były mitycznymi personifikacjami ziemskiej mocy, wszystkich podziemnych energii, które przemieszczają się pod powierzchnią Ziemi. Dlatego uważano góry za kolczaste plecy lub kręgosłup ziemskiego smoka. W takim razie Smoczy Pałac był miejscem niezwyklej ziemskiej mocy. Powiadano, że płonące jaskrawoczerwone światło czasami unosi się tuż nad P'eng-lai, oświetlając zarówno morze, jak i niebo na wielkie odległości we wszystkich kierunkach.

Wydaje się, że chińska tradycja identyfikuje P'eng-lai z Pohnpei, która nadal wznosi się nad zatopionym miastem, znanym jako Mu lub Lemuria. Ta charakterystyka przywołuje na myśl podwodne kolumny i skupiska gładów odkryte wokół podstawy Nan Madol, które Churchward też połączył z zaginioną cywilizacją. Cytując *Ramajanę*, opowiedział, że Wyspy Karolińskie leżą „w odległości miesiąca podróży w stronę wschodzącego słońca [z Birmy]”, gdzie, według tabliczek Naacalów i autora tego wielkiego hinduskiego eposu z IV wieku p.n.e., Valmikiiego, „Praojczyzna Człowieka niegdyś stała, miejsce, skąd przybyli pierwsi osadnicy do Birmy i Indii”. Churchward twierdził, że przetłumaczył historię Mu z kronik hinduskiego klasztoru znanych jako tabliczki Naacalów, gdy był oficerem w armii brytyjskiej w Indiach w latach 70. XIX wieku.

Wzmianki o aktywnym sejsmicznie Mu i wywodzącej się stamtąd poświacie andyjskiej, znalazły swoją japońską interpretację: świecąca „czerwona masa,

przypominająca wschodzące słońce” od czasu do czasu wisiała nad wielkim królestwem, znanym jako Horaizon na Morzu Wschodnim. Związana z tym historia opowiada, jak pewien kapłan mieszkający obok „smoczey jamy” zobaczył boginię ognia nad górą Mu-robu. Tak oto piezoelektryczne zjawisko zostało połączone z samą zatopioną Praojczyzną. Na pewno chińskie P’eng-lai, japońskie Horaizan lub karolińskie Katau Peidi, czyli Kanamwaysvo, opisane w tradycji krajowców jako zatopiona ojczyzna saudeleurów, z której przynieśli cywilizację na Pohnpei, mogło być tylko Mu. Ich pierwsza podróż na tę wyspę została przedstawiona jako *uaiti ala*, z którego wywodzi się współczesne *wawaila*.

Oznacza to: „iść potajemnie” lub „chyłkiem”, co dobitnie wskazuje, według Davida Hanlona, historyka Nan Madol, „na ucieczkę z jakiejś uciążliwej sytuacji”, być może przed naturalną katastrofą, która spowodowała zagładę lemuryjskiej ojczyzny. Najprawdopodobniej tą uciążliwą sytuacją było zagrożenie ze strony powracających tajfunów, które miała unieszkodliwić instalacja w Nan Madol. W każdym razie teza o przedpotopowym pochodzeniu Nan Madol nie opiera się wyłącznie na wnioskach. Chociaż nie ma odpowiedników poza Kosrae, związanym z nią budowlom i konstrukcjom znalezionym w innych miejscach na Pohnpei nadano surowe, geometryczne kształty, kojarzone z monumentalnym stylem budowli na Mu. Platformy z Alauso, Diadi i Kiti Rock wraz z samym Nan Dawas, to przykłady lemuriańskiej architektury użyteczności publicznej.

Liczne lokalne nazwy takich miejsc same są pozostałościami jakiejś przedpotopowej cywilizacji, która pozostawiła swoje wyblakłe, choć niezatarte ślady zarówno na Pohnpei, jak i w Luzon. Naprzeciwko tarasów z Banaue wznosi się góra A-mu-yao. Jej wiele mówiąca nazwa nabiera jeszcze większego znaczenia z powodu postępowania rdzennych mieszkańców Ifugao, którzy czczą A-mu-yao jako miejsce, gdzie przodkowie wysiedli z canoe po ucieczce z Wielkiego Potopu. Wigan i jego siostra Bugar byli jedynymi ocalałymi z niezwyklego okresu ekstremalnej suszy, która poprzedziła potop. Katastrofie towarzyszyły ciemności, które zapadły w środku dnia (wywołane przez erupcje wulkaniczne). Związek tego założycielskiego mitu z górą, w której nazwie znajduje się wspomnienie po zaginionej Praojczyźnie, to godne uwagi potwierdzenie długotrwałych pierwotnych lemuryjskich wpływów na Filipinach.

Zaledwie 64 kilometry na północny wschód od A-mu-yao leży miasteczko Gamu, natomiast A-mu-lung znajduje się 64 kilometry dalej na północ. Wszystkie te osady powstały w pobliżu ośrodka rolniczego, którego miało strzec Nan Madol. Interesujące, że słowa *mu* wchodzącego w skład nazw zarówno gór, jak i miasteczek, nie spotyka się nigdzie indziej na Filipinach. W istocie pamięć o zaginionych związkach między Banaue i Nan Madol w cudowny sposób przetrwała dzięki pospolitym nazwom topograficznym, z którymi te ośrodki

zaginionej cywilizacji były związane w starożytności. Na przykład Patapat to święte wzgórze w pobliżu południowo-wschodniego wybrzeża Pohnpei, a łączono je z praktykami obrzędowymi wprowadzonymi przez saudaleurów. Nie tylko słowo Patapat pojawia się również na Filipinach, ale podobnie jest to nazwa świętego wzgórza położonego w pobliżu rzeki Tolnagan w prowincji Luzon, w sąsiedztwie gigantycznych ryżowych tarasów.

Na południowo-wschodnim wybrzeżu Pohnpei znajduje się sąsiadujące z Patapat miasteczko nazwane od imienia jednego z saudaleurów – Kalongavar. Ta nazwa to oczywisty wariant „Kalongalong”, nazwy miasteczka w Mindanao. Chociaż te zachowane nazwy topograficzne podkreślają niezaprzeczalny związek między Filipinami i dalekim Nan Madol, wydaje się, że Pohnpei wywarło jeszcze większy wpływ na Azję Południowo-Wschodnią. Tanataman to jednocześnie nazwa innego świętego wzgórza na Pohnpei i malezyjskiej dżungli, którą węgierski uczyony doktor Vamos-Toth Bator opisał jako najstarszą na świecie.

Kilka cech ruin z Pohnpei jest tradycyjnie łączonych z wyraźnie lemuryjskimi toponimami, takimi jak Mupt, prostokątna konstrukcja w pobliżu południowo-zachodniej części wyspy. Następną budowlą, położoną na zachód od Pohnpei, graniczy z zatoką zwaną Mupteniulli. Naprzeciwko zachodniej części wyspy znajduje się Muptalap, wał nadmorski, i skrawek lądu – Pon-mu-asanap. Kręta, brukowana droga w północno-wschodniej części Pohnpei okala kawał ziemi nazywany Pon mu-itak. Na Nanlong, wysepce położonej przy południowym wybrzeżu Pohnpei, znajduje się stanowisko archeologiczne nazywane Nanparad Mu-tok. To na pewno są nazwy hybrydowe, pohnpejańskie odmiany pierwotnych lemuryjskich wersji, zmodyfikowanych przez miejscowe wpływy, które w dodatku zmieniły początkowe *Mu* w dźwięk *mw* – jak w Madolenihmw, zatoka, a zarazem port Nan Madol, oraz Kitamw, inny ważny punkt zejścia na ląd – żeby dostosować go do języka rdzennej ludności Wysp Karolińskich. Zewnętrzny mur chroniący cały kompleks budowlany przed niszczycielskimi falami Oceanu Spokojnego i podmywającymi fundamenty prądami oceanicznymi to Nan Mwoluheisei „tam, gdzie podróż się kończy”, aluzja do jednego dojścia do Nan Madol od strony morza. Jego lemuryjskie implikacje podkreślają miejscowe opowieści, że Nan Mwoluheisei był jak brama, która prowadzi do zatopionego miasta Kahnimweiso.

Być może najbardziej widoczny odnośnik lingwistyczny do Lemurii w Nan Madol znaleziono na sztucznej wysepce Pahn Kadira. Miejscowe mity opisują ją jako duchowe centrum kompleksu, gdzie saudeleurowie podejmowali najważniejsze decyzje. Nawet dzisiaj miejscowi określają Pahn Kadira jako „miasto proklamacji” lub „zakazane miasto”. Jest to miejsce świątyni Nan Kieil Mwahu,

gdzie czczono Matkę Ziemię pod postacią Nan Sapwe „drogiego kraju”. *Ahu* w języku bardzo odległej Wyspy Wielkanocnej oznacza ołtarz i chyba odnosi się do tego samego pojęcia – ołtarza dla Mu.

Identyczna gwarowa zmiana widoczna jest w nazwie dynastii założonej przez obcego władcę, który, według pohnpejańskiej tradycji, najechał tę wyspę i stracił z tronu ostatniego pana Deleuru. Zastępując obaloną dynastię własną, znaną jako Nahnmwarkis, Isokelekel okazał szacunek dla obalonych saudeleurow. Celowo połączył więzami małżeńskimi własną rodzinę z ocalałymi członkami tego rodu. Świadczą o tym mieszane imiona późniejszych władców z nowej dynastii, takie jak Luhk en Mwei Maur, Luhk en Mwer i Luhk en Mwei – najwidoczniej wszystkie były wariantami słowa Mu.

Limwetu, słowo wyraźnie pochodzące od nazwy Lemuria, wymieniane jest w miejscowej tradycji *keilahn aio*, czyli „druga strona wczorajszego [dnia]”, jako imię kobiety, która niechętnie osiedliła się wraz z dziećmi na Pohnpei po opuszczeniu swojej dalekiej ojczyzny. I rzeczywiście, sama epoka, w której powstało Nan Madol, w lokalnych opowieściach nazywana jest Mwehin Kawa, czyli „czas budowy, z bardzo odległej przeszłości”.

Najbardziej znaczący jest fakt, że wysepka, na której znajduje się Nan Madol, w starożytności była znana jako Te-Mu-en, a samo centrum kompleksu nadal nosi nazwę Usenamw.

Paralele językowe przetrwały w innych miejscach archipelagu Wysp Karolińskich, odległych od Pohnpei o 690 kilometrów na północny zachód, na wyspach Halla, na kropce na mapie noszącej dwuznaczną nazwę Mu-riio. Podobnie w odpowiedniku Nan Madol na wyspie Kosrae nie brak lemuryjskich nazw. W centrum prowincji Lelu na wysokość 650 metrów wznosi się góra Mu-tunte. Na samej północy wzdłuż wybrzeża od stanowiska archeologicznego Insaru ciągnie się Mu-tuneneah, sztuczny kanał zarośnięty mangrowcami. Naprzeciwko Insaru, na północno-zachodniej stronie Kosrae leży mała wysepka Mu-taniel, w pobliżu portu Okat Harbor. Te określenia wciąż wskazują na nazwę pomysłowego ludu, który bardzo dawno temu poznał i okiełznał żywioły. Lemuryjczycy stworzyli bogate społeczeństwo, osiągnęli wysoki poziom nauki i objęli swoimi wpływami ogromny ocean nazywany później Spokojnym.

Materialne dowody ich technicznych osiągnięć przetrwały tylko w spektakularnych projektach robót publicznych w Nan Madol, tradycji i mitach Pohnpei. Nadal opowiadają one o dokonaniach, które nasza cywilizacja dopiero niedawno wypracowała lub, jak się zdaje, jest tego bliska. Powietrzny transport ważących kilkadziesiąt ton bazaltowych bloków na wysokość 10 i więcej metrów z pomocą „latającego smoka” został omówiony już wcześniej. W innej opowieści z czasów budowy Nan Madol, mężczyzna imieniem Kideumanien,

przyleciał do tego placu budowy z prowincji Sokehs, położonej po przeciwnej stronie Pohnpei wzdłuż zachodniego wybrzeża wyspy, pilotując magiczną skałę. Po przybyciu na miejsce rozkazał ogromnemu megalitowi zawisnąć w powietrzu, a potem ostrożnie osadził go na zewnętrznym murze, otaczającym część kompleksu naprzeciwko morza, znaną jako Madol Powe, aby chronić fundamenty przed falami powodującymi erozję. Dla dokonania tego wyczynu inżynierii powietrznej Kideumanien wypowiedział zaklęcie zapamiętane jako *Kindakan Nan Mwoluhsei*. I znowu rdzeń „Mu” użyty do określenia przykładu starożytnego osiągnięcia technicznego w Nan Madol.

Inne tubylcze legendy opowiadają o magicznej sadzawce, Peirot, na sztucznej wysepce Peikapw. Za pomocą czegoś, co wydaje się starożytną mikronezyjską kombinacją kamer nadzoru i telewizji satelitarnej, Peirot pozwalał saudeleurom obserwować wszystko, co działo się na Pohnpei lub gdzie indziej na świecie.

Skąd pochodzą takie mity? Są one odmienne od tych, odkrytych na pozostałych wyspach Pacyfiku. Czy rzeczywiście mogą być relacjami o zaginionej wysoko rozwiniętej technice, pod pewnymi względami nawet bardziej zaawansowanej niż nasza współczesna? Jeśli tak, Lemuryjczycy nadal mogą nas czegoś nauczyć, zwłaszcza jeśli hipotezy przedstawiające Nan Madol jako stację kontroli pogody są prawdziwe. Huragany i tajfuny co roku nawiedzają wiele części świata, zabierając ludzkie życie i niszcząc własność. Może dokładniejsze badania dziwnych ruin na Pohnpei i Kosrae ujawnią starożytne tajemnice zaginionej techniki, która mogłaby uratować nas od powtarzających się cykli katastrof naturalnych.

2. Pępek Świata

*Na Wyspie Wielkanocnej przeszłość jest terażniejszością.
Nie sposób od niej uciec. Dzisiejsi mieszkańcy są mniej rzeczywisci niż ci,
którzy [dawno stamtąd] odeszli.*

Cienie umarłych budowniczych nadal władają tym lądem.

Katherine Routledge, badaczka Wyspy Wielkanocnej,
początek XX wieku

Z drugiej strony Oceanu Spokojnego, 4022 kilometry na południowy wschód od Nan Madol, leżą pozostałości innej, jeszcze bardziej zagadkowej, ale całkowicie odmiennej cywilizacji. Posągi Wyspy Wielkanocnej, znane jako *maoi* są słynne na całym świecie od przeszło 200 lat. A przecież te kamienne olbrzymy są niemymi świadkami prehistorii. W przeciwieństwie do Pohnpei, Wyspa Wielkanocna od dawna jest ośrodkiem międzynarodowych badań. Uczeni pragną zrekonstruować jej przeszłość, przede wszystkim dlatego że jest anomalią w Polinezji, nie tylko z powodu monumentalnych posągów, lecz także unikatowego pisma. Mimo dziesięcioleci badań archeolodzy nadal jednak są dalecy od rozwiązania jej podstawowych tajemnic. Na przykład nie potrafią przekonująco wyjaśnić, jak kultura materialna znacznie przekraczająca wszystko porównywalne z nią na Pacyfiku mogła powstać tylko na jednej wysepce, odizolowanej od reszty świata. Najbliższa zamieszкана wyspa to Pitcairn, 1998 kilometrów na zachód od Wyspy Wielkanocnej. Na wschodzie nic nie przerywa 3998 kilometrów kwadratowych powierzchni otwartego oceanu aż do wybrzeży Ameryki Południowej.

O dziwo, uczeni lepiej rozumieją geologiczne pochodzenie Wyspy Wielkanocnej niż jej „ludzkie” początki. Wyspa powstała około 100 000 lat temu, kiedy lawa z jednoczesnych erupcji trzech wulkanów połączyła się, tworząc szerokie

na 11,2 kilometra, długie na 24 kilometry trójkątne terytorium. Wkrótce potem aktywność wulkaniczna ustała. Po niej została żyzna gleba. Dlatego gdy wiatr przywiał nasiona, szybko wyrósł z nich gęsty las. Palmy i drzewa toromiro pokryły większą część wyspy. Przemiany kulturowe nastąpiły długo potem, kiedy ogromne, pięknie zbudowane platformy, znane jako *ahu*, stanęły przy brzegu, a na nich – wyrzeźbieni giganci, odwrócenie plecami do morza. Ogromne posągi usiały wewnątrz wyspy, aż do krawędzi krateru Rano Raraku, wygasłego wulkanu, z którego wydobyto materiał do wykucia kamiennych olbrzymów. Przybysze mogliby dojść do wniosku, iż dotarli do ośrodka masowej produkcji monumentalnych figur. Na szczycie Rano Kao, innego wulkanu, znajdował się Orongo, ośrodek kultu złożony z kamiennych budynków ze sklepieniami przechodzącymi w krokwistynowe dachy, całkowicie odmienne od kruchych chałup z drągów i liści palmowych, które znaleziono w całej Polinezji, ale podobnych do łuków z Uxmal i z innych monumentalnych miast Majów w dalekim Jukatanie.

Wszędzie indziej na Wyspie Wielkanocnej wśród cyklopowych murów wznosiły się okrągłe, wysokie na 6,6 metra wieże, zbudowane bez zaprawy murarskiej. Ogromne kamienne bloki były tak oszlifowane i doskonale dopasowane, że nie można by wsunąć między nie noża. Znaleziono też liczne przykłady naskalnej sztuki w postaci petroglifów przedstawiających ryby, spirale, geometryczne wzory oraz wszechobecnego człowieka-ptaka, postaci kultowej, niemającej sobie równej na ogromnym Pacyfiku. Gospodarka oparta była na uprawie bananów, ananasów, kokosów, morw, trzciny cukrowej, kolo-kazji i batatów tak daleko od południowo-zachodniej Azji. Drzewa z gatunku *trumpfetta semi-triloba*, słodkie ziemniaki, tykwy i chili zostały sprowadzone z Ameryki Południowej. Żywiono się udomowionymi kurami niewiadomego pochodzenia, hodowanymi również dla niezwykłych niebieskich jaj, które składały.

Domniemanymi pierwszymi osadnikami na Wyspie Wielkanocnej było 300 długouchych *Hanau-eepe*, ludzi z jasną skórą, którzy rozciągali płatki uszu, aby odróżnić się od innych plemion. Określali swoją nową ojczyznę jako Rapa Nui, czyli Wielka Rapa, to znaczy „wielka ziemia boga słońca”, i Te-Pito-te-Henua, co znaczy Pępek Świata. Ale 300 osadników to za mało, aby wprowadzić w życie wielkie plany odbudowy cywilizacji, sprowadzili więc Polinezyjczyków z innych wysp na zachodzie. Ci ostatni to krótkousi *Hanau-momokeo* – którzy pracowali pod kierunkiem długouchych nadzorców. Przez 200 lat, w okresie wewnętrznego pokoju, zapamiętanego jako *Karau-Karu*, *Hanau-momokeo* wiernie dostarczali siły swoich mięśni do wznoszenia monumentalnych posągów i imponujących murów Rapa Nui.

Lecz pod koniec złotego wieku powstawał coraz większy rozdźwięk między arystokratycznymi długouchymi a pracującymi krótkouchymi. Te sprzeczności zaogniły nasilający się kryzys żywnościowy, spowodowany wyrębem lasów, bo do produkcji *moai* potrzebne były pnie drzew do transportu i pnącza na liny. Nastąpił okres przemocy, znany jako *Huri-moai*, czyli obalenie posągów. Kamienne kolosy przewrócono, wyspę ogarnęły walki społeczne. W ostatnim akcie rozpaczliwej okrażeńi przez wrogów długousi wykopali wielki parapet, rów zwany Poike, który stanowił linię obrony przed nasilającą się rewoltą. Próba zakończyła się porażką. Niezadowoleni krótkousi przebyli rów Poike i wymordowali wszystkich *Hanau-eepe* w paroksyzmie ludobójczego kanibalizmu.

Te straszne wydarzenia musiały nastąpić pomiędzy 1770 rokiem, kiedy hiszpańscy „cenzorzy” doliczyli się 3000 osadników na Rapa Nui, a 1774 rokiem, gdy kapitan James Cook, słynny angielski żeglarz, zszedł na brzeg wyspy. Wyspę odkrył i nadał jej nową nazwę Jacob Rogeveen w Niedzielę Wielkanocną 1722 roku. Holenderski admirał zapisał w raporcie, że tubylcy zapalili wielkie ogniska przy posadach *moai* jako część obrzędu ku czci słońca, chociaż, jak się wydaje, produkcji kamiennych olbrzymów zaprzestano przed wielu laty. Do czasu przybycia kapitana Cooka wszystkie posągi przewrócono, długouchych wymordowano, a na wyspie zapanował chaos. Cook doliczył się tylko 600 lub 700 mężczyzn i mniej niż 30 kobiet grzebiących w ruinach. Wszyscy żyli w brudzie i w nędzy.

Na początku XIX wieku napady handlarzy niewolników i przywleczona przez nich wietrzna ospa zredukowały liczbę ludności wyspy do zaledwie 111 osób. Ci godni nieszczęśnicy łatwo dali się nawrócić na chrześcijaństwo w 1868 roku. Wkrótce potem ich wyspę zaanektowało Chile, które następnie wydzierżawiło dawny Pępek Świata hodowcom owiec z Tahiti. Heroiczna podróż doktora Thora Heyerdahla na tratwie z pni drzewa balsa z Ameryki Południowej przez wschodni Pacyfik i późniejsza publikacja jego międzynarodowego bestselleru *Aku Aku* w latach 50. XX wieku obudziły na świecie zainteresowanie Wyspą Wielkanocną i sprowadziły potok turystów, którzy nadal polepszają finansowe warunki życia jej mieszkańców.

Heyerdahl zamierzał udowodnić, że długousi „cywilizatorzy” Rapa Nui wywodzili się z wysoko rozwiniętych prekolumbijskich kultur Peru, arystokratów, którzy wyróżniali się rozciągniętymi płatkami uszu. Tę praktykę stosowali członkowie elity Wyspy Wielkanocnej, *Hanau-eepe*. Wskazywał, że cyklopowe mury Wyspy Wielkanocnej są niemal identyczne z maszynowymi fortyfikacjami Cuzco, stolicy państwa Inków, łącznie z tajemniczymi guzami lub wypukłościami. Wielokątny charakter obu budowli tworzy łatwo rozpoznawalny styl. Nawet ich nazwy – Te-Pito-te-Hanua i Cuzco – oznaczają Pępek Świata. Posągi

z Wyspy Wielkanocnej nawiązywały do swoich znacznie wcześniejszych odpowiedników z preinkaskiego miasta Tiahuanaco. Choć nie są one identyczne, tak jak mury Cuzco i Rapa Nui, podobieństwo *moai* i andyjskich kolosów jest wyraźnie widoczne. Nietypowa statua z Wyspy Wielkanocnej, przedstawiająca przykucniętego mężczyznę, ma „sobowtóra” w Poquothia Pampa w Thiahuanaco. Malangańska figura z prowincji Nowa Irlandia w Papui-Nowej Gwinei przedstawia postać grającą na dużej fletni Pana, najważniejszym instrumencie muzycznym Inków.

Uru to polinezyjska nazwa topograficzna kojarzona z ojczyzną przodków; tak również nazywało się preinkaskie plemię, które niegdyś dominowało na wybrzeżach jeziora Titicaca, skąd na Wyspę Wielkanocną sprowadzono trzcinę z gatunku *totora*.

Legenda przedstawiała Uru-keu, polinezyjskich praprzodków jako złotowłosych półbogów. Uru był bogiem z Wyspy Wielkanocnej, który „przyniósł świeże powietrze z bardzo daleka”. Słodkie ziemniaki również pochodzą z Ameryki Południowej, gdzie były znane jako *cumar* w keczua, języku Inków. Na dalekiej Nowej Zelandii tubylcy nazwali je *kumara*.

Na Tahiti nosiły nazwę *umarai* i zostały przywiezione na Wyspę Wielkanocną przez kulturę rolniczą nieznaną archeologom.

Polinezyjczycy „pisali”, wiążąc supły na sznurkach, które nazywali *tahoponapona*. To system zapisu podobny do inkaskiej wersji zwanej *quipu* [kipu], tylko że wyspiarze wykorzystywali go w szerszym zakresie. Przywiązywali sznurki do *pipiwharauoa*, czyli ptaków, które przenosiły wiadomości z jednej wyspy na drugą, po czym wracały do domu po przebyciu dużych odległości. W obu systemach każdy węzeł, jego kolor i sposób wiązania przedstawiały specyficzne wartości liczbowe i/lub pewne informacje. Posłania, których dostarczały ptaki, ostrzegały przed atakami; ogłaszały ważne narodziny, zaręczyny, zgony, sojusze, żądania przysłania towarów lub oddziałów wojowników; a także zapowiadały ceremonie religijne.

Na Nukihiva i Oipona me’ae znaleziono co najmniej cztery petroglify ukazujące lamy. Przedstawiający rybę petroglif z Wyspy Wielkanocnej w zatoce Anakena jest wykonany w tym samym, koncentrycznym, jednoliniowym stylu, którego użyto w przedstawieniach wielorybów na pustyni Nazca. Innymi słowy, każdy rysunek wykonano w jednej ciągłej linii, stylem „odcisków palca” niezbyt często spotykanym w świecie starożytnym poza rejonami wschodniego Pacyfiku i niektórymi terenami Ameryki Południowej. Człowiek-ptak z Rapa Nui był wyobrażany zarówno w rysunkach naskalnych, jak i w *rongo-rongo*, języku pisanym tej wyspy, jako fregata, ptak, którego obraz pojawia się wśród olbrzymich jednoliniowych rysunków, wykonanych na pustyni Nazca na wybrzeżu

Peru. Kilka innych znaków *rongo-rongo* przedstawia prawe ramię wskazujące do góry, a lewe – w dół, identyczne z tak zwaną kobietą-sową wyobrażaną na peruwiańskich pampasach. Ten sam gest ziemia–niebo znajdujemy w hawajskim petroglifie (D22–19) w Kaupulehu. Hawajski mit opowiada o Hare a ta Ra, czyli o domu słońca, przywołując na myśl świątynię o tej samej nazwie, Korikancza, w centrum Cuzco. I, oczywiście, słońce znano jako Ra zarówno na Rapa Nui, jak i na Hawajach, natomiast Inti-Raimi było największym świętem w inkaskim kulcie solarnym.

Te i inne porównania skłoniły niektórych badaczy do wyciągnięcia wniosku, że cywilizatorzy z Peru popłynęli na zachód przez Ocean Spokojny, aby zamieszkać na Wyspie Wielkanocnej. Chociaż ten wniosek może wydawać się atrakcyjny, dokładniejsze badania ujawniają kilka jego poważnych wad. Na długo zanim Heyerdahl porównał dzieła kamieniarzy Rapa Nui i Andów, Lewis Spence zauważył:

Na pewno istnieje podobieństwo wykonania i ogólnego stylu między architekturą i rzeźbami Tiahuanaco i Wyspy Wielkanocnej. Tematyka rzeźb jest podobna, a także ich obróbka. Oczywiście dzieła peruwiańskich rzeźbiarzy wykonano bardziej zaawansowaną techniką, jak można oczekiwać od późniejszej fazy tego samego impulsu artystycznego, ale ogólny cyklopowy charakter budowy jest taki sam, jak ten na Wyspie Wielkanocnej – a że nie było to inkaskie Peru, widać wyraźnie z faktu, że wyprzedza on ten styl o wieki – być może o tysiąclecia.

Rongo-rongo było pismem używanym na Wyspie Wielkanocnej, ale starożytni mieszkańcy Andów, którzy przypuszczalnie wprowadzili tam cywilizację, nie mieli języka pisanego. Oprócz tego, cyklopowe mury Wyspy Wielkanocnej w Vinapu są znacznie starsze niż ich odpowiedniki z Cuzco. Mark Williams, autor jednej z książek na ten temat *In Search of Lemuria* (W poszukiwaniu Lemurii), zauważa, że: „Mur z Vinapu powstał pierwszy, co oznacza wpływy kulturowe z Pacyfiku w stronę Ameryki [Południowej], a nie w odwrotnym kierunku”. Poprzedziła go w tym rozumowaniu Katherine Routledge, której ekspedycja z 1918 roku przyniosła jedne z najbardziej owocnych odkryć archeologicznych, kiedykolwiek dokonanych na wyspach wschodniego Pacyfiku. „Można więc odrzucić sugestię, że Wyspa Wielkanocna została zaludniona [przez przybyszów] z Ameryki Południowej”, napisała. „Jeżeli istnieje między nimi związek, wydaje się bardziej prawdopodobne, że te wpływy dotarły z wyspy na kontynent południowoamerykański”.

A jeszcze bliższa prawdy jest teza, że cywilizacje Rapa Nui i Andów niezależnie od siebie uległy wpływom tego samego, zewnętrznego źródła. Wrażenia,

jakie sprawiają identyczne wpływy na dwa położone daleko od siebie miejsca, wyjaśniłyby ich wyraźne, w inny sposób niewytłumaczalne podobieństwa. Istnienie preinkaskiego Uru znad jeziora Titicaca, Uru-keu przodków Polinezyjczyków i Ure mieszkańców Wyspy Wielkanocnej nie dowodzi, że jeden z tych ludów wywarł wpływ na drugi, ale raczej, że wszystkie uległy wpływom zewnętrznej potęgi, określanej przez niektórych Polinezyjczyków jako Uru, jeszcze jedną nazwą pacyficznej Praojczyzny. Na pewno wizerunki lam na Wyspie Wielkanocnej i uprawy trzciny *totor* oraz słodkich ziemniaków wyraźnie wskazują na ważne kontakty z Ameryką Południową. Ale nawet ten pozornie bezdyskusyjny andyjski dar dla Oceanii mógł przybyć wraz z lemuryjskimi podróżnikami, jak to sugeruje imię pewnej hawajskiej bogini. Uciekając przed uściskami śmiertelnego kochanka, Lono-Mu-ku straciła nogę, z której wyrósł pierwszy ziemniak. Przecież Polinezyjczycy i ich przodkowie byli nadzwyczajnymi żeglarzami, którzy odwiedzili wiele obcych krajów i podróżowali przez cały pacyficzny świat, docierając nawet do Antarktydy setki lub nawet tysiące lat przed współczesnymi Europejczykami.

Mieszkańcy zarówno Rapa Nui, jak i prekolumbijskiego południowego Peru podzielali starożytne wierzenie, że ich kraje zawdzięczają społeczną organizację pewnemu cywilizatorowi, który w odległej przeszłości przybył z bliżej nieokreślonego dalekiego kraju, źródła wysoko rozwiniętej cywilizacji, od dawna zniszczonego przez jakąś katastrofę naturalną. Mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej znali go jako Hotu Matua, natomiast Inkowie – pod imieniem Kon-Tiki-Wirakocza. Fletnie Pana, których używały oba ludy, moda na długie uszy, system przekazu *quipu-ahoponapona*, wyrób posągów, technika budowy wież i murów oraz cała reszta miała pochodzić z zaginionej ojczyzny ich ojców założycieli. Innymi słowy, pochodziły z innego miejsca i, z konieczności lub celowo, zostały wyeksportowane na Wyspę Wielkanocną i do andyjskich terenów Ameryki Południowej, gdzie miejscowe czynniki spłoty się z importowaną kulturą, tworząc różne, choć podobne społeczeństwa.

Na tożsamość tego zewnętrznego wpływu kulturowego wskazuje mit założycielski Wyspy Wielkanocnej. Zaczyna się on od wielkiego królestwa, które dawno temu istniało na Oceanie Spokojnym. Według miejscowej legendy „był tam pewien wielki kraj, ten kraj”, znany jako Hiva, „kraj świątyni”, dużej sieci dróg, wysokich kamiennych wrót, cyklopowych budowli, szerokich ceremonialnych placów, gęsto zaludniony. „Ten kraj obfitości” miał rozwinięte rolnictwo, ale „w lecie było tam tak gorąco, że rośliny więdły w słonecznym żarze”.

Jego najważniejszą prowincją była Marae Renga, którą rządził Haumaka. Pewnego ranka obudził się nagle, nadal mając w pamięci niepokojący nocny koszmar. We śnie wodzowi ukazał się ptasiogłowy bóg Makemake. Postępując

zgodnie z senna wizją, Haumaka natychmiast wysłał ekspedycję złożoną z sześciu mężczyzn. Ira, Kuukuu, Mu-mona, Parenga, Ringaringa i Ure popłynęli statkiem *Oraorangaru*, co znaczy „ocalony przed falami”, na wyprawę odkrywczą. Po wielu tygodniach znaleźli małą wyspę, Motunui, poza południowo-zachodnim wybrzeżem większego lądu. Płynąc wzdłuż północnego wybrzeża, trafili na tę samą zatokę, opisaną we śnie Haumaki. Mieli teraz przygotować świeżo odkrytą wyspę, którą nazwali Matakite-Ra, imieniem boga słońca, na przybycie osadników z Hiva.

Przewodził im Hotu Matua, co znaczy „płodny ojciec”, potomek Rongo, „dźwięku” lub „Tego, Który Dźwięczy”, nazwanego tak od instrumentu z muszli, jakim posługiwał się jasnoskóry, rudowłosy bóg, który spłodził królewskie rody w całej Polinezji. Lokalną wersję legendy z Wyspy Wielkanocnej o wizji Haumaki opowiedział Arturo Teao. Hotu Matua zgromadził swoją rodzinę i 300 zwolenników w Marae-toe-hau, czyli na „cementarzu”, skąd odpłynęli w dwóch ogromnych canoe, z których każde mierzyło ponad 1600 metrów. Przesadzone detale tej legendy miały dać obraz olbrzymich statków kolonistów. Jedno canoe mogło pomieścić 150 pasażerów, zapasy żywności, wodę i ładunek.

Po 120 dniach spędzonych na morzu nowo przybyli wyszli na brzeg w miejscu, które zobaczył Haumaka, nazwanym dziś zatoką Anakena przez Hotu Matua od sierpnia, miesiąca przybycia. Jego podwładni wyładowali wszystko, czego potrzebowali do założenia osady, w tym liczne sadzonki drzew, bulwy i rośliny oraz bibliotekę złożoną z 67 przykrytych tkaniną tabliczek, na których spisano genealogie ważnych rodów i ich dzieje, wraz z tekstami religijnymi, rolniczymi, botanicznymi, medycznymi i astronomicznymi. Ale najcenniejszym przedmiotem był Te-pito-Kura, czyli Pępek ze Światła, święty kamień z Hiva. Głaz ten – spłaszczona na końcach sferoid, skryształizowana skała wulkaniczna – był w przeważającej części szary, ale niektóre jego odcienie przechodziły w czern. Chociaż to całkowicie naturalny kamień, wydaje się, że został wygładzony i lekko ukształtowany ręką artysty. Pod innym względem nie ma w nim nic niezwykłego: mierzy 67 centymetrów szerokości i 45 centymetrów grubości, a jego obwód wynosi 2,53 metra. Nadal można go zobaczyć w wielkim *ahu* w zatoce La Perouse, na północnym wybrzeżu. Kamień ten otaczano tak wielką czcią, że Hotu Matua przemianował Metakite-Ra-ni na Pępek Świata, Te-pito-te henua.

Gdy tylko tego dokonał, zdał sobie sprawę, że zapomniano innego cennego przedmiotu. Był to posąg Tauto, jego przyjaciela i wielkiego *ariki*, czyli wodza. Poleciał więc dwóm podwładnym „popłynąć do Hiva, naszej ojczyzny” i powrócić z tym cennym *moai*. Wyruszyli zaraz w długą, ale dziwnie pozbawioną przygód podróż: „Nie było tam fal ani dużych, ani małych; nie było wiatru”. Ta szczególna cisza, w której podróżowali, zwiastowała kataklizm.

Wreszcie przybyli do wybrzeży Marea Renga, gdzie znaleźli zapomniany posąg Tauto. Nadal stał na skraju Marae-toe-hau, tak jak opisał Hotu Matua. Ale kiedy go zabierali, bóg trzęsień ziemi uderzył, spychając ogromne tere-ny lądu do morza. Jak relacjonuje lokalna opowieść z Wyspy Wielkanocnej: „*He ktu a mai e Uvoke hai akau te ua, i iti ai te kaiga*”, czyli Uvoke podniósł ziemię swoim łodem. Fale się podniosły, kraj stał się mały. Ziemię, morze i niebo wykrzywiły potężne siły. Według Arturo Teao, „fale rosły, wiatr dał, deszcz padał, grzmot grzmiał, meteoryty spadły na wyspę”. W szaleńczym wysiłku, by uciec wraz z posągiem, wysłannicy upuścili *moai*, który pękł na kawałki. Obaj mężczyźni chwycili głowę statui i uciekli w canoe ze skazanego na zagładę Hiva. Haumaka natomiast ujrzał spełnienie swojego proroczego snu: „Król zobaczył, że ląd pochłonęło morze. Kiedy morze się podniosło, ląd zatonął. Rodziny zginęły, zginęli mężczyźni, kobiety, dzieci i starcy”. *Ku emu a*, Ziemia zatonąła.

Po wielu tygodniach para nieszczęśników przybyła z powrotem na Rapa Nui, gdzie natychmiast zaprowadzono ich przed oblicze króla. Hotu Matua początkowo bardzo ucieszył się na ich widok. „Witajcie po powrocie z Hiva!”, zawołał. „Krainy mnóstwa jedzenia i brudnych warg!” Ten ostatni opis dowodził jego radości, ponieważ oznaczał twarze wysmarowane od jedzenia. Ale nastrój władzy natychmiast się zmienił, kiedy dwaj wysłannicy zameldowali o wszystkim, pokazując rozbite szczątki posągu, który polecono im przywieźć.

„Biada, to szyja *moai* Tauto!”, zajączał. „*Ariki* został rozbity. Ciało, nogi, ramiona, pozostały w Hiva, w jego ojczyźnie”. Właśnie wtedy Ira, Kuukuu, Mumona, Parenga, Ringaringa i Ure, zwiadowcy, którzy odkryli Rapa Nui i przygotowali ją dla osadników, poprosili Hotu Matua o pozwolenie na powrót do ojczyzny. Lecz przygnębiony król powiedział im: „Morze nadeszło i zatopiło wszystkich ludzi w Marae Renga”.

W późniejszych latach Hotu Matua przekształcił Wyspę Wielkanocną w samotny przyczółek cywilizacji, ostatni skrawek zatopionej Hiva. Rolnictwo kwitło, wyznawano dawną religię solarną, rozwijała się sztuka naskalna. Imponujące kamienne mury, wyniosłe wieże i wielkie platformy, podtrzymujące gigantyczne posągi były ozdobami Rapa Nui. Dla zachowania literackiego dziedzictwa, wyspiarze obchodzili doroczne święto, podczas którego uczniowie studiujący *rongo-rongo* musieli recytować z pamięci długie fragmenty z tabliczek ze świętymi tekstami w obecności króla i jego dworu. Doskonałe występy nagradzano świętymi posągami i darmowym jadem. Wprawdzie najmniejszy błąd zasługiwał na karę, lecz karano nie uczniów, którzy musieli powtarzać naukę, lecz ich nauczycieli. Najwidoczniej stary język pisany z Hiva był uważany za niezwykle ważny, może nawet za święty.

Inna ważna ceremonia odbywała się każdej wiosennej równonocy, kiedy ochotnicy ustawiali się szeregiem na południowo-zachodnim wybrzeżu, żeby rywalizować ze sobą w bardzo szczególnej konkurencji. Przepływali ponad 1600 metrów przez wzburzone, pełne rekinów wody, oddzielające Te-pito-te-henua od pobliskiej wysepki Motunui. Tam mieli znaleźć jajo morskiego ptaka, umieścić je w specjalnej torebce przywiązanej do głowy i wrócić z nieuszkodzoną zdobyczą. Pierwszy mężczyzna, który zakończył to odstrasżające zadanie, na rok stawał się najbardziej czczoną osobą i był uważany za tak świętego, że musiał zamknąć się w jaskini na cztery miesiące, bez kąpieli lub kontaktu ze światem zewnętrznym, nawet ze swoją żoną. Aż do następnej wiosny wdzięczna społeczność zaspokajała wszelkie jego zachcianki. Nawet kiedy minął okres nadzwyczajnych przywilejów, patrzono na wybrańca ze szczególnym podziwem do końca życia i chowano go ze specjalnymi honorami. Jego zwycięstwo było uczczeniem tajemnicy Makemake, pochodzącego z Hiva kultu człowieka-ptaka.

Również tutaj dowody wskazują na Lemurię. Hiva to ewidentnie polinezyjska wersja Mu, poczynając od wyjątkowo wysokiej kultury i kultu słońca do natury niszczycielskiej katastrofy, do której opisu włączono spadające meteoryty. Jeden z sześciu członków wyprawy z Hiva, która odkryła Rapa Nui, nazywał się Mu-mona, a potomek jednego z długouchych Hanau-eepe arystokratów, który przeżył masakrę w rowie Poike, nosił imię Atamu. Te pozostałości lingwistyczne świadczą o lemuryjskim pochodzeniu cywilizacji Wyspy Wielkanocnej, a także o jej najświętszym miejscu. Chociaż standardowe źródła o Wyspie Wielkanocnej opisują pobliską wysepkę jako Motunui, mapa numer 68 wydana przez rząd Chile w 1918 roku i karta numer 1386 admiralicji brytyjskiej opublikowana przez amerykańskie Wydawnictwo Hydrograficzne podają jej nazwę jako Mutu Nui, czyli wyspa Mutu, tak jak określali ją tubylcy z Nowej Zelandii. Tamtejsi Maorysi czcili pamięć Mutu, który podobnie jak inkaski ojciec założyciel, Kon-Tiki-Wirakocza, czyli Morska Piana, nie miał jednego palca. Zarówno Mutu, jak i Kon-Tiki-Wirakocza ocalili ze strasznego potopu – to jeszcze jeden wspólny szczegół, który podkreśla lemuryjską tożsamość Mutunui z Wyspy Wielkanocnej.

Po wielu latach pomyślnego panowania postarzały Hotu Matua wspiął się samotnie na szczyt Rano Kao, wulkanu w południowo-zachodnim zakątku Te-pito-te-henua. Jego śmierć tak opisał uczoney z uniwersytetu w Oksfordzie i profesor, założyciel nowozelandzkiego Uniwersytetu Canterbury w Christchurch, John Macmillan Brown: „Patrząc na zachód, wezwał duchy, które unosiły się nad jego dawną zatopioną ojczyzną, aby zaczekały na pianie koguta, a kiedy kogut zapał, wyzionał ducha. Zgodnie z tą tradycją jasno wyraziliśmy

świadomość tego, że zachodnia część Wyspy Wielkanocnej zatonała i że zagłada [Lemurii?] była powodem wędrówki imigrantów, którzy osiedli na jej nieurodzajnej ziemi”.

Wydaje się, że opowieść Hotu Matua jest jednym z najbardziej oczywistych źródeł wiedzy o Lemurii. Hotu Matua był wysokiej rangi członkiem klanu Miru, znanym jako Milu na Hawajach i na Tahiti, którego ojciec-eponim „mieszkał pod powierzchnią morza i rządził obszarami, gdzie miały przebywać dusze zmarłych”, według polinezyjskiego mitografa Johannes C. Andersena, „a to królestwo Milu miało się znajdować gdzieś na zachodzie”. Lemurię zapamiętano jako Hiva w całej Polinezji, gdzie również znane były opowieści o rudowłosych, jasnoskórych uciekinierach z zatopionego lądu. Milu, Hiva i Mu były przedstawiane jako miejsca niezwykle gorące, co wskazuje, że pacyficzna Praojczyzna leżała w pobliżu równika.

Niektóre tradycje Wyspy Wielkanocnej mówią, że Hotu Matua przybył ze wschodu, z wyspy Sala-y-Gomez, chociażby dlatego, że była ona wcześniej znana jako Motu Motiro Hiva, czyli „wysepka w pobliżu Hiva”. Ale Płodny Ojciec i jego osadnicy nie potrzebowaliby czterech miesięcy, aby przebyć zaledwie 482 kilometry dzielące Sala-y-Gomez od Rapa Nui. Mit stwierdza z naciskiem, że w ostatnim dniu życia Hotu Matua spojrzął na zachód, w kierunku zatopionej Praojczyzny. Nazwał miejsce, w którym przybił do Rapa Nui, Anakena od miesiąca sierpnia; a lipiec i sierpień to optymalny sezon żeglugi z zachodniej Polinezji na Wyspę Wielkanocną. Nie oznacza to twierdzenia, że lemuryjskie terytoria w postaci wielu wysp lub archipelagów nie istniały na zachód od Rapa Nui. Sala-y-Gomez rzeczywiście mogła leżeć „w pobliżu Hiva” albo wśród jej wschodnich terenów. Ale Mu pierwotnie rozciągało się na większości Oceanu Spokojnego od Ameryki Południowej do Japonii. Hotu Matua pochodził z dalekich zachodnich prowincji tej niegdysь świetnej cywilizacji.

Jego ojczystym miastem na Hiva było Marae Renga, czyli „święte miejsce Rengai”. W tradycji polinezyjskiej, według mitologa Jana Knapperta, Renga lub Reinga było podmorskim królestwem zmarłych, którym rządził jego strażnik, bóg Limu, ze swojego zatopionego pałacu. Interesujące, że Marae Renga wywodzi się od słowa *Renga*, co znaczy „życie pozagrobowe”, tak jak nazwa rzymskiego święta Lemuralia – od lemurów, czyli dusz zmarłych. Te dające się porównać mity wyraźnie określają lemuryjskie pochodzenie Hotu Matua.

Dowody na to, że udało mu się przeszczepić kult słońca z Marae Renga do nowej ojczyzny, pojawiają się w kilku najważniejszych nazwach topograficznych Rapa Nui, takich jak określenia trzech wulkanów: Rana Roraku, Rano Aroi i Rana Kao. Najwcześniejsza znana nazwa Wyspy Wielkanocnej to Matakite-Ra-ni, czyli siedziba boga słońca. Sama Rapa Nui to wielki kraj słonecznego

bóstwa. Na Wyspie Wielkanocnej słowo *Raa* znaczyło jednocześnie „słońce” i „klan”, wskazując na rodzaj solarno-politycznego związku z królewskimi dynastiami z doliny Nilu. Ra występował w królewskich imionach wielu faraonów. Zwyczaj ten stosowała też większość królów Wyspy Wielkanocnej, a wśród nich Ta-Ra-tahi, Ra-ni, I-Ra Matakite-Ra-ni i Ra-pa-Re-na. I rzeczywiście, wyraźna analogia z bogiem słońca znad Nilu, Ra, jest godna uwagi, zwłaszcza w wyrazach oddzielonych łącznikami dla połączonych bóstw solarnych, takich jak egipski Atum-Ra czy Ra-Horahkty i Ra-no-aroi z Wyspy Wielkanocnej, Hauha-Ra lub Ra-Ra-iahopa. Egipska boginie Re-nenet i Re-npet można porównać z Ava-Re- -iupa oraz U-re-ti’oti’o z Rapa Nui. Innym czczonym tam solarnym bóstwem była Rangitea. Krótko mówiąc, obie religie, choć wyznawane na terenach odległych od siebie o tysiące kilometrów, wykazują wyraźne analogie.

Najwcześniejsze budowle i posągi z Rapa Nui są ściśle związane z wędrówką słońca po niebie, co świadczy, iż ich budowniczy byli zarazem astronomami dorównywującymi wiedzą architektom starożytnego Egiptu. Wiemy bowiem, że wiele ówczesnych budowli, takich jak kompleks świątynny w Karnaku, było wznoszonych według ważnych pozycji słońca. Na przykład *ahu* z Vinapu jest zorientowane według azymutów wschodzącego lub zachodzącego słońca w letnie i zimowe przesilenia oraz równonoc wiosenne i jesiennie. W rzeczywistości słońce było identyfikowane z Ra na całym Pacyfiku. W mitologii starożytnego Egiptu i w mitach wyspiarzy z Chatham występuje barka słoneczna, nazywana na Pacyfiku *Waka-Ra*. Na Wyspach Marshalla czczono wschód i zachód słońca, jako *Ra lik* i *Ra tok*, gdzie legendarni ojcowie założyciele z Fidżi mieli zbudować swoją pierwszą wioskę w pobliżu wybrzeża Ra, gdyż przybyli z kierunku zachodzącego słońca. Maorysi z Nowej Zelandii nazywali czerwone słońce Ra-ura, Manu ite Ra – to ich solarny ptak, a Wielkim Synem Słońca był Tama nui te Ra. Bóg słońca znany był jako Ra-Ra na Wyspach Cooka, natomiast na Tahiti słowo to oznaczało samo słońce. W popularnym polinezyjskim micie „Maui Łapie Słońce” bohater woła do swoich braci: „Zwiążmy Ra!”

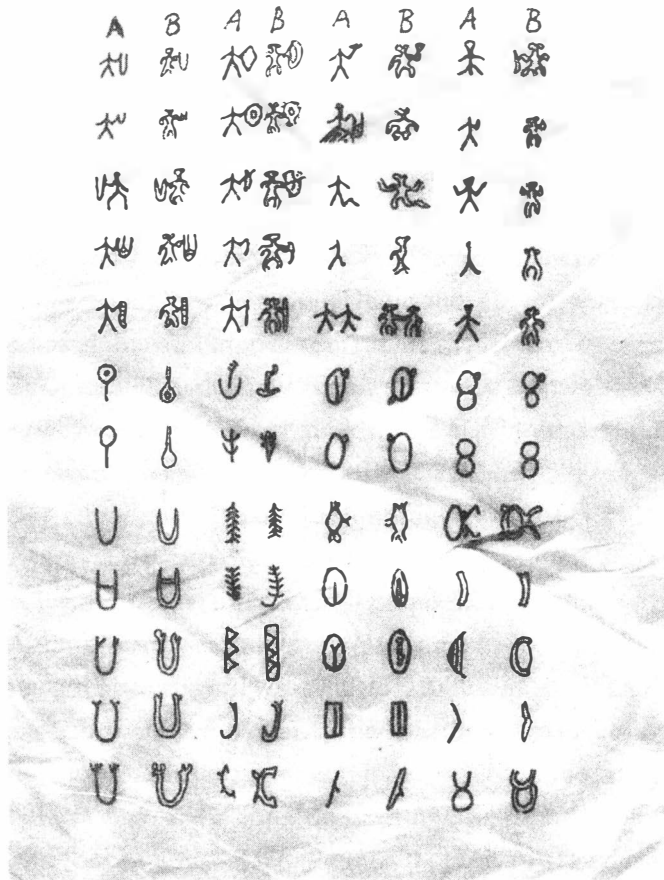
Podobnie jak analogie andyjskie, które skłoniły pewnych badaczy do tezy o południowoamerykańskich wpływach na wschodnim Pacyfiku, paralele ze starożytnym Egiptem sugerują kontakty państwa faraonów z Rapa Nui. Ale, tak jak w poprzednim przypadku, powierzchowne podobieństwa raczej wskazują, że oba daleko od siebie położone ośrodki uległy niezależnie od siebie tym samym wpływom kulturowym ze wspólnego zewnętrznego źródła. Taki wniosek powtarza się w jeszcze jednym ośrodku – starożytnych Indiach. Najwcześniejsza znana tam wysoko rozwinięta kultura określana jest jako Harappy lub Mohendzo Daro, która pojawiła się w żyznej dolinie Indusu około 5000 lat temu, mniej

więcej współcześnie z początkami cywilizacji w Mezopotamii oraz w dolinie Nilu.

Starożytni Hindusi byli doskonałymi mierniczymi, używającymi standardowego systemu miar i wag w budowie ludnych miast z wielkimi łaźniami publicznymi, „współczesną” kanalizacją i skomplikowanym planowaniem przestrzennym. Ich nadmorska metropolia, Lothal, była macierzystym portem towarowców, które obsługiwały wielką sieć szlaków handlowych na Oceanie Indyjskim i poza nim. Sumerowie wiedzieli o istnieniu tej odległej cywilizacji i nadali jej miano Meluhha. Być może ta nazwa była przynajmniej zbliżona do tej, którą żyjący w IV tysiącleciu p.n.e mieszkańcy subkontynentu indyjskiego określali dolinę Indusu. Do tej pory archeologowie zidentyfikowali 14 ośrodków miejskich, które nie były luźno ze sobą związanymi miastami-państwami, ale raczej stanowiły część jednej, politycznie zjednoczonej kultury.

Około 1700 roku p.n.e., cywilizacja doliny Indusu gwałtownie zniknęła pod kopytami koni bojowych, których dosiadali zdobywcy Ariowie pochodzący z północy. Na długo przed tym podbojem Mohendžo Daro stworzyło pismo. Zostało ono odkryte pod koniec XIX wieku, ale dotychczas nie udało się go odczytać. W 1932 roku węgierski lingwista, Guillaume de Hevesy, przeczytał referat przed członkami Academie des Inscriptions et Belles-Lettres w Paryżu, w którym stwierdził: „Istnieje pewien związek między pismem z doliny Indusu a systemem zapisu z Wyspy Wielkanocnej”. Znalazł 174 identyczne lub niemal identyczne znaki z ogólnej liczby 745 „oparte na 226 znakach i wariantach tych znaków z doliny Indusu oraz 519 znakach z Wyspy Wielkanocnej”. Jego badania porównawcze ujawniły, że „oba rodzaje pisma używają tego samego systemu dodatkowych elementów. I to najwidoczniej stanowi mocny, naoczny dowód na związek między tymi systemami pisma.

Rongo-rongo z Rapa Nui, tak jak pismo z doliny Indusu, jest sylabiczne, czyli niealfabetyczne, z dodatkiem wyobrażeń obrazkowych – ideogramów. Oba są również *boustrophedon*, czyli „jak wół orze”, co znaczy naprzemiennymi wierszami napisanymi w przeciwnych kierunkach. Wybitny niemiecki antropolog Herve Heine-Geldren zanotował: „Dwa sąsiadujące wiersze związane są znakami przedstawionymi do góry nogami, które to rozmieszczenie zdołałem znaleźć tylko na Wyspie Wielkanocnej i w Harappa. Podobieństwo między tymi dwoma rodzajami pisma pod względem ułożenia wierszy jest więc znacznie większe, niż przyjął to Hevesy”. Znaczna część kolegów de Hevesyego poparła rzecznika Towarzystwa Polinezyjskiego, H.M. Billimorie, kiedy oświadczył reprezentantom Sind Historical Society, że tak wiele analogii „nie mogło być dziełem przypadku”. Znany asyrolog Stephen H. Langdon potwierdził porównania de Hevesyego, oświadczając, iż są „naprawdę niezwykle”.



Porównanie glifów z Mohenżo Daro (kolumny A) z *rongo-rongo* z Wyspy Wielkanocnej (kolumny B), wykazujące ich niezaprzeczalne podobieństwo.

Obie te kultury niezależnie od siebie otrzymały pierwotne lemuryjskie pismo od pacyficznej Praojczyzny, gdzie napisano pierwsze słowo na świecie.

Czterdzieści lat później Bill Ballinger, który tak elokwentnie pisał o Nan Madol w latach 70. XX wieku, nadal mógł wyciągnąć wniosek, że „ta liczba identycznych znaków jest za duża, aby uznać ją za przypadek. Spójrzcie na porównanie znaków między tymi dwoma systemami pisma. Jeśli to ma być zwykły zbieg okoliczności, to jest nie do uwierzenia!”

Ale takie zbieżności okazały się wyjątkowo problematyczne. Pierwsza wysoka kultura w dolinie Indusu kwitła od początku III tysiąclecia p.n.e. do końca XVII wieku p.n.e. Archeolodzy uważają, że Hotu Matua dotarł do Rapa Nui w pierwszej połowie V wieku. Cywilizacja doliny Indusu nie istniała już od

ponad 2000 lat, zanim Polinezyjczyk pojawił się na Wyspie Wielkanocnej, a zatem hipoteza o cywilizatorach żeglujących z subkontynentu indyjskiego przez ogromny Ocean Spokojny do małego punktu na drugiej półkuli, nie wchodzi w grę. Podobnie wyspiarze z Rapa Nui nie przywieźli *rongo-rongo* do Indii około 450 roku, ponieważ tamtejsze starożytne pismo już nie istniało od ponad 20 wieków. Nie tylko 2100 lat dzieliło koniec Mohendžo Daro od osadnictwa na Wyspie Wielkanocnej. Odległość między obu ośrodkami cywilizacji wynosiła aż 20 917 kilometrów w linii prostej. Te ogromne rozbieżności są sprzeczne z niewątpliwym integralnym związkiem między *rongo-rongo* a pismem z doliny Indusu.

Szczególnie zabolala pewnych uczonych, którzy byli przekonani, że pierwsi ludzie nigdy nie oddalali się zbyt od swoich siedzib, sugestie o transoceanicznych kontaktach dwóch wyraźnie niepodobnych kultur. Wskazywało na to porównanie obu systemów pisma, tak od siebie oddalonych w czasie i przestrzeni. W latach 30. XX wieku, kiedy de Hevesy ogłosił swoje odkrycie, wielu, a może nawet większość jemu współczesnych uczonych, zgodziłoby się przynajmniej uznać, iż morskie kontakty między oddalonymi ludami były możliwe. Dzisiaj, całkowicie odmienny pogląd dominuje w amerykańskiej archeologii – tym bardziej że dysydenci są karani akademickim ostracyzmem, utratą stanowiska, a nawet zakazem wykonywania zawodu. (Na dowód patrz: Michael Cremonesi *The Forbidden Archaeologist* [Zakazany archeolog] lub doktor Gunnar Thompson *American Discovery: The Real Story* [Amerykańskie odkrycie: prawdziwa historia]). „Heretyk” jest tak długo oczerniany, aż zostanie potępiony przez resztę uczonych i laików.

Inicjatorem demaskatorskiego procesu przeciwko de Hevesyemu był związany z elitą naukową etnolog o międzynarodowej sławie, doktor Alfred Métraux, który nadal jest cytowany jako autorytet przez wielu uczonych zajmujących się Wyspą Wielkanocną i całą Polinezją. W 1938 roku Métraux oskarżył de Hevesyego o zmianę i podrobienie obu systemów pisma tak, żeby celowo sfałszować wyniki. Métraux oświadczył, że tych pism nie łączy żadne znaczące podobieństwo. Co więcej, każde pozorne analogie to jedynie zbieg okoliczności i równie dobrze mogłyby powstać między jakimikolwiek dwoma systemami zapisu.

Według niego nie ma związku między *rongo-rongo* a pismem z doliny Indusu innego

...niż ten, który musi zaistnieć automatycznie między dwoma systemami piktograficznymi, kiedykolwiek i gdziekolwiek się pojawiają. Tak się stało, że porównałem przykłady wybrane przez pana de Hevesyego [sic!] z oryginalnymi

fotografiami pieczęci z Mohendžo Daro, przygotowanymi przez doktora G.H. Huntera. Ku mojemu zaskoczeniu, panu de Heveysemu brakowało dokładności niezbędnej do takiej pracy. Pozwolił sobie na godne pożałowania, zbyt swobodne poczynania z tymi znakami. Kiedy przywróci się im pierwotne proporcje lub zarysy, identyczne znaki z jego listy nie wykazują żadnego podobieństwa. Większość znaków poddano podobnym poprawkom. Jeżeli odrzucimy te niedokładności, podobieństwa między pismem Mohendžo Daro i „pismem” z Wyspy Wielkanocnej stają się wyjątkowo rzadkie i zostają zredukowane do znaków geometrycznych.

Métraux zakończył artykuł konkluzją, że twierdzenie de Heveysyego było tak śmieszne i absurdatne, że nikt, kto uważa się za profesjonalistę w swojej dziedzinie, nie mógłby wziąć go poważnie i że dalszą dyskusją o takich niemożliwych porównaniach powinno się uważać za błędne wysiłki niewykwalifikowanych amatorów.

W XXI wieku takie zawołowane groźby wystarczą, żeby przestraszyć każdego członka naukowej społeczności i zniechęcić go do popierania heretyckich wniosków. Ale w latach 30. XX wieku nie każdego onieśmieliło oficjalne potępienie naukowych karierowiczów. Kilku wybitnych autorytetów z dziedziny antropologii stanęło w obronie de Heveysyego. Pierwszym wśród nich był doktor G.R. Hunter, cytowany przez Métraux. W oficjalnym liście do de Heveysyego napisał:

Z wielkim zaskoczeniem, żeby nie powiedzieć z niesmakiem, przeczytałem krytyczne uwagi pana Métraux na pański temat w lutowo-kwietniowym numerze „Anthropos” z 1938 roku. Oskarża tam pana, *iner alia*, o to, że pan „poprawił” pewne znaki z doliny Indusu tak, aby pasowały do pańskiej hipotezy. Ponieważ twierdzi, że większość tych „poprawionych” znaków miała zostać zaczerpnięta z mojej pracy na temat pisma z doliny Indusu, postanowiłem ponownie, bardzo uważnie przejrzeć listę odtworzonych przez pana znaków. Przekonałem się, że w każdym przypadku odtworzył je pan wiernie, z niezwykłą dokładnością. Obawiam się, że pan Métraux nawet nie raczył przeczytać mojej pracy, z której pan skopiował te znaki, patrz mój artykuł w „Journal of the Royal Asiatic Society” (Magazyn Królewskiego Towarzystwa Azjatyckiego), kwiecień 1932, str. 494–503, i to pomimo faktu, że sam odwołuje się do niego w przypisie 4, str. 222 swojego artykułu, o którym mowa!

Według Heinego-Geldrena:

nieuzasadnione twierdzenie [Métraux], że Heveysy sfalszował znaki jest oparte na jego własnym zaniechaniu, nie przeczytał on bowiem źródeł z należą

dokładnością. Muszę przyznać, że to najbardziej zuchwałe zniesławienie naukowca, z jakim się zetknąłem. Nie mam jednak najmniejszych wątpliwości, że doktor Métraux, po staranniejszym zapoznaniu się ze źródłami, przyzna, iż jego oskarżenia były niesprawiedliwe i że z zadowoleniem wygłosi publiczne przeprosiny, do których pan de Hevesy ma pełne prawo.

Lecz ufność Heinego-Geldrena w fundamentalną uczciwość jego sceptycznego kolegi po fachu była błędna. Métraux nigdy nie raczył zastanowić się nad gorszącą niedokładnością swoich twierdzeń, ponieważ miały one tylko zdyskredytować de Hevesyego i sprawić, że twierdzenie o oficjalnych poszukiwaniach transoceanicznych kontaktów w starożytności zostanie uznane za niedopuszczalne. Tutaj doktor Métraux odniósł ogromny sukces. De Hevesy jest dzisiaj przelotnie wspomniany w kręgach archeologów jako radykalny ekscentryk, którego nieodpowiedzialne porównanie pisma z Wyspy Wielkanocnej i z Mohendźo Daro zostało zdemaskowane przed II wojną światową. Chociaż doktor Métraux niczego nie udowodnił, a sam okazał się niechlujnym badaczem, którego krytyczne wypowiedzi i artykuły miały głęboko zakorzenione wady, jego fałszywe oskarżenia przejęli uczeni z własnej woli zamknięci w wieży z kości słoniowej, żeby bronić podręcznikowej archeologii przeciw dyfuzjonistycznym intruzom. To oni raz za razem bronili błędnych zarzutów wobec też de Hevesyego, aż z czasem stały się one scholastycznym dogmatem. Niestety, to tylko jeden przykład sabotowania ważnych informacji, które potencjalnie mogą ułatwić nam zrozumienie istotnej i intrygującej tajemnicy. Badania szły jednak w niepoprawnym politycznie kierunku, zatrzęsnięto więc drzwi prowadzące do przeszłości. Oświadczone też, że nie wchodzą one w zakres badań uczonych po studiach uniwersyteckich.

Wiemy już, że porównanie bezdyskusyjnego związku *rongo-rongo* z pismem z doliny Indusu wprawiło i nadal wprawia badaczy w konsternację. Lecz jeszcze większym wyzwaniem jest jego porównanie z trzecim starożytnym językiem pisanym, tym razem z Ameryki Środkowej, w odległości 5229 kilometrów od Rapa Nui. Dwa lata przedtem, zanim de Hevesy odkrył powiązania między Mohendźo Daro a Wyspą Wielkanocną, inny lingwista, Erich von Hornbostel, wysunął równie przekonujący argument za powiązaniem piktogramów Indian Cuna w Panamie z *rongo-rongo*. Chociaż panamska wersja ma mniej wspólnych cech z *rongo-rongo* niż jej odpowiednik z doliny Indusu, podobieństwo do języka pisanego Wyspy Wielkanocnej jest nieuniknione. Tak jak w *rongo-rongo*, piktogramy plemienia Cuna są naprzemianległe, sylabiczne i utrwalone na drewnianych tabliczkach, znanych na Rapa Nui jako *kohau*.

Von Hornbostel podkreślił:

Dokładnie tak jak w przypadku pisma z Wyspy Wielkanocnej, [Indianie] Cuna też muszą koniecznie znać tekst, aby móc go „przeczytać”, to znaczy, wyrecytować. Tak jak wśród [Indian] Cuna, na Wyspie Wielkanocnej teksty pisane również recytowane są na pogrzebach. Wśród Cuna teksty, o których mowa, zawierały opis drogi, jaką dusza zmarłego musi pójść po śmierci. Kapłan recytuje tekst na podstawie piktogramów, podczas gdy ciało zawozi się łódką do grobu. Korzystam tu ze sposobności, aby zwrócić uwagę na niezwykłą i być może dość znaczącą zgodność obrzędów pogrzebowych w obu miejscach; a mianowicie użycie pałeczek z piórami. „Przez sześć dni po jego (Ngaary) śmierci”, mówi pani Routledge we wspomnianym fragmencie, „wszyscy pracowali nad wykonaniem pałeczek z piórami na czubku (heu-heu) i wetknięto je wokół tego miejsca”. Wśród Cuna cztery pałeczki z piórami kładziono wraz ze zwłokami do grobu, a były symbolem siedziby czterech duchów opiekuńczych, które prowadzą dusze po drodze śmierci.

Na samej Wyspie Wielkanocnej pałeczki z piórami wtykano w ziemię, żeby wyznaczyć miejsce, gdzie znawcy *rongo-rongo* wykonywali coroczne recytacje z tabliczek *kohau*.

Heine-Geldren, który publicznie bronił de Hevesyego, podobnie poparł odkrycie von Hornbostela, ale dodał, że „kształt pisma z Wyspy Wielkanocnej osiągnął znacznie wyższy stopień rozwoju niż pismo [Indian] Cuna albo – i to prawdopodobnie jest właściwa odpowiedź – pismo Cuna w większym stopniu zbarbaryzowało się i osunęło na niższy poziom niż pismo mieszkańców Wyspy Wielkanocnej, chociaż mogło lepiej utrzymać pierwotny kształt wielu znaków”. Wagę wniosku Heinego-Geldrena potwierdził Nele, przedstawiciel plemienia Cuna, który powiedział archeologom w 1928 roku, że „ostatnim, kto wiedział, jak odpowiednio rysować piktogramy, był Memekina”, legendarny skryba, który przypuszczalnie zmarł na długo przed tym spotkaniem.

Związki Wyspy Wielkanocnej z zaginionym źródłem cywilizacji na Pacyfiku sięgały dalej niż jakiegokolwiek tamtejsze paralele, łącząc ją z Praojczyzną, z której wywodzą się zarówno *rongo-rongo*, jak i panamskie piktogramy. Topograficzne nazwy Cuna i imiona głównych bóstw wyraźnie świadczą o ich lemuryjskim pochodzeniu. Najbardziej znaczącym i oczywistym jest wśród nich samo Mu. Podobnie jak Churchward przypisywał kobiece cechy tej zaginionej cywilizacji, Mu z kosmologii Indian Cuna była panamską boginią-matką. Stworzenie przez Mu Olokukurtlisop słońca, z którym się połączyła, aby urodzić gwiazdy i planety, przypomina lemuryjski kult solarny. Inne wcielenie bogini-matki Indian Cuna to Mu Alesop, Mu Olokundil, Mu Olotagisop, Mu Olotakiki i Mu Sobia. *Mu-olok-wit-uppu* w języku tego plemienia znaczy „wyspa”,

natomiast *mu-olo-tup-kana* – „wyspy na morzu”. Natomiast Mu-lat-uppu i Tup-sol-Mu-llu to wyspy położone niedaleko od wybrzeża Pacyfiku. Szczególne znaczenie ma Wielki Potop, który zalał ląd na zachodzie, po drugiej stronie morza. Ocaleli czarownicy poszukali schronienia w Panamie bardzo dawno temu. Potop z mitologii Indian Cuna ma odpowiednią nazwę – *Mu-osis*.

Być może najbardziej lemuryjski ze wszystkich bóstw był Ca-Mu, dosłownie „on z Mu”, bohater Indian Arawaków z czasów potopu. Opisali go jako wysokiego, białoskórego, jasnowłosego i brodatego czarownika, który przybył na wybrzeża Panamy, wygnany ze swojego królestwa po drugiej stronie morza przez straszliwy kataklizm. Ca-Mu jest uważany za cywilizatora, od którego pochodzą wszyscy Arawakowie. Tak wiele wariantów o wspólnych cechach kojarzonych z zatopioną Praojczyzną wyraźnie określa zasadniczy lemuryjski wpływ na prehistoryczną Panamę, między innymi wprowadzenie pisma. Lecz podczas długotrwałej izolacji plemienia Cuna pismo to z czasem uległo degeneracji.

Na południu przesmyku panamskiego, w pobliżu granicy z Kolumbią odkryto wpływ *rongo-rongo* na plemię żyjące niedaleko Sierra de Perija. Jego członkowie malowali glify na patykach *tiot-tio*. J.M. Cruxent, dyrektor muzeum w Caracas, odkrył, że Indianie z plemienia Motilones używali tego pisma jeszcze w połowie XX wieku. Podczas XXIX Międzynarodowego Kongresu Amerykanistów w Nowym Jorku powiedział: „Wydaje się ciekawe, że sposób czytania *tiot-tio* i niektóre z jego znaków przypominają nam tabliczki z *rongo-rongo* z Wyspy Wielkanocnej”. To porównanie było nie mniej intrygujące dla Heinego-Geldrena: „Doktor Cruxent przedstawił to odkrycie dokonane w indiańskim plemieniu Motilones z zachodniej Wenezueli jako system piktogramów, który zarówno ogólnie, jak i w szczegółach tak bardzo przypomina piktogramy Indian Cuna ze wschodniej Panamy oraz pismo z Wyspy Wielkanocnej, że trudno wątpić w istnienie związku między nimi”.

Niewiele mniej zaskakujące niż paralele *rongo-rongo* i pisma z doliny Indusu okazały się związki z preinkaskim miastem Tiahuanaco, położonym wysoko w boliwijskich Andach, niedaleko południowego wybrzeża jeziora Titicaca. Ruiny te obejmują przestronne platformy, wielkie schody i kolosalne posągi. Choć konwencjonalni uczeni datują większość tych konstrukcji na lata 200–260, podano w wątpliwość ten sugerowany przez nich okres z powodu niezliczonych muszelek morskich ślimaków wyściełających *altiplano*, czyli płaskowyż wysokości 4333 metrów. Na samym końcu podwyższonego centralnego placu w Tiahuanaco stoi wywierający największe wrażenie zabytek, słynna Brama Słońca. Nosi ona współczesną nazwę, nadaną z powodu jej solarnej orientacji. Cerebralny łuk, wyciosany z jednego bloku szarego andezytu, długi na 5,4 metra monolit jest wysoki na 2,1 metra i waży około 11 ton. Żadna z podpór tego

łuku nie jest ozdobiona; każda ma w środku prostokątną niszę z wypukłymi obrzeżami, jak gdyby zamierzano osadzić w niej panel, może ze złota, aby odbijał odpowiednio skupione promienie słoneczne. W środku dolnej części bramy wykuto przejście wysokie na 13,5 metra, szerokie na 7,25 metra. Nad przejściem biegną cztery rzędy płaskorzeźb z wyobrażeniem ludzi-ptaków, z profilu, po obu stronach centralnej postaci wyrzeźbionej w reliefie wypukłym. Postać ta trzyma dwie laski lub berła, nosi pas z odciętych głów, a łzy spływają jej po policzkach.

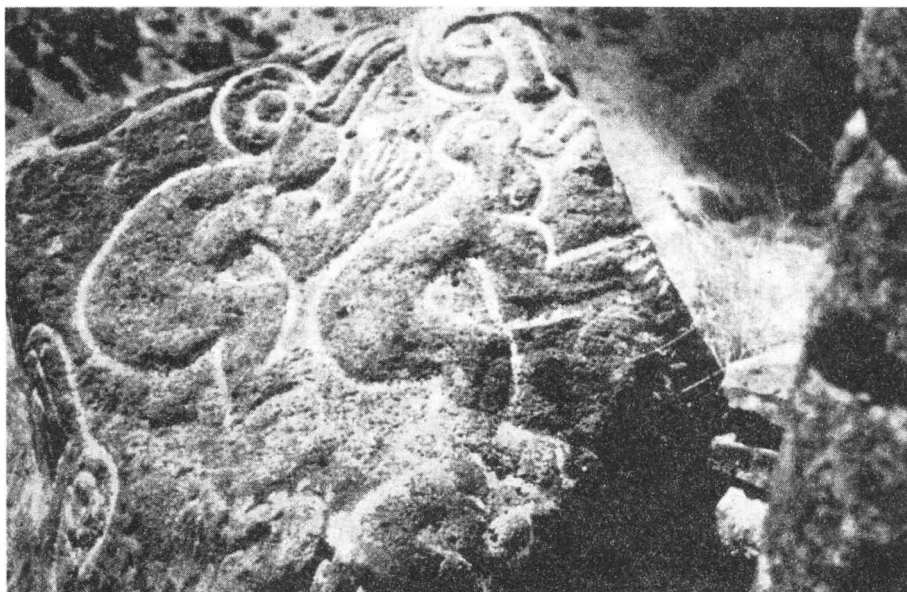
Podobne przedstawienia ludzi-ptaków występują na całej Wyspie Wielkanocnej, zarówno w piśmie, jak i skalnych płaskorzeźbach w Orongo, ceremonialnym ośrodku Rapa Nui. Co więcej, każdy z ludzi-ptaków zdobiących Bramę Słońca w Tiahuanaco trzyma pionowo kij w trójpalczastej ręce, której, tak samo jak u występujących w *rongo-rongo* ludzi-ptaków, brakuje jednego palca. Wśród gigantycznych „wkłęsłorytów” na równinie Nazca w Peru jest wyobrażenie małpy ze zwiniętym ogonem, a na jej prawej ręce brak jednego palca. Inkowie wierzyli, że cywilizację przyniósł w Andy Kon-Tiki-Wirakocza, czyli Morska Piana, nazywany tak od łodzi, dzięki której uratował się z Potopu. On też miał tylko trzy palce u lewej ręki. Na przeciwległym krańcu Oceanu Spokojnego Polinezyjczycy zdobili swoje bogato rzeźbione domy zgromadzeń trójpalczystym motywem, który, jak twierdzili, przywiózł pewien przodek z zatopionego pałacu ich głównego boga imieniem Tangaroa. Wyraźnie lemuryjskie imię tego pozbawionego dwóch palców przodka Maorysów brzmiało Mutu. Był on sławny w całej Polinezji jako prarodziec wszystkich wyspiarzy, przybyły z podwodnego królestwa Limu. Podobnie język pisany Wyspy Wielkanocnej, *rongo-rongo*, wywodził się od ich kulturowego herosa Rongo, nazwanego tak od jego symbolu, ogromnej muszli małża zwanego trytonem. Muszlę tę nazwano Ten, Który Dźwięczy. Rongo był lokalną – z Rapa Nui – wersją Lono, jasnowłosego, jasnoskórego cywilizatora z Hiva, jego podmorskiej ojczyzny czczonej przez Hawajczyków. Hawajczycy uwierzyli bowiem, że potomek Lono wrócił na ich wyspy w osobie kapitana Jamesa Cooka.

Dwugłowy znak znajduje się zarówno na boliwijskim monolicie, jak i w piśmie Wyspy Wielkanocnej. Motyw płaczącego oka uwieczniony na twarzy tak zwanego Boga Bramy, lecz łączony z innymi andyjskimi kulturami, można też spotkać wszędzie we wnętrzu kamiennych konstrukcji w Orongo, ale na żadnej innej wyspie Oceanu Spokojnego.

Centralna postać Bramy Słońca ma na piersi wygięty rybi ogon, przypominający pektorał w kształcie półksiężyca, który nosił Hotu Matua i wszyscy następní królowie Rapa Nui, powtórzony jako glif *rongo-rongo*. Chociaż w Oceanii nie znano wielkich kotów, ale na Wyspie Wielkanocnej można znaleźć

petroglify w kształcie pumy wśród naskalnych rysunków w Orongo. Dominujący tam w płaskorzeźbie Bóg Bramy nosi wymyślne nakrycie głowy z 19 podobnymi do promieni wystęпами, z których sześć kończy się głowami pum. Jego ramiona są wytatuowane podobiznami tych wielkich kotów; tworzą one też pas – z niego zwisa sześć stylizowanych bezuchych ludzkich głów z okrągłymi oczami, rozciętymi nosami i rozgałęziającymi się w zakrzywione brwi. Te same rysy są na maskach przedstawiających Makemake, boga słońca z Wyspy Wielkanocnej.

Heyerdahl podsumował to tak: „Wydaje się, że wszystkie ideogramy lub symboliczne cechy przedstawione razem na jednym z zabytków z Tiahuanaco pokrywają się z ideogramami lub symbolami w ceremonialnym ośrodku w Orongo, gdzie mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej wybierali dorocznego człowieka-ptaka i gdzie ustrojeni w pióra tangata *rongo-rongo*, z królem na czele, recytowali [treść świętych] tabliczek”. Symboliczne paralele łączące Bramę Słońca z Rapa Nui są poparte materialnymi dowodami. Posągi z Wyspy Wielkanocnej i Tiahuanaco wyglądają podobnie i oba mają symboliczne pasy. Zdaje się, że kult solarny Rapa Nui został skopiowany na boliwijskiej Bramie Słońca, a słowo *tiahuanaco* to hiszpańska zniekształcona wersja nazwy Tipi-Kala, czyli „kamień w środku” w miejscowym języku keczua. Sugeruje to, że Te-pito-te-Kura, „pępek ze światła”, święty kamień, Hotu Matua przywiózł z zatopionej Hiva na Wyspę Wielkanocną.



Petroglify z Wyspy Wielkanocnej przedstawiające człowieka-ptaka Makemake.

Prawie tak samo trudno zaakceptować tezę, że niepiśmienni Indianie z Andów zawieźli jakiś rodzaj pisma na wschodni Pacyfik, jak twierdzenie, iż wyspiarze z Rapa Nui nauczyli *ronogo-rongo* tubylców z Panamy i że ktoś opłynął pół świata z Mohendžo Daro do maleńkiej Wyspy Wielkanocnej. Związki pomiędzy tak bardzo oddalonymi, chociaż niewątpliwie powiązаныmi systemami pisma z doliny Indusu i *ronogo-rongo* wraz z petroglifami panamskich Indian Cuna lub wenezuelskiego plemienia Motilonos i podobnej symboliki na boliwijskiej Bramie Słońca znajdują wiarygodne wyjaśnienie w brakującej szóstej części tej łamigłówki. Ta część to kultura, od której wszyscy inni otrzymali wspólne pismo – dziedzictwo po poprzedniej cywilizacji, zatopionej Praończyńnie, z której Hotu Matua przywiózł bibliotekę na Wyspę Wielkanocną. Wniosek ten wspierają tradycje ustne na Rapa Nui i w Tiahuanaco, które podkreślają z naciskiem, że każde z nich otrzymało podstawy cywilizacji od cudzoziemców ocalałych z wielkiej katastrofy na morzu. Hiszpański kronikarz Cieza de Leon zapisał miejscową indiańską legendę mówiącą o tym, że „Tiahuanaco zostało zbudowane w jedną noc po Potopie przez nieznaną olbrzymów”.

Porównania między systemami pisma Mohendžo Daro i Wyspy Wielkanocnej dowodzą czegoś więcej niż tylko podobieństwa znaków. Tak jak w *ronogo-rongo* „cała kolekcja napisów pieczęci, ceramiki i miedzianych amuletów z doliny Indusu nie wykazuje rozwoju”, pisze Ballinger. „Znaki te wydają się całkowicie ukształtowane łącznie z akcentami i nie zmieniają się”. Innymi słowy mieszkańcy zarówno subkontynentu indyjskiego, jak i wysp wschodniego Pacyfiku byli niezależnymi odbiorcami wspólnego pisma z zewnętrznego źródła. Mówi się, że kroniki przywiezione z tego zewnętrznego miejsca na Wyspę Wielkanocną przez Hotu Matua były napisane na łatwo psującym się materiale, może na korze drzewnej”. Dodatkowo Ballinger wskazuje, że „te tabliczki są wykonane z drzewa o nazwie Podocarpus”. Nie rośnie ono na Wyspie Wielkanocnej, ponieważ może kwitnąć jedynie w tropikalnym klimacie, który nigdy nie występował na Rapa Nui. Lecz spotyka się je w Panamie, co może wyjaśnić pojawienie się *ronogo-rongo* wśród Indian Cuna. Drzewo to rośnie też na Molukkach, na Celebes i w Nowej Zelandii. Jeżeli mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej rzeczywiście otrzymywali materiał na tabliczki do pisania z tych odległych źródeł, świadczyłoby to o dalekosiężnym handlu morskim; musieli więc być bardziej podobni do dawnych Polinezyjczyków lub wcześniejszych Lemuryjczyków niż do niezbyt rozwiniętych tubylców, których spotkali współcześni europejscy przybysze.

Kiedyś było wiele setek, może tysięcy „mówiących tablic”, na których podobno zapisano całą historię, literaturę, mity wraz obrzędami religijnymi i naukę Rapa Nui oraz zatopionej Praończyńny Hiva. To tragiczne, ale pierwsi

chrześcijańscy misjonarze na tej wyspie zmusili tubylców do spalenia niemal wszystkich drewnianych tabliczek w płomieniach religijnej nietolerancji. Tylko 22 uniknęły zniszczenia i z tych żałosnych fragmentów lingwiści próbowali, w większości przypadków bez powodzenia, uzyskać tłumaczenie ostatnich zachowanych tekstów. Po napadzie peruwiańskiego handlarzy niewolników w 1862 roku, po którym na Wyspie Wielkanocnej zostało zaledwie kilkadziesiąt trędotwanych nieszczęśników, nikt nie umiał odczytać *rongo-rongo*.

Jeszcze bardziej tajemnicze niż glify *kohau* są te, które miały zostać przewiezione na drugą stronę Pacyfiku. W odległej przeszłości maoryski bohater Tamatea odkopał Te Ana-whakairo, „rzeźbioną jaskinię”, czyli podziemną świątynię, którą ozdobił rzezbami i malowidłami na South Island w Nowej Zelandii. W tym świętym miejscu miały być przechowywane *tuhituhi*, święte teksty spisane w nieznanym piśmie z jakiegoś odległego lądu – Irihii. Irihija to jedna z licznych nazw, jakie nadano Hiva, utraconej ojczyźnie przodków Polinezyjczyków. „Nie wiadomo, jakie było znaczenie tego pisma”, pisze S. Percy Smith, cytując *Wędrowki Tamatei* w swoim *Hawaiki: The Original Home of the Maori* (Hawaiki: Pierwotny dom Maorysów). „Ale było cenione we wspomnieniach dawnych Maorysów”. Maoryska tradycja opowiada o przybyciu i specjalnym przechowywaniu pism z tego samego źródła, o którym Hotu Matua powiedział, że otrzymał zapiski kohau dla Rapa Nui. Obie wersje, rozdzielone tysiącami kilometrów, mimo to wyraźnie wskazują na wspólne doświadczenie: przewóz ważnych tekstów – a więc i pisma – z zaginionej Lemurii.

Na mało znanej wyspie Oleai, oddalonej o około 12 872 kilometrów na północny zachód od Wyspy Wielkanocnej, 1367 kilometrów na północny zachód od Pohnpei w dystrykcie Yan Wysp Karolińskich tubylcy również przechowali inny rodzaj pisma. I, podobnie jak ich odlegli pacyficzni sąsiedzi z Rapa Nui, całkowicie zapomnieli o jego znaczeniu na długo przed początkiem XIX stulecia, kiedy ich wyspę po raz pierwszy odwiedzili europejscy żeglarze. I chociaż nie rozumieli tych glifów, czcili je jako dziedzictwo po „wczorajszych bogach”. Na początku XX wieku pismo Oleai było już w zasadzie martwe.

Wielki szkocki antropolog Lewis Spence osobiście wybrał się na tę wysepkę w 1914 roku i kiedy opublikował swoją książkę o Lemurii 18 lat później, zauważył, że „[t]ylko z pół tuzina mężczyzn na wyspie zna teraz to pismo, a także nieliczni na Faraulep, wysepce odległej o 160 kilometrów. Kiedyś jednak musiało być używane na dużym obszarze. Na pewno nie jest wytworem współczesnym, lecz liczy wiele wieków”.

W rzeczywistości pismo nigdy nie mogło służyć żadnemu celowi na takich małych wyspach, dlatego niewykluczone że to relikwiny ze znacznie większego obszaru kulturowego, dawno zaginione. To samo trzeba powiedzieć

o *rongo-rongo* z Wyspy Wielkanocnej, której pierwotni mieszkańcy – zaledwie 6000 osób – ścieśnieni na powierzchni około 103 kilometrów kwadratowych nie mogliby posługiwać się żadną formą zapisu. Jak to ujął Spence: „takie pismo nie jest potrzebne na izolowanej wyspie, którą można przebyć w kilka godzin. To pismo [*rongo-rongo*] oczywiście było przede wszystkim przeznaczone na potrzeby administracji, która musiała się porozumiewać na duże odległości, jak na przykład peruwiańscy Inkowie za pomocą *quipus* [kipu], czyli sznurków z supłami”.

Spence’a wyprzedził Brown, który zrobił aluzję do lemuryjskiego pochodzenia *rongo-rongo*:

Łatwo przejść piechotą z jednego wybrzeża Wyspy Wielkanocnej do każdego innego w jeden dzień. Król mógł sam przekazać przesłanie. Jeżeli natomiast wysłał posłańca, w ciągu kilku godzin niezbędnych do dotarcia nie zatarłby się w jego pamięci żaden szczegół słownego komunikatu. Dla każdego, kto zwiedził tę wysepkę, jasne jest, że nie istniała potrzeba ani wynalezienia, ani utrzymania pisma. Podstawowym celem każdej metody zapisu nie jest zachowywanie wspomnień o przeszłości, ale przekazywanie informacji, rozkazów lub rad jakiejś części organizmu politycznego zbyt odległej od centrum, aby możliwe były częste wizyty osobiste. Pismo kształtuje się lub jest wynajdywane, kiedy mieszkańcy jakiegoś terytorium lub archipelagu zostali zjednoczeni albo przez podbój, albo drogą dobrowolnej federacji. Pismo mogło nigdy nie pojawić się w historii człowieka tak długo, jak żył on w odizolowanych państewkach bez kontaktów handlowych lub wojen. Złożone z archipelagów państwo o dużej powierzchni potrzebowało środków komunikacji, które umożliwiłyby władzy centralnej kontaktowanie się z podwładnymi.

Takie „środki zapewniające komunikację na znaczne odległości”, jakie posiadali mieszkańcy Rapa Nui, nigdy by się nie przydały na ich dłuższej na 24 kilometry wyspie. Zostały przechowane jedynie na pamiątkę zatopionej cywilizacji, gdzie się nim posługiwano.

Kiedy członkowie Thilenius South Seas Expedition (Wyprawy Thilenius Morza Południowego) rozszerzyli zasięg badań nad pismem Oleai, aby włączyć do nich wysepkę Faraulep w 1908 roku, byli zaskoczeni, że ci nieliczni, pod innym względem zacofani tubylcy, zachowali też system liczbowy. Ku swojemu ogromnemu zdziwieniu, członkowie ekspedycji dowiedzieli się, że cyfrowy zasięg systemu wynosił od 100 000 do 60 000 000! Sami wyspiarze praktycznie nie interesowali się takimi niewyobrażalnymi liczbami, nigdy nie prowadząc żadnych rachunków, których nie można by policzyć na palcach rąk lub nóg. Dla nich było to coś niewiele więcej niż dziecinna zabawa lub ciekawostka z prehistorii.

Tylko nieliczni starcy nadal rozumieli ten system i kiedy umarli, nikt nie interesował się nim na tyle, by go zachować. Ballinger zauważył: „Te niezwykle wysokie liczby nie są do niczego potrzebne w codziennym życiu ludzi żyjących na bardzo małym, piaszczystym atolu. Do czego mogliby ich użyć?” Kiedy członkowie wyprawy zwrócili na te wysokie liczby uwagę świata zewnętrznego, cały system został udokumentowany przez amerykański Trust Territory Department of Education (Terytorialny Oddział Departamentu Edukacji), zanim ta nietypowa metoda liczenia zaginęła dla potomności z powodu obojętności późniejszych pokoleń tubylców.

Cyfry z Faraulep nie przypominają żadnych innych na świecie. A przecież nie powstały w kulturowej próżni. Stanowią oczywistą pozostałość dawno zaginionego systemu matematycznego, który mógł jedynie powstać przez dłuższy czas wśród sporej społeczności, myślącej na znacznie większą skalę niż kilkuset mieszkańców materialnie nierozwiniętej, mało znanej wysepki. Faraulep bez wątpienia był częścią większej całości, po której zagładzie pozostały astronomiczne liczby. Chociaż liczby te nie odpowiadają niczemu na małym atolu na zachodnim Pacyfiku, są proporcjonalne do jednej czwartej miliarda ton zmagnetyzowanego bazaltu, których użyto do ogromnego projektu budowlanego na innej z wysp Karolinskich w Nan Madol lub do ważących 100 000 ton megalitycznych platform i kolosalnych posągów. Przetrvanie takiego systemu liczbowego świadczy o wysoko rozwiniętej technice zaginionej Praojczyzny, która została zapamiętana na obszarze całego Pacyfiku przez miliony rdzennych mieszkańców jako Hiva, Marae Renga, Haiviki, Mu lub Lemuria.

Znaków z Oleai również nie ma z czym porównać, nawet z *rongo-rongo*. Mimo to dwie oznaczające Słońce cyfry z Oleai wymawia się *rah-aire*, podobnie jak Raa z Wyspy Wielkanocnej. Jedynym punktem porównawczym między obu systemami, co wydaje się znaczące, jest znak z Rapa Nui oznaczający Pępek Świata, czyli Te-pito-te-henua – tak nazwał Wyspę Wielkanocną Hotu Matua – oraz glif *moh-o* z Oleai – czyli „ojczyzna”, wyraźne echo Mu, zatopionej Praojczyzny. Znaki Te-pito-te-henua i moh-o są podobne: pierwszy to koło w środku większego koła z otworami w dole i na górze na dwie pionowe linie. Ostatni to wewnętrzne koło połączone na szczycie i na dole przez dwie pionowe linie z obwodem większego, zewnętrznego kręgu, który je otacza. Lemuryjskie pochodzenie obu znaków wydaje się jasne. Sugeruje to również, że na Mu używano kilku systemów pisma, może dlatego, że cywilizacja pacyficzna pierwotnie obejmowała znaczne terytorium zamieszkane przez różne ludy, obecnie zatopione.

Na Wyspie Wielkanocnej był jeszcze jeden, obecnie zaginiony, rodzaj pisma. Zapisywano w nim historię, roczniki i inne świeckie sprawy, w przeciwieństwie do mitów, przysłów i genealogii zachowanych dzięki *rongo-rongo*. Pismo nosiło

wiele mówiącą nazwę *tau*. Według Jamesa Churchwarda, krzyż *tau* – pionowa linia z poziomą na górze – „jest symbolem Mu. Symbolizuje on jednocześnie zmartwychwstanie i zanurzenie. Zmartwychwstanie, powrót do życia i wyniesienie ziemi ponad [powierzchnię] wód [oceanu]”. Churchward nic nie wiedział o zaginionym piśmie *tau*. Nie miał też pojęcia, że jego definicja *tau* natychmiast utożsami Rapa Nui z zatopioną cywilizacją Mu i odsłoni największą tajemnicę Wyspy Wielkanocnej.

3. Giganci mówią

*Dobrowolnie lub nie, przybysz musi zjednoczyć się myślą
z dawnymi robotnikami. Samo powietrze wibruje bowiem
chęcią działania i energią, która kiedyś tu była i której już nie ma.
Tutejszy mieszkaniec zawsze nasłuchuje, sam nie wiedząc czego.
Podświadomie czuje jednak, że jest w przedśionku czegoś większego,
co przekracza jego zrozumienie.*

Katherine Routledge

Wyspa Wielkanocna jest anomalią w Oceanii nie tylko z powodów niezwykłych znalezisk archeologicznych. Pod koniec XX wieku sejsmolodzy dowiedzieli się, że leży na przecięciu dwóch wielkich uskoków wzdłuż rowu tektonicznego przy Wzniesieniu Południowopacyficznym. Uskoki biegną tak, że tworzą krzyż, a Wyspa Wielkanocna znajduje się dokładnie w centralnym punkcie, gdzie pionowy uskok dotyka poziomego, tworząc konfigurację tau. Chociaż konwencjonalni badacze mogą zlekceważyć tę cechę geologiczną jako całkowicie przypadkową – gdy chodzi o podany przez Churchwarda symbol Mu – lecz dodatkowe porównania sugerują co innego. Na przykład dokonany przez Hotu Matua wybór nazwy dla Wyspy Wielkanocnej – Te-pito-te-henua, Pępek Świata, jest niezwykle trafny ze względu na jej lokalizację w punkcie przecięcia dwóch uskoków. Ale wydaje się niewyobrażalne, że on lub ktośkolwiek inny tak dawno temu mógł wiedzieć o geologicznych fundamentach Rapa Nui – chyba że ta osoba dysponowała wtedy niezwykle zaawansowaną techniką, co trudno nam przyznać na podstawie dotychczasowej wiedzy o prehistorii. Ale dowody, że taka zaginiona nauka kiedyś istniała, stoją w dużej liczbie na całej Wyspie Wielkanocnej w postaci setek słynnych kamiennych kolosów.

Konwencjonalni naukowcy uważają, iż budowę i znaczenie posągów z Wyspy Wielkanocnej wyjaśniono w ramach kultury polinezyjskiej, w teoriach uczonych należących do głównego nurtu archeologii i niezależnych archeologów, jak Thor Heyerdahl. Kiedy jednak zabierają się do zdemitologizowania *moai*, padają pod ciężarem podstawowych danych.

Zidentyfikowano prawie 1000 takich posągów i znajduje się ich coraz więcej, ponieważ wiele jest całkowicie pograżonych w ziemi. Archeolodzy uważają, że



Posągowa głowa, czyli *moai*, z Wyspy Wielkanocnej (Bishop Museum, Oahu).

prehistoryczna ludność Rapa Nui liczyła około 6000 osób, co oznacza, że jeden *moai* przypada na sześciu wyspiarzy, gdyby wszystkie te gigantyczne posągi zostały wzniesione za życia jednego pokolenia. Jednorodny wygląd sugeruje, że nie wyrzeźbiono ich w ciągu wielu stuleci.

Przeciętny *moai* waży 14 ton, ale znacznie różnią się one od siebie wysokością, od mierzącego 90 centymetrów karła do 22,6-metrowego giganta, który waży 98 ton. Jeden ponad 22-metrowy kolos nadal leży nieukończony w kamieniołomie w kraterze wulkanu Rano Raraku. Gdyby go skończono, szacuje się, że ważyłby 200 ton. Niektóre, choć nie wszystkie, posągi mają oryginalnie inkrustowane koralami oczy, a kilka ich par współcześnie odrestaurowano. Na głowach noszą dziwne nakrycia zwane *pukao*, wykonane z wulkanicznego tufu, który można było znaleźć jedynie na zewnętrznym zboczu Punapau. To właśnie tutaj wydobywano tę skałę i transportowano na całe terytorium Wyspy Wielkanocnej do wyrobu „kapeluszy” o wymiarach od 55 centymetrów szerokości i 1,8 metrów wysokości do 165 centymetrów szerokości i 2,4 metra wysokości, z wybrzuszeniem na szczycie, wysokim od 15 centymetrów do 60 centymetrów. Czerwone nakrycie głowy ładnie kontrastowało z ciemnoszarymi ciałami posągów z granitopodobnego andezytu, skorii (żużlu wulkanicznego) lub bazaltu.

Chociaż tylko egzemplarze noszące *pukao* stały na platformach, wszystkie posągi kończą się na biodrach poniżej wyraźnie zaznaczonego pępka, który jeszcze bardziej uwydatniają ręce figury. Okalają go z obu stron, jakby podkreślały: „To jest Te-pito-te-henua, Pępek Świata”. Jedne *moai* są ozdobione abstrakcyjnymi rysunkami – kołami, koncentrycznymi konfiguracjami i półksiężycami (może znakami astronomicznymi lub solarnymi), natomiast rysunki na innych są łatwiejsze do rozpoznania, jak podobizna trójmasztowego statku, która świadczy o utraconej sztuce żeglowania.

Część kamiennych figur przedstawiono w *hami*, ceremonialnych przepaskach biodrowych, i z antropomorficznymi ptasimi znakami na plecach i barkach. Znaki te przywodzą na myśl pływaków, którzy rywalizowali między sobą każdej wiosny, aby zabrać jako pierwsi czarne ptasie jaja z przybrzeżnej wyspy Motunui w rytualnym wyścigu ku czci Makemake, świętego człowieka-ptaka. Zwycięzca golił głowę, potem malował ją na czerwono, znów kojarząc się z *moai* noszącym *pukao* z tufu. Routledge przytacza pewien rysunek, dzieło rdzennego mieszkańca Wyspy Wielkanocnej, który przedstawia *poki-manu*, czyli „dziecko-ptaka”, uczestnika kultu Makemake niosącego pas z kół. Na plecach miał znaki wyglądające jak serca – podobne ozdoby są na starożytnych gigantycznych statuach. Routledge napisała, że „podano powody, które pozwalają wysunąć przypuszczenie, że wyobrażenia na Raraku mogły być pomnikami ludzi-ptaków”.

Pomalowana łysa głowa zwycięzcy w wyścigu pływackim była symbolicznym odniesieniem się do długouchych Hanau-eepe, potomków Hotu Matua i jego jasnoskórych, rudowłosych osadników, którzy przybyli na Rapa Nui po zatonięciu ojczyzny. Podczas pierwszej profesjonalnej ekspedycji na Wyspę Wielkanocną, przedsięwziętej przez brytyjską archeolog Katherine Routledge w 1915 roku, pewien tubylec opowiedział jej o starożytnych długouchych „ludziach, którzy przybyli z bardzo daleka na statkach. Zobaczyli, że [przybysze] mieli różowe policzki i uznano, że są bogami. Mówi się, że ostatni prawdziwy *ariki*, czyli wódz, miał być całkiem biały. „*Biały jak ja?*”, zapytałam niewinnie. „*Ty! Ty jesteś czerwona*”, odparli; chodziło im o kolor policzków Europejczyków”. Brown przyznał, że czerwony „to określenie powszechnie stosowane przez wyspiarzy z Rapa Nui w odniesieniu do Europejczyków. A *urūkeku* często tłumaczy się jako: rudowłosey”. Dalej ten sam badacz miał dostrzec coś więcej niż polinezyjskie fizjonomie w górujących nad okolicą *moai*: „a jeśli delikatne, owalne twarze, duże oczy, krótka górna warga i cienkie, często wygięte w łuk wargi są wskazówkami co do rasy, wskazują one na rasę kaukaską”.

Tożsamość rasowa Hotu Matua, jego rodziny i towarzyszy była niepokojącym dogmatem od historycznej Niedzieli Wielkanocnej w 1771 roku, kiedy kapitan Rogeveen powitał na pokładzie jakiegoś tubylca, który był „całkowicie białym mężczyzną”. Archeolodzy nadal nie umieją wyjaśnić niezaprzeczalnej obecności ludu rasy kaukaskiej na Pacyfiku w czasach prehistorycznych. Kiedy rozpoczęto testy genetyczne w latach 90. XX wieku, otrzymano nieoczekiwane rezultaty. Wykazały one obecność genów Basków wśród mieszanej rasowo ludności Rapa Nui. Baskowie są Indoeuropejczykami, ale wielu archeologów uważa ich raczej za potomków w prostej linii ludzi z epoki kamiennej, którzy zamieszkiwali kontynent europejski i Wyspy Brytyjskie od 40 000 do 3000 roku p.n.e. To spośród nich wywodzili się wielcy artyści z jaskini Lascaux i, później, budowniczości licznych megalitów w Karnaku. Wydaje się również, że byli oni spokrewnieni z podobnymi ludami w północnych Chinach, gdzie wykopano naturalnie z mumifikowane szczątki niemongoloidalnych mieszkańców tych terenów, i z należącymi do rasy paleokaukaskiej Ajnami z Japonii. To właśnie tam, o dziwo, można znaleźć największe fizyczne podobieństwo do *moai*, a nie gdzie indziej w Polineezji. Chociaż Wyspa Wielkanocna leży w odległości 13 274 kilometrów od Japonii, mieszkańcy północno-zachodnich wybrzeży Hokkaido z wysokimi czołami i cienkimi wargami najbardziej przypominają typ fizyczny przedstawiony w wielkich posągach z Rapa Nui. Ci nietypowi Japończycy są bezpośrednimi potomkami Ajnów, ale z niewyjaśnioną domieszką rasową. Mogą wywodzić się od tego samego ludu, który zasiedlił Wyspę Wielkanocną i Hokkaido. Jeśli tak, niewykluczone iż są to ostatni z żyjących Lemuryjczyków.

Pewna hipoteza głosi, że przynajmniej jednym z zadań olbrzymich monolitów było upamiętnienie tego zaginionego ludu. Jak wskazuje Brown, „nie znaleziono żadnej zadowalającej etymologii dla nazwy tych posągów; być może wschodniopolinezyjskie słowa *moa*, czyli: święty, i wspólny polinezyjski rdzeń: *i*, dla oznaczenia wyrazu: przodkowie, podstawa słowa *ivi*, może wyjaśnić ich przeznaczenie: święte dla przodków. Jeśli tak, to *moai* jest określeniem tych kamiennych olbrzymów przez Polinezyjczyków, którzy przybyli wtedy, gdy należący do rasy kaukaskiej długousi zaczęli budować cywilizację na Rapa Nui. Chociaż w platformach, na których wzniesiono posągi, znaleziono kości wielu *ariki*, nie oznacza to, że *ahu* były wyłącznie królewskimi ossuariami.

Prawdopodobnie z czasem *moai* służyły różnym celom i w różnych okolicznościach kulturowych, odmiennych od pierwotnego celu, wyznaczonego przez Hotu Matua. A stało się tak z powodu upadku Hanau-eepe i przejęcia władzy przez Polinezyjczyków.

Większość *moai* jest zakopana głęboko w ziemi, lecz niektóre postawiono na *ahu*, często wzniesionych z kunsztownie dopasowanych kamieni. *Ahu* prowadzą z ładu na wybrzeże. Około 260 tych platform okala linię brzegową Wyspy Wielkanocnej, jako symbol starożytnego kultu słońca, precyzyjnie zorientowany na różne pozycje gwiazdy dziennej. *Ahu Akivi*, z siedmioma *moai* przedstawiającymi Hotu Matua i jego sześciu pierwszych kolonistów, jest zorientowana na zachód słońca podczas wiosennej równonocy. Tylko te posągi patrzą na morze, w kierunku zatopionej Praojczyzny. Wszystkie inne odwrócone są plecami do oceanu, z którego przybyli ich twórcy. Oczywiście lemuryjskie implikacje znajdują potwierdzenie w hawajskiej tradycji ustnej, która opowiada, że Ka-Mu-honua miał syna imieniem *Ahu*. Na funkcję platform z Wyspy Wielkanocnej jako grobowców wskazuje zamordowanie *Ahu* przez starszego brata, a określenie Ku-Mu-honua jako „pierwszego człowieka” wyraźnie odnosi się do początków osadnictwa ludzi na Mu. W takim razie termin *ahu* prawdopodobnie miał upamiętnić jednego z wczesnych Lemuryjczyków, o którym Hawajczycy nadal pamiętali.

Wiele platform z Rapa Nui jest dłuższe niż 66,6 metra, wszystkie są zbudowane z masywnych kamiennych bloków, ociosanych i ukształtowanych tak perfekcyjnie, że nie można by wsunąć między nie noża. Nie wykazują śladów odprysków lub jakichkolwiek błędów, co znaczy, że zostały starannie wykonane, zmierzone i odpowiednio ustawione według precyzyjnego planu, zanim wykorzystano je do budowy. Zorientowanie tych bloków na dokładne pozycje słońca o różnych porach roku dowodzi, że ich prehistoryczni projektanci i architekci byli zarazem znakomitymi astronomami.

Ahu kończą się dwoma lub trzema stopniami, na których umieszczano *moai* podczas transportu. Ten proces nadal nie daje spokoju archeologom. Niektórzy

uczni uważają, że ich teorie wyjaśniają transport od 14- do 200-tonowych posągów z kamieniołomu oddalonego o 24 kilometry. Ale żaden badacz nie zdołał wykazać, jak niezgrabne posągi zostały wzniesione na szczyt platform i ani *ahu*, ani *moai* nie popękały i nawet się nie wyszczerbiły. Nikt też nie potrafił zdemontować, jak nakrycia głowy z czerwonego tufu zostały „położone z pomocą jakiegoś przemysłowego urządzenia na głowy figur wysokich od 6,6 do 10 metrów”, według T.A. Hojce’a w czasopiśmie „Ancient American” (Starożytny Amerykanin).

Brown zastanawiał się:

Jak oni zdołali wciągnąć te kruche posągi po bardzo nierównej powierzchni, usianej kanciastymi kamieniami na odległość 19 lub 24 kilometrów, bez wypadku opuścić je z „ław” na zbocze wzgórza? I tutaj, przez najbardziej kamienną, najbardziej nierówną wysepkę na świecie, tuziny tych posągów zostały przeciągnięte bez niefortunnego wypadku, nawet bez draśnięcia. Wyobraźcie sobie posągi z materiału, który wydaje się nie twardszy niż porządnie ściśnięta mieszanka kitu i kamyków, ciągnięte nawet po naszych utwardzonych drogach. Ile z nich by pozostało, zanim dotarłyby do miejsca przeznaczenia?

Ponad 80 lat po zadaniu tych pytań przez Browna, archeolodzy nadal nie potrafili udzielić na nie zadowalającej odpowiedzi, ponieważ wciąż widzą Wyspę Wielkanocną wyłącznie w granicach polinezyjskiej kultury materialnej. Nie chcą wziąć pod uwagę bardziej oczywistej prawdy, choćby budziła w nich sprzeciw: że prehistoryczni mieszkańcy Rapa Nui posiadali technikę znacznie bardziej rozwiniętą od wszystkiego, co znali Polinezyjczycy, i być może przewyższającą naszą własną, w każdym razie w niektórych dziedzinach. Zaledwie wzmianka o tej zaginionej wiedzy pojawia się w miejscowej legendzie, która opowiada, jak zmuszono ogromne posągi, aby kroczyły do wyznaczonych im miejsc z pomocą *mana*, nadprzyrodzonej lub psychicznej siły, wyczarowanej przez kapłanów Hanau-eepe. Inna opowieść opisuje parę czarowników, którzy w odległej przeszłości przylecieli ze swojej dalekiej ojczyzny, aby nauczyć pewną staruszkę z Wyspy Wielkanocnej tajemnicy farbowania tkanin. Te historie pod pewnymi względami przypominają wersje o ojcach założycielach opowiadane po drugiej stronie Oceanu Spokojnego, na Pohnpei, do wyjaśnienia konstrukcji z potężnych kamieni Nan Madol, które dwaj czarownicy z dalekiego kraju mieli przetransportować w powietrzu na właściwe miejsce. Porównanie tych szeroko rozpowszechnionych mitów wskazuje, że używano wysoko rozwiniętej techniki do realizacji ambitnych projektów robót publicznych na obu wyspach.

Chociaż daty budowy i zamieszkania Nan Madol są niepewne, większość archeologów wierzy, że prehistoryczna chronologia dla Wyspy Wielkanocnej

została już ustalona. Wykazuje ona, że najwcześniejsza data – uzyskana za pomocą metody węglowej – dla ludzkiego osadnictwa na Rapa Nui to mniej więcej 450 rok, po którym kamienne posągi ustawiono na platformach *ahu* w trzech najważniejszych fazach. *Rongo-rongo* natomiast zostało przeniesione na drewniane tabliczki na ponad 1300 następnym lat, aż zamarło na krótko przed przybyciem pierwszych Europejczyków w 1772 roku. Choć te ramy czasowe wydają się wiarygodne, przeczą legendzie o zasiedleniu Rapa Nui, która opowiada, jak jej ojciec założyciel Hotu Matua, jego rodzina i podwładni zostali zmuszeni do opuszczenia ojczyzny, ponieważ zniszczył ją deszcz meteorytów i potop. Lecz zapis geologiczny nie wykazuje śladów żadnej naturalnej katastrofy na Pacyfiku lub gdziekolwiek indziej na Ziemi w V wieku, w każdym razie na pewno nie pozaziemskiego bombardowania meteorytami. Nasze badania śladów historii Mu prowadzą do okresu przed końcem ostatniej epoki lodowcowej ponad 10 000 lat temu.

A gdybyśmy spróbowali połączyć chronologię oficjalnej archeologii z mitem z Wyspy Wielkanocnej i opowieścią o Lemurii? Czy pozostałości tej zaginionej cywilizacji mogły przetrwać aż do 450 roku na fragmencie nieznanego archipelagu, zapamiętanego jako Marae Renga? Albo tak się rzeczy mają, albo obecna metoda węgla ^{14}C jest zła, a przynajmniej niekompletna. Oparcie się wyłącznie na tej dyskusyjnej metodzie – często bardzo niedokładnej – może być poważnym błędem, który skłonił „oficjalnych” archeologów do przyjęcia nieprawdopodobnego założenia – że Rapa Nui była kulturową anomalią, całkowicie odcięta od reszty świata. David Hatcher Childress osobiście stawiał czoło tajemnicy Wyspy Wielkanocnej i jest jednym z wielu niezależnych uczonych, którzy są przekonani, że konwencjonalne procedury datowania bywają błędne. Zastanowiły go „duże plamy porostów na wszystkich posągach. Porosty zjadają skały i rosną bardzo powoli – ułamek centymetra przez setki lat. Czasami określa się wiek skał na podstawie wielkości plam porostów, które się na nich znajdują. Duża plama porostów wskazywałaby, że te posągi mają tysiące lat. Próbując to sprawdzić, zmierzyłem plamy na nienaruszonej skale. Były tylko troszkę większe niż te na posągach”.

Na Wyspie Wielkanocnej przeprowadzono badania lichenometryczne, ale po raz pierwszy i ostatni zrobiono to ponad 40 lat temu, kiedy ta metoda nadal była w powijkach. Rezultaty, takie czy inne, od tamtej pory nie zostały uaktualnione i obecnie wydaje się, że zaginęły. Możliwość wykorzystania porostów do określenia prawdziwego wieku cywilizacji na Rapa Nui została niemal zaprzeczona pod koniec XX wieku, kiedy niemieccy archeolodzy z frankfurckiego Senckenburg Museum oczyścili ze wszelkich narośli dwa *moai* i jeden *ahu* w ramach projektu badań nad odlewami z krzemu. Koszt tych eksperymentów

był szczególnie wysoki, ponieważ usunięte porosty należały do najstarszych i najlepiej zachowanych na wyspie. A oto, jak Jo Ann Van Tilburg ubolewała nad tym w czasopiśmie „Antiquity” (Starożytność): „Późniejsza utrata tych porostów z powodu formy matrycowej to znacząca zmiana daty tego artefaktu, ponieważ badania lichenometryczne mogą się przyczynić do ustalenia jego prawdziwego wieku”.

Mimo to lichenometria wcale nie jest ostatecznym rozwiązaniem w ustalaniu danych czasowych prehistorycznej kultury Rapa Nui. Jak to wyjaśnia Shawn McLaughlin z Fundacji Wyspy Wielkanocnej:

Ponieważ wiemy, że szybkość wzrostu porostów różni się w zależności od gatunku (...) oraz makro- i mikrowarunków otaczającego je środowiska (w tym zanieczyszczenia powietrza, ale przy założeniu braku bezpośredniej ludzkiej interwencji; inaczej, wszystko skończone), ryzykowne jest ustalenie konkretnej wielkości wzrostu dla danego organizmu, zwłaszcza jeśli chodzi o datowanie. I nadal trwa dyskusja w sprawie efektu zwanego „wielkim okresem”, kiedy porosty przechodzą fazę początkowego, szybkiego wzrostu, która – według jednego z krytyków lichenometrii – może trwać od kilkudziesięciu do 40 lat. Na przykład pewne badania ujawniły krzywą wzrostu wynoszącego 14 milimetrów podczas „wielkiego okresu” (100 lat), po którym następuje równomierny, liniowy wzrost 3,3 milimetra na stulecie. Inne badania wykazały krzywą wzrostu od 3,8 do 4,5 milimetra na 100 lat. Jak można było oczekiwać na podstawie tych rezultatów, obecnie uważa się, że średnia w lichenometrii jest bardzo niepewna.

Inne próby określenia wiarygodnych ram czasowych dla Wyspy Wielkanocnej to hydratacja, czyli uwadnianie obsydianu, oparta na stopniu wchłaniania wody przez powierzchnie artefaktów ze szkła wulkanicznego. Ale porównywanie naturalnych procesów z ludzkimi wpływami jest problematyczne. Co więcej, daty ustalone na V wiek za pomocą metody węglowej są sprzeczne z głębokością, na jakiej znajduje się wiele *moai*, niezakopanych przez ludzi, lecz zasypanych w trakcie naturalnego procesu osadzania się gleby. Wiele tych monolitów stoi zagłębionych po szyje w ziemi; niektóre są całkowicie zakryte. Czas niezbędny do ukrycia ich pod warstwą ziemi grubą na 6,6 lub więcej metrów, jak Childress wywnioskował na podstawie porównania wzrostu porostów, wynosił tysiąclecia, a nie setki lat. Zresztą coś więcej niż pobieżne badania archeologiczne dna oceanu w najbliższym sąsiedztwie Wyspy Wielkanocnej może ujawnić sztuczne artefakty, które cofnęłyby datowanie początków osadnictwa do ostatniej epoki lodowcowej. Nastąpiłoby to pod jej koniec, kiedy otaczające Rapa Nui tereny pochłonął ocean z powodu katastrofalnego

wzrostu poziomu wód wszystkich mórz, spowodowanego przez topnienie lodowców.

Dlaczego jednak mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej zadali sobie tyle trudu, planując i ciężko pracując nad wykonaniem i transportem tak wielu monumentalnych posągów? Akademicy uczeni tłumaczą, że były to po prostu figury przodków, ogromne znaki graniczne, kamienie nagrobne lub podobizny zwycięskich pływaków. Nie pasuje to jednak do ogromnych wydatków energii fizycznej i intelektualnej, których wymagało tworzenie *moai*, ani też ich liczby – jeden na sześciu mieszkańców wyspy. Taki nakład pracy, obciążający całą społeczność mógłby być usprawiedliwiony w oczach wyrafinowanych, piśmiennych ludzi przez jakiś bardzo ważny cel, znacznie istotniejszy niż oznakowanie granic lub upamiętnienie członków elity. Według pewnego artykułu, opublikowanego w 1892 roku w czasopiśmie „Nature”: „Tradycje dotyczące tych przedstawień są liczne, ale w zasadzie opowiadają o nieprawdopodobnych zdarzeniach, takich jak posiadanie mocy, która pozwala chodzić w ciemności, pomagać klanom w zawodach za pomocą magicznych środków i wypowiadać proroctwa”. Być może przypisywane przez tradycję „zdarzenia” tylko wydawały się „niemożliwe” ludziom z końca XIX wieku, z mentalnością, która nadal wzdryga się przy każdej sugestii o istnieniu mocy przekraczających parametry wiktoriańskiej archeologii. Jeżeli odłożymy wszystkie teorie o nadprzyrodzonych mocach i ponownie przyjrzymy się *moai*, biorąc pod uwagę ich konstrukcję i środowisko naturalne, mogą one odpowiedzieć na pytanie, od którego zaczął się ten paragraf.

Niektóre z wcześniejszych posągów były wykonane z andezytu, drobnoziarnistej skały podobnej do granitu, ale składającej się z plagioklazu, skalenia i ciemnych ferromagnetycznych materiałów, takich jak pyroksen. Inne *moai* wyrzeźbiono z miejscowego wulkanicznego bazaltu, w przeciwieństwie do budowli z Nan Madol, których zmagnetyzowany bazalt pochodzi z nieznanego źródła. Prehistoryczni konstruktorzy na Rapa Nui i Pohnpei mają ze sobą coś wspólnego – wykorzystywali skryształizowaną skałę. Jak już wcześniej wspomniano, Wyspa Wielkanocna znajduje się na skrzyżowaniu dwóch wielkich uskoków. Ta sama piezoelektryczność, opisana na Pohnpei, istnieje też na Rapa Nui, gdzie długousi mogli wykorzystać właściwości pewnych kryształów do generowania prądu elektrycznego pod naporem mas skalnych.

Dzięki swoim niezwykłym właściwościom kolosy z Wyspy Wielkanocnej przekształciły mechaniczną energię trzęsień ziemi, wyładowując ją w postaci energii elektrycznej i w ten sposób zmniejszając najgorsze skutki podziemnych wstrząsów. *Moai* działałyby zatem jako anteny odwracające kierunek przepływu energii lub geologiczny odpowiednik odgromnika, przekształcając niebezpieczne

ziemskie moce i odprowadzając je do atmosfery. Razem tworzyły „urządzenie” niwelujące skutki trzęsień ziemi. Jeśli tak było, dobrze, że wybrano Rapa Nui jako miejsce ich budowy, ponieważ wyspa znajduje się w strategicznym punkcie aktywnego sejsmicznie Wzniesienia Południowopacyficznego. Gdyby jakiś lud chciał zbudować cywilizację na wyspach wschodniego Pacyfiku, musiałby znaleźć sposób umożliwiający przynajmniej zmniejszenie skutków aktywności geologicznej. Wyspa Wielkanocna ma doskonałą lokalizację do budowy właśnie takiego „urządzenia”, które by rozproszyło lub zmniejszyło podziemne wstrząsy, umożliwiając istnienie zorganizowanego społeczeństwa. Jeszcze na początku XX wieku w piśmie „American Anthropologist” przytaczano słowa szanowanego amerykańskiego archeologa Alexandra Moerenhouta, który wierzył, że *moai* „miały wspólne znaczenie i wszystkie były podobiznami istot zwanych *titi*, których zadanie polegało na oznaczaniu granic morza i ziemi, na utrzymywaniu harmonii między tymi dwoma żywiołami i [na] zapobieganiu, by nie wdzierały się nawzajem na swoje terytoria”. Sami tubylcy nadal twierdzą, że monolity zostały wykonane i umieszczone tak, żeby chroniły wyspę przed katastrofami.

Wzmianki o *titi* Alexandra Moerenhouta odnoszą się do przywódcy, Maui-Tikitiki, czyli „Maui Kok”. Tylko jego przedstawiają posągi z Wyspy Wielkanocnej, co wyjaśnia, dlaczego wszystkie są do siebie podobne. Nakrycie głowy z czerwonego tufu, które noszą, to nie kapelusze, ale raczej stylizowane koki w portretach Maui-Tikitiki. Był to polinezyjski Herkules, który wyłowił zatopione królestwo z dna morza. Jego tytuł, Tikitiki, „kok”, oznacza, iż był członkiem uprzywilejowanej elity duchowej, która, podobnie jak japońscy samuraje, chroniła swoje koki jako najświętsze oznaki honoru. Obcięcie koka przez zwycięskiego wroga było najgorszą zniewagą. Uratować honor tak poniżonego samuraja mogło tylko *seppuku*, rytualne samobójstwo. Buddę w sztuce sakralnej zazwyczaj przedstawia się z kokiem, który dobrowolnie obciął, a potem rzucił do najwyższych nieb. Kok symbolizował czakrę umieszczoną na czubku głowy, ośrodek psychiczny łączący duszę z Najwyższą Inteligencją, która stwarza świat wspólnie z oświeconymi istotami. To właśnie miały reprezentować *pukao* z Rapa Nui – energie duchowe ludzi i Boga połączone w kok nad najwyższą położoną czakrą oświecenia. Chociaż podstawowy pożytek z *moai* to ochrona przed trzęsieniami ziemi, to ich twórcy nie zadowolili się zwykłym postawieniem nieozdobionych słupów, podobnych do europejskich megalitów, lecz wyrzeźbili je jako święte posągi. W tych kamiennych olbrzymach nauka i duchowość są związane dla wzajemnie uzupełniających się celów.

Podróżnik i pisarz Mark Williams zauważa: „Wulkany tej wyspy rzeczywiście wytwarzają anomalie magnetyczne i duża kula z wygładzonego kamienia

w zatoce La Perouse wydziela ciepło i sprawia, że kompasy wariują. Jeżeli Rapa Nui jest pępkiem świata, ta dziwna skała to pępek wyspy. Być może starożytni szamani podobni do kahunów (hawajscy czarodzieje), spece od geoprzewodnictwa lub kapłani z Nan Madol wykorzystywali to pole elektromagnetyczne, aby zlikwidować działanie grawitacji i odebrać ciężar posągom”.

„Dziwna skała” Hotu Matua była najcenniejszym dziedzictwem przywiezionym z zatopionej ojczyzny na Wyspę Wielkanocną. Jeżeli, jak się wydaje, ten wypolerowany bazaltowy przedmiot współdziałał z *moai* jako „urządzenie przeciwWSTRĄSOWE”, wówczas generowałby czasami ciepło i energię elektromagnetyczną, o której wspomina Williams. Od czasu do czasu zachodziłyby w nim wyładowania koronowe z naładowanych cząstek i tworzyłyby się poświata andyjska, zjawisko nadal obserwowane w ruinach Nan Madol. Jeśli tak było, tradycyjna nazwa głazu, Te-pito-te-Kura, „pępek ze światła”, jest odpowiednia i zrozumiała.

Pewien uboczny skutek poświaty andyjskiej może również wytłumaczyć, dlaczego gład otaczano tak wielką czcią – chodzi o głęboki wpływ na zachowanie ludzi. Poświata emituje pola elektromagnetyczne, które z kolei z dużą mocą wpływają na elektromagnetyczne obwody ludzkiego mózgu, wywołując zmienne stany świadomości. Ujarzmioną siłę naszej planety nie tylko kierowano, aby rozproszyła i zmniejszyła napięcia tektoniczne, lecz także wykorzystywano ją w dziedzinie ducha w sposób, jaki dopiero teraz zaczynamy odkrywać. Na przykład obecnie rozumiemy, że granit w dużej masie wytwarza względnie wysokie promieniowanie, które zmienia ludzką świadomość – wywołuje senność i przeżycia psychiczne, takie jak uczucie wędrówki w czasie, oraz eksterioryzację, czyli stan, kiedy ciało astralne opuszcza naszą ziemską powłokę.

Bardziej rozumiały jest również wpływ jonów ujemnych na ludzki umysł. Ludzie mają warstwę jonów o dużym ładunku elektrycznym w tworzących ścianki zatok, głęboko osadzonych klinowo-sitowych kościach, bardzo blisko mózgu. Mózg zaś reaguje na wysokie dawki jonów ujemnych, zwłaszcza płat skroniowy, wrażliwy na działanie pól elektromagnetycznych. Ta część mózgu, zwana inaczej hipokampem, zawiaduje snem i pamięcią, świadomością i podświadomością. W rezultacie osoba, która spędzi choć trochę czasu z Te-pito-te-Kura, zwłaszcza gdy został odpowiednio naładowany strumieniem jonów ujemnych poprzez aktywność tektoniczną, może przeżyć zmianę stanu świadomości podobną do silnego przeżycia duchowego. Niewykluczone więc, że „pępek ze światła” to elektrodynamiczny rezonator bardzo niskich częstotliwości, który oddziałuje bezpośrednio na tak zwane fale mózgowo alfa.

Kiedy jesteśmy odprężeni, w półśnie – mówi się, że znajdujemy się w stanie alfa. Badacze medyczni zdają sobie teraz sprawę, że mózg emituje własne

pole elektryczne, które reaguje na pole magnetyczne Ziemi. I tak naukowiec Francis Ivanhoe dowiódł, że tak zwany róg Amona w mózgu rzeczywiście „odczytuje” fluktuacje siły ziemskiej magnetosfery. Podobnie jak wyładowania jonów ujemnych stymulują hipokamp, w odpowiedzi na zmiany ziemskiego pola magnetycznego częstotliwość fal mózgowych alfa rośnie, budząc cielesną euforię, natomiast umysł może przeżyć uczucie zmian w czasoprzestrzeni, widzieć zjawy lub doświadczać innych zjawisk psychiczno-duchowych. Takie wpływy na ludzką świadomość prawdopodobnie były efektami ubocznymi wspólnej pierwotnej funkcji *moai* jako geologicznego przewodnika. Mogły być odkryte dopiero wtedy, gdy posągi ustawiono i kiedy zaczęły one działać, wykonując swoje pierwotne zadania. Zauważono wówczas, że gigantyczna fontanna jonów ujemnych, która miała zmniejszyć napięcia tektoniczne, zmienia postrzeganie otoczenia. Mogło to się stać drugorzędną funkcją obok całkowicie praktycznych zamiarów: *moai* wykorzystywano również jako obiekty służące przemianie duchowej.

Wykopano zasilaną przez źródło sadzawkę, aby dostarczała wody osadnikom. Lecz jej woda zawiera wiele minerałów, które leczą lub przywracają siły, jest więc wykorzystywana jako uzdrowisko. Tę prostą analogię można zastosować do wczesnej historii *moai*. Czymkolwiek później się stały, najpierw i przede wszystkim miały zmniejszać najgorsze skutki katastrof sejsmicznych. Wielkie budowle w starożytności, tak jak dzisiaj, prawdopodobnie pełniły wiele funkcji. Ale budulec i rozmieszczenie *moai* pasuje do ich identyfikacji jako części tektonicznego przewodnika znacznie lepiej niż jakakolwiek inna przeznaczona im funkcja. Są więc ważnym dowodem na istnienie wysoko rozwiniętej techniki, którą ocalono z jakiegoś wielkiego królestwa, zanim zalały je wody oceanu, i najwidoczniej wykorzystano ją także do budowy Nan Madol. Na Wyspie Wielkanocnej i na Pohnpei supernauka, bardziej zharmonizowana z ekologią i wyżej rozwinięta niż obecna, miała kontrolować katastrofy naturalne grożące z Ziemi i z nieba. Pozostałości tej zapomnianej techniki na obu wyspach wyraźnie określają jej pochodzenie z zatopionej Praojczyzny na Pacyfiku. Różokrzyżowiec W.S. Cerve tak opisał interakcję przeżycia duchowego i nauki już w 1931 roku: „Lemuryjczycy posiadli ogromną wiedzę i zrozumienie praw natury i jednocześnie wewnątrz [rozwinięli] pewne ludzkie zdolności do znacznie wyższego poziomu niż my dzisiaj, mimo całego naszego wychwalanego postępu cywilizacyjnego”.

Różne tradycje z kilku stron świata opisują Mu jako państwo globalne i na pewno coś z tej charakterystyki sugeruje nazwa Pępek Świata. Childress wskazuje, że dolina Indusu z pismem podobnym do *rongo-rongo* oraz Rapa Nui są „dokładnie na przeciwległych krańcach Ziemi: Mohendžo Daro znajduje

się na 27°23' szerokości geograficznej północnej i 69° długości geograficznej wschodniej. Natomiast Wyspa Wielkanocna leży na 27°8' szerokości geograficznej południowej i 109°23' długości geograficznej zachodniej”.

Dokładnie między Mohendźo Daro a Wyspą Wielkanocną leżą Wyspy Salomona. Jedynie tutaj, na całym ogromnym Pacyfiku, wśród tysięcy wysp z wyjątkiem Rapa Nui można znaleźć przykłady *rongo-rongo* lub pisma z doliny Indusu. W swojej pracy *Mystery of Easter Island* (Tajemnice Wyspy Wielkanocnej) Routledge przytoczyła pięć bardzo dokładnych zestawień znaków z Wysp Salomona, przedstawiających Makemake, człowieka-ptaka, ptaka trzymającego rybę za lewą płetwę, postać z rozpostartymi skrzydłami i uniesionymi ramionami oraz fregatę [ptaka] w locie. Wydaje się, że wspólne lemuriańskie źródło tych glifów pozostawiło swój ślad w nazwie małej wyspy wśród Grupy Trobrianda na Morzu Salomona. Wyspa ta nazywana jest Mu-nawata.

Linia dociągnięta do połowy drogi w przeciwnym kierunku niż Mohendźo Daro kończy się na drugiej półkuli, na pustej powierzchni Oceanu Atlantyckiego, na wschód od Wysp Azorskich. To właśnie tutaj, poza Słupami Herkulesa, określanymi przez Platona jako Słupy Heraklesa, według zapewnień tego filozofa, znajdował się odpowiednik Lemurii, zanim i on nie został zniszczony przez katastrofę naturalną. Czy dawny ośrodek wysoko rozwiniętej cywilizacji miał leżeć między czterema punktami, z których pomocą zmierzono Ziemię w zamierzonych czasach? Przynajmniej Rapa Nui, Wyspy Salomona i dolina Indusu były połączone przez liczące około 10 460 kilometrów umowne linie oraz wspólne pismo. Ten globalny związek ośrodków cywilizacji sugeruje również znamiona „przerwa” na wschodnim Atlantyku, gdzie – jak mówiono – znajdowała się stolica Atlantydy przed straszliwą zagładą.

„Ta perspektywa otwiera niezwykle, nadzwyczajne widoki”, napisał najważniejszy antropolog początku XX wieku Lewis Spence. „Wszystkie te dowody, groteskowe lub nie, wskazują na istnienie komunikacji [między poszczególnymi częściami] kompleksu kulturowego Atlantydy z lemuriańską Oceanią poprzez Amerykę. W takim razie jesteśmy prawie zmuszeni, czy nam się to podoba, czy nie – a osobiście zaręczam, iż jestem przeciwny takiej akceptacji – uznać, że istniała jakaś określona łączność między Atlantydą a Lemurią w bardzo wczesnym okresie [ich rozwoju]”.

Niektóre znalezione przez Spence'a dowody zachowały się w tradycji ustnej na całym Pacyfiku. Na przykład Maorysi czcili pamięć Atua, „ołtarza boga”, świętą górę, pierwotną ojczyznę przodków, która w większej części zginęła, zapadając się w wody oceanu. Atua to również imię dystryktu w Zachodnim Samoa, którego mieszkańcy mówią najstarszym językiem w Polinezji. *At* jest kojarzone z wyspami wulkanicznymi na Oceanie Spokojnym, takimi jak Atiu,

wygasły wulkan tworzący atol wśród południowych Wysp Cooka na południowo-zachodnim Pacyfiku. Natomiast Atauro to mała wyspa w pobliżu Timoru Wschodniego, upamiętniająca w miejscowej tradycji większy ląd dawno temu pochłonięty przez morze.

Specjalista od mitologii polinezyjskiej, Johannes C. Andersen, odnotował, że tubylcy z wysp Fidżi opowiadali o światowym potopie, który unicestwił zarówno Atlantów, jak i Lemuryjczyków: „Mówi się, że przez ten potop dwa plemiona z ludzkiej rodziny całkiem wyginęły”.

Atasowie są rdzennymi mieszkańcami centralnego górzystego regionu Mindanao na Filipinach. Opowiadają, jak Wielki Potop „pokrył całą Ziemię i wszyscy Atasowie utonęli, z wyjątkiem dwóch mężczyzn i jednej kobiety. Wody zaniósły ich daleko”. Orzeł zaproponował, że ich uratuje, lecz jeden z mężczyzn odmówił. Ptak zabrał więc drugiego mężczyznę i kobietę i zaniósł w bezpieczne miejsce na wyspie Mapula. Tam Atasowie się odrodzili i z czasem rozmnożyli na tyle, aby podbić całe Filipiny. Atasowie nadal twierdzą, że wywodzą się od jasnoskórych najeźdźców, którzy z czasem, poprzez związki małżeńskie, wymieszali się z Negrytami i miejscowymi ludami.

Wygasty wulkan z Grupy Tongatapu na południowo-zachodnim Pacyfiku znany jest pod nazwą Ata. Wyspiarze z Tonga oddają mu cześć jako naturalnemu pomnikowi na cześć rudowłosych, jasnoskórych bogów, którzy przybyli dawno temu, aby „pobłogosławić” tubylców.

Mieszkańcy Markizów uważali Ateę za swojego prarodzica. Dwudziestowieczny antropolog Abraham Fornander napisał: „W pradawnych legendach mieszkańców Markizów ludzie ci twierdzą, że pochodzą od Atei i Tani, dwóch najstarszych z dwunastu synów Toho, których potomkowie, po długich okresach naprzemiennych migracji i pobytu na dalekich zachodnich lądach, w końcu przybyli na Markizy”. Podobnie jak Atlas, Atea był pierworodnym synem swojego ojca i bliźniakiem. Wraz z jego historią rozpoczyna się długa migracja niektórych Atlantów, potomków Atei, na cały Pacyfik. Fornander uważał Ateę za „boga, który odpowiada bogowi Kane z archipelagu Hawajów” i dalej wyjaśnia, że „idee kultu słońca wcielone w polinezyjskim Kane, jako bogu słońca, jaśniejącym, są w ten sposób synonimiczne z Ateą z Markizów, jasnym światłem”.

Opowieść o Atlantydzie przechowana przez mieszkańców Markizów, przedstawiona jest w ustnym eposie *Te Vanana na Tanaoa*:

Atanua była piękna i dobra, ozdobiona bardzo wielkimi bogactwami. Atanua była jasnowłosa, bardzo bogata i miękka. Atanua tworzyła mnóstwo żywych stworzeń. Atea [i jego bracia] mieszkali jak królowie w najpiękniejszych

pałacach opartych na tronach. Rządzili niebem i wielkim, całym nieboskłonem, i wszystkimi tamtejszymi mocami [astrologia]. [Byli] pierwszymi panami mieszkającymi na wysokościach. Och, tronie umieszczony na środku wyższego nieba! Wielki pan Atea pełen miłości, by kochać piękną Atanuę. Atanua jest kobietą wielkich bogactw. Z Atei wydobył się Ono [straszliwy dźwięk, wybuch erupcji góry Atlas]. Atea wytwarza bardzo gorący ogień.

Fornander rozpoznał, że Ateę skojarzono, tak jak Atlasa, z wulkanem: „W tym sensie byłoby odpowiednie przekazać ideę o ponurym, ciemnym blasku, który towarzyszy erupcji wulkanu”.

Jeżeli Atlantyda i Lemuria utrzymywały ze sobą kontakty, przynajmniej coś z tych związków powinno przetrwać ich zagładę. Pewne połączenie nazw istotnie pojawia się w At-ia-Mu-ri, jednym z najważniejszych megalitycznych stanowisk Nowej Zelandii, które Brown uważa za dowód, że budowniczości pochodzili z zatopionej cywilizacji. Miejskowa, maoryska nazwa sugeruje połączenie At[lantis] i Mu w tym miejscu położonym w połowie drogi między dwoma zatopionymi królestwami. Inna synteza występuje w Atamu, potomku jednego z długouchych arystokratów Hanau-eepe z Rapa Nui, który przeżył masakrę w rowie Poike. Podobieństwa mitu z Oceanii i danych archeologicznych to dowód na poparcie tezy o zmierzeniu całego globu ziemskiego od lemuriańskiego królestwa Rapa Nui na wschodnim Pacyfiku, poprzez Wyspy Salomona i Indie, do atlantydzkiej strefy wpływów na środkowym Atlantyku. Jak wywnioskował brytyjski astronom John Wilson pod koniec XIX wieku: „Okaze się, że wędrowni kamieniarze, którzy pozostawili swoje budowle w czterech stronach świata, przepłynęli wielki Ocean Spokojny, okrążyli ziemski glob i zmierzili jego obwód”.

Ale co mamy zrobić z często dziwacznymi dowodami, dotyczącymi Wyspy Wielkanocnej i jeszcze bardziej fantastycznymi wnioskami, które z nich wypływają? Tamtejsza opowieść założycielska to oczywiście wspomnienie o cywilizatorach (długouchych Hanau-eepe) z Mu (prowincja Maraë Renga na Hiva, z której pochodził Hotu Matua). Czciłi oni bogów słońca, dokładnie tak jak Lemuryjczycy przedstawieni przez Churchwarda i innych badaczy jako wyznawcy religii solarnej. Ich pismo nie było kulturowym fuksem, ale ewidentnym dziedzictwem po piśmiennych Lemuryjczykach. Niezwykłą obecność rasy kaukaskiej na wschodnim Pacyfiku można wytłumaczyć tylko poprzez istnienie zaginionej Praojczyzny, którą miała rządzić jasnoskóra elita. Wyrzeźbienie i transport około 1000 posągów, czasami ponad 90-tonowych, przekraczało czyjekolwiek możliwości w całej Polinezji, ale tradycyjnie przypisywano to wysoko rozwiniętej technice, łączzonej z Mu.

Wytwory tej techniki zainstalowano, żeby uprzedzić lub zmniejszyć aktywność sejsmiczną w niestabilnej strefie uskoków w kluczowym Wzniesieniu Południowopacyficznym, które zagrażało niektórym archipelagom zamieszkanym przez Lemuryjczyków. Rozpoznali oni strategiczne położenie Wyspy Wielkanocnej na epicentrum dużego T, czyli krzyża o płaskim szczycie, który tworzyły dwa przecinające się uskoki na dnie morza. Tej konfiguracji *tau* użyli jako symbolu swojej cywilizacji. Umieszczenie Rapa Nui dokładnie w punkcie styku obu uskoków zasługiwało na nadanie jej nazwy Pępka Świata, ponieważ to właśnie tam było geologiczne centrum ich świata. Albo bazaltowe i andezytowe *moai* nie zdołały poradzić sobie z ogromem katastrofy, która zagrażała ich ojczyźnie, albo zbudowali to „urządzenie” za późno, by mogło jej zapobiec, i Mu zostało zniszczone.

Kiedy pierwsi współcześni Europejczycy odwiedzili Wyspę Wielkanocną, ujrzeli tubylców nadal czczących pamięć Praojczyzny przodków przed siedmioma posągami na brzegu morza. Posągi były zwrócone twarzami w stronę zatopionej cywilizacji. Lemurę upamiętniał również rytualny wyścig pływacki na przybrzeżną wyspę o nazwie Mutunui. Wprawdzie potomkowie Hotu Matua przeżyli 34 wieki po tamtym kataklizmie, nie mogli jednak przeciwstawić się niepokojom społecznym ani przywiezionej z zewnątrz nietolerancji religijnej, niewolnictwu i trądowi. Za życia jednego pokolenia, od dnia, w którym kapitan Rogeveen zarzucił kotwicę przy brzegu Rapa Nui owej fatalnej Niedzieli Wielkanocnej w 1772 roku, nauka, sztuka i historia tej wyspy zostały zapomniane. Pępek Świata nawiedziła druga katastrofa, straszniejsza od naturalnej, która zgładziła lemuryjską ojczyznę.

Wydaje się to niezwykle, ale prawdą jest, że dwa najważniejsze stanowiska archeologiczne na Oceanie Spokojnym są zlokalizowane w dokładnych miejscach meteorologicznego oraz geologicznego skrzyżowania dróg, gdzie spektakularne nagromadzenie bazaltu miało złagodzić najgorsze skutki tajfunów i trzęsień ziemi. Pozornie przypadkowe powiązania pomiędzy Pohnpei a Wyspą Wielkanocną stają się zrozumiałe w świetle tych szczególnych właściwości i unikatowego środowiska naturalnego. Na każdej z tych położonych z dala od siebie wysp dostrzegamy zniszczoną starożytną „maszynię”, zasilaną przez te same siły natury, które miała kontrolować; wytwory wysoko rozwiniętej techniki, która ostatecznie zawiodła. W dawnej ekologicznej nauce nie było nic złego lub słabego. Zawiodła z powodu wad jej twórców, którzy opanowali siły ziemi i nieba, ale nie zdołali kontrolować swoich bliźnich.

Monumentalne ruiny Nan Madol i Rapa Nui są przestrożą dla innych wcześniejszych i późniejszych cywilizacji, które, niezdolne do osiągnięcia równowagi kulturowej, popełniły samobójstwo i zniknęły w otchłani prehistorii. Lecz po

ich osiągnięciach pozostało dość szczątków, by dokonać przynajmniej ogólnej rekonstrukcji. Pohnpei i Wyspa Wielkanocna są mikrokosmicznymi lustrami, w których nasze własne odbicie jest zbyt wyraźne.

4. Technika starożytnej Oceanii

*Wszyscy zgadzamy się, że twoja teoria jest szalona.
Problem, który nas dzieli, jest taki: czy jest ona dostatecznie zwariowana,
żeby być prawdziwa?*

Niels Bohr

W poprzednich rozdziałach zostały opisane ruiny na wyspach Pohnpei i Rapa Nui jako pozostałości siłowni wzniesionych przez Lemuryjczyków przed tysiącami lat. Te budowle miały wywierać wpływ na zjawiska sejsmiczne i meteorologiczne. Gdyby wspomniane stanowiska archeologiczne były jedynym takim dowodem, można by je odrzucić jako samotne przyczółki nieznaney obcej, odosobnionej cywilizacji, całkowicie odmiennej od wszystkiego znanego gdziekolwiek indziej. Ale znaleziono nowe dowody świadczące o istnieniu tej zaginionej nauki, w bardzo dramatycznych okolicznościach, na jeszcze jednym mało znanym skrawku ziemi na południowo-zachodnim Pacyfiku.

Znaną do 1978 roku jako Isle of Pines (Wyspa Sosnowa), Kunie (należy wymawiać Kunje) o powierzchni 93 kilometrów kwadratowych zamieszkuje 1500 Melanezyjczyków. Kunie jest częścią Polinezji Francuskiej. Ta wyspa o wymiarach 12,8 na 16 kilometrów wprawiła badaczy w konsternację od czasu jej odkrycia w 1774 roku, ponieważ to jedyne miejsce w Oceanii, gdzie rosną kępami wiekowe drzewa (*Araucaria cookii*), nazwane tak od słynnego angielskiego odkrywcy, kapitana Jamesa Cooka. Jak one się tam dostały i dlaczego nadal rosną na Kunie, ale nigdzie indziej na ogromnym Pacyfiku, jest zagadką, której nie mogą wyjaśnić naukowe tłumaczenia. Musiały zostać sprowadzone i posadzone na tym melanezyjskim przyczółku w prehistorycznych czasach. Ale przez kogo i w jakim celu? Te drzewa są gigantyczne, wysokie na 30 do 45 metrów, chociaż gałęzie mają tylko 1,8 metra długości. Tytaniczne

sosny strzegą skalistego wybrzeża Kunie i rosną na szczytach małych pagórków.

Ciekawa mała wyspa stała się jeszcze bardziej tajemnicza, kiedy archeolog przeprowadził wykopaliska w niektórych z tamtejszych pagórków. Nigdy dotąd nie zostały przebadane, przede wszystkim dlatego, że uważano je za naturalne formacje geologiczne. Dyrektorzy muzeum Nowej Kaledonii w Moumea, stolicy wyspy, chcieli się dowiedzieć, czy przodkowie tubylców mogli grzebać zmarłych w tych tumulusach. Dlatego wysłano Luca Chevaliera do wydobywania z nich artefaktów, jeśli zdoła jakieś tam znaleźć.

Rozkopując pierwszy pagórek, Chevalier z zaskoczeniem odkrył cementowy cylinder, szeroki na 60 centymetrów i długi na 2,1 metra. Cylinder wykonano z wyjątkowo twardej, jednolitej, wapiennej zaprawy murarskiej, która zawierała niezliczone odłamki muszli. Zewnętrzna powierzchnia była upstrzona żelaznym i krzemionym piaskiem, które, jak się zdaje, utwardziły zaprawę, gdy wysychała. Chevalier zamierzał zlekceważyć ten ewidentnie wykonany przez człowieka cylinder jako pozostałość historycznych, choć nieznanymi, lecz prozaicznymi wpływów i zabrał się do rozkopywania innego pagórka. Odkrył w nim cementowy bęben niemal identyczny z pierwszym. Zdziwiony spojrział na krajobraz Kuni, gdzie znajdowało się 400 tumulusów przypominających kolonię gigantycznych mrowisk. Czy wszystkie kryją nietypowe cylindry? – pytał sam siebie.

Pospieszył z okazami przez 64 kilometry otwartego morza do Moumea, gdzie zostały poddane analizom w muzealnych laboratoriach. Badacze stwierdzili, że próbki z obu cylindrów miały sztuczne pochodzenie, ale nie byli przygotowani na rezultaty datowania metodą węglową wapiennej zaprawy murarskiej. Powtórzone testy potwierdziły, że ten cement miał 13 000 lat. Chevaliera odesłano z powrotem na Isle of Pines na czele zespołu archeologów, którzy mieli przeprowadzić dokładniejsze wykopaliska. Tak jak przypuszczał, każdy z 400 pagórków zawierał cementowe cylindry o jednakowej konstrukcji, różniące się tylko rozmiarami: szerokością od 60 do ponad 100 centymetrów i długością od 90 centymetrów do ponad 2,7 metra. Siedemnaście podobnych wzgórków istniało na samej Nowej Kaledonii, na obszarze znanym jako Paiita. Chevalier również tam kopał, nie bardzo chcąc sobie wyobrazić, że one również ukrywały takie dziwne obiekty. Lecz się nie zawiódł. We wnętrzu każdego kopca była zakopana cementowa kolumna.

Przy porównaniu składu chemicznego tumulusów z dwóch pobliskich wysp znaleziono niewielkie różnice: do kolumn z Isle of Pines użyto żwirowatego piasku o wysokiej zawartości tlenu żelaza, a do ich odpowiedników z Paiiti – krzemionkowego piasku. W obu miejscach pagórki miały 2,4 lub 2,7 metra wysokości

i średnicę 10 metrów. Są praktycznie nagie, ponieważ roślinność z wielkim trudem może zapuścić korzenie w piaszczystym podłożu. Kopce nie zawierały ani jednej kości, żadnego artefaktu lub kawałka węgla drzewnego, które mogłyby potwierdzić początkową hipotezę, że teren wykorzystywano do grzebania zwłok, mieszkania lub praktyk obrzędowych. Chevalier wywnioskował, że wąskie trzony zagłębianio pionowo w wierzchołkach pagórków, a potem lano na nie płynną zaprawę wapienną, która wysychając, twardniała w odpowiedniej pozycji.

Niedowierzający naukowcy nie zgodzili się zaakceptować, że znaleziska Chevaliera są sztuczne. A zajęli takie stanowisko tylko dlatego, iż byli przekonani, że osadnictwo na wyspach południowo-zachodniego Pacyfiku przed 3000 lat było „absurdalne i niemożliwe”. Sceptycy starali się wyjaśnić obecność cementowych cylindrów, twierdząc, że w istocie były gniazdami jakiegoś hipotetycznego gatunku gigantycznych wymarłych ptaków. Ta nedorzeczna próba miała wesprzeć już wątpliwy dogmat, który nie dopuszczał żadnych rozważań o wczesnym ludzkim osadnictwie w Oceanii. Sceptycy z uporem twierdzili, że najwcześniej zaczęto używać cementu niewiele ponad 2000 lat temu, a wykorzystywali go budowniczowie ze starożytnego Rzymu. Tutaj zaś, na południowo-zachodnim Pacyfiku, jacyś niezależni archeolodzy wysuwają heretycką hipotezę, że tubylcy z małej Kunie masowo wytwarzali cylindry z zaprawy murarskiej pod koniec epoki lodowcowej.

Władze muzeum z Nowej Kaledonii powtarzali jednak, że ich badania cementowej kolumny bezsprzecznie potwierdziły, że wykonali ją ludzie między rokiem 5120 p.n.e. a 10 950 p.n.e. Te ramy czasowe zostały później potwierdzone przez dodatkowe badania metodą węglową tego samego materiału przez techników laboratoryjnych z Uniwersytetu Yale. Chevalier uznał pagórki z Kunie i Nowej Kaledonii za unikatowe i rzucił wyzwanie konserwatywnym krytykom, mówiąc, żeby mu pokazali lokalizacje identycznych lub nawet podobnych cementowych kolumn, będących rezultatem naturalnych procesów. Ale żaden z akademickich uczonych nie udzielił mu odpowiedzi.

Ani Chevalier, ani jego krytycy nie potrafili jednak odgadnąć, jakie było pierwotne przeznaczenie cementowych kolumn. Childress, który odwiedził Isle of Pines w połowie lat 80. XX wieku, ocenił ich liczbę na 10 000. Chociaż już ta liczba wydaje się przesadna, w rzeczywistości może ich być 10 razy więcej. Chevalier odkrył, że „trzy tumulusy zawierały po jednym cylindrze, a czwarty miał dwa umieszczone obok siebie. W każdym przypadku cylindry były umieszczone w centrum tumulusów [i] ustawione pionowo”. Ale dlaczego ktoś miałby zwracać sobie głowę wyrobem setek cementowych kolumn na maleńkiej, odciętej od świata wyspie? Do czego mogły służyć? Brak ozdób, przedmiotów rytualnych oraz ludzkich i zwierzęcych szczątków dowodzi, że pagórki nie pełniły

ani funkcji grzebalnych, ani obrzędowych. Można jednak znaleźć wskazówkę w innych anomaliach występujących na Kunie. Czy wysokie sosny, które bardzo głęboko zapuszczają korzenie, zostały celowo posadzone wzdłuż wybrzeża przez tych samych ludzi, którzy wykonali cementowe cylindry? Czy miały stać się osłoną tumulusów przed tajfunami, które nadal nawiedzają tę wyspę? W każdym razie wydaje się dziwnym zbiegiem okoliczności, że te dwa rodzaje unikatowych, nietypowych cech znaleziono na tej samej mało znanej wyspie. Chyba że od samego początku miały się uzupełniać.

Samym pagórkom niewątpliwie przypisywano specjalne znaczenie, skoro założyły na tarczę ochronną z drzew. Ich pierwotne przeznaczenie może wynikać z wysokiej zawartości żelaza odkrytej we wszystkich cementowych cylindrach. Wskazuje to na ich powiązania z ekologiczną techniką występującą na Pohnpei i Wyspie Wielkanocnej. Chociaż już nie rozumiemy pierwotnej funkcji tumulusów, możemy przyjąć, że były zasilane przez siły natury, sejsmiczne lub meteorologiczne, aby wpływać na środowisko, podobnie jak monumentalne konstrukcje Nan Madol i Rapa Nui. Mimo że zaginiona nauka z Kunie nie jest już nawet wspomnieniem, pozostałych po niej 400 tumulusów z cementowymi kolumnami nadal stoi jako dowód dawnego wspaniałego rozwoju technicznego Mu, którego mieszkańcy wykorzystywali energię natury dla dobra ludzkich społeczności w zamierzczłej prehistorii.

Niestety, nie zachowały się żadne mity z Isle of Pines i Nowej Kaledonii, na której rozkopano 17 wzgórków z cementowymi cylindrami. Można jednak przyjąć, że znamionują one pewną lemuryjską tradycję, która mówi, że „dusze zmarłych płyną rzekami w stronę oceanu, gdzie będą żyć na jego dnie”, według specjalisty od mitologii polinezyjskiej Jana Knapperta. Píše on, że tubylcy wierzą, iż dusza, czyli *ko*, staje się małym zwierzęciem, takim jak szczur lub jaszczurka. Czujny kapłan chwytą to zwierzę i pogrąża je w najbliższej rzece, gdzie *ko* przekazuje trochę swojej mocy gładkiemu, okrągłemu kamieniowi *bao*, czyli skale duchów. Podczas gdy dusza kontynuuje podróż rzeką do oceanu, umieszcza się *bao* w specjalnej kaplicy *mwaro*, obok innych kamieni przodków. Te melanezyjskie terminy przypominają staroegipski podział duszy na pierwotne połowy, *ka* i *ba*. Ale wydaje się, że nazwa kaplicy przodków, *mwaro*, wywodzi się od Mu, który „ucywilił” tę wyspę, czego świadectwem jest nowokaledońska kolekcja cementowych kolumn. Egipsko-lemuryjskie wpływy dostrzeżalne są również w tradycyjnym tańcu *tamure*, nadal wykonywanym w Polinezji Francuskiej.

Do tych cementowych cylindrów dołączył jeszcze jeden nadzwyczajny dowód na istnienie zaginionej cywilizacji na Pacyfiku. Znaleziono go w odległości 2252 kilometrów na wschód od Kunie, na wyspie Tonga. Nie wydaje się, żeby

długa tylko na 28 kilometrów Tonga miała specjalne znaczenie, ani teraz, ani w starożytności, choćby dlatego że jest taka mała. A przecież ktoś na Tondze rozkazał zbudować ważącą 109 ton bramę lub łuk, wysoki na 5 metrów i szeroki na 6. Ten triliton składa się z pary nierówno ociosanych kolumn, z karbowanymi szczytami, na których położono 9-tonowe nadproże. Trudno zrozumieć, jak tego wyczynu dokonali ludzie z epoki preindustrialnej, posiadający niezbyt rozwiniętą kulturę materialną. Równie enigmatyczne jest pochodzenie koralowego bloku, który nie został wydobyty na Tondze ani, jak podaje miejscowa legenda, na Uvei. Nic podobnego do Ha'amonga a Maui, czyli „Brzemienia Maui” nie znaleziono nigdzie indziej w Oceanii, a jego pochodzenie pozostaje tajemnicą również dla wyspiarzy. Jedyne, co mogą powiedzieć, to że łuk zbudował polinezyjski półbóg Maui w głębokiej przeszłości z kamieni, które przywiózł z wyspy Wallis (Uvea) w olbrzymim canoe.

Lecz już w 1967 roku król tej wyspy zauważył, że linia wryta na nadprożu trilitonu wskazywała wschód słońca w dniu przesilenia letniego. Późniejsze badania ujawniły, przynajmniej częściowo, funkcję trilitonu jako kalendarza słonecznego, który przywodził na myśl masywną Bramę Słońca w boliwijskich ruinach Tiahuanaco. Znajdujące się tam płaskorzeźby miały przecież powiązania tematyczne ze wschodnim Pacyfikiem. Czy oba monumentalne łuki mogli zbudować ci sami Lemuryjczycy, których wpływy niegdyś sięgały od Tongi do południowoamerykańskich Andów? Zdaje się, że legenda Ha'amonga a Maui na to wskazuje, chociażby dlatego, że mieszkańcy Mu byli wyznawcami kultu słońca. Co więcej, triliton stoi w Hekecie, w pobliżu wschodniego wybrzeża wyspy, co sugeruje jego „oceaniczne” pochodzenie, podobnie jak *moai* z Wyspy Wielkanocnej, postawione na wybrzeżu na pamiątkę przybycia Hotu Matua z zatopionej ojczyzny.

Lemuryjskie wpływy można również znaleźć w nazwie bramy. Polinezyjski Herkules Maui był potomkiem Muri-Ranga-Whenua, co jest oczywistym wariantem nazwy pacyficznej Praojczyzny. Czy „brzemieniem”, które zaniósł na Tongę, były wielkie kamienie z Mu przed zagładą? W książce *The Lore of the Wharewananga* (Wiedza Wharewanangi), zbiorze polinezyjskich mitów cytowanych przez Spence'a, Maui interweniuje, kiedy bogowie trzęsień ziemi i burzy próbują rozczłonkować i zalać długą połąć pierwotnego terytorium, zwane go Papa. I chociaż Maui nie dopuszcza do całkowitego zniszczenia Papy, z lądu pozostaje tylko rząd wysp. To ludowa wersja wspomnienia o jakimś kontynencie rozerwanym i częściowo zatopionym w morzu przez podziemne wstrząsy, legenda wyjaśniająca obecne położenie archipelagów na całym Pacyfiku jako pozostałości Papy. Wynika z tego, że Papa to jeszcze jedna nazwa zaginionej Lemurii.

Lemuryjskie pochodzenie niezwyklego łuku z Tongi znajduje potwierdzenie w nazwie prehistorycznej stolicy tej wyspy, odległej o 9,6 kilometra od Hekety, a położonej na wschodnim wybrzeżu Laguny Fanga'uta, co wskazuje na kulturę morskich żeglarzy. Stare miasto nazywa się Mu'a, z nabrzeżem w Mu'nu – to oczywiste, że te nazwy pochodzą od pacyficznego Praojczyzny. Centralny obszar Mu'a jest okrążony ogromnym kanałem. Nawet dzisiaj, po tysiącach zamulania, ten gigantyczny kanał jest głęboki na 10 lub 12 metrów. W pobliżu znajduje się pewna liczba *langi* – to miejscowa nazwa piramid, które rywalizują z egipskimi odpowiednikami. Imponującym „okazem” jest kamienna platforma, znana jako Tauhala. Tylko jeden z jej kamiennych bloków jest długi na ponad 7 metrów, a jego wagę szacuje się na 40 ton. Z niewiarygodną wprawą został umieszczony w murze długim na 222 metry. Podobnie jak jego odpowiedniki z Peru i Wyspy Wielkanocnej, ten kolosalny głaz ociosano tak, aby pasował jak część układanki do odpowiedniego wycięcia w sąsiednim kamieniu. Taki układ budulca bez zaprawy murarskiej miał uczynić piramidę odporną na trzęsienia ziemi. Pozwalał, by kamienie ugięły się, ale nie rozdzielały.

Samo istnienie Tauhali na jednej wyspie wraz z innym cudem inżynierii, Brzemieniem Maui, to niezbity dowód, że w starożytności na Tondze posługiwano się zaawansowaną techniką budowlaną. Wskazówek co do daty jej powstania należy szukać w samej Mu'a, która została wypiętrzona na 90 centymetrów od czasu budowy, przez co przystań przestała być użyteczna. Oceanografowie uważają, że poziom morza zmienia się wraz z upływem czasu. Dlatego oceniają, że statki nie mogły dobić do Mu'nu już 2000 lat temu, chociaż ta data nie wskazuje, kiedy sama przystań została zbudowana.

Inny *langi* w Lapaha jest nie mniej imponujący, ale stylem bardziej przypomina „cytadelę” odkrytą na głębokości 26,6 metra pod powierzchnią Pacyfiku w pobliżu japońskiej wyspy Yonaguni, przy przylądku Iseki. W każdej z tamtejszych prostokątnych konstrukcji są małe, najwidoczniej ceremonialne schody, wykute w większych, podobnych do stopni poziomach, które mają identyczną orientację słoneczną. Porównanie stanowisk archeologicznych na Tondze i przy Yonaguni świadczy na korzyść hipotezy o ich wspólnym kulturowym pochodzeniu od budowniczych, którzy wzniesli podobne piramidy schodkowe. Nadzorczy odpowiedzialni za te i inne kolosalne projekty byli nazywani Mu'a, dosłownie „ludzie z Mu”. Bardziej oczywista aluzja do zaginionej Praojczyzny wydaje się niemożliwa.

Tonga oferuje przekonujący materiał i mocne dowody o prehistorycznej technice na wyspach Oceanu Spokojnego, ale nie jest jedyna. W odległości około 5953 kilometrów, równie imponujące, ale całkowicie odmienne konstrukcje znaleziono na Wyspach Mariańskich. Od czasu ich odkrycia na początku

XVI wieku podczas podróży Ferdynanda Magellana dookoła świata, przybysze patrzyli ze zdumieniem na grzybopodobne budowle na Guam, Tinian, Saipan i Rocie. Nazywane kamieniami *lat'te* od miejscowego słowa *latde*, co znaczy „domy starych ludzi”, te budowle nie są związane z miejscowymi seniorami, ale raczej Taotaomona, „Duchami-Ludu-Sprzed-Czasu”. Tak miejscowe plemię Chamoro nazywa obcych budowniczych, którzy przybyli morzem z daleka w zamierzchłej przeszłości.

Archeolodzy potwierdzają, że Mariany po raz pierwszy zostały zasiedlone około 3000 roku p.n.e., akurat wtedy, kiedy „pierwszy strzał” w szeregu katastrof wywołanych upadkiem komet na Ziemię zmusił Lemuryjczyków do wędrówek po Pacyfiku, chociaż naukowcom nie udało się określić wieku samych monolitów. Kilka innych mitów kojarzonych z monolitami mniej informuje, a więcej wyjaśnia. *Lat'te*, po mistrzowsku wyciosane z nierównego koralu, składają się z dwóch części: *haligi* – ściętego piramidalnego piedestału, na którym znajduje się odwrócony, półkulisty kamień szczytowy *tasa* wysoki na 1,5 metra, o średnicy 1,8 metra. Przeciętnie taka konstrukcja jest wysoka na 4,2 metra i waży około 30 ton, chociaż te, które odkryto w kamieniołomie As Nieves na wyspie Rota, są największe ze znanych okazów – mierzą ponad 5,4 metra i ważą więcej niż 50 ton.

Gdziekolwiek je znaleziono, *lat'te* przeważnie ustawione są w dwa rzędy złożone z pół tuzina do tuzina i więcej okazów, zazwyczaj na brzegach rzek lub na wybrzeżu morza, co wskazuje, że Brzemię Maui z Tongi ma bardzo ważny związek z wodą i morzem. Dwa równoległe rzędy ustawiono w odległości 2,1 metra, tworząc konfiguracje szerokie na 3,6 i długie na 18,3 metra. Uczeni snują rozważania na podstawie szczątków megalitów, które runęły, i tych, które jeszcze stoją, że pierwotnie na Marianach było 100 lub więcej megalitów, chociaż nie znaleziono ich nigdzie indziej na Ziemi. Ale nic nie wiadomo o ich znaczeniu lub przeznaczeniu. W ogólnych zarysach przypominają kolosy z Wyspy Wielkanocej, chociaż dzieli je 12 469 kilometrów. Tak jak *moai* z Rapa Nui, monolity z Marianów składają się z torsu, na którym umieszczono „czapkę”, a obie wersje często stawiano na wybrzeżach. Jeżeli wszystkie monolity wykonali lemuryjscy technokraci, co wydaje się możliwe, prawdopodobnie pełniły identyczną funkcję – być może tak jak *moai* niwelowały najgorsze skutki podziemnych wstrząsów, chociaż trudno zrozumieć, czemu użyto do tego celu akurat koralu.

Drobną aluzję do takiego przeznaczenia zrobili sami członkowie plemienia Chamoro. Don Felipe de la Corte de Calderon, hiszpański gubernator w latach 1855–1866, zapisał: „We wczesnych opisach wysp mówi się, że tubylcy grzebali zmarłych w tych domach i nawet dzisiaj dręczy ich zabobonny strach przed kopaniem lub uprawianiem ziemi między rzędami tych kamieni”. Czy Chamoro

rzeczywiście bali się niepokoić zmarłych, czy też unikali dziwnych monolitów, ponieważ występowały w nich samorzutne śmiertelne wyładowania energii elektromagnetycznej? Strach Chamoro przed rzędami megalitów przypomina obawy wyrażane przez tubylców na Pohnpei, gdzie śmiertelne „widmowe światło” miało nawiedzać ruiny Nan Madol. W każdym razie konstrukcja *lat'ie* z Guam, Tinian, Saipan i Roty wymaga techniki znacznie przekraczającej możliwości, jakie dawały zasoby tych mało znanych wysp. Dlatego megality raczej wskazują na to, że w zamierzchłej przeszłości na mieszkańców Wysp Mariańskich wywarła wpływ bardziej zaawansowana społeczność, którą tubylcy niejasno zapamiętali jako Duchy-Ludu-Sprzed-Czasu.

Materialne dowody, świadczące o istnieniu prehistorycznej rasy są rozsiane po całym Oceanie Spokojnym i znajduje się je w licznych miejscach, bardzo mało znanych w świecie. Takim przypadkiem jest Babeldaob, największa z 343 wysp należących do archipelagu mikronezyjskich wysp Palau. Tysiące lat temu ponad 5 procent z 246 kilometrów kwadratowych powierzchni Babeldaob zamieniono w tarasy z polami uprawnymi. Skala tego projektu była tak wielka, że plony mogły wyżywić setki tysięcy ludzi, znacznie więcej, niż kiedykolwiek zamieszkiwało Palau. Tarasy nie zostały wyciosane w ciągu wielu lat, niezależnie od siebie. Raczej cała armia „architektów krajobrazu” wyrzeźbiła wzgórze Babeldaob w jeden ogromny, połączony ze sobą system, według planu. Wszystkie tarasy mają jednakową wysokość – 5 metrów i od 10 do 20 metrów szerokości. Są też bardzo przemyślnie nachylone, żeby zbierać wodę deszczową bez zalewania upraw. Niektóre wzgórza zostały całkowicie zamienione w „kombinat rolniczy”, tak że przypominają piramidy schodkowe.

Datowanie metodą węglową ujawniło, że tarasy były wykorzystywane, chociaż nie w pełni, prawie 2000 lat temu, i że w końcu zostały porzucone około 1200 roku; nie wskazało jednak, kiedy je wykopano. Jest jednak oczywiste, że należą do tej samej wysokiej kultury, której dziełem są dalekie filipińskie tarasy „ryżowe” z Bonaue. Tarasy z Bonaue różnią się od odpowiedników z Babeldaob tylko jeszcze większą skalą prac ziemnych. Gigantyczne systemy upraw z Luzon i Mikronezji mogły razem wykarmić miliony ludzi, co wskazuje na gęste zaludnienie Lemurii w apogeum jej cywilizacji. Według Churchwarda w czasie ostatecznego zniszczenia Mu zamieszkiwało około 64 000 000 ludzi.

Na Babeldaob znajdują się też liczne posągi. Zgodnie z informacjami Childressa niektóre przypominają *moai* z Rapa Nui, chociaż nie są tak wysokie, bo mierzą mniej niż 3 metry. Do tej pory odkryto 38 posągów, łącznie z okazami z sąsiedniej wyspy Koror ze skupiska Palau. Według miejscowych wierzeń są to mężczyźni i kobiety, zamienieni w kamień dawno temu. Ten mit przypomina grecką legendę o Deukalionie i Pyrrze, mężu i żonie, którzy przeżyli Wielki

Potop. Po kataklizmie, który zgładził resztę ludzkości, ocaleli małżonkowie podnosili kamienie i rzucali za siebie. Gdy uderzały w ziemię, zamieniały się w mężczyzn i kobiety. Rdzenni mieszkańcy wyspy Tingwon, oddalanej o 32 kilometry od New Hanower na Nowej Gwinei, powiedzieli J.K. McCarthy'emu, dyrektorowi do spraw tubylców, że dawno temu ich przodków odwiedzili olbrzymi, którzy potem odpłynęli i zostali zniszczeni na morzu, ale odrodzili się jako megality. „Na wyspach Pacyfiku często mówi się, że pozostałości megalitów to groby olbrzymów”, pisze Childress, „głównie dlatego, że miejscowi mogą sobie wyobrazić, iż tylko olbrzymi je stworzyli”.

Mieszkańcy Babeldaob mają własną opowieść o ponownym stworzeniu. Mówią, że po początkach czasu na wyspie Angaur należącej do archipelagu wysp Palau urodziło się wyjątkowo żarłoczne dziecko. Uab jadł wszystko w zasięgu wzroku, tak że wyspiarzom zaczął zagrażać głód. W końcu żarłok osiągnął tak monstrualne rozmiary, że ziomkowie go związali i podpalili chatę kryjącą jego głowę. Uab szamotał się gwałtownie – cała wyspa się trzęsła, a jego ciało rozpadło się na setki części i stało archipelagiem wysp Palau. W tej tradycji ludowej znalazła odzwierciedlenie sejsmiczna zagłada Mu (Angaur), której towarzyszył ogień z nieba (chata Uaba), analogicznie jak wersja z Tingwony identyfikuje starożytne megality z ich lemuryjskimi budowniczymi. Wydaje się, że co najmniej jedna z wysp Palau, Emungs, swoją nazwą upamiętniła zaginioną Praojczyznę.

W książce *Palau: Portrait of the Paradise* (Palau: obraz raj), Mandy Et-pison cytuje większość badaczy, którzy wywnioskowali, że posągi z Babeldaob „mogły być dziełem innych ludzi niż Palauanie”. Informuje również, że statuy zostały wyrzeźbione z andezytu, twardego, magmowego granitu, niewystępującego ani na Babeldaob, ani na żadnej innej wyspie ze skupiska Palau. Podobnie jak zmagnetyzowany bazalt z Nan Madol i korał użyty do zbudowania wielkiego łuku na Tondze, źródło pochodzenia tej skały jest nieznane. Może dlatego, że dostarczono ją z zaginionej Lemurii. W każdym razie andezyt jest pełen kryształów kwarcu, który nadaje mu właściwości niezbędne do wytworzenia piezoelektryczności. Biorąc pod uwagę inne przykłady użycia zaawansowanej techniki z Babeldaob w systemie pól-tarasów, andezytowe posągi mogły pełnić funkcję geoprzewodnika do celów antysejsmicznych lub meteorologicznych, jak niegdyś kolosy z Wyspy Wielkanocnej i 250 000 000 ton namagnetyzowanych skał Nan Madol. Co ciekawe, Brama Słońca z Tiahuanaco była wyciosana z andezytu.

Na Babeldaob znajduje się również kilka szeregów kamiennych kolumn, jak 52 ustawione na szczycie pagórka na północnym krańcu tej wyspy w Bairulchau, nad morzem, które pokrywa więcej zatopionych ruin w pobliżu wioski Ollei. To zatopione miasto nie jest zwykłą bajką, o czym świadczą ceramika i rzeźbione

wyroby z kamienia wydobyte przez nurków z dna oceanu. Miejscowy folklor milczy o podwodnych ruinach lub o megalitach na Bairulchau, najwidoczniej dlatego że są tak stare, iż wszystkie tradycje, które niegdyś z nimi kojarzono, zostały dawno zapomniane. Mimo to świadczą one o obecności technicznie zaawansowanej kultury, która przywiązywała wielką wagę do Babeldaob, czego dowodzi budowa zdumiewającego kompleksu pól-tarasów oraz kilku megalitycznych konstrukcji.

Inne przykłady to wysoki na 2,4 metra obelisk zwrócony w stronę wschodzącego słońca, otoczony kręgiem mniejszych głazów na Nowej Gwinei. Takie konstrukcje z megalitów, praktycznie identycznych z tymi z Europy Zachodniej, znajdują się na rzadko odwiedzanych Wyspach Schoutena, za wyjątkiem Wewak. Podobna do Stonehenge budowla, ozdobiona koncentrycznymi wzorami, które prawdopodobnie przedstawiają słońce, stoi w Nowej Irlandii na szczycie góry Kambu. Jak ta konstrukcja z długich na 3,6 metra bloków skalnych została wzniesiona na liczącym 833 metry szczycie? To niewyobrażalne. „One są tak stare”, pisze Australijczyk Keith Willey w *Assignment: New Guinea* (Oznaczenie: Nowa Gwinea), „że tubylcy nawet nie mają o nich żadnych legend”. Obecność „komputerów” astronomicznych jest anomalią na „zaściankowej” Nowej Gwinei. Można ją jedynie wyjaśnić lemuryjskimi wpływami w starożytności. Ten wniosek jest poparty dowodem w postaci solarnej orientacji budowli – bo słońce było głównym obiektem kultu na Mu.

I rzeczywiście, tubylcy z nowogwinejskiego plemienia Kai identyfikują te megalityczne konstrukcje z rasą olbrzymów, którzy rządzą światem, zanim Wielki Potop zmienił ich ciała w wielkie kamienne bloki. Jest to podobna opowieść o przemianie olbrzymów w kamienie, do tej, która przetrwała na wyspach Palau, w celu wyjaśnienia obecności starodawnych monolitów w Bairulchau na Babeldaob. Lecz plemię Kai nazywa wymarłych olbrzymów Ne-Mu. Ponad 60 ich naturalnie zmumifikowanych zwłok znaleziono w połowie lat 30. XX wieku w postawie siedzącej, podbródek przy podbródku, w wapiennej jaskini odkrytej w nowogwinejskim dystrykcie Morabe, gdzie są złoża złota. Według artykułu w „Science Newsletter”: „Najniezwyklejszą cechą tych mumii jest ich jasna skóra”.

Potomkowie Ne-Mu przeżyli przynajmniej do początków XX wieku. W 1937 roku czasopismo „Science” opublikowało artykuł o względnie jasnoskórych Tarifyroro, którzy mieszkali w trudno dostępnej, odległej części tego kraju. Według przebywającego w Nowej Gwinei urzędnika, Jacka Hidesa, „kiedyś ci jasnoskórzy ludzie zamieszkiwali cały płaskowyż i zostali wyparci na zachód przez bardziej męskich Papuasów”. O stosowanych przez Tarifyroro metodach uprawy ziemi napisał: [są] „najlepsze, jakie kiedykolwiek widziałem.

Ich niezwykle, kwadratowe ogrody w kształcie tarasów, otoczone pięknymi żywopłotami z krocienia i poświnnika, przypominały chińskie gospodarstwa, gdzie hoduje się owoce i warzywa na sprzedaż, jakie widzimy w Australii. Oni hodują też trzcinę cukrową, imbir, banany, słodkie ziemniaki, szpinak i miejscowe szparagi”.

Podobieństwo do lemuryjskiej uprawy roli na polach w kształcie tarasów na Filipinach i w Mikronezji jest wyraźne. Bagno Kuk wokół góry Hagen na zachodniej wyżynie Nowej Gwinei wykazuje ogromną erozję gleby, wywołaną przez intensywną uprawę ziemi na zboczach już w X tysiącleciu p.n.e. Dowody świadczące, że około 4000 lat p.n.e. w tej okolicy zamieszkiwała spora i znająca się na rolnictwie populacja, można dostrzec w rowach melioracyjnych, które przetrwały do dziś. Mają 500 metrów długości, 2 metry głębokości i 4,6 metra szerokości. Nic takiego nie stworzyły ludy tubylcze od czasu wykonania tego wspaniałego systemu nawadniającego. Około 3000 roku p.n.e. lasy z dużych obszarów Nowej Gwinei zostały wycięte, co każe przypuszczać, że Lemuria była gęsto zaludniona przed drugą z serii katastrof naturalnych, które skłoniły dużą liczbę Lemuryjczyków do opuszczenia spustoszonej ojczyzny. Inne ślady Mu pojawiają się również wśród dawnych nazw topograficznych w Nowej Gwinei. Mumori to osada na wyżynie, a Budamu leży w dystrykcie Madang w Papui.

Ważny symbol tożsamości Praojczyzny pojawia się w odległości 4183 kilometrów od Nowej Gwinei w Mulifanua, miejscu najwcześniejszego znanego osadnictwa na Samoa, które liczy ponad 3000 lat. Jest tam ciekawe, unikatowe wzgórze o 10 promieniach, zwane „gwiezdny pagórkem”. Na Samoa znajduje się też największa piramidalna platforma na południowym Pacyfiku, wzgórze Pulemelei w Palauli w południowo-wschodnim Savai’i. Dżungla zarasta go prawie w całości, co może wskazywać na sędziwy wiek tej ceremonialnej budowli. Zgodnie z miejscową tradycją wzniesli ją Hiti, przedpotopowi olbrzymi, którzy rządzą światem, aż „niebo runęło w dół” i podpaliło ich wyspę. Kiedy wyspa zatonała, nowe tereny wynurzyły się z głębin, aby stać się później wyspami Samoa. Uciekając przed tą klęską, zbiegowie schronili się na przyłdku na najdalej wysuniętym na zachód krańcu Savai’i, znanym odtąd jako Mulinu’u. Ten mit jest ewidentnym ludowym wspomnieniem o lemuryjskim kataklizmie „pochodzącym z nieba” i o przybyciu ocalałych Lemuryjczyków na Samoa. Ujawnia również znaczenie ukryte w nazwie innej pacyficznej wyspy, Tahiti – „z przedpotopowych olbrzymów”.

Chociaż nie tak wielka, jak wzgórze Pulemelei z Savai’i, największa znana kamienna budowla w Polinezji miała kształt piramidy, a znajdowała się w zachodniej części Tahiti. Pierwotnie była długa na 89 metrów, u podstawy miała

32,3 metra, a szerokie, wykute z koralu i bazaltu stopnie prowadziły na szczyt 16,6 metra. Świątynia Atahura została rozebrana w połowie XIX wieku na rozkaz chrześcijańskich misjonarzy, ponieważ ich tubylczy parafianie podobno podważali autorytet Biblii, twierdząc, że „*marae* był zbudowany przed Potopem”. Choć ta konstrukcja nie miała sobie równych pod względem wielkości, na wyspie były inne, podobne budowle. „Wszystkie wzniesiono z dużych kamieni bez cementu”, ale tak starannie obrobionych, że dokładnie do siebie pasowały i tworzyły trwałe konstrukcje, według W.H.R. Riversa, piszącego dla magazynu „*American Anthropologist*” w 1915 roku.

Tahitańskie słowo oznaczające wyspę to *mu-tu*; najwidoczniej pochodzi ono od zatopionej Praojczyzny, upamiętnionej również w nazwie Moorea – wyspy znajdującej się w pobliżu północno-zachodniego wybrzeża. Interesujące, że jego odwrotność, *tu-mu*, znaczy drzewo, co może znowu odnosić się do Mu stanowiącego synonim Drzewa Życia. Boginią opiekuńczą Moorei była Tu-metua, która miała przebywać na zatopionym lądzie Avaiki. Avaiki to inna nazwa Praojczyzny, stosowana w Polinezji Francuskiej. Najwyższego kapłana Tahiti nazywano U-Mu, dosłownie „on z Mu”. W prawdopodobnie najstarszej tahitańskiej pieśni *Konflikt i pojednanie między Niebem a Ziemią*, dzieci praosiemnicy, Ogień i Woda, zaczęły bitwę, która sprawiła, że świat znalazł się pod „bezugranicznym morzem”. Imię tej ośmiornicy, symbolu potężnego ośrodka kontroli i wpływów, brzmiało: „Fundament Ziemskiego Nieba”, Tumu-ra’i-feuna – to wyraźna aluzja do Lemurii. Kiedy wody potopu zaczęły się cofać, odsłaniając jałowy, suchy ląd, bóg nieba Ta’aroa zapładniał Matkę Ziemię, umieszczając swoje nasienie w miejscu zwanym Tumu-nui, czyli „wyspa wielkiego Mu”. Tam narodziły się pierwsze ludzkie istoty. Fakt, że Praojczyzna najpierw zostaje zniszczona, a potem staje się miejscem narodzin rodzaju ludzkiego, jest mniejszą sprzecznością niż opis lemuryjskiego bezkresu (*tumu-ra’i-feuna*), rozbitego podczas walki między Ogniem a Wodą (IV tysiąclecie p.n.e., upadek komety), która nie spowodowała zagłady Mu, lecz zmniejszyła jego terytorium do resztek (*tumu-nui*) pierwotnej wielkości. Bezpośrednie wzmianki o tej zaginionej cywilizacji nie mogły być bardziej wyraźne.

Konstrukcję podobną do tahitańskiej kamiennej platformy znaleziono w ostatnich latach na Nowej Zelandii tuż na południe od jeziora Taupo. Bardziej prawdopodobne, że Mur Kaimanawa to piramida schodkowa lub tarasowe, ceremonialne *marae* o gigantycznych rozmiarach. Childress, który zbadał to miejsce w 1996 roku, napisał: „Te bloki mają, jak się wydaje, standardową długość 1,8 metra i 1,5 metra wysokości. Dolny blok opada prosto w dół na 1,7 metra... [Wszystkie] bloki biegną razem w prostej linii ze wschodu na zachód, a ten mur jest zwrócony na północ. Składa się z około 10 regularnych

bloków, które, prawdopodobnie zostały ociosane i dopasowane bez zaprawy murarskiej”.

Ten mur zbudowali Wai-ta-hanui, najstarsi znani mieszkańcy Nowej Zelandii, poprzedzający przybycie Maorysów, poprzednio tak liczni, że tworzyli 200 plemion. W 1988 roku żyło tylko 140 ich potomków mieszanej rasy. Przodkowie byli również znani jako Moriori, Wai-ta-hanui lub Urukehu – „lud z Zachodu – jasnoskórzy, rudowłosi z orzechowymi oczami plemięcy, którzy przybyli ze wspaniałego królestwa, całkowicie zalanego przez morze. W Wai-ta-hanui, w maoryskiej i innych zachodniopolinezyjskich tradycjach królestwo to nadal jest znane jako Mu-ri-wai-o-ata, co stanowi oczywiste nawiązanie do zaginionej pacyficznej cywilizacji. Ta nazwa ponownie pojawi się w Pounamu, „zielonym kamieniu” ludu Wai-ta-hanui, świętej „relikwii”, tak jak z Tane „piana oceanu i biała jak mgła”; Te-pito-te-Kura, „pępek ze światła” z Wyspy Wielkanocnej i hawajskie „światło Kane”, „Pohaku-a-Kane”, ocalone przed zniszczeniem z Praojczyzny.

Nawet bez Muru Kaimanawa lemuryjski wpływ na Nową Zelandię jest niezaprzeczalny. Maorysi wierzą, że Te-Tumu było „źródłem”, które wydało na świat ludzkość w kraju Mataaho, znanego z pieśni o potopie z Markizów, Tai-Toko, jako Matahu. Potem ten kraj zalała śmiertelna, olbrzymia fala, przed którą uciekli niektórzy przodkowie w wielkim canoe, zwanym Takitumu „na pamiątkę ojczyzny, z której przybyli”, według *Podróży Tamatea*, tubylczej pieśni z Nowej Zelandii, zapisanej w końcu XIX wieku. Pieśń wspomina również miejsce zwane Muri-wai-hou, podmorskie królestwo, którym rządzi bóg Limu, strażnik umarłych, ze swojego wielkiego pałacu w głębinie morza. A tak oto pieśń opisuje zaginiony kraj Irihia: „To była wielka ojczyzna ludu Maorysów, a w nim znajdowała się *whare-kura* [świątynia nauki] Rongo-marae-roa. Właśnie z tego kraju ludzie i plemiona rozproszyli się po wyspach wielkiego oceanu”. Rongo-marae-roa był odmianą Limu, białoskórego cywilizatora z zatopionego Hiva (Mu), zwanego Irihia przez Maorysów.

Aż do końca XIX wieku powszechnie uważano Irihia za pierwszych mieszkańców Nowej Zelandii, ponieważ przybyli około 1150 roku. Ale w 1996 roku archeolodzy metodą węglową przebadali kości miejscowego szczura *Rattus exulans* i wszystko się zmieniło. Według relacji R.N. Holdawaya w magazynie „Nature”: „Dane te wskazują, że szczur pacyficzny znalazł się na obu wyspach Nowej Zelandii prawie 2000 lat temu. Wydaje się niemożliwe, żeby przybył tam bez ludzkiej pomocy, na przykład na naturalnych tratwach”.

Poparł go archeolog David Sutton. Znalazł „dowody wypalania i niewytłumaczalną erozję na Nowej Zelandii, które można racjonalnie powiązać z wcześniejszymi od przybycia Maorysów działaniami niezidentyfikowanego ludu”.

Inny archeolog, George Cook, ustalił datę wykucia prawie 2000 megalitów w Lesie Waipoua w nowozelandzkim Northland przez nieznanymi budowniczych, którzy poprzedzali Maorysów. Maoryskie legendy opisują jasnoskórą rasę, Moriori, jako najstarszych mieszkańców Nowej Zelandii. Istnienie Moriori to fakt, ponieważ na początku XIX wieku europejscy podróżnicy odwiedzili ich ostatnią twierdzę, wyspę Chatham, oddaloną o około 804 kilometry na wschód od Nowej Zelandii. Już w 1835 roku Maorysi napadli na Chatham i zamienili mieszkańców w niewolników. Potem rozpoczął się okres ludobójstwa i kanibalskich uct. „Nikt nie uciekł”, powiedział podobno jakiś cytowany Maorys. „Ale co z tego? To było w zgodzie z naszymi zwyczajami”.



Ilustracja przedstawiająca młodą kobietę z plemienia Moriori tuż przed ich eksterminacją na początku XIX wieku.

Mur Kaimanawa i prawie 2000 megalitów z Lasu Waipoua nie są jedynym przykładem lem uryjskiej technologii na Nowej Zelandii. Znacznie mniej okazały, lecz równie tajemniczy obiekt został wydobyty na powierzchnię w dystrykcie Waverly podczas kopania studzienki ściekowej w 1925 roku. „Polynesian Society Journal” (Pismo Towarzystwa Polinezyjskiego) przedstawiło go tak: jego wymiary to 3,4 na 5 centymetrów; został wykonany z drobnoziarnistego czarnego kamienia, możliwe że z szarogłazu, nieporowatego piaskowca zawierającego fragmenty innych skał. Artefakt przypomina małą kulę bilardową, która z jednej strony ma równe, jednolite nacięcie długie na 1 milimetr z romboidalnym otworem prowadzącym do otworu głębokiego na 2,9 centymetra. Widać wyraźnie, że do wykonania tego przedmiotu potrzebna była zaawansowana obróbka maszynowa. Kontrastuje to jednak ostro z odkryciem tego znaleziska pod powierzchnią ziemi na głębokości 2,4 metra lub nawet głębiej. Dokładne datowanie artefaktu jest więc niemożliwe, mimo to można potwierdzić jego prehistoryczne pochodzenie. „[Wykonanie] tego obiektu wymagało dużo pracy”, zauważa William R. Corliss w książce *Archaeological Anomalies* (Archeologiczne anomalie), „ale nikt nie zna jego przeznaczenia”.

Na pewno nie mniej zagadkowy jest brak na tej kuli śladów obróbki, chociaż rdzenni mieszkańcy Nowej Zelandii nigdy nie używali dostatecznie mocnych narzędzi, by obrabiać szarogłaz, na pewno nie z taką precyzją, jak ten nieznaną obiekt. Brak ozdób lub napisów sugeruje, że nie był to przedmiot obrzędowy. Przypomina raczej część maszyny, chociaż to wrażenie jest nieprawdopodobne i fantastyczne. Maorysi nie znają takich przedmiotów. Niektórzy z nich podejrzewali, że należał do ich wymordowanych poprzedników, jasnoskórych Moriori, Wai-ta-hanui lub Urukehu, o których wiadomo, iż mieli specjalne kamienie, takie jak Pounamu, czyli „zielony kamień” z zatopionej Praojczyzny. Bez względu na pierwotną funkcję lub przeznaczenie artefaktu z Waverly, samo jego niezwykle wykonanie dowodzi, że prehistoryczną Nową Zelandię zamieszkiwali ludzie posiadający rozwiniętą technikę, która przynajmniej pod pewnymi względami mogła się równać z osiągnięciami epoki przemysłowej.

Pozostałości po tych biegłych w nauce ludziach znajdują się wszędzie na południowym Pacyfiku. Na mało znanej wyspie Raivavae, 643 kilometry na południe od Wysp Towarzystwa, istnienie monumentalnych posągów i kamiennych murów wymagających sporych umiejętności budowlanych i siły roboczej znacznie przekraczającej liczebność obecnej populacji, po raz pierwszy udokumentował francuski kupiec, J.A. Moerenhout. Dowiedział się od tubylców, że posągi miały „uwiecznić pamięć o najniezwykleszych zjawiskach, najokropniejszych katastrofach znanych na wyspie, takich jak zniszczenie kontynentu”.

Zresztą ani te ogromne ruiny, ani kolosalne posagi nie są jedynymi dowodami na istnienie zaginionej nauki Mu. Jej żywe dziedzictwo karmi miliony ludzi na całym świecie. Banan został zmodyfikowany za pomocą inżynierii genetycznej przed tysiącami lat i występuje na całym świecie, świadcząc o istnieniu technicznie zaawansowanej, globalnej cywilizacji w zamierchłej przeszłości. Podobnie jak inne pozbawione nasion owoce, w tym pewien gatunek słodkiej, „podwójnej” pomarańczy i niektóre rodzaje winogron, banany stworzyło to samo rolnicze społeczeństwo, którego dziełem są olbrzymie „ryżowe” tarasy w Bonaue i na Babeldaob. O lemuryjskim pochodzeniu bananów świadczy zachowany na Pohnpei mit o bogu Mwas en Len, domniemanym przodku. Legenda wyjaśnia, że pierwsze banany wyrosły z ciała boskiego węgorza. Przetrwanie tej ustnej tradycji w ważnym stanowisku archeologicznym Nan Madol tylko podkreśla jej znaczenie.

Być może informacje o najbardziej zadziwiającym i na pewno najbardziej trafnym przykładzie takiej zaginionej nauki doskonale nadają się na nagłówki dzisiejszych gazet, ponieważ wydaje się, że Lemuryjczycy już dawno opanowali technikę zastosowania komórek macierzystych. Dowód na ten zadziwiający wniosek można znaleźć między kamiennymi wieżami Wyspy Wielkanocnej. Znane jako *pipi hereko*, mają ponad 6,6 metra wysokości. Przechowywano w nich pępowiny wszystkich dzieci urodzonych na wyspie. Natychmiast po urodzeniu odcinano dziecku pępowinę podczas krótkiego prostego rytuału. Ojciec pędził z pępowiną do najbliższej wieży, gdzie strażnik zamykał ją w naczyniu z wypisanym nazwiskiem rodziny dziecka. Potem była przechowywana do ewentualnego użycia w przyszłości.

Ta praktyka okazała się nawet starsza niż przybycie Hotu Matua, ojca założyciela Wyspy Wielkanocnej, chociaż została sprowadzona z jego zatopionej ojczyzny przez sześciu pionierów z Marae Renga (z Lemurii), którzy zbudowali pierwsze *pipi hereko* przy zatoce Anakena. Tamte miejsca były uważane za ośrodki uzdrawiające, chociaż natura kuracji związanych z przechowywanymi pępowinami zaginęła wraz z eksterminacją długouchych Hanau-eepe przez polinezyjskich krótkouchych na początku XIX wieku. W każdym razie pierwotna nazwa Wyspy Wielkanocnej, Te pito te Henua, czyli Pępek Świata, przynajmniej w części wywodziła się z wiary tubylców w lecznicze właściwości ludzkiej pępowiny. Dokładne informacje o jej roli w praktykach uzdrawiających stosowanych przez wyspiarzy zaginęły, kiedy zostali porwani i wytępieni przez handlarzy niewolników na początku XIX wieku. Po zniszczeniu Mu nie wszyscy praktycy uzdrawiania pępowiną wyemigrowali na Wyspę Wielkanocną. Inni wyruszyli na Hawaje lub już tam mieszkali, ponieważ te wyspy stanowiły część państwa lemuryjskiego, w którego skład wchodziły liczne terytoria na Pacyfiku.

Znalazło to odzwierciedlenie we wczesnej nazwie Hawajów, Ka-houpo-o-Kane „czyli pępek Kane” (Kane był bogiem światła kojarzonego z dobrym zdrowiem i samym życiem). Taką migrację sugeruje historia czczony na Hawajach bogini Pele, która w zamierzchłej przeszłości urodziła się na Kahiki (jeszcze jedna nazwa Mu), w prowincji znanej jako Honua-mea, czyli Pępek. Po osiedleniu się na Hawajach nadała im nową nazwę od swojej ojczyznej prowincji, Ka Piko



Obraz z końca XIX wieku przedstawiający młodą Hawajkę, która trzyma przedmiot symbolizujący jej pępowinę. Czy było to odzwierciedleniem znanych od starożytności możliwości medycznego wykorzystania pępowiny?

o ka Honua – Pępek Świata. Ta nazwa przypomina dawne miano Wyspy Wielkanocnej: Te pito te Henua. Różne warianty mitu o bogini Pele świadczą, że określenie Pępek Świata było używane już przed jej przybyciem, co sugeruje, iż Hawaje stanowiły część Lemurii od samego początku.

Nawet dzisiaj w wiejskich regionach Japonii można się spotkać z oddawaniem czci dziecięcej pępowinie. W przyszłości ma to zapewnić zdrowie dziecku. Lemuryjskie powiązania kultu pępowiny – a w każdym razie związki Japonii z Wyspą Wielkanocną – odkrył w grudniu 1999 roku Hiroaki Hayashi, prezes klubu Japońskiego Towarzystwa Petrograficznego (JTP) na szczycie 816-metrowej góry Hoshigajo, na przybrzeżnej wyspie Shodojima. Trafił tam na dwie kamienne wieże, jedna miała 6 metrów wysokości i 4 metry szerokości. Druga 10 metrów wysokości i 5 metrów szerokości. Ich podobieństwo do *pipi hereko* z Wyspy Wielkanocnej jest bezsporne, a związki z Mu niewiele mniej widoczne. Miejscowa legenda przypisuje budowę tych wież pierwszemu cesarzowi Japonii, który nosił znamienne imię Jimmu.

Prezes JTP Nobuhiro Yoshida pisze, że te wieże były „poświęcone bóstwu płodności, tak zwanemu Strażnikowi Czerwonej Fasoli. Nie tylko w Japonii, ale [także w] Chinach, w Birmie, Tajlandii, w Tybecie i Korei, czerwona fasola była tradycyjnym składnikiem świętych uct. Wraz z gotowanym ryżem zjada się ją podczas ceremonii dnia zmarłych. Ciastka *mochi*, które ofiaruje się bogom, składają się z czerwonej fasoli wymieszanej z ryżem, miodem i cukrem. Interesujące, że sama nazwa tej wyspy, *shodojima*, znaczy wyspa czerwonej fasoli. Być może był to jeden z najważniejszych ośrodków religijnych w Azji, na co wskazuje tradycyjne skojarzenie z pierwszym cesarzem Japonii”.

Pewien rytuał podczas rzymskich lemuraliów wymagał, żeby pan domu rozrzucał fasolę we wszystkich pomieszczeniach mieszkalnych w ofierze dla niespokojnych duchów, lemurów. Natomiast moc płodności „Strażnika Czerwonej Fasoli” przypomina długowieczność, którą, jak uważali mieszkańcy Rapa Nui i Hawajów, zawdzięczali zachowanym pępowinom. W każdym razie związek starożytnej Japonii z Lemurią – o czym świadczą „pępowinowe” wieże Wyspy Wielkanocnej wydaje się niezaprzeczalny.

Lecz nic z tego, co wyżej opisaliśmy, nie miało sensu dla badaczy aż do końca XX wieku, kiedy uczeni odkryli, że krew ze świeżo odciętej pępowiny ma zdolności uzdrawiania przekraczające wszystko, co sobie dotąd wyobrażano. Według gazet z Detroit w stanie Michigan z 15 kwietnia 2004 roku: „Instytut Onkologiczny imienia Barbary Ann Karamanos zachęca ciężarne matki, żeby urodziły dzieci w szpitalu Hutzel i tam oddały ich pępowiny, które mogą uratować życie innych dzieci. Są bogate w komórki blastyczne, czyli macierzyste, cegiełki do budowy czerwonych ciałek krwi i systemu immunologicznego. Można

ich użyć zamiast znacznie trudniejszego przeszczepu szpiku kostnego. Istnieje dużo mniejsze prawdopodobieństwo, że komórki krwi pępowinowej zostaną odrzucone przez organizm chorego.

Czternastego października 2004 roku profesor biologii Mike Mathews powiedział lekarzom zgromadzonym w sali Uniwersytetu Stanowego Henderson: „We krwi pępowinowej dziecka znajdują się komórki macierzyste. Dojrzałe komórki macierzyste, które można wykorzystać, występują bardzo rzadko, gdyż jedna przypada na 15 000 [niedojrzałych] komórek”. Mimo to poczyniono spore postępy, zwłaszcza w Europie, w leczeniu raka oraz innych chorób przy użyciu krwi pępowinowej. Brytyjski profesor Jill Hows, dyrektor London Cord Blood Program [Londyński Program Badania Komórek Macierzystych], oświadczyła we wrześniu 2004 roku: „Krew pępowinowa jest ekscytującym nowym źródłem nadających się do przeszczepienia komórek macierzystych, którymi można leczyć pacjentów chorych na białaczkę”. Ona i jej koledzy uważają, że komórki macierzyste już wykazują potencjał do nowych metod leczenia, o jakich dotąd nie śniło się większości lekarzy praktyków.

Czy wiara rdzennych mieszkańców Wyspy Wielkanocnej, Hawajów i Japonii w uzdrawiające zdolności pępowiny, które ceniono jak najdroższe skarby, tylko przypadkowo zbiega się z dzisiejszymi odkryciami leczniczych właściwości krwi pępowinowej, które dopiero zaczynamy poznawać? A może szczególna cześć, jaką autochtoni okazywali pępowinom, była dziedzictwem starożytnej nauki Lemurii, jak to zasugerował polinezyjski mit? Czy Lemuryjczycy już wtedy wiedzieli coś, co uczeni z XXI wieku od niedawna zaczęli doceniać? Jak przyznał doktor Mathews: „Nie jesteśmy nawet bliscy zrozumienia istoty komórek macierzystych”.

5. Pułkownik z Mu

Przygody przybývają wraz z poszukiwaczami przygód.

Motto rodu Churchwardów

Historia Atlantydy miała dwóch wielkich zwolenników w świecie klasycznym i we współczesnym. Platon, najbardziej wpływowy myśliciel we wczesnej historii cywilizacji Zachodu, przekazał pierwszą znaną spisana relację z IV wieku p.n.e. Dwadzieścia trzy wieki później Ignatius Donnelly, amerykański erudyta, spopularyzował ją wraz z klasycznymi mitami i wiedzą o wiktoriańskiej geologii. Historia Mu nie ma wybitnego narratora z czasów starożytnych, a więc musi przedstawiać ją współczesny badacz.

James M. Churchward urodził się 3 lutego 1851 roku w Anglii w starej, szanowanej rodzinie z Devonshire. Ukończył Oksford i Sandhurst Military College, gdzie studiował inżynierię. W 20. roku życia poślubił Mary Stephanson. Młody Churchward został wysłany do Delhi, razem z żoną popłynął więc do Indii. Później zdobył stopień pułkownika w regimencie Jej Królewskiej Mości, do którego go przydzielono, i tam pozostał aż do przejścia w stan spoczynku. W trakcie służby szpiegował potencjalnych powstańców dla wywiadu armii brytyjskiej, jednocześnie starając się ulżyć Hindusom cierpiącym głód. Po sukcesie tych operacji ratowniczych przyszedł do niego *rishi*, arcykapłan z hinduskiego klasztoru w jednej z alej w pobliżu kwatery głównej nad Brahma-putrą.

Pięćdziesiąt lat później Churchward wspominał: „Kiedy zobaczył, że próbowałem rozszyfrować napis na pewnej szczególnej płaskorzeźbie, pokazał, jak rozwiązać zagadkę tych inskrypcji, i zaproponował, że udzieli mi lekcji, które przygotują mnie do jeszcze trudniejszej pracy”. Kapłan powiedział Churchwardowi o tabliczkach jakoby opisujących prehistorię Indii. Wprawdzie przepisy

klasztorne zabraniały cudzoziemcom dotykania tych zabytków, ale brytyjski oficer argumentował, że są tak zniszczone, iż obaj powinni przynajmniej skopiować zapisaną opowieść, aby ją zachować. Przez dwa lata nauki Churchward opanował martwy język, w którym napisane były tajemnicze teksty. Potem ze swoim mentorem przez następnych kilka miesięcy stopniowo je tłumaczył. Jak wspominał w pierwszym tomie *Cosmic Forces of Mu* (Kosmiczne siły z Mu): „W Indiach znalazłem wiele glinianych tabliczek przywiezionych tam z Praojczyzny Naacalów [święte bractwo Lemuryjczyków].

[Owi Naacalowie] pierwotnie sprowadzili bibliotekę liczącą ponad 10 000 tabliczek; stąd można się przekonać, że to, co znalazłem, tworzyło tylko jeden paragraf w długiej historii. Wszystkie tabliczki Naacalów, z wyjątkiem bardzo nielicznych, mówiły o stworzeniu [świata] i działaniu sił kosmicznych”.

Opowieści, jaką znalazł Churchward, nie odkryto nigdzie indziej. Głosiła, że niegdyś na Oceanie Spokojnym, od bardzo dawna, istniał ogromny kontynent. Tam ludzie stworzyli pierwsze zorganizowane społeczeństwo, znane jako



James Churchward w czasie, kiedy napisał pierwszą książkę o pacyficznej cywilizacji Mu.

Mu, Praojczyzna cywilizacji. Teokratyczni królowie-kapłani rządili przez tysiące lat, podczas których mieszkańcy Mu osiągnęli wysoki poziom duchowości i kultury. Misjonarze z Mu głosili oświecone zasady swojej religii na wschodzie i zachodzie, a ich ziomkowie z pokolenia na pokolenie cieszyli się pokojem i dostatkiem. Lecz około 12 000 lat temu Ziemią wstrząsnęły gwałtowne konwulsje i królestwo Mu zniszczyła katastrofa naturalna. Wiele niezwykle silnych wstrząsów rozbiło powierzchnię państwa-kontynentu, który potem niemal całkowicie zatonął. Niektóre z wysp południa Pacyfiku są małymi, rozrzuconymi na bezkresnym oceanie pozostałościami tego niegdyś potężnego imperium. Nie wszyscy mieszkańcy jednak wyginęli. Część rozbitków dopłynęła aż do Zatoki Bengalskiej, gdzie w Indiach dała początek nowej cywilizacji. Z czasem przybysze z Mu zostali zasymilowani, ale ich dzieje przetrwały na rozsypujących się glinianych tabliczkach, które odczytali Churchward i stary hinduski kapłan.

„Przez siedem lat, wykorzystując każdy wolny dzień”, powiedział Churchward słuchaczom podczas wykładu w siedzibie nowojorskiego American Society for Psychical Research (Amerykańskie Towarzystwo Badań Psychiki) – „pilnie studiowałem pod kierunkiem starego *rishi*, ucząc się języka Mu, jego symboli, alfabetu i pisma, pragnąc dowiedzieć się czegoś o dawnych ludziach. Wtedy nie zamierzałem opublikować swoich odkryć. Prowadziłem badania wyłącznie dla zaspokojenia ciekawości. Byłem jedynym, komu stary *rishi* kiedykolwiek udzielił wskazówek dotyczących tego tematu”.

Artefakty, które odczytał, zmieniły życie Churchwarda. „Tabliczki dostarczyły mi pierwszych informacji o Mu”, wspominał w swojej pierwszej książce, „i posłały mnie na poszukiwania na całym świecie. Napisali je Naacalowie, albo w Birnie, albo w Praojczyźnie. [Tabliczki] opowiedziały, że Naacalowie pierwotnie przybyli z Mu, łądu położonego na środku Pacyfiku”. W 1880 roku Churchward zrezygnował ze służby wojskowej i rozpoczął poszukiwania dodatkowych dowodów na istnienie Mu poza Indiami. Ale dalsze działania Churchwarda w tym kierunku utrudniły: upadłość jego plantacji herbaty na Cejlonie i późniejszy rozwód z żoną, z którą miał jednego syna, Carltona. W chwili rozvodu rodziców chłopiec miał zaledwie osiem lat. Później Churchward podróżował samotnie po południowo-wschodniej Azji, następnie przez Polinezję, w czasie, kiedy takie podróże były znacznie trudniejsze, dłuższe i bardziej niebezpieczne niż dzisiaj. Pod patronatem brytyjskiego konsula na Samoa, którym akurat był jego kuzyn William Churchward, pułkownik popłynął na oddaloną, rzadko odwiedzaną wyspę Pohnpei w archipelagu Wysp Karolińskich i na Nową Zelandię, gdzie poznał ustne tradycje Maorysów o zaginionej Praojczyźnie bezpośrednio od tamtejszych wodzów.

W 1883 roku wyruszył do zachodniego Tybetu, potem przyłączył się do pewnej wyprawy udającej się do Mongolii i na Syberię. Wszędzie, dokąd przybył,

pytał tubylców, czy kiedykolwiek słyszeli o miejscu zwanym Mu. W większości wypadków odpowiadali mu obojętnymi spojrzeniami lub wzruszali ramionami. Czasami jego pytania wywoływały jednak wrogie reakcje. W Birmie podzielił się informacjami o odkryciu w Indiach tabliczek Naacalów z najwyższym kapłanem z klasztoru pod Rangunem. Kapłan nagle się oburzył i oświadczył, że te tabliczki skradziono z ich pierwotnego birmańskiego źródła. Churchwardowi pokazano drzwi, a duchowny splunął z gniewem za odchodzącym cudzoziemcem. Po wielu latach, gdy Churchward wypytywał pewnego wyspiarza z Mórz Południowych o pochodzenie jego plemienia, tamten nagle zaczął się zachowywać agresywnie – wykrzykiwał przekleństwa, którym towarzyszyły groźne gesty. Okazało się, że chodziło o odwieczne tabu, które usłyszał w nazwie *La-Mu-Ra*.

Chociaż takie spotkania były zaskakujące dla upartego badacza, mimo to potwierdzały autentyczność rozpadających się tabliczek starego hinduskiego *rishi*.

„Te odmowy zniechęciły mnie trochę”, wspominał Churchward, „ale już otrzymałem tak wiele cennych informacji z tabliczek, że postanowiłem zbadać pisma wszystkich starożytnych cywilizacji i porównać je z legendami o Mu”. W końcu zaczął mówić płynnie po tamilsku, języku Sri Lanki, poznał też maoaryski oraz różne dialekty polinezyjskie i mógł swobodnie porozumiewać się z tubylcami. Dzięki odwiecznym legendom o Wielkim Potopie, które mu opowiedzieli różni rozmówcy, zaczął kreślić kulturowe zarysy zatopionego królestwa, opisanego w hinduskich kronikach.

Po przybyciu do Stanów Zjednoczonych w 1884 roku Churchward kontynuował poszukiwania lemuryjskich śladów w Meksyku i Ameryce Środkowej. Podróże wyczerpały jego fundusze, zatrudnił się więc jako sprzedawca dostaw kolejowych. Nie miał jednak stałych dochodów, dlatego często brakowało mu gotówki. Dla uzupełnienia mizernego zarobku opatentował i sprzedał swoje wynalazki firmie Bangor & Aroostook Railroad, w tym pomysły wzdłużnice pokładowe i nakrętki do zamków. Chociaż nigdy nie stracił zainteresowania Mu, w tamtym czasie musiał walczyć przede wszystkim o przetrwanie. Lecz entuzjazm odżył, gdy badacz spotkał i zaprzyjaźnił z Augustusem Le Plongeonem, kontrowersyjnym specjalistą od Majów, i z Alice, jego żoną.

Syn komodora we flocie francuskiej, Le Plongeon urodził się na wyspie Jersey w 1826 roku. Dwadzieścia cztery lata później, po próbach zdobycia bogactwa podczas gorączki złota w Kalifornii, stał się mierniczym hrabstwa San Francisco, potem skończył studia medyczne. W średnim wieku poślubił Alice Dixon, 22-letnią Angielkę mieszkającą w Brooklynie. Ci oddani sobie ludzie byli prawdziwymi pionierami w archeologii. Razem poznali więcej położonych

na bezludnych terenach pozostałości cywilizacji dawnych Majów niż ktokolwiek przed nimi. W latach 1873–1885 badali dżunglę Jukatany, dzieląc niewygody i przygody, a jednocześnie gromadząc duże kolekcje bezcennych artefaktów, które przesyłali do wielkich muzeów Ameryki Północnej. Oprócz znalezisk było tam ponad 500 zdjęć niezwykłych miejsc, których nigdy przedtem nie sfotografowano, oraz 20 arkuszy papieru ze starannie skopiowanymi freskami i malowidłami.

Mimo wszystkich tych trudów i osiągnięć, większość zawodowych antykwaryuszy – bo tak ich nazywano w epoce wiktoriańskiej – lekceważyła Le Plongeon jako zwariowanego amatora z powodu jego interpretacji hieroglifów Majów. Wysiłki archeologa, który starał się zrozumieć skomplikowane symbole



Augustus Le Plongeon (w środku), archeolog-pionier z końca XIX wieku, który znalazł ślady Lemurii w Meksyku.

Majów w kontekście tradycji miejscowych Indian, chociaż ostatecznie zakończone niepowodzeniem, były jednak pionierską próbą przetłumaczenia tego niezwykłego pisma. Krytycy Le Plongeona, który jeszcze mniej niż on wiedzieli o piśmie Majów, nie mieli racji, potępiając jego interpretacje. Tak czy inaczej, te znaki opierały się wszelkim wysiłkom uczonych jeszcze przez kolejnych 100 lat.

W latach 90. XIX wieku przypuszczenia Le Plongeona co do znaczenia glifów, były równie dobre jak każde inne, a na pewno bardziej cenne, chociażby dlatego że spędził on ponad 10 lat na środkowoamerykańskim polu badań. Natomiast jego małoduszni koledzy spekulowali na ten temat w wygodnych salonach w kampusach college'ów. Szydli, że jego tłumaczenie hieroglifów Majów to wyłącznie wybryk fantazji. „Zostałem oskarżony o propagowanie pomysłów o starożytnej Ameryce sprzecznych z opiniami ludzi uważanych za autorytety w amerykańskiej archeologii”, stwierdził. „To może być moje nieszczęście, ponieważ na pewno skupiły się na mnie ich wrogość i jej konsekwencje”.

A przecież Le Plangeon wykazał lepsze zrozumienie niezbadanego pisma Majów, kiedy twierdził, że odczytał słowo Chac-Mool (wraz ze specyficznymi wskazówkami do miejsca, gdzie był zakopany ten posąg) z inskrypcji zdobiącej zewnętrzne ściany jakiejś konstrukcji w ceremonialnym ośrodku religijnym w Chichén Itza na Jukatanie. Jego kopacze zabrali się do pracy w miejscu, które, jak wierzył, wskazała inskrypcja, i wydobyli z głębokiej na 7,6 metra jamy jeden z najpiękniejszych okazów sztuki środkowoamerykańskiej, jaki kiedykolwiek znaleziono. Monumentalna rzeźba była po mistrzowsku wykonaną podobizną leżącego mężczyzny, który trzymał misę nad pępkiem. Symbolizowało to przedpotopowy kult pępka świata praktykowany w Mu i na Atlantydzie.

Inżynierskie umiejętności Le Plongeona umożliwiły ciężko pracującym Indianom wydobyć na powierzchnię tego 2-tonowego monolitu z podziemnej skrytki tylko przy użyciu lian i pni drzew. To odkrycie dowiodło, że Le Plangeon prawidłowo zinterpretował majańską inskrypcję. Nic nie mogło pozbawić go tego triumfu, nawet kiedy Chac-Mool został mu odebrany w Meridzie przez lokalne władze. Wkrótce potem meksykański okręt wojenny pojawił się przy brzegu morza i zagroził ostrzałem miasta, jeśli posąg nie zostanie natychmiast przekazany dowódcy. Posąg zabrano na pokład i w końcu wystawiono na widok publiczny w Meksyku, gdzie nadal można go oglądać.

Tragiczne, że Le Plangeon nie żył dostatecznie długo, aby zobaczyć, jak archeologia końca XX wieku zweryfikowała jego pracę. Był pierwszym badaczem, który stwierdził, że ruiny El Caracol w Chichén Itza to dawne obserwatorium astronomiczne, i obliczył, iż Majowie dzielili koło na 400 jednostek. Jego prawidłowy przekład majańskiego słowa oznaczającego węża, *chan*, miał

decydujące znaczenie, ponieważ wykazał, iż Majowie opisywali pełne koło terminem *chan-bak*, co jednocześnie znaczy „okrągły wąż” i określa liczbę 400. Ta sama symbolika pojawia się w znanym w Starym Świecie europejskim Ouroborosie, wężu, który gryzie własny ogon, symbolizując życie wieczne.

Te rewelacje umożliwiły zrozumienie astronomiczno-duchowego charakteru architektury Majów. Badania Le Plongeon piramid z Jukatanu wykazały, że wiele z nich było wysokich na 21 metrów, a ich pionowe płaszczyzny miały kształt półokręgu, którego średnicę stanowiła podstawa, miejsce zetknięcia z ziemią. Zdumiony pionier archeologii doszedł do wniosku na podstawie tych powtarzających się wymiarów, że przynajmniej niektóre z majańskich piramid odzwierciedlały wymiary samej Ziemi. „W tej sprawie również miał rację jak [biblijny] prorok”, zauważył Peter Tompkins, popularny autor *Secrets of the Mexican Pyramids* (Sekrety meksykańskich piramid).

Inne słowo, które, jak twierdził Le Plongeon, raz po raz odczytywał w inskrypcjach Majów, to Mu. Sprawiało wrażenie związanego z historią potężnego, wyspiarskiego królestwa, które znajdowało się na środku Oceanu Atlantyckiego, zanim zostało zniszczone przez bliżej nieokreśloną katastrofę naturalną. Churchwarda zdziwiło odkrycie Le Plongeon i lokalizacja zaginionego mocarstwa na Atlantyku. To bardziej przypominało platońską Atlantyde niż pacyficzną Praojczyznę, o której dowiedział się w Indiach. Nie wątpił, że nazwa była właściwa, ale odnosiła się do niewłaściwego miejsca. Mimo tego obaj badacze szybko się zaprzyjaźnili, a Le Plongeon był szczęśliwy, że znalazł kogoś, kto wysoko cenił jego pracę.

Churchwarda, który pragnął teraz na nowo podjąć poszukiwania Mu, irytowała kiepska sytuacja finansowa. Postanowił więc zdobyć dostatecznie wysokie dochody, aby sfinansować swoje badania. Wiedząc, że jego wybitnie zdolny brat próbował wynaleźć wzmocnioną stal, James przyłączył się do niego w nadziei, że uda mu się to, co nie powiodło się Albertowi, i w ten sposób zbije majątek dla nich dwóch. Wydawało się, że to mrzonka, choćby dlatego, że pułkownik wcale nie znał się na metalurgii. Spędził jednak wiele lat na kolei, znał właściwości stali i sam był doświadczonym inżynierem. Mimo to wynalezienie przez niego lepszego i tańszego stopu niklu, chromu i wanadu w 1907 roku wydaje się nieprawdopodobne.

Stop natychmiast wywarł tak ogromny wpływ na cały przemysł, że patent Churchwarda ukradli długoletni rywale i dostawcy floty amerykańskiej, którzy chcieli utrzymać wysokie ceny stali. Nowy stop zagrażał bowiem ich wygórowanym zyskom. Churchward pozwał kapitalistycznych złodziei do sądu i w 1910 roku wygrał 275 000 dolarów od Carnegie Steel. Pięć lat później wyrokiem sądu uzyskał 1 000 000 dolarów od Bethlehem Steel. Prawnicy

z korporacji bezlitośnie ograbili go niemal z całej zasądzonej kwoty, pozostawiając mu tylko 135 000 dolarów, ale nawet to była pokaźna suma na początku XX wieku.

Churchward kupił 4-hektarowy majątek w Lakewood w stanie Connecticut, gdzie zaczął kompilować notatki będące podsumowaniem 50 lat badań i podróży. Rezultatem była książka *Lost Continent of Mu* (Zaginiony kontynent Mu), wydana w 1926 roku, kiedy Churchward miał 73 lata. Odniosła natychmiastowy sukces. Sprzedawano ją w setkach tysięcy egzemplarzy. Wczesne recenzje w takich prestiżowych czasopismach, jak „New York Times” i „Seattle Post-Intelligencer” rozpyływały się w pochwałach.

Lecz aplauz wkrótce ustąpił miejsca kontrowersjom, kiedy opinia naukowców zaciążyła na głównej słabej stronie książki. Churchward nie zdołał bowiem dostarczyć żadnych dowodów na potwierdzenie swoich niezwykłych hipotez. To była zasadnicza wada pracy, a sytuację jeszcze pogarszała apodyktyczna postawa autora. „Najefektywniejszym sposobem zniszczenia każdej hipotezy”, napisał wybitny specjalista od mitologii Lewis Spence, odnosząc się do zadufanego pułkownika we własnej książce o Lemurii, „jest przedstawianie jej jako dogmatu, z pompatyczną pewnością siebie i nietolerowanie poglądów innych osób, co wypada niekorzystnie w zestawieniu z głębokim przekonaniem o własnej słuszności”. Znanego atlantologa Edgertona Sykesa, chociaż liczył na ważne informacje o Lemurii, zawiodła książka Churchwarda. Uznał ją za nieznośną i niepotrzebnie konfrontacyjną. Ortodoksyjni archeolodzy i geolodzy, co zrozumiałe, jeszcze ostrzej krytykowali Churchwarda, dając mu burę jako amatorowi, który bezczelnie wyważa drzwi w ich akademickich wieżach z kości słoniowej.

Według florydzkiego atlantloga Kennetha Caroliego:

(...) jednym z najważniejszych zarzutów postawionych Churchwardowi, był brak fotografii tabliczek Naacalów, niemożność pokazania samych tabliczek, a także odmowa ujawnienia nazwy świątyni, gdzie je zobaczył. Po pierwsze, nie należały do niego, więc nie mógł ich pokazać. Po drugie, nigdy nie powinien był ich zobaczyć, więc kapłani z tamtej świątyni nie mogli wystąpić w jego obronie. *Rishi*, jego nauczyciel, na pewno już nie żył w czasie, gdy Churchward napisał książkę, po 50 latach. Po trzecie, tabliczki Naacalów podobno zostały dawno temu skradzione z Birmy. Podanie miejsca ich przechowywania mogło spowodować kłopoty. Świątynia, w której przechowywano tabliczki, była prawdopodobnie hinduistyczna, podczas gdy same zapiski mogły być buddyjskie lub uważane za takie, a zatem stanowiły tabu.

Ataki te nie powstrzymały Churchwarda, który wydał *The Childern of Mu* (Dzieci Mu) w 1931 roku, dwa lata później *The Sacred Symbols of Mu* (Święte symbole Mu), a w 1934 roku tom I *The Cosmic Forces of Mu* (Kosmiczne moce Mu), i rok później tom II, ostatnią swoją książkę. Chociaż każda kolejna pozycja była coraz mniej wiarygodna i bardziej oburzająca niż poprzednia, Churchward stał się znakomitością, udzielał wywiadów w radiu i wygłaszał wykłady o „swoim” zaginionym kontynencie. Zmarł w 1936 roku w wieku 84 lat w drodze do Los Angeles na prezentację swoich odkryć. Pochowano go na cmentarzu Kensico w Walhalli w Nowym Jorku. Tuż przed śmiercią pracował nad następną książką *Traces of Mu in America* (Ślady Mu w Ameryce), której nie ukończył; wkrótce potem ten tekst zniknął. Inną zlekceważoną pracą, która musiała czekać pół wieku na publikację, była *Book of the Golden Age* (Księga Złotego Wieku), dokument z własnoręcznym pięknym, płynnym pismem Churchwarda, zadedykowany jego siostrzeńcowi i „adoptowanemu synowi” Howardowi Williamowi Kereseyowi.

Gdyby Churchward napisał o swoich doświadczeniach w hinduskiej świątyni i o późniejszych podróżach po świecie mniej pogardliwym tonem, stworzyłby znacznie bardziej czytelną, wiarygodną serię opracowań o Mu. A tak jego książki są poplątaną, napuszoną mieszaniną groteskowych dociekań geologicznych, niczym nieopartych twierdzeń, nieprzekonywających opinii, których nie odróżnia od prawdziwych tradycji ludowych, zaginionych, lecz prawdopodobnie autentycznych dokumentów oraz wartościowych znalezisk archeologicznych. *The Lost Continent of Mu* i następne tomy zapewne są rezultatem znajomości jakiegoś autentycznego hinduskiego dokumentu, który autor usiłował przedstawić w języku współczesnej nauki. Teoria Churchwarda, że niestabilne „pasy gazowe” pod dnem morza miały spowodować zagładę Mu, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością geologiczną. Gigantyczne postępy w oceanografii od jego czasów wyraźnie wykazały, że żadne kontynenty ani nie istniały, ani nie zatoniły w czasach prehistorycznych na określonym przez niego obszarze południowośrodkowego Pacyfiku.

Nie znaczy to, że teza o zaginionym lądzie – Mu – nie miała w istocie żadnych podstaw geologicznych. Względnie mała wyspa-kontynent istniała na Morzu Południowocchińskim, aż została zalana podczas potopu 7000 lub więcej lat p.n.e., i jest niemal pewne, iż zamieszkiwali ją wtedy ludzie. Po drugiej stronie Oceanu Spokojnego wyspy i całe archipelagi wynurzały się i znikały pod powierzchnią morza nawet współcześnie. Wyspę Davies, w sąsiedztwie lepiej znanej Wyspy Wielkanocnej, odkryto i opisano w połowie lat 50. XVIII wieku. W następnym stuleciu zniknęła bez śladu. Chociaż argumentacja Churchwarda o istnieniu zatopionego kontynentu na Pacyfiku może budzić wątpliwości,

mnóstwo zalanych przez fale oceanu wysp, archipelagów i nawet fragment większego lądu są wiarygodnymi kandydatami na zaginiony kontynent Mu. Mimo to przytoczona przez Churchwarda niezwykła mapa zaginionego kontynentu jest bardzo podobna do tego, co od tamtej pory geolodzy określili jako „wielkie spiętrzenie”. To rozległy region płytszych głębin morza, wulkanów, gór podwodnych i aktywności sejsmicznej, rozpoczynający się na Grzbiecie Wschodniopacyficznym, którego oś skierowana jest na zachód, i dominujący większą część środkowego Oceanu Spokojnego. Być może jednak istniał tam zaginiony kontynent Mu.

Pułkownik Churchward przytoczył znacznie więcej nonsensownych twierdzeń i beużytecznych dygresji o przedstawieniach dinozaurów w sztuce naskalnej w Arizonie i tabliczkach Naacalów w Meksyku. Usiłował też przedstawić ewidentnie buddyjskie, hinduskie lub azteckie artefakty z ostatnich kilku stuleci jako autentyczne lemuryjskie wyroby liczące wiele tysięcy lat. Najważniejsza wśród tych wyraźnie błędnych wyobrażeń była fotografia siedzącej postaci z brązu, którą opisał jako liczące 18 000 lat przedstawienie Mu, „władcy świata”. W rzeczywistości to jeden z 21 *taras*, czyli „aspektów” Buddy, który można datować najwcześniej na XIII wiek, a prawdopodobnie jest znacznie późniejsza. Wbrew twierdzeniu Churchwarda, że przedstawienia ruchów rąk tej figury mają coś wspólnego „z otrzymaniem duszy od Stwórcy”, lewa ręka posągu „wykonuje” *Abhaja*, gest odwagi; prawa zaś – *Bhumisparha* – czyli przysięgę na Matkę Ziemię, że [Budda] nauczał prawdę.

Pod tymi wszystkimi kolosalnymi błędami, przesadą i wymysłami kryją się jednak ciekawe zarysy interesującego tematu, na którego potwierdzenie wytrawni uczeni nadal znajdują znacznie lepsze dowody niż Churchward. Gromadzona przez całe życie kolekcja materiałów Le Plongeaona, którą Churchward odziedziczył po śmierci przyjaciela w 1908 roku, tworzy podstawowe, jeśli nie zawsze wiarygodne, źródło książek o Mu. Mimo to są one naprawdę cenne, ponieważ świadczą o prawdziwości zasadniczych zarysów historii, którą można zweryfikować dzięki licznym świadectwom udokumentowanym w tej pracy. Opowieść Churchwarda odgrywa rolę szkieletu uzupełnionego cielesną powłoką przez pokrewne dowody. Służy więc do połączenia tysięcy faktów w rozpoznawalną całość, która rozrasta się wraz z napływem nowych dowodów. Możemy odrzucić około trzech czwartych jego stwierdzeń. Ale pozostała część dowodzi, że Churchward na pewno miał dostęp do kronik opisujących zaginioną Praojczyznę Mu.

Czytelnicy mogą tylko wierzyć autorom na słowo, jeśli chodzi o zawartość tabliczek z hinduskiej świątyni, których nie przetłumaczył bezpośrednio, tylko – jak twierdził – przeczytał w Indiach. Mimo wszystkich swoich słabostek

Churchward zapoczątkował pierwsze poważne badania zaginionej pacyficznej cywilizacji i poszukiwania trwające do dziś.

6. Rajski ogród?

*Przez ponad pięćdziesiąt lat szukałem tych strzępów i układałem je razem,
aby sformować początek sensownej opowieści o Stworzeniu Człowieka.
Zadaniem tych, którzy przyjdą po mnie, będzie dokończenie tej opowieści.*

Pułkownik James Churchward

James Churchward wierzył, że dawne, kruche tabliczki, które zobaczył i przetłumaczył w 1870 roku, w Indiach stworzyli „Święci Bracia – Naacalowie – kapłańskie bractwo wysłane z Praojczyzny do jej kolonii, aby uczyć świętych tekstów, lemuryjskiej religii i przekazywać wiedzę. Naacalowie tworzyli w każdym takim kraju specjalne szkoły do nauki („zawodu”) kapłana, religii Mu i stworzonych przez nią nauk. Wykształceni w tych szkołach kapłani uczyli z kolei [swoich] ziomek”: to dlatego wspomniane lemuryjskie tabliczki przechowywano w hinduskiej świątyni.

Teksty objaśniało kilka ilustracji – miały przedstawiać obrazy kojarzone z wysoko rozwiniętą cywilizacją przed jej zniszczeniem. Najważniejszym symbolem była litera *tau*, czyli duże T, na którym umieszczano kwitnący lotos z mniejszymi paprociami po obu stronach. Na lewo od T przedstawiano jelenia stojącego na tylnych nogach, jakby w podskoku. Według Churchwarda ta złożona figura wyobrażała „nastanie człowieka w kraju Mu”. Lotos symbolizował oświecenie duszy lub świadomości, jak po dziś dzień w buddyzmie, natomiast para paproci wyobrażała duchową i materialną obfitość. T było samym Mu wyruszającym się pośrodku oceanu. Narodziny i pochodzenie człowieka przedstawiał jeleni „skaczący do życia”.

Churchward, co dla niego typowe, w swoich pracach nie przytaczał źródeł dotyczących symbolu *tau*, lecz tylko własną interpretację tego znaku. Mimo to *tau* występuje w wielu kulturach, które mogły znajdować się pod lemuryjskimi

wpływami. Na przykład pojawia się na terytorium samej zaginionej Praojczyzny, między innymi na wyspach Markizach w Polinezji Francuskiej. Królowie i arcykapłani niosą „berło” w kształcie litery T, zwane Krzyżem Boga. Według Leinani Melville używali go „ podczas świąt państwowych lub uroczystości religijnych, gdy uczestnicz[yli]w obrzędach w świątyni. *Tau* wyciosywano z twardego drewna, które arcykapłan starannie wybrał i pobłogosławił. Zazwyczaj miało 60–120 centymetrów długości, 5 lub 7,5 centymetrów szerokości i 2,5 lub 5 centymetrów grubości”. Krzyż Boga ze staranie wybranego drewna był dla Hawajczyków Drzewem Życia, czyli Puka-tala.

Pohutukawa, w maoryskim wariancie tej opowieści, to święte drzewo rosnące w środku zatopionego pałacu boga Limu, „z którego dusze spadały do przepaści prowadzącej pod morzem do krainy duchów [zmarłych]”, według Knaperta. Obie legendy, hawajska i maoryska, opisują kraj, gdzie to drzewo było czczone jako rajskie miejsce narodzin ludzkości. Stamtąd ludzie rozprzestrzenili się na cały świat. Nie wygnał ich żaden rozgniewany bóg, ale zmusił do opuszczenia Kahiki-homnua-kele, Kapakapaua-a-Kane, Pali-ilu (można tu użyć wielu innych nazw), czyli pacyficznego Edenu, kiedy ten zniknął pod powierzchnią morza, aby stać się krajem umarłych. W większości polinezyjskich tradycji brak jakichkolwiek skojarzeń z upadkiem człowieka i utratą przez niego łask nieba.



Kamienny blok w japońskim muzeum Mu, który przedstawia przybycie wczesnych ludzi do Lemurii. Symbolizuje to jeleni skaczący na T, czyli *tau*, symbol Mu.

Moralistyczna wersja w Księdze Rodzaju wydaje się specyficznie hebrajska. Kapłani wykorzystywali poczucie winy do kontroli wiernych.

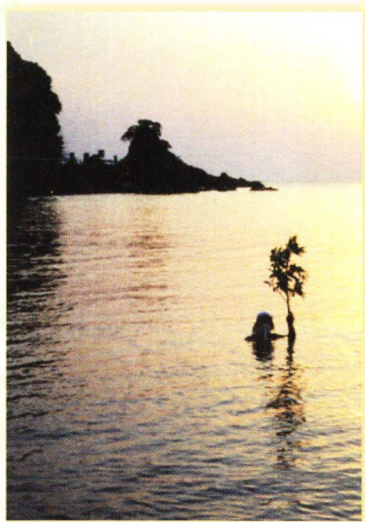
Churchward twierdził, że „*tau* (ta-oo) to jedno z nielicznych słów, które przetrwały z zaginionej Praojczyzny”. Przymuszczenie występuje ono w takich nazwach, jak Hora-nui-a-Tau, czyli „wielki rozpostarty kraj Tau” i Hau-papa-nui-a-Tau, „górzysty kraj Tau”. W maoryskiej tradycji ludowej były to ojczyzny, z których w zamierzchłej przeszłości przybyli Tangata-Whenua, pierwotni mieszkańcy Nowej Zelandii. Churchward napisał dalej, że „wśród wyspiarzy z Mórz Południowych konstelacja Krzyża Południa zwana jest *tau-ha*”. Hawajczycy określali ten sam gwiazdozbiór „prowokacyjnym” słowem Humu. Ich Krzyż Boga w kształcie *tau*, był znany jako *ta-ha-oo*. Prawie 4827 kilometrów od Hawajów kolosalna piramidalna platforma – Tahuala – stoi w Mu’a, starożytnym mieście portowym na polinezyjskiej wyspie Tonga.

Wymyślne T powtarza się w malarstwie australijskich Aborygenów na korycie drzewnej. Okala siedem iskrzących się postaci, odpowiadających Plejadom. W aborygeńskim micie ta konstelacja należała do grupy duchów zwanych Muramura – nazwa łączy określenie zatopionej Praojczyzny ze słonecznym bogiem Ra. Duchy stworzyły ludzi, wygładzając członki nieukształtowanych zwierząt, a potem nauczyły ich pierwszych obrzędów inicjacyjnych, wtajemniczając w święte misteria. Muramura już wcześniej wędrowały po świecie, zanim zostały wciągnięte na nocne niebo przez długą „linę z włosów”. Ich imię, funkcja jako stwórców ludzi i status jako podróżników po świecie podkreśla lemuryjską tożsamość tych duchów.

W tubylczej ustnej tradycji *keilahn aio* „drugiej strony wczoraj” Mwas en Pahdol była pramatką, która przyniosła szczególne drzewo palmowe na Pohnpei ze swojej dalekiej ojczyzny. W historii Mwas en Pahdol łączy się kilka ważnych wątków, z których wielkie znaczenie ma jej lemuryjskie imię i zdumiewające stanowisko archeologiczne Nan Madol, opisane w rozdziale 1.

Ten główny lemuryjski symbol pojawia się też wśród hawajskich petroglifów Puako. Wzdłuż Szlaku Keo turyści znajdą kilka przykładów wrytego T w połączeniu z Lono, jasnowłosym, białoskórym cywilizatorem z zaginionego królestwa. Lono władał potężną *mana*. Jego osobistym godłem, znanym jako Lonomakua, czyli „Ojciec Lono”, był wysoki drewniany pał. Na szczycie znajdowała się poprzeczna belka, tworząc *tau*, które, jak twierdził Churchward, symbolizowało Mu. Lonomakua noszono po całej wyspie w święto Makahiki, kiedy czczono przybycie Lono z zatopionego królestwa w odległej przeszłości. Identyfikację Lono z Mu podkreśla jego tytuł, *Hu-Mu-hu-Mu-nuku-nuku-apua’a*, co wskazuje, że mógł on „płynąć” z Mu między wyspami jak ryba. Jest to aluzja do umiejętności transoceanicznego żeglarza.

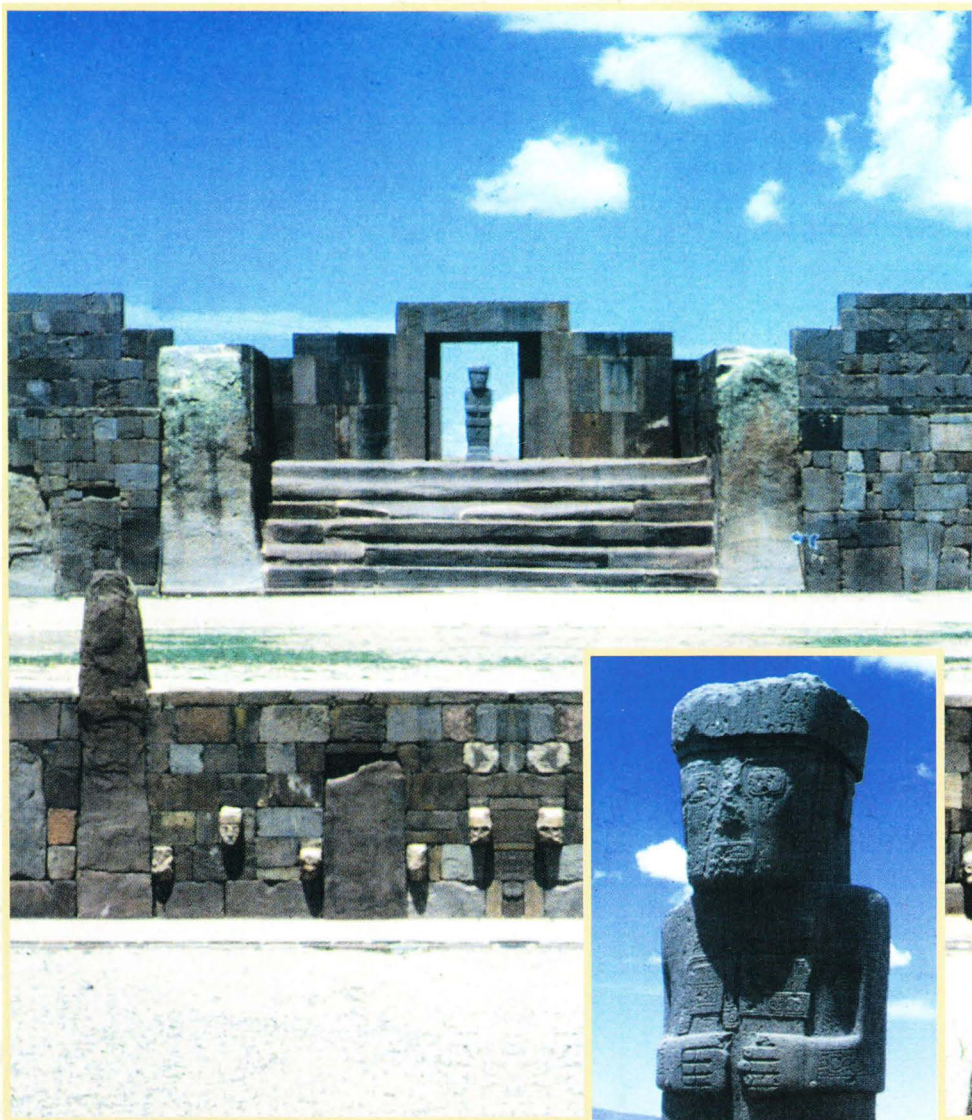
Ślady osadzenia się ziemi, sięgające aż po podbródek odkopanego *moai*, wskazują, że posąg jest znacznie starszy niż data, którą ustalili konserwatywni badacze.



Członek kultu Ama uosabia przodka ocalałego z Mu, który wynosi na brzeg gałąź z Drzewa Życia (fot. profesor Nobuhiro Yoshida).

Ponownie ustawione obecnie *moai* stoją szeregiem na plaży w Zatoce Anakena na Wyspie Wielkanocnej.





**Wejście do preinkaskiego miasta Tiahuanaco
w boliwijskich Andach.**



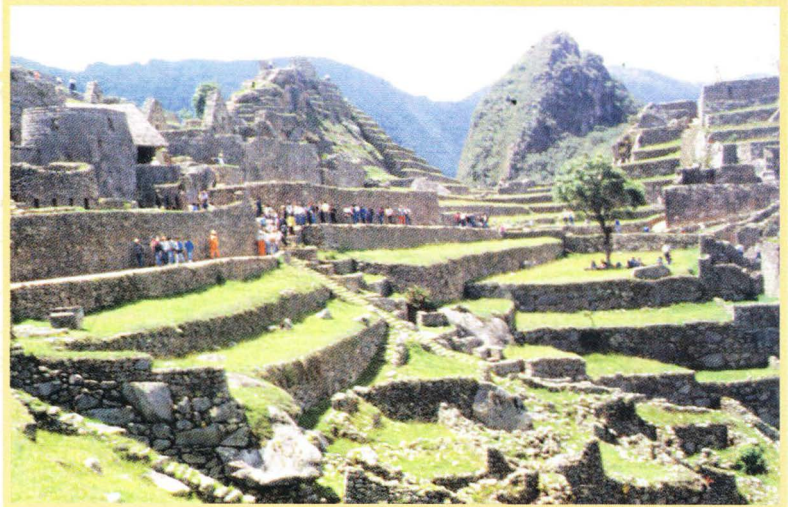
**Monolityczny posąg z miasta
Tiahuanaco przypomina *moai*
z Wyspy Wielkanocnej.**



Filipińskie tarasy z polami ryżowymi w Banaue, starożytne tereny rolnicze Lemurii.



Ta sama starożytna technika uprawy ziemi pojawia się w Ena w Japonii (obok) i w inkaskim podniebnym mieście Machu Picchu, wysoko w peruwiańskich Andach (poniżej).

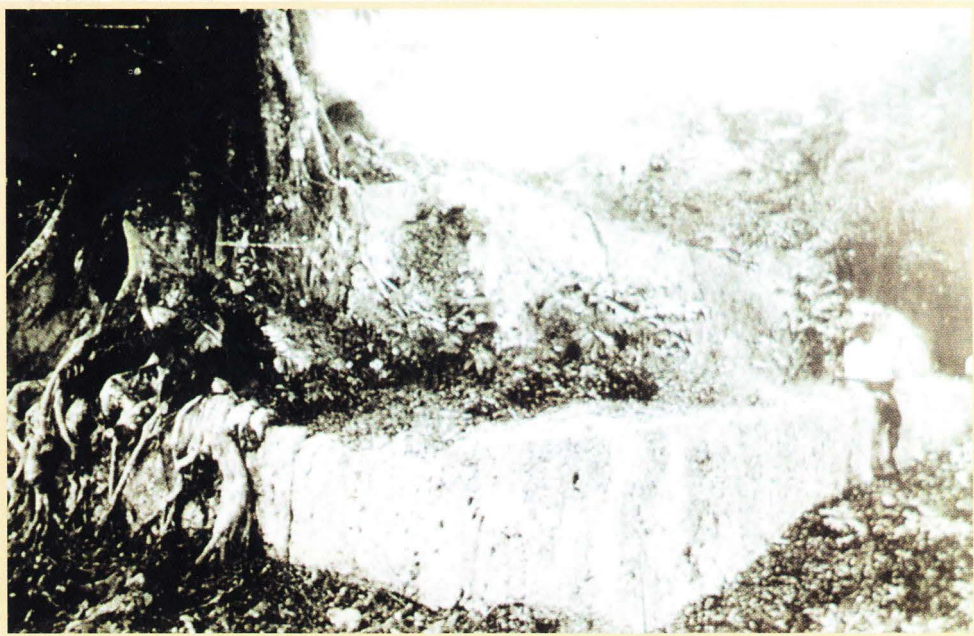




**Gigantyczny Kandelabr w Andach
na wybrzeżu Peru.**

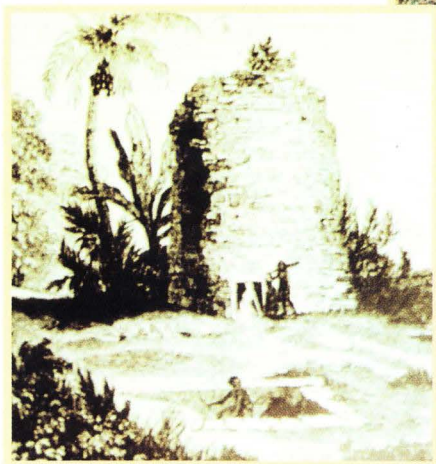


**Wierchołek zasypanego łuku
w Tiahuanaco.**

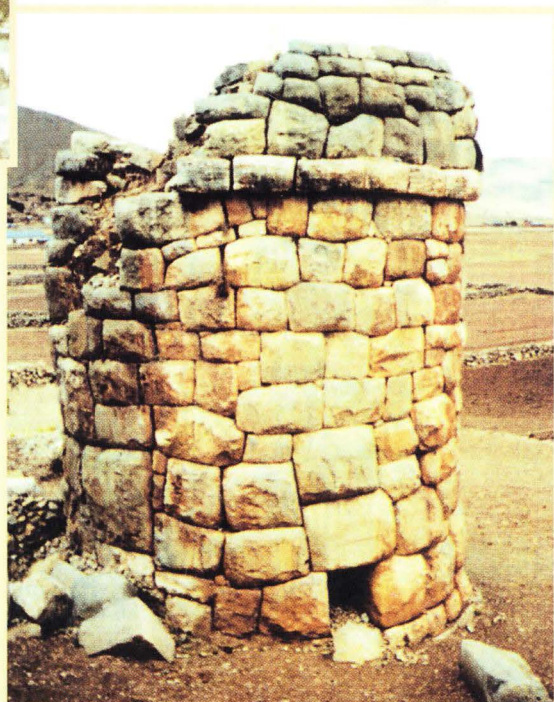


Jedna z monumentalnych piramid na wyspie Tonga.

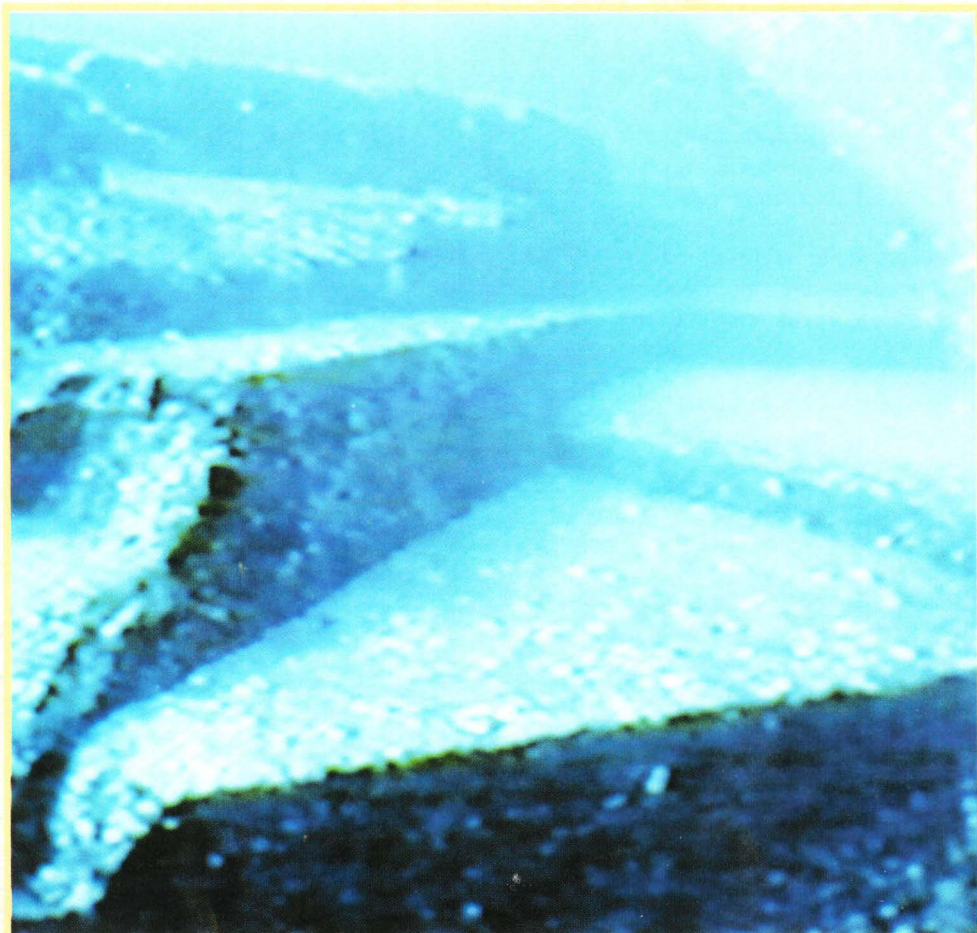
Prehistoryczne japońskie kamienne wieże bardzo przypominają ich odpowiedniki z Wyspy Wielkanocnej i Ameryki Południowej, ponieważ wszystkie te tereny stanowiły kiedyś część Lemurii (fot. profesor Nabuhiro Yoshida.



Ilustracja z połowy XIX wieku przedstawiająca kamienną wieżę z Wyspy Wielkanocnej przed jej zniszczeniem.



Jedna z tak zwanych silustańskich wież w pobliżu jeziora Titicaca w boliwijskich Andach. Jej podobieństwo do wersji pochodzących z Japonii i Wyspy Wielkanocnej wskazuje na wspólne lemuryjskie korzenie.



Zatopiona budowla w pobliżu japońskiej wyspy Yonaguni.

Ta artystyczna interpretacja hawajskiej *heiau*, czyli ceremonialnej platformy, wykazuje podobieństwo do konstrukcji odkrytej pod wodą w pobliżu wyspy Yonaguni (Keaiwa Heiau, Oahu).





Dokładnie dopasowane bloki kamiennego łuku z podwodnej cytadeli przy wyspie Yonaguni.

Korytarz i krótkie schody wykute w podwodnej konstrukcji w pobliżu Yonaguni dowodzą, że jest ona dziełem ludzkich rąk.

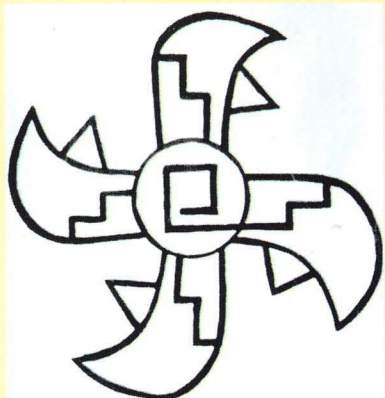
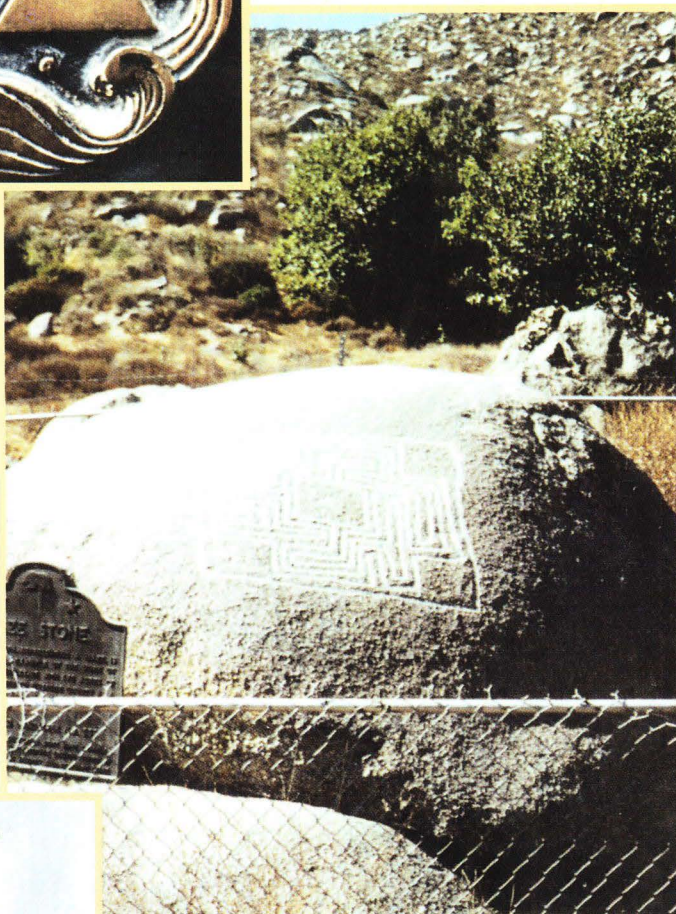


Nurek z akwalungiem płynie wzdłuż spiralnych schodów, zakręcających wokół ogromnej podwodnej wieży w pobliżu wyspy Okinoshima w Japonii.



Spisowy emblemat
w tokijskiej świątyni Shinobazu
przedstawia ziemię Mu
pochłonięte przez morze.

Kalifornijski Hemet
Maze Stone (kamień
z labiryntem)
oznaczony świętym
symbolem Mu.



Symbol Mu skopiowany przez pułkownika
Jamesa Churchwarda z kronik klasztornych,
które badał w latach 70. XIX wieku
podczas służby w armii brytyjskiej w Indiach.

Według Leinani Melville, nazwa podmorskiego królestwa Lono Haiviki, polinezyjskiej wersji zaginionej Praojczyzny, wywodzi się z rdzenia *ha*, co po hawajsku znaczy „oddech, tchnienie”. Godny uwagi jest fakt, że ukazuje to fundamentalny związek między pacyficznym królestwem Mu a Ameryką Środkową. W dodatku symbol T jest najbardziej wybiórczo przedstawiany ze wszystkich majańskich hieroglifów, przesadnie wielki i specjalnie oddzielony od innych płaskorzeźb w najważniejszych centrach kultowych, takich jak Palenque w Gwatemali i Copan w Hondurasie. Wymawia się go „ik” i oznacza oddech, a dokładnie – tchnienie życia. W tym znaczeniu glif T jest wyjątkowo bliski charakterystyce tego symbolu na Mu, gdzie według Churchwarda oznaczał początek ludzkiego życia. O słuszności tego związku świadczy fakt, że tak różne elementy z Markizów, Hawajów, Ameryki Środkowej i Lemurii doskonale się dopełniają.

Tajemnicza więź między Wyspą Wielkanocną a Mohendžo Daro, o której świadczy prawie identyczne pismo, została wyjaśniona w rozdziale 3 jako dziedzictwo, które zostało niezależnie przekazane z tej samej Praojczyzny. Ale wspólne pismo nie było ich jedynym łącznikiem z Mu. Lemuryjski glif T z Rapa Nui stanowi część jeszcze nierozszyfrowanego przesłania na „tablicy znaków”



Jeden z wielu znaków T, symboli Lemurii, odkryty w majańskim mieście Copan w Hondurasie.

z Dholavira, która stała nad północną bramą Harappy przynajmniej 4000 lat temu. Wymieniona jako Hariyupiya w *Rigwedzie*, najstarszej i najważniejszej z hinduistycznych świętych ksiąg, Harappa była drugim co do wielkości miastem w dolinie Indusu po Mohendźo Daro. O występowaniu tam glifów T świadczą zachowane pieczęcie w kształcie cylindra i tabliczki o charakterze religijnym oznaczone świętym drzewem, które, według Churchwarda, symbolizowało *tau*.

Inny majański glif łączy się z wizerunkiem jelenia, który jest symbolem pacyficznej Praojczyzny, jak podaje Churchward. Chaotyczne linie promieniują z koła w środku prostokąta do czterech innych kół w każdym z czterech rogów tej figury geometrycznej, przecięte czterema parami prostych linii. Ten glif prawdopodobnie wskazuje jakieś scentralizowane miejsce. Augustus Le Plongeon wywnioskował, że odnosi się to do legendarnych opowieści Majów „o zatopionych miejscach, przedstawionych poprzez wyobrażenie zwierzęcia podobnego do jelenia, którego umieszczono nad napisem”. Le Plongeon wskazuje, że ten hieroglif znany był jako *U-luumilceh*, czyli „kraj jeleni”. Francisco Hernandez de Cordova, pierwszy hiszpański konkwistador, który postawił stopę na meksykańskiej ziemi, dowiedział się o tym tytule, kiedy wyszedł na małą, przybrzeżną wyspę, zwaną przez tubylców Mu-geres. Pojawienie się tej nazwy w zestawieniu z „krajem jeleni” określa transpacyficzne związki. I rzeczywiście, *luumilceh* brzmi jak majańska wersja Lemurii.

Wizerunki jeleni występują głównie w duchowym symbolizmie Indian Nawaho na amerykańskim południowym zachodzie. Kiedy skóra tego zwierzęcia ma zostać użyta na strój boga Yeibichai, trzeba je zabić bez przelania choćby kropli krwi. Yeibichai znany jest jako „mówiący bóg”, gdy personifikuje go noszący białą maskę aktor, który recytuje opowieść o stworzeniu. Yeibichai jest również czczony jako dziadek wszystkich bogów, który przeżył Wielki Potop w wyspiarskim rajku na zachodnim morzu, gdzie urodzili się pierwszy mężczyzna i pierwsza kobieta. Dlatego też święte malowidła z piasku Indian Nawaho można usypać tylko na jelenich skórkach, a grzechotki używane w tańcach religijnych wykonywano wyłącznie z kopyt jelenia. Rogi zaś czczono jako zbiorniki życia.

Na przeciwnym brzegu ogromnego Pacyfiku pewien „jeleni” obrzęd sprawowany jest corocznie od połowy października do początku listopada w pobliżu drogi prowadzącej do małej świątyni Omotesando w pradawnym japońskim mieście Nara. Tam te zwierzęta trzymane są w zagrodach i przez cały rok pielęgnowane w parku Shika-no-Tsunokiri. Podczas jesiennego obrzędu Tsunokiri odpiłowuje się im rogi dla upamiętnienia końca poprzedniej ery, jednocześnie przedstawiając w ten sposób odrodzenie ludzkości po śmierci, ponieważ poroże, symbol odnowy, ciągle odrasta.

Kilka wierszy z *Rytuałów Jelenia* religii bon, epickiego poematu opiewającego pochodzenie Tybetańczyków, brzmi: „Na Ziemi jeleń kroczy, brązowy jeleń z Mu kroczy. Dusze króla, jego ministra i wasala przybrały postacie drogocennej kukułki, jelenia i drzewa”. Mu są wspomniani w tej starożytnej tradycji jako jedna z pierwotnych ras przedbuddyjskiego Tybetu.

Chociaż wizerunki jeleni można znaleźć w symbolice religijnej wielu ludów, ich występowanie wśród Majów, Nawahów, Japończyków i Tybetańczyków z całą pewnością jest lemuryjskim dziedzictwem. Symbolizują koncepcję odrodzenia po końcu poprzedniej ery, zazwyczaj wyznaczonym przez Wielki Potop. Tym samym najbardziej przypominają znaczenie jelenia jako symbolu Mu, według Churchwarda.

Jak wyżej wspomniano, w tybetańskich *Rytuałach Jelenia* dusza królewskiego wasala przybrała kształt drzewa. Odnosząc się do znaku T, symbolu zaginionej cywilizacji, Churchward napisał: „Mu symbolizowało Drzewo Życia”. Jego glifem było T, które równocześnie oznaczało konfigurację dwóch uskoków na dnie morza, krzyżujących się pod Wyspą Wielkanocną (patrz rozdział 3). To samo Drzewo Życia było wymienione w opowieści o stworzeniu ludzkości w Księdze Rodzaju. Churchward obstaje przy tezie, że pierwszy ziemski raj znajdował się na południowym Pacyfiku. Oczywiście wywołało to gwałtowny sprzeciw tradycjonalistów naukowych i religijnych.

Lecz wydaje się, że wnioski pierwszego badacza Mu potwierdzają liczne polinezyjskie opowieści o stworzeniu. Opisują one Te tumu o te pohoe dosłownie jako Drzewo Życia, które wykarmiło pierwszych ludzi na Haiviki. Przecież drzewo było poświęcone ogólnopolinezyjskiemu bogu Tane, znanemu jako Kane na Hawajach, boskiemu patronowi wszystkich, którzy obrabiali drewno, zwłaszcza budowniczym canoe. Wiadomo bowiem, że jasnoskórzy ludzie słynęli jako doskonali żeglarze z zatopionej ojczyzny Haiviki. Lecz tybetańskie powiązania między Drzewem Życia (odrodzonym życiem) a mieszkańcami Mu to nie tylko „zewnątrzny” dowód na poparcie charakterystyki lemuryjskiego Rajskiego ogrodu. Co interesujące, chińskie słowo oznaczające drzewo lub tarcicę to *mu*. Znaczy również „zanurzać”, a to z kolei przypomina lemuryjski potop.

W starożytnych Chinach najważniejszym bóstwem była Xi Wang Mu, bogini nieśmiertelności, czczona przynajmniej od czasów dynastii Shang (około 1600 roku p.n.e.). Ta data jest znamienna, ponieważ wydaje się, że ostatni skrawek Lemurii zniknął pod powierzchnią morza mniej więcej w tym samym czasie. Legenda o przenosinach Xi Wang Mu do Chin z jej bajecznego pałacu na wschodzie może być mglistym wspomnieniem o przybyciu cywilizatorów, którzy przynieśli na kontynent azjatycki kult misteryjny z Lemurii. Xi Wang Mu pierwotnie mieszkała na Wyspach Szczęśliwych, aż odeszli stamtąd Shoulao,

Fuxing i Luxing. Porcelanowy talerz z początku XVIII wieku z Yong Zheng (obecnie w londyńskim muzeum [królowej] Wiktorii i [księcia] Alberta) przedstawia Xi Wang Mu, jak idzie za bogami długiego życia, szczęścia i bogactwa poprzez morza, ponieważ gniewne morskie fale pochłonęły jej dawny Pałac Nieśmiertelności. Ta scena jakby przedstawiała ewakuację Lemurii, a tę sugestię potwierdza lustro z brązu z czasów dynastii Han. Ozdobione jest ono podobizną Xi Wang Mu. Bogini towarzyszą duchowi strażnicy dosiadający jeleni, zwierząt już kojarzonych z Lemurią w różnych okołopacyficznych kulturach. Japoński odpowiednik Shoulao, boga długiego życia, nazywał się Jurojin. Jego zwierzęciem kultowym był jeleni, na którym jeździł.

Xi Wang Mu miała przede wszystkim opiekować się drzewem brzoskwiniowym rosnącym w jej ogrodzie. Jego owoce zapewniały życie wieczne każdemu, kto je zjadł. Drzewo to nazywano Jian mu i było uważane za *axis mundi* [oś świata], wokół której obracało się całe ziemskie życie. Inne warianty tego mitu mówią o Fu Sung mu, Drzewie Życia, które rosło po drugiej stronie wschodniego oceanu w samym środku legendarnego wyspiarskiego królestwa, znanego jako Tai Shan. Jest to wyraźne odniesienie do pacyficznej Praojczyzny, której mieszkańcy mieli reprezentować rasę białą, a nie azjatycką. Kiedy Xi Wang Mu opuściła Tai Shan, ponownie zasadziła Fu Sang w środku swojego nowego pałacu poza Górą Kunlun. Odtąd nazywano to drzewo Ruo mu. Innymi słowy, lemuryjski kult misteryjny został przeniesiony do Chin po „zanurzeniu” Tai Shan. Bardzo trafnie Xi Wang Mu była czczona jako bogini katastrof. Przywodząc na myśl mająński hieroglif oznaczający oddech, *ik*, identyczny z T, symbolem Mu – według Churchwarda – była ona synonimem *yuangqi*, czyli pierwotnego tchnienia, które ożywiło ludzi. Również w hebrajskiej wersji mitu Jahwe stworzył Adama, inaczej mówiąc – tchnął w niego życie, co wydaje się wyraźną lemuryjską paralelą.

Według starożytnej chińskiej kosmologii, święte drzewo, *kien-mu*, rośnie tam, gdzie niebo, ziemia i piekło spotykają się w środku wszechświata. Można więc przypuszczać, że lemuryjska koncepcja równowagi duchowej znajduje odzwierciedlenie w chińskim *kien-mu*.

Drzewo Życia to motyw powtarzający się w sztuce jaskiniowej, na spizowych bębnach i malowidłach ściennych w całej Azji Południowo-Wschodniej, tak jak ceremonialne szaty *tampun* z Lampungu na południu Sumatry. Tubylcze plemiona Dajaków z Sarawaku i z północnego Borneo łączą opowieść o potopie z wierzeniem, że pierwszy mężczyzna i pierwsza kobieta urodzili się na rajskiej wyspie, na której środku rosło święte drzewo strzeżone przez smoka. Na prośbę kobiety mąż ukraść jeden z zakazanych owoców, co doprowadziło do globalnego potopu. Autor monografii o Dajakach z końca XIX wieku,

H. Ling Roth, cytowany przez Stephena Oppenheimera w książce *Eden of the East* (Eden Wschodu) wykazał, że ich opowieść pochodziła sprzed kontaktów z misjonarzami. Brak w niej konkretnego odniesienia do zaginionej Praojczyzny, ale Kumu-Honua, hawajski Adam, na pewno nosi lemuryjskie imię.

Mu było znane w środkowej Polinezji jako Bolotu, gdzie Pukatala, Drzewo Życia, rosło w samym centrum wyspy. Owoce Pukatali miały zapewnić nieśmiertelność pierwszym ludziom. W całej Polinezji święta czerwona sosna była znana jako *rimu*, a ta nazwa wywodzi się od Mumu-hango. Według Churchwarda „Mu było przedstawiane symbolicznie jako Drzewo Życia. Jedna z nadanych mu nazw brzmiała: Drzewo Życia, Święte pisma mówią nam, że Mu było Drzewem Życia, a człowiek był jego owocem”.

Oppenheimer dowiódł, że mit o Drzewie Życia powstał na Molukkach i dotarł aż na Bliski Wschód i do Doliny Meksykańskiej, co zadziwiająco pasowało do genetycznych przemian migrujących ludzkich populacji. Jego wnioski wyprzedził Churchward, który wierzył, że „Mu – Rajski ogród uległ zagładzie i został pogrzebany pod wodami [oceanu]”. W wydanym w 1970 roku „nowym spojrzeniu” na prace pułkownika Churchwarda, pisarz i popularyzator nauki, Hans Stefan Santesson stwierdził: „Rajski ogród nie znajdował się w dolinie Eufratu, ale na Mu, »Praojczyźnie Ludzi«”. Jego wnioski popiera polinezyjski mit, podobny do opowieści o Pali-uli, hawajskim Rajskim ogrodzie, gdzie zostali stworzeni pierwsi ludzie. Imię pierwszej kobiety z hawajskiego mitu brzmiało Iwi: dosłownie „kość”. Na Wyspach Samoa i na Rotumah zapamiętano ją jako Iwa. Takie tradycje, pochodzące sprzed przybycia misjonarzy, ułatwiły nawrócenie wyspiarzy na chrześcijaństwo. Ich opowieść o Rajskim ogrodzie zatoczyła pełny krąg od zamierzchłych, prehistorycznych początków na południowym Pacyfiku do starożytnego Bliskiego Wschodu i XIX-wiecznej ewangelizacji.

Wśród Sumerów, ogród Edenu stał się Dilmunem, w którym przynajmniej pozostało pewne odniesienie do Mu. Znacznie później, twórcy Pisma Świętego przekształcili tę historię w moralizatorską opowieść, aby wytłumaczyć pochodzenie grzechu i upadku rodzaju ludzkiego. Hebrajski Eden najwidoczniej wywodzi się z sumeryjskiego *edin*, co oznacza żyzną równinę. Ale nawet Księga Rodzaju wspomina o komecie, która zapoczątkowała ewakuację Lemurii: Jahwe posyła anioła z ognistym mieczem, aby wygnał Adama i Ewę z raju. W Egipcie zjedzenie pigwy przez dwoje młodych ludzi oznaczało zaręczyny... W tym zwyczaju znajdujemy naturalne wyjaśnienie pierwszych siedmiu wierszy trzeciego rozdziału Księgi Rodzaju, mówi Le Plongeon.

W XIX wieku zwolennicy ewolucji byli przekonani, że zaginiony kontynent istniał na południe i na zachód od Indii. Tak wyjaśniali rozprzestrzenienie się lemurów od Madagaskaru do Cejlonu. Wybitny teoretyk tego stulecia, Ernst

Haeckel, jako pierwszy stwierdził, że w rzeczywistości istoty przedludzkie rozwinęły się w Lemurii. „Rodzaj ludzki rozprzestrzenił się z pojedynczej, pierwotnej ojczyzny, którą w przybliżeniu można wskazać”, wywnioskował. „Za tę przypuszczalną pierwotną ojczyznę, czyli »raj«, uważa się tu Lemurię, tropikalny kontynent, który obecnie znajduje się pod powierzchnią Oceanu Indyjskiego. Istnienie tego lądu w trzeciorzędzie można uznać za bardzo prawdopodobne, gdyż potwierdzają to liczne fakty z [rozmieszczenia] zwierząt i roślin”. Tę hipotezę w końcu odrzucono, ale przeżyła renesans w ostatnich dziesięcioleciach XX wieku, kiedy nieoczekiwanie wyszły na jaw bliskie związki między lemurami a wczesnymi hominidami. Nowej energii hipotezie Haeckla dodała teoria, która już nie ograniczała początków ewolucji ludzkości do południowej Afryki. Koncepcja równoległej ewolucji w różnych, czasami bardzo od siebie oddalonych częściach świata stopniowo zyskała powszechny szacunek, kiedy pojawiły się dowody materialne z Azji i nawet z Ameryki.

Homo sapiens neanderthalensis miał wyewoluować około 120 000 lat temu, a konserwatywni naukowcy twierdzą, że pierwsi ludzie przeszli po nieistniejącym już pomoście lądowym z Azji do Ameryki Północnej nie wcześniej niż 12 000 lat temu. A przecież kości ludzi współczesnych znaleziono obok pięknie wykonanych grotów włóczni, datowanych na 250 000 lat w pewnej wysokogórskiej dolinie w pobliżu miasteczka Hueyatlaco w regionie Valsequillo w południowośrodkowym Meksyku. Szczątki odkryte na tym stanowisku archeologicznym dowiodły, że wcześnie myśliwi zabijali i ćwiartowali wielkie ssaki, takie jak wymarły amerykański wielbłąd, glyptodont, mastodont i mamut już w plejstocenie. Odkrycie to zaszokowało nie tylko ewolucjonistów, ale również – a zwłaszcza – antropologów*.

Dwaj mężczyźni uczestniczący w wyścigu łodzi na rzece Columbia w pobliżu Kennewick w stanie Waszyngton znaleźli szkielet, który policja uznała za szczątki niedawno zamordowanego mężczyzny rasy kaukaskiej. Późniejsze badania wykazały jednak, że śledczy z wydziału zabójstw mieli rację co do rasy zabitego, ale określone przez nich ramy czasowe wymagały poprawki. Ofiara liczyła ponad 9000 lat. Co więcej, jeśli chodzi o rasę, nie miał nic wspólnego

* Autor referuje tutaj zarzuconą przed wielu laty teorię multiregionalną. Według obecnego stanu wiedzy człowiek neandertalski pojawił się około 270 000–250 000 lat temu, prawdopodobnie w Europie (uczeni podają różne daty i wersje), a człowiek współczesny (rozumny, *Homo sapiens sapiens*) na terenie Afryki mniej więcej przed 200 000 laty. Stamtąd rozprzestrzenił się na cały świat. Do Europy przybył stosunkowo późno, około 35 000 lat temu. Wcześniej zajął Azję i Australię. Oba te gatunki miały wspólnego przodka *Homo heidelbergensis*. Dowody na taki przebieg ewolucji to nie tylko szczątki tych istot, lecz także rezultaty najnowszych badań genetycznych. Patrz: Ch. Stringer, R. McKie *Afrykański exodus. Pochodzenie człowieka współczesnego* i R. McKie *Małpolud. Opowieść o ewolucji człowieka* (przyp. tłum.).

z amerykańskimi Indianami, których mongoloidalni przodkowie przebyli pomost lądowy na miejscu dzisiejszej Cieśniny Beringa i przybyli na Alaskę około 3000 lat później. Jeżeli człowiek z Kennewick nie przyłączył się do nich podczas wędrówki z Azji, skąd się tam wziął?

Nie był on jednak ani jedynym, ani najstarszym z pierwszych Amerykanów. Ten status należy do kobiety z Penyon III, „okazu” z Narodowego Muzeum Antropologii z Meksyku, odkrytego podczas przekopywania studni na pobliskim lotnisku międzynarodowym.

Wykopano wówczas czaszkę kobiety białej rasy, która umarła w wieku 27 lat, 13 000 – 12 700 lat temu. Wtedy to, według archeologów głównego nurtu, ludy mongoloidalne, migrujące z Azji przez późniejszą Cieśninę Beringa na Alaskę, były jedynymi mieszkańcami Ameryki Północnej. Ich zachowane czaszki są krótkie i szerokie, jak u współczesnych Indian. Ostro kontrastuje z nimi czaszka z miasta Meksyk, która jest podłużna i wąska, wyraźnie kaukazydalna, według geologa Silvii Gonzalez – wykładowcy na John Moores University w Anglii. Silvia Gonzalez otrzymała fundusze od rządu brytyjskiego na prowadzenie badań i zadała sobie pytanie, czy ta czaszka, znaleziona w 1959 roku, była starsza i pochodziła z wcześniejszej epoki niż ustalona przez muzeum data – XVI wiek. Posłała ją na uniwersytet w Oksfordzie do zbadania metodą węglową. Rezultaty potwierdziły, że prehistoryczna młoda kobieta należała do jasnoskórej populacji, która zamieszkiwała kontynent amerykański podczas ostatniej epoki lodowcowej.

Ale kobieta z Penyon nie była wyjątkiem. Dziewiątego października 1993 roku odkryto grobowiec z epoki lodowcowej w Browns Valley na granicy stanów Minnesota i Północnej Dakoty. Chociaż o około 1000 lat młodszy od meksykańskiego znaleziska, człowiek z Browns Valley jest najstarszym przedstawicielem rasy kaukaskiej dotychczas odkrytym w Stanach Zjednoczonych. Wyjęte z jego grobu artefakty nie są związane z ich odpowiednikami z kultur Yumy lub Folsen, które kwitły pod koniec ostatniej epoki lodowcowej. Z powodu braku jakiegokolwiek innego wyjaśnienia akademicy uczeni uznali te artefakty za przejściowe między typami z kultur Yuma i Folsen. Bardziej prawdopodobna wydaje się jednak teza, że to wyposażenie grobowe to wyrób obcej, zamorskiej rasy. Temu przypuszczeniu dodaje znaczenia znalezienie człowieka z Browns Valley w pobliżu wschodniego brzegu rzeki Minnesota.

Nieco późniejszego odkrycia dokonano w 1965 roku, kiedy wydobyto szczątki białej kobiety z wyrobiska rzecznoego w Kolorado. Obliczono, że liczą sobie 9700 lat. Kobieta z Gordon Creek miała młodszą, węższą twarz niż współczesne Indianki. Występowała też u niej prognacja, która sprawia, że zęby są lekko wystające. Cechy tej nie spotyka się wśród rdzennych Amerykanów, ale

często występuje u współczesnych Europejczyków. Co ciekawe, kości kobiety z Gordon Creek i położone w pobliżu narzędzia posypano hematytom podczas pogrzebu. Hematyt to czerwony jak krew barwnik wytwarzany w formie proszku przez nieznaną żeglarzy, którzy pływali wzdłuż wschodniego wybrzeża Ameryki 7000 lub więcej lat temu. Amerykańscy archeolodzy nazwali ich Red Paint People (Ludem Czerwonej Barwy).

Równie niezwykłego odkrycia dokonano w 1940 roku, kiedy znaleziono doskonale zachowane, liczące około 9400 lat, zwłoki kaukazoidalnego mężczyzny w jaskini w stanie Nevada. Górna część jego ciała była częściowo z mumifikowana, a szczytu czaszki nadal trzymała się skóra z rudymi włosami. Zmarłego mężczyznę ułożono na bylicy, co wskazuje, że pochodził z plemienia na tyle cywilizowanego, że odprawiało rytuały pogrzebowe. Tak zwanego człowieka ze Spirit Cave, złożono na lewym boku z podkurczonymi nogami, w pozycji embrionalnej (sugerującej odrodzenie); podobny zwyczaj panował przy egipskich pochówkach z epoki dynastycznej. Ładnie wykonane skórzane pantofle, nakrycie z króliczych skór i pięknie utkane maty nadal były w dobrym stanie. Niestety, człowiek ze Spirit Cave zniknął na zawsze, gdy oddano jego zwłoki Indianom Nevada*. Liczące 7800 lat zwłoki kobiety z Pelican Rapids, odkryte w 1938 roku, zostały w końcu oddane miejscowym Indianom na anonimowy pogrzeb, mimo że miała kaukazoidalne cechy. Taki sam los spotkał człowieka z Browns Valley. A kobiety z Gordon Creek, prawie 40 lat po jej odkryciu, nigdy nie poddano testom DNA. Tak samo szczątki 10-letniej dziewczynki z Grimes Point w Nevadzie nigdy nie zostały zanalizowane przez naukowców, choć liczyły 9740 lat. Również nie przebadano kodu genetycznego szczątków człowieka z Oregon's Prospect, mających ponad 6800 lat. Ale właśnie bada się kod genetyczny kobiety z Arlington Springs, rywalizującej o tytuł najstarszego amerykańskiego znaleziska po liczącym 250 000 lat stanowisku w Hueyatlaco. Odkrycie prochów tej kobiety również miało niezwykły charakter, ponieważ dokonano go na wyspie Santa Rosa, przy wybrzeżu południowej Kalifornii, co dowodziło, że jej współplemieńcy z epoki lodowcowej umieli żeglować. Planuje się także badania DNA odkrytego w Nevadzie mężczyzny z Wizard Beach (10 500 lat temu) ze stanowiska w Wilson-Leonard w Teksasie (10 000 l.p.w.) i ciała dziecka z Anzick w Montanie (10 800 lat temu). Takie badania są ważne nie tylko dla określenia pochodzenia rasowego tych osób, lecz także dla porównania kodu

* Rząd USA zawarł z plemionami indiańskimi porozumienie, na mocy którego wszystkie odkryte przez archeologów ludzkie szczątki z epoki prekolumbijskiej są im przekazywane, aby mogli je pogrzebać jako swoich przodków. Sprawa człowieka z Kennewick znalazła swój finał w sądzie, który polecił przekazać zwłoki naukowcom, ponieważ nie miały żadnych cech indiańskich (przyp. tłum.).

genetycznego różnych populacji ludzkich, które jako pierwsze zaludniły Amerykę, ich pochodzenia oraz dat przybycia na ten kontynent.

Latem 2002 roku doktor Theodore Schurr powiedział American Association for the Advancement of Science (Amerykańskiemu Stowarzyszeniu dla Rozwoju Nauki), że badania DNA w Southwest Foundation for Biomedical Research (Fundacja na rzecz Badań Biologicznych i Medycznych Amerykańskiego Południowego Zachodu) (San Antonio, Teksas) doprowadziły do prześledzenia czterech głównych linii genealogicznych Indian amerykańskich do Syberii i Azji Północno-Wschodniej – zwłaszcza okolic Bajkału i Ałtaj-Sajanu. Te odkrycia pasowały do teorii konserwatystów o ludach mongoloidalnych, które miały przybyć do Ameryki Północnej przez pomost lądowy w Cieśninie Beringa, choć nie było to zdarzenie jednorazowe. Takie wędrówki plemion trwały do chwili, aż pomost zalały fale oceanu, którego poziom znacznie się podniósł po zakończeniu epoki lodowcowej, około 9000 lat temu. Jednakże doktor Schurr i jego koledzy zdołali wyróżnić piątą, mniej liczną linię genealogiczną, wywodzącą się od grup rasy białej. Znana jako Haplogrupa X, występuje wśród niektórych plemion mówiących językiem algonkińskim, takich jak Odżibejowie, a pojawiła się na długo przed przybyciem do Ameryki Kolumba, a nawet wikingów. Haplogrupa X to około 4 procent współczesnych Europejczyków, spotyka się ją również, choć w mniejszym zakresie, na Bliskim Wschodzie.

Druga, mniej liczna grupa Indian – Czarne Stopy, Irokezi i inne plemiona ze stanów Minnesota, Michigan, Massachusetts i Ontario – chociaż mają trochę krwi mongoloidów, mimo to wywodzą się z jeszcze innej starożytnej gałęzi rasy kaukaskiej*, która wydała lud kultury Jomon. Jest to najstarsza kultura w dziejach Japonii; jej początki sięgają 10 000 lat. Silvia Gonzalez, która doprowadziła do zmiany datowania zwłok kobiety z Penyon III, stwierdziła: „Jeżeli okaże się to prawdą, wynik będzie przedmiotem sporu. Powiemy rdzennym Amerykanom: »Może w Ameryce przed wami byli ludzie, którzy nie są z wami spokrewnieni«”. Donosząc o tych rewelacjach w 2002 roku w Waszyngtonie, wydawca naukowy Roger Highfield stwierdził, że istnieje już dostatecznie dużo wyników badań DNA, by udowodnić, iż Ameryka została „skolonizowana” przez ludzi białej rasy przed 30 000 lat. Nie przyszli oni po żadnym dawno zatopionym pomoście lądowym z Azji; już wtedy posiadali dostateczną wiedzę o żegludze dalekomorskiej, aby przebyć rozległe, niebezpieczne przestrzenie otwartego oceanu.

W lipcu 2001 roku międzynarodowy zespół badaczy pod kierunkiem University of Michigan’s Museum of Anthropology (Muzeum Antropologii

* Do rasy paleokaukaskiej należą między innymi Ajnowie (przyp. tłum.).

Uniwersytetu Michigan) znalazł ślady bytności ludzi rasy kaukaskiej w Ameryce Północnej sprzed przeszło 15 000 lat. Rzecznik Uniwersytetu Michigan C. Loring Brace ogłosił, że rdzenni mieszkańcy terenów położonych na południe od granicy amerykańsko-kanadyjskiej, chociaż miesznani rasowo, są bezpośrednimi potomkami wczesnego ludu należącego do białej rasy. Brace i jego koledzy z Uniwersytetu Stanowego Wyoming, Chińskiej Akademii Nauk w Pekinie, Wyższej Szkoły Tradycyjnej Chińskiej Medycyny z Chengdu (prowincja Syczuan) i Mongolskiej Akademii Nauk w Ułan Bator porównali pomiary twarzowo-czaszkowe 21 prehistorycznych i współczesnych ludzkich czaszek. Analiza wykazała, że najwcześniejsi Amerykanie nie mieli nic wspólnego z żadną azjatycką populacją.

Brace stwierdził, że DNA rdzennych mieszkańców północno-wschodniego Pacyfiku odpowiada genotypowi ludu rasy białej, który zamieszkiwał Japonię przed 15 000 lat i jeszcze wcześniej. Reporterka odpowiedzialna za popularyzację nauki w redakcji „Wall Street Journal” i zastępczyni wydawcy „Forbes Magazine” Priscilla Meyer powiedziała czytelnikom „Ancient American”: „Gromadzone są dowody na poparcie starożytnego scenariusza o ogromnej migracji milionów ludzi statkami przez południowy Pacyfik już 5000 lat temu. Nic w oficjalnej historii nie potwierdziłoby takiej migracji, ale dowody genetyczne są wyraźne i niezaprzeczalne”. Według tabliczek Naacalów, które pozwolono Churchwardowi przeczytać, ludność Mu w czasie potopu liczyła 65 000 000.

Meyer kontynuowała:

Ta wielka wędrówka nastąpiła wiele tysięcy lat po przybyciu pierwszych Amerykanów z Azji Północnej, przypuszczalnie przez syberyjsko-alaskański pomost lądowy. Ale fale późniejszej migracji przez południowy Pacyfik prawdopodobnie utworzyły lwią część ludności Indian amerykańskich, czyli Amerindian, kiedy hiszpańscy konkwistadorzy przybyli do Nowego Świata na początku XVI wieku. Obecnie oficjalna archeologia ignoruje zdobyte ostatnio dowody genetyczne. W końcu jednak te rezultaty mogą zmusić archeologów do napisania na nowo starożytnej historii Ameryki. Całkiem niedawno uczeni wyśledzili „wędrówkę” pewnego zmutowanego ludzkiego genu z południowo-wschodniej Azji poprzez południowy Pacyfik na Wyspę Wielkanocną [która leży] w znacznej odległości od wybrzeży Peru i Chile. Ta unikatowa mutacja nawet umożliwiła archeologom datowanie wielkich migracji, z których pierwsza nastąpiła w 2500 lub 1700 roku p.n.e. (...). Znaleźli oni cztery genetyczne cechy, które posiadali tylko obecni mieszkańcy Azji Południowo-Wschodniej i archipelagów południowego Pacyfiku. (...) Współczesne indiańskie plemiona Ameryki z tymi charakterystycznymi markerami to Majowie z Gwatemali,

Pima i Hopi z amerykańskiego południowego zachodu oraz Tikunas z brazylijskich lasów deszczowych.

Podana przez Meyer wczesna data transpacyficznej masowej migracji na kontynent amerykański prawie zgadza się z uzupełniającymi dowodami astrofizycznymi, które wskazują na ostateczne zniszczenie Mu w 1628 roku p.n.e. Genetyczne markery, o jakich wspomina, śledząc południowopacyficzne wpływy na amerykański południowy zachód, potwierdzają ustne tradycje Indian Hopi o częściowym ich pochodzeniu zza morza na zachodzie. Niektórzy przodkowie tego plemienia zdołali uciec tuż przed gigantycznymi przypiływami, które pochłonęły ich siedziby. Wspomnienie o potopie przechowywała obrzędowa grupa, Klan Wody, o wiele mówiącej nazwie Patkinya-Mu. Członkowie klanu odprawiają rytuały upamiętniające tamte wydarzenia w *kiva*, okrągłej, podziemnej świątyni. Według miarodajnego studium Franka Watersa, tratwy, na których przodkowie Hopi, zapamiętani jako Patki, czyli wodni ludzie, uciekli przed katastrofalną powodzią z pacyficznej ojczyzny, są symbolizowane przez warstwy cedrowych polan ułożonych na krzyż w *kiva* pomiędzy kamiennymi blokami.

Ustna tradycja Patkinya-Mu utrzymuje, że ocalałych z potopu w Ameryce Północnej spotkał Massau, miejscowy przewodnik, który skierował ich na południowy zachód, gdzie mogli żyć w pokoju. Jedyнным przedmiotem, który przybysze zdołali ocalić ze swojej zatopionej ojczyzny, była kamienna tabliczka nadłamana w jednym rogu. Massau przepowiedział, że pewnego dnia w odległej przyszłości inni ocaleni odnajdą ich, a wtedy obecni muszą pokazać tę tabliczkę gościom jako dowód identyfikacji. Wówczas zaginiony biały brat wręczy brakujący fragment tabliczki na znak rozpoczęcia nowej ery. Przez tysiące lat ten kamień znajdował się pod specjalną opieką Klanu Ognia. W XVI wieku, kiedy przedstawiciel klanu dał go konkwistadorowi, oniemiały Hiszpan nie wiedział, jak zareagować. On i jego towarzysze zaczęli kolonizować amerykański Zachód. Indianie Hopi nadal czekają na białego brata z brakującą częścią tabliczki.

Meyer śledzi ten sam wpływ na Amerykę Środkową, aby poświadczyć twierdzenie Churchwarda, że lemuryjska kasta kapłanów, Naacalowie, przekształciła się w elitę Majów. Nasze pierwsze informacje o Majach pochodzą jednak z II wieku p.n.e. Churchward natomiast odnosił się do wcześniejszej kultury, jeszcze nieodkrytej w jego czasach. Byli to Olmekowie, po których Majowie odziedziczyli podstawy własnego społeczeństwa miejskiego. Cywilizacja olmeca powstała około 3000 roku p.n.e., po czym nastąpiły dwie epoki rozkwitu i rozwoju w XVII i w XIII wieku p.n.e., które odpowiadają zagładzie Lemurii i Atlantydy.

W czasopiśmie „Ancient American” pisarz Martin A. Grundy wskazuje, że:

na kontynencie amerykańskim zidentyfikowano cztery podstawowe linie genealogiczne mtDNA*, którym nadano oznaczenia od A do D. Linie A, C i D można również znaleźć na Syberii, co nie jest niczym zaskakującym, jeżeli rdzenni Amerykanie pochodzą z Azji. Lecz linia genealogiczna B wprawia badaczy w konsternację, ponieważ nie występuje wśród ludów Syberii. Tak jak stopień zmian w danym języku często służy do określenia, kiedy dana populacja po raz pierwszy przybyła do konkretnego rejonu geograficznego, podobnie liczba wariantów w obrębie danego genotypu może na to wskazywać. Posługując się tą metodą, oceniono, że linie genealogiczne A, C i D mtDNA pojawiły się na kontynencie amerykańskim między 41 000 a 20 500 lat temu, natomiast linia B trafiła tam zaledwie 12 000–6000 lat temu. Linia genealogiczna B istnieje w pewnych grupach Polinezyjczyków, dlatego wysunięto przypuszczenie, że mogli oni w czasach prehistorycznych dotrzeć do kontynentu amerykańskiego... Analiza genetyczna ujawniła tajemniczą linię genetyczną B mtDNA, co sugeruje obecność odrębnej grupy rasowej na południu.

Geograficzne rozmieszczenie linii genealogicznej B mtDNA stawia pewien problem: jeżeli linia genealogiczna oznacza późniejszą migrację przez pomost lądowy w Cieśninie Beringa (jak sugeruje to jej wiek), to dlaczego przeważa na południu Ameryki i nie występuje na Syberii? Nasuwa się następująca odpowiedź: jakaś genetycznie odrębna grupa niezależnie od pozostałych skolonizowała południe kontynentu amerykańskiego. Ponieważ wiek linii genealogicznej B szacuje się na ponad 4500 lat, dlatego nie powinien nikogo zaskoczyć fakt, że język tego ludu, jeżeli różnił się od tych, którymi mówiły plemiona innych amerykańskich linii genealogicznych mtDNA, będzie dzisiaj nierozpoznawalny. Ta sama linia genealogiczna B jest również w pewnych grupach polinezyjskich, więc wysunięto przypuszczenie, że ci ludzie mogli dotrzeć do kontynentu amerykańskiego w czasach prehistorycznych. (...) Analiza genetyczna ujawniła tę zagadkową linię genealogiczną B mtDNA, co sugeruje obecność odmiennej grupy rasowej na południu Ameryki.

Czas przybycia nosicieli tej linii genealogicznej B z południowego Pacyfiku mniej więcej odpowiada dacie potopu z późnej epoki lodowcowej, który zalał wszystkie niżej położone tereny Lemurii i wymusił masową migrację ich mieszkańców na wyższe partie lądu. Genetyczne dowody wspierają niedawne odkrycia lingwistyczne. Większe uznanie naukowców zdobyło przekonanie, że hohokańskie dialekty, którymi posługują się plemiona indiańskie z północnoamerykańskiego wybrzeża Pacyfiku oraz Indianie z południowego

* DNA mitochondrialne, czyli dziedziczone przez wszystkich ludzi po kobiecych przodkach (przyp. tłum.).

zachodu ostatecznie wywodzą się z języków austronezyjskich, znanych w całej Oceanii.

Pewną wskazówką dotyczącą masowej migracji spowodowanej przez pop-top z epoki lodowcowej jest fakt, że południowopacyficzne wpływy genetyczne nie ograniczają się do Ameryki Środkowej i amerykańskiego południowego zachodu. I rzeczywiście, Indianie Haida z pacyficznego wybrzeża Kolumbii Brytyjskiej bardziej przypominają z wyglądu współczesnych Japończyków niż większość innych rdzennych Amerykanów. Dzisiejsi Ajnu, wymieszani z Japończykami, pamiętają czas, gdy morze nagle podniosło się nad lądem, topiąc większość ludzkości. Ocalało niewielu – ci, którzy wspięli się na góry. Ajnowie są ostatnimi, nielicznymi żyjącymi potomkami pierwotnych białych mieszkańców Japonii, w której dominowali aż do 2000 lat temu. W latach 480–221 p.n.e. społeczeństwo chińskie rozpadło się na drobne państewka podczas okresu znanego jako epoka walczących królestw. Wtedy większość chińskich intelektualistów i wielu arystokratów uciekła przed krwawą łaźnią do względnie bezpiecznej Korei. Kiedy i tam warunki życia zaczęły się pogarszać, byli czołowi przywódcy chińskiej kultury wyemigrowali ponownie, tym razem do Japonii. Poprzez związki małżeńskie wymieszali się z miejscowymi białymi przedstawicielami kultury Jomon, twórcami pierwszej ceramiki na świecie, i utworzyli współczesny naród japoński. Wydarzenia te odzwierciedlają się w jednoczesnej ucieczce chińskiej elity podczas epoki walczących królestw, końca kultury Jomon i początku pierwszej „mieszanej” kultury Japonii, Yayoi.

Pojawienie się podobnych do Ajnów przedstawicieli rasy białej po drugiej stronie ogromnego Oceanu Spokojnego zaszokowało amerykańskich archeologów. Większość szczątków szkieletów z odległej przeszłości znajdują zarówno zawodowi archeolodzy, jak i amatorzy w zachodniej części Stanów Zjednoczonych – często, jak mężczyznę z Kennewick, w stanie Waszyngton i kobietę z Arlington Springs, na kalifornijskiej wyspie Santa Rosa, w pobliżu lub na wybrzeżu Pacyfiku, gdzie najbardziej należy się spodziewać śladów przybyszów z Lemurii. Te odkrycia wcale jednak nie ograniczają się do Ameryki Północnej. W 1962 roku mumię wysokiej blondynki, mierzącej 180 centymetrów, znaleziono w preinkaskim grobie w pobliżu Chancay, wśród nadbrzeżnych gór środkowego Peru. W Muzeum Herrery w Limie jest całe pomieszczenie z dobrze zachowanymi prekolumbijskimi mumiami, które umieszczono w szklanych gablotach. Około pół tuzina „okazów” ma faliste, cienkie włosy, poczynając od czarnych i rudych do rudoblonde i jasnych o miedzianym odcieniu. Pułkownik Churchward napisał, że Mu było wielorasowym państwem, ale dominowali w nim rdzenni biali.

Kahiki była hawajską Lemurią, jak opisuje to pieśń o stworzeniu świata, *Kumulipo*: „Krajem o dziwnym języku jest Kahiki. Kanakas [ludzie z naszej rasy]

nie są w Kahiki. Jeden rodzaj człowieka jest w Kahiki – Haole [biały człowiek]. On jest jak bóg. Ja jestem jak człowiek”. Mieszkańcy Kahiki nie przybyli spoza Pacyfiku, ale wywodzili się stamtąd, stąd opowieść o ich stworzeniu w Rajskim ogrodzie. Po utracie ziemskiego Raju, wyruszyli przez Polinezję i Azję Południowo-Wschodnią, następnie poprzez Ocean Indyjski, Zatokę Perską i dzisiejszy Irak, pozostawiając po drodze ślady swojego mitu wśród różnych ludów. W końcu ponownie osiedlili się między Tygrysem a Eufratem, w późniejszej Mezopotamii, gdzie ich tradycja o Raju zachowała się, lecz uległa zniekształceniu poprzez tysiąclecia miejscowych wpływów. Oppenheimer odtwarzał tę długą wędrówkę za pośrednictwem specyficznych euroazjatyckich markerów linii genealogicznych, zarówno genu Y, jak i genów mitochondrialnych, które występują, poczynając od pewnego obszaru na Oceanie Indyjskim na południe od Tajlandii, poprzez Indie do Mezopotamii, a kończąc na Europie Środkowej.

Badania Oppenheimera poprzedził w 1933 roku Lewis Spence:

Możliwe, że jasnoskórzy autochtoni z Lemurii, po zatopieniu głównej części tego kontynentu, w poszukiwaniu schronienia z obszaru nękanego kataklizmami, wyruszyli na północ i na zachód, powoli, etapami, przez Mikronezję do Japonii, a stamtąd na kontynent azjatycki. (...) Ale wydaje się znacznie bardziej prawdopodobne, że ta jasnoskóra rasa skolonizowała północną Europę z Lemurii poprzez Syberię, a następnie wyruszyła z tej szerokości geograficznej do Oceanii. [Można przyjąć, że] ta jasnoskóra rasa, przybывая z Lemurii (...) wkroczy[ła] do Japonii i Chin w bardzo wczesnym okresie, kiedy ludy mongoloidalne dopiero opuściły tereny w zachodniej Azji, z których się [później] rozprzestrzeniły, [a potem] wyruszy[ła] do przodu lub zosta[ła] zmuszona przez warunki [klimatyczne] do przenosin do południowej Syberii (...) [Syberia], jak się to powszechnie przyjmuje, jest miejscem, skąd jasnoskórzy ludzie [zamieszkujący obecnie] północ[na] Europ[ę] rozpoczęli migrację do krajów, które teraz zajmują.

Wydaje się, że badania Spence'a tras migracji jasnoskórych ludzi z Lemurii poprzez Azję zostały potwierdzone obecnością prehistorycznych szczątków białych mężczyzn i kobiet odkrytych w Chinach w ostatnich dziesięcioleciach XX wieku. Od połowy lat 70. do końca 90. XX wieku najpierw tuziny, a potem setki zмумifikowanych ciał odkryto na pustyni Takla Makan w północno-zachodnich Chinach. Wysuszone ciała zostały zмумifikowane przez wyjątkowo suche pustyńne warunki, dzięki czemu zachowały się zdumiewająco dobrze. Mężczyźni, kobiety i dzieci często byli ubrani w piękne tkane stroje, czasami z dodatkami z wołjoku, porównywalne w stylu i kunszcie do najlepszych szkockich tartanów. Co jeszcze bardziej niezwykle, te ciała bez wątpienia należały do ludzi

rasy kaukaskiej, z rudymi lub blond włosami i innymi, wyraźnie niezajatyckimi cechami fizycznymi. Wyprzedzały one czasowo pierwszą historyczną chińską cywilizację Shang o pięć lub więcej stuleci. Pochodziły sprzed 3800 do prawie 5000 lat l.p.w. Ci predynastyczni mieszkańcy Chin nie byli zaledwie skromnymi liczebnie „przechodniami”, lecz tworzyli sporą społeczność, o czym świadczy ponad 500 ciał znalezionych do tej pory na pustyni Takla Makan.

Współcześni mieszkańcy ziem w pobliżu tych grobów to Ujgurzy, turkojęzyczna mniejszość w zachodnich Chinach, a ich częściowo kaukaskie pochodzenie sugeruje genetyczne związki z opisanymi wyżej prehistorycznymi autochtonami. Ujgurzy uważają się za tak odmiennych rasowo, że domagają się niepodległości od Chińskiej Republiki Ludowej. Antropolodzy posługujący się w badaniach metodami kryminalistycznymi mogą tylko spekulować na temat pochodzenia tych nietypowych ludzi, ale James Churchward już w 1926 roku twierdził, że wyczytał z tabliczek Naacalów w Indiach, iż Ujgurzy byli kiedyś częścią „głównego imperium kolonialnego należącego do Mu”. Na tabliczkach z hinduskiej świątyni znalazł informacje, że Ujgurzy rozprzestrzenili się na terytoryach dzisiejszych północnych Chin i południowej Rosji, a w Europie aż po obecną Irlandię i Hiszpanię w czasie, kiedy „pustynia Gobi była niezwykle żyzną krainą. Dzieje Ujgurów są dziejami Ariów”.

Innymi słowy mumie białych ludzi znalezione na ujgurskim terytorium to szczątki przybyszów, których przodkowie uciekli przez zagładą pacyficzną ojczyzny poprzez Chiny na pustynię Gobi wtedy, gdy ten obszar nadal nadawał się do zamieszkania. Wraz z pogorszeniem się klimatu i pustynnieniem ziemi potomkowie Lemuryjczyków wyruszyli na zachód do Indii i do Europy. Historycy z czasem nazwali to sukcesywnymi falami inwazji Indoeuropejczyków, poczynając od końca IV tysiąclecia do XII wieku p.n.e. Twierdzenia Churchwarda wydawały się naprawdę dziwaczne zarówno w czasie, gdy je opublikował, jak i ponad 50 lat później. Ale wraz z odkryciem starożytnej populacji rasy kaukaskiej w zachodnich Chinach przypuszczenia Churchwarda o silnym lemuryjskim wpływie na Ujgurów wydają się wiarygodne. Zresztą nie on jeden połączył obszar Gobi z cywilizatorami z Oceanu Spokojnego.

Wiara w istnienie poprzedzającej Polinezyjczyków białej rasy z nieznaną idylliczną ojczyzną jest szeroko rozpowszechniona na wyspach Pacyfiku. Mieszkańcy Male Kula w końcu XVIII wieku powitali Europejczyków jako Ambatów – użyli nazwy, którą określano „aborygeńską” rasę jasnoskórych ludzi na Nowych Hebrydach. Knat był legendarnym białym herosem z wyspy Motu w Grupie Banks. *Agalo* i *mae* to „duchy wojny” z rudymi włosami i jasną karnacją, opisywane jako „imigranci”, którzy przybyli na Północną Małą w archipelagu Wysp Salomona – ta sama tradycja zachowała się również na wy-

spie Vanua Leva w grupie Banks. Na wyspach Pumatotus i Tahiti istnieje legenda o rudowłosej kobiecie z niebieskimi oczami, która powstała z dna laguny. Jest to mitologiczny opis pewnego wydarzenia historycznego: przybycia ocalałych z potopu Lemuryjczyków.

Przedstawione przez Knapperta plemiona Papuasów przeprowadzają ceremonię inicjacji, która wskazuje na pochodzenie ludzi z Mu. Podrastający chłopcy są zamykani w wielkiej pleciance w kształcie ryby, z której wychodzą odrodzeni jako mężczyźni. Ten dziwaczny kosz nazywany jest Vai-Mu-ru. Kosmologiczny mit z Nowej Gwinei opowiada o zamordowanej samicy walabii, z której ciała wyszły wszy, aby stać się pierwszymi mężczyznami i kobietami z białej rasy, umiejącymi porozumiewać się bez słów. Dopiero znacznie później ci ludzie wykształcili język. Druga partia wszy, które wypełzły z rozkładającej się walabii, była czarna. Z czasem one również stały się ludźmi, dzisiejszymi ciemnoskórymi aborygenami z Nowej Gwinei. Jako starsi, biali ludzie byli bardziej rozwinięci kulturowo i wynaleźli flotę canoe, w której odpłynęli w stronę wschodu słońca i nigdy nie wrócili.

Według Kumulipo, najstarszej i najważniejszej hawajskiej ustnej legendy, mieszkańcy Mu pochodzili z Helani, „chwajnego lądu w ciemnoniebieskim morzu”, co jest trafnym określeniem niestabilnej geologicznie Lemurii. Inna opowieść z hawajskiej wyspy Kauai relacjonuje, że król Mu sprzeciwił się mieszanym małżeństwom między jego poddanymi a Polinezyjczykami. Nie został jednak posłuchany, wtedy „wezwał mężczyzn i ich pierwotnych synów i powiedział im, że następnej nocy wszyscy Menehune opuszczą wyspę, aby zachowali czystość rasową. Mężczyznom Menehune nie pozwolono zabrać ich hawajskich małżonek ani młodszych dzieci”.

Ta opowieść przypomina przestrożę polinezyjskiego boga morza Tangaroa, który wzywał swój lud do „zachowania skóry tak jasnej jak ich umysł”. Jeszcze w połowie XIX wieku jasnowłose dzieci składano w ofierze temu bogu na Mangaii, najbardziej wysuniętej na południe wyspy z grupy Cooka. Menehune- -Mu nie byli mitycznymi istotami; rzeczywiście pojawili się podczas przeprowadzania censusu za panowania króla Kaumuali około 1820 roku, kiedy 65 z 2000 mieszkańców doliny Wainiha zaliczono do Menehune. Mieszkali z daleka od innych we własnej społeczności, zwanej Lauu, czyli „las”.

Liczne ustne tradycje opisują wszechobecnego polinezyjskiego półboga Tane jako rudowłosego. Maorysi określali jego lud: *karakako*, „biali”. Spence cytuje starego Maorysa, który przypominał sobie tradycje Iwi Atua, pierwotnych mieszkańców Nowej Zelandii: „Z wyglądu niektórzy z nich byli bardzo podobni do dzisiejszych Maorysów; inni przypominali *paketa* [białych]. Kolor większości z nich [można określić jako] *kiri puwhero* [czerwonawa karnacja],

a ich włosy miały rudy lub złoty odcień, który nazywamy *uru-kehu*. Jedni mieli czarne oczy, drudzy niebieskie, jak jasnoskórzy Europejczycy”.

Maorysi zapamiętali Iwi Atua jako strażników świętych miejsc, funkcji najwidoczniej związanych z niedawnymi odkryciami archeologicznymi na Nowej Zelandii. Znajdujący się tuż na południe od jeziora Taupo na wyspie North, Mur Kaimanawa jest piramidą schodkową lub tarasową platformą, jakie można znaleźć w Polinezji, chociaż należy do największych z tych konstrukcji.

Z powodu braku jakiegokolwiek możliwego do datowania materiału, wiek Muru Kaimanawa jest niepewny. Liczące setki lat drzewa, które rosną przez otwory w tej strukturze, datują ją na czasy prehistoryczne. Wiadomo jednak, że Maorysi, którzy przybyli na Nową Zelandię przed 700 laty, nie byli jego budowniczymi, ponieważ nigdy nie stworzyli żadnej podobnej budowli. W zamierzczłej przeszłości mogli go wznieść Waitahanui, których starcy zachowali pewną wiedzę o nim nawet dzisiaj. Tezę o lemuryjskich konstruktorach podkreśla maoryska legenda o ludzie zamieszkującym Nową Zelandię przed nimi. Tamci jasnoskórzy Moriori byli przypuszczalnymi budowniczymi tarasów nawadniających, fortyfikacji na szczytach wzgórz i monumentalnych kamiennych murów, takich jak Kaimanawa. I rzeczywiście, nadal można zwiedzić starożytne tarasy z kamiennymi obwałowaniami w dystrykcie cieśniny Pelorus.

Według rady starszych plemienia Ngatimaniapoto, jasnowłosy lud, Patupaiarhe, rozprzestrzenił się na całym świecie po zatonięciu jego ojczyzny Hawaiki. Mówiono, że nowozelandzka góra Rangitoto była świętym ośrodkiem Patupaiarhe. Podobnie mieszkańcy Wyspy Gilberta z Mikronezji mają legendy o jasnowłosych ludziach, zwanych Matangami. Matangowie zasiedlili wiele wysp na Oceanie Spokojnym po straszliwym kataklizmie, który zniszczył ich bardzo bogatą ojczyznę w odległej przeszłości. Genetyczne ślady Matangów od czasu do czasu pojawiają się wśród tubylców z Wysp Salomona, zwłaszcza na Malaita, gdzie jeszcze można spotkać jasnowłosych mieszkańców. Spence pośpiesznie dodaje, że ci nietypowi osobnicy to nawrót recesywnego typu i że „są tubylcami, a nie europejskimi mieszkańcami”.

Spence'a poparł chrześcijański misjonarz, przemieszkujący wśród różnych wyspiarzy z Mórz Południowych w XIX wieku. „W całej tej rasie, gdziekolwiek się z nią spotkamy”, zauważył Percy Smith „znajdujemy powracający typ jasnoskórych ludzi, którzy nie są albinosami, ale mają całkiem jasne włosy i jasną karnację. U Maorysów ten typ często występuje w pewnych rodzinach przez wiele pokoleń. Kiedy indziej pojawia się jako prawdopodobny nawrót do pierwotnego typu, od którego się wywodzi. Wśród Maorysów są tradycje związane z rasą »bogów« zwanych Pakahakeha, którzy zawsze mieszkają w morzu i mają białą karnację – stąd nazwa Pakeha, którą nadali białemu człowiekowi, kiedy po

raz pierwszy zapoznali się z nami w XVIII wieku”. Nazwa Pakeha uderzająco przypomina Pahana, słowo z języka Indian Hopi oznaczające „zaginiony biały brat”, posiadacz brakującej części kamiennej tabliczki, którą przodkowie zdołali ocalić z oceanicznej ojczyzny przed jej zagładą. Wydaje się również podobne do Pakoyoc, jasnoskórej kasty inkaskich arystokratów. Wywodzili oni swoje pochodzenie od Wirakoczy, czyli Morskiej Piany, jasnoskórego, rudowłosego cywilizatora, który przybył do Peru po Wielkim Potopie. Nowozelandzka nazwa Pakeha, północnoamerykańska Pahana i południowoamerykańska Pakoyoc, pomimo dzielących ich wielkich odległości wydają się jedynie miejscowymi językowymi odmianami imion tych samych białych „bogów” z podmorskiego królestwa.

Maoryskie słowo Pakahakeha jeszcze bardziej pasuje do naszych badań zaginionej pacyficznej cywilizacji. Churchward stwierdził, że *keh* w języku lemuryjskim to lud Mu symbolizowany przez jelenia obok glifu T oznaczającego Praojczyznę. Po maorysku Pakahakeha znaczy „podobny do księżyca” albo „skóra jak światło księżyca”. Inny specjalista od mitologii z początku XX wieku, który poświęcił się badaniu prehistorii Nowej Zelandii, James Cowan, wierzył, że rzadko występujący jasnowłosi osobnicy wśród rdzennych mieszkańców reprezentowali „pozostałości starożytnego jasnowłosego ludu, który pozostawił [genetyczny] trend *uru-kehu*, czyli jasnych włosów w większości maoryskich plemion”. Mówiono, że Pakahakeha byli wielkimi budowniczymi monumentalnych kamiennych konstrukcji, takich jak Mur Kaimanawa. Na wyspach Kosrae i Truk byli czczeni jako Kona lub Pinari, „pierwsi ludzie”, wywodzący się z terenu Korytarza Buka. Bez względu na to, pod jaką nazwą byli znani na wyspach Oceanu Spokojnego, Haiviki to ich zatopiona ojczyzna, na przykład według starszyny plemienia Ngatimaniapoto.

Niwareka o jasnej karnacji, żona maoryskiego boga Mataora, należała do złotowłosego ludu, który nauczył Polinezyjczyków tkactwa i obróbki drewna. „Nie można kwestionować tezy, że ten mit dotyczy pozostałości jakiejś dawnej cywilizacji, której potomkowie mieszkali na odległej lub zatopionej wyspie”, podkreślił Spence.

Na Pacyfiku i wokół wybrzeży graniczących z nim kontynentów Australii, Azji i Ameryki znajdują się rozpadające się szkielety, szczątki i tubylcze legendy o zaginionej białej rasie. Żyją pozostałością tajemniczej rasy są Ajnowie z Japonii, nietypowi Indianie Haida z Kolumbii Brytyjskiej; mężczyzna z Kennewick i liczni niemongoloidzi z epoki lodowcowej, których zwłoki znajdowane są wzdłuż zachodnich wybrzeży kontynentu amerykańskiego od stanu Waszyngton w USA aż do Peru. Należy tu dodać szeroko rozpowszechnione wierzenia ludowe Polinezyjczyków, Mikronezyjczyków, Melanezyjczyków oraz

australijskich Aborygenów mówiące o jasnoskórych cywilizatorach z dawno zatopionej Praojczyzny. Dowody genetyczne i kulturowe wskazujące na istnienie przedpotopowego ludu są bardzo liczne. „W takim razie jesteśmy zdani na hipotezę, że Lemuryjczycy byli białą rasą, która rozwijała się od niepamiętnych czasów w rejonie Oceanii”, wywnioskował Spence. Opisany w Księdze Rodzaju Raj jest wersją mitu o pochodzeniu ludzkości z ładu położonego na południowym Pacyfiku, co potwierdza współczesna nauka.

Ten sam dowód wskazuje, że wcześni biali ludzie stworzyli pierwszą cywilizację świata w swojej oceanicznej kolebce. Wielu z nich zmusiły do emigracji katastrofalne wydarzenia, które nastąpiły pod koniec epoki lodowcowej. Fale wychodźców skierowały się na wschód, gdzie ich szczątki zaczynają badać antropolodzy, wstrząśnięci odkryciem niemongoloidów w starożytnej Ameryce. Lecz najwięcej wyruszyło do Azji Południowo-Wschodniej, gdzie rdzenni mieszkańcy, plemię Hmong, stanowi nietypową populację wśród tamtejszych osadników. Zgodnie z odwiecznym mitem o stworzeniu należą do rasy kaukaskiej, a te ludowe wierzenia zostały potwierdzone dopiero niedawno testami DNA. Ustna tradycja tego plemienia również opowiada o Wielkim Potopie, po którym ich przodkowie, Hmu, przybyli do Azji Południowo-Wschodniej. Sami Hmongowie nadal nazywają siebie Hmu. Oppenheimer trafnie zauważył: „Większość geograficznego rozmieszczenia współczesnych języków – w każdym razie aż do czasu niedawnej wielkiej kolonizacji – wywodzi się sprzed końca epoki lodowcowej”.

Wiele pokoleń po potopie z późnego plejstocenu, ocaleni z katastrofy i ich potomkowie wędrowali przez północno-zachodnie Chiny. Ich zmumifikowane szczątki nadal są odkrywane na pustyni Gobi. W końcu osiedlili się na stepach późniejszej centralnej Rosji, ale stulecia życia w surowych warunkach zmieniły tradycyjnie pokojowo nastawionych Lemuryjczyków w hodujących bydło wojowników, znanych jako Ariowie. Pogarszające się warunki klimatyczne w połowie IV tysiąclecia p.n.e. sprawiły, że na stepach coraz trudniej było im przeżyć, dlatego masowo migrujący Ariowie wtargnęli na subkontynent indyjski, na Bliski Wschód, na wybrzeża Morza Śródziemnego i do kontynentalnej Europy. Te najazdy na wielką skalę dały początek wczesnym cywilizacjom doliny Indusu, Mezopotamii i Deltę Nilu. Przybysze wymieszali się z miejscową ludnością, która dodała własny wkład do późniejszych wysoko rozwiniętych kultur. Ta synteza wyjaśnia podstawowe podobieństwa i indywidualne różnice pierwszych miast-państw u zarania świata starożytnego.

Wszystkie znały opowieść o utraconym rajskim ogrodzie z Drzewem Życia. Chociaż Drzewo Życia w zasadzie było synonimem pacyficznej Praojczyzny, jakieś drzewo mogło rzeczywiście być czczone za czasów Lemurii i nadal

istnieje. Według legendy z Wyspy Wielkanocnej święte drzewo, którego gatunku nie znamy, powierzono Hotu Matua, zanim opuścił Maere Renga z gromadą kolonistów. Przed wyjściem osadników na ląd w Zatoce Anakena królestwo Lemurii zniknęło w morzu. Hotu Matua posadził *toromiro* i „potomkowie” tego drzewa rośli na Wyspie Wielkanocnej przez wiele stuleci. Lecz do 1956 roku ostatni okaz *toromiro*, które nie rosło nigdzie indziej, był bliski zagłady. Na szczęście kontrowersyjny archeolog doktor Thor Heyerdahl zebrał trochę nasion. Wysłano je do Szwecji i zasadzono w ogrodzie botanicznym w Gothenburgu. W czasie, gdy uschło ostatnie *toromiro* na Wyspie Wielkanocnej, trzy nowe okazy wyrosły pod opieką profesora Carla Skottsberga, znakomitego specjalisty od flory polinezyjskiej. Dał on nasiona duńskim botanikom, którzy zasiali je na Wyspie Wielkanocnej w ramach chilijskiego projektu ponownego zalesienia tego skrawka lądu.

Dzisiaj setki *toromiro* znów rosną w drugiej ojczyźnie Hotu Matua. Ich przodek mógł być pierwotnym Drzewem Życia w lemuryjskim Rajskim Ogrodzie.

7. Hawajska praojczyzna

Plaskorzeźby potwierdzają polinezyjskie mity o nieznannej rasie „złotych” ludzi, która w jakiś sposób przetrwała zniknięcie w morzu jakiegoś kontynentu, który nazywamy Mu.

Maui Loa,
kurator Hawajskiego Muzeum Sztuki Etnicznej, Oahu

Sz szczególnie satysfakcjonujące chwile dla badaczy przeszłości zdarzają się wtedy, gdy jakaś opowieść, którą długo uważano jedynie za legendę, okazuje się prawdą. Taka chwila nadeszła w październiku 2002 roku wraz z pewnym odkryciem, które nie tylko radykalnie zmieniło obecne poglądy na pochodzenie człowieka, lecz także ożywiło mit powtarzany przez rdzennych Hawajczyków. Czteryście sześćdziesiąt lat temu powiedzieli pewnemu hiszpańskiemu podróżnikowi, Enrique’owi Gaetanie, pierwszemu współczesnemu Europejczykowi, który odwiedził ich wyspy, że nie są pierwotnymi mieszkańcami tych terenów. Przodków poprzedzili Menehune, rasa ciemnoskórych karłów, którzy sięgali tylko do bioder mierzącym 1,8 metra nowo przybyłym. Mali, nadzy ludzie byli prymitywnymi myśliwymi, nawet jak na polinezyjskie standardy, i z rzadka widywanymi mieszkańcami lasu. Żywili się zwierzętami zabijanymi zwykłymi pałkami. Nawet ci nieuchwytni aborygeni pod naporem rosnącej populacji przybyszów wycofali się na *pu’ukapele*, czyli „wzgórza Pele”, gdzie Menehune praktykowali tajemne sztuki magiczne.

Słowo *menehune* prawdopodobnie odpowiadało określeniu „czarownicy”, ponieważ *hune* znaczy magia. Zapamiętano ich również jako *kama’aina*, „dzieci [tej] ziemi”, co wskazuje na ich status autochtonów na Wyspach Hawajskich w czasach przed przybyciem Polinezyjczyków. Wyspiarze z Wysp Towarzystwa, Cooka i Tuamotus znali ten sam wczesny lud jako Manahune – *mana*

wskazuje, że była to rasa władająca wielkimi mocami duchowymi. Wprawdzie akademiccy uczeni odrzucili wszystkie informacje o Menehune jako legendarne i nierzeczywiste, ale „Biuletyn 203 Berenice P. Bishop Museum Newsletter” (Biuletyn Muzeum Berenice P. Bishop) doniósł, że „za rządów Kaumualii, ostatniego niezależnego władcy Kauai, przeprowadzono spis ludności Doliny Wainiha, w którym 65 z 2000 osób policzonych przez wysłannika tego króla należało do ludu Menehune. Przeprowadzony na początku lat 20. XIX wieku spis udokumentował istnienie ostatnich Menehune na Wyspach Hawajskich, na których kiedyś dominowali. Pewien menehuński przywódca Oahu, Ku-leo-nui, czyli „Ku o donośnym głosie”, miał kierować zmaganiem w rzucaniu włócznią i dyskiem, pojedynkami bokserskimi, zapasami i wyścigami podczas uroczystości pogrzebowych osób z królewskiego rodu. I rzeczywiście, zapisane imiona zwycięzców w tych igrzyskach zachowały się do dziś i są czczone przez rdzennych Hawajczyków.

Mimo to archeolodzy i antropolodzy jednomyślnie uznawali znanych z mitów, niskich mieszkańców Hawajów za elfy, krasnale lub koboldy podobne do leprechaunów z irlandzkich legend. Ale w 1964 roku naukowcy znaleźli wskazówki o niezwyklej wczesnej ludzkiej siedzibie w Liang Bua, „chłodnej jaskini” w miejscowym języku plemienia Manggarai, sięgającej 4,3 metra w głąb zbocza na Flores. Ta odizolowana indonezyjska wyspa leży na wschód od Jawy i na północny-zachód od Australii. Po 34 latach odkryli na tym samym stanowisku archeologicznym coś, co wyglądało jak wyjątkowo stare narzędzie, wykonane przez ludzi. Prowadząc dalsze staranne badania, archeolodzy odsłoniли w końcu niemal kompletny ludzki szkielet, niepodobny do żadnego z dotychczas znanych. We wrześniu 2003 roku rozpoczęli benedyktyńską pracę: usiłowali ponownie złożyć i zidentyfikować każdą kość w laboratorium w Dżakarcie. Po 13 miesiącach okazało się, że odtworzony szkielet należał do „zasadniczo nowej istoty”, według Josepha B. Verrengia, popularyzatora nauki dla Associated Press. To odkrycie „mogło [doprowadzić do] napisania na nowo historii ewolucji człowieka. Byłby to ósmy gatunek należący do rodziny *homo*”.

Antropolog Bernard Wood z Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona oświadczył, że *Homo floresiensis*, czyli człowiek z Flores, „jest [wprawdzie spornym, lecz] najbardziej znaczącym [obecnym] odkryciem dotyczącym naszego własnego gatunku”. Poparł go Chris Stringer z Londyńskiego Muzeum Historii Naturalnej, który opisał znalezisko jako „najbardziej krańcową postać, którą trzeba włączyć do rozległej ludzkiej rodziny. Na pewno jest ona najmniejsza”. Peter Brown z Uniwersytetu Nowej Anglii, który prowadził badania nad znaleziskiem z Flores, stwierdził: „Po raz pierwszy [w historii nauki] odnotowano ewolucyjny [proces] skarłowacenia u krewniaka człowieka [współczesnego]”.

Proporcjonalnie zbudowana, dorosła kobieta miała tylko 90 centymetrów wzrostu, ważyła nie więcej niż 27,5 kilograma, a objętość jej mózgu wynosiła mniej niż jedną trzecią mózgu współczesnego człowieka. Choć mniejszy niż u szympansa i jakiegokolwiek członka rodziny *homo*, mózg tej kobiety był mocno pofałdowany, co dowodziło wyższego poziomu inteligencji, niż wskazywałyby na to jego wielkość... grejpfruta.

Dean Falk, paleoneurolog ze Stanowego Uniwersytetu Floryda, oświadczył: „Mózg odkrytej istoty ma cechy, których nie widziałem w żadnym innym [mózgu] tej wielkości”. Narzędzi oraz innych artefaktów znalezionych wraz z nią i sześcioma równie karłowatymi towarzyszami nie mógł wykonać nikt inny oprócz człowieka. Ta kobieta nie była „dziwolągiem”, na którego przypadkiem się natknęliśmy”, dodał Richard G. Roberts z Australijskiego Uniwersytetu w Wollongong, ale przykładem pierwszego znanego ludzkiego karłowatego gatunku, co dodatkowo potwierdziło sześć innych „egzemplarzy” znalezionych w jaskini Liang Bua. Wiek znalezisk waha się od 12 000 do 9500 lat, chociaż najlepiej zachowany szkielet należał do kobiety, która żyła 18 000 lat temu. Przezwaną „hobbitką” od postaci z *Władcy Pierścieni* J.R.R. Tolkiena, kobieta żyła w prawdziwym Śródziemiu, zamieszkanym przez gigantyczne żółwie, tak duże, iż można by na nich jeździć, karłowate słonie, nie większe od kucyków, i monstrualne szczury wielkości dorosłych czarnych psów myśliwskich z rasy labradorów.

Ludzie z Flores nie tylko wyrabiali narzędzia, lecz także umieli rozpalać ogień i polować w grupach, co wskazuje, iż żyli w zorganizowanych społecznościach i skutecznie się porozumiewali. Ale „zdumiewające połączenie małych rozmiarów ciała i topornych rysów twarzy u tego gatunku sprawia, że praktycznie nie jest on podobny ani do współczesnych ludzi, ani do naszych wielkich, archaicznych kuzynów”, zauważył Verrengia. „Dolna szczęka ma duże, grube zęby i korzenie jak u [australopiteka] (*Australopithecus*), przedludzkiego przodka *Homo sapiens*, który żył w Afryce przed przeszło 3 000 000 lat. Przednie zęby są mniejsze niż [u] współczesnego [człowieka]. Oczodoły duże i okrągłe”. Lecz w świetle tego nowego odkrycia Afryka, domniemana kolebka ludzkości, już nie ma „wszystkich odpowiedzi na uporczywe pytania, jak – lub gdzie – powstałiśmy”.

Lecz na pytanie, jak zniknął prawdziwy ludzki hobbit przed 12 000 lat, geolodzy udzielili wiarygodnej odpowiedzi. Wiedzą teraz, że po epokach lodowcowych nie nastąpiło stopniowe ocieplenie, choć tę teorię powszechnie akceptowano przez wiele lat w minionym stuleciu. Ostatnia epoka lodowcowa zakończyła się natomiast serią katastrofalnych wybuchów wulkanów i zrodzonych z trzęsień ziemi olbrzymich tsunami, które spowodowały wymarcie takich stworzeń, jak monstrualne szczury, karłowate słonie oraz człowieka z Flores.

Ale może jednak ta populacja nie wyginęła całkowicie. Badania DNA kości z jaskini Liang Bua ujawniło, że *Homo floresiensis* zapuszczał się poza swoją indonezyjską wyspę, podróżując na zachód po Oceanie Spokojnym. Verrengia pisze, że nawet poprzednicy innego hominida, zwanego *Homo erectus*, „przemieszczali się z Jawy na Flores i na inne wyspy, może na bambusowej tratwie, prawie 1 000 000 lat temu”. Ślady genetyczne i całkowicie odmienne od siebie opowieści wyspiarzy z całej Oceanii sugerują, że mali ludzie dotarli na Hawaje 10 000 lub więcej lat temu przed najwcześniejszym znanym osadnictwem ludzi współczesnych na tych wyspach. Mike Morwood, członek zespołu badaczy z Liang Bua zauważył, że *Homo floresiensis* musiał znać się na żegludze przynajmniej w takim stopniu, żeby przebyć 24 kilometry otwartego morza między kontynentem azjatyckim a wyspą Flores. Według Morwooda, tylko ludzie dostatecznie inteligentni, by zbudować łodzie, byli w stanie pokonać taką odległość. Czy indonezyjscy hobbicy mogli podróżować dalej, „skacząc” z wyspy na wyspę aż do Hawajów, gdzie Polinezyjczycy znali ich jako Menehune?

Jeśli tak, to albo Hawajczycy zachowali oparte na faktach wspomnienie przez 12 000 lat, albo osobnicy z gatunku *Homo floresiensis* wyginęli na tych wyspach mniej niż 200 lat temu, jak dowodzi wspomniany spis ludności z początku XIX wieku. W każdym razie o istnieniu nieznanego dotąd i nieoczekiwanego przez naukę gatunku hominidów wiedziały nieposiadające pisma plemiona, które przechowały wspomnienia w tradycji ludowej. I rzeczywiście, tubylcy z Flores opowiadali o małych, o połowę od nich niższych, włochatych ludziach z płaskimi czołami, którzy dawno temu zamieszkiwali odległe zakątki wyspy, a ta ludowa opowieść znana jest na Pacyfiku od Indonezji do Hawajów.

Naukowe potwierdzenie dawnych legend może być równie podniecające, jak wizje, które okazały się prawdą. Aktorka Shirley MacLaine podczas jednego ze „snów o dawnym życiu”, jakie miała podczas pielgrzymki w Hiszpanii, dowiedziała się, że stolica Lemurii nazywała się Ramu i znajdowała się na Wyspach Hawajskich. Nie znała prac pułkownika Jamesa Churchwarda, ale jej wizja pasowała do jego wyjaśnień o centrum władzy politycznej Praojczyzny, jak opisał ją biograf badacza Lemurii, Hans Stefan Santesson: „Kiedy przyszedł król-cesarz został wybrany, głowa państwa [lemuryjskiego] przyjmowała tytuł Ra – Słońca – gdyż Ra był symbolem władcy. Churchward opowiada nam, że do tego tytułu dodawano nazwę kraju, Mu, więc pełny tytuł króla – prawdopodobnie odnosi się do jego tytułu dynastycznego – to Ra Mu”. W innym hawajskim micie, pierworodny syn bogini słońca, Ra’i ra’i, nazywał się Mu Re. Wystarczy zwykła zmiana litery z Mu Re na Mu Ra, a obie wersje wykażą wiarygodny związek z kultem słońca. Melanezyjska legenda głosi, że jakiś mężczyzna udał się na równiny rzeki Ramu, gdzie pewna bogini pod postacią starej jędry dała

mu orzech kokosowy, który zamienił się w piękną kobietę. Kiedy piękność została jego żoną, wszyscy kawalerowie też otrzymali magiczne orzechy kokosowe i tak Nowa Gwinea została zaludniona. Ramu nie tylko zawiera nazwę pacyficzną Praojczyzny, ale również imię czczonego tam boga słońca.

Łącząc „wizję z dawnego życia” Shirley MacLaine z badaniami Churchwarda i tubylczymi tradycjami, możemy przyjąć, że stolica Lemurii była tak ściśle identyfikowana z królem, że jej nazwa i tytuł władcy brzmiały identycznie. Jeżeli odrzuci się zbieg okoliczności, aktorka i badacz wzajemnie wspierają swoje wypowiedzi, chociaż dzieliły ich długie lata: Churchward żył na początku, Shirley MacLaine pod koniec XX wieku. Ich stwierdzenia nabierają znacznie większego znaczenia, gdy dowiadujemy się, że Wyspy Hawajskie, na których dawno temu miał rządzić Ra Mu, są niezwykle bogate w dowody świadczące o istnieniu zaginionej cywilizacji. Według Leinani Melville, badaczki historii Hawajów: „Oczywiście istniało wiele kontrowersji w sprawie istnienia lub nieistnienia baśniowej krainy Mu. Wykształceni Hawajczycy akceptowali to jako fakt. Biali przybysze przeważnie woleli twierdzić, że to mit. Ale ludzie Zachodu uważali za wymysł tak wiele rzeczy, które tubylcy zaakceptowali jako prawdę”.

Zgodnie z hawajską ustną tradycją, te wyspy były zamieszkane na długo przed przybyciem pierwszych Polinezyjczyków w II lub III wieku. Zasiadlały je dwie odrębne grupy: karłowaci Menehune i ludzie, których sama nazwa potwierdza istnienie zaginionej Praojczyzny, ponieważ w polinezyjskim micie nazywani są Mu. Bardziej jednoznacznego związku z pacyficzną cywilizacją nie można sobie wyobrazić i wszystko od owych Mu poczynając, ale nie ograniczając się do ich eponimicznej tożsamości, sugeruje lemuryjskie pochodzenie. Z czasem, kiedy oba ludy były bliskie wymarcia, Menehune i Mu coraz bardziej mieszały się ze sobą i zostali uznani za jedyne przedpolinezyjskie mieszkańców Hawajów. To pomieszanie pojęć pojawia się w kilku tubylczych opowieściach (Panna z Mu, Puku’i), w których Mu są z pewnym wahaniem przedstawieni jako jedno z „plemion” Menehune.

Menehune-Mu zapamiętano jako wielkich budowniczych statków i żeglarzy, którzy przyплыли w licznych flotach z Helani, dawniej lokalizowanej daleko na wschodzie i określanej w pieśni Kumulipo jako „niestabilny łód leżący w głębokim, niebieskim morzu”. Katastrofa opisana w tej pieśni o stworzeniu świata była głównym wątkiem hawajskich obrzędów religijnych, w których składano bogom ofiary w świątyniach, aby nie dopuścić do powtórzenia się Wielkiego Potopu. Tego, który zatopił Helani. Oppenheimer zauważa: „Pacyficzne wersje tej historii przedstawiają jednego brata jako ciemnoskórego myśliwego-zbieracza; drugi to białoskóry rybak z wybrzeża, który wtargnął z morza” – czyli, odpowiednio, ludy Menehune i Mu.

Ci ostatni pojawiają się w kilku innych hawajskich opowieściach, takich jak trafnie zatytułowana *Ku-Mu-honua*. Tu Mu są opisani jako jasnoskórzy, jasnowłosi konstruktorzy cyklopowych *heiau* (świątyń), *loko-ia* (stawów rybnych) i „kanałów”, jedynego rodzaju wykopów znanych Polinezyjczykom. Historia Panny z Mu mówi o włosach bohaterki, że błyszczały „jak pióra ptaka o’o”. Według Mary Kawena Puku’i, ptaki *o’o* (*moho nobilis*) były „bardzo cenione przez wczesnych Hawajczyków dla ich rzadkich żółtych piór”. Ale prawdziwy cel różnych megalitycznych konstrukcji, które legenda przypisała Menehune, podobnych do ruin z Wyspy Wielkanocnej lub z Pohnpei, nigdy nie został dobrze wyjaśniony. Jak napisał znany brytyjski antropolog Edger-ton Sykes: „Nadal nie mamy pewności co do dokładnej rytualnej funkcji tych stawów rybnych”.

W każdym razie lud Mu dokonał wielkich architektonicznych dzieł, ponieważ słynął z mistrzostwa we władaniu mocami duchowymi znanymi jako *mana*, które otrzymał od swojego boga, Ha-Mu-ka. Tu również spotykamy sugestię o użyciu sił nadprzyrodzonych – tak jak w przypadku Nan Madol i Rapa Nui – do przenoszenia wielotonowych bazaltowych kolumn i monumentalnych *moai*. Autor książki *In Search of Lemuria* (W poszukiwaniu Lemurii), Mark R. Williams zwiedził kamienną świątynię na wysokim cyplu, górującym nad zatoką Waimea na północnym wybrzeżu Kauai. „Według miejscowej tradycji, Pu’uo Mahuka Heiau zbudowali w ciągu jednej nocy Menehune; musieli użyć potężnej *mana*, aby wznieść tę masywną, otoczoną niskim murem platformę, większą niż boisko piłkarskie”. Innym obiektem przypisywanym ludowi Mu jest długi na 300 metrów staw rybny na Kauai, zwany Alekoko. Dla pisarza-podróżnika Jima Rodgersa Menehune „byli wspaniałymi kamieniarzami, a antropolodzy są zgodni, że [współcześni] Hawajczycy nie potrafili zbudować tak doskonale oszlifowanej i dopasowanej konstrukcji”.

Później Williams zbadał tak zwany Rów Menehune. Chociaż obecnie używa się go jako kanału nawadniającego, „niegdyś był wysoki na ponad 6,6 metra, zbudowano go ze starannie wygładzonych i dopasowanych kamiennych bloków tak, jak mogliby to zrobić starożytni Rzymianie. Dzisiaj to stanowisko archeologiczne, położone w pobliżu mostu obrotowego na rzece Waimea, jest nieopisane. Ale nadal pozostało z niego dostatecznie dużo, by można było wywnioskować, że budowniczo wie użyli innej techniki niż w wypadku stosów nierówno ociosanej lawy, które widziałem na wyspach. Te kamienie zostały starannie wygładzone i ukształtowane jak skomplikowane części z układanki tak, żeby wytrzymały najpotężniejszy kataklizm”. Styl budowy, opisany przez Williama, przypomina monumentalne kamienne konstrukcje z Wyspy Wielkanocnej i z Tiahuanaco. Lemuryjskie pochodzenie hawajskich świątyń wychodzi na jaw

podczas oględzin ich „świętego świętych”. Jest to ogrodzone miejsce, *paehemu*, we wnętrzu *heiau*, umieszczone osobno, w pewnej odległości od świętych figur i wizerunków przodków.

Jak można się spodziewać po bardzo starej, długowiecznej cywilizacji, którą zachowały w pamięci liczne tubylcze plemiona na wyspach Pacyfiku, zatopione królestwo, skąd przybyli Menehune, występuje w ich mitach pod wieloma nazwami. Wywodzą się one z jednego źródłostwu, znanego Polinezyjczykom, Mikronezyjczykom i Melanezyjczykom. Są różnymi plemiennymi i etnicznymi określeniami wspólnego miejsca pochodzenia, zwanego Hiva, Haiviki, Kahiki, Mutuhei i tak dalej. Honomu to jedna z kilku nazw topograficznych na Hawajach, które upamiętniają zaginioną pacyficzną cywilizację, a znaczy „święte Mu”.

Jak wskazała Leinani Melville: „Lud Mu nadał swojej ojczyźnie kilka nazw. Havai’i, obecnie: Hawaje, była tylko jedną z nich. Tradycja przekazała informację, że niewielka część Mu przeżyła kataklizm, który stał na proch starożytną cywilizację. Ci przechowali tradycje praocjów i przekazali je następnemu pokoleniu. Trwało to setki, może nawet tysiące lat, aż angielski żeglarz kapitan Cook odkrył dalekich potomków ludu Mu, żyjących w hawajskich dżunglach”.

Najstarsza i najważniejsza hawajska ustna tradycja to *Kumulipo*. Znana hawajska uczona Berenice P. Bishop w swoim miarodajnym przekładzie zwróciła uwagę na „sędziwy” wiek *Kumulipo*: „Język [tej pieśni] jest często archaiczny, zawiera wiele słów nieznanymi współczesnym Hawajczykom”. Ta *Pieśń o Stworzeniu* była podzielona na liczne śpiewy, z których pierwszy wyraźnie określa lemuryjskie pochodzenie [zaginionego kontynentu] jako Ku-Mu, czyli „źródło”. Według znawczyń mitologii Marthy Ann Imel i Dorothy Myers Imel, Ra’i ra’i, bogini blasku słonecznego „przybyła z nieba na Ziemię, aby zostać matką ludu Mu, pierwszych ludzi”. Najwcześniejszy z nich, Ku-Mu-honua, użył mocy *mana*, aby zbudować pierwsze świątynie z wielkich kamieni. Niektórzy z jego potomków to: Ka Mu Lewa, Ka Mu Lani, Lolo Mu, Heku Mu, Nana Mua, Haleku Mu, Ku Mu lea, Mu Liele-alii, Ko Mu koa. W skład tych wszystkich imion wchodzi nazwa ojczyzny ich przodków. Byli to biali ludzie, ponieważ według *Kumulipo*: „Zrodzony został Hakea, jasnowłosy, mężczyzna”.

Za pośrednictwem Ku-Mu-honua rodowód każdego wielkiego wodza i najwyższego kapłana wywodzono od ich najwyższego boga, Te Tu Mu Nui, „wielkiego budowniczego” lub „nauczyciela-mistrza, który stworzył świat”. Przez wiele pokoleń wodzowie i kapłani wynaleźli wszystkie materialne przedmioty, których w końcu zaczęła używać ludzkość, i pewne praktyki duchowe, utraczone od tego czasu. Mu-eu wprowadził tkactwo, a Mumu-hango pokazał sposób wykorzystania trzciny *totorā* do budowy łodzi i dachów. „Erę przewrócenia”,

Po-au-huliha, rozpoczęła słynna bogini wulkanu: „Z Kahiki przyszła ta kobieta, Pele. I oto erupcja w Kahiki! Światło błyskawic, o Pele! Buchaj [ogniem], o Pele! Fosfor świeci jak oko Pele lub błysk meteoru na niebie. Niebiosa się zatrzęsły, zatrzęsła się Ziemia, nawet w świętych miejscach. Ziemia tańczy. Niebiosa się zamykają. Narodziły się ryczące, prące do przodu, cofające się fale [i] grzmiące trzęsienie ziemi. Morze szaleje, unosi się nad plażą, podnosi aż do zamieszkanym miejsc, stopniowo wznosi się coraz wyżej aż ponad ląd”.

Coraz bardziej gwałtowne Po-au-huliha zamieniło się w Kai-a-ka-hina-li'i, „potop, który spowodował upadek wodzów”. Uciekli oni „tłumnie ze znikającej [pod wodą] wyspy na ramionach Moanalihā” (oceanu): „Zakończył się ród pierwszego wodza z zamierzchłej przeszłości. Zamarł prąd wypływający z pępka świata. To była fala wojownicza. Wielu z tych, którzy przybyli, zniknęło, zaginęli w nadchodzącej nocy. Wirujący, kołyszący się ocean wspiał się na góry, wessał i połknął życie, gdy piął się coraz wyżej i wyżej ponad domami mieszkańców [wyspy]. Wzbierające, podnoszące się, wzburzone morze zamknęło się nad nami. Och, zalewające wszystko bałwany w Kahiki! To koniec świata Hāiviki!”

Od tej pory zachód, gdzie zatoniła Kahiki, nazywano *he ala nui o ka make* – „wielką drogą śmierci lub umierania”. Sama zaginiona Praojczyzna została ponownie przemianowana na *Kahiki-ho-nua-kele* „boską ojczyznę, idącą na dno w głębokim niebieskim morzu”. Mimo zagłady, wielu ludzi ocalało. Jednym z nich był Nuū, który ze swoją żoną Lilinoe oraz trzema synami i ich żonami uciekł na *He waa Alii o ka Moku*, królewskim statku, który dowiózł ich bezpiecznie na Hawaje. Chociaż *Pieśń o Stworzeniu* recytowali doskonale wyuczeni i zdolni mówcy, wspomnieniem Kaiakahinalii, czyli Wielkiego Potopu, był także rytualny taniec *hula-hula*. Tańczącym przewodził nauczyciel, *kumu*, co jest jeszcze jedną nazwą przypominającą zatopioną Praojczyznę.

Dzięki Williamowi Ellisowi, który był osobiście zaangażowany w nawrócenie na chrześcijaństwo rdzennych Hawajczyków, stało się jasne, że te tubylcze opowieści nie powstały w rezultacie kontaktu z XIX-wiecznymi misjonarzami.

Ellis wspominał:

Po zwięzłej opowieści o Potopie usiłowałem ukazać zalety wiary i konsekwencje niegodziwości, wynikające z (...) opowieści o ocaleniu Noego i zniszczeniu reszty ludzkości. Po skończonej mszy kilku obecnych poprosiło mnie, żebym został. Chcieli zadać mi pytania dotyczące Potopu, Noego itp. Oświadczyli, że ojcowie ich poinformowali, iż cała ziemia została kiedyś zalana przez morze z wyjątkiem małego wzgórza na szczycie Mouna-Kea, gdzie dwie ludzkie istoty ocalały przed zagładą, która dosięgła resztę ludzi. Powiedzieli jednak, że

nigdy nie słyszeli ani o arce, ani o Noem, ponieważ zawsze byli przyzwyczajeni nazywać to *kai a Kahinarii* (morze Kahinarii).

Ta i pokrewne miejscowe wersje opowieści o potopie to wyjątkowo bogaty materiał faktograficzny, który niewątpliwie opisuje istnienie i późniejsze



Drewniane posągi *tiki* pełnią straż na hawajskich wybrzeżach, by nie dopuścić do powtórzenia się Wielkiego Potopu, który zniszczył polinezyjską Praojczyznę.

unicestwienie pacyficznej Praojczyzny. Jak zauważył Lewis Spence: „Jest oczywiste, że te mity o zniszczeniu wywodzą się z lemuryjskiej tradycji, gdyż do czasu zasiedlenia Oceanii przez Polinezyjczyków okres największych wstrząsów sejsmicznych dawno przeminął”. Co ciekawe, Kumulipo opowiada o śmiertelnie niebezpiecznym „prądzie, wypływającym z pępka świata”, podając tę samą nazwę, pod którą była znana Wyspa Wielkanocna. Z poprzedniego rozdziału wiadomo, że określenie Te-pito-te-henua odnosiło się do punktu centralnego, czyli epicentrum dwóch linii uskoków krzyżujących się w niestabilnym geologicznie rowie tektonicznym na Południowopacyficznym Wzniesieniu. Lemuryjczycy wiedzieli o tym potencjalnym zagrożeniu i próbowali ograniczyć jego najgorsze skutki, wznosząc bazaltowe *moai* jako części składowe ziemskiego „przetwornika”, który miał rozpraszać niebezpiecznie wielkie energie ruchów sejsmicznych. Ale Kumulipo opowiada o tsunami, „fali wojownicze”, która przybyła od strony Wyspy Wielkanocnej i zalała Kahiki.

Inną więzią z Rapa Nui jest wczesne imię, które Mu nadali Hawajom: Ka-houpo-o-Kane, czyli pępek Kane. Kane był bogiem światła, co przypomina Te-pito-te-Kura, pępek światła, najświętszy artefakt Wyspy Wielkanocnej, osobiście przywieziony przez Hotu Matua z zatopionej ojczyzny, Marae Renga. Maorysi z zachodniego Pacyfiku opowiadali o ich pradawnym przodku, Tane, który przeniósł Pianę w Oceanie i Białą Morską Mgłę na Nową Zelandię z kraju Hiva przed jego zniknięciem.

Repliki tych świętych kamieni umieszczono w każdej *whare*, czyli szkole śpiewu, i uczniowie stali na nich, aby wchłonąć *mana*, kiedy mieli recytować święte teksty w dniu ukończenia nauki. Wydaje się, że Praojczyzna pozostawiła kilka takich „relikwii” uciekającym ludziom, którzy użyli ich jako symboli do odrodzenia dawnego kultu misteryjnego na obcych wybrzeżach. Pohaku-a-Kane, znajdujące się w Puna, na hawajskim przylądku Ku-Mu-Kahi, to para kamiennych kolumn, rzekomo zabranych z Kahiki, zanim pogrążyła się w morzu. Podobne kamienie w kształcie stożków o tej samej nazwie służyły jako ołtarze w *hale mu-a*, czyli w jadalni mężczyzn. Wydaje się, że Ka-houpo-o-Kane miał oznaczać, że Hawaje były takim samym centrum („pępkiem”) lemuryjskiej duchowości jak Rapa Nui.

Archeolodzy zaprzeczają tradycyjnym opowieściom o Wielkim Potopie, po którym lud Mu przybył na Hawaje o całe wieki wcześniej przed Polinezyjczykami, aby dokonać takich wspaniałych dzieł w dziedzinie architektury, jak Rów Menehune. Argumentują, że żaden materialny dowód osadnictwa na Hawajach nie liczy więcej niż 1800 lat. Mimo to przypadkowe znaleziska, począwszy od pierwszych dziesięcioleci XIX wieku, sugerowały znacznie bardziej zaawansowany wiek pojawienia się tam ludzi niż wynikający z badań przeprowadzanych

metoda węgla ^{14}C . Na przykład podczas kopania pierwszych studni w Honolulu w 1822 roku przebito szyby przez mającą od 2,4 do 3 metrów powierzchniową warstwę gliny i popiołu wulkanicznego. Dalej kopaczom przeszkodziła twarda skała koralowa, w której znaleziono ludzką czaszkę i kilka kości. Kiedy w 1858 roku barowano port w Honolulu, z mułu i czarnego wulkanicznego piasku, z podobnej głębokości, wydobyto grot włóczni wraz z obrobionym kamieniem. W następnym roku w Molakai w głębokim podłożu z wulkanicznego błota odkryto kolejną ludzką czaszkę. Okoliczności pozwalały datować te znaleziska na co najmniej 1000 lat więcej przed przybyciem Polinezyjczyków w II lub III wieku do Oahu.

Sporadyczne materialne dowody wcześniejszego osadnictwa na Wyspach Hawajskich znajdują kulturowe potwierdzenie w postaci metod nawigacji podobno odziedziczonych po Mu. Lud ten miał budować ogromne katamarany, w których rozpoczęto transoceaniczne podróże. Żeglarze kierowali się pomysłowymi mapami gwiazdnymi. Jedną z tych starożytnych metod nawigacji opisał członek starszyny z Kauai w 1891 roku W.D. Alexandrowi, profesorowi antropologii, który płynnie mówił hawajskimi dialektami. Wypiarz przekazał badaczowi następujące wskazówki co do kierunku żeglugi, równie pożyteczne, jak starożytne: „Kiedy przybędziesz na Piko-o-wakea, równik, stracisz z oczu Hoku-paa (Gwiazdę Polarną), a potem Neve będzie twoją południową gwiazdą przewodnią, konstelacja Humu będzie zaś stać jak przewodnik dla ciebie”.

„Konstelacja Humu” była znana profesorowi Alexandrowi i jego kulturze jako Krzyż Południa. Na nocnym niebie tworzy on konfigurację w kształcie T, które, według Jamesa Churchwarda, było narodowym godłem Mu. „*Tau* jest obrazem Krzyża Południa”, napisał Alexander. „Przyjęto go jako symbol wskrzeszenia, bo kiedy Krzyż Południa pojawiał się na niebie nad Mu pod pewnym kątem, przynosił długo wyczekiwany deszcz. A wraz z deszczem nasiona w ziemi budziły się do życia, opadające listowie odżywało i wypuszczało nowe pędy, na których wyrastały kwiaty i owoce. Wtedy nadchodził czas obfitości i radości na Mu – życie zostało wskrzeszone”. Realny związek między hawajskim Humu i *Tau* Churchwarda – za pośrednictwem Krzyża Południa – a zaginioną Praojczyzną wydaje się nieunikniony.

Jeden z najbardziej skłaniających do refleksji dowodów w sprawie zatopionej Praojczyzny znalazł Mark Williams w Honolulu w Muzeum Berenice P. Bishop, znanej instytucji, związanej z polinezyjską archeologią. Za napiwek dowiedział się, że w archiwum, które znajduje się w piwnicach muzeum, jest „Mapa świata” skompilowana na użytek ostatniego władcy Hawajów w końcu XIX wieku. Podobno miała ona powiązania z Mu. Po długich poszukiwaniach wśród zakurzonych zapisków, znaleziono ten stary dokument. Williams tak go

wspomina: „To jest duży i barwny obraz powierzchni Ziemi, z lądami określonymi jako »wznoszące się« lub »zapadające się«. Ukazuje olbrzymi kontynent między Fidżi a Madagaskarem, zwany Lemurią! Na mapie widnieje podpis »Rex Kalakaua« i data 1886”. Ta mapa wyprzedza o 40 i więcej lat popularne książki o zaginionym „kontynencie” pióra Browna, Churchwarda i Spence’a, z których żaden nawet nie podejrzewał jej istnienia. Można tak sądzić na podstawie ich prac, gdzie nie ma żadnej aluzji na ten temat.

Towarzyszący temu dokumentowi rękopis, część Marques Papers (Dokumentów Marquesa), informuje, że mapę narysował niewymieniony z nazwiska kapitan statku, którego ręcznie napisany pamiętnik również się zachował. Dziennik zawiera opis geologii Pacyfiku, kamiennych ruin i tuzinów wysp oraz informacje o ich mitach i ludności tubylczej. „Jesteśmy na progu i Lemuria może zostać wskrzeszona w całej swojej chwale” wywnioskował anonimowy autor. Williams był „zdmuony, że nieznany, nieopublikowany rękopis zawierał precyzyjne szczegóły wykorzystane w późniejszych opowieściach o zatopionym kontynencie. Ale informacje o tym, kim był kapitan, zaginęły wraz ze śmiercią pana Marques’a, francuskiego konsula na Hawajach około 1900 roku”.

Wprawdzie potomkowie ludu Mu na Wyspach Hawajskich nie powitali z radością polinezyjskich gości w II lub III wieku, ale powstrzymali się od prowadzenia wojny z nimi. Trzymali się jednak na dystans, odmawiając wszelkich kontaktów towarzyskich. Woleli trzymać się z daleka od wpływów zewnętrznych. Według miejscowej tradycji, opisanej przez Leinani Melville, Mu byli „skrytym ludźmi, którzy zachowali swoją wiedzę w milczeniu. Przysięgli nigdy nie ujawnić żadnego z rytuałów Mu tym, kto nie należał do ich społeczności”. Sama ich nazwa tworzy wyrażenie *ho’omu* – „siedzieć w milczeniu; odmówić odpowiedzi; oniemiały”, według hawajskiego leksykografa Mary Kawena Puku’i.

Ale w miarę jak populacja nowo przybyłych rosła, Mu byli wypierani z jednej wyspy na drugą, aż w końcu musieli opuścić nawet ukochaną Kauai. Nieliczni „odstępcy”, z których większość wzięła polinezyjskie małżonki, nie chcieli odejść i ukryć się w dalekich, zalesionych obszarach.

Ich ostatnie znane miejsca schronienia, były zaledwie dwoma małymi przyczółkami na zachodzie, niewidocznymi z lądu. Teraz te niezamieszkałe wyspy są jedną z najbardziej interesujących tajemnic archeologii pacyficznej. Nihoa, od hawajskiego słowa „ząbkowany” – co odnosi się do poszarpanego profilu terenu – leży w odległości 273,5 kilometra od Kauai. Te 62 hektary nagich skał tworzy smagany wiatrem trakt długi na 1600 metrów i szeroki na około 400 metrów w największym miejscu. Wschodni kraniec wysepki wznosi się na wysokość 30 metrów. Wyspa Necker, o powierzchni 15 hektarów, położona w odległości

około 514 kilometrów, jest jeszcze mniejsza i bardziej oddalona od lądu. Na żadnym z jej skalnych wypiętrzeń nie ma ziemi, którą można by uprawiać. Nie rosną też na nich drzewa. Nie znajdują się tam źródła ze słodką wodą, a roczne opady deszczu to nie więcej niż 50 lub 75 centymetrów. Obie wyspy bez przerwy są smagane wysokimi falami, dlatego przybicie do ich skalistych wybrzeży jest niebezpieczne. Podczas gdy najbliższy rejon wyspy Necker od niepamiętnych czasów po dziś dzień odwiedzają żółwie i morskie ptaki, ludzie jej nie znali, aż została odkryta przez Europejczyków w 1789 roku.

Trudno sobie wyobrazić dwa inne, bardziej niegościnne miejsca. A przecież można tam znaleźć prawie 100 budynków, co najmniej dwa cementarze, haczyki na ryby, ciężarki, linki z włókien roślinnych, wabiki z muszelek kauri, kamienne młotki, żarna, ciosła i inne niezliczone narzędzia – jest to materialny dowód na istnienie licznej, osiadłej populacji w otoczeniu niezdolnym do podtrzymania życia. Czterdzieści sześć z 60 ruin na Nihoa to domy, otoczone murem magazyny lub zagrody, schroniska na urwiskach, tarasy uprawne i inne konstrukcje niezbędne w życiu codziennym; wszystkie z wyjątkiem jednego z 34 stanowisk archeologicznych na wyspie Necker są platformami świątynnymi, czyli *heiau*. P.V. Kirch, który zwiedził wysepkę na początku lat 80. XX wieku, doniósł, że tamtejsze „*marae* są zdumiewająco jednolite, jeśli chodzi o plan i styl architektoniczny, i składają się z niskiej, wąskiej, prostokątnej platformy, przylegającej do brukowanego, prostokątnego dziedzińca lub tarasu. Wzdłuż tej platformy ustawiony jest szereg pionowych kamiennych płyt, podczas gdy inne płyty są umieszczone w pewnych miejscach dziedzińca”. Monolity prawdopodobnie były ustawione według orientacji astronomicznej, zgodnie z różnymi pozycjami słońca.

Większość kamiennych posążków, z których największy mierzy 40 centymetrów, znaleziono na wyspie Necker, co sugeruje więc z wyspą Nihoa i jakiś podwójny cel, realizowany przez jedną populację. Jej członkowie mieszkali na Nihoa, a Necker zamienili w miejsce pielgrzymek morzem. Flotylle katamaranów wiozły tłumy pobożnych czcicieli przez groźne fale w stronę świętej wyspy, co na pewno było imponującym widokiem. Wszystko wskazuje, że ci odważni ludzie nie tylko przetrwali, lecz także prosperowali przez jakiś nieznaną okres, chociaż: jak walczyli z przeciwnościami, skąd przybyli, kiedy i co potem się z nimi stało? – to pytania, na które uczeni bez powodzenia szukają odpowiedzi przez ponad 200 lat. Hawajczycy wierzą, że prehistoryczni mieszkańcy wyspy Nihoa to *kanaka maoli* – „ludzie niepodobni do nas”, co jest innym odniesieniem do ludu Mu. Pewne bardziej misterne przykłady kamiennych konstrukcji na wyspie Necker rzeczywiście przypominają rów Menehune z Kauai i staw rybny Alekoko.

Tarasy uprawne z Nihoa (również przypominające lemuryjskie metody uprawy roli) świadczą o rolniczej wiedzy zaginionych mieszkańców wyspy i o ich determinacji, żeby przetrwać w nieprzyjaznym otoczeniu. Ale niezrównana umiejętność żeglowania mogła zapewnić im zamożność kontrastującą z jałowym otoczeniem. Wody wokół wyspy obfitują w wieloryby, ryby żyjące wśród raf koralowych, żółwie, rekiny, perłopławy i strzykwy. Sama wysepka jest siedliskiem fok i wielu gatunków ptaków. Tak zwany miller-bird – *Acrocephalus familiaris kingi* – to endemiczny gatunek, który występuje tylko na Nihoa. Ten sam genialny lud, który zbudował święte miasto na dalekiej wyspie Necker, potrafił wykorzystać przeciwności losu do zapewnienia sobie dostatniego życia.

Nihoa i Necker to ostatnie schronienie potomków Mu, których dziedzictwem była wielkość i zagłada. Ten spadek zahartował członków tego ludu i wyczelował ich cywilizacyjne osiągnięcia na wiele wieków po katastrofie, która zniszczyła Lemurię. Lecz nawet niezwykli Mu nie mogli oprzeć się procesowi przemijania. Podobnie powściągliwe, jak ten lud, kamienne ruiny dwóch opuszczonych wysp stały w milczeniu, odkąd ich budowniczości zniknęli przed wiekami na wielkim, tajemniczym Pacyfiku.

8. Lemuryjczycy w Ameryce

*Znana setkom plemion, od koła polarnego do Tierra del Fuego,
na długo przed przybyciem chrześcijańskich misjonarzy z ich wersją Potopu,
zasadniczo zgodna tradycja o bliżej nieznanym Wielkim Potopie
bez wątpienia jest wspomnieniem bardzo odległego w czasie
naturalnego kataklizmu, którego ich różni przodkowie wspólnie doświadczyli
w zamierzchłej przeszłości.*

William Alexander
Mitologia północnoamerykańska

Katastrofalna erupcja wulkanu na Nowej Zelandii nastąpiła 3600 lat temu. To zdarzenie zbiegło się z ostatecznym zniszczeniem Lemurii, a przodkowie dzisiejszych Maorysów byli tego świadkami. Tubylcy nadal pamiętają tę katastrofę. Opowiada o niej mit o Rongo-mai – „dźwięku-wojowniku” – bogu nieba, który dawno temu zaatakował świat pod postacią komety. Po zdziękowaniu ludzkości zamienił się w gigantycznego wieloryba, który zanurzył się w morzu. Ten mit nie tylko opisuje ostateczne zniszczenie Mu, ale również jest zgodny z wyjątkowo podobnymi do lemuryjskiej wersjami po obu stronach Pacyfiku. Starożytna chińska *Huainanzi* opowiada, że gigantyczny wieloryb, symbol wielkiej wyspy, zniknął w Morzu Wschodzącego Słońca po początkach czasu, kiedy „gwiazda-miotła” (olbrzymia, świecąca kometa) pojawiła się na niebie.

Plemiona Indian Koryak, Kamchadal i Chukchee z wybrzeża Kolumbii Brytyjskiej wspominają Quikinna’qu, „pierwszego człowieka” i jedyne ocalałego z wyspy, którą Ptak Grzmot przemienił w wieloryba. Żeby uniknąć ataku szponów ptaka, wieloryb zanurkował aż na dno morza, topiąc wszystkich na swoim grzbiecie, z wyjątkiem Quikinna’qu, który dopłynął na pniu do obecnej wyspy

Vancouver. Tam poślubił miejscową kobietę. Ich dzieci dały początek plemionom kanadyjskiego Północnego Zachodu. Indianie Haida również opowiadali o orce, na której grzbiecie najpierw mieszkali ludzie, aż kiedyś zanurzyła się pod wodę po gwałtownym ataku z nieba. Wielu ludzi utonęło, ale niektórzy dopłynęli do wybrzeży Kolumbii Brytyjskiej, gdzie stali się przodkami dzisiejszych rdzennych mieszkańców, zwanych Ludem Orki. Co znaczące, wyspa-orca zwana była Namu.

Historie o potopie są powtarzane w ustnej tradycji i zachowane w słynnych drewnianych słupach totemicznych, które zostały wzniesione przez różne tubylcze ludy wybrzeża Pacyfiku w zachodniej Kanadzie. Lecz te wysokie konstrukcje nie są czczone jako bóstwa, ale dokładnie określone jako pomniki heraldyczne – symbolicznie przedstawiające pochodzenie rodziny, przed której domem lub chatą stoją. Opowieść zaczyna się od wierzchołków słupów, gdzie jest ukazana zamierzchła przeszłość, i zazwyczaj kończy portretem niedawnej, ostatniej lub obecnej głowy rodu na samym dole. Edward Keithahan, specjalista od tych totemów, wyjaśnił to tak:

Tych mitów nie można odczytać dosłownie. Trzeba raczej powiedzieć, że mogą zostać rozpoznane, bo zawierają złożony z symboli system mnemoniczny. Gdy się je obejrzy we właściwej kolejności, przypominają jakiś mit. Legendy rzeźbiarzy totemów głównie składają się z opowieści o migracjach, potopie, wojnach międzyplemiennych i wczesnych kontaktach z białymi. Wszystkie grupy mają opowieści o potopie, który zalał cały ląd z wyjątkiem najwyższych szczytów. Ta historia jest inspiracją dla twórców kilku słupów totemicznych, zwłaszcza dla pogrzebowego słupa totemicznego [klanu] Niedźwiedzia z ludu Nanyaayi we Wrangell oraz pała zwanego Diabelskim Kciukiem w tym samym miejscu.

W micie z północno-zachodniego wybrzeża Kanady niedźwiedź zaprowadził ocalałych z potopu ludzi na brzeg Kolumbii Brytyjskiej. Słup totemiczny, zwany Diabelskim Kciukiem, plemię Talqoe-di uważało za święty, ponieważ miał być stylizacyjnym wyobrażeniem Talth Qua Na Sha, świętej góry, na której przodkowie znaleźli schronienie przed potopem. Bardziej rozpowszechnionym zwieńczeniem totemu było wyobrażenie Ptaka Grzmotu trzymającego Namu w szponach, co świadczyło o przechwałkach jakiejś rodziny o rzekomym pochodzeniu sprzed potopu. Tego samego wieloryba przedstawiał słynny wizerunek na frontonie domu wodza Johnsona na Alasce oraz duży petroglif w zatoczce Hetta. Indianie Haida wierzyli, że dusze tych, którzy utonęli na morzu, przyłączały się do Ludu Orki w domu ich przodków na dnie oceanu.

Pierwszy słup totemiczny wprowadzili na Alaskę Indianie Kaigani Haida, pochodzący z wyspy Langara. Keithahan tak sparafrazował historię ich lemuryjskiego pochodzenia: „Miejscem narodzin tego totemu jest zatopiony ląd, którego szczyty wzgórz stały się wysepkami, a góry wynurzają się na skraju wody. Jego doliny to zatoki i przesmyki, ale dawna ziemia uprawna jest obecnie zalana”. Jedna z opowieści ludu Haida głosi, że dawno temu niektórzy rybacy zeszli wczesnym rankiem na plażę, gdzie znaleźli zatopiony słup totemiczny, który unosił się na falach przyływu. Zabrali go do swojej wioski. Tam rozpoznano w nim słup z jednej z podmorskich świątyń Ludu Orki. Od tej pory mieszkańcy północno-zachodniego wybrzeża Pacyfiku stawiali słupy rzeźbione według wzorca, który znaleźli rybacy. Pierwszy słup totemiczny po potopie postawili na wyspie Dall, przy przylądku Muzon, którego nazwa upamiętnia zaginioną Praojszczyznę. Jak napisał Churchward w 1926 roku: „Legendy i rzeźby na słupach totemicznych wyraźnie potwierdzają fakt, że praojcowie tych Indian przybyli z Mu”.

Ocalali z kataklizmu Lemuryjczycy byli przedstawiani w miejscowym micie jako jasnoskórzy, rudowłosi żeglarze, którzy pojeśli za żony pramatki



Ptak Grzmot, symbol niebiańskiej przemocy, atakuje Namu.
Malowidło ludu Haida (Muzeum Historii Naturalnej, Chicago).



Słup totemiczny Indian Haida przed Muzeum Historii Naturalnej w Chicago.

dzisiejszych Indian. Ten legendarny opis prawdopodobnie pochodzi od samych tubylców, którzy wykazywali bardzo dużo cech rasy białej, co wprawilo w zakłopotanie wczesnych europejskich podróżników. Brytyjski badacz George Dixon dziwił się, że tubylcza kobieta z Yakutat, którą zobaczył w 1787 roku, „miała wesoły rumieniec angielskiej dojarki; i ta zdrowa czerwien, która zabarwiła jej policzek, jeszcze nawet pięknie kontrastowała z białością szyi; miała tak niezwykle jasne czoło, że widać było przezroczyście, wijące się żyłki, nawet ich najmniejsze odgałęzienia – krótko mówiąc, zostałyby uznana za ładną nawet w Anglii”. W następnym roku inny brytyjski gość, John Meares, powiedział, że kobiety z plemienia Nootka z wyspy Vancouver „nie tylko miały jasną, europejską karnację, ale też rysy, które zwróciłyby uwagę delikatnością

i pięknnością w tych częściach świata, gdzie najbardziej się docenia zalety ludzkich kształtów”.

W 1817 roku Camille de Roquefeuil, francuski nawigator, wspominał: „Zobaczyliśmy kilku mężczyzn i sporo kobiet, których karnacja różniła się od białej tylko jasnożółtym odcieniem. Większość tych Indian ma czarne włosy, reszta jasnorude”. Wśród ludu Kaigani Haida, którzy zapoczątkowali wznoszenie słupów totemicznych po odkryciu ich pierwszego egzemplarza, „rude włosy nadal są całkiem powszechnie”, według Keithahana. Te nietypowe cechy fizyczne wydają się genetycznymi śladami Ludu Orki, którego przedstawiciele, jak stwierdza miejscowa legenda, przybyli na wybrzeża Kolumbii Brytyjskiej po zatonięciu ojczyzny. A więc również w historiach o Wielkim Potopie, powtarzanych w całej Oceanii, ocalali z katastrofy ludzie są często, jeśli nie zawsze, opisywani jako jasnoskórzy i rudowłosi. Miejscowa tradycja i mieszane dziedzictwo rasowe łączą się, tworząc przekonujący dowód na korzyść tezy o rozbitkach z Lemurii w zachodniej Kanadzie.

Wiele opowieści z północno-zachodniego wybrzeża określa zaginione królestwo Ludu Orki jako Dzilke. Pod nazwą Dimlahamid, historia ta zachowała się wśród Indian We'suwet'en i Gitksan, którzy mieszkają na północy Kolumbii Brytyjskiej. Pamiętają oni, że przez wiele pokoleń mieszkańcy Dzilke żyli w dostatku i nieśli swoją wysoko rozwiniętą duchowość do najdalszych krańców Ziemi. Lecz z czasem ulegli samolubnemu zepsuciu i zaangażowali się w niesprawiedliwe wojny. Obrażeni degeneracją tego niegdyś dzielnego ludu bogowie ukarali Dzilke straszliwymi trzęsieniami ziemi. Wspaniała Ulica Wodzów obróciła się w ruinę, kiedy ocean podniósł się potężną falą, aby zalać miasto i większość jego mieszkańców. Nieliczni ocalańcy początkowo przybyli na wyspę Vancouver, gdzie dali początek różnym plemionom kanadyjskich Indian. Badacz Terry Glavin, na podstawie miejscowych źródeł, oszacował, że Dzilke, czyli Dimlahamid, uległo zagładzie około 3500 lat temu, w tym samym okresie, w którym dowody geologiczne wskazują na ostateczne zniszczenie Lemurii, w 1628 roku p.n.e.

Podobne wersje znane są ludom zamieszkującym tereny położone dalej na południu zachodniego wybrzeża Kanady i na amerykańskim południowym zachodzie. Kalifornijskie plemiona Indian Chemehuevi i Mohawków wierzą, że Hawichyepam Maapuch nie dopuściła, aby Wielki Potop zniszczył całe życie na Ziemi. Ta bogini morza ocaliła dwie ostatnie ludzkie istoty, Kojota i Pumą, którzy schronili się na górze Charleston Peak. Kiedy wody się cofnęły, Kojot i Puma zeszli, aby ponownie zaludnić świat. Mit o stworzeniu plemienia Yokut żyjącego w południowej Kalifornii głosi, że ludzkość powstała na wyspie na środku pierwotnego morza, gdzie Orzeł i Kojot ukształtowali pierwszego mężczyznę

i kobietę. Maidu, inne plemię Indian kalifornijskich, opowiada o Talvolte i Pe-heipe, jedynych ludziach ocalałych z naturalnej katastrofy, która zniszczyła ich ziemski raj wtedy, gdy jego mieszkańcy stali się źli i zdeprawowani, a przez to obrazili niebiosy.

Lemuryjską tożsamość tej zaginionej ojczyzny sugeruje słowo Mu-ah, co w języku Szoszonów znaczy „szczyt Mu”. To święta góra w Kalifornii, gdzie lemuryjscy adepci mogli odprawiać obrzędy religijne. Od tamtej pory miejscowe ludy uważały ją za świętą. Tak samo określenie Pimugnanie, pierwotna nazwa Indian Gabrieleno z wybrzeża południowej Kalifornii, jest echem tej samej zatopionej cywilizacji. Znanca mitów, Joseph Wherry, przytacza tubylczą opowieść o pochodzeniu plemion Hokan-Siouan: „W zamierzchłej i odległej przeszłości, przodkowie wielu Indian kalifornijskich żyli na wyspie gdzieś na Oceanie Zachodnim. Ta wyspa nazywała się Elam, a oni czcili tam mściwego boga imieniem Mu”. Tak jak w historii o Wielkim Potopie zachowanej przez Indian Haida, w wersji plemienia Hokan-Siouan jako bohater występuje niedźwiedź.

William Donato, prezes Organizacji Atlantyda, napisał o tych „Zachodnich Białych” w periodyku „Ancient American”:

W XVI wieku Cabrillo opisał lud Gha-las-Hat (kalifornijskiej Wyspy Św. Mikołaja) jako bardziej rozwinięty niż mieszkańcy kontynentu. Opisał, że tamtejsze kobiety mają „piękne kształty, piękne oczy i skromną postawę”, a ich dzieci jako „białe z jasnymi włosami i rumianymi policzkami”. Wydaje się, że ich kultura była wariantem kultury plemienia Chumash-Gabrieleno. Stare dzienniki okrętowe i inne ówczesne zapisane opowieści również wspominają o „białoskórych” społecznościach rdzennych Amerykanów na wyspie Santa Catalina. Badania ludzkich czaszek przytoczone przed doktora Jeffreya Goodmana wykazały, że pradawni mieszkańcy Wysp Normandzkich byli bardzo podobni do grupy rasowej określanej jako „paleokaukaska”.

Rdzenni mieszkańcy wyspy Catalina nazywali ją „Pimu”, natomiast wyspa Santa Cruz była znana jako Limu. Limu znaczy „na morzu”. Fakt, że nazwy dwóch kalifornijskich Wysp Normandzkich mają część „Mu”, to nie zbieg okoliczności. Według tradycji Indian Yurok, zanim ich przodkowie przybyli nad rzekę Klamath, te ziemie zajmowali białoskórzy ludzie, których opisali jako bardzo dobrych i cywilizowanych. Podzielili się wszystkim, co mieli, z Yurokami. [Ci ostatni] zapamiętali ich jako Wah-gas. Czy byli potomkami ludu Mu?

Wybrzeże Peru jest nie mniej bogate w lokalne tradycje o lemuryjskiej katastrofie. Mit Indian Yurukare o Tiri opowiada, jak ich przodkowie ukryli się w górskiej pieczarze podczas dwóch globalnych kataklizmów, które zniszczyły

jakąś minioną epokę. Wszyscy inni ludzie zginęli w ogniu, który spadł z nieba, a później nastąpił wszechpochłaniający potop. Ze wszystkich bóstw tylko Tiri zlitował się nad ocalałymi z katastrofy resztkami grzesznej ludzkości, otwierając Drzewo Życia, z którego wyszły nowe plemiona, aby znów zaludnić świat. Jak było napisane w rozdziale 6, samo Mu znano jako Drzewo Życia.

Nazwa pacyficznej Praojczyzny przetrwała w określeniu innego wielkiego ludu, Chimu, który stworzył potężną cywilizację, Chimor. Dominowała na peruwiańskim wybrzeżu od około 900 roku aż do klęski zadanej Chimu przez Inków w 1476 roku. Stolica, Chan-Chan, leży na północ od Trujillo. U szczytu potęgi to miasto o powierzchni 128 kilometrów kwadratowych liczyło prawie 250 000 mieszkańców, mistrzów irygacji, których *pozos* – wykładane kamieniami zbiorniki – zawierały około 9 000 000 litrów sześciennych świeżej wody. Dostarczały ją z gór kamienne akwedukty długie na ponad 160 kilometrów. Według historyków Chimu tę wysoko rozwiniętą technikę, organizację społeczną i umiejętności niezbędne to budowy ogromnego ośrodka administracyjnego, przywiózł do Peru Taucana Mu. Został wysłany z misją cywilizacyjną przez swojego zwierzchnika, który rządził królestwem na Oceanie Spokojnym.

Innym ważnym miastem Chimoru była Pacatna-Mu, nazwana od pewnego generała Chimu, który został miejscowym gubernatorem. Tak zwany Pałac Gubernatora w Chan-Chan jest otoczony ogromnym murem ozdobionym rzeźbionym fryzem, który przedstawia zatopione miasto: ryby „pływają” tam nad wierzchołkami połączonych piramid. Scena prawdopodobnie upamiętnia zatopioną cywilizację Mu, z której przodkowie Chimu – dosłownie znaczy „dzieci Mu” – przybyli na wybrzeże Peru po strasznej katastrofie.

Wspomniano już o pierwszym preinkaskim mieście Boliwii i jego wyraźnym związku z Lemurią poprzez Wyspę Wielkanocną. Mogło to być coś więcej niż więź kulturowa, a wówczas stanowiłaby wskazówkę do wyjaśnienia lokalizacji Tiahuanaco wysoko w jednych z największych gór świata. Podczas moich pierwszych odwiedzin tych ruin, w 1994 roku, zastanawiałem się, jak taka metropolia w ogóle mogła funkcjonować, nie mówiąc już o tym, że zbudowano ją na wysokości 4433 metrów, gdzie trudno oddychać, a także nie można uzyskać odpowiedniego rodzaju lub wystarczającej ilości plonów, niezbędnych do wykarmienia, jak się szacuje, 40 000 mieszkańców.

Każdy ze stopni Kalasasaya, czyli zatopionego placu, to prostokątny kamienny blok szeroki na 10 metrów i ważący około 40 ton. Samą Bramę Słońca wykuto z jednego, 15-tonowego głazu. W głębi Peru, poza starożytną stolicą Cuzco, zbadałem cyklopowe ruiny Sacsayhauman. Choć oficjalnie nazwano Sacsayhauman twierdzą, nie można dostrzec domniemyanych militarnych cech tego stanowiska archeologicznego, mimo że do jego budowy użyto

300-tonowych bloków. W samym Tiahuanaco, kamienne płyty ważące ponad 130 ton wzięto z kamieniołomu oddalonego o 80 kilometrów. Jak takie ciężary mogły zostać przetransportowane przez góry i doliny, a potem umieszczone z niezwykłą precyzją na wysokości, gdzie samo oddychanie jest trudne, nawet dla „miejscowych”.

Współcześni konstruktorzy ujawnili ogrom trudności, jakie stawiało to zadanie. Obliczyli, że przesunięcie jednego 130-tonowego bloku wymagałoby zmasowanego wysiłku 8450 silnych mężczyzn. Oczekiwanie, że tyłu robotników jednocześnie pociągnie 130-tonowy ciężar, nawet w idealnych warunkach, wydaje się nieprawdopodobne i całkowicie niemożliwe ze względu na górzystą okolicę. A przecież wbrew wszelkiej logice Tiahuanaco istnieje w takim miejscu. Harold T. Wilkins, doświadczony podróżnik i popularyzator archeologii z połowy XX wieku, również nie potrafił pogodzić budowy Tiahuanaco z jego lokalizacją: „To, że martwe miasto – prawdopodobnie najstarsze na świecie – zostało zbudowane w chmurach, w rozrzedzonym powietrzu, gdzie oddychanie jest męczarnią, i wśród skarłowaciałej roślinności na ponurym zboczu góry, gdzie nie rośnie nic jadalnego, jest w najwyższym stopniu nieprawdopodobne”.

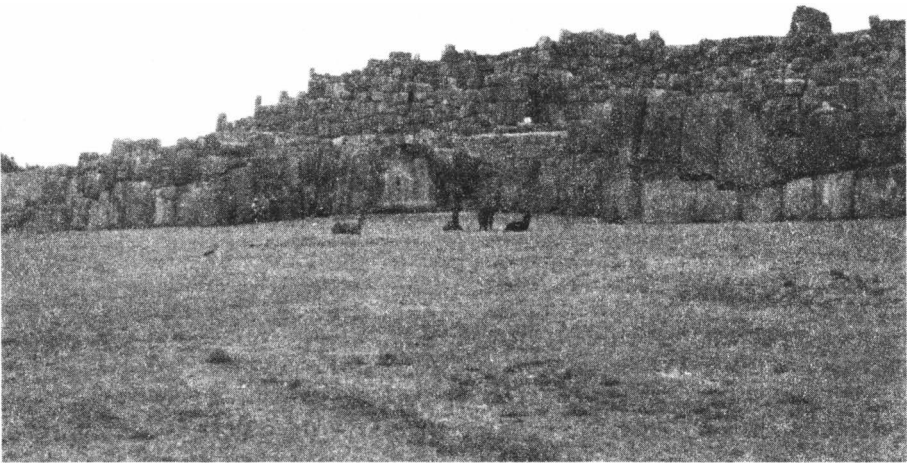
Dzisiaj mieszkający w pobliżu Indianie Aymara z trudem wiążą koniec z końcem; jedzą karłowatą kukurydzę, zmrożone ziemniaki i piją *chicha*, sfermentowany z nasion kukurydzy mocny napój alkoholowy, w którym topią swoje smutki. Płaskowyż Altiplano jest suchym, jałowym miejscem, gdzieś porośniętym karłowatymi krzakami. To wrogie człowiekowi otoczenie kontrastuje z genialnymi budowlami Tiahuanaco. Przeciwności między starożytnym miastem i jego środowiskiem naturalnym od dawna wprawiały badaczy w konsternację. W 1920 roku znany brytyjski geolog C. Reginald Enock zastanawiał się:

Jak liczna populacja, która poprzednio tu mieszkała, utrzymywała się na tak wysoko położonym terenie, gdzie rośnie niewiele roślin jadalnych? Przy tak dużej liczbie mieszkańców musiało to wymagać dostarczenia robotników do transportu wielkich monolitów i do wznoszenia kolosalnych budowli, spotykanych tutaj i w basenie jeziora Titicaca. Wysunięto nawet przypuszczenie, że Andy osiągnęły swoją ostateczną wysokość od czasu osiedlenia się tam ludzi i od epoki wielkich konstrukcji megalitycznych. Wątpliwe, czy można zaakceptować to wyjaśnienie, mimo to należy uznać za niezwykle, że te dzieła i dowody świadczące o licznej populacji dawnych mieszkańców istnieją na takiej wysokości nad poziom morza, gdzie nie mogła rosnąć kukurydza.

Znajdujące się w przybliżeniu o 266 metrów niżej i prawie o 32 kilometry dalej, jezioro Titicaca to najwyższe położone słone jezioro na Ziemi, a przy

głębokości około 405 metrów – jedno z najgłębszych. Jest również mniej więcej w połowie tak szerokie, jak jezioro Ontario, i ma powierzchnię około 5148 kilometrów kwadratowych. Indianie mieszkający wokół tego niezwykłego zbiornika wodnego od dawna mówili o starożytnym mieście pod jego wodami, mimo poślizgnięć uśmiechów archeologów. W 1955 roku były instruktor nurkowania z akwalungiem, William Mardorf, kilkakrotnie nurkował w jeziorze Titicaca. Twierdził, że na głębokości 28,5 metra znalazł kamienne ruiny podobne w stylu do Tiahuanaco, ale próby sfotografowania ich uniemożliwiły kiepska widoczność pod wodą oraz niezbyt dobra jakość ówczesnych aparatów fotograficznych do zdjęć podwodnych.

W listopadzie 1980, Hugo Boero Rojo, boliwijski ekspert od kultur andyjskich, zlokalizował wykonane ludzką ręką konstrukcje przy brzegach Puerto Acosta. W przeciwieństwie do akademickich uczonych, którzy nic nie znaleźli w jeziorze Titicaca, ponieważ wierzyli wyłącznie w swoje czysto naukowe metody. Płetwonurków zaprowadził do tego miejsca Elias Mamani, starszy wiekiem miejscowy Indianin. Podwodne fotografie udokumentowały to, co Rojo opisał jako „świątynie zbudowane z wielkich kamiennych bloków z kamiennymi drogami prowadzącymi do nieznanymi miejsc”. Wprawdzie zatopione ruiny



Lamy wylegają się przed preinkaską „twierdzą” Sacsayhuaman pod Cuzco, w Peru. Podobnie jak inne monumentalne budowle odkryte w wysokich Andach, sama konstrukcja Sacsayhuaman wydaje się cudem.

odkryto na głębokości od 15 do 20 metrów pod powierzchnią wody, ale Rojo powiedział, że „schody, których podstawy ginęły w głębi jeziora wśród gęstwiny alg”, wskazywały na to, iż fundamenty budowli znajdują się na większych głębokościach. Potwierdził więc to, co Mardorf zobaczył na głębokości 31 metrów przed ćwierć wiekiem.

Najwyraźniej podwodne budynki zostały wzniesione przed powstaniem jeziora, co datowałoby ich pochodzenie na niewyobrażalnie odległą epokę. Co gorsza, geolodzy wiedzą, że jezioro Titicaca stopniowo cofa się przez ostatnich 4000 lat, a ten fakt pomnaża i tak już niezwykły wiek zatopionego miasta. A przecież samo Tiahuanaco może być przynajmniej tak samo stare.

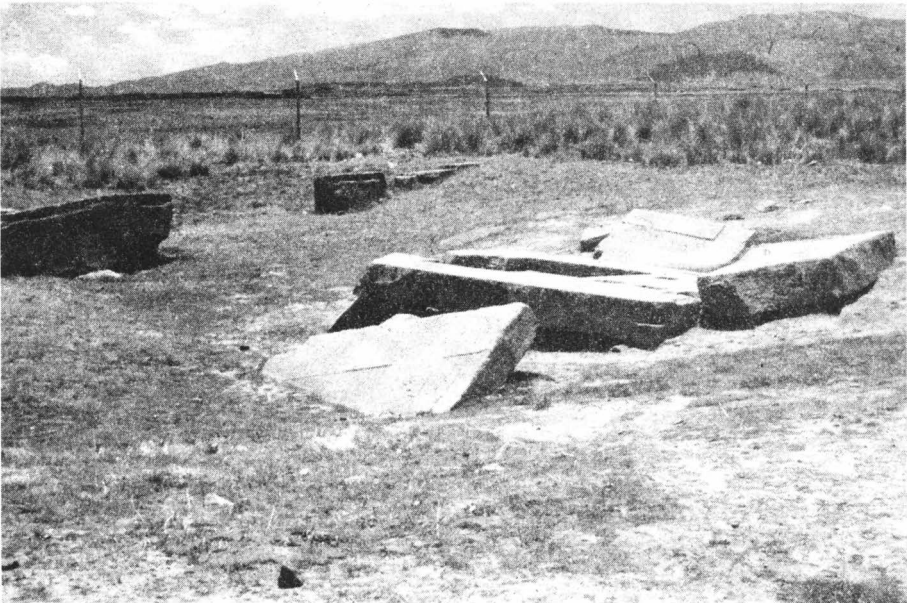
Idąc w stronę Kalasasaya, zauważyłem ozdobnie rzeźbiony, poziomy kamienny blok, wynurzający się z ziemi na wysokość mniejszą niż 90 centymetrów jak monumentalny kij do krykieta. Dopiero po pewnym czasie zdałem sobie sprawę, że to wierzchołek jakiegoś łuku, którego reszta była zagłębiona w ziemi. Później dowiedziałem się, że przekopano zaledwie 10 procent tego stanowiska archeologicznego o powierzchni 160 hektarów, mimo to archeologom udało się zidentyfikować pewną ilość częściowo lub całkowicie zasypanych konstrukcji na głębokości ponad 1,8 metra. Tylko silne wiatry mogły nawiać na nie tyle ziemi. Helmut Zettl trafnie zauważył po zwiedzeniu tego miejsca w latach 60. XX wieku: „Łańcuchy górskie, które otaczają ten obszar, nie są dostatecznie wysokie, żeby umożliwić tak zaawansowaną erozję wodzie lub wiatrom, by ziemia mogła pokryć ruiny na taką głębokość. [Nie wiadomo kiedy] powódź musiała zalać to miasto; kiedy [woda] się cofnęła, a szlam przykrył ślady rozwiniętej cywilizacji, pozostawiając tylko największe posągi i monolity nadal odsłonięte”. Wydaje się więc, że miejscowa boliwijska legenda, która opowiada o budowie Tiahuanaco w czasie Wielkiego Potopu, ma oparcie w faktach.

W latach 30. XX wieku, kiedy dobrze znany archeolog Julio Tello prowadził wykopaliska w Chavin de Huantar, wtedy najstarszych znanych ruinach w Peru, odkrył, że tamtejsze łuki były przykryte niesamowicie grubą warstwą gleby i skał. Ponieważ nic w najbliższym otoczeniu ruin nie mogło odpowiadać za tak głęboki nanos, Tello wywnioskował, że musi to być pozostałość serii tsunami, które przemknęły nad Chavin de Huantar (może powodując jego opuszczenie) i pozostawiły za sobą ogromne ilości osadów. Jeżeli odpowiadało to wiekowi ruin, zdarzyło się około 3000 lat temu.

Około 1,5 kilometra na północ od Kalasasaya, w stronę jeziora Titicaca, znajduje się całkowicie odmienne stanowisko archeologiczne. Podczas gdy ruiny Tiahuanaco nadal stoją, wspaniale obrobione, niemal „maszynowo”, kamienne bloki z Puma Punku leżą rozrzucone, jakby były atrapami ze styropianu, a nie wielotonowymi blokami z andezytu, drobnoziarnistej skały podobnej do

granitu. Dłgie na 9 metrów i wazące aż 300 ton, przewyższają nawet megalityczne bloki w Tiahuanaco. Oba te stanowiska archeologiczne różni nie tylko otoczenie i większy tonaż kamiennych bloków z Puma Punku. Pod każdym względem są tak odmienne, że ta sama kultura nie mogła wytworzyć ich obu. W przeciwieństwie do techniki budowy bez zaprawy murarskiej, charakterystycznej dla Tiahuanaco, gdzie kamienie o różnych rozmiarach idealnie pasują do siebie jak w gigantycznej układance, monstrualne kamienne płyty z Puma Punku mają wykute na brzegach formy odlewowe. Kiedy już płyty doskonale do siebie pasowały, wlewano w zagłębienia płynny metal, który stygnąc, twardniał jak zacisk. Ta metoda konstrukcyjna, całkowicie inna od tych, które odkryto w cywilizacjach andyjskich przedtem lub potem, była przejawem wyrafinowanej techniki i wprawiała badaczy w zakłopotanie.

W Tiahuanaco zachowało się dużo posągów, ale w Puma Punku nie ma ani jednego. Jego budowniczowie woleli wyrzeźbić krzyże wbudowane w krzyże i trójkąty we wnętrzu trójkątów w niezwykle twardym andezycie, jakby to było masło. Zawilość i precyzja geometrycznych wzorów znacznie przekraczają cokolwiek porównywalnego w Ameryce Południowej, a być może gdzie indziej na świecie. A przecież kamienie, w których je wykuto z tak wielkim kunsztem, zostały porzucane prawdopodobnie podczas najgwałtowniejszego naturalnego kataklizmu, jaki kiedykolwiek wstrząsnął Boliwią. A oto jak opisał to „Reader’s



Ruiny Puma Punku.

Digest”: „Wymieszana kupa kamieni, które wyglądają, jak gdyby wielka naturalna katastrofa cisnęła je na ziemię, oto wszystko, co pozostało z Puma Punku”. Oprócz fundamentów jedyną pierwotną konstrukcją, która ocalała prawie nieknięta, jest coś, co przypomina kanał. Niektórzy badacze sądzą, że w miejsce tego stanowiska archeologicznego był kiedyś port na jeziorze Titicaca, kiedy jego wody sięgały aż tak daleko. Ale odkrycie ruin będących dziełem człowieka pod powierzchnią tego jeziora sprawia, że to przypuszczenie traci sens.

Childress zajmuje się tą sprzecznością, pytając wprost: „Jeśli wielkie trzęsienie ziemi cisnęło na ziemię 300-tonowe kamienie Puma Punku, rozrzucając je po równinie jak garść zabawek, dlaczego w takim razie budynki Tiahuanaco również nie uległy zniszczeniu? Czy dlatego, że zostały zbudowane później, po kataklizmie? Niełatwo odpowiedzieć na te pytania. Mimo to równie trudno zrozumieć, jak Tiahuanaco mogło zostać zbudowane i w ogóle istnieć i rozwijać się w tak nieprzyjaznym dla ludzi otoczeniu. Zagadką jest też, dlaczego jedno miasto zostało zrujnowane przez ten sam wstrząs, który drugie pozostawił nieknięte, mimo mniejszej wagi kamiennych bloków i gorszej konstrukcji.

O dziwo, Puma Punku jest znacznie mniej podobne do pobliskiego Tiahuanaco niż do innego preinkaskiego miasta oddalonego o 482 kilometry po drugiej stronie granicy, w Peru. Podczas wspinaczki w górach ponad „twierdzą” Ollantaytambo, ze zdumieniem zobaczyłem, że ziemia była usiana muszlami morskich stworzeń. Nie wszystkie z nich wydawały się skamieniałe, ponieważ pod dotknięciem natychmiast rozsypały się w proch. Wskazywało to, że mają kilka tysięcy, a nie miliony lat, jak twierdzili naukowcy. Jeżeli ocean rzeczywiście zalał te góry na długo przed powstaniem człowieka, organizmy, które pozostawił, nadal by nie uległy procesowi fosylizacji. Przypomniałem sobie pierwszy widok na Andy z otwartego okna wiekowego pociągu, który z trudem włókł się krętym szlakiem z Cuzco do Machu Picchu u podstawy szczytów sięgających nieba. Wydawały się bardzo różne od Gór Skalistych, Appalachów i Alp, bo tam wszędzie widać zwietrzeliny powstałe po upływie długich epok geologicznych. Natomiast Andy o stromych zboczach promieniowały świeżością tak, że wydawało się, iż zostały wypchnięte z ziemi poprzedniej nocy. Mój racjonalny umysł walczył z tym wrażeniem, które było sprzeczne z obecnymi teoriami geologicznymi, a mimo to wielu innych niezależnych obserwatorów podzieliło moją opinię.

Według Davida Scarbora, członka wydziału nauk o ziemi otwartego uniwersytetu:

Płyty tektoniczne, których napór wypycha Andy, to płyta południowoamerykańska i płyta Nazca. Płyta Nazca przesuwa się na wschód od Grzbietu

Wschodniopacyficznego. Natomiast płyta południowoamerykańska wędruje na zachód od Grzbietu Środkowoatlantyckiego. Kiedy te dwie płyty się zderzają, płyta Nazca jest spychana pod płytę południowoamerykańską. Andy leżą nad tą strefą subdukcji. Spychaną płytę rozgrzewa tarcie i gorący płaszcz Ziemi, w którym się zagłębia. Ogrzanie powoduje częściowe topnienie tej płyty i leżącego na niej płaszcza Ziemi, tworząc magmę, która wędruje ku górze, do skorupy ziemskiej. Większa część magmy stygnie i twardnieje w niższej warstwie skorupy ziemskiej, powiększając jej objętość, jak gdyby „opancerzając” ją od dołu. Wysoka temperatura nad zagłębiającą się płytą również zmniejsza gęstość skorupy ziemskiej, przez co staje się ona izostaticzna [ulega jednakowemu naciskowi ze wszystkich stron] i prężna. Zarówno oddolne „opancerzanie”, jak i izostaticzne wypiętrzanie tego regionu przyczyniają się do powstawania Andów.

Zwięzły opis Scarbora procesu powstawania gór południowoamerykańskich jest nadzwyczaj prosty i zrozumiały. Przedstawia stopniowy rozwój sytuacji przez więcej niż ostatnich 14 000 000 lat. Ale czy ten proces mógłby od czasu do czasu zostać w jakiś sposób bardzo przyspieszony, zmuszając to wysokie pasmo górskie do wypiętrzania się szybciej, niż uważają uczeni? Te góry same wznoszą się znacznie prędzej, niż kiedyś sądzono. Według brytyjskiego pisarza dokumentalisty Charlesa Allena: „Pewien czołowy autorytet w geomorfologii Himalajów (Adolf Gansser) posunął się tak daleko, że zasugerował, iż niektóre odcinki Himalajów mogły wypiętrzyć się na wysokość 3000 metrów i więcej w ciągu ostatnich 500 000 lat – i że to wypiętrzenie może nadal trwać z szybkością około 75 centymetrów na stulecie”.

Stosunkowo niedawno, bo w 1992 roku, podczas umiarkowanej aktywności sejsmicznej (5,7 w skali Richtera) w południowej Kalifornii pewne odcinki Gór San Gabriel podniosły się o ponad 30 centymetrów. Dokładnie 300 lat wcześniej, karaibską wyspę Jamajkę nawiedziło trzęsienie ziemi tak potężne, że ponad 8 hektarów jej terytorium wpadło do morza, a dwie góry przesunęły się prawie o 400 metrów w ciągu trzech minut. Na początku XIX wieku trzęsienie ziemi w New Madrid zmusiło rzekę Missisipi do popłynięcia w przeciwnym kierunku niż dotychczas i radykalnie zmieniło jej bieg przez południe stanu Illinois. Takie wydarzenia, jak to, wskazują, że niemal niewidoczne przyrosty Ziemi są czasami przerywane przez epizodyczne szybkie zmiany w ogromnej skali. Enock uważał, że „Andy zostały wypiętrzone całkiem niedawno w skali geologicznej, być może sukcesywnie, etapami. Możliwe nawet, że pierwotny człowiek zauważył niektóre z [niezwykłych] zmian w tych rejonach i że w związku z tym warunki, istniejące [obecnie] na obszarach wyżynnych [Ameryki Południowej],

dają początek interesującym przemyśleniom, dotyczącym epoki ich wypiętrzenia do obecnej wysokości”.

Miliony morskich muszli pod nogami w Ollantaytambo, słona woda jeziora Titicaca i wyprzedzające powstanie tego jeziora zatopione ruiny, nienadające się do zamieszkania otoczenie Tiahuanaco i tamtejsza wyższa niż 1,8 metra warstwa osadów, szeroko rozrzucone megalityczne bloki Puma Punku – wszystko wskazuje na istnienie rozwiniętych ośrodków miejskich, które zbudowano na poziomie morza w bardzo odległej przeszłości, zanim zostały nagle wypchnięte przez szczyty nowo powstałych gór. Wilkins zauważył, że jezioro Titicaca „ma kredowy osad z dawnych wodorostów, z wapnem, głęboki na 1,8 metra, co wskazuje, że obecny łańcuch górski był kiedyś starożytnym morskim wybrzeżem. Ta niezwykła nierówność sił odpowiada za ciekawy fakt, że ślady linii brzegowych znajdowane na górskich zboczach i ścianach boliwijskiego Altiplano mogą oznaczać plaże dawnych mórz lub poziom wody dawnych jezior, które nie są równe ani z obecnym poziomem jeziora Titicaca, ani współczesnego Oceanu Spokojnego”.

Ale jaki był mechanizm tak niewyobrażalnie gwałtownej zmiany? Nawet najpotężniejsze trzęsienia ziemi nie mogłyby wypchnąć Andów na wysokość ponad 4000 metrów w krótkim okresie.

Mapa układu tektonicznego wschodniego Pacyfiku wskazuje, że płyta Nazca napiera na płytę Peru-Chile, co powoduje powolne wypiętrzanie się Andów. Jest ona ściśnięta pomiędzy płytą południowoamerykańską na wschodzie a płytą pacyficzną z zachodu i jednocześnie blokowana na północy przez tak zwaną płytę kokosową. Maleńka Wyspa Wielkanocna tkwi dokładnie w centralnym punkcie miejsca, gdzie południowa granica płyty Nazca, Grzbiet Nazca, biegnący ze wschodu na zachód, spotyka się, by utworzyć T z rozciągniętym z północy na południe Grzbietem Wschodniopacyficznym. Pępek Świata Hotu Matua został trafnie nazwany. W każdym razie ten mechanizm wzajemnie na siebie oddziałujących płyt tektonicznych wyjaśnia, jak powstają góry w Ameryce Południowej, rosnąc w długich odstępach czasu z szybkością ludzkiego paznokcia. Ale proces wypiętrzania mógł zostać bardzo przyspieszony, jeżeli płyta pacyficzna nagle wywarła niezwykle silny nacisk na Grzbiet Wschodniopacyficzny, a ten z kolei na płytę Nazca, zmuszając Andy do szybkiego, nawet natychmiastowego wzrostu.

Kluczowe sformułowania w tym miejscu to „nagle” i „niezwykle silny nacisk”. One jednak dokładnie opisują warunki podczas epoki lodowcowej, którą klimatolodzy nazywają interstadią Boellinga. Zdarzyło się to wtedy, kiedy 965 000 kilometrów kwadratowych lodu zawaliło się, dostarczając co sekundę 1 000 000 litrów świeżej wody do południowego Pacyfiku. Poziom mórz podniósł

się o 20 metrów, zalewając wielkie obszary Polinezji i spychając je na dno oceanu. Gdyby na początku XIX wieku trzęsienie ziemi z New Madrid miało miejsce na środkowym Pacyfiku, a nie w okolicy Saint Louis, wiele miliardów ton wody zalałoby wyspę wielkości południowego Illinois. Nagłe spotężnienie nacisku na płytę pacyficzną (związane ze wzrostem ciężaru) sprawiło, że zaczęła ona napierać na miejsce styku Grzbietu Wschodniopacyficznego z płytą Nazca, która zareagowała na to zwiększeniem tempa subdukcji pod przemieszczającą się ku gorze płytą południowoamerykańską. Andy dosłownie wystrzeliły ku niebu.

To katastrofalne wyrzucenie kontynentu południowoamerykańskiego, które dokonało się poprzez zatopienie innych lądów, opisywane jest w okołopacyficznym opowieściach ludowych i znajduje przykłady w udokumentowanych faktach geologicznych. Podczas ekspedycji w 1885 roku na wyspę Falcon, przy wybrzeżu Tonga, amerykańscy goedeci odkryli, iż znajduje się ona 96,6 metra powyżej poziomu morza. Trzydzieści lat później zniknęła w oceanie. W 1927 roku wyspa Falcon wynurzyła się z fal i wciąż się podnosiła, aż do dzisiejszej wysokości 36,6 metra. Fakt, że nawet szeroki na 3,2 kilometra ląd na oceanie mógł się zapaść i ponownie wynurzyć zaledwie w ciągu 42 lat – czyli w geologicznej nanosekundzie – wykazuje, że w rejonie Pacyfiku występują nagłe wypiętrzenia lądu.

Churchward cytuje współczesnych geologów w sprawie niszczycielskiego trzęsienia ziemi w Japonii w 1923 roku, kiedy zginęły 156 984 osoby: „Pewna wyspa, która istniała przy Yokohamie, zanurzyła się, a w pobliżu niej inna wyspa wynurzyła się w tym samym czasie. Dno morza podniosło się wokół Yokohamy; tak morze stało się płytsze”. Napisał też w drugim tomie *Cosmic Forces of Mu* (Kosmiczne Siły Mu): „Wobec powyższego musimy wziąć pod uwagę to, co miało miejsce w Archipelagu Malajskim w [latach 80. XIX wieku], kiedy z wielu obszarów Ziemi doniesiono o różnorodnych podobnych zjawiskach, które wystąpiły wzdłuż linii pasów gazowych, gdzie wypiętrzenia wulkaniczne, osiągające 3333 metry, dokonały się nagle”.

Wzmianka Churchwarda o Malezji przypomina mi moje spotkanie z rzeczniczką kultury tego kraju na początku lat 90. XX wieku. Opowiedziała mi, że zatonięcie starożytnej ojczyzny jej przodków natychmiast „podniosło” archipelag, na którym się schronili, a później osiedli. „To, co idzie w dół, musi pójść do góry, również w geologii”, powiedziała.

Podobna wersja historii, którą opowiadają Selungowie, mieszkańcy archipelagu Mergui w pobliżu południowej Birmy, głosi, że ich przodkowie przybyli z olbrzymiego lądu, który znajdował się daleko, po drugiej stronie Pacyfiku, tam, gdzie wschodzi słońce. Po wielu pokoleniach szczęścia córka złego ducha nieoczekiwanie pojawiła się na niebie, skąd rzuciła płonące gązdy do morza.

Wywołany przez ten atak potop pochłoniął całą Ziemię. Nieliczne ocalałe istoty – mężczyźni, kobiety i zwierzęta – udały się na szczyt pewnej wysokiej góry, nadal dominującej nad falami. Czarownicy, którzy schronili się na tej górze, wyteżyli swoje magiczne moce, aby zmusić wody do opadnięcia. Kiedy tak się stało, z morza wynurzyły się nowe lądy, w tym archipelag Mergui, gdzie ocalali znaleźli schronienie i wymieszali się z miejscową ludnością. Ich potomstwo to Selungowie. Mit założycielski tego plemienia nie tylko opisuje wypiętrzenie ogromnego terytorium wywołane przez zatonięcie innego, ale również kojarzy potop z meteorytowym „ogniem zaporowym”. Jest to wspólna cecha wszystkich innych opowieści o zniszczeniu polinezyjskiej Praojczyzny na Oceanie Spokojnym.

Misjonarze, jak wielebny William Ellis, osobiście wysłuchali następującej typowej opowieści na początku XIX wieku, zanim mity założycielskie zostały zdemonizowane lub wymazane z pamięci przez chrześcijańskich konwertytów:

„Kiedy Haiviki utonęła, Rua wypchnął wyspy Tuamotu z dna oceanu. Rua papa stworzyła natomiast Tahiti w podobny sposób”. Wzmianka o Rua i Rua papa w tahitańskiej wersji legendy o potopie jest szczególnie trafna, ponieważ Rutas to jedna z nazw, pod którą zapamiętano Mu i/lub jego mieszkańców, zwłaszcza w Azji. Wilkins przytoczył hinduskie opowieści o „Rutas, występującym w przechowywanych w pagodach tradycjach dawnego Hindustanu, który – jak mówią – został rozerwany przez wiele przerażających trzęsień ziemi i potop; zatonął w oceanie pewnego dnia, zanim powstały Himalaje”.

Te zasadniczo odmienne wspomnienia o wyraźnie lemuryskim kataklizmie, łączą go z nagłym pojawieniem się nowego lądu i gwałtownym wypiętrzeniem właśnie powstających gór. Czy mogą to być tylko ludowe legendy o ogromnym kataklizmie, który przeżyli przodkowie ludów Azji, Malezji i wysp Pacyfiku?

Wydawałoby się, że jedynie kolejne katastrofy interstadiu Boellinga byłyby dostatecznie potężne, aby spowodować szybkie wypiętrzenie się Andów. Jeśli tak, w takim razie jezioro Titicaca i jego starożytne miasta zostały zbudowane na poziomie morza ponad 10 000 lat temu. Naukowcy prezentujący główny nurt archeologii uważają ten wniosek za całkowicie niemożliwy do przyjęcia, ponieważ ich zdaniem Tiahuanaco powstało najwcześniej w 600 roku. Nie wiedzą jednak, jak wiarygodnie wyjaśnić, dlaczego większa część jego strefy archeologicznej jest pogrzebana pod warstwą osadów o grubości ponad 1,8 metra. Do niedawna uczyli, że najwcześniejsze ślady cywilizacji w Ameryce Południowej zaczynają się wraz z Chavin de Huantar, około 3000 lat temu. Ale w 2001 roku, archeolodzy odkryli rozległy ośrodek miejski w odległości 193 kilometrów od Limy w dolinie rzeki Supe, 22,5 kilometra od wybrzeża Oceanu Spokojnego. Znane jako Caral, miasto, które kiedyś zamieszkiwało 30 000 osób, datowano

na ponad 1600 lat wcześniej niż Chavin de Huantar. Inne peruwiańskie stanowisko archeologiczne, tym razem w kształcie stożka, Huaca de los Sacrificios, jest jeszcze starsze – pochodzi z 2857 roku p.n.e. A przecież jego wymyślne konstrukcje dowodzą, że nie było pierwszym siedliskiem i że niewątpliwie poprzedzał je okres długiego rozwoju, sięgający połowy IV tysiąclecia p.n.e. (lub jeszcze wcześniej). Wprawdzie zarówno Caral, jak i Huaca de los Sacrificios, kwitły długo po końcu ostatniej epoki lodowcowej, lecz ich niedawne odkrycie dowodzi, że archeologom jeszcze daleko do ustalenia bazowej daty początku cywilizacji andyjskiej, która równie dobrze może mieć swoje korzenie w późnym plejstocenie.

Paul Dunbavin uważa, że kataklizm z 1628 roku p.n.e. był dostatecznie potężny, aby pozostawić trwałe dziedzictwo geologiczne. „Wynurzenie się pacyficznym wysp koralowych mogło również nastąpić tylko po 1600 roku p.n.e.”, napisał. „Inne badania przeprowadzane metodą węglową, cytowane przez Fairbridge’a, wskazują datę między 1500 a 1800 rokiem p.n.e. dla tej pacyficznej klęski żywiołowej”. „Ta pacyficzna klęska żywiołowa” była najprawdopodobniej związana z ostatecznym zniszczeniem Lemurii, ale katastroficzna skala naturalnego kataklizmu z 3100 roku p.n.e. wydaje się większa. Bez względu na to, czy to wydarzenie z XVII wieku p.n.e. było dostatecznie potężne, aby „wymusić” nagłe wypiętrzenie się Andów, jest ono jednak mniej pewnym „sprawcą” niż wyjątkowo katastrofalny interstadiał Boellinga. Ale, jak twierdzą archeolodzy, przypisywanie zarówno Tiahuanaco, jak i Puma Punku pochodzenia z epoki lodowcowej to stanowczo o wiele za wcześnie, tak samo jak datowanie ich powstania przed 1628 rokiem p.n.e. – zbyt późne. I rzeczywiście, Caral i Huaca de los Sacrificios poprzedzają ostateczne zniszczenie Mu: żadne nie nosi śladów katastrofy”. Jeżeli ten kontynent zatonął w tym samym czasie, gdy wypiętrzył się basen Amazonki”, zakłada Childress, „w takim razie kanał w Puma Punku mógł zostać zbudowany przed tym wypiętrzeniem w tym samym celu, w jakim służy obecnie Kanał Panamski”.

Prostokątny plan zabudowy Tiahuanaco i rozbudowany dziedziniec przypominają stylem ceremonialne ośrodki wzniesione przez budowniczych z kultury Salavarry, nadbrzeżnej cywilizacji, której datowanie na ponad 5000 lat podważają kustosze Muzeum Archeologicznego w Trujillo. Takie ramy czasowe aż do niedawna odrzucała większość naukowców spoza Peru. Ale jeśli konstrukcje kultury Salavarry sięgają początków cywilizacji w Ameryce Południowej, czyli końca IV tysiąclecia p.n.e. to niewiele wyprzedzają globalną katastrofę z 3100 roku p.n.e.

Należy jednak przeprowadzić wiele nowych badań, niekępowanych przez akademickie uprzedzenia i ograniczenia, zanim jeden z kataklizmów, który

wstrząsnął światem między schyłkiem ostatniej epoki lodowcowej a końcem XVII wieku p.n.e., może zostać uznany za wydarzenie skutkujące wypiętrzeniem się Andów do ich obecnej wysokości. Lecz bardziej pewny jest wpływ Lemurii na starożytną Amerykę Południową, o czym świadczą tak zwane rysunki z pustyni Nazca. Zawierają one wiele wielkich obrazów, stworzonych na peruwiańskiej pustyni, czyniąc z niej największą galerię sztuki na Ziemi. Artyści należeli do kultury, którą archeolodzy nazwali „Nazca” od obszaru na południowym wybrzeżu Peru, gdzie znaleziono terraglify.

Ludzie kultury Nazca tworzyli jedno z wielu wyrafinowanych społeczeństw, które poprzedzało lepiej znane państwo Inków z XVI wieku, rozwijając się między 200 rokiem p.n.e. a 400 rokiem. Niektórzy „rewizjoniści” przesuwają okres Nazca z początku I wieku aż do 750 roku, a pustynne rysunki miały się pojawić pod koniec tych ram czasowych. Te oceny są niemal całkowicie arbitralne, ponieważ nie można datować samych rysunków, chociaż odłamki ceramiki w ich sąsiedztwie ulegają metodzie węgla ^{14}C . Ale konwencjonalni archeolodzy przesadnie wykorzystują wyobraźnię, zakładając, że ci sami ludzkie, którzy wyrabiali tę ceramikę, jednocześnie są autorami rysunków.

W zasadzie niewiele wiadomo o samych Nazca, chociaż istnieją setki ich znumifikowanych zwłok, ruiny imponującego systemu irygacyjnego oraz gigantyczne geoglify. Pochodzenie i losy Nazca są nieznane mimo niezaprzeczonego wpływu na cywilizację andyjską. Największą tajemnicą są oczywiście słynne kolosalne pustynne rysunki. Rozciągają się one na powierzchni 643 kilometrów kwadratowych na pustyni w południowym Peru. Uczeni podzielili je na grupy: rysunki geometryczne (głównie spirale i trapezy), bioglify (przedstawienia roślin i zwierząt) i 762 linie, z których jedne biegną prosto przez ponad 320 kilometrów przez góry i doliny, a więc przez wszystkie rodzaje terenu, czasami nawet niebezpieczne.

Rysunki wryto w jałowej równinie, czyli pampie, poprzez odgarnięcie szarobrazowej górnej warstwy ziemi i odsłonięcie żółtego piasku tuż pod spodem. Dlatego są zwane intagliami, czyli niewielkimi zagłębieniami w ziemi. Możemy docenić wielkość i wspaniałość tego prehistorycznego dzieła sztuki, kiedy się dowiemy, że ogromna większość tych rysunków jest jednoliniowa. Innymi słowy, figury zostały narysowane nieprzerwaną linią i są tak wielkie, że ich prawdziwą konfigurację zrozumiemy dopiero wtedy, gdy spojrzymy z góry, z wysokości dziesiątków metrów. Z poziomu gruntu nie można nawet ich dostrzec. Najwidoczniej niezwykle glify mogły zostać zaprojektowane dzięki zastosowaniu wyrafinowanych matematycznie stref rysunku. Na pewno też wykonali je wykwalifikowani i doświadczeni pracownicy. Zarówno przed, jak i po upadku kultury Nazca żadna inna andyjska kultura nie wytworzyła takich wielkich

„obrazów”. Ich jedyne odpowiedniki na świecie można znaleźć pośród figur na zboczach kredowych wzgórz na południu Wielkiej Brytanii. Ale Olbrzym z Cerne-Abbas, wizerunek Herkulesa niedaleko Dorchester, i pochodzący z epoki brązu tak zwany Koń z Uffington w pobliżu Oksfordu nie mają żadnych widocznych powiązań z peruwiańskimi rysunkami, które są znacznie większe.

Jeden z trapezów na pustyni Nazca ma 100 metrów długości. Wszystkie biomorfy, głównie ptaki, również imponują kolosalnymi rozmiarami. Na przykład kormoran lub jego bliski krewniak, anhinga, ma 70 metrów długości. Od czasu ich przypadkowego odkrycia przez pewnego pilota w latach 30. XX wieku, podejmowano liczne próby wyjaśnienia tajemnicy rysunków Nazca. Snuto fantazje o starożytnych astronautach, którzy używali ich jako pasów startowych, a nawet podawano interpretacje astronomiczne – terraglify miały przedstawiać różne zjawiska na niebie. Wszystkie teorie zawiodły na długo przed końcem ubiegłego wieku, chociaż ustalono pewne znaczenie astronomiczne tych obrazów. Mniej więcej w tym samym czasie giganci z pampasów zaczęli sami mówić o sobie.

David Johnson, który badał rysunki wraz z kolegami geologami ze Stanowego Uniwersytetu Massachusetts, podejrzewał istnienie związku między tymi przedstawieniami na pustyni a wodą. Uczeni odkryli, że trapezy Nazca odpowiadały podziemnym źródłom wody. Trapezy wyobrażono dokładnie w miejscach, gdzie podziemne żyły wodne wkraczają do tej doliny w geologicznych uskokach w skalnych formacjach. Niektóre z linii prostych biegły wzdłuż źródeł wody, które wyschły przed wiekami. Inny duży trapez wyraźnie wskazywał w dół rzeki. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Johnson zaczął dostrzegać wyraźny związek rysunków z Nazca z wodą, zespół archeologów ze Stanowego Uniwersytetu Illinois pod kierownictwem Helaine Silverman, pracując na największym stanowisku archeologicznym Nazca, Cahuachi, ustalił jednoznaczną więź pomiędzy podziemnymi źródłami wody a promienistymi liniami, oddalającymi się od wspólnego środka. Te centra były umieszczone tuż nad miejscem, gdzie woda spływa do doliny rzecznej obok pustyni Nazca. Grupa Silverman odkryła również, że wiele linii biegło równoległe do żył wodnych.

Po przejrzeniu tych odkryć, Michael Aveni, wybitny archeoastronom wywnioskował:

Nie mam wątpliwości, że dokonywano obrzędów w środku promienistych linii i trapezów, gdzie ludzie gromadzili się z powodów związanych z rytualnym otrzymywaniem wody. Wzory tych linii mówią również o relacjach między ludźmi, którzy je wykonali, i być może o ich wiedzy astronomicznej poprzez związek między pozycjami wschód/zachód słońca oraz daty pojawienia się

wody w dolinach przylegających do pampasu Nazca (...). Kiedy tak wiele linii wskazuje na pozycję słońca na horyzoncie na początku pory deszczowej, czy jest możliwe, że stworzono je jako rodzaj ofiary dla bogów deszczu?

Wydaje się, że same biomorfy odpowiadają twierdząco. Większość z nich znaczy wilgoć, a zatem i płodność (w takiej czy innej postaci). Rysunki z Nazca, które symbolizują wodę, to: wodorosty, fregata i pelikan (oba ptaki napełniają wodą worek w dolnej części dzioba) wraz z wyżej wspomnianym kormoranem albo anhingą, innym polującym na ryby ptakiem, który po nurkowaniu zawsze wynurza się z dziobem pełnym wody. Jeszcze wyrazistsze są wyobrażenia trzech wielorybów, z których dwa przedstawiono jako ciężarne samice, co wyraźnie podkreśla konieczność dostępu do wody, niezbędnej do życia. Rysunek lisa nie wydaje się związany z wodą, ale zwierzę to jest głównym bohaterem miejscowych legend o Wielkim Potopie w odległej przeszłości. Potop zalał cały świat z wyjątkiem szczytu góry Villcacoto, gdzie ludzie i zwierzęta szukali schronienia przed potwornym przypiływem. Lis przybył ostatni i dlatego został zepchnięty przez licznych towarzyszy niedoli na brzeg oceanu, tak że koniec ogona nurzał się w wodzie. Kiedy wody opadły, zobaczono, że koniuszek ogona lisa został naznaczony przez wodę. Ten „pamiątkowy” znak lis przekazał wszystkim swoim potomkom, którzy z czasem zaczęli symbolizować ocalenie życia podczas potopu.

Dwie inne zwierzęce postacie również pasują do kontekstu: koliber i pająk. Koliber jest jedynym ptakiem, który wyłącznie pije, by się pożywić. Rysunek pająka – z powodu jego groteskowo wydłużonej prawej nogi – archeolodzy uznali za wyobrażenie jakiegoś bajecznego stworzenia. Lecz już w 1991 roku odkryto właśnie taki okaz, jaki został wyobrażony na pustyni Nazca – nie w Peru, lecz z drugiej strony kontynentu południowoamerykańskiego, w brazylijskim lesie deszczowym. U tego gatunku pająka, zwanego *Ricinulei*, wydłużona prawa noga jest organem płciowym samca, który wykorzystuje ją również do spijania porannej rosy. Niewidoczny gołym okiem *Ricinulei* jest najmniejszym pajakiem na świecie. Koliber też jest najmniejszym z ptaków. A przecież oba stworzenia na pustynnym obrazie mają gigantyczne rozmiary. Skąd pradawni artyści wiedzieli o *Ricinulei*? A przecież stworzyli naprawdę trafny wizerunek. Jakikolwiek związek między wybrzeżem Peru i daleką Amazonką, oddzielonymi przez Andy, wydaje się w najwyższym stopniu nieprawdopodobny.

Wiemy jednak, że istnieją inkaskie i preinkaskie tradycje o Wirakoczy, czyli Morskiej Pianie, półboskim człowieku, który wędrował daleko, czasami statkiem, jak sugeruje jego imię, rozpowszechniając dobrodziejstwa cywilizacji

po Ameryce Południowej. Jego symbol co najmniej dwa razy pojawia się na równinie Nazca i w obu przypadkach związany jest z podziemnymi źródłami wody. Małpa na 90-metrowym obrazie ma tylko cztery palce u prawej ręki; podobno Wirakocza również nie miał jednego palca. Ogon małpy zwinięty jest w spiralę, która znajduje się tuż nad podziemnym „akweduktem”. Kolejną spiralę, o średnicy 90 metrów, leżącą na południowym brzegu pobliskiej rzeki Ingenio, z podobną precyzją umieszczono nad innym źródłem wody. Tak zwany geoglif Małego Ptaszka wskazuje na wyschły „akwedukt” czteropalcą ręką Morskiej Piany.

Trzydziestometrowa antropomorficzna figura jedną rękę kieruje ku ziemi; drugą zaś podnosi ku niebu, jakby je o coś błagając. Ptasia głowa postaci wskazuje, że ten wizerunek przedstawia Kobiętę Sowę, potężną szamankę, nadal czczoną przez niektóre plemiona w tym regionie jako patronkę płodności. W Cerro Unitas, na północnym wybrzeżu Chile, 804 kilometry na południe od rysunków Nazca, ale stylem zbliżony do nich, rozciąga się największy na świecie wizerunek mężczyzny. Odkryty dopiero w 1967 roku przez Eduarda Jenseña, generała lotnictwa chilijskiego, jest 90-metrowym wyobrażeniem bóstwa lub szamana z promieniami duchowej mocy (czakra koronna?) rozchodzącymi z jego głowy. Wśród indiańskich plemion Fox, Kickapoo i Suak – około 11 745 kilometrów dalej – odpowiednio w stanach: Illinois, Michigan i Wisconsin, znany jest on również jako boskie uosobienie irygacji.

Inną więzią między Ameryką Południową i Północną jest tak zwany Kandelabr Andów, gigantyczny geoglif wykuty w zboczu wzgórza w zatoce Pisco, naprzeciwko Oceanu Spokojnego w Paracas. Z tego miejsca można go dostrzec na morzu z odległości ponad 19 kilometrów. Nazwę tę stworzyli wcześnie hiszpańscy podróżnicy, którzy dostrzegli w nim dobrą wróżbę dla podboju Peru. Dla nich rysunek przedstawiał świecznik z paschałami. Lecz wśród „malarzy piaskiem” z plemienia Nawahów na amerykańskim południowym zachodzie, około 6436 kilometrów na północ, ten sam obraz czczony jest jako Drzewo Życia umieszczone nad nieruchomą chmurą deszczową, od której otrzymuje pokarm. Podobnie jak inne peruwiańskie naziemne wizerunki, ten terraglif z Paracas był synonimem wody, podczas gdy jego niewątpliwa identyfikacja z Drzewem Życia – tej samej nazwy, pod którą, według Churchwarda, znane było Mu – wskazuje na lemuryjskie pochodzenie Kandelabru. Kandelabr ma aż 198,6 metra długości, a ten wyjątkowy wymiar jest wiele mówiący. W połowie lat 50. XX wieku, po 20 latach pracowitych pomiarów rysunków z Nazca, niemiecka imigrantka i matematyczka Maria Reiche stwierdziła, że zostały one dokładnie wymierzone we wspólnej jednostce miary – równej 198, 3 metra – nieużywanej w żadnej innej andyjskiej kulturze.

Chociaż prawdą jest, że liczne rysunki z Nazca wymagają spojrzenia z pewnej wysokości, aby zobaczyć je w odpowiedniej perspektywie, eksterioryzacja, balon z gorącym powietrzem lub statek kosmiczny nie są potrzebne do oceny ich prawdziwej konfiguracji. Dokładny obraz bioglifów stopniowo rozwija się w umysłach ludzi, którzy idą według nieprzerwanych linii, koncentrując się na nich i gromadząc w myśli szczegóły kształtu i formy. Wydaje się jasne, że były one rytualnymi drózkami, których starożytni mieszkańcy obecnej pustyni Nazca używali do wizualizacji i modlitw o wodę poprzez wyobrażenia związanych ze sobą symboli świętej wilgoci.

Taka teoria nie powinna obrazić uczonych archeologów, ale na pewno uznają oni jej implikacje za niepokojące. Gigantyczne, sprowadzające deszcz geoglify i umiejętność budowy monumentalnych projektów irygacyjnych sugerują, że ludzie z kultury Nazca mieli obsesję z powodu zmniejszających się zapasów świeżej wody w coraz bardziej suchym środowisku. Najwidoczniej nie osiedlili się na południowym wybrzeżu Peru, aby zapoczątkować wyrafinowaną cywilizację wtedy, gdy teren zaczął pustoszeć. Przybyli wówczas, gdy doliny były żyzne, a rzeki pełne wody. Liczne ruiny głębokich, umiejętnie zbudowanych „akweduktów” oraz rozmieszczone na pampasach tuziny rysunków związanych z wodą mówią o kryzysie kultury, pochłoniętej rozpaczliwą walką, by powstrzymać nadciągającą pustynię. A przecież geolodzy wiedzą, że południowe



Największy geoglif na świecie, chilijski Olbrzym z Cerro Unitas.

wybrzeże Peru nie stało się najsuchszym miejscem na Ziemi, jakim jest dzisiaj, dopiero 13 czy 16 wieków temu, kiedy – według konwencjonalnych archeologów – lud Nazca nadal rozkwitał. Wręcz przeciwnie, równina Nazca stała się pustynią najpóźniej między 6000 a 5000 lat temu. Uczyniłoby to cywilizację Nazca przynajmniej częściowo współczesną Egiptowi pierwszych faraonów, którzy również byli słynnymi specjalistami od irygacji, przede wszystkim troszczącymi się o zaopatrzenie w wodę i nawodnienie pól.

Możliwe, że globalna zmiana klimatu spowodowała ekologiczną przemianę Ameryki Południowej. Jeśli tak było, wtedy poziom kultury cywilizacji andyjskiej z końca IV tysiąclecia p.n.e został już określony (w każdym razie przez peruwiańskich uczonych) i jest to tak zwany okres Salavarry. Około 3100 roku p.n.e. ceremonialne platformy z cegły mułowej, otoczone prostokątnymi ogrodzeniami, bardzo podobne do najwcześniejszych ośrodków obrzędowych w dolinie Nilu z czasów pierwszych dynastii, pojawiły się wzdłuż południowego wybrzeża Peru. Wydawałoby się zatem, że ogromne rysunki i wspaniałe podziemne „wodociągi” z równiny Nazca nie mogłyby powstać mniej niż 20 wieków temu, jak uważają ortodoksyjni archeolodzy. Zamiast tego były rezultatem desperackich wysiłków ludu, który pragnął uratować swoją cywilizację przed bezlitosną pustynią z pomocą podziemnej inżynierii – do poszukiwań nowych źródeł wody – oraz rytualnych błagań o deszcz. Lecz warunki życia pogarszały się coraz bardziej, aż wreszcie nie można było utrzymać skomplikowanej organizacji społecznej w czasie coraz większego pustynnienia terenu. Mniej więcej po 2000 roku p.n.e. zostały tylko wielkie podziemne „akwedukty”, zapadające się pod ciężarem piasku i milczące obrazy daremnych modlitw do nieba.

Ludzie kultury Salavarry mogli nakreślić geoglify i biomorfy, ale kto stworzył tę niezwykłą kulturę? W XX wieku archeolodzy wierzyli, że ludność wybrzeży Peru 5000 lub 6000 lat temu była bardzo nieliczna i podzielona na skonfliktowane plemiona prymitywnych rolników i myśliwych. A przecież temu wnioskowi przeczyły ówczesne ceremonialne ośrodki, a szczególnie rysunki z Nazca. Realizacja obu projektów wymagała zaawansowanego miernictwa, jednolitego systemu miar i wag oraz znajomości geografii na gigantyczną skalę. Nie ma tam żadnej wskazówki o początkowej ewolucji, która doprowadziła do ich zastosowania – co musiało przecież wymagać długiego okresu dojrzwania. Ceremonialne ośrodki i rysunki z Nazca pojawiają się w pełni rozkwitu, co wskazuje, że technika pozwalająca na stworzenie monumentalnych dzieł powstała gdzie indziej, zanim została przeniesiona do Ameryki Południowej, już w zaawansowanym stadium rozwoju. Co więcej, te kolosalne dzieła były stworzone przez i dla licznej populacji, której istnienia akademiccy uczeni nie chcieli uznać, aż wyniki wykopalisk w szerokiej strefie archeologicznej, znanej

jako obszar Norte Chico, około 193 kilometrów na północ od Limy, zostały podane do publicznej wiadomości w grudniu 2004 roku. Zresztą nawet kilku szanowanych amerykańistów głównego nurtu, jak Michael Moseley, już wcześniej opowiadało się za „morskimi fundamentami cywilizacji andyjskiej” wzdłuż wybrzeża Pacyfiku.

Wykopaliska w Norte Chico potwierdziły podejrzenia Moseleya, kiedy odkryto tam 24 zasypane miasta, wszystkie cechujące się monumentalną architekturą: przestronne, otoczone murami place, piramidy schodkowe i „dzielnice mieszkalne”. Duże ilości konopi wykorzystywanych do wyrobu lin okrętowych wskazują, że zaginione miasta były portami lub przynajmniej osadami ściśle związanymi z żeglugą oceaniczną. Obfitość zdatnego do datowania metodą węglową materiału pozwoliła ustalić, że Norte Chico rozwijało się już 4900 lat p.n.e., ustępując potem miejsca kulturze Salavarry około 18 wieków później. Ta zaskakująco wczesna starożytność, połączona z rozwojem miast z Norte Chico na wybrzeżu Pacyfiku w „dojrzałej” postaci, bez śladów poprzedniej ewolucji kulturowej, wskazuje, że cywilizacja została przywieziona do Ameryki Południowej z Mu.

Lemuryjczycy byli jedynymi wyobraźnymi kandydatami na starożytnych specjalistów od irygacji, którzy pozostawili po sobie największą na świecie galerię sztuki.

Mieli już własną wysoko rozwiniętą kulturę na długo, zanim porośnięta bujną roślinnością dolina w zachodnim Peru zamieniła się w najsuchsze miejsce na Ziemi, i znacznie później próbowali powstrzymać napór pustyni, łącząc moce duchowe i osiągnięcia techniczne w epoce, kiedy nauka i religia stanowiły nierozzerwalną jedność. I rzeczywiście, spora liczba mumii wykopanych na pustyni Nazca, kojarzonych przez archeologów z kulturą Paracas odpowiedzialną za pustynne rysunki, ma rude włosy, tak jak Lemuryjczycy, znani w ludowych tradycjach Polinezji i Kolumbii Brytyjskiej z tej właśnie cechy.

Znakomita kolekcja tych mumii przechowywana jest w Muzeum Herrera w Limie, gdzie są one wystawione na widok publiczny w osobnym pomieszczeniu. Około jednej trzeciej ma płomiennorude włosy; mniejsza część – blond lub rudoblond, aż do kasztanowego – i to wśród rdzennej, czarnowłosej ludności andyjskiej. Heyderdahl badał ten problem i ustalił, że te włosy straciły połysk, ale nie zmieniały barwy. Zamknięte w szklanych gablotach mumie umożliwiają obejrzenie z bliska cebulek włosów, które nie wykazują żadnych śladów farby rudej lub jasnej. Niestety, kustosze z Muzeum Herrera przerwali mi fotografowanie jasnowłosych ludzkich szczątków; usiłowali za to sprzedać mi książkę o nich. Zawierała kilka zdjęć jednej mumii, ale były one chronione prawem autorskim i nie mogły zostać legalnie skopiowane. Takie są ograniczenia badań we współczesnym Peru!

Andyjskie mumie mówią o czymś więcej niż o nietypowej rasowej tożsamości i widać, że są znacznie starsze niż I wiek p.n.e. przypisany im przez ortodoksyjnych archeologów. Robotnicy przeprowadzający rury wodne przez wysoki na 40 metrów wzgórek w pobliżu chilijskiego miasta Arica w listopadzie 1983 roku przypadkowo wykopali nekropolię zawierającą 96 zmumifikowanych, doskonale zachowanych ciał. Później doktor Marvin Allison, amerykański patolog, za pomocą metody węglowej określił ich wiek na prawie 8000 lat. Jego opinia stała w sprzeczności z twierdzeniami uczonych, którzy uważają, iż pierwsze cywilizacje powstały w Mezopotamii dopiero 55 wieków temu. Według nich pierwsza południowoamerykańska cywilizacja pojawiła się prawie 1000 lat później. A przecież powtórzone badania doktora Allisona, potwierdzone przez jego kolegów, datowały najstarszą z mumii z Arici na około 7810 rok p.n.e. Jeżeli ich chilijskie odpowiedniki wyprzedzały zarówno mezopotamską, jak i egipską kulturę, skąd więc mogły pochodzić, jeśli nie z Lemurii?

To nie przypadek, że mumie z Arici zostały odkryte w tym samym kraju, w którym znaleziono figurę Olbrzyma z Cerra Unitas na zboczu wzgórza na pustyni Atacama. W czasach hiszpańskiej konkwisty Indianie Molle nosili brody z ceramiki, przymocowane do otworów wyciętych w kościach szczęk. Robili to mimo bólu, aby naśladować swoich przodków, którzy przybyli zza morza dawno temu po Wielkim Potopie. Krótko mówiąc, była to ciekawa „pamiątkowa” ozdoba dla mężczyzn, którzy nie mieli zarostu.

Chociaż nie da się określić ram czasowych, kiedy powstały gigantyczne geoglify w Chile i w Peru, osadnicy z Mu musieli przybyć na południowoamerykańskie wybrzeża Pacyfiku ponad 5000 lat temu, przypuszczalnie nie później niż 3500 p.n.e., a zapewne znacznie wcześniej, może o kilka stuleci lub nawet tysiące. I rzeczywiście, materialny dowód potwierdzający datowanie dotychczasowych znalezisk na zamierzchłą przeszłość, odkryto prawie 804 kilometry na południe od rysunków z Nazca, w Monte Verde. Trzyście tysięcy lat temu – czyli właśnie wtedy, kiedy pierwsi ludzie, którzy później dotarli do Ameryki Północnej, zaczęli wędrówkę z Syberii przez alaskański pomost lądowy długości około 4827 kilometrów – w południowym Chile żyła już osiadła społeczność zielarzy.

Wzniesli oni ponad tuzin prostokątnych drewnianych pomieszczeń, każde długie na 3–5 metrów, przykrytych skórami mastodontów i ustawionych w dwóch rzędach na wschód i na południe od rzeczki Chinchihuapi. Chociaż każdy budynek miał własne ognisko, duże palenisko na wolnym powietrzu służyło do wspólnego przygotowywania posiłków. Miejsce to było niezwykle rozbudowane jak na swoją epokę, ale jeszcze bardziej zdumiewa jego funkcja jako ośrodka zielarskiego.

W specjalnej strukturze w kształcie mostka archeolodzy znaleźli pozostałości 27 ziół leczniczych. Niektóre z nich zebrano na miejscu, inne dostarczono z odległości setek kilometrów, gdyż rosły daleko na północy, na wybrzeżu Pacyfiku oraz w wysokich Andach. Najwidoczniej Monte Verde było celowo stworzoną społecznością zielarzy, którzy zbierali, przygotowywali i rozdawali „pacjentom” lecznicze substancje. Ich wiedza medyczna i znajomość ziół były naprawdę niezwykle.

Specjalistyczna wiedza o leczeniu oraz wszystko inne, czego dowiadujemy się o ludziach żyjących tam w XII wieku p.n.e., określa ich jako cudzoziemców wykorzystujących kulturę materialną zupełnie odmienną od tej, którą mieli ówczesni chilijscy tubylcy. Co więcej, mieszkańcy Monte Verde z epoki lodowcowej nie mogliby zawędrować na drugi kraniec Ameryki z dalekiej północy; bez wątplenia popłynęli na zachód przez Pacyfik. Ich pacyficzne pochodzenie, żeglarskie umiejętności, doświadczenie zielarzy i organizacja społeczna, wszystko to pasuje do „medyków” z jakiejś zamorskiej, wysoko rozwiniętej kultury.

Bez względu na to, kiedy pierwsi Lemuryjczycy przybyli do Peru, prawdopodobnie byli misjonarzami, ale piękno doliny Nazca sprawiło, że nie wyruszyli w podróż powrotną. Z czasem przyłączyli się do nich krewni i lemuryjska populacja w nowym, rolniczym, żyznym kraju stała się dostatecznie liczna, aby utrzymać społeczności miejskie. Ruiny miast założonych przez przybyszów pojawiają się w ceremonialnych ośrodkach w kulturach Norte Chico i Salavarry. Pod koniec IV tysiąclecia p.n.e. zmiany klimatyczne spowodowały stałe pogarszanie się warunków życia. Lemuryjczycy próbowali wyprzedzić rozszerzający się kryzys ekologiczny za pomocą jeszcze bardziej niż kiedykolwiek skomplikowanego systemu irygacyjnego. Ale kiedy zaczęli się wycofywać przed nacierającą pustynią, wsparli technikę zdobywania świeżej wody magią i wspólnotową duchowością. Wielkie naziemne wyobrażenia symboli wody stały się celem masowych pielgrzymek, wykorzystujących zgromadzoną energię psychiczną całej populacji. Kiedy tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci chodziły po labiryntach przedstawiających fregaty, wieloryby, pająki, jaszczurki, małpy, wodorosty, kaktusy i inne związane z wilgocią geoglify, energia modlitw i medytacji łączyła się z samymi wizerunkami na piasku, aby objawić się w postaci deszczu lub źródeł „artezyjskich”.

Jesienią 1994 roku, kiedy szukałem napoju orzeźwiającego w barze Kamikadze w Cuzco, byłej stolicy państwa Inków, pewien szaman z plemienia Keczua powiedział mi, że pierwotnie terraglify z Nazca nie miały oznaczać źródeł wody. Wręcz przeciwnie, początkowo potomkowie Lemuryjczyków robili intaglio na środku pustyni, gdzie nie było nawet śladu wilgoci, a potem kroczyli koło tych

starożytnych symboli. Robiąc to, wyczarowywali podziemną wodę z niczego. Ogromne, sugestywne rysunki były wykorzystywane jako narzędzia działające na wyobraźnię, dzięki której po raz pierwszy stworzono urządzenia zapewniające stały dopływ wody. To właśnie jest prawdziwe znaczenie pustynnej Kobiety Sowy, mierzącej 32,6 metra, z jedną ręką podniesioną ku niebu, a drugą zwróconą ku Ziemi. Ona uosabiała odwieczną magiczną maksymę: „Jako w górze, tako na dole”. „Sowa była symbolem mądrości dla naszych przodków, tak jak nadal jest na Zachodzie i z tego samego powodu, mówił dalej szaman. „Wielkie oczy pozwalają jej wiedzieć w ciemności rzeczy ukryte przed innymi. Starożytni, którzy narysowali postać Kobiety Sowy i wszystkie inne pustynne wizerunki, nie tylko medytowali, gdy je obchodzili, ale również tańczyli i śpiewali wzdłuż rysunków Nazca. Chcieli w ten sposób osiągnąć zmienione stany świadomości, jedyne środki, z których pomocą można przywołać i kontrolować energię wszechświata”.

Słyszając tę bardzo starą opowieść z ust szamana, przypomniałem sobie słynny taniec deszczu, znany w niezliczonych wersjach każdemu plemieniu rdzennych Amerykanów od Kanady do Chile. Pomyślałem również o podobnych wspólnotowych przeżyciach psychicznych, które miały powstać wśród duchowych adeptów Mu. Być może próbowali wykorzystać moce parapsychiczne, które opanowali jako pierwsi wśród ludzi, do ocalenia najstarszej cywilizacji Ameryki Południowej we wciąż pogarszającym się klimacie. Jeśli tak, wielkie, lecz delikatne obrazy, nadal zdobiące równinę Nazca mogą być jedynym zachowanym świadectwem przegranej walki lemuryjskich kolonistów w prehistorycznym Peru z nieubłaganymi siłami natury. Tymi samymi, które później, w inny sposób, zniszczyły porzuconą Praojczyznę.

9. Dług Azji wobec Lemurii

Obecnie w filozofii obowiązuje zasada, że żadne wierzenie religijne, choćby nie wiem jak prymitywne, ani żadna tradycja historyczna, choćby nie wiem jak absurdalna, nie może być uznawana przez większość ludzi przez długi czas za prawdziwą, nie mając na początku żadnych podstaw w faktach. Możemy być pewni, że nigdy nie było mitu bez jakiegoś znaczenia; że mitologia nie jest garścią śmiesznych wymysłów, stworzonych dla powszechnej zabawy; że nie istnieje ani jedna taka historia, bez względu na to, jak niemądra lub absurdalna, która nie miałaby oparcia w fakcie, która czegoś nie znaczyła.

H.H. Bancroft, amerykański antropolog
z końca XIX wieku

Różne ludy tubylcze z amerykańskiego południowego zachodu słyną ze swoich naturalnych malowideł. Są to graficzne, choć efemeryczne arcydzieła z ziarenek pyłku kukurydzianego, węgla drzewnego, skruszonych płatków kwiatów oraz czerwonego, żółtego i białego piasku. Artyści z plemienia Hopi, Apaczów, Papagos, Zuni i Nawahów wprawnie rozsiewają te składniki na białej kozłej skórze rozłożonej na podłodze w skromnym pomieszczeniu znanym jako *hogan*. Ich liczne wzory, o średnicy od 60 centymetrów do 1,8 metra, niemal w całości są tradycyjnymi formami, powtarzanymi od niepamiętnych czasów i tylko niekiedy nieznacznie zmienianymi. Niektóre malowidła z piasku opowiadają o ważnych wspomnieniach danego ludu, inne zaś, określane jako „znaki”, posiadają właściwości lecznicze. „Pacjenta” sadza się na środku rysunku, a mityczne obrazy wchłaniają ból i zło. Doskonałość wykonania tego malowidła ma przyciągnąć uzdrawiające duchy, z którymi chory identyfikuje się podczas przygotowań do rytualnego oczyszczenia w specjalnej małej łaźni, poprzez

branie leków ziołowych, rytualne kąpiele, abstynencję seksualną i wywoływanie wymiotów.

Wszyscy malarze piaskiem są członkami plemiennej „gildii”, w której uczą się technik, znaczenia i mistycznej mocy zawodu, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Kiedy ich przodkowie wyemigrowali na amerykański południowy zachód jakieś 700 lat temu, mogli nauczyć się malowania piaskiem od miejscowych plemion Pueblo lub od Anasazi, mieszkańców klifów w kanionach Du Chelley lub Casa Grande. Ale tradycja mityczna przypisuje stworzenie tej sztuki Świątemu Ludowi. Dawno temu, przed Wielkim Potopem, te niewidzialne byty podzieliły się duchowymi mocami z Ludem Wiatru, który z kolei przekazał tę wiedzę Nawahom. Ta historia przedstawiona jest w Te-o-sol-hi, czyli malowidle z piasku związanym z „wodną istotą”. Obraz nazwano od imienia boga morza. Kiedy Kojot porwał jego córkę, bóg rozkazał oceanowi podnieść się, zmuszając wszystkich ludzi do opuszczenia Trzeciego Świata i szukania schronienia w Czwartym, żeby w ten sposób odizolować porywacza. Tak oto ludzie musieli szukać ocalenia w Ameryce przed nacierającym przypiływem. Kiedy tylko znaleźli Kojota i wydali go Te-o-sol-hi wraz z porwanym dzieckiem, wody się cofnęły.

Inne piaskowe malowidło opowiada Tsil-ol-ni, czyli historię o „wirujących polanach” – Wodni Ludzie porywają bohatera i jego towarzyszy do swojego domu na dnie morza. Bohater modli się do Czarnego Boga o pomoc. Ten w odpowiedzi grozi porywaczom, że ześle na nich ogień z nieba. Wodni Ludzie uwalniają więźniów i, żeby zrekompensować im doznane przykrości, dzielą się tajemnicami uzdrawiania z bohaterem i jego rodziną, którzy stali się przodkami Nawahów. Później bohater widzi wirujące polana z parami czarnych i białych *yeis*, czyli mądrych duchów, które stoją na zewnętrznych krańcach utworzonego krzyża. Duchy dają mu nasiona i wskazówki, jak je uprawiać, co stało się tradycyjną podstawą rolnictwa na południowym zachodzie.

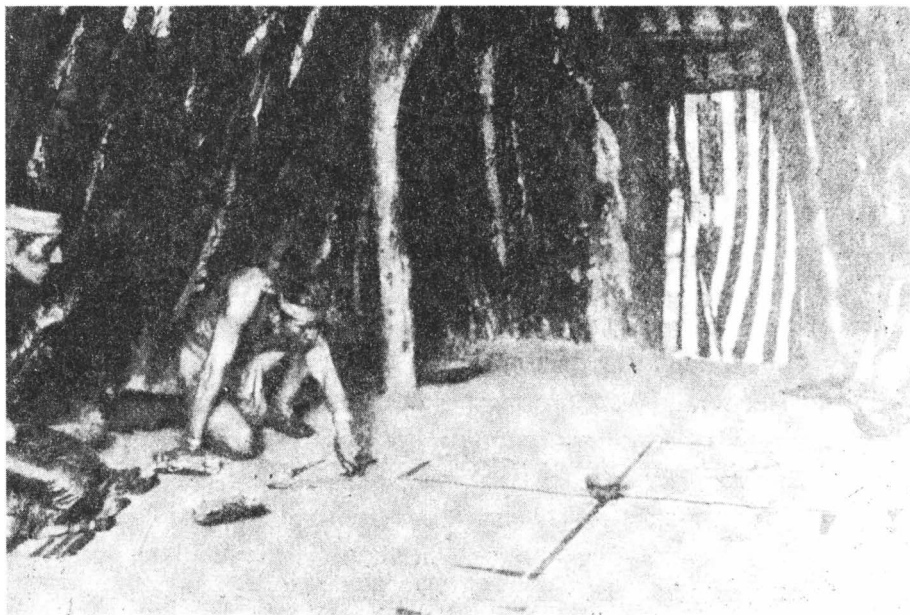
Tsil-ol-ni to najbardziej oczywiste lemuryjskie piaskowe malowidło. Wraz z Te-o-sol-hi przedstawia potop, który był odpowiedzialny za sprowadzenie przodków tych plemion do Ameryki, i wymienia Czarnego Boga, co jest wyraźną aluzją do chmury grożącej ojczyźnie Wodnych Ludzi ogniem z nieba. Takie przedstawienie sensu obrazu przypomina zniszczenie Mu przez komętę, znane z licznych ustnych opowieści z całego Pacyfiku, od wersji z Wyspy Wielkanocnej o zniszczonej przez meteoryt ojczyźnie Hotu Matua, do wspomnień ludów Nowej Gwinei o niebiańskim płomieniu, który poprzedził Wielki Potop. Wodni Ludzie z zatopionego królestwa o niezwykłych umiejętnościach medycznych, są widocznie lemuryjskimi poprzednikami Indian.

Malowidło Tsil-ol-ni jest często używane w uzdrawiających ceremoniach, a „wirujące polana” z przywiązanymi do nich *yeis* tworzą swastykę. Indianie

Hopi opowiadają o dwóch światowych potopach, jednym ze wschodu, drugim z zachodu, każdy zaś ma przedstawiać inny wariant złamanego krzyża.

Pierwsza wersja – zwrócona w lewo, oznacza przybycie ocalonych przed zagładą ze wschodu – niektórzy badacze są zdania, że ten kierunek wskazuje dawną pozycję Atlantydy. Ale swastyka zwrócona na prawo symbolizuje wcześniejszą migrację przez ocean z zachodu. Opowieści o dwóch migracjach najbardziej dramatycznie są przedstawione na Hemet Maze Stone, szarym gładzie, ozdobionym skomplikowanym rysunkiem labiryntu zamkniętego w kwadracie o boku 45 centymetrów.

Ten petroglif znajduje się na zboczu góry na zachód od miasteczka Hemet, w Kalifornii, 144 kilometry na południowy wschód od Los Angeles. Nagromadzenie na jego powierzchni lekkiego nalotu, zwanego przez miejscowych „pustynnym lakierem”, sugeruje, że wzór wyryto między 4000 a 3000 lat temu – pomimo twierdzeń archeologów głównego nurtu, na podstawie kiepskich dowodów materialnych, że nie może mieć więcej niż kilkaset lat. Sam labirynt ma kształt swastyki. Ale w lewym dolnym rogu kwadratowego rysunku na Hemet Maze Stone widnieje prosty, znacznie mniejszy, odwrócony lub zorientowany na prawo złamany krzyż, znany w buddyzmie jako *sauvastika*. Swastyki i *sauvastika* są powszechnie spotykane w Azji, gdzie symbolizują



Szamani Nawahów tworzą wzór swastyki w środku piaskowego malowidła.

odpowiednio prawą i lewą stopę Buddy i są aluzją do jego misjonarskich podróży po świecie. Buddyjska swastyka i *sauvastika* oraz petroglif z Kalifornii prawdopodobnie posiadają zbliżoną symbolikę, którą zarówno Azjaci, jak i pradawni rdzenni Amerykanie mogli otrzymać niezależnie od siebie ze wspólnego źródła.

Churchward zidentyfikował swastykę jako lemuryjski symbol na wiele dziesiątków lat wcześniej, zanim dowiedział się, że tego samego znaku używają Indianie Hopi do ukazania wpływu ocalałych z potopu Lemuryjczyków na ich przodków. Stwierdził, że pierwotnie był to jeden z najważniejszych symboli Mu, przedstawiający „cztery wielkie pierwotne siły wszechświata”, „klucz do powszechnego ruchu”. Ta charakterystyka uzupełnia zarówno symbolikę uznawaną przez Hopi, jak i symbole buddyzmu. Podobnie jest z dziełem sztuki „naziemnej” ludu Nawaho, na przykład opisane przez „piaskowego” malarza Indian Otomi Davida V. Villasenora Wirujące Tęcze mają przedstawiać „najpotężniejszą siłę stwórczego ducha ewolucji”.

Tęczowi strażnicy, czyli Na'a-tse-elit yei, chronią ludzkość przed powtórzeniem się potopu, który unicestwił dawny świat. Churchward napisał równie trafnie, że lemuryjskie swastyki oznaczały moc „działającą z zachodu na wschód”, tak jak Hopi symbolicznie przedstawiają migrację swoich przodków ze wschodu na zachód w postaci zwróconej na prawo swastyki. Sąsiednie plemię Zuni czci Poshaiyankaya, który zaprowadził ich przodków na amerykański południowy zachód po niemal całkowitej zagładzie w Wielkim Potopie. Upamiętniająca tę masową migrację ceramika Zuni jest ozdobiona motywem swastyki.

Jeżeli ten domniemany lemuryjski symbol nie występuje na wyspach Pacyfiku, moglibyśmy zważyć w jego związek z Mu. Lecz naprawdę szczególnie wyróżnili go Hawajczycy jako Krzyż z Teave, który – według Leinani Melville – oznacza „Najwyższego Ojca”, „Boga Płomieni”, często nazywanego „Wszchemocnym Płomieniem Stworzenia”, z którego powstały wszystkie formy życia zamieszkujące Ziemię. Ta definicja nie tylko trafnie charakteryzuje Lemurię jako źródło cywilizacji, lecz także ma takie samo znaczenie jak grecka swastyka, symbol Prometeusza, który podarował ogień pierwszym ludziom. Na wyspach zachodniego Pacyfiku, poproszeni o podpisanie się na odwrocie dokumentów zaferowanych przez europejskich podróżników z końca XVIII wieku, niepiśmienni Mikronezyjczycy często rysowali zwrócony na prawo złamany krzyż, ponieważ ich przodkowie używali tego znaku przed i po Wielkim Potopie.

Sauvastika również została włączona do ozdób z piór, wyrabianych pod koniec XV wieku przez Azteków jako symbol Chalchiuhtlicue. Jak wskazuje jej

imię – Nasza Pani w Turkusowej Szacie – Chalchiuhtlicue była aztecką boginią morza, przedstawianą w sztuce sakralnej na tronie, wokół którego ludzie topią się w wielkich wirach. Mít o Chalchiuhtlicue to oczywiste wspomnienie o wyjątkowo ważnej naturalnej katastrofie na morzu. Podobnie jak hawajski Krzyż z Teave, majański *kak* był złamanym krzyżem symbolizującym ogień.

Uważa się, że ten złamany krzyż wprowadzili do Indii aryjscy najeźdźcy w XVIII wieku p.n.e., ale był już czczony jako święty symbol w cywilizacji doliny Indusu – której powiązania z Wyspą Wielkanocną zostały omówione w rozdziale 3 – 1000 lub więcej lat wcześniej. Słynna cylindryczna pieczęć z Mohendźo Daro, przedstawiająca bizona jedzącego z paśnika, ma *sauvastika* na odwrocie.

Nic dziwnego, że ten znak odgrywał znaczącą rolę w wielu różnych kulturach przez tysiące lat, ponieważ miał jedno znaczenie dla tak różnych od siebie ludów. Twórzy płomień i masowa wędrówka, odnotowana w wielu tradycjach mitycznych na całym świecie, wskazują na wspólne źródło, z którego niesiono innym ludom złamany krzyż. Wspólne pochodzenie sugeruje też pojawienie się tego symbolu wysoko w Himalajach, gdzie swastyka na języku Nyatri Tsenpo wystarczyła, aby zapewnić mu tron Tybetu, którego był pierwszym królem. Zapewne kandydat na władcę wypowiedział jakieś słowa o mistycznej mocy. Ten znak powszechnie uważa się za symbol najwyższej mocy duchowej, a znawcy symboli, pisarze Tatjana i Mirabai Blau przedstawili go jako „pozostałość wczesnej tybetańskiej religii *bon*”.

W rzeczywistości *bon* było terminem dla różnych tybetańskich mistycznych tradycji, zanim zostały one wchłonięte i zespolone z buddyzmem, tworząc politeistyczną syntezę od połowy VIII wieku. Wyraz wywodzi się od słów *bon pa*, co oznacza recytowanie magicznych formuł, kładących nacisk na opętanie, kontrolowanie demonów i wędrówkę dusz, które wcielały się w materię pod wszelkimi postaciami. Wyznawcy tej animistycznej religii wierzyli, że recytowanie lub śpiewanie pewnych sylab lub dźwięków, znanych jako mantry, mogło wpłynąć na kształty energii i ułatwić osiągnięcie zdumiewających rezultatów zarówno duchowych, jak i cielesnych. Krótko mówiąc, można było zmienić los człowieka i transportować wielotonowe bloki w odmiennych stanach świadomości, wywołanych za pomocą głosu.

Według tybetańskiego historyka Namkhai Norbu, ta misteryjna religia oparta na szamańskiej ekstazie i dźwiękach została wprowadzona na początku II tysiąclecia p.n.e. przez cudzoziemca, Shenraba Miwoche, czyli Największego Człowieka z klanu Shen. Podobnie jak buddyści, którzy przyszli wiele wieków później, Miwoche połączył rozmaite miejscowe kultury mistyczne z własnym o nazwie Bon lub Boen. Osiadł w Shang Shang, obecnie znanym jako zachodniotybetański



Hawajski kapłan mistycznego kultu *kahuna* ma nakrycie głowy przypominające to, które nosili zwolennicy tybetańskiego buddyzmu, zwani Żółtymi Kapelusznymi. Miejskowe tradycje o misjonarzach z przedpotopowego królestwa nadal są żywe zarówno na Hawajach, jak i w Tybecie.

rejon Guge, między górą Tise, czyli Kang Rinpoche (lepiej znaną jako Kailas), a jeziorem Mapham, czyli Manasarovar. Do dzisiaj dla milionów Azjatów są to dwa najświętsze miejsca na świecie.

Jak zauważył Norbu, „ten obszar można pod każdym względem uznać za kolebkę kultury tybetańskiej”. Tise/Kang Rinpoche/Kailas nazwano Górą Swastyki, ponieważ jest to *axis mundi*, czyli pępek świata, wokół którego obraca się Ziemia, według pielgrzymów doświadczających oświecenia duchowego. Termin też już spotkaliśmy podczas poszukiwań Lemurii na Wyspie Wielkanocnej, która początkowo nosiła tę samą nazwę, Te-Pito-te-Henua, podobnie jak stolica państwa Inków, Cuzco.

Norbu tak pisze o Miwoche: „Głównym celem jego misji było odnowienie i zreformowanie istniejących przedtem tradycji poznawczych i rytualnych”, a nie obalenie ich, o czym świadczy zastąpienie przez niego ofiar z ludzi i zwierząt figurkami z gliny lub masła. Dalajlama i jego wyznawcy nadal przestrzegają tej praktyki. Z troski Miwoche o wszelkie życie możemy wywnioskować, że zasada współczucia dla wszystkich żywych istot, podstawa tybetańskiego buddyzmu, zapewne wywodziła się od Najwyższego Człowieka z klanu Shen. Jedną z mistycznej idei, jakie głosił, odbija się w nazwie miejsca, gdzie zamieszkał. *Shang* to tylko sposób na wyrażenie szacunku dla drugiego człowieka, jak „drogi” lub „ukochany”, ale tybetański *shung* to tamtejszy orzeł Garuda, mityczne ucieleśnienie ognia, którego symbolem jest swastyka. Lecz tak zwany „Ogień Miwoche, to *kundalini*, które posiada każda żywa istota – wewnętrzna forma energii zwiniętej w kłębek u podstawy ludzkiego kręgosłupa. Można albo zamienić ją w płomień poprzez oczyszczające przeżycie, albo podsycić poprzez medytację, by uzyskać oświecenie, kontakt i możliwość prowadzenia dialogu z Wielkim Współczującym Umysłem, który jest Wszechświatem. Ten „ogień” uważa się za najbardziej aktywny z pięciu „żywiołów” religii *bon*.

Po nawróceniu lokalnego władcy, Triwera Sergyi Charuchena, mistycyzm Miwoche’a rozprzestrzenił się na wschodni i środkowy Tybet, gdzie stał się tak popularny, że wszystkie późniejsze próby wykorzenia go zawiodły. Nawet kiedy królewska świątynia i *gompa*, czyli klasztor lamów w Totling, zostały zniszczone w XVII wieku i opuszczone, religia *bon* zmusiła buddyzm do całkowicie odmiennej ewolucji w Tybecie niż w innych krajach. W Kailas-Manasarovar są „pieczołowicie chronione elementy wszystkiego, co ekstatyczne i nieortodoksyjne w religii hinduistycznej i tybetańskiej”, jak napisał Charles Allen w historii góry Tise. Wyjątkowy charakter tybetańskiego buddyzmu to rezultat wchłoniętych przez niego wpływów *bon*.

Wśród trwałych cech, które odróżniają buddyzm tybetański od innych jego gałęzi, jest rytualne malowanie piaskiem. Pojawienie się tej świętej sztuki wśród

dwóch ludów, żyjących w innej części świata, o odmiennym położeniu geograficznym i kulturze, długo zdumiewało tych antropologów, którzy nie chcieli za przykładem ortodoksyjnych kolegów po fachu odrzucić rezultatów porównania Azji Środkowej z południowo-zachodnią Ameryką jako zwykłego zbiegu okoliczności. Chociaż znaczące różnice dzielą te dwie wersje kulturowe, mimo wszystko jest kilka uderzających podobieństw. Do podstawowych należy złamany krzyż, który zarówno mnisi buddyjscy, jak i szamani Nawaho włączają do swoich malowideł, ponieważ dla obu tych religii jest to najważniejszy symbol mocy duchowej. Tybetański odpowiednik Tsi-ol-ni to Kalachakra, czyli „koło czasu”, zbiór mądrości dotyczących powrotu nauczycieli, na przykład Buddy, jak wyrażono to w pewnym piaskowym malowidle. Takie malowidło to *mandala*, symboliczny wizerunek energii kosmicznych, z którymi jego twórcy szukają zjednoczenia, podobnie jak malarze piaskiem z plemienia Nawaho jednoczą się z jedną z tych samych sił. Samo tworzenie mandali jest formą medytacji na temat nieskończenie wielkiego współczucia.

Podobnie jak indiańskich artystów, tybetańskich mnichów też uczy mistrz, który pilnuje, aby jak najwierniej odtworzyć tradycyjne wzory. Kalachakra to wizualna idealizacja niebiańskiego miasta, miejsca doskonałej harmonii, gdzie odkryto ostateczny cel oświecenia. Na drugim końcu świata święte śpiewy i modlitwy towarzyszą ukończeniu obrzędu malowania piaskiem. Po skończeniu ceremonii, usunięcie piasku jest ważnym rytuałem w obu kulturach. Nawahowie biorą do ręki różnobarwne ziarna piasku i niosą na północ od hoganu, by go pogrzebać w kierunku kojarzonym z ucieczką do następnego świata. Tybetańczycy zaś wrzucają uświęcony piasek do oceanu (jeziora lub strumienia, jeżeli są za daleko od brzegu morza) na cześć Dalajlamy, którego imię znaczy „ocean współczucia”. Ale wywodzący się z religii bon tybetański zwyczaj malowania piaskiem wskazuje również na związki z zaginioną Lemurią.

W każdym razie nie tylko praktykowanie tej szczególnej sztuki jest niezwykłe, lecz także identyczna powaga, z jaką czczą ją Tybetańczycy i Indianie z amerykańskiego południowego zachodu, którzy używają malarstwa piaskowego do osiągnięcia zmienionych stanów świadomości. Różne kolory oznaczają podstawowe kierunki u obu ludów. Każdy z nich o wschodzie słońca rozmieszcza suche barwniki, aby przedstawić jedną środkową i cztery kardynalne góry. Szamani Nawahów również mają laskę modlitewną, tak jak mnisi w Tybecie. Przedstawione analogie są czymś więcej niż zwykłymi przypadkami. Tę interpretację wzmacnia złamany krzyż (w obu wersjach), który uważany jest jako najświętszy symbol zarówno w Azji Środkowej, jak i w południowo-zachodniej Ameryce.

Jeszcze większe podobieństwa można dostrzec przy porównaniu mitów założycielskich każdej z tych kultur. Tybetańczycy mają własną wersję Wodnych Ludzi, poprzedzających Nawahów mistrzów duchowego uzdrawiania. W *chog rabs*, czyli legendach o początku, narodziny Shenrab Miwoche'a w 1917 roku p.n.e. znaczyły, według słów Norbu, „początek historii Tybetu”. Mistrz, jak już wspomnieliśmy, nie należał do tubylczych Se, lecz do pierwszej z pięciu różnych ras, które przybyły z czasem w kolejnych falach imigracji. Były to, kolejno, od najpóźniejszych do najwcześniejszych: Ra, Dru, Tong, Dong i Mu. Każdą z nich, wraz z miejscowymi Se, symbolizuje sześć promieni, które wychodzą ze wschodzącego słońca na narodowej fladze Tybetu. Wschodzące słońce wskazuje kierunek, z którego przybyli cudzoziemcy; sugeruje również solarny mistycyzm lemuryjskiej Praojczyzny.

Podobnie jak przedpolinezyjskich mieszkańców dalekich Hawajów, lud Miwoche'a nazywano Mu, i – według Norbu – uważano ich za „starożytną klasę niebiańskich bóstw”, które władały wielkimi mocami duchowymi. Na czele panteonu stał bóg nieba z ewidentnie lemuryjskim imieniem dMu-bDud Kam-Po Sa-Zan. Lecz odkrycie powiązań ludu Miwoche'a z rodem ojców założycieli Tybetu potwierdza wielki wpływ, jaki cywilizatorzy z Mu wywarli na Azję Środkową. Miwoche urodził się na początku II tysiąclecia p.n.e., a więc 276 lemuryjskich lat po kataklizmie z 2193 roku p.n.e. i 289 lat przed ostateczną zagładą w 1628 roku p.n.e. Innymi słowy, żył w czasach na długo, zanim jego Praojczyzna odrodziła się po przedostatniej katastrofie, ale trzy wieki przed jej zagładą związaną ze zmianami klimatu. Ustalona data urodzin Miwoche'a jest szczególnie wiarygodna z lemuryjskiego punktu widzenia, ponieważ, w przeciwieństwie do innych tradycji o bohaterze z czasów potopu, który znajduje schronienie w obcym kraju, jego mit nie mówi o żadnej naturalnej katastrofie w czasie, kiedy samo Mu było wolne od wyjątkowych wstrząsów sejsmicznych.

Podczas tej trwającej 565 lat przerwy między katastrofami naturalnymi Lemuryjczycy szerzyli swoje oświecone mistyczne zasady w wielu obcych krajach. Miwoche był jednym z żeglujących po morzach misjonarzy i wśród oznak dyscypliny duchowej nosił coś, co do dzisiaj zapamiętano jako *dmu dag* lub *rmu thag* – lina z Mu – z której pomocą wtajemniczeni adepci latali do każdego miejsca na Ziemi lub w niebiosach. Był to rozciągający się bez końca srebrny postronek, połączony z ich splotem słonecznym, który pozwalał ludzkiej świadomości wędrować po wszechświecie bez ryzyka oddzielenia się duszy od ciała, co skończyłoby się śmiercią. Znane dzisiaj jako ciała astralne, pochodzące z Mu, rdzenni Tybetańczycy nazywali „starożytną klasą niebiańskich istot”. To ostatnie określenie wydaje się naprawdę trafne.

Miwoche opowiedział też o powstaniu ludzkości. Oświadczył, że na początku czasu bogowie, znudzeni ogromną pustką przestrzeni, stworzyli kosmiczne jajo, które w końcu pękło, dzięki wykorzystaniu własnej energii. Z żółtka bogowie stworzyli zaczątek cywilizacji, *khro ch dmu rdzong*, czyli „odlaną z żelaza twierdzą [ludu] Mu”. Potem z jaja wyszedł Sidpa Sangpo Bumtri, dorosły, boski przejaw samych bogów w ludzkiej postaci – biały mężczyzna (*dkar*, dosłownie znaczy „biały”), „król życia, obfitości, dobroci i cnoty”, według mitycznych tekstów przetłumaczonych przez Norbu. Inne jajo, świecące niebieskim światłem, pękło, odsłaniając piękną kobietę, którą Sidpa Sangpo Bumtri nazwał Koepa Chuchag Gyelmo z powodu jej skóry koloru akwamaryny. Sięgające ramię, zaplecione w siedem warkoczy niebieskie włosy kobiety Sidpa Sangpo Bumtri porównał do swoich siedmiu turkusów. Z ich związku urodzili się *srid pa pho dgu* i *srid pa mo dgu*, pierwotni ziemscy mężczyźni i kobiety, przodkowie rodzaju ludzkiego, a wśród nich Thum thum rnal med rje „Przebudzony Pan (ludu) Mu”.

Ta kosmologiczna historia to oczywisty opis narodzin nie tylko cywilizacji, lecz także wczesnej ludzkości, Mu, ludu Miwoche’a. Przypomina też najważniejszy obrzęd z Wyspy Wielkanocnej, coroczny wyścig pływacki do przybrzeżnej wysepki Mu, gdzie pierwszy mężczyzna, który wrócił z czarnym ptasim jajkiem, był przyjmowany z najwyższymi honorami. Być może ta wiosenna uroczystość upamiętniała to samo kosmiczne jajo, wspomniane w tybetańskim micie. W każdym razie to oczywiste, że Sindpa Sangpo Bumtri był Lemuryjczykiem, chociaż znaczenie słów Koepa Chuchag Gyelmo jest mniej zrozumiałe. Wyjście kobiety z niebieskiego jaja i jej akwamarynowa skóra mogą być metaforami oceanu, ponieważ lemuryjska cywilizacja rozwinęła się z bliskich kontaktów ludzi z ziemią i morzem. A może błękit jej pochodzenia i wyglądu symbolizował trzecie oko albo czakrę czoła, ośrodek energii koloru indygo kojarzony z percepcją duchowej prawdy. Mniej dwuznaczna jest identyfikacja Thum thum rnal med rje jako Przebudzonego Pana Mu, gdyż ten tytuł jest zapowiedzią Buddy, również Przebudzonego, i odnosi się do mistrza duchowego oświecenia. Ze wszystkich tych opowieści wynika, że Mu była Praojczyzną nie tylko rodzaju ludzkiego, lecz także mistycznych mocy i umiejętności.

Podczas wędrówek przez środkowy Tybet na początku lat 80. XX wieku Childress zwiedził wioskę Purna z przylegającym do urwistego klifu klasztorem Phuktal Gompa. Klasztorna biblioteka, według jednego z mnichów, zawierała informacje o Mu, nazywanych również Rutas, gdzie obowiązkowe nauczanie miało obejmować dwanaście klas, będących mniej więcej odpowiednikami współczesnej szkoły podstawowej i średniej. Lecz Trzynasta Szkoła uczyła wyjątkowo uzdolnionych ludzi ezoterycznej mądrości lemuryjskiego mistycyzmu,

umożliwiając im wejście do grona elitarnych praktyków i nauczycieli. Na długo przed ostateczną zagładą Lemurii, kontynuował mnich, wtajemniczeni mistrzowie już podróżowali do wielu innych części świata jako misjonarze-reprezentanci wysoko rozwiniętego systemu wierzeń. Wydaje się więc, że Shenrab Miwoche, Najwyższy Człowiek z klanu Shen, był jednym z wysłanników Mu.

Kiedy koniec wreszcie nastąpił, Trzynasta Szkoła nie zginęła wraz z Rutas. Jej członkowie wyemigrowali w Himalaje, gdzie mogli zachować swoją duchowość w izolacji, w idealnych warunkach na najwyższej położonych częściach łądu na Ziemi, wolnych od kataklizmów, które zniszczyły ich Praojczyznę. Lhasa, stolica Tybetu, gdzie znajdował się pałac Dalajlamy, była pierwotnie ich religijnym schronieniem. Tam lemuryjski mistycyzm – nazywany przez miejscową ludność *Boen po* – w końcu połączył się z buddyzmem w VIII wieku.

Chociaż powieści tego mnicha nie można zweryfikować, są w niej dowody, które zdają potwierdzać wiarygodność. Na przykład stwierdził on, że Trzynastą Szkołą lemuryjskiego mistycyzmu kierowali najwyżsi mistrzowie, którzy tworzyli siedmioosobową radę. Ten siedmiokrotny układ przypomina siedem warkoczy z niebieskich włosów Koepa Chuchag Gyelmo i siedem turkusów Sidpa Sangpo Bumtri. Mit o kosmicznym jaju kładzie nacisk na oba „siódemkowe” układy, podkreślając ich znaczenie. Siedem niebieskich warkoczy równało się siedmiu drogom do oświecenia – rozwadze, przestrzeganiu prawa, wysiłkowi, radości, spokojowi, koncentracji i opanowaniu. Skarby idealnego władcy – królowa (kobieca energia, to znaczy intuicja), klejnot jasnej myśli, koło (odpowiednie wykorzystanie czasu), słoń (siła woli), minister (mądrzy doradcy), generał (lojalni zwolennicy) i koń (szybkość, mobilność) – znalazły swoje odpowiedniki w siedmiu turkusach Sidpa Sangpo Bumtri. Rada Siedmiu z Rutas wydaje się częścią tego samej siedmiokrotnej symboliki.

Chociaż Lemuryjczycy wywarli w Azji najtrwalszy wpływ na Tybet, nie przeszli niepostrzeżenie przez Chiny, gdzie Tien-Mu zapamiętano jako górzysty łąd gdzieś daleko na Oceanie Spokojnym. Chociaż większą część Praojczyzny stanowiła nizina położona w pobliżu morza, co najmniej niektóre z jej archipelagów były górzyste. Nazywano ją też Chien-Mu, opisane w *Chou-li* – starożytnej chińskiej księdze obrzędów, jako miejsce, gdzie ziemia i niebo spotykały się przy kosmicznej osi. Tam czas i przestrzeń traciły znaczenie, cztery pory roku zlewały się ze sobą, pary przeciwieństw były rozdzielone, a przeciwstawne yin i yang już ze sobą nie walczyły, lecz osiągały spokój w równowadze i harmonii. Chien-Mu oznacza święty środek, nieruchomy punkt, który można osiągnąć podczas głębokiej medytacji. Sama nazwa wskazuje, że te pojęcia należy łączyć z pacyficzną Praojczyzną Mu, pierwotnym pępkiem świata, gdzie po raz pierwszy zostały ukształtowane i osiągnęły wysoki poziom duchowości.

Lemuryjską Praojczyznę starożytni Chińczycy znali pod różnymi nazwami, w tym Peng Sha. Mówiono, że duchowe moce osiągnęły tam najwyższe spełnienie, gdy czarodzieje opanowali lewitację i inne metody wykorzystania energii psychicznej.

Peng Sha rządził Mu Kung, który mieszkał w złotym pałacu obok Jeziora Klejnotów. Rosnące tam błogosławione drzewo brzoskwiniowe dostarczało owoców, z których uzyskiwano eliksir wiecznego życia. Ten sam temat ponownie pojawia się w japońskiej opowieści o Urashiro Taro. Podmorskie przygody zaprowadziły tego bohatera do zatopionego królestwa, z którego wrócił z Brzoskwinią Nieśmiertelności. W chińskim micie zatopione królestwo znane było jako Shen Chou, bardzo stare imperium, poprzedzające stworzenie samych Chin. Zanim Shen Chou zniknęło pod powierzchnią Oceanu Spokojnego, bogini miłosierdzia, Xi Wang Mu, zabrała Drzewo Nieśmiertelności do swojego baśniowego pałacu wśród dalekich szczytów w górach K'un-lun. Tam hoduje je dla bogów i tylko dla najcnotliwszych ludzi. W czasie P'an-t'ao Hui, czyli Święta Brzoskwini, wybrańcy osiągają nieśmiertelność, jedząc błogosławiony owoc. Shen Chou to oczywiście chińskie wspomnienie o zaginionej pacyficznej cywilizacji, co podkreśla zarówno imię bogini, Xi Wang Mu, jak i Drzewo Życia ze świętymi brzoskwiniami. W londyńskim Muzeum Wiktorii i Alberta znajduje się porcelanowy półmisek, ozdobiony rysunkami na początku XVIII wieku, za rządów Yong Zhenga. Przedstawiono tam Xi Wang Mu i jej śmiertelną służebną prowadzoną przez bogów szczęścia (Fuxing), długiego życia (Shoulao) i bogactwa (Luxing). Obie opuszczają Shen Chou, które przedstawiono jako wspaniałą świątynię, tonącą w morzu. Lemuryjskie implikacje tych mitycznych motywów są oczywiste.

Zajmujący się chronologią Neil Zimmerer pisze, że Mu King „stworzył specjalną grupę ośmiu ludzi, którym dano owoce z Drzewa Życia. Byli oni znani jako »nieśmiertelni«”. Według Churchwarda, Drzewo Życia, znak nieśmiertelności, było głównym symbolem Lemurii. Fu Sang Mu wyobrażano sobie jako kolosalną morwę rosnącą nad gorącą „sadzawką” (morzem) w rajku daleko poza oceanem, na wschodzie. Sama ziemia była gorąca. Aż dziewięć słońc przysiadło na niższych gałęziach Fu Sang Mu. Białe kobiety, słynące z pięknych, długich włosów pielęgnowały *li chih*, czyli zioło nieśmiertelności, w ogrodzie w centrum tej wyspy. Mówiono, że klimat Lemurii był bardzo gorący. Di-Mu to mityczna chińska Matka Ziemia, która dała życie wszystkim żywym istotom przy narodzinach czasu, tak jak Lemuria znana była jako Praojczyzna, ponieważ uważano ją za miejsce narodzin ludzkości. Temat ludzkich początków w zaginionym oceanicznym królestwie wielokrotnie powtarza się w wielu okołopacyficznych kulturach, na przykład w chińskiej opowieści

o Lao-T'ien-Yeh. Ten „Niebiański Mistrz Pierwszego Pochodzenia” spłodził pierwszego chłopca i dziewczynkę, według mitycznej opowieści trafnie zatytułowanej *Cesarz Mu*.

Naturalne katastrofy, które nękały Praojczyznę i z czasem ją zniszczyły, zostały drastycznie udokumentowane w starożytnych Chinach. W cesarskiej bibliotece była kolosalna encyklopedia, która obejmowała całą wiedzę ludzkości, od starożytności do XIV wieku, kiedy nadal ją uzupełniano. Ten liczący 4320 tomów komplet zawierał informację o czasie, kiedy Niebiański Cesarz Tien Ti spróbował zetrzeć z powierzchni Ziemi grzeszną ludzkość. Rozkazał She-Mu, Niszczycielowi Życia, porazić świat niebiańskim kataklizmem: „Planety zmieniły swój bieg, Ziemia rozpadła się na kawałki, a wody na jej łonie ruszyły gwałtownie w górę i zalały Ziemię”. Inny bóg, Yeu, litując się nad tonącymi ludźmi, sprawił, że gigantyczny żółw powstał z dna oceanu, a następnie zamienił go w nowy ład. Co niezwykle, ta wersja jest identyczna z mitem o stworzeniu powtarzanym przez niemal każde plemię na północ na Rio Grande. Rdzenni Amerykanie prawie powszechnie nazywają swój kontynent Wyspą Żółwia, od gigantycznego żółwia, którego Wielki Duch podniósł z dna morza, aby uratować ich przed potopem.

Inny chiński tekst wyjaśnia, jak „słupy podtrzymujące niebo zawaliły się, a łańcuchy, na których zawieszona była Ziemia, popękały na kawałki. Słońce, Księżyc i gwiazdy pomknęły na południowy wschód, gdzie zatonąła Ziemia. Wybuchł wielki pożar. Potop szalał”. *Shan Hai Ching* opowiada o prehistorycznej katastrofie, która nastąpiła, gdy niebo nagle się pochyliło, sprawiając, iż Ziemia przechyliła się w przeciwnym kierunku. Wynikły z tego potop posłał wielkie królestwo na dno oceanu. Jednym z wielu opisowych określeń tego królestwa było Pu Chou Shan, „Niedoskonała Góra”. Inny mit opowiada, że gdy pierwotna bogini Nu Kua Shih stworzyła ludzkość, pracowała z mężczyznami i z kobietami, aby zbudować pierwsze królestwo w Pu Chou Shan, skąd złoty wiek wielkości rozprzestrzenił się na całą Ziemię. Wiele lat później, inny boski władca z zazdrości spróbował ją obalić. Podczas walki w niebiosach, przeciwnik Nua uderzył ognistą głową w Niedoskonałą Górę. Góra zwała się do morza, wywołując Wielki Potop, który zniszczył cywilizację i większość ludzkości.

Nie można określić, które z kilku naturalnych kataklizmów, jakie nękały Lemurię, są opisane w tych kronikach. Lecz te katastrofy pozostawiły blizny w historii Chin. Paleolit, czyli starsza epoka kamienna, skończył się nagle 12 000 lat temu, właśnie wtedy, gdy Mu zostało roztrzaskane, a większość jego terytorium zatонуła podczas wyjątkowo gwałtownego okresu geologicznego, znanego jako interstadium Boellinga, przed końcem ostatniej epoki lodowcowej.

Prastary mit przypisuje pierwszą cywilizację chińską cesarzowi Fu Xi, którego przybycie zza mórz miał poprzedzić Wielki Potop, tradycyjnie datowany na 2950 rok p.n.e. To mniej więcej odpowiada dacie największej znanej globalnej katastrofy, która zdarzyła się około 3100 roku p.n.e., co zostało przeanalizowane w rozdziale 12. W języku archeologów kultury neolityczne Yangshao i Hongshan nagle przestały istnieć po 2000 lat. Zastąpiła je znaczne bardziej zaawansowana kultura państwa Liangzhu, które wprowadziło urbanistykę i zorganizowane rolnictwo. Godny uwagi jest fakt, że wtedy po raz pierwszy rozpoczęto uprawę orzeszków ziemnych. Orzeszki ziemne nie pochodzą z Azji i mogły tam dotrzeć tylko z Ameryki. Wskazuje to, że przybywający do Chin Lemuryjczycy już zdążyli nawiązać ważne kontakty po drugiej stronie Pacyfiku.

Liangzhu zostało opuszczone, a dynastia Xia zniknęła pod koniec III tysiąclecia p.n.e. To musiało mieć związek z lemuryjską katastrofą. Caroli uważa, że chińska opowieść o dziesięciu „słońcach” spadających z nieba to mityczny obraz katastrofy związanej z ogromną kometą. Cesarz Shun zobaczył te słońca, gdy miał wstąpić na tron, i był świadkiem uderzenia wielkiego meteoru o Ziemię, po czym nastąpił niszczycielski potop. „Cały świat był zatopiony”, napisał, „i cały świat był bezmiernym oceanem. Ludzie pływali na zdradzieckich wodach, szukając jaskiń i drzew na wysokich górach. Zbiory uległy zniszczeniu, a ocalali ludzie rywalizowali z dzikimi ptakami o miejsca do życia. Tysiące umierały każdego dnia”. Te katastrofalne wydarzenia nastąpiły około 2240 roku p.n.e., co w przybliżeniu odpowiada przedostatniemu lemuryjskiemu kataklizmowi. Najwcześniejsza faza chińskiej cywilizacji, udokumentowana przez archeologów, powstała około 70 lat po ostatecznej zagładzie Praojczyzny. Nagłe pojawienie się wyrafinowanej, znającej obróbkę brązu dynastii Shang na równinie Żółtej Rzeki sugeruje, iż było to mieszane potomstwo rdzennych Azjatów i uciekinierów z Mu.

Ta sama starożytna imigracja została uwieczniona w Tajlandii wraz z unikatową pamiątką z zaginionej ojczyzny. Znany również w Laosie mit o potopie opowiada, jak dawno temu pewien półboski lud mieszkał na dalekiej wyspie, słynącej z bogactwa i chwały, aż niebiańskie moce zagroziły mu globalnym potopem. Trzech mędrców zdołało usunąć główną kolumnę z najważniejszej świątyni i zabrać ją na statek, zanim szybko przybierające wody pochłonęły całą wyspę. Płynąc przez wiele dni w stronę zachodzącego słońca, dotarli w końcu do wybrzeży Azji Południowo-Wschodniej. Tam postawili kolumnę i nazwali ją od miana zatopionego królestwa: Lak Mu-ang, czyli święty kamień z Mu. Wokół kolumny zbudowali nowe królestwo, Ayodhya – wspaniałe dzieło miejscowej siły roboczej, kierowanej przez przybyłych z daleka geniuszy. Podczas trwającej wieki późniejszej imperialnej ekspansji, po których nastąpiły wojny

i inwazje, miasto zostało złupione, a jego relikwia wywieziona, i znowu ocalona od natychmiastowego zniszczenia.

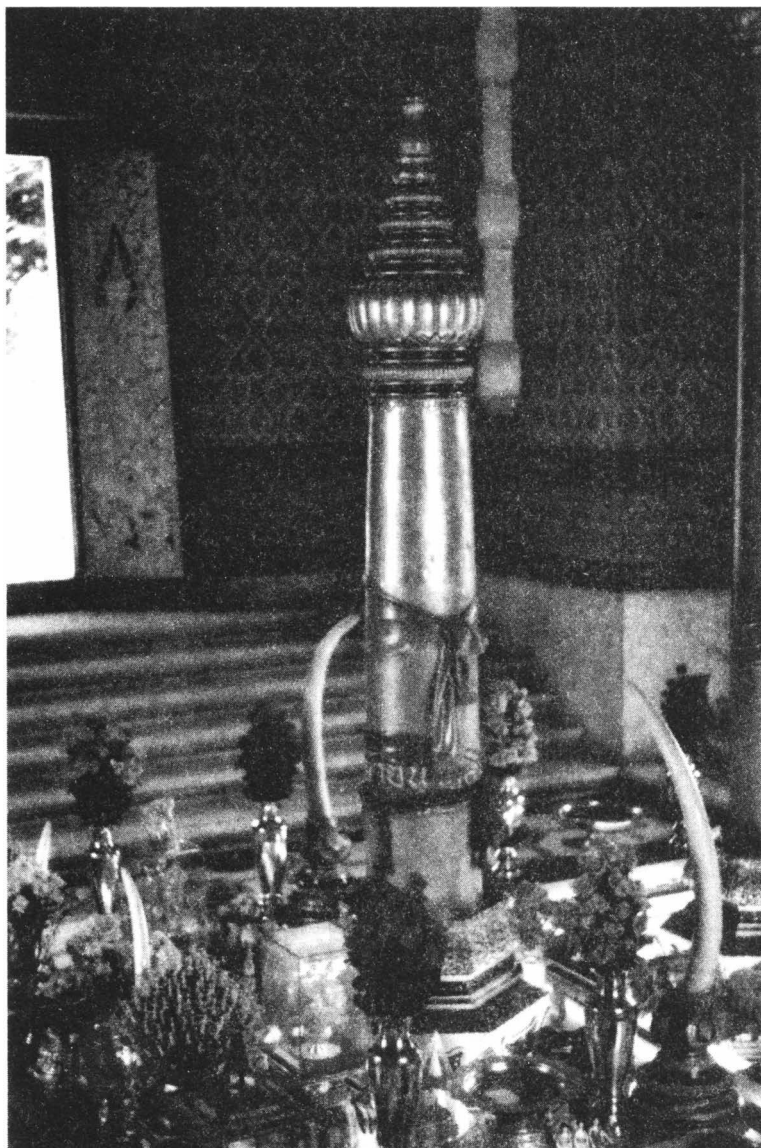
W 1782 roku król Rama I ustawił Lak Mu-ang dokładnie w środku nowej Ayodhya, jednej z kilku po zniszczeniu pierwszej stolicy. Wywodził on swoje pochodzenie od trzech bohaterów z potopu, którzy dotarli do Azji Południowo-Wschodniej. Lecz nawet ten szacowny rodowód nie mógł powstrzymać wrogów, którzy w końcu zamienili miasto w perzynę, zrabowali świętą kolumnę, której już nikt nigdy nie zobaczył. Rama VI zastąpił ją wierną repliką i umieścił w specjalnie zbudowanej świątyni w centrum Bangkoku.

Duplikat Lak Mu-angu został ozdobiony złotą folią (na pamiątkę starożytnej solarnej religii Praojczyzny) i jest otaczany cennymi darami (przeważnie kłami słoniowymi i złotymi misami z kwiatami) przez wszystkich, którzy chcą złożyć hołd Kolumnie [Zaginionego] Miasta. Budynek, gdzie stoi kolumna, ozdobiono symbolami i obrazami związanymi z zatopioną ojczyzną. Są tam więc stylizowane swastyki i sceny z tropikalnej wyspy, co sugeruje, iż jest to sama Lemuria. Świątynia Lak Mu-ang jest wymyślnie udekorowanym pawilonem z drzwiami intarsjowanymi złotem i stoi, nietypowo, poniżej poziomu gruntu, jakby na zatopionym dziedzińcu. Sugeruje to podmorskie położenie królestwa, z którego kolumna w jej wnętrzu została ocalona. Nazwa królestwa pojawia się w innych ważnych zabytkach w Tajlandii: Mu-ang Fa Daet, Ban Mu-an Fai, Mu-ang semay i Mu-ang Bon, gdzie imigranci z zaginionej cywilizacji umieścili oryginał świętego kamienia z Mu.

Cześć dla utraconej Praojczyzny przetrwała nie tylko w tym najświętszym zabytku Tajlandii. Co roku w noc listopadowej pełni księżyca tysiące uczestników ceremonii gromadzi się na brzegu oceanu, aby wysłać w morze ogromne armady modeli statków z wysuszonych liści bananów. Każdy ozdobiony kwiatami *krathong* wiezie świecę wotywną i płynąc po oceanie, ciągnie za sobą zapach kadzidła, w hołdzie dla Suvarnamachy, królowej morza oraz duchów przodków. Przodkowie dzisiejszych Tajlandczyków utonęli dawno temu, gdy bogini Suvarnamacha zatopiła ich wspaniałe królestwo. Uroczystość Loi Krathong przypomina japońskie nocne święto Bon Odori z jego własnymi flotyllami stateczków z zapalonymi świecami. Małe statki płyną w kierunku zatopionego królestwa. Obie doroczne ceremonie są trochę podobne do rzymskich lemuraliów, które obchodzono, aby ułagodzić niespokojne duchy zmarłych, ofiar Wielkiego Potopu.

Tajski mit i uroczystość wspaniale potwierdzają dowody materialne, które zostały przypadkowo odkryte w połowie XX wieku przez amerykańskiego studenta college'u, Stephena Younga. To kolejne dowody rozbijające w puch dotychczasowe schematy naukowe. Do chwili, gdy ten syn byłego ambasadora

USA w Tajlandii potknął się o wystający korzeń i upadł w pobliżu rolniczego miasteczka Ban Chiang, archeologiczny dogmat czynił z tej części świata kulturową pustynię, gdzie technika wyrobu brązu została po raz pierwszy przywieziona z Chin nie wcześniej niż w 800 roku p.n.e., a ludzie długo pozostawali na dość niskim poziomie rozwoju cywilizacyjnego. Ale Young po upadku zauważył



Lak Mu-ang, najświętszy pomnik w Tajlandii,
który upamiętnia utraconą Praojczyznę.

wystające z ziemi odłamki niezwykle atrakcyjnej ceramiki. Posłał je do Muzeum Stanowego Uniwersytetu Pensylwania w Filadelfii, do wypróbowania nowej metody datowania, dozymetrii termoluminescencyjnej, specjalnie opracowanej do analiz ceramiki, i wysoko cenionej za dokładność. Analiza ujawniła, że odłamki mają 6000 lat, czyli naczynia wykonano 500 lat przed narodzinami



Malowana scena na glinianym naczyniu w świątyni Lak Mu-ang w Bangkoku przedstawia lemuryjskie motywy.

kultur miejskich w Mezopotamii, gdzie rzekomo powstała pierwsza cywilizacja na świecie. Nie chcąc zaakceptować nawet danych termoluminescencyjnych, dyrektor muzeum, Froelich Rainey, wysłał próbki Younga do sprawdzenia na Uniwersytet Oksfordzki. Rezultaty były identyczne.

W tym samym czasie Wilhelm Solheim z Uniwersytetu Hawajskiego wykopał w pobliżu Ban Chiang w Nan Nok That brązowe głowice toporów. Znalazł też zwęglone kawałki ogórków, butle z tykw, pieprz i kotewki, orzechy wodne oraz inne dowody na istnienie rolnictwa 2000 lat przed początkiem uprawy ziemi w Mezopotamii. Wykopano też ceramikę o 3300 lat starszą i doskonalszą niż cokolwiek, co wydobyto w rejonie Mezopotamii. Oprócz rozwiniętej metalurgii, rolnictwa i wyrobu ceramiki tajska produkcja jedwabiu była w pełni rozkwitu na całe wieki, zanim rozpoczęła się w Chinach.

Ale pierwsze prawdziwe badania stanowiska archeologicznego w pobliżu Ban Chiang podjęto dopiero w 1974 roku, kiedy podczas wspólnych wykopaliśk kierowanych przez Chestera Gormana z Muzeum Uniwersyteckiego w Filadelfii i Pisita Charoenwongsa, kustosa z Muzeum Narodowego w Bangkoku, przekopano wzniesione ludzką ręką wzgórze wysokie na 1,8 metra i półtora kilometra terenu wokół niego. Przez następnych pięć lat znaleziono tam 18 ton artefaktów, czyli ponad 30 000 waz, zrecznie wykonanych wyrobów z brązu i żelaza 5600 lat temu. W najniższej i najstarszej warstwie archeolodzy odkryli pięknie zrobiony grot włóczni, datowany na rok 3600 p.n.e., najstarszy znany wyrób z brązu na świecie.

Ponad 400 naczyń wydobytych ze sztucznego wzgórza odznacza się zdumiewającą różnorodnością kształtów, ozdób, kolorów i wielkości, co świadczy o tym, że ludność ceniła sztuki. Ze 126 nietkniętych szkieletów, które tam odkryto, wiele nosiło biżuterię z brązu; jeden miał brązowe pierścienie na palcach rąk i nóg. Były tam dzwonki, bransolety, broń, narzędzia i ozdoby – wszystkie z brązu, na wiele stuleci wcześniej, zanim technika łączenia miedzi, cynku i cyny w odpowiednich proporcjach narodziła się na Bliskim Wschodzie. W swojej epoce odkrycie obróbki brązu było porównywalne z wynalezieniem metody rozszczepienia atomu. Brąz przewyższał bowiem kamień i inne metale, których wcześniej używano. Wśród wyrobów z brązu znaleziono narzędzie rolnicze do zbioru ryżu, w którego produkcji prehistoryczna Tajlandia znowu była pierwsza na świecie. Odkryto tam również kości udomowionych zwierząt, łącznie z bawołem, świniami, kurami i psami.

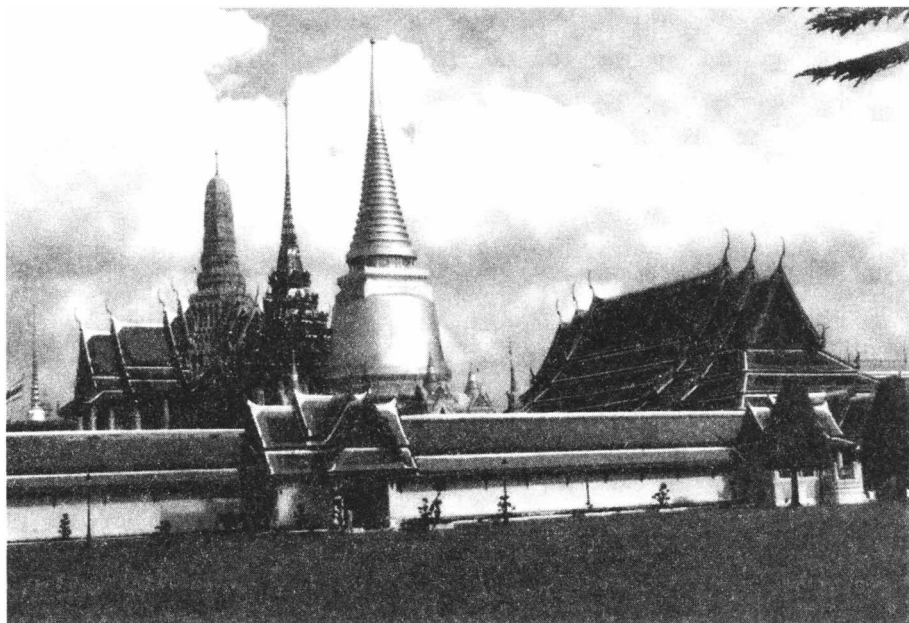
Ale kim byli ci starożytni cywilizatorzy z Ban Chiang? Mogli być bezpośrednimi potomkami ludzi, których kości archeolodzy znaleźli w najdalej wysuniętym na północ zakątku Tajlandii, w miejscu znanym jako Jaskinia Duchów, po raz pierwszy wykorzystana jako obóz myśliwych 12 000 lat temu. Jej

mieszkańcy byli wysokimi, muskularnymi cudzoziemcami, fizycznie różniącymi się od miejscowej ludności. Według antropologa Michaela Pietruszewsky'ego z Uniwersytetu Hawajskiego: „Oni wyraźnie nie wyglądają na blisko spokrewnionych z dzisiejszą populacją Azji Południowo-Wschodniej, nie mieli też wielu cech mongoloidalnych”. Badacz dodał też, że szczątki szkieletów bardziej wskazują na Polinezyjczyków niż jakąkolwiek inną grupę rasową.

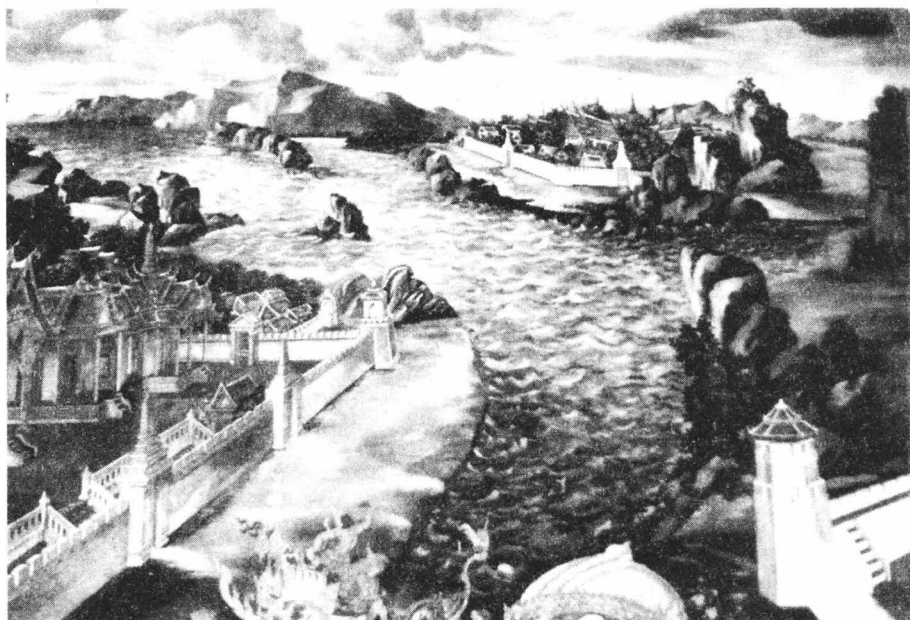
Przybysze celowo wybrali okolice Ban Chiang na osadę, ponieważ, jak pisze uczony Ronald Schiller, „mieszkali w jednym z niewielu miejsc na Ziemi, gdzie jest bardzo dużo miedzi i cyny”. Innymi słowy, znali już obróbkę metali przed przybyciem do Azji. Stworzenie grotu włócznie z IV tysiąclecia p.n.e., znalezione w pobliżu Ban Chiang, poprzedziły setki lat pracy w brązie. Duża liczba muszli morskich, odkryta w tym kurhanie, nie tylko wskazuje na istnienie handlu wzdłuż wybrzeża, lecz także mówi o umiejętnościach żeglarskich. Wszystko, co wiadomo o tych nietypowych ludziach, sugeruje, że mieli już rozwiniętą cywilizację, zanim znaleźli się w Azji Południowo-Wschodniej, ponieważ nie natrafiono na żadne ślady jej wcześniejszego rozwoju. Uporządkowane cmentarze, wyrób tkanin i sztuka projektowania, to część wyrafinowanej kultury, daleko wyprzedzającej ówczesne lokalne społeczności.

Jak dotąd, Ban Chiang to tylko jeden z około 300 tamtejszych kurhanów, który został zbadany. Wykopaliska w pozostałych kopcach mogą ujawnić najlepsze dowody materialne o pobycie lemuryjskich cywilizatorów w Tajlandii. Okres powstania Jaskini Duchów – 12 000 lat temu – mniej więcej zbiega się w czasie z pierwszymi wielkimi migracjami po katastrofie, która nawiedziła Praojczyznę. Podkreśla to fizyczne podobieństwo jej mieszkańców do Polinezyjczyków. Obróbka brązu nie zaczęła się w Azji Południowo-Wschodniej, ale przywieźli ją żeglarze z jakiejś zewnętrznej kultury, gdzie metalurgia, tkactwo, garncarstwo i inne umiejętności najwidoczniej przeszły długą ewolucję przed pojawieniem się w Ban Chiang. Wydaje się więc, że katastrofalne podniesienie się poziomu morza pod koniec epoki lodowcowej zmusiło niektórych Lemuryjczyków do poszukania wyżej położonych terenów po drugiej stronie oceanu. Tylko taki wniosek dobrze wyjaśnia występowanie wysoko rozwiniętej cywilizacji na terenie otoczonym kulturową pustynią.

Lak Mu-ang z Bangkoku nie jest jedynym azjatyckim pomnikiem upamiętniającym zaginioną Praojczyznę. Współczesne japońskie Muzeum Mu jest unikatowe na świecie, o tak dziwnym pochodzeniu, jak zaginione królestwo, które ukazuje. Wszystko zaczęło się pewnego dnia tuż po zakończeniu II wojny światowej w umyśle Reikiyo Umemoto. Kiedy ten młody mnich był pogrążony w głębokiej medytacji na brzegu morza, doświadczył wizji, która zmieniła jego życie. Zobaczył wielką panoramę lemuryjskiej historii i duchowości, która



Tradycyjna architektura sakralna Wat Phra Keo w Bangkoku naśladuje świętą Praojczyznę, rządzoną przez boginię Suvarnamachę na dnie morza.



Fragment fresku w świątyni Wat Phra Keo w Bangkoku przedstawia starożytny potop, który zalał Praojczyznę.

obejmowała wiele tysięcy lat. Wewnętrznymi oczyma zobaczył miejsce narodzin ludzkości, powstanie wczesnej cywilizacji, jej rozkwit na całym świecie, ostateczne unicestwienie i los ocalałych Lemuryjczyków na Pacyfiku. Otrzymał też pożegnalny dar – wielką mądrość Trzynastej Szkoły Mu. Po jego wizji, zapomniany lemuryjski kult misteryjny został ponownie zarejestrowany jako „Wielka Równość Świata” w prefekturze w Hiroszynie, gdzie Reikiyo Umemoto podzielił się ezoterycznymi zasadami tej religii z nielicznymi wtajemniczonymi.

Jeden z wtajemniczonych zdołał nakłonić kilku bogatych sponsorów do ofiarowania funduszy na budowę świątyni-muzeum na powierzchni 6 hektarów. Otaczający świątynię teren miał odzwierciedlać świętą architekturę i ceremonialny krajobraz Lemurii, ujawniony w wizji Umemoto, najlepiej jak to tylko możliwe. W 1976 roku, czerwono-biały kompleks świątynny, ozdobiony posągami słoni i freskami naturalnej wielkości został ukończony. Lokalizację wybrano w prefekturze Kagoshima z powodu jej dużego podobieństwa do lemuryjskiej topografii – teren posiadał właściwości wspomagające ludzką duchowość. W tym dużym budynku z profesjonalnym personelem jest nowoczesne laboratorium badawcze i muzealna wystawa autentycznych artefaktów i ich wysokiej jakości kopii oraz rekonstrukcji. To jedyna taka kolekcja na Ziemi. Chociaż w obrzędach religijnych w świątyni mogą brać udział tylko wtajemniczeni, sale z artefaktami są otwarte dla publiczności. Reikiyo Umemoto żył dostatecznie długo, aby zobaczyć na jawie swoją powojenną wizję Lemurii, zanim zmarł w 2002 roku w wieku 99 lat.

Chociaż Muzeum Mu jest najbardziej nowoczesnym pomnikiem starożytnej Praojczyzny, nie jest jedynym w Japonii. Chikubujima to świątynia bogini Benten lub Benzaiten, mitycznej wyidealizowanej personifikacji cywilizatorów, którzy przynieśli swoje dziedzictwo do Japonii zza morza. Lokalizacja tej świątyni na wybrzeżu Biwa-ko, czyli jeziora Biwa, w pobliżu Kyoto, nie ma wyłącznie legendarnych podstaw. Na jego brzegach znajdowane są najwcześniejsze materialne dowody osadnictwa na wyspach japońskich, co sugeruje pierwsze przybycie Lemuryjczyków do Japonii.

Kiedy polityczna i duchowa stolica kraju została przeniesiona do Tokio w XVII wieku, ówczesni japońscy przywódcy postanowili stworzyć własną wersję Chikubujima w przesmyku Zatoki Tokijskiej. Od tamtej pory przesmyk nosi nazwę Shinobazu.

Jest to sztuczna wyspa, umieszczona na środku dużego stawu, okolonego trzcinami, gdzie zamieszkują różne gatunki ptaków wodnych. Wysepkę z lądem łączą drogi na grobli na podobieństwo oryginalnego przybytku. Obie świątynie przedstawiają ojczyznę, z której odpłynęli Benzaiten, co jest wyraźną aluzją do Mu. Mu symbolizują posągi ryb i emblematy z trzema piramidami w morzu lub

pojedyncza, rozpadająca się piramida, pochłonięta przez wysokie fale. Podobna scena znajduje się na murach Pałacu Gubernatora w Chan Chan, preinkaskim megalopolis na północnym wybrzeżu Peru.

Lemuryjskie cechy występują w mitie o Benzaiten jako bogini cywilizacji, która przyniosła dary muzyki, wymowy, sztuk pięknych i sztuki żeglarskiej na pokładzie wielkiego statku „ze skarbami” z Horaizan, zanim to wspaniałe królestwo pograżyło się w morzu. Nazwa królestwa pochodzi od najwyższej góry na wyspie, Horai, na której szczycie rośnie Drzewo Życia, symbol Praojczyzny. Podobnie jak Benzaiten, chińska bogini Xi Wang Mu miała Drzewo Życia. Jego owoce – tu brzoskwinie – zapewniały nieśmiertelność każdemu, kto ich skosztował. Alegoryczne „owoce” wiedzy odnoszą się do zrozumienia *kundalini*, wewnętrznej energii psychicznej, która może dodać nam mocy duchowej, kiedy ruchem spiralnym porusza się w górę kręgosłupa, prawdziwego „drzewa życia”. Elementy tej pierwotnej lemuryjskiej koncepcji znajdują odzwierciedlenie w biblijnym obrazie raju, z drzewami wiedzy i życia.

Drzewo Życia napotykamy też w ustnej tradycji przedazjatyckich mieszkańców Japonii, Ajnów. Ich najstarsza opowieść o stworzeniu mówi o Chikisani-kamui, która przyjęła postać wiązu, pierwszego drzewa. Z gałęzi wiązu powstały różne ludzkie rasy. Dziećmi Chikisani-kamui byli Aeoina-kamui i Pa-kor-ka-



Muzeum Mu, Kagoshima.

mui, z których kazirodczego związku narodził się wszechświat. Dominującym bóstwem wszechświata była Chuh Kamuy, bogini słońca, która przyniosła ciepło i światło zimnemu, ciemnemu światu. Sama Ziemia stała się ciałem Kamu-muimusubi, bogini matki, która urodziła Kamui-fuchi, najwyższą przodkinię ludu Ajnów. Wszystkie imiona tych najważniejszych bóstw są odmianą nazwy zaginionej Praojczyzny Mu.

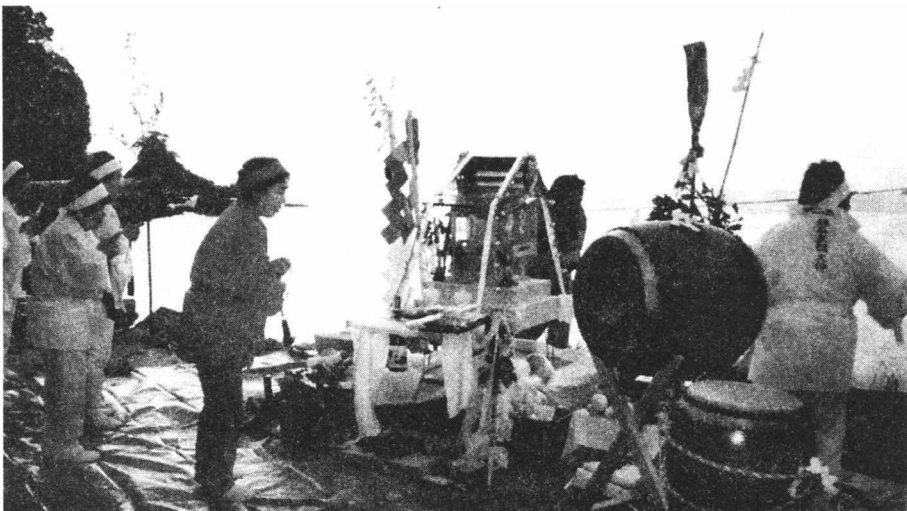
Dzisiejsi Ajnowie to mieszanina rasowo potomkowie białej populacji, tak dokładnie opisanej przez tubylcze ludy na całym Pacyfiku. Są współczesnymi reprezentantami zaginionej rasy, która pojawia się też w liczących 9000 lat szczątkach szkieletu znalezionej w stanie Waszyngton (tak zwany człowiek z Kennewick), nietypowo brodatych Indian Haida z wybrzeża Kolumbii Brytyjskiej, i która pozostawiła ślady swojego DNA w części wysp Polinezji. Wielki brytyjski antropolog Edgerton Sykes napisał, że Ajnowie „reprezentują kompleks rasowy całkowicie różny zarówno od japońskiego, jak i chińskiego i jako tacy, prawdopodobnie byli pozostałością populacji z najdalej położonej na północy kultury [Wysp Japońskich] z okresu katastrofy”. Uzupełniając jego wnioski, Ajnowie przypominają sobie czas, kiedy morze nagle uniosło się nad ziemią, topiąc większość ludzi. Tylko niewielu przeżyło, gdyż wdrapali się na szczyty gór.

Sykes napisał również o ich bohaterze z czasów potopu, Okikurumi-Kami, który uciekł przed potopem w *shintā*, czyli „latającej kołysce”, i dotarł do Haiopra na północnej japońskiej wyspie Hokkaido. Czy ten mit był wspomnieniem innej lemuryjskiej supertechniki, jak ta, dzięki której kontrolowano pogodę w Nan Madol? O dziwo, słowo *shintā* tylko jedną literą różni się od Shinto, nazwy japońskiej przedbuddyjskiej religii, praktykowanej przez Ajnów przed przybyciem chińsko-koreańskich imigrantów w połowie VIII wieku. Podobnie jak tybetański mistycyzm *bon* i Trzynasta Szkoła z Mu, od której się wywodził, Shinto jest animistycznym kultem natury, szacunkiem dla życia we wszelkich postaciach i uznaniem *kami*, czyli duszy we wszystkim. Sykes pisze: „(...) Shinto nie tylko jest słowem Ajnu, ale, co więcej, wydaje się, iż była to religia Ajnów przed przybyciem Japończyków. Słowa „bóg”, „modlitwa” i „ofiara” są identyczne w obu językach i prawdopodobnie to Japończycy przejęli je od Ajnów po osiedleniu się na wyspach”. Profesor Yoshida dodaje, że „większość starych japońskich słów wywodzi się z języka Ajnów”.

Lecz Ajnowie nie są jedynymi mieszkańcami Japonii, pamiętającymi globalny potop, który zagnał ich przodków do tego kraju w zamierzchłej przeszłości. Lud Ama to mało znane, liczebnie niewiele znaczące plemię. Jego członkowie wierzą, że są potomkami cudzoziemców z wysoko rozwiniętej zamorskiej cywilizacji. Owi przybysze głosili solarną religię i jeden z jej symboli,

wschodzące słońce, stał się godłem Japonii. Oznaczał też kierunek, z którego przyплыnęli – wschodni Pacyfik. Ich wyspiarskie królestwo, Nirai-Kanai, w końcu pochłoniął Wielki Potop i leży ono teraz na dnie środkowej części Oceanu Spokojnego. Dla upamiętnienia tych wydarzeń plemię Ama nadal urządza coroczną ceremonię na wschodnich wybrzeżach Japonii, na początku kwietnia lub października. O świcie celebranci gromadzą się na plaży, zwracając twarze na wschód, i modlą się za dusze swoich przodków. Po oczyszczeniu się morską wodą wyznaczony przywódca wchodzi do oceanu aż po szyję, trzymając w rękę gałązkę. Stoi chwilę, po czym odwraca twarz w stronę brzegu. Kiedy wychodzi z morza, wita go dzikie bicie w bębny i radosny śpiew, jak gdyby przeżył straszną katastrofę. Gałąź, którą niesie, to oczywiście odniesienie do Lemurii jako Drzewa Życia.

Związany z tym motywem japoński mit opisuje Sagarę, boga smoka podmorskiego królestwa, który posiada „perłę” mogącą wywołać katastrofalne powodzie. Władza też magiczną bronią. Miecz Kusanagi przechodził z rąk do rąk różnych członków rodu królewskiego Japonii, którym przynosił zwycięstwo, ale w końcu został zwrócony prawowitemu właścicielowi. Od tamtej pory Japończycy nie zawsze wychodzili zwycięsko z wojen. Być może Kusanagi to mityczny symbol zapomnianego technicznego dziedzictwa z zatopionej Prao-czyny.



W odprawianym o świcie rytuale ku czci boga słońca, który był głównym bóstwem w Mu, celebranci z plemienia Ama czczą przybycie swoich lemuryjskich przodków na wschodnie wybrzeża Japonii.

Chociaż z czasem proces mitologizacji historii przekształcił przybyłych do późniejszej Japonii przedpotopowych cywilizatorów w morskich bogów, coś z ich lemuryjskich korzeni nadal trwa w dzisiejszym kulcie Mu-nakata-No-Kami, czczonych przez wtajemniczonych z sekty Jingu-Kogo, jako pierwszych mieszkańców Japonii po potopie. Ich główne sanktuaria w Osace, Sumiyoshi Taisha i Munnakata-Taisha rzekomo przechowują zapisane opowieści o Mu-nakata-No-Kami, wyprzedzające oficjalną historię Japonii o wiele stuleci.

Chociaż dzisiaj plemię Ama mieszka głównie na obszarze wokół zatoki Saheki w prefekturze Ohita, ich najstarsze znane osady znajdowały się na niektórych z najwcześniejszych miejsc zasiedlenia w Japonii: Minami Amabe-gun (prefektura Ohita), Amabe-cho (prefektura Tokushima), Kaishi-cho w Sado (prefektura Niigata) oraz Itomon-cho (prefektura Okinawa). Te miejsca są również strefami archeologicznymi, w których rozkwitała kultura Jomon. Ich pojawienie się oznaczało szybkie zerwanie z kulturą japońskiego paleolitu, czyli starszej epoki kamiennej, poprzez wprowadzenie najwcześniejszej na świecie ceramiki, planowania przestrzennego i głębinowych połowów morskich. Wynalazek harpuna z kołkiem, zaawansowanej broni do łowów na morskie ssaki, dowodzi, że znali oni dalekie podróże. Kamienne kręgi z północnej części wyspy Honsiu w Komakino Iseki i w Oyu dowodzą, że archeoastronomia kwitła w starożytnej Japonii. Lecz te stanowiska wcale nie są unikatowe, ponieważ w całym kraju



Mężczyzna niesie gałąź na pamiątkę Drzewa Życia w corocznej ceremonii ludu Ama, upamiętniającej przybycie ocalałych Lemuryjczyków do Japonii.

występują różne monolity, z których wiele swoim ustawieniem wskazuje ważne zjawiska na niebie.

Niezwykły przykład takich „astronomicznych monolitów” odkryto wśród gęstego listowia, na szczycie stromego wzgórza w pobliżu północno-zachodniego miasta Nabeyama pod koniec lat 90. XX wieku. Ukazujące oczywiste,



Na obrazie z końca XIX wieku księżniczka z Oahu trzyma gałąź symbolizującą święte drzewo, czczone przez jej przodków na Hiva, zatopionej ojczyźnie Hawajczyków.

choć wyblakłe, symbole solarne na zwróconych ku wschodowi bokach, dwa bliźniacze, wysokie na 2,4 metra menhiry, są oddzielone wąską szczeliną. Wymierzono ją tak dokładnie, że promienie słoneczne wpadają w nią na krótko co roku, rankiem w dzień każdego letniego przesilenia.

Ta orientacja menhirów dowiodła, że nieznani neolityczni astronomowie wywarli trwałe wpływy na późniejszą historię Japonii, ponieważ nawet dzisiaj dzień letniego przesilenia jest czczony w całym kraju. Bonmatsuri, to uroczystość na cześć zmarłych, którzy, zanim trafią do nieba, muszą przejść przez rzekę Sanzu no Kawa. Aby to zrobić, muszą zapłacić widmowemu przewoźnikowi za drogę, dlatego krewni zmarłych nadal nakładają im na szyję woreczek z kilkoma monetami. Uderzające podobieństwo tego tradycyjnego japońskiego zwyczaju do starogreckiej praktyki grzebania zmarłych z monetami dla przewoźnika na brzegach Styksu łączy się z megalitami z Nabeyama, na których uroczystość Bonmatsuri nadal się odbywa (megality są ustawione dla upamiętnienia dnia letniego przesilenia). W tym kontekście przypomina się Euhemerus, grecki filozof, który twierdził, że zwiedził pozostałości podobnego do Lemurii królestwa pod koniec IV wieku p.n.e.



Japońskie bliźniacze megality z Nabeyama były precyzyjnie zorientowane na wschód słońca w dniu letniego przesilenia przez lemuryjskich kapłanów astronomów (fot. Hideyuku Suzuki).

Wspólne funkcje astronomiczne i podobieństwo tych konstrukcji do zagranicznych odpowiedników, takich jak brytyjskie Stonehenge i francuski Karnac, dowodzą, że sekret budowy megalitów rozprzestrzenił się z pacyficznej Praoicyzny do Europy Zachodniej ponad 6000 i więcej lat temu. Dodatkowy materialny dowód wskazuje, że Lemuryjczycy podróżowali do Ameryki Południowej w przeciwnym kierunku: otóż Betty Meggers z Departamentu Antropologii National Museum of Natural History, Smithsonian Institution (Narodowe Muzeum Historii Naturalnej, Instytucja Smithsoniańska) w Waszyngtonie oraz archeolodzy Clifford Evans i Emilio Estrata znaleźli artefakt z kultury Jomon w Valdivia w Ekwadorze. Ceramiczne przedmioty, które wydobyli w połowie lat 60. XX wieku, były ozdobione wyraźnymi zygzakami, liniami i punktami, które potwierdziły związek z kulturą Jomon.

Meggers wspomniał:

Nauczyliśmy się na studiach podyplomowych, że rozwój kulturowy na kontynencie amerykańskim był niezależny od tego w Starym Świecie, [więc] nie pomyśleliśmy o poszukaniu znacznie dalszych przodków, aż Estrada wskazała na pewne niezwykle podobieństwa do ceramiki kultury Jomon w Japonii (...). W 1963 roku podróżowaliśmy z Tokio do południowego Kiusiu, badając kolekcje odłamków ze stanowisk kultury Jomon. Po porównaniu szczegółów ozdób z kultury Jomon z powiększeniami wczesnych przykładów z Valdivii [stwierdziliśmy], że kontekst spełnił wymagania, które wyszczególniono dla odróżnienia dyfuzji od niezależnego wynalazku: pewien zespół cech istniał po obu stronach oceanu; cechy te były wolne od funkcjonalnych ograniczeń, które mogą faworyzować ich niezależne kopiowanie; zbiór ze wczesnośredkowej epoki kultury Jomon był wytworem 6000 lat doskonalenia od prostych początków, podczas gdy najwcześniejsza ceramika Valdivii nie miała miejscowych poprzedników; daty dla wczesnośredkowego okresu Jomon i wczesnego okresu Valdivia były sobie współczesne; a Prąd Japoński dostarczył możliwej do pokonania drogi z zachodu na wschód.

Archeolog doktor Gunnar Thompson napisał, że „obecność ceramiki kultury Jomon w Ekwadorze jest dowodem migracji – przybyło tyle ludzi, ile mogło się pomieścić na kilku statkach, lub nawet cała wioska. Podczas wykopalisk odkryto domki zabawki, fletnie Pana i podglówki – wszystko z ceramiki”. Ilustracje Thompsona, porównujące szczegóły kultur Jomon i Ajnu z ich odpowiednikami mieszkańców z amerykańskiego północnego zachodu, potwierdzają bliskie związki tych ludów. Stephen C. Jett, z Wydziału Tkanin i Ubrań na Stanowym Uniwersytecie Kalifornia w Davis, pisze: „Powszechnie uważa się, że reprezentanci kultury Jomon byli raczej przodkami historycznie znanych Ajnów

z północy wyspy Honsiu, Hokkaido, południowego Sachalinu i Wysp Kurylskich niż współczesnych mongoloidalnych Japończyków”. To samo można powiedzieć o plemieniu Ama, którego genetyczne związki z Ajnami są widoczne. Ludność kultury Jomon, Ajnowie i Ama są jedynymi po potopie, nawet współczesnymi nazwami Lemuryjczyków, którzy podróżowali wokół wybrzeży Pacyfiku w zamierzchłej przeszłości.

Ale to w ich „przebraniu” jako Jomonów znajdują potwierdzenie archeologiczne opowieści i ślady pobytu nietypowych ludzi rasy kaukaskiej w całej Oceanii. Solheim pisze, że „jomońskie” lub „jomonopodobne” artefakty znaleziono na Tajwanie, na Filipinach, w Mikronezji, w północnej Melanezji, na północnym wybrzeżu Nowej Gwinei i we wschodniej Indonezji. „W istocie, do 1972 roku”, oświadczył Jett, „jeszcze nawet starsze, podobne do jomońskiej [ceramiki], zdobione odciskami sznura odłamki garnka znaleziono znacznie dalej, na wyspie Efate w Nowych Hebrydach (obecnie Vanatu). Na potwierdzenie wrażeń wzrokowych z owego czasu, później pewien zespół naukowy ostatecznie włączył tych 14 odłamków (od 12 do 13 odrębnych naczyń) do wczesnego okresu Jomon z najdalej na północ wysuniętego skrawka Honsiu, z około 5200 do 3600 roku p.n.e., czasu, gdy rósł poziom mórz (...). A cechy czaszek i rysy twarzy Ajnów i Polinezyjczyków wykazały podobieństwo”.

Na poparcie hipotezy Jetta można przytoczyć stwierdzenie w sprawie dowodów materialnych, które zacytował szwedzki antropolog Bengt Anell. Ten uczony jeszcze w 1955 roku zauważył: „Polinezyjskie haczyki mają najbliższe odpowiedniki dokładnie w Japonii”. Jomoński impuls doprowadził do pogodzenia archeologii i mitu, który potwierdza daleko sięgające wpływy Lemurii na Pacyfiku, od Azji do obu Ameryk.

Kultura Jomon pojawiła się w Japonii nagle, przy końcu ostatniej epoki lodowcowej, około 12 500 lat temu, nieco wcześniej, zanim podobna imigracja pozostawiła ślady w Tajlandii, w Non Nok That i Jaskini Duchów. Był to rezultat katastrofalnego potopu, który zniszczył nisko położone ziemie Mu i zmusił co najmniej część ludności do szukania wyższych, bezpieczniejszych terenów gdzie indziej. Nawet Glyn Daniel, ultrakonserwatywny wydawca *The Illustrated Encyclopedia of Archaeology* (Ilustrowanej Encyklopedii Archeologii) przyznał: „Japonia kultury Jomon zdaje się niezwykle izolowana, szczególnie od jej wielkiego sąsiada, Chin, i mogła mieć więcej wspólnego z wyspami Pacyfiku”. I rzeczywiście, wczesny, środkowy i późny rozkwit tej kultury odpowiada trzem potopom w Lemurii: pierwszy nastąpił pod koniec IV tysiąclecia p.n.e., drugi w 2193 roku p.n.e., a kulminację stanowiła ostateczna zagłada w 1628 roku p.n.e.

Te katastrofalne wydarzenia zostały zapisane w jednym z najwcześniejszych japońskich dokumentów historycznych, w *Fudoki*, czyli Kronikach Wiatru

i Ziemi. Towarzyszyły mu *Kojiki*, czyli Kroniki o Czasach Starożytnych, i *Nihongi*, Kroniki Japonii. Chociaż pochodzą one – odpowiednio – dopiero z 712 roku, 713 i 720, wszystkie oparte są na znacznie wcześniejszych kronikach, które z czasem uległy zniszczeniu. Ich transkrypcji dokończono podczas przyływu twórczości „narodowej”, znanej jako okres Nara, kiedy uczeni ponownie zainteresowali się przeszłością. *Kojiki* i *Nihongi* zgodnie odnotowały, że pierwszym cesarzem Japonii był Jimmu, pochodzący od króla morza, władcy wielkiego kraju po drugiej stronie Pacyfiku, od którego wziął swoje imię, *Jim*, czyli Syn Mu. Miejsce po jego pałacu, wraz leczniczym źródłem, nadal jest czczone w Sai Jinja. Jego następcą był Kamu, który zachorował jeszcze przed zajęciem tronu. Ludzie skutecznie modlili się o jego wyzdrowienie w świątyni Muro-Ji, być może najstarszym świętym miejscu w Japonii, gdzie pustelnicza sekta świętych mężów zachowała ezoteryczny mistycyzm wprowadzony przez Syna Mu. Trzeci z kolei cesarz, Temmu, zasłynął z tego, że polecił przepisać *Kojiki*, *Nihongi* i dwie inne wcześniejsze, dziś zapomniane księgi. Te źródła donoszą, że ostatnim z prehistorycznych władców Japonii był Mumayado, urodzony w 593 roku, który nawrócił się z shinto na buddyzm przed śmiercią, zaledwie 20 lat później.

Lemuryjskie korzenie tych królewskich imion są oczywiste. Odpowiadają wszechstronnym wpływom, jakie Mu wywarło nie tylko na Japonię, lecz także na całą Azję Południowo-Wschodnią oraz na wszystkie lądy otaczające Ocean Spokojny.

10. Co takiego jest w nazwie?

Ko gub ni du war gag – przyszedłem zapytać.

Popularne mikronezyjskie wyrażenie

Szukając zaginionych osób, detektywi najpierw rozpytują o nie w miejscach, gdzie ostatnio były widziane. Tę samą procedurę stosują „archeologiczni detektywi” podczas poszukiwań zaginionej cywilizacji na Oceanie Spokojnym. Jeżeli mocarstwo było rzeczywiście dostatecznie potężne, aby wyrzucić doniosły wpływ na miliony ludzi mieszkających wokół skraj Pacyfiku – od Azji i Australii, poprzez Oceanie, Mikronezję, Melanezję i Polinezję aż po kontynent amerykański – w takim razie jego nazwa powinna przetrwać w pamięci wielu społeczności. I wpływy tej cywilizacji na pewno pozostawiłyby trwałe ślady na ich charakterze narodowym, gdyby zniszczyła ją okropna katastrofa.

I rzeczywiście, nazwa ta powtarza się wśród rozmaitych ludów, które nie o sobie nie wiedzą i są oddzielone czasem, wielkimi odległościami, pochodzeniem rasowym lub kulturowymi zwyczajami. Fakt ten świadczy niezbicie, że było to prawdziwe doświadczenie, które ludy te przeżyły niezależnie od siebie. Jeżeli w dodatku nazwa ta kojarzona jest z podobnymi tematami, które można znaleźć w kulturach odmiennych ludzkich populacji, to na pewno związana była z jakimś rzeczywistym wydarzeniem, choćby mocno przesiąkniętym mitami i legendami.

Niestety, tradycyjni archeolodzy i antropolodzy oczerniają mityczne tradycje ludzkości, odrzucając je jako bajki i ograniczają poszukiwania prehistorii do „łopaty i odłamków ceramiki”. A przecież tylko dzięki mitom nieposiadające pisma ludy zachowują prawdy dla nich najważniejsze, niczym wymarłe owady w bursztynie. Mity trwają w czasie, ponieważ kryją w sobie odwieczne prawdy,

które znajdują oddźwięk z pokolenia na pokolenie. A więc wydaje się godne uwagi, że nazwy Mu i Lemuria istotnie występują wśród tych okołopacyficznych ludów po obu stronach oceanu, gdzie uczeni spodziewają się je znaleźć, niczym stada ptaków krążące wokół sporego obszaru morza, gdzie wcześniej znajdowało się, dziś zatopione, ich miejsce gniazdowania.

Ważny pionier archeologii polinezyjskiej, Abraham Fornander, zrozumiał znaczenie porównań kulturowych, zwłaszcza na Pacyfiku. Oto jego rozważania:

Gdyby czas zatarł każdy inny ślad pochodzenia ludu poprzez zaniedbanie lub przez wchłonięcie do jakiegoś innego plemienia, rasy lub języka, tożsamość nazewnictwa tego miejsca zamieszkania z nazwą siedzib innego ludu pozostanie a priori dowodem istnienia poprzednich przedstawicieli wchłoniętego lub zapomnianego ludu. Gdyby każdy inny zapis i tradycja o pochodzeniu obecnie rządzących ras w Ameryce Północnej i Południowej zostały wymazane, nazwy, które nadały one przylądkom, rzekom, miastom, wioskom i podziałom kraju zamieszkania, w pierwszym rzędzie i prawie zawsze bezbłędnie wykazałyby ich europejskie pochodzenie – angielskie, hiszpańskie, portugalskie, francuskie itp. Praktyka nadawania nowym siedzibom nazw poprzednich ojczyzn jest głęboko zakorzenioną cechą natury ludzkiej i występuje zarówno w barbarzyńskim, jak i w cywilizowanym [stadium rozwoju] danego ludu. Znajdujemy je po wszystkich wielkich migracjach, od najdawniejszych do najpóźniejszych czasów. Historia pełna jest przykładów tego rodzaju, aby udowodnić obecność macierzystej rasy, poprzez jej migracje do obcych krajów, gdzie każda inna pozostałość, z wyjątkiem tej, została zatarta przez czas lub następujące po sobie migracje innych ludów i ras.

Chociaż warianty *mu* są dostatecznie rozpowszechnione w wielu językach, bez względu na to, czy kojarzy się je ze znanymi aspektami lub najważniejszymi wątkami Praojczyzny – takie jak wyraźne wzmianki o zatopionej ojczyźnie, Drzewie Życia, o ludzie, który był przodkiem innego, Wielkim Potopie i tak dalej – identyfikują one tę zaginioną cywilizację, opisują ją, śledzą jej trwające do dziś wpływy na świecie i pomagają wiarygodnie stwierdzić, że kiedyś istniała.

Takim przypadkiem jest hawajskie słowo oznaczające wodorosty, *limu*. Mimo wrażenia, że jego egzotyczny sens odnosi się tylko do pewnej zwyczajnej rośliny (*Sargassum echinocarpum*), ezoteryczne znaczenie określa długie włosy bogini z dna oceanu, gdzie mieszka ona w królestwie, które dawno temu zatонуło w wyniku katastrofy naturalnej. Hina-lau-limu-kala to boska matka hawajskiego ludu i patronka *kahuna*, przedpotopowej wiedzy medycznej,

zachowanej z zatopionej Kahiki. Pochodzenie Kahiki od Lemurii, zarówno w nazwie, jak i w micie, jest wyraźnie dostrzegalne.

Rzymskie lemuralia były świętem zmarłych upamiętniającym i uspokajającym dusze tych, którzy zmarli przedwcześnie lub gwałtowną śmiercią; miały zachęcić ich do powrotu do zatopionego królestwa o tej samej lub podobnej nazwie*.

Coś z tego „pogrzebowego” charakteru przetrwało w hawajskiej „wodzie oczyszczenia”, czyli *wai huikala*, do której wsypywano zmieloną na proszek *limu kala*. Po pogrzebie spryskiwano nią żałobników. Scott Cunningham, autoritet w dziedzinie polinezyjskiego mistycyzmu, stwierdził, że „*Lei limu kala* (wieńce z wodorostów) nadal sprzedaje się tym, którzy pracują na wodzie lub są wdzięczni za dary morza. Widziałem również *lei limu kala* owinięte wokół pionowo ustawionych kamieni w świątyniach na wyspach [Pacyfiku], a nawet w górach”.

Ten sam motyw pojawia się w uroczystości o nazwie Horiomu, która jest, jak rzymskie lemuralia, coroczną ceremonią mającą uspokoić dusze wracające z zaświatów jako duchy, ale urządzaną przez lud *Ki wai* z Melanezji. Puka-Mu-ni też jest obrzędem pogrzebowym Aborygenów australijskich z wyspy Melville, obok wybrzeża Arnhem Land. Doroczne chińskie święto dla prześlągania She-Mu, Niszczyciela Życia, i dusz ludzi utopionych w Wielkim Potopie, obchodzono dziewiątego dnia dziewiątego miesiąca, tak jak rzymskie lemuralia zaczynały się w nocy 9 maja.

Na amerykańskim południowym zachodzie ceremonialny kalendarz Indian Hopi zawiera uroczystość Powamu, podczas której odbywa się „taniec fasoli” dla uczczenia niespokojnych duchów i przykucia ich uwagi, aby nie krzywdziły małych dzieci podczas obrzędu inicjacji. Tańczący aktor zwany Mu-yin-wa, czyli stwórca wszelkiego życia, pojawia się podczas tego rytuału z namalowaną z na rękach i nogach białą linią, która ma oznaczać kolor skóry. Mu-yin-wa jest personifikacją Kierunku w Dole (zatopionego Mu?), co wraz z powtórzeniem nazwy Mu w jego imieniu wyraźnie świadczy o lemuryjskim pochodzeniu szczegółów uroczystości.

Caroli pisze: „Hopi twierdzą, że przepłynęli Pacyfik po Wielkim Potopie, w którym kontynenty zostały rozdarte na strzępy. Skakali z wyspy na wyspę w trcinowych łodziach, stwierdzając, że wiele wysp również zatoneło lub stały się znacznie mniejsze. Ich drogę na południe albo zablokowały wysokie góry, albo te góry wyrosły, kiedy przybyli do Ameryki. Ludy Keresian Pueblo

* Lemuria to rzadziej używana w starożytnym Rzymie nazwa lemuraliów (przyp. tłum.).

zapamiętały »Hawaiku« jako ich starożytną ojczyznę po drugiej stronie Pacyfiku». Historię ich dawnej migracji nadal przechowują członkowie Klanu Mieszkających na Wodzie, których przodkowie przebyli Wielkie Morze z zachodu. W języku Hopi Klan Mieszkających na Wodzie znany jest jako Patkinya-Mu, co jest oczywistym odniesieniem do utraconej Praojczyzny.

Po obu stronach świata, licząc od Arizony, reprezentant rodu rytualnie rozrzucał fasolę w każdym z pomieszczeń domu, aby ułagodzić niespokojne duchy w obrzędzie rzymskich lemuraliów i japońskim Obon. Podobieństwa obrzędowe (i, w pewnym przypadku, lingwistyczne), między hawajskim Wai huikala, japońskim święcie Obon, melanezyjskim Horiomu, chińskim She-Mu, australiskim Puka-Mu-ni, Indian Hopi – Powamu i rzymskimi lemuraliami są czymś więcej niż zbiegiem okoliczności. Świadczą o istnieniu zewnętrznego czynnika, który wywarł wpływ na te wszystkie kultury.

Na dalekiej wyspie Tonga, Lihamui był okresem odpowiadającym majowi, tym samym, w którym starożytni Rzymianie obchodzili lemuralia na cześć zmarłych. Na większości wysp Polinezji boskim strażnikiem umarłych był Limu, który mieszkał we wspaniałym królestwie na dnie morza. Wśród mieszkańców skupiska wysp Ha'apai jego pałac nadal jest nazywany Limu.

W odległości wielu tysięcy kilometrów, rdzenni mieszkańcy południowego wybrzeża Kalifornii, Indianie Chumash, nazywali przybrzeżną wyspę Santa Cruz „Limu”, czyli „w morzu”. Dzisiejsza nazwa plaży Pismo (Pismo Beach) wywodzi się z ich słowa Pismu. Natomiast „beach” w ich języku odnosi się do świętego miejsca na tym wybrzeżu, nazywanym Muwu. Tuż na północ od Muwu jest inne święte miejsce, położone w pobliżu morza, Wene Mu, natomiast Nipumu to nazwa wioski, gdzie odbywały się rytualne uroczystości. Te wiele mówiące nazwy topograficzne zachowują miano zaginionej ojczyzny, z której przodkowie plemienia Chumash przybyli do południowej Kalifornii w odległej przeszłości.

Z drugiej strony świata, na długo zanim Rzymianie zaczęli obchodzić lemuralia, Dumu był najwcześniejszym odnotowanym w źródłach umierającym i zmartwychwstającym bóstwem, który stał się przykładem dla późniejszych powstających z martwych bogów, od Ozyrysa do Chrystusa. Dumu pojawia się w hebrajskich tekstach jako Tamuz i znany jest osobom interesującym się starożytnym Sumerem pod imieniem Dumuzi. Podobnie jak lemuryjskie Drzewo Życia, palma daktylowa Dumu była czczona przez Sumerów w IV tysiącleciu p.n.e. jako święta. Pierwotnie czczona jako bogini – jak większość mitycznych personifikacji Praojczyzny – Dumu utożsamiono z bogiem i stał się androgynicznym bóstwem, aż w końcu wyłącznie męskim boskim pierwiastkiem. Jego/jej możliwości jako bóstwa odrodzenia pasują do przetrwania

uchodźców-cywilizatorów w Mezopotamii z naturalnej katastrofy na Pacyfiku. Nawet Dumu mogła poprzedzać sumeryjska bogini narodzin „z wodnych głębin”, Nammu, od której pochodzili nie tylko wszyscy bogowie, lecz także całe śmiertelne życie na Ziemi. Dilmun, zaginiona kraina, skąd przybył Dumu, sugeruje dość wyraźnie lemuryjskie pochodzenie, ale raczej pod wcześniejszą nazwą: Mu-Ati.

Te rozróżnialne lemuryjskie wątki w podstawowych koncepcjach wczesnej myśli religijnej są szczególnie ważne, ponieważ ortodoksyjni uczeni nadal uważają Sumer za najwcześniejszą cywilizację. Innymi słowy, ślady Mu są dostrzegalne nie tylko w przypuszczalnie pierwszej wysokiej kulturze Sumeru, lecz także w jego własnych początkach.

Lachamu i Lachmu byli czczeni przez Sumerów pod koniec IV tysiąclecia p.n.e. Tę niebiańską parę uważano za bóstwa-stwórców, pierwszych bogów, dzieci Tiamat, „gorzkiego oceanu”. W tym samym okresie w dolinie Nilu najstarszym boskim stwórcą był Temu, „stwórca bogów i ludzi”. Podobnie jak Lachamu i Lachmu mieszkał w morzu i ponosił odpowiedzialność za potop, który unicestwił większą część dawnej ludzkości. W sztuce sakralnej Temu przedstawiano w podwójnej koronie, która identyfikowała go jako przodka egipskiej cywilizacji z okresu dynastycznego, i implikowała, że Egipt założyli cywilizatorzy z Mu. Temu był czczony jako najważniejsze bóstwo Egiptu przez znanych z mądrości kapłanów z Anu, które Grecy nazwali Heliopolis, czyli Miasto Słońca, a jego nazwa przypomina solarną religię Lemurii.

Lemuryjskie wpływy w Afryce nie ograniczały się do Egiptu. Najwyższym bóstwem ludu Buganda, na terenie dzisiejszej Ugandy, był Mu-kasa. Jego świątynia-wyrocznia, do której wstęp miał jedynie wódz plemienia, znajdowała się na świętej wyspie Bubembe na Jeziorze Wiktorii. Naśladowała pierwotną ojczyznę tego boga, zalaną w dalekiej przeszłości przez Wielki Potop. Inny ugandyjski bóg kojarzony z wodą, Mu-gizi, czczony przez lud Bunyoro, był strażnikiem Jeziora Alberta. Kolejnego nieśmiertelnego, Mu-nume, wzywano podczas suszy lub powodzi. Gdzie indziej w Afryce Wschodniej, Mu-lungu był bogiem plemion Suahili, który stworzył wszystko na świecie. W Afryce Południowej Mu-jaji nadal jest boginią burz, przypominając o katastrofalnym zniszczeniu jej dalekiej ojczyzny. Przez długi czas na ziemi reprezentował ją ród śmiertelnych królowych, strażniczek tajemnicy życia wiecznego, którą zna Mu-jaji. To właśnie na jej kulcie pisarz H. Rider Haggard oparł swoją słynną powieść *Ona*.

Po drugiej stronie kontynentu, w zachodniej Afryce, dla mieszkańców Mali, Mu-so Koroni jest „czystą kobietą o nieskalanej duszy”. Jako matka życia nauczyła ludzi rolnictwa. Jej małżonek, bóg słońca Pemba, występuje jako Drzewo Życia, jeszcze jeden wątek spotykany wśród symboli Lemurii na świecie.

Nawet Pigmeje z Afryki Środkowej opowiadają o Mu-gasa, który w zamierzłej przeszłości nadzorował „raj” na dalekim wschodzie, gdzie zostali stworzeni pierwsi ludzie. Z powodu ich nieposłuszeństwa zerwała się wielka burza i Mu-gasa oddalił się, zanim jego ojczyzna uległa całkowitemu zniszczeniu. W końcu osiadł niewidzialny wśród Pigmejów.

Na skraju strefy lemuryjskich wpływów kulturowych, pewien przedhinduski lud zapamiętany jako Redin (Redinowie) przez mieszkańców Malediwów na Oceanie Indyjskim, pozostawił po sobie wielkie ruiny i nazwy topograficzne związane z zaginioną Praojczyzną. Lud ten czcił boginię matkę Ham Mu-Mata, której nadal oddaje cześć hinduskie plemię Bhils z zachodnich Indii. Laamu, nazywany przez tubylców „pierwszym dostrzeżonym łądem”, początkowo Redinowie ujrzeni przelotnie podczas ich długiej podróży ze wschodu w dużych, szybkich statkach napędzanych wiosłami. Byli oni ludem żeglarzy i budowniczych; legendy opisują ich jako niebieskookich, rudowłosych, z ostro zakończonymi nosami. Przypomniano sobie tę charakterystykę, kiedy w 1980 roku jasnoskórzy amerykańscy goście zostali powitani przez tubylców jako „Redinowie”. Nawet dzisiaj, niektórzy mieszkańcy wyspy Baara z archipelagu Malediwów mają rysy przypominające prehistorycznych cywilizatorów.

Współcześni żeglarze z Malediwów nadal czczą Redinów, kładąc kilka limonek na rufie canoe, zawsze, gdy opuszczają Rasgetimu. Robią tak na pamiątkę litości okazanej przez tamtych starożytnych żeglarzy człowiekowi, który zakradł się na jeden z ich statków. Historia głosi, że zamiast go ukarać za to, iż próbował uciec z wyspy, pocieszyli go, dając owoc. Zachowanie tej tradycji przez tysiąclecia dowodzi, że Redinowie nie są dla dzisiejszych wyspiarzy elfami lub duchami, lecz prawdziwymi ludźmi, chociaż dawno zaginionymi.

Na Laamu, na Malediwach znajduje się największa *hawitta*, wzgórze w kształcie piramidy z ziemi i kamieni. Otacza ją skupisko innych wysp, a na wszystkich jeszcze dziś widoczne są ruiny. Najwcześniejsza osada Redinów powstała właśnie na Laamu, ale po raz pierwszy przybili oni do brzegu do wyspy Utimu. Na pobliskiej Gamu znaleziono liczne artefakty ozdobione symbolami solarnymi, co wskazuje, że Redinowie rozumieli i doceniali znaczenie Malediwów, które leżą na środku „kanału” równikowego. Glify te również wspierają opinię Jamesa Churchwarda, który opisał Mu jako centrum kultu słońca. Redinowie mieli szczególnie czcić święty płomień. W istocie, wszystkie ich *hawitta* były zwrócone na wschód, z rampą prowadzącą z zachodniego boku na szczyt. Kult słońca można dostrzec w nazwie innej ważnej dla Redinów wyspy: Rasgetimu. Łączy ona egipskie słowo, które oznacza słońce – Ra, znajduwane w całej Polinezji, z Mu, mianem zatopionej pacyficznej ojczyzny. W oivehi, języku mieszkańców Malediwów, słowo oznaczające króla to *rasage*, najprawdopodobniej

zapożyczone od Redinów, których monarchowie wywodzili swój ród od boga słońca, tak jak opisani przez Churchwarda lemuryjscy królowie w Ra-Mu. Związek ten staje się jeszcze wyraźniejszy w oivehijskim słowie „wyspa”, czyli *timu*. Kombinacje *mu* w tych wyrazach i nazwach ujawnia ich pochodzenie z zaginionego królestwa na Pacyfiku.

Inne językowe podobieństwo sugeruje, że Redinowie wprowadzili cywilizację na subkontynent indyjski ponad 5000 lat temu. W języku oivehi *bara'baro*, czyli „dobry” lub „ładny”, znaczy to samo w urdu, indoeuropejskim języku wywodzącym się z zaginionego dialektu, którym mówiono w dolinie Indusu w IV i III tysiącleciu p.n.e. W hinduskim micie matką bogów była It-Mu, mająca nieindoeuropejskie imię z korzeniami sięgającymi IV tysiąclecia w dolinie Indusu. Dowody materialne potwierdzają implikacje tych porównań. Całkowicie unikatowy, czerwono-czarny mozaikowy paciorek, znaleziony na *havitta*, na wyspie Nilandu (Malediwy) jest identyczny z okazami, które odkryto w Lothal, portowym mieście doliny Indusu, gdzie niegdyś działała manufaktura wyrabiająca takie paciorki. Te wzajemnie uzupełniające się lingwistyczne i materialne dowody wskazują na Redinów jako budowniczych pierwszych wielkich hinduskich miast, takich jak Harappa i Mohendźo Daro.

Jeżeli Redinowie rzeczywiście byli twórcami cywilizacji doliny Indusu, w takim razie podobieństwo między tamtejszym pismem a *rongo-rongo* z Wyspy Wielkanocnej staje się bardziej zrozumiałe. W rozdziale 2 te powiązania zostały wytłumaczone przybyciem na subkontynent indyjski i na wschodni Pacyfik cywilizatorów z Mu, którzy wprowadzili swoje pismo w obu daleko od siebie położonych miejscach. Tylko niezwykle wprawni żeglarze, jak Redinowie, mogliby rozprzestrzeniać taką wiedzę po całym świecie. Ich dziedzictwem są nazwy topograficzne, terminy, artefakty, a stanowiska archeologiczne na Maledwiach i w dolinie Indusu wiarygodnie łączą ich z piśmiennymi żeglarzami z zewnętrznego kręgu cywilizacyjnego, którego nie można odnaleźć, bo już nie istnieje. Redinowie i Lemuryjczycy byli tymi samymi żeglującymi po morzach cywilizatorami, którzy przynieśli podstawowe zdobycze swojego zaginionego królestwa na wschód do Rapa Nui i na zachód do prehistorycznych Indii.

Byli też znani jako Rutas (Rutasowie), według francuskiego uczonego Louisa Jacolliota, który większość życia, od 1837 do 1890 roku, badał zapiski świątynne starożytnych Indii. I rzeczywiście, słowo „Redin” mogło równie dobrze być filologiczną wersją nazwy „Rutas”. Podczas badań Jacolliota zaskoczył fakt, że sanskryt nie był najstarszym językiem subkontynentu indyjskiego; poprzedził go wcześniejszy język – samsar. Dowiedział się, że księdzu LeLucowi, jego ziomkowi, podczas podróży przez Tybet w 1845 roku pokazano samsarskie glyfy wyrte na liściach sztucznego drzewa, które zachowało się w klasztorze

Kunbun w Sinfau, na granicy z Chinami. Tamtejsi mnisi twierdzili, że te znaki to pismo w języku ludu Rutas, czcicieli słońca z wielkiego królestwa, które znajdowało się bardzo daleko, z drugiej strony oceanu, dawno temu, zanim zatonięło w rezultacie przerażającej katastrofy.

Wędrując śladami księdza LeLuca po Tybecie, Jacolliot odkrył, że Rutasowie występują we wczesnej literaturze hinduskiej, gdzie ich zatopioną ojczyznę określano jako „Praojczyzna, źródło cywilizacji”, która kiedyś leżała w odległości miesiąca podróży od Birmy. Odkrycia obu poszukiwaczy znalazły pewne potwierdzenie na początku lat 80. XX wieku, kiedy przewodniczący organizacji World Explorer (Światowi Odkrywcy), David Hatcher Childress, odkrył wzmianki o Rutasach w innym tybetańskim klasztorze, w pobliżu wioski Purna. To właśnie tam mnich z Phuktal Gompa powiedział mu o szkole mistyków, którzy dawno temu uciekli przed zagładą swojego kraju i znaleźli schronienie w Himalajach.

Chociaż żaden z Francuzów nie podał nazwy Praojczyzny, odkrycie przez księdza LeLuca w klasztorze w Kunbun sztucznego drzewa z samsarskimi glifami znakomicie uzupełniało symbolikę Drzewa Życia pułkownika Churchwarda, który podkreślał z naciskiem, że było synonimem samego Mu, co potwierdzały polinezyjska ustna tradycja i chiński mit. *Huainanzi*, oryginalny zbiór kosmologii ze starożytnych Chin, opisuje drzewo Ruo mu, odpowiednik Fu Sang mu, czyli świętej brzoskwini, kojarzonej z oczyszczaniem lub czyszczeniem słońca w praczasach. Przypomina to solarną religię Lemuryjczyków. Ruo mu stało na zachód od *axis mundi*, środka świata, w Jian mu, gdzie duchy przybywały na Ziemię, tak jak rzymskie lemuralia, melanezyjskie Horiomu, Powamu Indian Hopi. Razem Fu Sang mu, Jian mu i Ruo mu oznaczały przejście słońca ze wschodu na zachód, które pierwotnie okrężało rozległą Praojczyznę.

W roku 1879 Jacolliot opublikował *Histoire de vierges: Les Peuples et les continents disparus* (Historia dziewiczych ziem: zaginione ludy i kontynenty), w której zawarł następujący wniosek:

Jedna z najstarszych legend Indii, zachowanych w ustnej i pisanej tradycji, opowiada, że kilkaset tysięcy lat temu na Oceanie Spokojnym istniał ogromny kontynent, który został zniszczony przez wstrząsy geologiczne i którego fragmentów trzeba szukać na Madagaskarze, Cejlonie, Sumatrze, Jawie, Borneo i na głównych wyspach Polinezji. Według braminów, kraj ten osiągnął wysoki poziom cywilizacji, podczas gdy półwysep Hindustanu, poszerzony przez przemieszczenie się wody podczas tego wielkiego kataklizmu, tylko kontynuował łańcuch prymitywnych tradycji, zrodzonych na miejscu. Tradycje nadają nazwę Rutas ludom, które zamieszkiwały ten ogromny równikowy kontynent i z ich mowy wywodzi się sanskryt.

Caroli pisze tak: „Rutas[owie] Jacolliota przynieśli wiarę braminów do Indii, kiedy uciekli z zatopionej ojczyzny, której zagłada sprawiła, że subkontynent indyjski wynurzył się z głębin oceanu. [Przodkowie Hindusów] Ariowie, przybyli, ale nie z północy, jak utrzymują archeolodzy głównego nurtu, ale z zaginionej krainy Rutas”.

Jedno ze źródeł, które dostarczyło Jacolliotowi informacji o prehistorycznym kraju Rutasów, była *Surya Siddhanta*, według profesora H. T. Colebrooka „najstarszy traktat o astronomii w Indiach. Książę Maya [Asura Maya, jego autor] jest tam przedstawiony w chwili, kiedy otrzymuje wiedzę od częściowego wcielenia słońca”. Traktat opowiada nie o jednej, ale o dwóch przedpotopowych cywilizacjach. Były to: Saka Dwipa, którą William D. Whitney, profesor sanskrytu na Uniwersytecie Yale, utożsamił z Atlantydą Platona w 1854 roku, oraz Ruta, która dzieliła się na jeszcze jedną wyspę, Daitę.

Informacje o współzależnościach między Rutas a Lemurią można znaleźć na całym Pacyfiku. W micie plemienia Mangaian, Ru był bogiem Avaiki, podmorskiego pałacu umarłych i stwórcy wyspy w środku świata, Rangi-motia, co jest jeszcze jedną nazwą tej zatopionej cywilizacji. Fornander zbadał pewną „polinezyjską legendę Raiatea, grupy etnicznej o tej nazwie, która stwierdza, że przyczyną potopu był gniew Rua-Haku [„Pana Rua”], wielkiego boga oceanicznego tej grupy”. Sam potop znany był jako Te Tai o Rua-tapu od bohatera z tego okresu, Rua-tapa, w przedchrześcijańskiej Nowej Zelandii. Rua-tapa to legendarny rzemieślnik z Avaiki, który nauczył przodków Maorysów sztuki obróbki drewna. Kiedy Avaiki zatonała, Rua wypchnął z dna oceanu wyspy Tuamotu, a stwórcielka, Rua papa, w podobny sposób wypiętrzyła Tahiti. Na Wyspach Cooka, Rua papa była matką tamtejszych plemion. Wszystkie te mityczne skojarzenia, oddzielone od siebie wielkimi odległościami, określają różne aspekty rozległego królestwa ich przodków, z którego wszyscy pochodzili.

Wśród wielu innych nazw na Hawajach, to królestwo znane było jako Ta aina o Rua lub po prostu Ta Rua, co w obu przypadkach znaczy „kraj Rua”, który miał być pierwotną ojczyzną ludu Mu, zanim jako pierwsi, przed Polinezyjczykami, przybyli na Kauai. Jeżeli, jak pisze Melville, znali oni swój kraj jako Jamę lub Niebiański Krater, Ta Rua o Rani, to określanie siebie samych jako Rutas ma pewien sens. Dalej Melville mówi, że rdzeń tego słowa, *rua*, znaczy „wzrost i rozwój z ognia”, co jest wyraźną aluzją do technicznej i kulturowej kreatywności ludu Mu, „którzy stworzyli pierwszą cywilizację świata”. Ta nazwa jest zbliżona do sanskryckiego (lub samsarskiego?) rdzenia słowa „Rutas”, *rta*; oznacza to: być rytualnie lub kosmicznie sprawny, w dobrej formie, co jest odpowiednią nazwą w związku z wyjątkowym skupieniem uwagi tego zaginionego ludu na siłach duchowych.

Rozprzestrzeniając się po Polinezji i poza nią, pozostawili oni miano swojej Praojczyzny w wielu nazwach topograficznych, które przetrwały do dziś, by potwierdzić ich wpływ na Oceanię. Tubylcy z indonezyjskiego Sarawaku czczą boginię Munsumundok, która stworzyła wszelkie życie po wynurzeniu się z wielkiej „skały” (to znaczy wyspy) na środku morza. Uważa się, że półwysp Mulinu’u był miejscem, gdzie ocalali Lemuryjczycy wyszli na brzeg w ’Upolu na Samoa. Na jego południowym wybrzeżu są plaże Salamumu, Mullivai i Si’umu. Wyspa Namu’a znajduje się tuż poza wschodnim wybrzeżem ’Upolu, blisko wioski Samusu, naprzeciwko przystani Mulifanua, na zachodzie. Nadmorskie położenie tych miejsc wskazuje na ich lemuryjskie znaczenie, tak jak zatoki Tahaa Tapamu i Faatemu na Raiatei, największej z Wysp Podwietrznych w archipelagu Wysp Towarzyskich, w Polinezji Francuskiej.

Nomuka i Nomuka’iki leżą w skupisku Ha’apai w królestwie Tonga, podczas gdy Mu’umu’a i ’Umuna należą do archipelagu Vava’u. Munawata znajduje się wśród Wysp Trobriandzkich na Morzu Salomona, natomiast Tumu-te-Varovaro to duchowy tytuł Rarotonga. Na indonezyjskiej wyspie Flores, gdzie uczeni znaleźli szczątki nieznanego gatunku karłowatych ludzi, zapamiętanych w hawajskiej tradycji jako Menehune; gigantyczny, obecnie wygasły wulkan, który pozbawił życia tych ludzi pod koniec ostatniej epoki lodowcowej, nadal jest znany jako Keli Mutu.

Jak można się spodziewać, ze względu na przypuszczalną poprzednią lokalizację Lemurii skupisko nazw topograficznych zawierających jej drugą nazwę, Mu, jest większe na wodach południowych niż w jakimkolwiek innym obszarze na Ziemi. Praojczyzna zginęła dawno temu, ale jej nazwa nadal dźwięczy na wyspach Oceanu Spokojnego.

11. Śpiący Prorok Lemurii

*Wielu uważa Edgara Cayce'a za największego jasnowidza
i proroka od czasów apostołów.*

Brad Steiger

Z grona domniemanych jasnowidzów naszej ery wyróżnia się jeden człowiek. Edgar Cayce zyskał status prawdziwego jasnowidza, a jego popularność jako wiarygodnego wizjonera stale rośnie, choć umarł w połowie XX wieku. Nietrudno to zrozumieć. Czterdzieści lat podświadomych wypowiedzi na temat zdrowia tworzy zbiór zapisanej informacji medycznej, której szukają chorzy z całego świata jako efektywnych środków zaradczych przeciw inwazyjnym chirurgicznym procedurom. Pominąwszy reputację Cayce'a jako podświadomego uzdrowiciela, znacznie mniej liczne wypowiedzi na temat Lemurii to nie, jak mogliby oczekiwać sceptycy, wytwory wybujałej fantazji, ale niezwykle spójne opinie, związane z archeologią geologią. Co bardziej wartościowe, rzucają nowe światło na wiek aspektów życia mieszkańców, duchowości i losów Mu, nieosiągalnych z konwencjonalnych źródeł. Bez względu na to, czy wierzymy jasnowidzom, czy nie, słynnym i nieznanym, jego charakterystyka Lemuryjczyków i wydarzeń jest zaskakująco wiarygodna i pouczająca, niezależna od jakichkolwiek przekonań.

Urodzony w 1877 roku w stanie Kentucky, Cayce był znany jako Śpiący Prorok, ponieważ zalecał leczenie podczas głębokiego transu. Aż do śmierci 68 lat później Cayce podyktował tysiące „wizji z poprzednich wcieleń”. Twierdził, że otrzymał duchowy zapis, który umiał odczytać podczas zmienionego stanu świadomości. Wykształcenie miał skąpe i punkty odniesienia były dla niego bardziej duchowe niż historyczne czy naukowe. Jego rozumienie świata częściej opierało się na Biblii niż na wiedzy. Wydaje się jasne, że rozważania

o jakiejś zatopionej cywilizacji nie wynikały ani z jego wiejskiego pochodzenia, ani chrześcijańskiego poglądu na świat czy nawet zainteresowania. Mimo to, z niewyjaśnionego powodu pewnego dnia podczas udzielania porad medycznych – a robił to już od 20 lat – zaczął mówić o zatopionych miastach. Po przebudzeniu niewiele wiedział o Atlantydzie, a jeszcze mniej o Lemurii. A przecież ich nagłe pojawienie się pomiędzy wizjami z poprzednich wcieleń było całkowicie zgodne z jego radami terapeutycznymi.

Na początku lat 20. XX wieku podczas słuchania i opisywania podstawowych przyczyn różnych niewyjaśnionych chorób, nękających jego klientów, Cayce stwierdził, że te najwyraźniej bezpodstawne kłopoty zdrowotne były podświadomymi pozostałościami negatywnych zachowań, przeniesionych z poprzednich egzystencji na Atlantydzie bardzo dawno temu. Ponieważ nie zostały one „naprawione” w czasie katastrofalnej zagłady tego starożytnego mocarstwa, ich „zła karma” przeniosła się przez trwające tysiące lat wcielenia, wnosząc każde z nich do obecnego życia chorych jako kompleksy winy, którego rezultatem były tak zwane stany psychosomatyczne – w rzeczywistości refleksy fizyczne lub reakcje na duchowy ból. „Nie może być wyleczenia fizycznego, bez uleczenia duchowego, ponieważ dusza jest przewodnikiem naszej istoty”, często powtarzał Cayce.

Przez ponad 20 lat po pierwszych opowieściach o poprzednich żywotach swoich klientów w zatopionej stolicy Atlantyd, Cayce dalej mówił o Atlantydzie podczas wielu setek wizji z poprzednich wcieleń, chociaż znacznie



Edgar Cayce, Śpiący Prorok, który w wizjach zobaczył Lemurię.

rzadziej wspominał Mu czy Lemurię. Kiedy zapytano go dlaczego, odpowiedział, że Atlantydzi zachowywali się bardzo źle, gromadząc ogromny dług karmiczny, który musi zostać uregulowany podczas licznych reinkarnacji. Natomiast cnotliwi Lemuryjczycy, „duchowo wypłacalni” (w większości przypadków) do samego końca, zaciągnęli mniejszy duchowy dług i w konsekwencji częściej uwalniali się z oczyszczającego kręgu narodzin-śmierci-odrodzenia.

Słynny amerykański uzdrowiciel często wspominał Atlantyde podczas stanu zmienionej świadomości. Ale jego opis zaginionej cywilizacji miał mniejsze znaczenie historyczne, bardziej chodziło o dostarczenie wzorca zachowań w przeszłym życiu. Według Edgara Cayce’a ważne etyczne decyzje, podjęte w odległej przeszłości przyczyniły się przez następne wcielenia konkretnej duszy do jej rozwoju, aż po dzień dzisiejszy. Wierzył, że kłopoty lub położenie osób, które szukały jego rady na początku XX wieku, czasami miały swoje korzenie w prehistorii. Cayce głównie interesował się Atlantydą tylko o tyle, o ile pomagało to rzucić światło na duchowy stan klientów. A ponieważ Atlantydzi mieli być postaciami moralnie niewyzwolonymi, większość jego wizji z poprzednich wcieleń dotyczyła mężczyzn i kobiet, którzy dawno temu żyli w tym skazanym na zagładę oceanicznym królestwie.

Znalazł znacznie mniej osób pochodzących z Lemurii. Ponieważ pacyficzna Praojczyzna nie znała materializmu ani wojen, charakterystycznych dla jej atlantyckiego odpowiednika, bardziej pokojowo nastawieni Lemuryjczycy mieli mniej karmicznych reperkusji. Lecz to, co powiedział o Lemurii, ukazało dawno zaginione królestwo z unikalnej perspektywy. Wizje Cayce’a o Mu, czyli Lemurii, są oczywiście wiarygodne, ponieważ często zawierają informacje, które wydawały się bezsensowne lub mało logiczne w czasie, kiedy je wygłosił, ale od tamtej pory w wielu wypadkach zostały potwierdzone przez późniejsze odkrycia w geologii i archeologii.

Dobrym przykładem jest jego opis zapomnianej cywilizacji, która – jak twierdził – istniała na terenie dzisiejszej pustyni Gobi przed wieloma tysiącami lat, kiedy została stworzona przez „tych z krainy Mu”. Ówczesne warunki życia krańcowo różniły się od obecnych, bardzo surowych, powiedział Cayce. Zaczęły szybko się pogarszać natychmiast po Wielkim Potopie, aż cały rejon stał się niezdatny do zamieszkania. Wspominając lemuryjski ogród Edenu, mówił o „pierwszych przejawach »adamowych wpływów«, które dotarły do Azji i Bliskiego Wschodu poprzez teren znany teraz jako pustynia Gobi”.

Kiedy Cayce wypowiedział te stwierdzenia w połowie lat 30. XX wieku, niewiele ludzi wiedziało, o czym mówił. Jednym z tych, którzy rozumieli wizjonera, był James Churchward – jego kilka tomów o pacyficznej Praojczyźnie wtedy ukazało się właśnie drukiem. W swojej pierwszej książce *The Lost Continent of*

Mu, Churchward oświadczył: „W czasie ujugurskiego imperium pustynia Gobi była niezwykle żyznym obszarem”. Ujguria jako główna kolonia należała do Mu w czasie biblijnego Potopu, który zniszczył jej wschodnią połowę. W końcu Ujgurzy rozciągnęli swoje panowanie do Europy wokół zachodnich i północnych wybrzeży Morza Kaspijskiego, jak o tym opowiada pewna bardzo stara hinduska kronika; stamtąd podążali przez Europę Środkową”.

Za życia i długo po śmierci, Cayce i Churchward byli niemal powszechnie ośmieszani przez geologów i archeologów za takie stwierdzenia. Akademicy uczeni uważali, że pustynia Gobi zawsze była ogromnym pustkowiem, a nigdy „niezwykle żyznym obszarem”, przedstawionym przez jasnowidza i archeologa amatora. Rzadkie zapiski kronikarskie odnosiły się do XII-wiecznego ujugurskiego „królestwa” w głębi Azji, ale nie było żadnej wzmianki o ich wcześniejszym istnieniu. Dzisiejsi Ujgurzy są osiadłym ludem, którego organizacja społeczna koncentruje się wokół każdej wioski w północno-zachodnich Chinach, gdzie uprawiają *kaoliang*, rodzaj sorgo. „Wydaje się, że praktycznie nie ma żadnego związku między tamtym średniowiecznym ludem, a tymi, którzy teraz noszą tę nazwę, według Rydy’ego Evermanna, specjalisty od historii pustyni Gobi. Wpływ Ujgurów na Europę wydawał się niedorzeczny.

Lecz w 1962 roku geolodzy zwrócili uwagę na liczne dowody materialne, świadczące, że rejon Gobi rzeczywiście był przez długie okresy na przemian żyzny i suchy w ciągu ostatnich kilku milionów lat. Najpóźniejsze zmiany środowiska naturalnego zaszły tam pod koniec epoki lodowcowej, 12 000 lat temu, i ponownie na przełomie IV tysiąclecia p.n.e. Już 3000 lat temu, pasterze paśli stada tam, gdzie dzisiaj ocean piasku ciągnie się poza horyzont. Jeszcze większym wstrząsem dla tradycyjnych uczonych było odkrycie, w następnej dekadzie, zwłok rudowłosego mężczyzny o jasnej karnacji w Azji Środkowej. Ciało było prawie nietknięte, ponieważ suche warunki na pustyni Takla Makan naturalnie je zмумifowały. Datowano, że zgon mężczyzny nastąpił prawie 10 000 lat temu, na tysiące lat przed przybyciem pierwszych Chińczyków.

Nie był też tam sam. Odkopano szczątki zarówno jemu współczesnych, jak i późniejszych białoskórych mężczyzn, kobiet i dzieci, ponad 500 tylko na terenach Ujgurów, Ueruemchi i Tarim. Odkrycia trwały aż do początków XXI wieku, kiedy chińscy archeolodzy znaleźli cmentarz z jeszcze 700 mumiami osobników rasy kaukaskiej na wschodniej Gobi latem 2004 roku. Ciała były ubrane w pięknie wykonane wołokowe koszule, uszyte na miarę spodnie, wymyślne spódnice z pasami, jedwabne szarfy, skórzane kaftany i buty z jeleniej skóry lub pantofle.

Różnorodność kunsztownie wykonanej odzieży potwierdziła komentarze Churchwarda sprzed 50 lat: „Ujgurowie osiągnęli wysoki poziom cywilizacji

i kultury, znali astrologię, górnictwo, przemysł tekstylny (!), architekturę, matematykę, rolnictwo (!), medycynę, pismo i tak dalej. Byli mistrzami w sztuce dekoracyjnej na jedwabiu (!), w metalach i drewnie; wyrabiali posągi ze złota, srebra, brązu i gliny; a to wszystko działo się przed początkiem historii Egiptu”. Archeolodzy porównali niektóre rodzaje odzieży i wzory na tamtejszych tkaninach ze stylem ubiorów Europy Centralnej i znaleźli wiele podobieństw, jak wskazał to Churchward dziesiątki lat wcześniej.

„*Historia Ujgurów*”, napisał Churchward pochyłym drukiem dla podkreślenia wagi tych słów, „jest historią Aryjczyków”. Przepowiedział więc nietypowe odkrycie starożytnych białych ludów w północno-zachodnich Chinach. Cayce też mówił o „adamowej” cywilizacji na terenie Gobi.



Jedna z mumii ludzi rasy kaukaskiej pochodząca z Chin.

W swojej pierwszej książce o Śpiącym Proroku, *Edgar Cayce's Atlantis and Lemuria* (Atlantyda i Lemuria według Edgara Cayce'a), porównałem jego stwierdzenia dotyczące obu zatopionych cywilizacji z archeologicznymi i oceanograficznymi odkryciami dokonanyymi w 1945 roku (data śmierci wizjonera). Odkrycia potwierdziły słuszności jego opowieści. Próbując dojść do przekonującego kompromisu między nauką i parapsychologią, wywnioskowałem, że poczucie czasu Cayce'a w transie było niepewne. Jego wizje przypominały kolorowe sny, kiedy śpiący, po przebudzeniu, może przypomnieć sobie wiele szczegółów, ale jego poczucie czasu jest mgliste. Przecież nie bez powodu nazywano go Śpiącym Prorokiem. Można więc usprawiedliwić Cayce'a, jeżeli jego opis zaginionego królestwa, choć wiarygodny, jest chronologicznie niepewny.

Niektórzy czytelnicy *Edgar Cayce's Atlantis and Lemuria* nalegali, żeby rozumieć go dosłownie, i sprzeciwili się moim sugestiom, że te cywilizacje istniały nie setki tysięcy lat temu, ale w późnej epoce brązu, około 1500 lat p.n.e. Uważne przeczytanie słów Śpiącego Proroka pozostawia nas w niepewności co do jego koncepcji czasu.

Szesnastego lutego 1932 roku Cayce powiedział: „Lemuria zaczęła znikać – jeszcze przed Atlantydą – 10 700 lat świetlnych lub ziemskich lat, lub obecnego ustawienia, jak to ustalił Amilius – albo Adam?” Czy rzeczywiście miał na myśli „lata świetlne” w tym samym sensie, jak my rozumiemy szybkość światła? „Obecne ustawienie” – 10 500 lat świetlnych – oznacza, że Lemuria liczyła więcej niż 63 tysiące bilionów lat, czyli poprzedzała powstanie wszechświata. Jaki rodzaj kalendarza znał Adam, każdy może próbować odgadnąć. A co miały znaczyć „ziemskie lata”? My używamy kalendarza słonecznego, który ma mniej niż 2000 lat. Za czasów rzymskich i wcześniej wiele kultur stosowało liczne i często skrajnie odmienne kalendarze. W dodatku kalendaria tworzone na podstawie faz księżyca, obrotów gwiazd, pojawiania się pewnych konstelacji, zodiaku, liczby królewskich pokoleń, dat założenia miast, wydarzeń naturalnych i tak dalej.

Bez względu na to, jakimi kategoriami czasu operował Cayce w transie, nie miało to nic wspólnego z latami takimi, jak się je rozumie w XX wieku. Najwidoczniej usiłował opisać prawdziwą chronologię Lemurii, ale uniemożliwiła mu to sama natura wymiaru, do którego wzniosła się jego świadomość. Trzeba bowiem pamiętać, że Śpiący Prorok widział świat i upływ czasu nie z perspektywy życia codziennego, ale poprzez powiększające soczewki Innego Świata, w transie lub we śnie, który rozszerzał i barwił jego punkt widzenia. Trudno mu było jasno wytłumaczyć to, co zobaczył, innym śmiertelnikom, niepobłogosławionym taką wizją, ponieważ nie mieli żadnych doświadczeń, z którymi mogliby to porównać.

Chociaż chronologia Cayce'a jest niepewna, jego krótkie wzmianki o Lemurii są znacznie mniej dwuznaczne i bardziej przekonujące. Doskonały przykład stanowi jedna z jego pierwszych wypowiedzi o zaginionej Praojczyźnie, kiedy zdawkowo poruszył sprawę Lemurii w długiej odpowiedzi na pytanie dotyczące geologicznych i geograficznych warunków na Ziemi w czasie, gdy powstał *Homo sapiens*: „Andy, czyli pacyficzne wybrzeże Ameryki Południowej zajmowało wówczas najdalej na zachód wysuniętą część Lemurii”. Sześćdziesiąt lat po tym stwierdzeniu Kalifornijski Serwis Oceanograficzny opublikował szereg map ujawniających ostatnie odkrycia na dnie oceanów. Te mapy szczegółowo przedstawiają Grzbiet Nazca, dawny pomost lądowy, długi na ponad 320 kilometrów, który niegdyś łączył peruwiańskie wybrzeże w Nazca z jakimś zatopionym archipelagiem. Wydaje się, że w 1932 roku Cayce zidentyfikował podwodny szczegół nieznany nauce aż do lat 90. XX wieku, dostarczając poważnego dowodu o istnieniu Lemurii.

O ironio, w pierwszej wzmiance o tej pacyficznej cywilizacji, 10 miesięcy po profetycznej aluzji o jeszcze nieodkrytym Grzbiecie Nazca, podał szczegół jego rozpadu. Stwierdził, że „część” „Lemurii zaczęła znikać” 10 700 lat temu. Tym razem data doskonale pokrywa się z ostatnimi chwilami epoki lodowcowej, kiedy topniejące lodowce spowodowały dramatyczny wzrost poziomu mórz na całej planecie, a woda zalała nadbrzeżne rejony i rozległe nizinne tereny. Lemuria i jej kultura jeszcze długo istniały po utracie pewnych terytoriów w potopie epoki lodowcowej, dokładnie tak, jak powiedział Cayce. Ale związane z tym dowody archeologiczne mogą z grubsza potwierdzić datę tego wczesnego kataklizmu.

Równocześnie z dynamicznym podniesieniem się poziomu mórz w XI tysiącleciu – daty podanej przez Cayce'a – w Japonii nagle pojawiła się wyrafinowana kultura Jomon i nastąpiło zatopienie ceremonialnej konstrukcji u wybrzeży wyspy Yonaguni. Te dwie widoczne konsekwencje końca epoki lodowcowej sugerują, że lemuryjscy uchodźcy wyemigrowali do takich miejsc, jak Yonaguni z większych japońskich wysp Honsiu i Hokkaido. Po potopie „lodowcowym”, według Cayce'a, Lemuryjczycy rozpoczęli dalekie wyprawy – w każdym razie ich przedstawiciele. Misjonarze podróżowali po świecie, rozprzestrzeniając lemuryjską religię. Cayce opisuje, jak budowali świątynie na Jukatanie; przedstawiciele Mu mieli być też obecni przy ceremoniach otwarcia Wielkiej Piramidy w delcie Nilu.

Te i inne wydarzenia nabrały głębi poprzez wymienione przez Cayce'a imiona mężczyzn i kobiet, którzy rzeczywiście w nich uczestniczyli. W wizji z poprzedniego wcielenia z 5 maja 1936 roku opowiedział o Amululu, „kapłance... która przybyła z zachodu, kraju Lemuryjczyków”. Cywilizacyjne osiągnięcia,

które sprowadziła do Peru pomogły stworzyć to, „co później stało się znane jako Inkalia”. Amululu nadzorowała wyrób metali, naczyń stołowych, tkanin; uczyła zastosowania ich do zaspokajania potrzeb nie tylko w miejscu zamieszkania, lecz także w ośrodkach zabawy lub kultu”.

Wielu Lemuryjczyków, których wymienił po imieniu, było głęboko zaangażowanych w cywilizowanie Ameryki Południowej. Wydaje się, że Om-muom jako jeden z pierwszych pracował w Peru „na początku komunikacji z tymi z wielu innych krajów” w pierwszej fazie kłopotów geologicznych, które groziły zniszczeniem starego, atlantydzko-lemuryjskiego świata. Podczas wielkich trzęsień ziemi w tamtych czasach wychodziło na jaw wszystko, co najlepsze i najgorsze w ludziach. Cayce przytoczył przypadek Omulda i Oumu, jako współczesnych Om-muoma, którzy stracili zimną krew podczas przeżyć w Peru. Ulmu natomiast stracił życie, gdy usiłował ratować innych ludzi, zagrożonych przez naturalne katastrofy przesładujące Amerykę Południową i większą część reszty świata.

Cayce zauważył, że lemuryjska wielkość duchowa przewyższała nawet moce paranormalne, rozwinięte na Atlantydzie. Jego słowa znalazły potwierdzenie w mnóstwie azjatyckich, australijskich, pacyficznych i prekolumbijskich amerykańskich tradycji, które określają swoją wersję Lemurii jako zatopionej Praojczyzny władającej świętą mądrością. Aborygeni australijscy wierzą, że kult Czasu Snu przybył z „kraju doskonałości”, zanim pochłonęło go morze. Burotu jest wspomiane jako zatopione królestwo potężnych kapłanów, którzy szerzyli zasady swojej wysokiej magii od Tonga do wysp Fidzi. Indianie Chumash z wybrzeża południowej Kalifornii wierzyli, że przodkowie ich szamanów byli misjonarzami z Lemurii – od niej wzięła pierwotną nazwę jedna z ich przybrzeżnych wysp.

Ale większość zapisanych wypowiedzi Cayce’a o zaginionym pacyficznym królestwie dotyczy migracji jego ludu do innych części świata. Podczas wizji poprzedniego wcielenia z 17 kwietnia 1936 roku Edgar Cayce opowiedział o ocalańcach z globalnej katastrofy, którzy przybyli do bliskowschodniego „kraju Zu”. Interesujące, że Har-Sag-Mu był znany 5000 lat temu jako „Mu z Łańcucha Górskiego”, gdzie Zu, sumeryjski bóg nieba, osiadł po wywołaniu strasznego kataklizmu. Potem „cisza się rozprzestrzeniła za granicą, cisza zwyciężyła”. W późniejszej babilońskiej wersji, zachowanej w asyryjskiej bibliotece króla Aszurbanipala, Zu ukraść Tabliczki Przeznaczenia reszcie bogów i przyniósł je do Har-Sag-Mu. Jego samoprzemiana w drapieżnego ptaka, aby odpedzić pilnującego tabliczek węża, pojawia się w ogólnoświatowym wyobrażeniu orła walczącego z wężem, od greckich Delf i skandynawskiego Yggdrasilu do azteckiego Meksyku i prekolumbijskiej Kolumbii.

Mit o Zu łączony jest również z systemem czakr: chodzi tu o duchowy konflikt pomiędzy węzem *kundalini* owiniętym wokół podstawy ludzkiego kręgosłupa i Garudą, orłem oświeconej czakry czubka głowy. Mit implikuje, że ta metafizyczna koncepcja została przyniesiona prosto z nieba do Har-Sag-Mu, świętej góry na pacyficznej wyspie Mu. Opowieść o kradzieży Tabliczek Przeznaczenia przez Zu, pierwszy opisa jogi *kundalini*, stanowi odpowiednik zachodniego mitu, w którym brat Atlasa, Prometeusz, ukradł bogom ogień i dał go ludziom. To „prometejskie gorąco” zdaje się w takim samym stopniu analogią *kundalini*, ponieważ grecki Tytan cierpiał męki, gdy orzeł codziennie wyjadał mu wątrobę.

Cayce przedstawia ludzi z Mu jako zapuszczających się daleko podróżników, pływających głównie do Peru, ale także na Jukatan i na amerykański południowy zachód, do doliny Nilu i nawet na Atlantyde. Cayce powiedział, że pływali tam przede wszystkim po to, aby poznawać nauki, z których specjalnie wyszczególnił alchemię. Lemuryjczycy najwidoczniej pozostawili po sobie ślad, ponieważ ich poglądy religijne przyjęła część spośród podzielonych duchowo Atlantydów.

Atlantyda miała ucierpieć od czterech katastrof naturalnych, z których każda spowodowała fale emigracji do innych części świata, przed ostatecznym zniszczeniem. Ocalali ze wszystkich tych kataklizmów, oprócz ostatniego, Atlantydzi czasami szukali schronienia w pacyficznym królestwie Mu, może dlatego, że było tak oddalone od wzmożonej aktywności geologicznej centralnej części Atlantyku lub z powodu starodawnych duchowych więzi z łagodnymi Lemuryjczykami. Opisując miniony żywot jednego z klientów jako atlantydzkiego uchodźcy, Cayce zauważył: „Ta istota była wśród ostatnich, które opuściły [Atlantyde], by udać się do ówczesnego Mu”.

I rzeczywiście, stosunki między tymi dwoma bardzo oddalonymi od siebie oceanicznymi cywilizacjami mogły być więcej niż serdeczne, przynajmniej w kilku wypadkach. Cayce wymienia pewnego pół-Lemuryjczyka, pół-Atlantyde imieniem Mufuti i doradczynię duchową zwaną Muglo. Wspomina też atlantydzkiego władcę na Jukatanie z czysto lemuryjskim imieniem Zurumu. Mieszane atlantydzko-lemuryjskie imiona uzupełniają wyraźnie atlantydzkie nazwy topograficzne i imiona starożytnych bohaterów lub bogów, występujących w tradycji wielu kultur na wyspach Pacyfiku.

Według astronezyjskiego ludu Tanimbaru z południowo-wschodnich Maluku, Atuf oddzielił Mniejsze Sundras od Borneo jednym pchnięciem włóczni podczas podróży na wschód wraz ze swoją królewską rodziną, uciekając przed wielką naturalną katastrofą, która zniszczyła ich daleką ojczyznę. Przypuszczalnie nastąpiło to w czasie, gdy cała Ziemia była niestabilna. Mity plemienia

Tanimbaru skoncentrowane są na Atufie i jego bohaterskich czynach, gdy ocalił ich przodków od zagłady. „Potem musieli wyemigrować z jednej wyspy, na której się schronili, na drugą”, pisze Oppenheimer”. „(...) Turyści znajdą ogromne symboliczne kamienne łodzie jako rytualne ośrodki w tych wioskach”. Na północ od Maluku, podobną opowieść znają mieszkańcy wysp Ceram i Banda. W tamtejszej wersji ich przodków zaprowadziła w bezpieczne miejsce Boi Ratan, księżniczka z zatopionego królestwa.

Te wydarzenia odcisnęły równie głębokie piętno w Egipcie faraonów, gdzie co najmniej dwóch ważnych bogów, czczonych w okresie dynastycznym, wykazuje lemuryjskie wpływy. Archeolog Anthony Mercatante opisał Temu jako „najstarszego z bogów-stwórców w mitologii egipskiej”. Temu był podmorskim bóstwem, które przebywało w stworzonym przez siebie pierwotnym oceanie. Z pomocą myśli stworzył niebo, zwierzęta, rośliny, śmiertelników i samych bogów, którzy byli wyrazem jego woli. Wywołał katastrofalny potop, który dawno temu pokrył całą Ziemię, niszcząc wszelkie życie z wyjątkiem nielicznych cnotliwych mężczyzn i kobiet – ci dołączyli do bogów w „słonecznej łodzi”. Po wyjściu na brzeg w delcie Nilu zbudowali cywilizację na nowo. Stosownie, starożytnym egipskim słowem na określenie oceanu było Mu. Oprócz oczywistego imienia Temu, jego mit wskazuje na przybycie do Egiptu „nosicieli kultury” z Mu, które ucierpiało od kilku wielkich powodzi. W późniejszych czasach, w konsekwencji licznej imigracji z Atlantydy, zmieniono jego imię na Atmu.

Innym lemuryjskim bóstwem, czczonym w całej dolinie Nilu od najwcześniejszych czasów był Khnemu, co znaczy „Ten, który kształtuje”. W zamierzchłej przeszłości uformował bowiem kosmiczne jajo, z którego wylęgło się wszelkie życie. Był to omfalos, czyli kamień-pępek, główny symbol atlantydzko-lemuryjskiej duchowości. W sztuce sakralnej Khnemu przedstawiano jako mężczyznę z czterema baraniami głowami. Oznaczały rozpowszechnienie jego kultu pępka świata z miejsca pochodzenia poprzez morza w czterech podstawowych kierunkach; od najdawniejszych czasów i w wielu kulturach baran symbolizował oceanicznych podróżników. Popularność Khnemu była tak wielka, że jego kult przetrwał aż do II wieku, kiedy gnostycy nadal wyrabiali klejnoty z jego podobizną. Kult obu tych bogów od początku cywilizacji egipskiej popiera twierdzenie Cayce’a, że adepci z Mu przyczynili się do założenia potężnej religii tego starożytnego państwa.

Niektórzy z opisanych przez niego zamorskich imigrantów nosili wyraźnie lemuryjskie imiona: Shu-Su-Mu-Lur-r i Mu-Elden. Jako przedstawiciele prastarego kultu misteryjnego uczestniczyli w ceremonii ukończenia Wielkiej Piramidy z Gizy. Dokonano tego, przymocowując do jej szczytu „wierzchołek lub czubek... z metalu, który miał być niezniszczalny jako stop miedzi, mosiądzu

i złota z innymi domieszkami”. „Budowla Ziemi”, jak określili tę piramidę, funkcjonowała częściowo jako miejsce przemiany duchowej i wtajemniczenia.

Według Cayce’a, to oficjalne „otwarcie” zapoczątkowało podobne wydarzenia duchowe w przeszłości. Dalej wizjoner wspominał:

Ceremonia była długa. Metalowy wierzchołek szczękał od uderzeń młotka, którego użyto do umocowania go na właściwym miejscu. Dlatego też z tej ceremonii wywodzi się wiele rzeczy, które można zobaczyć w dzisiejszych czasach; wezwanie do modlitwy, dzwon kościelny w teraźniejszości może zostać nazwany potomkiem... dźwięk, jak ten, który rozbrzmiewa w czasie pogrzebu; na powitanie nowego roku, jak przy nadejściu pana młodego; wszystkie wywodzą swój początek z dźwięku, którym urozmaicono ukończenie budowania Ziemi i który rozpoczął odliczanie.

Cayce stwierdził, że Mu wywarło trwały wpływ na amerykański południowy zachód, „w szczególności na tę część Arizony i Nevady, która jest jak część braterstwa ludów z Mu”. Opowiedział też, jak pewien klient, w poprzednim lemuryjskim wcieleniu, podróżował do miejsca, które jest „teraz znane jako Arizona i Utah... te części były wtedy miejscem schronienia dla uchodźców z Mu” i ciągnęły się aż do Missouri.

Te stany są szczególnie związane z Lemurią, ponieważ plemiona, które zamieszkiwały je od niepamiętnych czasów, zachowały bogatą ustną tradycję o zaginionej pacyficznej cywilizacji. Na przykład Indianie Ute, którzy nadali nazwę stanowi Utah, czczą Mu-sinia jako świętą białą górę. To wśród Indian Hopi i Zuni w Arizonie i Nowej Anglii plemienne opowieści o wędrownych przodków z Oceanu Spokojnego są doskonale zachowane w ustnej tradycji i w uroczystych obrzędach. Corocznie odgrywa się rytualne sztuki w *kiva*, okrągłej konstrukcji zbudowanej nad podziemną komorą. Kiedy wtajemniczeni wychodzą z podziemnego pomieszczenia, inni uczestnicy ceremonii oblewają ich dużą ilością wody, głośno przypominając im o strasznym potopie, przed którym praojcowie uciekli w odległej przeszłości.

Konkretną wzmiankę Cayce’a o południowej Kalifornii z powodu jej lemuryjskiej przeszłości potwierdzają świadectwa tamtejszych rdzennych mieszkańców. Według kalifornijskich Indian z plemienia Salinen, ludzkość wyginęła w globalnym potopie. Przeżył tylko jeden ptak. Zanurkował głęboko w oceanie i nabrał pełen dziób mułu z dna morza. Widząc ten wyczyn, Bóg Orzeł zszedł z nieba, by ukształtować nową rasę ludzi z tego mułu.

Indianie Washo to rdzenni Kalifornijczycy, którzy opowiedzieli o wczesnym złotym okresie swoich przodków. Przez wiele pokoleń żyli szczęśliwie na

dalekiej wyspie, w której centrum stała wysoka kamienna świątynia z wyobrażeniem boga morza. Podobizna była tak ogromna, że jej głowa dotykała czubka „kopuły”. Wydaje się niezwykle, że Washo, których kultura materialna nigdy nie przekroczyła budowy tipi, w ogóle wiedzieli o takim wyrafinowanym elemencie architektury, jak kopuła. Ich historia o potopie opowiada o gwałtownych trzęsieniach ziemi, które sprawiły, że góry na ojczystej wyspie zajęły się ogniem. Płomienie strzeliły wysoko, aż stopiły gwiazdy, a te spadły na Ziemię, rozszerzając pożogę na cały świat. Niektóre wpadły do morza i wywołały powszechny potop, który wprawdzie zgasiły płomienie, ale zagroził zagładą ludzkości.

Plemię Wintun z Kalifornii opowiada o szamanie, który ukradł czarodziejski flet Katkochila, boga nieba. Z tym instrumentem mógł uczynić swój lud najpotężniejszy na świecie. Rozwścieczony Katkochila zasypał Ziemię ogniem z nieba, ale ugasił pożar, zanim ludzkość wyginęła.

W opowieści ludu Wiyot pojawia się Starzec z Góry, Stwórcą (Gudatri-Gakwitl), który zesłał globalny potop, aby wyniszczyć ludzkość i większość zwierząt. Kondor przeżył, ale przekonał się, że przy życiu pozostała tylko jego siostra, kilka ptaków i jeden szop pracz. Z ich kazirodczego związku zrodziła się nowa ludzkość. Zwyczaj tego plemienia nakazywał, żeby wódz poślubił swoją siostrę, choćby tylko rytualnie, dla upamiętnienia pochodzenia jego ludu od pary, która uratowała się z Wielkiego Potopu.

Indianie Yokut z południowej Kalifornii odpowiadają, że ludzkość urodziła się na wyspie pośrodku pierwotnego morza. Tam Orzeł i Kojot ukształtowali pierwszych mężczyzn i kobiety.

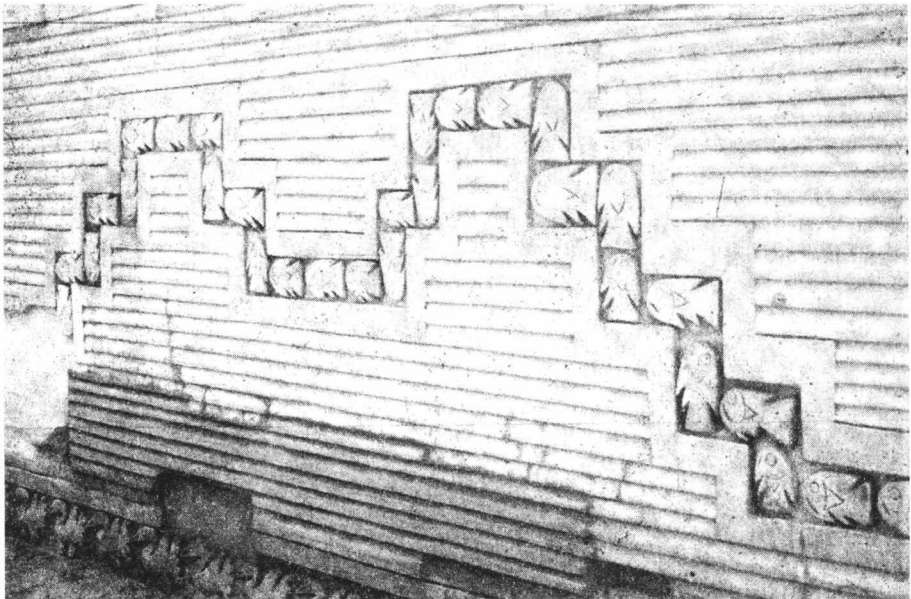
Miejscowe indiańskie mity opisują wulkaniczną górę Shasta jako jedyną cząstkę suchego lądu, który przetrwał globalny potop. Człowiek-Kojot zbudował tratwę i przepłynął wielkie wodne przestworza, aby dotrzeć na szczyt tej góry. Tam rozpalili ognisko. Ogień zaalarmował innych ocalałych ludzi, którzy przybyli na górę Shasta, skąd ponownie zaludnili Ziemię. Współcześnie czasami na szczycie tej góry widać tajemnicze światła, które kojarzone są z ceremoniami lemuryjskiego bractwa. Wtajemniczeni członkowie tego bractwa rzekomo odprawiają rytuały wywodzące się z zatopionej cywilizacji.

Lemuryjskie wpływy zdominowały rozwój cywilizacji środkowoamerykańskiej, aż do przybycia fal imigrantów ze wschodu. „Były tam wstrząsy również w kraju Mu, czyli w Lemurii”, powiedział Cayce, „i oni mieli swój udział w tej zmianie, a może było to wprowadzenie ich zasad w różnych częściach tego kontynentu – który miał znacznie większą powierzchnię aż do ostatecznej zagłady Atlantydy”. Jego stwierdzenie znajduje odbicie w majańskim określeniu potopu: *mu-luc*, dosłownie „zatopione Mu” lub „zatopione jak Mu”. Mu-tul było majańskim miastem założonym przez Zac-Mu-tula, którego imię znaczy „biały

mężczyzna z Mu”. Nazwa Mu-tul wydaje się związana filologicznie z polinezyjskim słowem Mu-tu (Tahiti) i Mu-tu-hei (Markizy), a wszystkie mają wspólny lemuryjski mianownik.

Bohater z potopu z plemienia Karib (stąd nazwa Morze Karaibskie) był „człowiekiem z Mu”. Opisany jako jasnoskóry, jasnowłosy i brodaty czarodziej Ta-Mu uciekł przed naturalną katastrofą na morzu. Karibowie porównali Hiszpanów z XVI wieku z Ta-Mu. Podobnego jedyne go człowieka ocalałego z potopu znali Indianie z plemienia Arawaków. Zapamiętali Ca-Mu „tego z Mu”, jako wysokiego, białoskórego, jasnowłosego i brodatego czarodzieja, który przybył na wybrzeża Panamy, gdy straszliwy kataklizm wypędził go z królestwa położonego daleko, po drugiej stronie morza. Ca-Mu jest uważany za protoplastę plemienia Arawaków.

Kiedy Cayce oświadczył, że „kraina Andów, czyli pacyficzne wybrzeże Ameryki Południowej, zajmowała wtedy najdalej na zachód wysuniętą część Lemurii”. Dokładnie przedstawił zasięg jej wpływów, które – jak się zdaje – obejmowały wyspy między Japonią a wybrzeżem Peru, ponieważ Mu, czyli Lemuria, nie była silnie związana z konkretnym lądem, a raczej ludem i jego kulturą rozpowszechnioną na licznych terytoriach, mniej lub więcej powiązanych ze sobą na obszarze tysięcy kilometrów.



Część „fresku” przedstawiającego zatopione miasto na murze Pałacu Gubernatora w Chan Chan, pod Trujillo na północnym wybrzeżu Peru.

Szczególne wizje Cayce'a o poprzednich wcieleniach popiera mnóstwo dowodów materialnych, które znajdują się wśród rozległych ruin Chan Chan, tuż na północ od hiszpańskiego kolonialnego miasta Trujillo. Była to preinkaska stolica państwa Chimu, z licznymi innymi filologicznymi odniesieniami do zaginionej Praojczyzny Mu. Indianie Chimu opowiedzieli, że Chan Chan zbudowano na rozkaz „wielkiego pana zza morza”. Jego ojcem założycielem był Taycanamu, po którym przybył inny cywilizator, Pacatnamu. Te ważne imiona muszą wywodzić się z zatopionego miasta, które wyrzeźbiono na zbudowanych z suszonej cegły murach Pałacu Gubernatora w Chan Chan. Monumentalna płaskorzeźba nadal przedstawia długi szereg piramid schodkowych z rybami pływającymi nad ich wierzchołkami, najwidoczniej wyobrażając zatopione miasto, może ojczyznę Taycanamu, „wielkiego pana zza morza”. Jego historia jest porównywalna do opowieści Hotu Matua, któremu jego zwierzchnik rozkazał opuścić Maraë Renga, zanim Hiva odeszła w niepamięć.

Płaskorzeźba wyobraża tradycje rdzennych Kolumbijczyków o wielkim oceanicznym królestwie, zniszczonym przez naturalną katastrofę, z którego ich kulturowy bohater A-Mu-Ra-Ca wyprowadził swoich zwolenników do Ameryki Południowej. W języku akkadyjskim, mowie semickich zwycięzców Sumeru pod koniec III tysiąclecia p.n.e., A-Mun-ruu znaczy „zachodnie ziemie”. Ta nazwa, zarówno w języku kolumbijskich Indian Muysica, jak i w akkadyjskim, odnosi się do zaginionej pacyficznej cywilizacji Mu. Związana z tym opowieść o potopie była powszechnie znana w okresie konkwisty wśród Indian Karaya, których przodków niejaki Kaboi zaprowadził do ogromnej jaskini, stanowiącej schronienie. Kiedy wody się cofnęły, ocalali ludzie poszli za Kaboi w świat, a kierował nimi śpiew ptaka. Motyw ptaka pojawia się w kilku tradycjach o potopie na całym świecie, nie tylko w Księdze Rodzaju. Kaboi jest znany w całej Ameryce Południowej. Arawakowie nazywają go Ka-mu, Karibowie – Ta-mu, plemię Bakairi – Kame, a Paragwajczycy – Zume.

Cayce niewiele powiedział o zagładzie Lemurii oprócz tego, iż nastąpiła przed ostatecznym zniszczeniem Atlantydy. Bardziej obchodziły go konsekwencje pokojowych dokonań tego pacyficznego królestwa, które nadal kształtowały żywoty odrodzonych mężczyzn i kobiet, szukających jego duchowego poradnictwa. Karma to konsekwencja naszego zachowania, wyjaśnił. Dążąc do równowagi społecznej i osobistej harmonii, Lemuryjczycy w dużym stopniu uniknęli potrzeby reinkarnacji jako środka oczyszczającego z dawnych przewinień i poszli dalej, by wypełnić swoje duchowe przeznaczenie na poziomach poza płaszczyzną Ziemi.

12. Zagłada Lemurii

*Jest oczywiste, że polinezyjskie mity o zatonięciu i kataklizmie
wywodziły się z tradycji lemuryjskiej.*

Lewis Spence

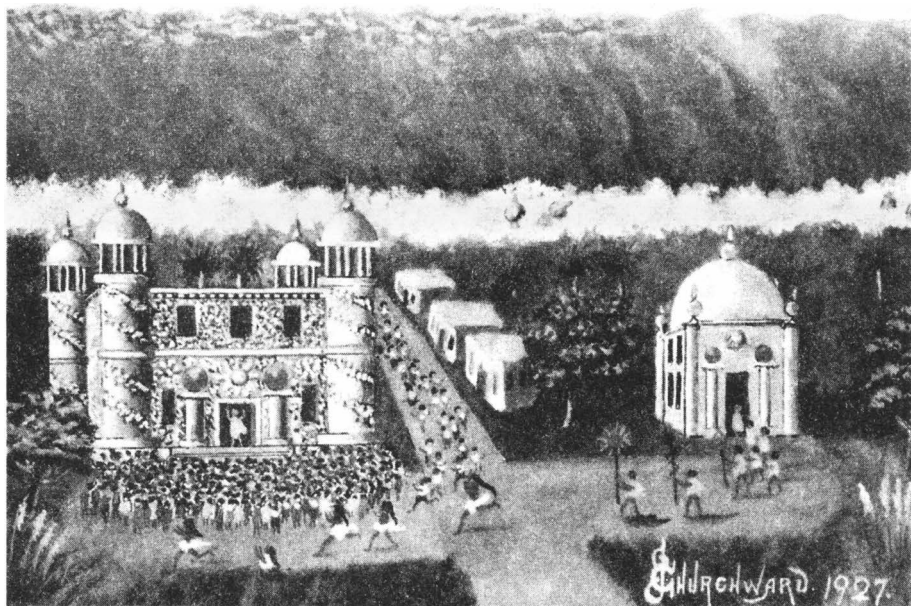
Rdzenni Hawajczycy opowiedzieli kapitanowi Jamesowi Cookowi, który odwiedził ich pod koniec XVIII wieku, o swojej dawnej ojczyźnie, zniszczonej przez globalną naturalną katastrofę bardzo dawno temu. Ta historia miała dla nich tak wielkie znaczenie, że zachowali ją przez niezliczone pokolenia w najważniejszym ich dziele i specjalnie wyuczeni mówcy recytowali je tylko przy najbardziej uroczystych okazjach przed królem i dworem. Tytuł tej długiej ustnej opowieści – *Kumulipo* – zawierał nazwę zaginionego królestwa, Mu, – jednocześnie mówił o sposobie jego zagłady – światowym potopie. Ale nie była ona unikalna. Różne warianty tej historii powtarzały na obszarze wysp Pacyfiku grupy ludności oddzielone od siebie nie tylko ogromem przestrzeni, lecz też odmienne pod względem rasy, kultury i języka. Polinezyjczycy tak bardzo różnią się od Melanezyjczyków i Aborygenów australijskich, jak peruwiańscy Indianie Ajmara od Tybetańczyków lub Aleutów. A przecież te wszystkie, pod innymi względami odmienne ludy, i każdy z osobna, posiadają wspólną opowieść o decydującym momencie w prehistorii, kiedy poprzedni świat nagle przestał istnieć, a jego pierwotna chwała i gwałtowna zagłada wryły się w ich wspólną świadomość na zawsze.

Chociaż uniwersalny charakter tego trwałego wspomnienia sugeruje, że naturalna katastrofa rzeczywiście się wydarzyła, funkcją mitu jest opisanie i przechowanie pamięci takiego zdarzenia, prawdy lub wspomnienia o specjalnym znaczeniu w poezji lub legendzie, a nie datowanie lub udokumentowanie go w przeglądzie historycznym. To ostatnie jest zadaniem archeologii, geologii

i oceanografii. Każda z tych dziedzin nauki może ujawnić wiele informacji o przeszłości, ale bez uzupełniających ludowych tradycji naraża się na ryzyko „odczłowieczenia”, a wtedy nie wywrze większego wpływu na nasze czasy. Kiedy zaś nauka i mit się łączą, historia, którą opowiadają na własny sposób, wznosi się ponad wątpliwej wartości bajkę i beznamiętną analizę. Uzyskują wtedy niepowtarzalną ostrość i głębię.

Nauka jest faktem; mit to przenośnia. Obie formy nie zawsze muszą się wzajemnie wykluczać, chociaż nauka używa danych, które stopniowo stają się przestarzałe z powodu postępów badań, a mit powtarza tylko dawno zasłyszane wieści. Lecz przy wzajemnej współpracy, ich podstawowe zalety niwelują wewnętrzne słabości, tworząc coś wyjątkowego, do czego nie byłaby zdolna osobno żadna z nich.

Kiedy naukowcy mogą potwierdzić mit, dokonuje się prawdziwy przełom. Opowiadanie, niewiele się różniące od bajki, uzyskuje potwierdzenie poprzez badania, które nabierają treści, powstając ze szczegółów materialnych dowodów. Rezultat to wielka samopotwierdzająca się prawda: przekształcenie legendy w rzeczywistość – najwspanialsze odkrycie. Podobnie jest z poszukiwaniem Mu, kiedy nagle okazuje się, że jego dotychczasowe niepewne istnienie i rodzaj



Obraz Jamesa Churchwarda przedstawiający Mu tuż przed zalaniem przez tsunami.

nagłej zagłady łączą się i wzajemnie potwierdzają. Lecz dopiero niedawno, w naszej epoce, nauka osiągnęła dostatecznie wysoki poziom, aby sprawdzić lemuryjskie mity, które przetrwały w pamięci licznych ludów przez tysiąclecia.

Awangardowa nauka zainteresowała się pewną historią, która zaczyna się około 12 000 lat temu. W tym czasie Mu miało już ponad 3000 lat. Większej części tej bardzo długiej ery nie przerwały poważne zaburzenia geologiczne aż do końca ostatniej epoki lodowcowej na naszej planecie. Caroli opisuje

zawalenie się jednej z wielkich antarktycznych czap lodowych, porównywalnych wielkością od jednej trzeciej do połowy Laurentydzkiej pokrywy lodowej ze wschodniej Kanady, której środkiem była Zatoka Hudsona. Oznacza to około 1 000 000 kilometrów kwadratowych lodu o nieznannej grubości. Mógł on wlewać 1 000 000 litrów świeżej wody na sekundę do południowego Pacyfiku, spychając ciepłe, tropikalne prądy morskie do strefy umiarkowanej. Skalę wynikłych z tego osunięć ziemi i wstrząsów sejsmicznych trudno by było sobie wyobrazić.

Elementy z tej prehistorycznej katastrofy powtórzyły się pod koniec 2004 roku, kiedy najpotężniejsze podmorskie wstrząsy od 40 lat (9,3 w skali Richtera) wywołały tsunami na Oceanie Indyjskim. Rozprzestrzeniając się na zewnątrz od epicentrum, oddalonym o 249 kilometrów od wybrzeży Sumatry, na głębokości 9662 metrów, 30-metrowe fale, mknące z szybkością 804 kilometrów na godzinę zabiły 200 000 osób w wielu krajach, od Somalii we wschodniej Afryce do Tajlandii i Indonezji. Miliony ludzi straciły dach nad głową, a całe miejscowości zostały zrównane z ziemią. Michael Dobbs, reporter „Washington Post” i ocalały naoczny świadek w Sri Lance, napisał, że, „plaża i obszar poza nią zamieniły się w śródlądowe morze, wpadając na drogę i zalewając liche domy na drugiej stronie. Wszystko to wydarzyło się tak szybko, że wyglądało jak scena z Biblii – zjawisko naturalne, niepodobne do niczego, co wcześniej przeżyłem”.

Rozciągnięte od końca subkontynentu indyjskiego w stronę równika, położone tuż nad poziomem morza wyspy Malediwy zostały całkowicie zalane; wiele trzeba było opuścić. Archipelagi na południowo-środkowym Pacyfiku, na których kultura i mieszkańcy Lemurii się rozproszyli, również były w większości płaskimi kontynentalnymi szelfami i nizinami, szczególnie narażonymi na podniesienie się poziomu morza, zwłaszcza jeśli stało się to nagle, tak jak około 12 000 lat temu. Według Enza Bosciogo, dyrektora włoskiego Narodowego Instytutu Geofizycznego, trzęsienie ziemi na Oceanie Indyjskim zakłóciło nawet ruch obrotowy Ziemi. Wyobrazenie wpływu, jaki miał znacznie potężniejszy kataklizm w epoce polodowcowej na naszą planetę, nie wspominając już o jej położonych tuż nad poziomem morza archipelagach, przerasta ludzki umysł.

Ale dobrze zrobione, przerażające zdjęcia monstrialnej fali, która zalała takie miejsca, jak tajlandzki Phuket, pozwala przelotnie zerknąć na znacznie większy potop, który zatopił Lemurię.

„W ostatnich dwóch dekadach zgromadzono dowody świadczące, że poziom morza po ostatniej epoce lodowcowej nie podnosił się stopniowo”, pisze Oppenheimer. „Trzy nagłe topnienia lodów, z których ostatnie wydarzyło się zaledwie 8000 lat temu, miały katastrofalne skutki na tropikalne wybrzeża z płaskimi szelfami kontynentalnymi. Szybkiej utracie znacznych połąci lądu towarzyszyły wielkie podziemne wstrząsy, wywołane przez pęknięcia w skorupie ziemskiej, gdy ciężar pokrywy lodowej przemieścił się do mórz. Jest pewne, że te wstrząsy wywołały superfale w wielkich oceanach świata”. Tę charakterystykę katastrofalnych potopów wyprzedził w 1970 roku geolog Cesare Emiliani z uniwersytetu w Miami. Udokumentował szereg gigantycznych „powodzi”, trwających od 10 do 100 lat, które ogromnie podniosły poziom mórz, ale skoncentrował się na ich wystąpieniu około 9600 roku p.n.e.

Brytyjski badacz Paul Dunbavin opisał niedawno dodatkowe dowody, potwierdzające tę tezę: „Na przykład przy wyspach hawajskich odkryto wiele zalanych linii brzegowych do głębokości 1100 metrów. Te wysokie plaże można zwykle datować na epokę plejstocenu [wtedy pojawił się człowiek współczesny; a skończyła się około 10 000 lat temu] lub nawet wcześniej; ale oscylacje podczas holocenu [obecna epoka geologiczna] są znacznie mniejsze od tamtych. Opublikowane informacje o zmianach poziomu mórz zazwyczaj wskazują na średni wzrost od około 35 do 40 metrów między 10 000 a 5000 lat temu, z niewielkim spadkiem, jeśli w ogóle, od tego czasu”.

Szerokie drogi Lemurii musiały zostać przerwane przez „nagłe ostrzeżenie, które nastąpiło około 10 500 lat temu, znane jako interstadiał Boellinga”, według Caroliego:

To największa i całkowicie nieoczekiwana zmiana poziomu morza pod koniec ostatniej epoki lodowcowej, jej rezultatem był ogromny wzrost poziomu morza o około 19,8 metra. Były większe oscylacje ziemskiego pola magnetycznego między 9700 a 9100 rokiem p.n.e. Siła tego pola nieoczekiwanie zmniejszyła się pięciokrotnie, a potem znowu wzrosła, później zaś biegun magnetyczny przesunął się o tysiące kilometrów od poprzedniej pozycji na okres od 20 do 100 lat. Rozbłyski na Słońcu i deszcze meteorytów mogą skutkować [sic!] zmianą pola magnetycznego, więc oba te zjawiska przypuszczalnie wydarzyły się mniej więcej w tej samej epoce, od około 12 700 do 9100 roku p.n.e. Mogło być wiele katastrof, nie tylko jedna. Jednak nikt nie wie, co spowodowało to ocieplenie, ani dlaczego okazało się tak wielkie.

Jak wskazuje Oppenheimer:

Niektórzy katastrofiści widzą w tym dowód na straszną klęskę, taką jak bombardowanie meteorytowe. Tsunami mają dużych braci, czasami nazywanych superfalami, które mogą następować po „wizytach” sporych ciał z kosmosu... Takie fale, jak te mogą osiągnąć wysokość setek metrów i wędrować setki kilometrów w głąb lądu. Wywołane w ten sposób gigantyczne powodzie zalałyby duże obszary przybrzeżnych nizin i nawet małe góry. W zależności od rozmiarów asteroidy lub komety i miejsca, gdzie spadła, mogą powstać katastrofalne pożary i deszcze ogniste w rezultacie wyrzucenia materii wulkanicznej do atmosfery. Nieuniknione będzie wzmoczenie aktywności sejsmicznej. Po początkowych niszczyielskich skutkach tych fal i wzroście aktywności wulkanicznej, prawdopodobnie nastąpi przedłużona zima, jako przesunięty w czasie skutek wyrzucenia do atmosfery materii wulkanicznej przez popękana skorupę ziemską. Może nawet nastąpić krótka epoka lodowcowa.

Caroli przyznaje, że „indopacyficzne tektyty prawdopodobnie pochodzą z okresu między 16 000 a 9000 lat temu”. Tektyty to małe, szkliste ciała, powstające w kosmosie, szczątki asteroidów lub meteorytów zderzających się z Ziemią. Autor książki *Watermark* (Znak wodny), Joseph Christy-Vitale również dochodzi do wniosku, że seria kataklizmów związanych z meteorytami lub kometami współistniała z końcem ostatniej epoki lodowcowej. Píše on tak:

W ciągu ostatnich 15 000 lat nasze najbliższe otoczenie galaktyczne było świadkiem pięciu wybuchów supernowych. Uważa się, że jedna z nich, gwiazda Vela, musiała zniszczyć się sama między 11 000 a 14 000 lat temu w odległości 45 lat świetlnych od Ziemi. Według kosmicznych standardów to jest „tuż za rogiem”. Odłamek płonącej materii gwiazdnej, niewiele mniejszej od Ziemi, pomknął w naszym kierunku i, wędrując z prędkością mieszczącą się między jedną pięćdziesiątą a jedną setną szybkości światła, mógł wejść w zewnętrzne granice naszego systemu słonecznego mniej niż 1000 lat po wybuchu. Wydarzenie, które pamiętamy, nastąpiło około 12 000 lat temu i, zbiegając się z datami ostatecznej konwulsji Veli, sugeruje, iż ten gwiazdny szrapnel był powodem lokalnej katastrofy.

Mimo przerażającej skali katastrof, Mu w większej części przetrwało, pomimo nieuniknionej utraty terytoriów, ponieważ jego wyspiarska ludność była rozproszona na łańcuchach archipelagów, które prawie łączyły kontynent amerykański z Azją. Mimo to wstrząsy zmusiły wielu Lemuryjczyków do opuszczenia zatopionych lub zniszczonych małych ojczyzn i szukania nowego życia

w innych częściach świata, gdzie ich wpływy były naprawdę duże. Jak uważa Oppenheimer: „Większa część rozmieszczenia współczesnych języków – w każdym razie do wielkich kolonizacji w niedawnych czasach – pochodzi z końca epoki lodowcowej”.

Ale jeśli „niebiańska” przyczyna tych katastrofalnych wydarzeń ma charakter hipotetyczny, to następne trzy globalne kataklizmy bez wątpienia wywołało zjawisko, które starożytni Grecy określali jako Ekpyrosis, powszechny pożar, czyli „spalenie świata”. Niedawno, bo w 1997 roku na międzynarodowym sympozjum archeoastronomów, geologów, fizyków, klimatologów, paleobotaników i największych autorytetów w innych pokrewnych dziedzinach w brytyjskim Fitzwilliam College, w Cambridge, osiągnięto powszechną zgodę dotyczącą prawdopodobieństwa starożytnego Ekpyrosis. Uczeni doszli do wniosku, że wczesną historię cywilizacji przerwało bliskie przejście komety-zabójcy, która sprawiła, że ludzkość znalazła się na skraju zagłady. Znana jako kometa Enckego, od nazwiska XVIII-wiecznego szwajcarskiego astronoma, po raz pierwszy omal nie trafiła w Ziemię około 3100 roku p.n.e. i zrzuciła ognisty deszcz szczątków, pustosząc spore rejony naszego globu. Upadki meteorytów wywołały wybuchy wulkanów, trzęsienia ziemi i tsunami, które szalały na oceanach. Cywilizacje upadły i zastąpiły je nowe królestwa. Jak wspomniałem w *Ocalałych z Atlantyd*, „ogromne powodzie zmusiły przodków Austronezyjczyków, którzy należeli do archeologicznej kultury znanej jako Dawenkou w południowym Shandongu i Jiangsu, do emigracji z Tajwanu na Filipiny”. Epoka paleolitu zakończyła się nagle i jednocześnie w Chinach, Korei i Japonii.

„Wydaje się więc, że należy patrzeć na tę aktywność wulkaniczną i zmiany klimatyczne około 3100 roku p.n.e. jako na jedyny dowód znacznie szerszej niemocy”, stwierdza Dunbavin. „Na tę niemoc należy raczej patrzeć jak na konsekwencje zderzenia i wynikającego stąd zjawiska chwiania się Ziemi na jej osi i nieuniknionej zmiany nachylenia tej osi... Źródła wskazują, że przed tą datą świat był bardzo odmienny od tego, który dzisiaj zamieszkujemy. Mapa tamtego świata wydałaby się nam obca, z wieloma wyspami, które dzisiaj nie istnieją!

Blizny po przejściu komety Enckego pod koniec IV tysiąclecia p.n.e. nadal są widoczne w postaci kraterów Henbury w północnośrodkowej Australii i w wybitych w lodzie otworach, wypełnionych ówczesnym popiołem wulkanicznym z obu stron Oceanu Spokojnego. W czasie gdy kalifornijska góra Shasta zaczęła wyrzucać lawę, wybuchły japońskie wulkany Hakone i Numazawa na wyspie Honsiu oraz Rishiri na Hokkaido. Przyczynę ich ogólnie jednoczesnej aktywności znaleziono wśród licznych tektytów datowanych na ten sam okres.

Jak zauważył Dunbavin, „W Andach lodowiec San Rafael zaczął się przesuwać do przodu po 3000 roku p.n.e., osiągając maksymalną odległość około 2500 roku p.n.e. Ta data pochodzi z badań osadów dennych z jeziora, które powstało na ostatniej morenie”. Tylko wyjątkowo potężny wpływ mógł spowodować ruch lodowca, wydarzenie współczesne katastrofalnemu zjawieniu się komety Enckego.

Dowody o wielkiej powodzi w tym okresie zaczynają odślaniać skalę katastrofy z końca IV tysiąclecia p.n.e. Dunbavin wyjaśnia:

Przed 1000 rokiem p.n.e. lasy mangrowe pokrywały całe wybrzeże na południe od Manta (Ekwador), aż do zatoki Guayaquil. Wydaje się, że maksymalną powierzchnię osiągnęły około 5000 roku p.n.e., kiedy sięgały aż do Talara w Peru, o trzy stopnie szerokości geograficznej dalej na południe. Te zmiany wskazują na przekształcenia w naturze prądów morskich, które umożliwiły deszczom tropikalnym wędrowkę dalej na południe. (...) Zalany las w pobliżu Wellington w dolinie Hutt na Nowej Zelandii, również jest doskonałym dowodem. Datowany na około 3200 do 3000 roku p.n.e. dobrze współgra z osadem z podobnego zatopionego lasu z tej epoki w Europie Zachodniej (...) Wzdłuż zachodniego wybrzeża Australii, wystająca, „świeżo” zalaną platformę plażową nurkowie zauważyli na głębokości od trzech do czterech metrów poniżej poziomu morza. Ją również datowano wstępnie na mniej więcej 5000 lat temu... Wzdłuż pobliskiego japońskiego wybrzeża zasięg małży ciepłowodnych „cofnął się” o jakieś 6 stopni C dalej na południe około 3000 roku p.n.e., co wskazuje na temperaturę o 5 stopni C wyższą niż dzisiaj i równoczesną z miejscowym obniżeniem poziomu morza.

Dunbavina popiera Christy-Vitale’a:

Rozrzucone na wielkich obszarach Pacyfiku są tysiące odizolowanych wysp. Szeroko rozpowszechnione wśród tych wysp są znajdowane na lądzie muszle małża z rodziny *Clausiliacea*. Te małże mają wrodzoną awersję do słonej wody i ich rozmieszczenie oraz bliskie pokrewieństwo przekonało niektórych botaników, że kiedyś na tym ogromnym obszarze oceanu istniał duży kontynent. (...) Hipoteza, że małże te rozdzieliły się w rezultacie powolnego, stopniowego procesu dryfu kontynentów, jest podawana w wątpliwość, ponieważ są one zbyt blisko spokrewnione. Ten dowód stwarza wrażenie, że wszystkie te zwierzęta zostały pozostawione samym sobie przez nagłe i dramatyczne wydarzenie w niedalekiej geologicznej przeszłości.

Katakizm z końca IV tysiąclecia p.n.e., który wstrząsnął światem, zniszczył większość Praojczyzny, chociaż jej mieszkańcy zachowali swoją kulturę na

ocalających wyspach i archipelagach. Przez następnych 1000 lat doprowadzili do rozkwitu dary cywilizacji tak długo rozwijane przez ich przodków, aż naturalna katastrofa, która pchnęła Mu na skraj przepaści, stała się mglistym wspomnieniem. Te straszne chwile ożyły w pamięci mieszkańców Mu w 2193 roku p.n.e., kiedy kometa Enckego ponownie pokazała swoje straszne oblicze na nocnym niebie Ziemi. Pluła płonącymi głazami do Pacyfiku, zapalając wulkany w Japonii, od słynnej góry Fudzi do góry Mashu na wyspie Hokkaido i dalej na północ do Góry Mendelejewa na Wyspach Kurylskich.

Po drugiej stronie oceanu wybuchła alaskańska góra Hays. Towarzyszyły temu wielkie erupcje w Sand Mountain Field w stanie Oregon, w górach Dotsero w Kolorado i Hell's Half-Acre w stanie Idaho. Tysiące kilometrów sześciennych popiołu, wyrzucone przez te wybuchy do atmosfery, spowodowały regresję klimatu, która została „zarejestrowana” na torfowiskach i w pierścieniach drzew, zbadanych przez dendrologów. Globalne temperatury zaczęły gwałtownie spadać, słońce przesłaniały ciemne chmury. Klęska nieurodza wywołała głód. Caroli stwierdza, że „ostatnie znane megatsunami na Oceanie Indyjskim uderzyło w zachodnią Australię około 2000 roku p.n.e.” Jett pisze o „poważnej zmianie klimatu w Azji w latach od około 2000 do 1000 p.n.e.

Chińczycy zapisali te katastrofalne wydarzenia w micie. Ich Shanhaijing opowiada o K'ung-Kungu, rogatym potworze, który wybił dziurę w niebie i zaślonił słońce jako płonący czerwony smok długi na 1000 li – dosłownie od horyzontu do horyzontu. Wypluwając rozpalone głazy, K'ung-Kung podpalił świat. Jak opowiedział to Caroli: „Niebiosa były pomieszczone, wywołując ciemności, trzęsienie ziemi i fale, które sięgały wyżej niż góry i zalały doliny. To nie była rzeczna powódź! Mówiono, że ludzkość potrzebowała dziewięciu lat, aby dojść do siebie po kataklizmie, który przypuszczalnie miał miejsce około 2200 roku p.n.e.” W tym samym czasie, cesarz Shun wstąpił na tron wtedy, gdy „dziesięć słońc pojawiło się od razu i zagroziło spalaniem świata”.

K'ung-Kung jest wyraźnym odniesieniem do zabójczej komety, która powróciła, wywierając niszczycielski wpływ na naszą planetę. Jeszcze raz Mu przetrwało, jego cywilizacja poniosła ciężkie straty i więcej wysp zginęło w morzu lub zostało zniszczone przez wybuchy wulkanów. Lecz Lemuryjczycy byli wytrzymali na przeciwieństwa losu i wykorzystali nawet najgorsze nieszczęścia jako fundament do odbudowania społeczeństwa i odzyskania dawnego szczęścia przy nowej okazji. Ale następny kataklizm miał być dla nich ostatnim. Pięćset sześćdziesiąt pięć lat po „ataku” K'ung-Kunga na Ziemię, kometa Enckego znowu zmiotła usianym meteorami ogonem, podwajając ogniste zniszczenia wokół całego świata, mijając go pod koniec III tysiąclecia p.n.e. Najbardziej zapamiętanym skutkiem „wyprawy” komety Enckego na początku XVII wieku

p.n.e. był wybuch wulkanu na egejskiej wyspie Thera, znanej dzisiaj jako Santorin. Jego zawalenie się wywołało wysokie na 166,6 metra tsunami, które zaatakowało całą wschodnią część basenu Morza Śródziemnego, obaliło cywilizację minojską na Krecie, zniszczyło miasta wzdłuż całego wybrzeża Azji Mniejszej i Bliskiego Wschodu i utopiło wielu ludzi w delcie Nilu.

Obszar Pacyfiku też nie uszedł kary. Tak jak przedtem, Japonia ucierpiała od wybuchu kaldery na górze Sanbe na południu Honsiu, podczas gdy z drugiej strony morza wybuchł alaskański wulkan Akiachak. „Była to jedna z najpotężniejszych postglacjalnych erupcji”, zauważa Caroli „przy połowie materiału wyrzuconego przez wulkan Tambora, ale większej ilości niż z Thery. Egejski wulkan wyrzucił do atmosfery od 48 do 53 kilometrów sześciennych materiału, lecz Akiachak wypuł 80 kilometrów sześciennych popiołu”. Krater Blue Lake ze stanu Oregon i wulkan Newberry wypuły lawę, tak jak osławiona Góra św. Heleny w Waszyngtonie. Na południowopacyficznej wyspie Rabaul wulkan wybuchł niezwykle gwałtownie, ale przegonił go w wyrzuceniu większej ilości gazów hawajski wulkan Mauna Kea. Gdzie indziej na Pacyfiku, jak opowiada sławny katastrofista Immanuel Velikovsky, istnieje samońska opowieść o dawnym kontynencie, w którego skład miały wchodzić Borneo, Fidzi i Tonga, nagle pochłoniętym przez morze w tym samym okresie.

Lecz najniezwyklejszym wydarzeniem z 1628 roku p.n.e. była erupcja nowozelandzkiego Taupo. Caroli mówi: „Strefa wulkaniczna Taupo jest całkiem spora, długa na 250 kilometrów, szeroka od 40 do 50 kilometrów, i obejmuje nie tylko północną wyspę Nowej Zelandii. Jest również popękana na mniejsze regiony. Według datowania za pomocą metody węglowej, mogło to być dokładnie współczesne z erupcją Akiachaka”. Potężniejszy niż nuklearny, wybuch Thery wypuł ścianę wody wysoką na 66,6 metra, wędrującą z szybkością kilkuset kilometrów na godzinę przez Pacyfik. Wyspy stojące jej na drodze zostały zalane. Całe archipelagi zniknęły lub nagle zapadły się pod powierzchnię oceanu wśród towarzyszących temu trzęsień ziemi.

Caroli zauważa, że „podczas dużego trzęsienia w Chile, w 1960 roku, niektóre obszary nadbrzeżne opadły o ponad 1,2 metra”. W podobnej sytuacji płaskie, położone tuż nad powierzchnią morza szelfy kontynentalne, które tworzyły tak wielką część Mu, na pewno zostałyby zalane. Jeżeli nagle opadły o 4,5 metra, jak spore części południowego Illinois podczas trzęsienia ziemi w New Madrid na początku XIX wieku, które było wyczuwane na przestrzeni 2,4 miliona kilometrów kwadratowych, miliardy ton wody wpadające na to terytorium zepchnęłyby je na dno morza. David Sandwell, profesor nauk o Ziemi w znanym Instytucie Oceanograficznym, którego centrala znajduje się w La Jolla, w Kalifornii, wierzy, że podobieństwa między wielkim trzęsieniem ziemi w New Madrid

i możliwym mechanizmem geologicznym lemuryjskiego potopu są prawdziwe. „Podczas trzęsienia”, mówi, „ziemia mogłaby podnieść się i opaść o 10 metrów, a to by wystarczyło do zatopienia narażonych terenów. Myślę, że prawdopodobnie była tam jakaś cywilizacja, która została zniszczona”.

Połączenie wybuchów wulkanów, deszczu meteorytów, megatsunami i sejsmicznego wypiętrzenia falującego podczas trzęsienia ziemi na Pacyfiku, rozzerwało Praojczyznę na kawałki. To, co pozostało z jej terytorium, było tak zmiążdżone, że nie nadawało się ani do naprawy, ani do odbudowy. Grupy zszokowanych, walczących Lemuryjczyków wtopiły się w obce populacje Oceanii, Azji i kontynentu amerykańskiego. Nieprzypadkowo tak zwana kultura Lapita, charakteryzująca się wyrafinowaną ceramiką i dalekimi podróżami, pojawiła się na zachodnim Pacyfiku mniej więcej w tym czasie. Jej przedstawiciele byli uchodźcami przed naturalnym kataklizmem, który zniszczył Mu.

Chociaż ich ciężki los śledzą obecnie archeolodzy i geolodzy, znała go przez tysiąclecia połowa tubylczych ludów świata. Jak zwraca uwagę Oppenheimer: „Historie o katastrofie niszczącej jakąś cywilizację są starsze niż pismo”. Cytuje pracę Stitha Thompsona, wybitnego amerykańskiego badacza folkloru, który uznał *Światowy Ogień* za część pacyficznych mitów, opowiadających o globalnej klęsce żywiołowej. Na przykład przedbuddyjscy Tybetańczycy mówili, że

kiedyś w przeszłości, w pierwszym cyklu czasu, wszystkie żywe istoty, od szczytu istnienia do głębin piekła, miały zostać zniszczone i wytepione. Stojąc wyprostowany na siedmiu złotych górach, Kunzang At Muwer zamachnął się płonącym złotym kamieniem, wielkim niczym dziki jak. I kręcąc nim w przestrzeni, rzucił go na Ziemię. Kamień wpadł do zewnętrznego oceanu [Pacyfiku] i to ogromne morze zawrzało i się skurczyło. Cztery [duże] kontynenty i te mniejsze zapaliły się na brzegach i góra Meru [*axis mundi* lub święty środek świata] była bliska zawalenia się. Wtedy bóstwa i demony z dziewięciu wymiarów zdrzały ze strachu, zemdlały i zostały sparaliżowane.

Ludem, który nigdy nie znał pisma, a przecież przechował żywy obraz lemuryjskiej katastrofy, są australijscy Aborygeni. Opowiadają oni o Mu-Mu-Na, płonącym tęczowym wężu, znanym też jako Mu-It, który spadł z nieba, aby wywołać światowy potop. Kiedy nawet dzisiaj Aborygeni opowiadają tę historię, wymachują jakimś instrumentem, który określają jako „tego, co ryczy jak byk”. Nazwali go tak od mitycznego huku i świstu komety, która wywołała potop, ponieważ naśladuje on przerażający dźwięk wydawany przez spadającego tęczowego węża. W ich legendach często pojawiają się opisy mitycznego rajy przodków przed jego zatonięciem; zapamiętali go jako Baralku.

Dla podkreślenia historycznej prawdziwości tej nazwy, wypiarze z Fidżi wspominają zaginioną ojczyznę jako Burotu, a na dalekim Samoa i Tonga – nazywano ją Buloto. To właśnie tam, według ustnej tradycji, uchodźcy z Burotu przywieźli 105 ton koralowego wapienia do budowy monumentalnego łuku, zwanego Brzemieniem Maui, który został opisany w rozdziale 4. Mieszkańcy Tonga wierzą, że Buloto uległ zagładzie, kiedy „niebo runęło w dół”, a ogień poślubił wodę, aby stworzyć Wyspy Samoa. Burotu z Fidżi może mieć filologiczne powiązania z Rutas, inną nazwą Mu, znaną w Azji. W melanezyjskiej tradycji Makonaima to ostatni król Burotu, zanim zatoneło w Oceanie Spokojnym. Mówi się, że był przywódcą Vue, wymarłej rasy jasnowłosych cudzoziemców, którzy przemierzali Melanezję po jakimś przerażającym potopie. Opisywani jako posiadacze potężnej *mana*, Vue wzniesli megalityczne konstrukcje, rozproszone na wyspach Pacyfiku.

Zgodnie z opowieściami austronezyjskiego plemienia Tanimbar z południowo-wschodniego Maluku, Atuf oddzielił włóczęgą Mniejsze Sundras od Bornego, gdy uciekał wraz ze swoją królewską rodziną na wschód po wielkim kataklizmie, który unicestwił ich daleką ojczyznę. Te wydarzenia podobno nastąpiły, gdy cała Ziemia była niestabilna geologicznie.

Wzmianki o śmierci Praojczyzny spotykane są na całej Nowej Gwinei. Plemiona Kai charakteryzują Ne-Mu jako znacznie wyższych i silniejszych od dzisiejszych ludzi. Podobno władali światem przed Wielkim Potopem. Nauczyli przodków ludu Kai rolnictwa i budowy domów. Wszyscy Ne-Mu zginęli podczas potopu, ale ich ciała zamieniły się w wielkie kamienne bloki. Ta ostatnia cecha zdradza reakcję Kai na megalityczne konstrukcje znajdujące od czasu do czasu na Nowej Gwinei, często wzniesione z ogromnych kamieni. Kai identyfikują je z przedpotopowymi Ne-Mu. Natomiast inne nowogwinejskie plemię Nages, zamieszkujące wyżyny wyspy Flores, opowiada o Dooy, swoim jasnoskórym, rudowłosym praojcu. On jeden przeżył Wielki Potop, który zniszczył jego dalekie królestwo. Kiedy przybył w wielkiej łodzi, wziął za żony wiele miejscowych kobiet. Te urodziły mu dużo dzieci, które stały się przodkami ludu Nages. Kiedy Dooy umarł jako bardzo sędziwy starzec, jego ciało pogrzebano pod kamienną platformą na środku ceremonialnego placu w stolicy jego plemienia, Boa Wai. Grób Dooy to centralny punkt dorocznego święta plonów, nadal urządzanego przez Nages. Podczas uroczystości wódz plemienia nosi nakrycie głowy, które ma przypominać z wyglądu złoty statek z siedmioma masztami. Jest to model tej samej jednostki, w której Dooy uciekł przed zatopieniem wyspiarskiego królestwa na Oceanie Spokojnym.

Według brytyjskiego pisarza Chrisa Ogilvie-Heralda, „nawet w górach Tybetu przetrwała tradycja o kataklizmie, który zalał wyżyny, i o kometach, które wywołały wielkie trzęsienia ziemi”.

Wyjątkowo obrazowy opis lemuryjskiej katastrofy odkryto wśród plemienia Shanów, mieszkańców północno-wschodniej Birmy (Myanmar). Obrażony niemoralnością stworzonych przez siebie ludzi, Ling-lawn, bóg nieba, wysłał pomniejsze bóstwa, aby ukarały ludzkość. Mit głosi, że „zesłali wielki pożar, rozrzucając wszędzie ogień. Ogarnął on całą Ziemię, a chmury dymu wzniosły się do nieba”. Ling-lawn ułagodził swój gniew i zgasił płonący świat globalnym potopem, który zabił wszystkie żywe istoty, z wyjątkiem mężczyzny i kobiety zaopatrzonej w worek nasion. Ta para przeżyła potop gniewnego bóstwa w łódce i później zaludniła świat.

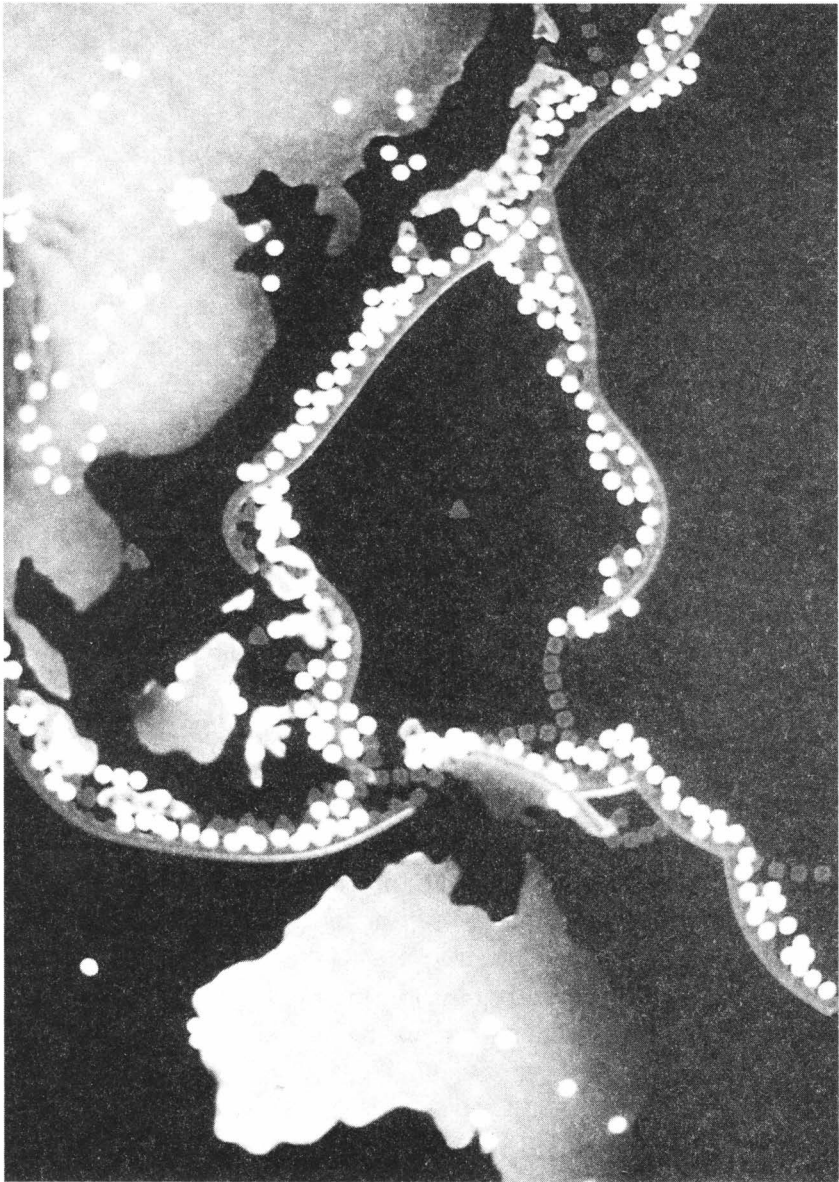
Inna para przybyłych z morza bohaterów miała zbudować dziwne mikro-nezyjskie miasto Nan Madol na wyspie Pohnpei, opisane w rozdziale 1. Czarodzieje bliźniacy rzekomo przybyli ze wspaniałego królestwa, zniszczonego później przez spadające gwiazdy i trzęsienia ziemi. Siły te zepchnęły Kanamwayso na dno morza, gdzie zamieszkują duchy ofiar tego kataklizmu. Dwaj czarownicy mają też władać duchami ludzi, którzy później utonęli. To samo zatopione królestwo znane jest w Polinezji pod bardziej wymowną nazwą, Mu-ri-wai-o-ata.

Nan Madol zbudowano, aby uratować lemuryjski spichlerz na Filipinach przed tajfunami, i to właśnie tam, w centralnym górzystym rejonie Mindanao, rdzenni mieszkańcy z ludu Ata opowiadają, jak „Wielki Potop pokrył całą Ziemię. Wszyscy utonęli z wyjątkiem dwóch mężczyzn i jednej kobiety. Wody uniosły ich daleko”. Plemię Ata nadal wywodzi swoje pochodzenie od tych jasnoskórych uchodźców, których dzieci poślubiły Negrytów i tubyłców.

Tysiące kilometrów na wschodzie, po przeciwnej stronie Oceanu Spokojnego, Majowie zamieszkujący zachodnie wybrzeża Meksyku, w ceremonialnym ośrodku Monte Alban, powiedzieli w końcu XIX wieku archeologowi Augustowi Le Plongeonowi, że Homen, bóg kataklizmów, zniszczył poprzedni świat: „Mocą swojej silnej woli Homen sprawił, że Ziemia zadrżała po zachodzie słońca; a w nocy Mu, kraj błotnistych wzgórz, został zatopiony. Mu dwukrotnie zeskoczył ze swoich fundamentów. Potem został złożony w ofierze płomieniom”. To nie przypadek, że niektóre z budowli w kształcie piramid z Monte Alban, z bliźniaczymi pylonami, są wyraźnie podobne do tarasowatej konstrukcji odkrytej pod wodą przy brzegach japońskiej wyspy Yonaguni.

Indianie Klamath z południowo-środkowego Oregonu i północnej Kalifornii wierzą, że Kmukamtch, świecący demon z nieba, usiłował spalić Ziemię płomieniem, a potem nastąpił globalny potop. To oczywiście odniesienie do komety, która zniszczyła Lemurię, podkreśla występowanie nazwy Praojczyzny w imieniu demona. Dla innego kalifornijskiego plemienia, Modoc, Kmukamtch oznacza dosłownie „pradawny starzec z Mu”, stwórca ludzkości. Według kalifornijskich Indian Ute, „Słońce zadrżało i rozpadło się na tysiąc fragmentów.

Ogniste kawałki spadły na Ziemię, powodując powszechny pożar. Tę eksplozję z nieba nazywają Ta-wats, który zniszczył świat. „W końcu, napuchnięte od gorąca, oczy boga otworzyły się gwałtownie i popłynęło z nich tak wiele łez, że powstał potop – zalał Ziemię i zgasił ogień”.



Na mapie z Milwaukee Public Museum widać zarysy zaginionej Praojczyzny. Kropki oznaczają wulkany, linie zaś miejsca trzęsienia ziemi.

Kometarny wątek pojawia się też w tradycji ludu Sinkaietk, czyli południowych Indian Okanagon, w stanie Waszyngton. Rozgniewany niewdzięcznością stworzonych przez siebie ludzi, Qoluncotun cisnął gwiazdę na Ziemię, która buchnęła płomieniami. Zanim jednak cała planeta spaliła się na popiół, zgasił pożar spychając „wielki ląd” pod morze i wywołując wielki potop. Z nielicznych uchodźców ponownie ukształtował ludzkość podzieloną na różne plemiona.

Mitolog William Alexander przytacza przerażający obraz dawnego kataklizmu, którego wspomnienie zachowały plemiona Haida, Tingit i G’tskan z wybrzeży Kolumbii Brytyjskiej. Opowiadają oni o płonącym potworze, który spadł z nieba z „gwizdkiem w paszczy. Kiedy ruszył do przodu, dmuchał w gwizdek z całej siły i robił straszny hałas. Nadszedł, płynąc i dmuchając. Wyglądał jak olbrzymi nietoperz z rozłożonymi skrzydłami. Podobnie jak u chińskiego, sięgającego krańców horyzontu Ku’ung-Kunga, ogniste pióra potwora „rosły, aż mogły dotknąć nieba z obu stron”. Kiedy spadł na świat, „nie było tam nic oprócz fal płomieni. Skały się paliły, grunt się palił, wszystko się paliło. Unosiły się wielkie kłęby i słupy dymu. Ogień mknął ku niebu wielkimi płomieniami, wielkimi iskrami i pochodniami. Wielki ogień płonął, huczac na całej Ziemi, paląc skały, drzewa, ludzi, paląc wszystko. Woda runęła na ogień. Runęła jak tłum rzek, pokryła Ziemię i zgasła ogień, gdy pełził na południe. Woda podniosła się wysoko jak góra”.

Indianie Ntlakapamuk mieszkający nad rzeką Thompson w Kolumbii Brytyjskiej również mówią o czasie, kiedy Ziemię trawił płomień tak powszechny, że tylko globalny potop zdołał go zgasić. Dalej na północy, Indianie Cree z koła podbiegunowego zachowują tradycje o katastrofalnym potopie, który dawno temu zniszczył większą część świata. Wesucechak był zmiennokształtnym szamanem, ocalałym z katastrofy, którą wywołał, gdy wdał się w walkę z wodnymi potworami, gdyż zamordowały jego brata, Misaposa. Indiańscy Aleuci z Archipelagu Aleutów czczą pamięć Iraghdadakha – dosłownie „Starca”, który ponownie zaludnił świat po zalaniu go przez morze.

Wspólne opowieści, rozpowszechnione wśród bardzo różnych ludów wokół Krawędzi Pacyfiku, zazwyczaj opisują okrutną kometę, która dawno temu spowodowała zniknięcie ojczyzny ich przodków – położonej na środku Oceanu Spokojnego – pod powierzchnią wody. Jak już mówiliśmy, tradycje wśród mieszkańców tego wyjątkowo rozległego regionu, gdzie to wydarzenie podobno nastąpiło, analogicznie mówią o Ekpyrosis Oceanii. W wersji z Wyspy Wielkanocnej, Hiva, wielka ojczyzna Hotu Matua zatonała z powodu wspólnego ataku trzęsienia ziemi i upadku meteoru. Samończycy mówią o tym, jak „niebiosy spadły” na Hiva, podpalając ją i spychając pod fale: „Potem pojawił się straszny smród. A ten stał się dymem, który zmienił się w wielkie, czarne chmury. Morze nagle się podniosło i w zdumiewającej katastrofie naturalnej ląd zatonał

w morzu”. Dla Tahitańczyków Tangaroa, bóg nieba, był tak rozgniewany na ludzi z powodu ich nieposłuszeństwa, że „przewrócił świat do wody”, zatapiając wszystko z wyjątkiem kilku górskich szczytów, wystających ponad falami. Podobnie jak legenda z Wyspy Wielkanocnej opowiadająca, że niesamowity spokój poprzedził katastrofę, tahitański mit mówi, że „wiatr również ucichł i kiedy wszędzie było spokojnie, kamienie i drzewa zaczęły spadać z nieba”.

Tubylcy z Wysp Sandwich opisali Tai-a-kahina’rii, czyli „Morze Kahina’rii”. Zalało ono ich poprzedni kraj, który wcześniej został spalony na popiół przez Ta-poha-i-tahi-ora, czyli „wybuch w miejscu życia”.

Czołowy bohater wyspy Mangaia, Ngaru, rozpetał tak potężny potop, że woda zgasiła piekielne ognie. Jego historia i lemuryjska nazwa zaginionej ojczyzny zachowały się w popularnej pieśni o stworzeniu, *Lamencie o Verze*: „Niestety, dzwon ogłasza śmierć Mueu! Jak spustoszony jest nasz kraj! Grupa Very bezpiecznie dotrze do swej ojczyzny pod żarzącym się przypyływem”.

Maorysi z Nowej Zelandii opowiadają o kapłanie, który modlił się o ocalenie przed wielkim niebiańskim ogniem, grożącym spaleniem świata, kiedy ten wciąż był nowy. Na jego modlitwy bogowie odpowiedzieli zesłaniem kolosalnego potopu, który zgasił wszystkie ognie, ale startł z powierzchni ziemi wspańnię królestwo, zabijając większość mieszkańców.

Długie opowiadanie o tym kataklizmie jest częścią *Te-Tai-Toko*, czyli *Pieśni o Potopie* z Markizów. Zaczyna się tak:

O, Mutu-hei był władczy i wielkim duchem. Pan Ocean zamierzał przejść przez cały suchy ląd [*A taha ta te Mu oa*]. Powstało zamieszanie wśród zwierzęcych pokoleń. Ptaki śpiewają z podnieceniem. Trzeszczą drzewa w lesie. Niestabilne jest niebo. Donośnie brzmi głos pioruna [Ono]. Uderzają błyskawice. Trzęsienie ziemi wstrząsa światem. Nadchodzi ciemna chmura i tęcza. Nadchodzi gwałtowny deszcz i wiatr. Trąby powietrzne mkną nad Ziemią. Skąły spadają do wąwozów. Czerwone górskie strumienie [roztopionej lawy] mkną do morza. Tam powstają tornada. Przewracane są gęste chmury na niebie. Niech będzie wielce czczony głos [Ono] mego boga w niebie.

Tabu Lono [jasnowłosy bohater potopu] przeszło do Kahiki [Lemuria]. I obaliło tabu [przeciwko wyrządzeniu szkód Lemurii] Kahai. Tabu Kahai [bóg naturalnych katastrof] zostało złożone w oficerze na ołtarzu [zniszczenia]. Upadło i wpadło w zmieszanie. Potop ryczy i spadnie na doliny, przejdzie nad równinami. Pogrzebie góry i otoczy zbocza wzgórz. Martwe są ryby, zginęły podczas ucieczki; martwe, zniekształcone, wszędzie na Kahiki.

Potop ryczy. Bóg tego chce. Hałasuj, boże, hałasuj [*Mu Etua mu*]. Oto wyraźny kłopot. Wstrząśnięta i zmieszana jest Ziemia, poruszają się skrzela, płetwy

i głowa Ziemi. Mój bóg przybrał postać rekina. O, boże zniszczenia! Mój bóg zwrócił pierś ku niebu, zwrócił i depcze Kahiki. Podobizna Lono skazana jest na zniszczenie. Stojąc, pada na fundamenty Ziemi. Huczy głos pioruna, huczy wewnątrz błyszczącej czarnej chmury. W niebie wiruje kurz.

Kto by pomyślał, że wielka Ziemia może zostać pogrzebana pod ryczącym potopem. Upadło Makakullukahi [święte miejsce przodków]. Złamane są Kama-helskie gałęzie boga. Roztrzaskane są kruche kamienie [świątynie]. Rozsiane są odłamki w Haehae (święty ośrodek). Ono [piorun] kierował tym dźwiękiem i roztrzaskał Mutu-hei. Kraj, którym się cieszyłem, który odrzuciłem i o którym zapomniałem, zginął już wcześniej. Został zapomniany. Zatonął, zarówno z przodu, jak i z tyłu.

Chociaż Lemurię nawiedziło wiele katastrof naturalnych, przytoczone wyżej tradycje opisują kataklizm z 1628 roku p.n.e., który ostatecznie ją zniszczył. Ludowe opowieści nie tylko uzupełniają dowody naukowe o takim wydarzeniu klimatycznym, ale przywracają do życia tę chwilę w języku obrazowym i niezniszczalnym.



Wielki Potop, który zniszczył pacyficzną Praojczyznę, ukazany w dramatycznej scenie na freskach w ważnym ośrodku duchowym Tajlandii, świątyni Wat Phra Keo w Bangkoku.

13. Odkrycie Lemurii

*Pozostałości ich architektury, tak dalekie od bycia szczątkiem legendy,
nawet teraz rozrzucone są w morskiej otchłani i czekają na odkrycie w sposób,
jakiego archeologia jeszcze nie odgadła.*

Lewis Spence, 1924

W 1971 roku statek badawczy pracujący dla Decca Survey z Houston w Teksasie przedzierał się przez wysokie fale Oceanu Spokojnego w odległości około 88 kilometrów od Peru, równoległe do przybrzeżnego miasta Callao. Na pokładzie był Thomas Vanderveer, młody nawigator, który operował zdalnie sterowaną kamerą telewizyjną z zewnętrznymi lampami. Kamere zamontowano na podwodnych saniach ciągniętych za statkiem przez kabel długi na kilka tysięcy metrów. On i jego koledzy szukali wycieku ropy naftowej z dna oceanu z pomocą badających dno urządzeń, łącznie ze skanującym również na boki sonarem, który zamieniał echa odbijające się od napotkanych twardych powierzchni na dnie oceanu w elektroniczne obrazy.

Odbiornik telewizyjny Vanderveera był wyposażony we wczesną wersję wideokamery, która rejestrowała wszystko, co wykryła na taśmie filmowej. Między głębokością 2000 a 3000 metrów, gdy statek płynął z szybkością trzech lub czterech węzłów, kamera nie znalazła nic poza płaskim dnem z piasku i mułu. Po kilku długich godzinach nudnych obserwacji, kamera ujawniła stromą formację, która „wyrosła” zbyt prędko, aby Vanderveer mógł wykonać taki manewr, by nie uszkodzić sań. „Nagle trafiliśmy na jakieś wzniesienie”, wspominał, „i nie mogłem podnieść sań dostatecznie szybko, ponieważ statek robił około trzech lub czterech węzłów; mieliśmy większość kabla na zewnątrz. Kiedy sanie sunęły w górę tego wzniesienia, uderzyły w dno, a potem się przewróciły. Ale kiedy odzyskały właściwą pozycję, ujrzeliśmy budowle podobne do czegoś, co można

zobaczyć w Chichén Itza, z kolumnami wzdłuż frontonu, mniej więcej tej samej wielkości; prostokątne budynki”.

Monitor Vanderveera nagle pokazał widmowy kształt dużego budynku, stojącego i najwidoczniej nieuszkodzonego pod kilkoma tysiącami metrów wody. Lampy sań oświetliły bladą konstrukcję, która przypominała majańską Świątynię Wojowników na Jukatanie. Co znamienne, jest ona znana również jako Świątynia Kukulcana o Tysiącu Kolumn. Kukulcan, czyli Pierzasty Wąż, był tytułem jasnowłosego, jasnoskórego ojca założyciela, który przybył z morza w zamierzchłej przeszłości, przywożąc wszystkie dary wysoko rozwiniętej cywilizacji, którą zostawił.

Kamera Vanderveera szybko przesunęła się wzdłuż dwóch lub trzech podobnych monumentalnych budowli w pobliżu, a potem nie pokazała nic oprócz dna oceanu. To przypadkowe „spotkanie” trwało krócej niż minutę. W ogromnym podnieceniu, jakie wzbudziło to zaskakujące odkrycie, zlekceważono przepisy i zapomniano o zapisaniu pozycji, a późniejsze frustrujące próby odnalezienia zatopionego miasta się nie powiodły. Lecz wideotaśma wiernie zarejestrowała obraz. Po ponownym jej przejrzeniu, Vanderveer i jego koledzy doszli do wniosku, że te struktury nie tylko były sztuczne, lecz także bardzo podobne w stylu do architektury środkowoamerykańskiej.

To niezamierzone odkrycie o kilka lat wyprzedził inny oceanograficzny statek, R.V. „Anton Bruun”, 29 października 1965 roku. Podczas gdy jego załoga pobierała próbki z dna oceanu i zbierała okazy małych małży na tym samym obszarze peruwiańskiego wybrzeża na podobnej głębokości, jak statek Decca Survey na głębinię Milne-Edwardsa w pobliżu Rowu Peru-Chile, podwodne kamery automatycznie fotografowały dno morza. Dopiero po wielu godzinach, po wywołaniu i skatalogowaniu tuzinów zdjęć, badacze zauważyli niezwykle obraz.

Oficjalny raport z 11. wyprawy statku „Anton Bruun” tak to opisuje:

W pobliżu Callao na głębokości 2000 metrów otrzymano kilka wyjątkowo interesujących fotografii (pomiar 158). Zdjęcie 11. ukazuje dwie kolumnowe struktury, wystające z osadów. Znalazły się tylko na jednym ujęciu z 75–80 zrobionych na tym punkcie pomiarowym. Ten punkt pomiarowy został ponownie sfotografowany w celu zdobycia większej liczby wskázówek co do pochodzenia tych struktur. Na jednej klatce znalazła się skała podobna do bloku, podobnie umieszczona na warstwie osadów, a druga ukazała coś, co może być inną zasypaną kolumnową strukturą. Aż kusi, żeby uznać to za dowód, że są to zatopione konstrukcje, będące dziełem ludzkich rąk. Pozorne „inskrypcje na kolumnach są sugestywne, tak samo jak ich pionowa pozycja. Brak typowych

ujęć podwodnych skał sugeruje dalej, że na tych zdjęciach zarejestrowano coś więcej niż zwykłe skały osadowe. Na pewno istnieje możliwość, choć niewielka, że te fotografie ukazują zatopione konstrukcje wykonane przez ludzi. Trzeba będzie określić, czy wpadły one do morza, czy też zostały stopniowo zalane.

W opinii geologa Williama Huttona, byłego dyrektora ufundowanych przez rząd USA programów badawczych nauk o Ziemi, te struktury „na pewno bardziej wyglądają na wykonane ludzką ręką kolumny niż na naturalne formacje skalne na dnie morza”. Zdjęcia ukazały skupiska kamiennych kolumn, wystających 1,5 metra ponad mułem. Inne kolumny się przewróciły, ale wszystkie miały średnicę około 60 centymetrów i żadna nie stała idealnie prosto, lecz często pochylały się pod tym samym kątem. Jak stwierdzał raport, przynajmniej na jednej ze stojących kolumn znajdował się glyf niepodobny do żadnego pisma, znanego archeologom. Podpis pod jednym z tych zdjęć głosi: „Fotografia dna na głębokości 2000 metrów, ukazująca dwie kolumnowe struktury, wystające z osadów. Zwrócić uwagę na napis podobny do cyfry 9”.

Odkrycia statków badawczych Decca Survey i „Antona Bruuna” naprzeciwko peruwiańskiego miasta Callao na długo przedtem miały swoje odpowiedniki na lądzie”. William Donato tak napisał dla „Ancient American”: „W 1576 roku, wracając z podróży między Callao i Valparaiso, Juan Fernandez napotkał coś, co uznał za wybrzeże wielkiego południowego kontynentu. Twierdził, że widział »ujścia wielkich rzek... i ludzi tak białych, i tak dobrze ubranych, i we wszystkim odmiennych od tych z Chile i z Peru«. Niektórzy badacze zastanawiają się, czy jakiś fragment Lemurii mógł dotrzeć aż do XVI wieku, zanim został ostatecznie pochłonięty przez morze w wyniku potężnego trzęsienia ziemi, o którym wiadomo, że wstrząsnęło pacyficznym wybrzeżem Ameryki Południowej wkrótce po tym, co zobaczył Fernandez. W każdym razie oceanografowie ze statku „Anton Bruun” nie znaleźli żadnych zatopionych budowli, chociaż ich zdjęcia kamiennych kolumn w tej samej okolicy i mniej więcej na podobnej głębokości, jak odkryte przez Vanderveera konstrukcje z kolumnami od frontu, sugerują, że oba statki odwiedziły ten sam obszar oceanu. Co więcej, kolumny z głębiny Milne-Edwardsa są trochę podobne do tych ze Świątyni Wojowników z Chichén Itzá. Doktor Robert J. Menzies, szef zespołu naukowców 11. wyprawy, powiedział reporterom: „Chociaż myśl o zatopionym mieście w Pacyfiku wydaje się niemożliwa, dowody jak na razie wskazują na jedno z najciekawszych odkryć tego stulecia”.

Dowody sugerują coś jeszcze. Zarówno Vanderveer, jak i Menzies dokonali swoich odkryć na głębokości około 2000 metrów. Na takiej właśnie głębokości

leżą niezwykle podwodne wulkany, znane jako guyots. Mają prawie idealnie płaskie wierzchołki, zazwyczaj o średnicy 9,6 kilometra, które powstały dzięki działaniu fal, gdy znajdowały się one na powierzchni oceanu, o czym świadczą kopalne korale odkrywane przy wielu guyots. Korale nie mogą żyć poniżej 150 metrów, a więc musiały się ukształtować, kiedy obecnie zatopione góry były nadal na poziomie morza. Ślady falowania, zazwyczaj obserwowane na ich wierzchołkach, powstawały przez tysiące lat, gdy woda muskała najwyższe partie tych wulkanów, zanim zostały zatopione. W zajmującym ponad 1,6 miliona kilometrów kwadratowych dnie oceanu w basenie Pacyfiku, między Hawajami i Marianami, odkryto ponad 160 guyots. Co ciekawe, wiele z nich pojawia się w grupach lub skupiskach o identycznej wysokości. Wydaje się, że razem zostały zalane. Czy guyots – a w każdym razie, te o identycznej wysokości – są dawnymi ziemiami Mu? Wskazują na to budynki i kolumny znajdujące przy wybrzeżach Peru na tej samej głębokości.

Guyot odległy o około 434 kilometry od wybrzeża stanu Waszyngton rzeczywiście stanowi materialny dowód istnienia zatopionej cywilizacji. Odkryty w 1950 roku Cobb Seamount jest częścią łańcucha podwodnych gór, rozciągających się aż do zatoki Alaski. Względnie płytki w tym miejscu ocean – 40 metrów – pozwolił na dość łatwe zbadanie płaskiego szczytu guyota o powierzchni 9 hektarów kwadratowych – przez co stał się najlepiej zbadanym podmorskim wulkanem tego typu na Pacyfiku i, jak się wyraził David Hatcher Childress, „najważniejszym obiektem badań Stanowego Uniwersytetu Waszyngton przez wiele lat”. Cytuje on wydanie „Seattle Timesa” z 10 września 1987 roku, które opisywało wykonane przez ludzi artefakty wydobyte z Cobb Seamount. Znalaziono wśród nich ceramikę datowaną na 18 000 lat oraz zmumifikowane szczątki morświnów oraz wielorybów. Od czasu ich odkrycia opublikowano niewiele więcej informacji o tych znaleziskach, ponieważ przeczą one akademickiej doktrynie, która utrzymuje, że Ameryka jest zamieszкана dopiero od 13 000 lat. W każdym razie źródła o osadnictwie na Cobb Seamount sugerują, że Lemuria to bardziej kultura i lud niż konkretne terytorium i że rozciągała się poprzez Pacyfik od wybrzeży Ameryki do Japonii na wielu wyspach, z których część znajduje się teraz pod wodą.

Inne, dokonane pod lodem odkrycie, mogło określić północny zasięg tej przedpotopowej kultury. W 1938 roku amerykańscy archeolodzy Magnus Marks i Froelich Rainy zaczęli badać granice tego, co uznali za teren typowej eskimoskiej społeczności, mającej najwyżej 500 lat, jak sugerowała wieczna zmarzlina Ipiutak w północnej Alasce. Lecz podczas trzeciego sezonu wykopaliskowego zauważyli, że te granice znacznie przewyższały ograniczenia plemiennej społeczności rybackiej. Ku swemu zdumieniu, mogli rozróżnić nie

prymitywną wioskę, ale ośrodek miejski z długimi bulwarami, do których przylegały kwadratowe fundamenty. Bulwary ciągnęły się na wschód i na zachód wzdłuż północnego wybrzeża Przylądka Hope. Większe kwadratowe struktury były regularnie rozmieszczone wzdłuż pięciu głównych alei i w dół krótszych, skrzyżowanych ulic, gdzie mniejsze struktury, zapewne domy, stały pod kątem prostym do tych arterii komunikacyjnych. To była zurbanizowana przestrzeń, a nie prymitywna wioska.

Zbadano ponad 600 budowli i co najmniej 200 innych zidentyfikowano w strefie archeologicznej długości prawie 1600 metrów i szerokiej na nieco mniej niż 400 metrów, choć nie były to prawdziwe granice miasta, których nigdy dokładnie nie określono. Marks oszacował, że pierwotna populacja liczyła ponad 4000 mieszkańców, znacznie więcej niż kiedykolwiek u Eskimosów, którzy nigdy nie zbudowali takich konstrukcji ani nie zaplanowali żadnego miasta. Artefakty z 23 budynków wykopanych w czerwcu 1940 roku nie przypominały miejscowych wyrobów. Rainy tak napisał dla prestiżowego periodyku „Natural History”: „Jedna z najbardziej uderzających cech materiału z Ipiutak, to wymyślne i wyrafinowane rzeźbione ozdoby artefaktów i ich piękne wykonanie, którego nie można oczekiwać w prymitywnej, protoeskimoskiej kulturze poprzedzającej współczesną”. Badacz Rene Noorbergen dodał, że mieszkańcy tego miasta „znali matematykę i astronomię na poziomie porównywalnym z wiedzą starożytnych Majów”.

Ipiutak jest położone 209 kilometrów na południe od koła podbiegunowego, gdzie srogie mrozy i mroźnie wichury czynią z tego terenu jedno z najbardziej pustych i niezdatnych do zamieszkania miejsc na Ziemi. A przecież nie zawsze tak było. Geolodzy opracowujący warstwę, w której znaleziono te ruiny, datowali ich początki na 30 000 do 40 000 lat – ostatni okres, kiedy przylądek Hope miał dostatecznie umiarkowany klimat, pozwalający założyć taki ośrodek miejski. Archeolodzy przekonani, że pierwsze miasta zbudowano w Mezopotamii około 3500 lat p.n.e., zakwestionowali taki dowód. A przecież ten okres odpowiada drastycznemu obniżeniu poziomu mórz, który umożliwił zaludnienie nowych kontynentów, takich jak Australia. Co ma większe znaczenie dla naszych badań, tabliczki Naacalów, które Churchward zbadał w Indiach, stwierdzały, że cywilizacja po raz pierwszy powstała na Mu mniej więcej w tym czasie.

Na lemuryjskie pochodzenie mieszkańców starożytnego miasteczka wskazała też złożona z dwóch części spirala wryta w okrągły, ulubiony wzór, który znajdowano na artefaktach z Ipiutak. Nie napotkano jej nigdzie indziej w Ameryce, ale można ją odkryć – ze wszystkich ludów świata – u Ajnów, których transoceaniczne podróże do Ekwadoru zostały omówione w rozdziale 9. Związki

kaukaskich Ajnów z przylądkiem Hope pojawiły się ponownie na cmentarzu odkrytym przez Marksa i Rainy'ego. Odkopane przez nich ludzkie szczątki należały do osobników wyższych i smuklejszych niż tubylcy, a ich czaszki wykazywały cechy podobne do ówczesnych czaszek kromaniańczyków. Mieli oni również jasne włosy. Według F.S. Pettyjohna, wypowiadającego się w periodyku „Ancient American”: „Niektórzy naukowcy zwracają uwagę na podobieństwo tego zaginionego ludu do Ajnów”. W jego artykule znajduje się fotografia rudowłosej mumii należącej do prehistorycznych Alaskan, „jednej z być może tysięcy odkrytych przez ponad 300 lat. Eskimosi, którzy najechali na cały Archipelag Katarzyny z kontynentalnej Alaski, wymieszali się z pierwotnymi mieszkańcami i odziedziczyli wiele ich cech fizycznych oraz kulturę, aby stać się historycznymi Aleutami, z których bardzo niewiele jeszcze żyje... W 1741 roku, kiedy przybyli tam Rosjanie, nadal było kilku ocalałych członków tej tajemniczej rasy na północnych Kuryłach”.

Dalej pisze, że ci należący do rasy kaukaskiej mieszkańcy

(...) utrzymywali się z polowań na morzu, praktykowali mumifikację zmarłych, używali systemu dziesiętnego, aż do 100 000, i 12-miesięcznego kalendarza. Znali się na praktycznej astronomii i anatomii, ludzkiej i zwierzęcej, składając proste złamania i dokonując operacji, na przykład usuwania ropienia z oczu. Doskonali żeglarze nieustraszenie polowali na wieloryby, morsy, krowy morskie, lwy morskie i foki. Używali siarki do rozpalania ognia, krzesząc iskry z kamieni zawierających piryt. Wydobywali też miedź, siarczki i tlenki żelaza, synit, łupki, piaskowiec, pumeks, zieleniec i wiele innych minerałów, których używali do malowania lamp, talerzy, stołów, narzędzi i broni.

Przypominając sobie lemuryjską „stację kontroli pogody” w Nan Madol, Pettyjohn pisze dalej: „Oni mieli pierwsze na świecie biuro meteorologiczne: kiedy jakiś myśliwy był zbyt stary, aby ścigać zdobycz, często uczono go przepowiadania pogody. Ciśnienie atmosferyczne, gęstość powietrza i temperaturę wykorzystywali przez wieki wraz z obserwacją miejscowych warunków pogodowych, aby umożliwić obserwatorom wydawanie wiarygodnych codziennych prognoz”.

Mimo grabieży dokonanych przez fanatyków religijnych i obojętności ortodoksyjnych uczonych, dowody materialne starożytnych Alaskan nadal istnieją. Jak zauważa Pettyjohn: „Smithsonian Institution w Waszyngtonie jest jedynym oficjalnym miejscem przechowywania nielicznych pozostałych alaskańskich mumii. Dużą ich liczbę spalili wcześnie chrześcijańscy misjonarze, tępiąc wszelkie formy pogaństwa. Lecz bez wątplenia jest jeszcze więcej do

odkopania na mroźnej północy. Być może w przyszłych wykopaliskach zostaną znalezione dostatecznie dużo materiałów, aby raz na zawsze ustalić tożsamość jasnowłosego ludu, który dawno temu dominował na terenie obecnie największego stanu USA”. Oni byli niemal na pewno tymi samymi białymi, którzy zbudowali metropolię w Ipiutak, z jej lemuryjskimi znamionami, które można znaleźć w eskimoskiej nazwie dawnych mieszkańców Alaski: Ta-ia-gumuit.

Te podejrzenia poparła Marilyn Jesmain pisząca dla tego samego wydania „Ancient American”, w którym ukazał się artykuł Pettyjohna:

Prowadzone są badania na pewnym stanowisku starożytnej sztuki naskalnej w Alasce, gdzie, jak się zdaje, zachował się jedyny widoczny symboliczny zapis jakiejś światowej katastrofy naturalnej. Zaprojektowany obszar badań znajduje się na szczycie góry w centralnej części Narodowego Lasu Tongass, w południowo-zachodniej części stanu. Dwa stanowiska, góry King's Mill na Wyspie Kuprianowa i Devil's Thumb na kontynencie, na wschód od Petersburga, wskazują, że wcześni ludzie szukali tutaj schronienia podczas okresu wyjątkowo wysokiego poziomu wody. Południowo-zachodnia Alaska składa się z wąskiego pasma wybrzeża kontynentu i setek wysp, znanych jako Archipelag Aleksandra. Był to maksymalny zachodni zasięg zlodowacenia Późnego Wisconsin (25 000 do 10 000 lat temu). Holoceni (obecna epoka geologiczna) linie brzegowe przy końcu plejstocenu (ostatnia epoka lodowcowa) ustabilizowały się w pobliżu współczesnych pozycji na terenie znanym teraz jako Narodowy Las Tongass. Niedawno odkryte dowody wskazują, że katastrofalne stopienie się czapy lodowej Kordylierów zdarzyło się w przybliżeniu 16 000 lat temu.

Petroglify, które pokazuje na zdjęciach, przedstawiają możliwe wyobrażenie komety i ludzi uciekających w dużej łodzi. W skład petroglifów wchodzi spiralny motyw, częsty wśród pięknie zdobionych artefaktów z Ipiutak.

W ramach swoich badań, Jesmain zwiedziła tubylczą wioską Kake, gdzie poznała miejscowe tradycje o potopie od pewnego członka rady starszych. „Chociaż Kake to Tlingitska (wioska)”, pisze, „ludy Haidas, Bella Colla, Tsimshian i inne współczesne plemiona nadbrzeżne to niedawni przybysze do tego rejonu (+/-5000 lat temu). Ponieważ są lingwistycznie spokrewnione z Atabaskami, prawdopodobnie przybyli z głębi kontynentu przez liczne rzeki, które przecinają nadbrzeżne góry. Ale Tlingitowie mówili o jakimś wcześniejszym ludzie, żyjącym w pobliżu, kiedy tu przybyli. Nie wiadomo, co się stało z pierwotnymi mieszkańcami. Historia o straszliwym potopie, który ich zniszczył, ale

otworzył drogi dla plemion dzisiaj zamieszkujących Alaskę, może być przedstawiona w sztuce naskalnej na górze King's Mill”.

Arktyczne miasto pod lodami jest być może najstarszą metropolią na świecie. Mimo to zdobyte dowody wskazują, że wszystkie umiejętności budowlane i koncepcje planistyczne są dojrzałe, jakby importowane ze społeczeństwa, które już dawno miało do czynienia z rozwojem miast. Nic w Ipiutak nie wywodzi się z lokalnej ewolucji jego standardowych miar, umiejętności podziału pracy lub znajomości miernictwa. Ponieważ wydaje się, że te cywilizowane zawody przywiózł lud rasowo odmienny od miejscowej ludności, możemy wnosić, iż jedynym możliwym kandydatem na takie zewnętrzne źródło była zaginiona Praojczyzna, bogato opisana w ustnych tradycjach licznych kultur wokół Krawędzi Pacyfiku.

Rewelacyjne znalezisko ogłoszone w listopadzie 2004 roku wykazało, że cywilizatorzy z Ipiutak nie byli sami na tym kontynencie, kiedy Albert Goodyear z Wydziału Archeologii i Antropologii Uniwersytetu Karolina Południowa znalazł stanowisko Topper. Współczesne arktycznemu miastu pod lodem, „Topper jest najstarszym stanowiskiem datowanym metodą węglową w Ameryce Północnej”, powiedział. Goodyear ogłosił swoją opinię dopiero po rozpoczęciu wykopalisk w latach 80. XX wieku. Nawet wtedy nie dokonałby żadnego odkrycia, gdyby postępował według ustalonych procedur. Archeolodzy głównego nurtu nie poszukują dowodów pobytu pierwszych ludzi w Ameryce głębiej niż do poziomów odpowiadających 13 000 lat temu, ponieważ nie chcą wierzyć, że ludzie przybyli tu wcześniej.

Kopiąc cztery metry głębiej niż jego koledzy tradycjoniści, Goodyear znalazł setki narzędzi z miejscowego rogowca (kamień podobny do krzemienia). Wykonane z tego kamienia dłuta i skrobaczki były używane do zdzierania skór, ćwiartowania mięsa lub rzeźbienia z rogów, drzewa i kości słoniowej mamuciej. Goodyear doszedł do wniosku, że łagodny klimat w tej okolicy 50 000 lat temu i obfite zasoby naturalne uczyniły z niej idealne miejsce dla osiedlenia się aktywnej społeczności. I rzeczywiście, duża liczba wydobytych z Topper kamiennych narzędzi i ich różnorakie przeznaczenie, sugeruje istnienie ludnej osady rzemieślników, którzy osiągnęli już pewną hierarchię zawodów. A ich obecność nad największą rzeką w Karolinie Południowej, z dala od rzekomej migracji azjatyckich mongoloidów poprzez teoretyczny pomost lądowy z Syberii, wskazuje na przybycie tego nieznanego ludu w łodziach. Jakkolwiek akademicy uczeni absolutnie odrzucają wszelkie dowody na umiejętności żeglarskie ludzi paleolitu, zwłaszcza u starożytnych Amerykanów, Marsha Walton i Michaela Correna z periodyku „Scientist” napisali w swojej relacji o odkryciach Goodyeara i o podobnych znaleziskach: „Te odkrycia skłaniają archeologów do poparcia

alternatywnych teorii, związanych z zasiedleniem Ameryki przez lud przybyły morzem”.

Kiedy Marks i Rainy rozpoczęli wykopaliska na dalekiej północy, pewien dobrze znany w swoich czasach amerykański odkrywca, Harold T. Wilkins, spotkał „hacjendo (Muñoz), który posiada majątek nad brzegiem morza, niedaleko od Guayaquil, w Ekwadorze, w pobliżu miejsca zwanego Esmeraldas. Posłał po nurka, aby wyłowić posagi z zatopionego i bardzo starego miasta, leżącego pod wodą tuż przy brzegu”. Muñoz opowiedział mu, że niektóre artefakty były pokryte hieroglifami nie mniej nieodgadnionymi niż jedyny taki egzemplarz sfotografowany wiele dekad później przez badaczy ze statku „Anton Bruun”. Jego nurkowie podobno znaleźli „starożytne wypukłe soczewki oraz reflektory. Były wykonane z obsydianu... (Dawni mieszkańcy zatopionego miasta) musieli być uczonymi optykami, nawet astronomami”.

Kolekcja właściciela hacjendy wywarła wielkie wrażenie na Wilkinsie. Wynioskował:

Artefakty tego nieznanego narodu, którego miasto znajduje się pod powierzchnią morza w pobliżu wybrzeży Ekwadoru, są niezwykle. Oprócz pięknych obsydianowych lusterek, wyrzeźbionych jak soczewki w sposób wskazujący, że ta rasa znała się na optyce, są tam dziwne, prostokątne pryzmaty, na których fasetach wyrzeźbiono zwierzęta, hieroglify lub symbole. Mogły one służyć do tego samego celu, co *chop*, czyli osobiste pieczęcie, jakich kiedyś każdy chiński mandaryn używał do „podpisania” dokumentów, które nie miały mocy prawnej bez takiej pieczęci.(...) Obdarzony wyobraźnią mężczyzna lub kobieta, może więc mieć pewne podstawy do teoretyzowania, że dziwaczne pozostałości starych ras, które spotyka się w leżących na uboczu lub niebezpiecznych miejscach tego kontynentu, byli ocalonymi z jakiejś postpaleolitycznej lub przedpotopowej epoki z historii świata.

Ponieważ tych artefaktów nie wydobyli specjaliści z uniwersyteckim wykształceniem w naukowo kontrolowanych warunkach, archeolodzy głównego nurtu uznali znaleziska za bezwartościowe. A przecież mogą być ważnymi elementami lemuryjskiej układanki. Znajomość optyki, na którą wskazują te wyroby, pasuje do wysoko rozwiniętej techniki Praojczyzny. Co dla nas jeszcze ważniejsze, Wilkins zapisał, że posagi wydobyte z wód Guayaquil prawdopodobnie przedstawiały twarze Japończyków. Ceramikę kultury Jomon, opisaną w poprzednim rozdziale, odkryto w Valdivii w Ekwadorze, 20 lat po tym, jak Wilkins zobaczył kolekcję Muñoz.

Inne, chociaż całkiem odmienne podmorskie znalezisko odkryto ponad 5631 kilometrów na południowy wschód od Palau na Fidżi. Jaskinia ze ścianami

pokrytymi dziełami sztuki naskalnej i napisami leży na głębokości 6,6 metra w Yasawa-i-Lau. Ostatni raz poziom wód oceanu był tak niski 1600 lat p.n.e.; właśnie wtedy, kiedy Lemuria została ostatecznie zniszczona.

Tradycja Fidżi rzeczywiście opisuje taki kataklizm, zapamiętany jako Ualuvu, czyli Wielki Potop, który pochłonął dawne królestwo, znane jako Nakauvadra, co jest jeszcze jedną nazwą zatopionej Praojczyzny. Mówi się, że ocalali z Ualuvu ludzie osiedli na różnych wyspach, i stali się ich pierwszymi mieszkańcami. Mała wyspa Koro była całkowicie poświęcona upamiętnieniu Wielkiego Potopu i udzieliła swojej nazwy pieśni o potopie, corocznie wykonywanemu Ngginggi-tangithi-Koro, ponieważ Koro to inna nazwa zatopionej Praojczyzny. Fornander napisał, że Ngginggi-tangithi-Koro „przekazuje ideę o małym ptaszku (*Qiqi*) siedzącym tam (na szczycie najwyższego punktu Koro) i oplakującym zatopioną wyspę. Słyszałem tubylczą pieśń *Na qiqi sa tagici Koro ni yali* – *Qiqi* płacze nad Koro, ponieważ zginął”.

Uzupełnieniem Ngginggi-tangithi-Koro są wielkie konstrukcje znalezione na Rotuma. Dla „Royal Anthropological Institute Journal” opisał je W.W. Wood, który zwiedził tę położoną na uboczu wyspę archipelagu Fidżi w latach 70. XIX wieku.

Te megalityczne zabytki na głównej wyspie były niedaleko od plaży i składały się z mas [kamieni] tak wielkich, że trudno było pojąć środki, z których pomocą tubylcy mogli je ułożyć i przesunąć. Te grobowce składały się z niskiej ziemnej platformy, otoczonej ustawionymi pionowo kamiennymi płytami, a w środku [znajdowały się] ogromne kamienie o nieregularnym kształcie – zwyczajne skały – z których część waży wiele ton. Niezwykły jest fakt, że ci prości ludzie mogli, bez pomocy maszyn, unieść i ustawić wielkie skalne bloki. Tubylcy [z Rotumy] należą do innej rasy i mają jaśniejszy kolor [skóry] niż ci z Fidżi (sic!).

Wskazuje to na wymieszanie się w przeszłości z cudzoziemcami, może z budowniczymi tego megalitu. Childress wątpi, że te konstrukcje to rzeczywiście grobowce, jak zakładał Woods, i przypuszcza, iż były „przeznaczone do innego celu”.

Baśniowi olbrzymi, którzy rzekomo zbudowali te „grobowce”, według Ualuvu, przeszli z legendy do rzeczywistości dopiero w roku 2002, kiedy na Fidżi wykopano szkielet wyjątkowo wysokiego mężczyzny. Badanie z pomocą metody węglowej przez pracowników Uniwersytetu Południowego Pacyfiku wyposażenia grobowego z suszonej gliny, głównie ceramiki, wykazało, że to stanowisko pochodzi sprzed 3000 lat. Za życia ten mężczyzna miał 190 centymetrów wzrostu, był więc znacznie wyższy od przeciętnego tubylca z Fidżi z II

tysiąclecia p.n.e., jak i teraz. „Urzednicy chcieli zachować to dziwne odkrycie w tajemnicy”, doniósł „Times of India”, „ale szybko stracili nadzieję, gdy wieść o nim się rozeszła”.

Znalezisko wprawiało w zakłopotanie ortodoksyjnych archeologów, ponieważ szkielet należał do osobnika rasy kaukaskiej, zaginionej białej rasy z Pacyfiku, o której opowiadają ludowe tradycje w całej Oceanii – od Nowej Gwinei do wysp Alaski. Data jego pogrzebu przed ponad 3000 laty mniej więcej odpowiada ostatecznemu zniszczeniu Mu w 1628 roku p.n.e., chociaż mógłby on być Lemuryjczykiem, który żył 600 lat później – chyba że dalsze datowanie nie zdoła „wypchnąć” go z powrotem przed 1000 rok p.n.e. W każdym razie odkrycie tego szkieletu jeszcze raz potwierdza prawdziwość mitu jako historii, którą można zweryfikować, ugruntowując wiarygodność miejscowych fidżijskich opowieści o Wielkim Potopie.

Znacznie bardziej dramatycznego podwodnego odkrycia dokonał w XX wieku w prefekturze Okinawa pływacz na południowym wybrzeżu Yonaguni, najdalej wysuniętego na zachód terytorium Japonii, na końcu szeregu wysp Riukiu, rozciągającego się na południe od Honsiu. Mniej niż 2000 mieszkańców tej długiej na 9,6 kilometra wyspy w kształcie migdału utrzymuje się z rolnictwa, rybołówstwa i turystyki. To właśnie dla rozwinięcia tego ostatniego źródła dochodów Kihachiro Aratake badał kryształowo czystą morską wodę w odległości około 100 metrów od Arakawa-bana w 1985 roku, kiedy natknął się na coś więcej, niż się spodziewał. Na głębokości 25 metrów znajdowała się budowla wyglądająca na kamienną piramidę z płaskim wierzchołkiem. Miała prawie 26,6 metra wysokości, a jej najwyższa część wystawała z fal na 90 centymetrów. Zaintrygowany tym, co uznał za wykonaną ludzką ręką konstrukcję z odległej przeszłości, zaczął nazywać to miejsce Iseki Point, czyli miejsce ruin.

Wieści o odkryciu Aratake’a lotem błyskawicy rozeszły się po Japonii, przyciągając entuzjastów nurkowania z akwalungiem z całego kraju, mimo miejscowych silnych prądów i stad rekinów-młotów patrolujących wybrzeża Yonaguni. Rekiny były pierwszą z wielu zagadek, związanych z tą zatopioną konstrukcją, ponieważ gromadzą się one w wielkie grupy w bardzo nielicznych innych miejscach oceanów świata. Nikt nie wie, jaki instynktowny impuls lub behawioralne wspomnienie każe im wybierać to właśnie miejsce.

Na większości obserwatorów wielkie wrażenie wywarł wygląd tej podwodnej struktury, którą, jak się wydawało, mogli zbudować ludzie, chociaż sceptyczni archeolodzy, jedynie w oparciu o pogłoski i amatorskie zdjęcia twierdzili, że to naturalna, choć niezwykła formacja skalna. Lecz ci, którzy powinni wiedzieć lepiej – zawodowi geolodzy – nie byli tego tacy pewni. Jeden z najlepszych

specjalistów, morski sejsmolog Masaaki Kimura, poprowadził swoich studentów na profesjonalne badania podwodnej struktury, by określić jej prawdziwy charakter. Oto co powiedział: „Po wstępnych badaniach w 1992 roku Uniwersytet z Riukiu prowadził stały, nieprzerwany program badań (na zatopionym stanowisku na Yonaguni). W roku 2000 dokonaliśmy pomiarów przy użyciu laserów, wiązek elektronowych, samolotów i Be-10 (sonaru). Zespół badawczy składa się z instruktorów z Uniwersytetu na Riukiu i studentów”.

Zebrane dowody materialne stopniowo przekonały badaczy o sztucznym charakterze podwodnej zagadki. Kiedy wnioski profesora Kimury zostały w końcu opublikowane, staranna prezentacja jego dowodów naukowych przekonała większość jego krytycznie nastawionych kolegów, że konstrukcję przy Iseki Point rzeczywiście wykonały ludzkie ręce.

Pewien geolog, który nie był o tym całkowicie przekonany, przyleciał ze Stanów Zjednoczonych, aby zbadać sprawę we wrześniu 1997 roku, i wrócił następnego lata do dodatkowych badań. Doktor Robert M. Schoch jest profesorem nadzwyczajnym nauki i matematyki na Boston University's College of General Studies (College nauk ogólnych przy Uniwersytecie Bostońskim). Na początku tej dekady uzyskał międzynarodowe uznanie za odkrycie zdradzieckich śladów erozji wodnej na egipskim Wielkim Sfinksie, którego najstarsze partie datował na około 5000 lat p.n.e., około 2400 lat wcześniej, niż twierdzili archeolodzy głównego nurtu i na 20 wieków przed oficjalnym początkiem samego Egiptu. Ponieważ już walczył z akademickimi autorytetami, wydawał się dostatecznie wolny od uprzedzeń, aby wyrazić bezstronny osąd o podwodnej tajemnicy Yonaguni. Początkowo, według Schocha, „podmorski klif wydawał się pocięty na szereg ogromnych, geometrycznych tarasów, z szerokimi, płaskimi powierzchniami, oddzielonymi pionowymi, stromymi przednózkami”. Wyglądały jak ogromne stopnie tytanicznych schodów, po których tylko olbrzym mógłby się wspiąć”.

Po dokładniejszych badaniach Schoch zauważył, że cała konstrukcja składa się od średnich do bardzo cienkich mułowców i piaskowców z wyraźnie zarysowanymi spodnimi warstwami, przecinanymi przez równoległe ciosy i przełamy; sprawiają one, że naturalne formacje wydają się sztuczne. Na samej Yonaguni wychodnie z piaskowca wzdłuż południowo-wschodniego i północno-wschodniego wybrzeża były uderzająco podobne do podwodnej struktury w kształcie piramidy. „Im bardziej porównywałem naturalne, ale niezwykle regularne cechy wietrzenia i erozji zauważonych na współczesnym brzegu wyspy z cechami morfologicznymi Monumentu z Yonaguni,” wyjaśnił w „Pre-Columbiana”, „tym bardziej byłem przekonany, że Monument z Yonaguni jest przede wszystkim rezultatem procesów geologicznych i geomorfologicznych”.

Jego wniosek zdawał się sprzeczny z osądem profesora Kimury o sztucznym charakterze zatopionej struktury, ale w istocie określił on to bardziej wyraźnie. Doktor Schoch stwierdził: „Powinniśmy również rozważyć możliwość, że Monument z Yonaguni jest zasadniczo naturalną strukturą, która została poprawiona lub lekko zmodyfikowana przez ludzi w dawnych czasach”. Innymi słowy, prehistoryczni wyspiarze mogli ociosać i ukształtować wychodnię w cytadelę, świątynię, kamieniołom lub coś w rodzaju ośrodka kultury. Jeśli tak, przekształcenie przez nich już istniejącej formy całkowicie pasowało do starożytnej, kontynuowanej do dziś, wschodnioazjatyckiej tradycji wprowadzenia subtelnych zmian w środowisku naturalnym, czego przykładem są ogrody Zen, rytualna japońska architektura krajobrazu i chińskie feng shui. Te zmieniające wygląd ziemi praktyki, mające ustanowić harmonijne stosunki między ludźmi a środowiskiem, mogły wynikać z konstrukcji technicznej, widocznej w Monumentcie z Yonaguni; one na pewno są zakorzenione w lemuryjskim kulcie przyrody.

Doktor Schoch gotów był uznać możliwość ludzkiego wpływu na tę strukturę, ale mógł stwierdzić z całą pewnością, że rzeczywiście tak się stało. Profesor Kimura zgodził się, że „piramida” została wykuta z całego wzgórzka lub skalnej wychodni”, z solidnej skały w dawno minionym czasie, gdy stała na suchym lądzie ponad niższym poziomem morza. Był jednak pewny, że liczne pomiary i dowody, które jego zespół zebrał podczas prawie 10 lat badań, bezspornie ustaliły sztuczny charakter Monumentu z Yonaguni. Wśród najbardziej przekonujących dowodów były starożytne narzędzia, znalezione nie tylko na wyspie, lecz także na podwodnej strukturze. Znane na wyspach Riukiu jako *kusabi*, narzędzia te wykonano ze skały wulkanicznej, która nie występuje na Yonaguni, więc musiano je specjalnie sprowadzić do ociosania i zmodyfikowania bardziej miękkiej formacji z piaskowca, z którego Monument z Yonaguni został ukształtowany. Jego powierzchnia wykazuje ślady narzędzi, które pasowały do *kusabi* odkrytych przez nurków.

Rząd wydrążonych otworów biegł przez szczyt tej struktury. „Są oddalone od siebie o około 20 centymetrów i wyrównane, jakby wymierzone linijką. Oczywiście można przypuszczać, że skorupiaki wydrążyły otwory, ale to mało prawdopodobne. Najlepszym w tej dziedzinie jest jeżowiec, ale on tworzy otwory o innych kształtach niż te w Iseki Point. Bardzo prawdopodobne, że wysiłki skorupiaków, by powiększyć dziury do niezbędnej im wielkości to powód niewielkich różnic w rozmiarach”, zauważyła Celine Shinbutsu w książce napisanej wraz z profesorem Kimurą.

Jak dokładnie wydrążono otwory i w jakim celu, wyjaśnił Kotara Maja, mistrz kamieniarski, wybrany na kierownika restauracji zabytków historycznych

Okinawy, uszkodzonych podczas II wojny światowej. Mistrzostwo w znajomości tradycyjnych form i technik budowlanych tylko jego kwalifikowało do realizacji tych wielkich projektów. Kiedy pokazano Mai ten szczególnie rząd równo od siebie oddzielonych otworów na szczycie Monumentu z Yonaguni, natychmiast rozpoznał je jako nadal używany, starożytny sposób odłupywania kamiennych bloków. Draży się otwory do mniej więcej jednakowej głębokości i w należytych odstępach w pobliżu skraju naturalnej formacji skalnej, a potem wciska w nie duże pale. Gromada robotników z całej siły kołysz palami, więc skała wkrótce pęka w prostej linii i odłupuje w kamienny blok pożądanej wielkości. Wnioski pana Maja potwierdził inny mistrz kamieniarski z Okinawy, Koutaro Shinza. On i jego koledzy zgodzili się, że podwodna struktura w pobliżu Iseki Point była sztucznym kamieniołomem, i nie chciał uwierzyć, iż jest to jedynie rezultat działania sił natury.

Jeszcze bardziej znaczące są małe prostokąty, znalezione pod osłoniętymi obszarami Monumentu z Yonaguni, z dala od wpływu erodujących prądów morskich. Tych długich na 4,5 centymetra, prostokątnych otworów nie mogły uformować naturalne procesy. Co więcej, nie były wykute od dołu, ale poprzecznie.

Na samym szczycie tej formacji skalnej znaleziono jeszcze jeden rząd całkowicie odmiennych otworów. Są znacznie szersze i głębsze, o średnicy około 90 centymetrów, wykute na głębokość 1,2 metra w twardej skale i dzielone przez płaskie przegrody, które sprawiają wrażenie „wyjątkowo” sztucznych. Maja również znał te otwory. Rozpoznał w nich ten sam rodzaj, w których umieszcza się wysokie, mocne podpory, będące częścią prymitywnej, choć skutecznej obejmy do podnoszenia ciężkich kamiennych bloków. Chociaż wiek tych tradycyjnych metod nie jest znany, takie drewniane podnośniki były wciąż używane w rejonach wiejskich, położonych z dala od elektrycznej aparatury, jeszcze podczas II wojny światowej.

Identyfikacja otworów do odłupywania i podnoszenia kamiennych bloków wymusza akceptację teorii o ludzkim wpływie na Monument z Yonaguni i wspiera jego charakterystykę jako starożytnego kamieniołomu. Lecz inne szczegóły mówią raczej o prowadzonej budowie, którą nagle przerwał nieoczekiwany wzrost poziomu morza. Otwory znaleziono jedynie w górnej części struktury; niższe dwie trzecie „piramidy” wydają się skończone i mają więcej szczegółów architektonicznych. Zalicza się do nich to, co Kimura i inni nurkowie na miejscu opisują jako „drogę-pętlę”, przypominającą drogę na grobli lub wybrukowaną ścieżkę, wijącą się od podnóża tej struktury i połączoną na szczycie kanałem odpływowym. Jej powierzchnia jest gładka, jakby wybrukowana.

Profesor Kimura zmierzył „podobną do schodów” strukturę, nie tylko od strony południowej, ale wokoło. Bok północny najlepiej wskazuje, że budowla jest dziełem człowieka. Co więcej, jedną część stanowią schody. U ich podstawy znajduje się formacja przypominająca masywne, wolno stojące wrota, podobne do tych, które występują na terenie Andów, po drugiej stronie Oceanu Spokojnego. Połączenia utworzone przez jej bloki są na jednym poziomie, na obu „nogach”, co nasuwa porównania z prekolumbijskim Peru.

Nie mniej zaskakujący jest ogromny głaz w kształcie jaja, ustawiony na cokole z całą pewnością celowo. Jajokształtny megalit pasowałby bardziej do francuskich lub brytyjskich „stojących kamieni” w neolitycznej Europie niż do dna morza w pobliżu małej japońskiej wyspy.

Podwodny Monument z Yonaguni ma wiele szczegółów poza zakresem kompetencji geologów, którzy nie mogą ich wyjaśnić. Jedną z takich zagadek jest duże intaglio figury podobnej do klepsydry, pięknie wykute na powierzchni. Niedaleko od niej jest długi, prosty kanał, kończący się krótkimi siedmiostopniowymi schodami. Niżej znajduje się niski, wąski tunel, który wydaje się sztuczny z powodu regularnych linii kamiennych bloków z pasującymi do siebie spoinami. Nurkowie wchodzący z jednej strony, wynurzają się, by znaleźć się w tak zwanych „bliźniaczych wieżach”. Odnosi się wrażenie, że tunelowi specjalnie nadano taki kierunek, co wskazuje na jego pierwotną funkcję jako świętej drogi.

Granitowe płyty wynurzają się z tunelu jak dwie długie na 6,3 metra księgi o nieodgadnionym, lecz na pewno sporym tonażu. Dzieląca je 7,5-centymetrowa przerwa przypomina taką samą konfigurację, znaną w Japonii w parze menhirów w gęsto zalesionym rejonie północno-zachodniej wyspy Honsiu, jak zostało to opisane w rozdziale 9. Tamte dwa megality z Nabeyama również tworzą szczelinę, przez którą widać wschód słońca co roku w letnie przesilenie. „Bliźniacze wieże” z Yonaguni też sugerują pierwotną astronomiczną orientację, ponieważ nie stoją zupełnie prosto. Pochylają się pod tym samym kątem, jak gdyby specjalnie tak ustawione.

Być może najbardziej przekonującym ze wszystkich dowodów materialnych na korzyść tezy, że ta zatopiona struktura to dzieło ludzkich rąk, jest około 17 hieroglifów wykutych w jej bokach, w tym przynajmniej jedna inskrypcja. Cztery znaki powtarzają się siedem razy, ale wszystkie widocznie wyrył człowiek, a nie siły natury. Jak można oczekiwać, znaki są nieodgadnione, chociaż skopiowane tylko w jeszcze jednym miejscu na Ziemi i na monumentalnych konstrukcjach opisanych w pierwszym rozdziale o zaginionym mieście Nan Madol. Pojawienie się tych pod innym względem unikatowych glifów w dwóch z najbardziej rozpoznawalnych lemuryjskich stanowisk na pewno podkreśla ich

wspólne pochodzenie sprzed potopu i powiązania poprzez zniszczoną Praojczyzną.

Pewnie ideogram, znalezione zarówno w Nan Madol, jak i w strukturze z Iseki Point, mógłby być wyjątkowo zrozumiały. Chodzi o T, tau, symbol Mu. Nie wydaje się więc dziełem przypadku, że mit z Riukiu opisuje prehistorycznych budowniczych magelitycznych konstrukcji z wysp Pacyfiku jako olbrzymów, których nazwa – Mujinto – najwidoczniej pochodzi od miana Praojczyzny. Jak napisał profesor Kimura: „Monument z Yonaguni może być uważany za dowód istnienia Mu”.

Kilka metrów od głównej podwodnej konstrukcji Iseki Point stoi kolosalna formacja, zwana „sceną”. Doskonały kwadrat z litej skały tkwi samotnie 6 metrów nad dnem morza, ma wszystkie boki długie na 2,1 metra, a zatem wygląda na wyjątkowo sztuczny. Wrażenie to wzmacnia pewna szczególnie dramatyczna cecha. Kiedy Thomas Holden nurkował przy Yonaguni dla telewizji kablowej History Channel w 2000 roku, jego wideokamera uchwyciła obraz gigantycznej ludzkiej twarzy na „scenie”. Krótco przed nim odkryła ją inna podwodna fotograficzka, Cecile Hagland. Zdołała odróżnić słabe kontury wyrytego w skale hełmu lub skrzydeł (skrzydlatego nakrycia głowy?), znajdującego się z tyłu tajemniczej głowy.

Uprowadzony o tym nowym znalezisku, japoński zespół przeprowadził pomiary tego wizerunku. Chociaż poważnie uszkodzony przez erodujące prądy, nadal nosił ślady pozostawione przez rzeźbiarza. Obserwatorzy mogli odróżnić zarys nosa i proporcjonalnych oczu. Jak stwierdził Kimura: „Żrenica (w prawym oku twarzy na scenie) jest wyryta podłużnie”. Profesor mówił o kamiennej głowie *moai*. Używał więc terminu odnoszącego się do wielkich posągów z Wyspy Wielkanocnej – nie było to niewłaściwe, ponieważ podobieństwa między dwoma bardzo oddalonymi od siebie stanowiskami archeologicznymi mogą być czymś więcej niż zbiegiem okoliczności. Podwodne kamienne głowy (dwie znaleziono na scenie) zwrócone są w kierunku Wyspy Wielkanocnej. I, o dziwo, słowo oznaczające każdą prehistoryczną świętą konstrukcję w miejscowym dialekcie na Okinawie to *moai*. Chociaż dzieli je w przybliżeniu 4022 kilometry i nieznaną liczbą wieków, wydaje się, że coś jednak łączy Rapa Nui i Okinawę.

Pomimo wszystkich wątpliwości o sztucznym pochodzeniu zatopionej atrakcji Iseki Point doktor Schoch nie mógł uniknąć porównania z niemal identycznymi budowlami, znalezionymi na Okinawie, zwłaszcza w pobliżu Noro, stolicy tej prefektury. Inna podobna konstrukcja to zamek Nakugusuku. Bardziej przypomina on ceremonialną budowlę i miejsce ostatniego spoczynku królów niż współczesną fortyfikację. Został zbudowany 500 lat temu i od tamtej pory

wielokrotnie go odnawiano, ale fundamenty datowane są na ostatnie wieki I tysiąclecia p.n.e. Wiadomo, że jego sąsiedztwo otaczano taką samą czcią, jako święte miejsce na długo przedtem.

Wznoszą się tam bowiem unikatowe konstrukcje, wykute z nagiej skały, mające identyczne gigantyczne stopnie i szerokie place jak te, które znaleziono w podwodnym Monumencie z Yonaguni. Archeolodzy nie poświęcili tym grobowcom zbyt wiele uwagi, bo nie zdołali określić ani tego, kiedy powstały, ani przez jaką kulturę zostały wzniesione. Mimo to reprezentują one pewien ciągły styl architektoniczny, niepowtarzalny w tej części świata, zarówno pod morzem, jak i na lądzie.

Doktor Schoch przypuszcza, że prehistoryczni tubylcy z Yonaguni, budując swoje grobowce, wzorowali się na imponującej naturalnej formacji skalnej tuż przy brzegu, zanim pochłonęły ją fale. Ale struktura z Iseki Point znalazła się pod wodą od 10 000 do 12 000 lat temu, co sprawia, że grobowce z Okinawy – jeżeli wzorowano je na tym monumencie – są najstarszymi stworzonymi przez człowieka budowlami na Ziemi. Nieliczni badacze zechcą to zaakceptować. Jest bardziej prawdopodobne, że mamy tu do czynienia z rozwojem pewnego stylu, zaczynającego się od miejsca znajdującego się obecnie pod wodą – i dlatego wcześniejszego niż późniejsze grobowce na Riukiu.

Te grobowce nie są jedynymi odpowiednikami zatopionego monumentu. Mu-tubu-udundi to tajna sztuka walki, znana tylko mistrzom, którzy w prostej linii są potomkami pierwszego króla japońskich wysp Riukiu. Przywiódł on ze sobą oddział wojska ze swojego wyspiarskiego królestwa na wschodzie, które zostało zalane przez morze. Adeptci unikają fizycznej konfrontacji. Starają się wycieńczyć przeciwników szeregiem skomplikowanych postaw i tanecznych ruchów, zadając cios dopiero po wyczerpaniu wszystkich innych opcji. Tak jak chińskie tai-chi, jego japoński poprzednik jest również formą medytacji, która ma zharmonizować ludzkie biorytmy z tak zwanymi „energiami Ziemi”. Nazwa tej praktyki, Mu-tubu-udundi, czyli „sztuka samodyscypliny z Mu”, wywodzi się z zaginionej pacyficznej cywilizacji, znanej również z duchowych praktyk i pokojowego nastawienia do świata jej mieszkańców.

Inny „zamek”, cytadelę Shuri z Okinawy, tak jak Nakugusuku, zbudowano w XV wieku na ruinach znacznie starszej budowli. Co ciekawe, jej rozkład fundamentów niemal dokładnie pasuje do rozplanowania zatopionego Monumentu z Yonaguni i jest otoczony przed podobną drogę-pętlę. Profesor Kimura dodatkowo zwrócił uwagę, że dwa posągi smoków pilnujące sanktuarium cytadeli Shuri odpowiadają wyobrażeniom dwóch żółwi zwróconych głowami do siebie na szczycie struktury Iseki Point. Jednego ze smoków z cytadeli Shuri przedstawiono z otwartym pyskiem, drugi zaś ma zaciśnięte szczęki. Natomiast na

podwodnej budowli, oba żółwie są identyczne, tylko że jeden wyciąga głowę, a drugi ją cofnął.

Wybór zwierząt trafnie symbolizuje miejsca, gdzie je umieszczono. W Azji smoki tradycyjnie reprezentują ziemskie energie i samą Ziemię, na której zbudowano cytadelę Shuri. Natomiast żółw to metaforyczny obraz obfitości spod morza, z morza i z ładu – odpowiedni symbol dla zatopionego „zamku” z Yonaguni. W japońskim folklorze Urashima Taro współczuł cierpiącemu żółwiowi wyrzuconemu na brzeg i uratował mu życie. Wdzięczne zwierzę zabrało go na dno oceanu, gdzie był gościem przyjaznych duchów we wspaniałym pałacu, centrum niegdyś potężnego królestwa, przed tragiczną zagładą pod falami. Jako pożegnalny dar chłopiec otrzymał Brzoskwinię Nieśmiertelności, która dawała wieczne życie śmiertelnikom. Ten sam owoc, który Xi Wang Mu, chińska bogini miłosierdzia, zabrała ze swojego pałacu, zanim zatonął on w Morzu Wschodzącego Słońca.

Ho-ho-demi-no-Mikoto jest wspomniany w *Nihongi*, japońskim zbiorze przedbuddyjskich mitów, historii i tradycji, jako boski bohater, który zszedł na dno oceanu w przewróconym koszu. Po przybyciu zwiedził zatopioną cytadelę, należąca do boga morza. Wyspiarze wiedzieli o istnieniu Monumentu z Yonaguni na 40 lat przed oficjalnym odkryciem go przez Kihachiro Aratake, według Celine Shinbutsu, chociaż ta konstrukcja była bez wątpienia znacznie starsza. Mityo Urashima Taro i Ho-ho-demi-no-Mikoto wskazują, że miejscowi od wielu pokoleń wiedzieli o zatopionej piramidzie z Yonaguni.

Dające nieśmiertelność brzoskwinie lub zioła opisane w tych odwiecznych mitach z Azji Południowo-Wschodniej często kojarzone są ze wspaniałym królestwem, które zatonoło w odległej przeszłości podczas strasznego potopu. Niektórzy cesarze chińscy byli przekonani, że co najmniej kilka okazji zapewniających wieczne życie przetrwało Wielki Potop, i wysyłali ekspedycje, aby je odnalazły na południowych wyspach Japonii, zwłaszcza na Yonaguni. Wyspa ta bowiem wyróżnia się nie tylko podwodnymi ruinami, ale również „rośliną długiego życia”, *cho-mei-gusa*. Rośnie ona tylko na niższych położonych terenach archipelagu Riukiu i jest uprawiana na szeroką skalę na Yonaguni, gdzie ludzie żyją najdłużej na ziemi.

W miejscowym micie, Nirai-Kanai dotarł do wysp Riukiu bardzo dawno temu, po zatonięciu jego oświeconego, zamorskiego królestwa w ognistej burzy i sztormie. Nauczył tubylców, jak uprawiać *cho-mei-gusa*, roślinę nieśmiertelności, i zbudował pierwsze kamienne zamki na tych wyspach. Nirai-Kanai jest również „ojczyzną bardzo daleko w morzu”, uważaną za królestwo, skąd przodkowie japońskich Ama przybyli po jego zatonięciu w zachodniej części Oceanu Spokojnego.

Czy *cho-mei-gusa* była od dawna poszukiwanym „zield nieśmiertelności”? Jeśli tak, czy jej obecne plony pochodzą z zaawansowanych systemów uprawy, z których słynęli Lemuryjczycy? Czy istnienie tej rzadkiej rośliny na Yonaguni identyfikuje tę wyspę z Mu, albo przynajmniej jako jeden z jego przyczółków? Profesor Kimura mówił: „To wielka tajemnica, że taki potężny obiekt (zatopiony monument) istniał obok tak niepokażnej wyspy”.

Doktor Kurt Lambeck, geolog światowej klasy z Australijskiego Narodowego Uniwersytetu w Canberze, badał fluktuację poziomów morza od 1980 roku. Podkreśla, że Yonaguni znajduje się na skraju płyt pacyficznej i azjatyckiej, gdzie tektoniczne napięcie mogło wywołać sejsmiczną aktywność na tyle potężną, aby spowodować zatonięcie Lemurii. Widocznie sztuczny wygląd konstrukcji z Iseki Point wywarł na nim wielkie wrażenie. Scharakteryzował ją jako kamieniołom, który został zatopiony około 12 000 lat temu. Takie są ramy czasowe, na które zgodzili się badacze, datując zatonięcie tego monumentu. Przedtem, według Celine Shinbutsu: „Okinawa była wysoka i sucha, mocno przyczepiona do kontynentu azjatyckiego. Archipelag Riukiu stanowił most otwarty dla ruchu ludzi i zwierząt. Niektóre z najstarszych artefaktów kultury Jomon odkryto na Okinawie... W końcu lód stopniał i morza znowu się napełniły. To, co kiedyś było suchym lądem, stało się dnem oceanu; to, co dawniej było wysokimi szczytami gór, stało się kropkami lądu na kryształowym morzu”.

Badania metodą węglowa przeprowadzone przez profesora Kimurę na algach koralowych pobranych z Monumentu z Yonaguni wskazały na okres sprzed 6000 lat. Ale te testy tylko pokazują, kiedy koralowce zaczęły rosnąć, a nie kiedy Monument z Yonaguni został zalany lub wzniesiony. Obliczając tempo wzrostu alg, Kimura założył, że piramida z Iseki Point została zatopiona w przybliżeniu 12 000 lat temu, kiedy poziom mórz był niższy o 36,6 do 40 metrów niż obecnie. Aż do końca plejstocenu dolna część Monumentu stała na suchym lądzie. Nikt nie może odgadnąć, jak stara była ta konstrukcja przed potopem. Mimo to reprezentowała wyrafinowany pozom architektury krajobrazu, który można łączyć tylko z cywilizacją Mu. Do takich wniosków skłania pierwszy z wielkich lemuryjskich potopów, który zakończył epokę lodowcową.

Jakkolwiek podwodne stanowisko archeologiczne Yonaguni jest podobne do wyciosanych ze skał zamków i grobowców Okinawy, uderzająco przypomina też ceremonialne ośrodki po drugiej stronie Oceanu Spokojnego, wzdłuż wybrzeży Ameryki Południowej. Tuż na południe od Limy stoją ruiny Pachacamac, religijnej stolicy prekolumbijskiego Peru i siedziba jego najbardziej czczonej wyroczni. Zbudowane wiele stuleci przed powstaniem państwa Inków, pyszni się szerokimi kondygnacjami i gigantycznymi stopniami, prowadzącymi do przestronnych placów. Na pierwszy rzut oka wydaje się, jakby Monument

z Yonaguni został przeniesiony z dna morza w pobliżu Iseki Point na suchy ląd na wybrzeżu Peru. Inne podobne południowoamerykańskie wieże znajdują się 33,6 metra od brzegu pod miastem Trujillo. Budowla, trafnie nazwana Świątynią Słońca, została ustawiona na linii wschód-zachód, identycznie jak zatopiony monument. Ta preinkaska piramida jest platformą z cegieł z suszonej gliny, z nierównymi stopniami. Zbudował ją lud zapamiętany jako Moche. Świątynia Słońca jest długa na 252 metry. Te pomiary są szczególnie ważne, bo Monument z Yonaguni ma bardzo zbliżoną długość. Wymiary jego podstawy to 252,6 metra ze wschodu na zachód i 160 metrów z północy na południe.

Co niezwykle, to również pierwotne wymiary Wielkiej Piramidy w Gizie – 252 metry u podstawy i 160 metrów wysokości. Dwieście pięćdziesiąt dwa metry to również długość egipskiej jednostki miary, zwanej *aroura*, czyli „bokami” z najtajniejszej świętej cytadeli Atlantydy, jak opisał to Platon w dialogu *Kritias*. Najbardziej odpowiednią do porównań z Monumentem z Yonaguni jest skała ze skryształizowanego granitu tkwiąca w Nilu tuż nad Pierwszą Kataraktą o szerokości 160 metrów. Zbudowano na niej „Niedostępne Miejsce”, świątynię P-aaleq, lepiej znaną pod grecką nazwą, Fila. Chociaż te najwcześniejsze znane budowle pochodzą tylko z IV wieku p.n.e., wzniesiono je na znacznie starszych konstrukcjach. Z tego powodu tamtejsi mieszkańcy nazywali to miejsce „Wyspą z Czasu Ra”, wskazując na jej zaawansowany wiek. Ale Fila jest podobna do Monumentu z Yonaguni nie tylko pod względem wymiaru podstawy. Przed 12 000 lat, zanim polodowcowe powodzie spustoszyły większą część świata, oba miejsca znajdowały się na zwrotniku Raka. Jest to koło określające pozorną wędrówkę Słońca wokół Ziemi na 23,5 stopnia na północ od równika. Pozycja Yonoguni była szczególnie interesująca, ponieważ znajdowała się w najbardziej wysuniętym na północ punkcie, do jakiego docierało słońce pod koniec ostatniej epoki lodowcowej. Co roku, 21 czerwca w południe letniego przesilenia, słońce stało prosto nad głową patrzącego.

Lecz nie tylko małe wyspy Riukiu i Fila zajmowały zwrotnik Raka. Śledząc go wokół Ziemi, można zauważyć, że łączy kilka bardzo starych, zasadniczo podobnych miejsc, a wszystkie są otoczone wodą. Wędrując na zachód z Yonoguni w czasach polodowcowych, zwrotnik Raka przeciął współczesne chińskie miasto Amoy, znane ponad 1000 lat temu za czasów dynastii Sung jako wyspa Chia-shu. Pod koniec lat 70. XX wieku archeolodzy odkopali wzdłuż jego wschodniego wybrzeża niektóre z najstarszych chińskich paleolitycznych artefaktów, zaskakujących, bo związanych z morzem: groty harpunów, ciężarki do sieci i tak dalej. To dowiodło, że wcześnie mieszkańcy wyspy Chia-shu umieli dobrze żeglować w czasach, gdy – jak uważali uczeni – morskie podróże ograniczały się do rzek i linii brzegowych. Nie mniej znaczący jest fakt, że te

znaleziska zaczynają przekonywać uczonych, iż obszar Amoy to miejsce narodzin chińskiej cywilizacji.

Wędrując dalej na zachód pod koniec plejstocenu do Indii, zwrotnik Raka przebiegał przez zatokę Cambay i przez to, co wielu archeologów uważa za pierwszą metropolię subkontynentu indyjskiego. Lothal był miastem portowym dla Mohendžo Daro, Harappy i innych ośrodków miejskich doliny Indusu, które kwitły na początku III tysiąclecia p.n.e.

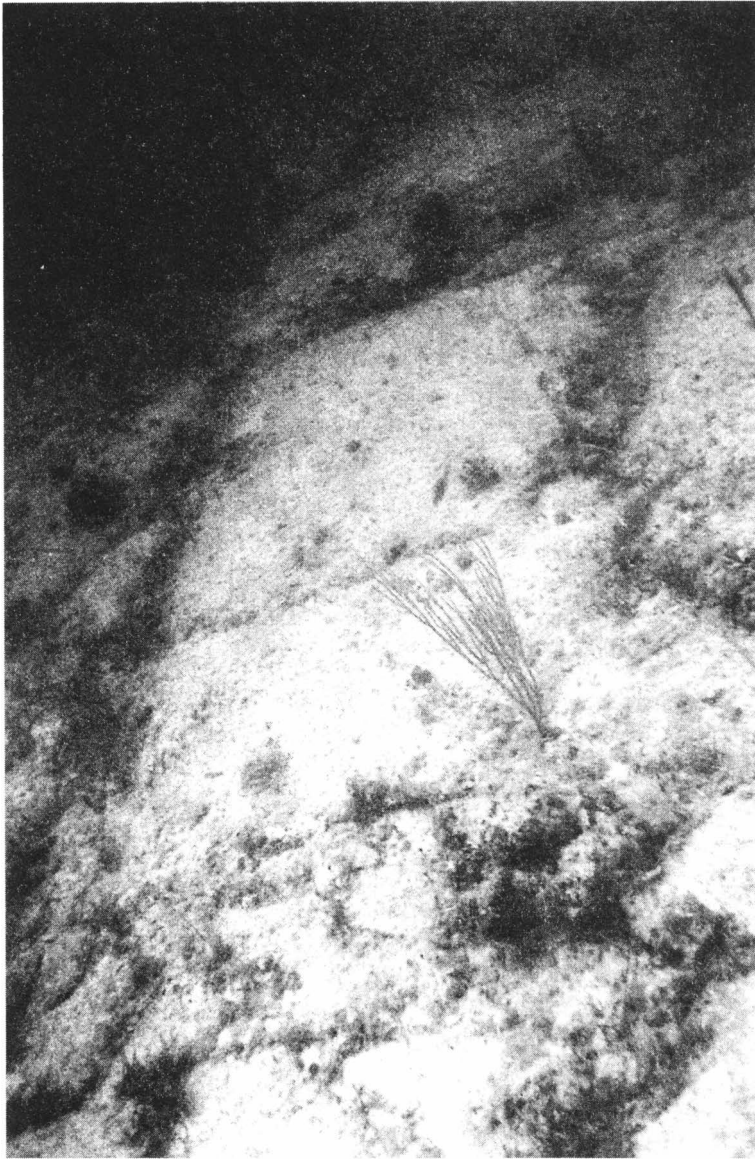
Urządzenia portowe Lothalu były ogromne jak na swoją epokę: długie, kamienne pirsy wraz z chronionymi nabrzeżami dla dużych statków oceanicznych. O dziwo, planowanie przestrzenne w Lothalu nie miało precedensu w Indiach i zdaje się, iż zostało importowane z zewnętrznej cywilizacji, gdzie takie wyrafinowane koncepcje rozwijały się już od dawna.

Z Lothalu, zwrotnik Raka kontynuował wędrówkę na zachód pod koniec epoki lodowcowej przez egipskie Fila, Afrykę północną i ogrom Oceanu Atlantyckiego, aż przechodził nad obecnie mało znaną wyspą Andros, największą w archipelagu Bahamy, o 241 kilometrów na południowy wschód od Miami na Florydzie. To właśnie tam doktor Gregory Little znalazł zatopione miasto w zatoce Nicolls Town, w pobliżu najdalej wysuniętego na północny wschód skrawka Andros. W marcu 2003 roku odkrył długi na 458 metrów i szeroki na 50 metrów układ cyklopowych kamiennych bloków w trzech dobrze uporządkowanych pochyłych kondygnacjach, rozdzielonych dwoma pasmami mniejszych kamieni. Chociaż stały 5 metrów pod powierzchnią wody, górny odcinek ma 3,6 metra wysokości. Duże kamienie tworzące kondygnacje mają średnie wymiary 8 x 10 metrów i 60 centymetrów grubości. Każda z trzech kondygnacji jest szeroka na 16,6 metra. Odnaleziono też ślady rampy prowadzącej z dna zatoki na szczyt platformy.

Regularny kształt i niemal jednolicie ociosane kwadratowe bloki przemawiają za tezą, iż ta struktura jest dziełem człowieka. Biorąc pod uwagę jej lokalizację w naturalnym porcie w prądzie północnoatlantyckim, mogła być nabrzeżem, falochronem lub urządzeniem portowym. Tezę tę wspiera fakt, że oprócz opisanych wyżej szczegółów i rampy, odkryto również kilka szerokich na 12,5 centymetra i głębokich na 12,5 centymetra prostokątów, przypominających otwory wycięte w niektórych cyklopowych kamieniach tuż pod najwyższą kondygnacją. W tych otworach mogły tkwić pale, do których przywiązywano statki; podobne otwory nurkowie wskazali na Monumencie z Yonaguni. Wydaje się, że większość, jeśli nie wszystkie bloki z Andros, wydobyto w miejscowym kamieniołomie i celowo ułożono w taki sposób. Doktor Little uważa, że ta formacja mogła zostać zbudowana 12 000 lub 10 000 lat temu. Na początku 2005 roku wydawało się, że jego przypuszczenie się potwierdziło, kiedy nurkowie zlokalizowali

coś, co wyglądało na podstawie tej struktury, na w głębokości 10,8 metra. Poziom polodowcowego morza, który pozwoliłby na zbudowanie konstrukcji, był ponad 16,6 metra niższy niż obecnie.

Z Andros zwrotnik Koziorożca wracał przez Ocean Spokojny do Yonaguni. Wydaje się czymś więcej niż przypadkiem, że dwie kontrowersyjne podwodne



Masywne kwadratowe, ociosane bloki w platformie z Andros
(fot. William Donato).

konstrukcje z obu stron świata, odkryte zaledwie w odstępie 18 lat, pochodziły z zamierchłej przeszłości i znajdowały się na tej samej globalnej linii. Na pewno nie jest bowiem zrzędzeniem losu, że przynajmniej cztery inne miasta o zasadniczym znaczeniu kulturowym (z których dwa miały wspólny system miar i wag), oddalone od siebie o setki lub tysiące kilometrów – dodatkowo łączyła pewna więź. Wskazuje to cywilizację o światowym zasięgu, morskich podróżników z epoki lodowcowej, którzy byli również czcicielami słońca. Dowodzi tego łączy je wszystkie zwrotnik Raka, solarne orientacje wbudowane w Monument z Yonaguni oraz związki Fila z Ra, egipskim bogiem słońca.

Co niezwykle, te pięć starożytnych miast znajdujących się na skrajnie północnej drodze słońca wokół naszej planety, łączącej Pacyfik z Azją Południowo-Wschodnią, Indiami, Afryką i Atlantykiem, sugerują istnienie globalnej cywilizacji, która się rozwijała ponad 12 000 lat temu. Ortodoksyjni uczeni muszą uważać ten wniosek za niewiarygodną fantazję szalonych badaczy. Lecz to nie jest teoria, tylko wniosek wyciągnięty na podstawie dostępnych informacji, które pokazują, że konstrukcja na głębokości 33,6 metra poza Iseki Point nie jest jedyną na dnie morza.

Po jej odkryciu, nurkowie rozszerzyli poszukiwania w archipelagu Riukiu w nadziei znalezienia większej ilości dowodów o zatopionej cywilizacji. I nie zawiedli się. Około 40 kilometrów na zachód od Nary, stolicy Okinawy, Mitsutoshi Taniguchi znalazł kamienne kręgi, a w pobliżu proste linie, przypominające fundamenty budynków mniej więcej na głębokości 30 metrów, w odległości 9,6 kilometra na południowy zachód od wyspy Aka. Po drugiej stronie, w odległości 20 metrów, kolista konstrukcja ze stojących głazów, każdy ponad 1,8 metra, mogłaby uchodzić za wyjątkowy przykład budownictwa megalitycznego z Europy Zachodniej. Na północnym wschodzie znajduje się podobna, nieco mniejsza wersja. Największa koncentryczna figura, złożona z małych, zaokrąglonych kamieni ma średnicę 160 metrów. Tę samą liczbę spotkaliśmy na Monumencie z Yonaguni, jego odpowiedniku znad Nilu, wyspie Fila i Wielkiej Piramidzie egipskiej. Najwidoczniej zaczynamy odkrywać kanon architektoniczny, wpisany w święte konstrukcje po obu stronach świata w zamierchłej przeszłości.

Inne, gorzej określone cechy, zostały zaobserwowane na pobliskich sąsiednich wyspach. Około 48 kilometrów na północ od Aka, 30 kilometrów na zachód od Okinawy i 353 kilometrów na północny wschód od Yonaguni jest coś, co wydaje się szeregiem kamiennych studni przy południowo-zachodnim wybrzeżu Aguni. Nurkowie zameldowali, że zauważyli kamienne mury i brukowane ulice od 10 do ponad 30 metrów pod powierzchnią morza, niewiele więcej niż 800 metrów od brzegów samej Okinawy, 28 kilometrów na północ od Noro, w miejscowości wypoczynkowej Chatan.

Podobne ruiny zaobserwowano wśród Wysp Pescadores, w pobliżu archipelagu Pen-hu, między wysepkami Don-Jyu i Shi-Hyi-Yu, 64 kilometrów na zachód od Tajwanu, około 563 kilometrów na południowy zachód od Yonaguni. W sierpniu 2002 roku profesor We Miin Tian z Wydziału Inżynierii Morskiej w Narodowym Uniwersytecie Sun Yat Sean w mieście Kaohsiung na Tajwanie, zlokalizował długi na 10 metrów kamienny mur, stojący prostopadle do dna morskiego na wysokość 1,2 metra, 20 metrów pod powierzchnią oceanu. Dwadzieścia lat przed odkryciem profesora Tiana, pletwonurek z Tajwanu, Steven Shieh, zmierzył parę wysokich na 5 metrów kamiennych murów pod wodą w pobliżu Hu-ching, czyli Wyspy Tygryziej Studni. Długość na około 660 metrów, zbiegają się pod kątem prostym, jeden zorientowany na północ-południe, drugi na wschód zachód, i kończą się w dużej, okrągłej strukturze.

Te konstrukcje są tylko najdrobniejszymi fragmentami zatopionego królestwa, sławionego w tajwańskim micie. Opowiada on o Sura i Nakao, bracie i siostrze, członkach plemienia Ami, mieszkających na centralnym Tajwanie. Katastrofa, z której uciekli, zaczęła się podczas pełni księżyca, a towarzyszyły jej głośne wybuchy dochodzące z morza. Kataklyzm został zesłany przez bogów, aby zniszczyć ludzi za ich bezbożność.

„Opowiadają, że w tym czasie (w odległej przeszłości) góry się zawaliły”, głosi legenda. Ziemia się rozwarła i ze szczeliny trysnęło gorące źródło, które zalało całą Ziemię. Niewiele żywych istot przetrwało tę powódź”. Inna wersja (*Tsuwo*) opisuje ptaki rzucające tysiące kamieni ma miejsce kataklyzmu, co sugeruje deszcz meteorów.

Tylko Sura i Nakao przeżyli w drewnianej łódce, która osiadła bezpiecznie na szczycie góry Ragasan, gdzie zaczęli ponownie zaludniać Ziemię. Lecz ich pierwsze dzieci stały się rybami i krabami, ponieważ popełnili grzech, nie prosząc o pozwolenie boga słońca. Rozgniewali go, więc zwrócili się do bogini księżyca. Ona im wybaczyła, a kobieta urodziła kamień, z którego powstały nowe pokolenia ludzkości. Ten ostatni szczegół mitu ludu Ami – odrodzenie ludzkości z kamienia – to wątek spotykany w greckim micie i wielu innych opowieściach o potopie z całego świata. Inny lokalny mit o potopie opowiada o wspaniałym królestwie dawno temu zniszczonym przez gniewny Pacyfik. Siedzibą władzy był tam piękny pałac, otoczony wielkimi murami z czerwonego kamienia. Znacznie bardziej znacząca była nazwa, pod którą to królestwo nadal występuje w tajwańskiej tradycji – Mu-Da-Lu – sama Praojczyzna.

Innego odkrycia, co najmniej tak spektakularnego, jak znalezienie podwodnego Monumentu z Yonaguni, ale nie tak dobrze znanego ani nie tak gruntownie zbadanego, dokonał na Morzu Koreańskim, około 48 kilometrów na zachód od japońskich głównych wysp, Shun-Ichiroh Moriyama, miejscowy rybak i nurek.

Na początku 1998 roku twierdził, że zaobserwował gigantyczne „kolumny” w pobliżu małej, niezamieszkałej wyspy Okinoshima. Ten widok zainspirował Toshiharu Arizumiego, dyrektora Telewizji Cross, z Japonii Zachodniej, do zorganizowania zespołu płetwonurków podwodnych fotografów w nadziei otrzymania zdjęć rzekomo zatopionych budowli.

Walcząc z morderczymi prądami i kiepską podwodną widocznością, Moriyama zaprowadził fotografów do miejsca swojego odkrycia. Wszyscy z zaskoczeniem ujrzeli osiem stojących prosto wież, a nie „kolumn” na głębokości 36,6 metra. Struktury były ogromne, wysokie na 30 metrów, a ich wierzchołki znajdowały się zaledwie 6,6 metra pod powierzchnią morza; ich średnice wynoszą od 10 do 12 metrów. Spiralne schody wiją się wokół zewnętrznej ściany tylko jednej z wież. Po kilku niebezpiecznych ekspedycjach płetwonurkowie Arizumiego starannie zmierzyli stopnie, które różnią się szerokością – od 30 centymetrów do 37,5 centymetra, a także długością – od 90 do 120 centymetrów. Funkcja i wiek ogromnych konstrukcji, nie mówiąc już o ich budowniczych, są nieznane i zapewne tak pozostanie, ze względu na mroczne, nawet zdradzieckie warunki do nurkowania wokół nich.

Mimo to, dzięki uporowi i brawurze nurków pan Arizumi otrzymał materiał filmowy, jakiego oczekiwał. Został pokazany w telewizji w kwietniu zdumionym



Zdjęcie czterech kamiennych wież pod Morzem Koreańskim w pobliżu japońskiej wyspy Okinoshima.

telewizjom. Niestety, konwencjonalni naukowcy nie okazali entuzjazmu dla odkrycia – to groziło zniweczeniem ich skostniałych opinii o prehistorii. A przecież wieże mogły być ważnymi elementami archeologicznej układanki, rozrzuconej na liczącej ponad 1448 kilometrów lekko zakrzywionej linii od Morza Koreańskiego do Tajwanu. Na pewno więcej konstrukcji, takich jak z Okinoshimy, Yonaguni zostanie kiedyś znalezionych i uzupełni obraz zatopionego królestwa, tak dawno zaginionego dla historii, ale ponownie odkrytego przez nieustraszonych badaczy, wykorzystujących współczesną technikę, i wiernie zachowanego w pamięci rdzennych mieszkańców ziem wokół Oceanu Spokojnego, na którym dominowało przed tysiącami lat.

Podsumowanie

Dwieście tysięcy lat w tysiącu słów

Pułkownik James Churchward dowiedział się z klasztornych kronik w Indiach, że ludzkość najpierw pojawiła się na wyspach na Oceanie Spokojnym około 200 000 lat temu. Powiedziano mu też, że pierwsza ludzka cywilizacja rozwijała się na Pacyfiku około 50 000 lat temu. Okres ten współistniał z górnym paleolitem, czyli późną epoką kamienną, słynną z powodu sztuki jaskiniowej w południowo-zachodniej Francji. Ówczesny obniżony poziom morza pozwalał na zasiedlenie Australii.

Przez następnych 38 000 lat względnego spokoju i izolacji pacyficzni wyspiarze mocno rozwinęli naukę i duchowość poprzez uważne obserwacje praw natury. Rządził nimi król-bóg, jak dzisiejszy Dalajlama, który przewodził łagodnej teokracji kapłanów. Ich kraj był znany jako Mu, Praojczyzna – mniej konkretne terytorium geograficzne, a bardziej lud i kultura rozprzestrzeniona na wielu lądach obecnych wybrzeży Ameryki, Oceanii, aż do Japonii. Mieszkańcami byli Lemuryjczycy, czyli obywatele przepasanego morzem Mu. Chociaż czcili wiele bóstw, słońce symbolizowało Współczującą Inteligencję, która rządziła wszechświatem i złączyła nieśmiertelną ludzką duszę z cyklicznymi, naturalnymi zjawiskami. Rozprzestrzeniając swoją mistyczną religię, stworzyli pierwszą globalną cywilizację.

Sama Praojczyzna była w większości nizinnym, położonym niewiele nad poziomem morza, tropikalnym krajem, blisko równika i dlatego nękana przez gorący klimat. Ludność żyła w małych rybackich wioskach lub na farmach. Miasta istniały, ale miały bardziej ceremonialny, a nie miejski charakter. Piramidy schodkowe, świątynie, place i inne obiekty architektury sakralnej były zorientowane na różne pozycje Słońca.

Idylla trwała aż do 12 000 lat temu, kiedy zakończyła się ostatnia epoka lodowcowa i dynamicznie wzrósł poziom mórz. Większa część, ale nie całe Mu zostało zalane i duża liczba jego mieszkańców uciekła na kontynent amerykański i do Azji. Tak zwanego człowieka z Kennewick ze stanu Waszyngton i jego lemuryjskich towarzyszy zabili mieszkający tam mongoloidzi w czasie, gdy kultura Jomon powstała w Japonii.

Lecz w 3100 roku p.n.e. kometa Enckego przeszła blisko Ziemi, wywołując globalną katastrofę. Ziemię Mu zostały poważnie zniszczone, a niektóre ześliznęły się pod powierzchnię morza. Wiele osób uciekło do Ameryki Południowej, wypierając poprzednich lemuryjskich kolonistów z pacyficznego wybrzeża dzisiejszego Peru. Tę pierwszą kolonizację Ameryki Południowej współczesni archeolodzy znają jako kulturę Norte Chico. Inny przyczótek, który bardzo ucierpiał na skutek tego kataklizmu, zajmował dużą, żyzną wyspę na środku Oceanu Atlantyckiego, zasiedloną przez misjonarzy z Mu przed tysiącami lat. Zniszczenia spowodowane przez kometa Enckego zasadniczo zmieniły mieszkańców wyspy. Ludzie poczuli się zdradzeni przez Współczującą Inteligencję, której nauczo ich czcić, i oderwali się od Praojczyzny, posuwając się aż tak daleko, by nadać sobie nową nazwę od stolicy – Atlantydy.

Niespokojna kometa powróciła niecałe 1000 lat później i wywołała bombardowanie meteorytami. Mu ucierpiało, ale przetrwało, a potem znowu odżyło. Jego inżynierowie rolnicy przekształcili wysokie wzgórza Filipin w górzyste tarasy ryżowe, czyniąc z Luzonu spichlerz Pacyfiku. W 1917 roku p.n.e. misjonarz Miwoche przeniósł lemuryjskie nauki duchowe w Himalaje, gdzie stały się podstawowymi zasadami tybetańskiego buddyźmu. A potem w 1628 roku p.n.e. gwałtowne wybuchy wulkanów i wielkie trzęsienia ziemi, wywołane powrotem komety Enckego, poraziły południowo-środkowy Pacyfik. Większość ziem tworzących Mu zatonała lub opustoszała z powodu wysokich na 33,6 metra fal tsunami. Kiedy ceremonialne ośrodki Lemurii zawaliły się, infrastruktura roztrzaskała i nie nadawała się już do naprawy, ocalali Lemuryjczycy opuścili resztki zrujnowanej Praojczyzny. Ich przybycie do innych części świata dało potężny impuls do powstania nowych społeczeństw, tworząc podstawy cywilizacji w Azji i Ameryce.

W VIII wieku p.n.e. wcześni lub proto-Rzymianie (Etruskowie?) zaczęli obchodzić doroczne święto lemuralia dla ułagodzenia niespokojnych duchów (lemurów) ich przodków. Czterysta lat później lemuryjska dominacja w Japonii skończyła się wraz z upadkiem kultury Jomon i przybyciem mongoloidalnego ludu z Korei. Zastali oni Wyspy Japońskie już zamieszkałe przez białych tubylców, potomków niegdyś cywilizowanych Lemuryjczyków. Jeszcze na początku XIX wieku ostatni Lemuryjczycy zostali wymordowani przez Polinezyjczyków

w masakrze w Rowie Poike na Wyspie Wielkanocnej. Później w tym samym stuleciu angielski uczoney Philip Lutley Saelter wysunął przypuszczenie o istnieniu Lemurii, aby wyjaśnić pojawienie się wczesnych naczelnych po obu stronach Oceanu Indyjskiego. Jemu współczesny, niemiecki biolog Ernst Haeckel wywnioskował, że ludzkość po raz pierwszy wyewoluowała w Lemurii.

Ale pierwsza popularna dyskusja o pacyficznej Praojczyźnie została opublikowana dopiero w 1926 roku przez pułkownika Jamesa Churchwarda. Jego książka *Lost Continent of Mu*, oparta na przekładzie starożytnych tabliczek, które opisywały tę zatopioną cywilizację, wzbudziła kontrowersje, które przetrwały do dziś. Odrzucona przez większość czytelników jako w najlepszym wypadku fantazja lub w najgorszym – fałszerstwo, okazała się wiarygodna 60 lat później, kiedy Kihachiro Aratake znalazł monumentalną budowlę pod wodą w pobliżu Yonaguni, najdalej położonej na południu z japońskich wysp Riukiu. Po tym odkryciu przyszły następne – znaleziono przynajmniej kilkanaście innych zatopionych konstrukcji przy brzegach Japonii, Tajwanu, Pohnpei, Fidżi, Peru i Ameryki Północnej. Kiedy więcej tych pozostałości zostanie odnalezionych, obraz zaginionej Lemurii stanie się wyraźniejszy.

Posłowie

Prawdziwe znaczenie Lemurii

Być może po tej katastrofie, nastąpiła anarchia i, w kolejności, szaleńcza demokracja, bez przywódcy i bez tradycji, zgłębiła dno rozwiązłości i degradacji, jak niezmiennie się dzieje z ciemnym i niezorganizowanym ludem, aż w końcu jego dzika kariera zakończyła się niemal w całkowitym barbarzyństwie.

Lewis Spence

Wielki zbiór dowodów w ustnych tradycjach rdzennych mieszkańców na terenie całego Pacyfiku – od Azji Południowo-Wschodniej, przez Oceanię, do kontynentu amerykańskiego – konsekwentnie przedstawia Lemurię jako kraj rozwinięty technicznie, żyjący w harmonii społecznej. Sukces cywilizacji zapewniła tak zwana Odwieczna Filozofia, kiedy stała się narodową etyką, moralnym standardem zachowania indywidualnego i obywatelskiego, który później przekształcił się w podstawę tybetańskiego mistycyzmu Bon i japońskiej religii Shinto, po odwiedzinach tych krajów przez misjonarzy z Praojczyzny.

Ich światopogląd nie był „kultem misteryjnym” w tym sensie, że zasady wyznawanej przez nich religii poznawali tylko wtajemniczeni, chociaż miała własną ezoteryczną Trzynastą Szkołę. Wszyscy wierni uznawali Współczującą Inteligencję, która objawiała się w nieskończonej złożoności wszechświata i wyrażała swoją wolę w prawach naturalnych. Wierzyli jeszcze, że tożsamość Współczującej Inteligencji znajdowała się w sumie całego istnienia; stąd wszystko i wszyscy byli uważani za część Boga. Kiedy to zaakceptowali, wiedzieli, że ich obowiązek i spełnienie polegały na współpracy z naturą i innymi ludźmi. Jako tacy, Lemuryjczycy nie skupiali się na materialistycznym dogadaniu

samemu sobie, rywalizacji ekonomicznej, pozycji społecznej, władzy politycznej, sile militarnej i nawet bogactwie kulturowym. Nie przypominali żadnej innej grupy etnicznej na świecie oprócz dzisiejszych Tybetańczyków, których głównym zainteresowaniem w życiu, indywidualnie i jako ludu, jest duchowa pomyślność.

Przez dziesiątki tysięcy lat mieszkańcy Mu dojrżeli w izolacji swojego wyspiarskiego królestwa. Potem, około 40 000 lat temu, szeroko rozpowszechnione naturalne kataklizmy zmusiły wielu z nich do opuszczenia spustoszonej Praojczyzny. Ich wpływ nadal można odnaleźć w archeologicznych ruinach i wspomnieniach wielu tubylczych ludów w Oceanii i poza nią, jak zostało to przedstawione w poprzednich rozdziałach. Lecz ci starożytni pacyficzni wyspiarze byli kimś więcej niż uciekinierami. Globalna cywilizacja, którą stworzyli, nie wynikała z planów politycznych, ekonomicznych czy wojskowych. Powodowało nimi pragnienie przekształcenia geologicznej przemocy z destrukcyjnej energii na produktywną – chcieli okiełznać potencjalnie groźne siły dla rozwoju kulturowego i duchowego. Przedpotopowa technika zrodziła się z tego imperatywu, a jej rezultatem była *ojkumene*, światowa potęga działająca w zgodzie z naturą.

Obecnie nienasycone żądania i coraz większa konsumpcja skończonych zasobów naszej planety charakteryzują dzisiejszy świat uprzemysłowiony. Żadne dwie ludzkie społeczności nie były bardziej odmienne. Różnicę tę widać w przeciwnych stosunkach do Ziemi: podczas gdy jedna żyła w harmonii z naturą, druga była zainteresowana tylko jej eksploatacją. Lemuryjczycy nie mieli bomb atomowych i trujących paliw kopalnych; my jesteśmy przykuci do ropy naftowej, oni zaś uznaliby takie przyzwyczajenie za psychotyczne i samobójcze, tak jak my wszyscy jesteśmy dogadzającymi sobie „narkomanami”, uzależnionymi od dobrobytu.

Wśród dalekich miejsc, które zbadali Lemuryjczycy, była duża, żyzna, o umiarkowanej temperaturze wyspa, oddalona o około 400 kilometrów od Cieśniny Gibraltarskiej na środku Oceanu Atlantyckiego. Przez następnych 3400 lat zamieszkiwali ją koloniści z dalekiej pacyficznej Praojczyzny. Ale około 4000 roku p.n.e. ten atlantydzki przyczółek pokojowo przejęli cudzoziemcy, których archeolodzy nazywają pływającymi po morzach budowniczymi megalitów z zachodniej Europy.

To spotkanie ludów Platon opisał w formie mitu w dialogach *Timajos* i *Kritias*. Opowiada w nich, że Posejdon przybył na Atlantydę i przekonał się, że już zamieszkuje ją śmiertelnicy. Poślubił miejscową kobietę imieniem Klejto; urodziła mu ona pięć par bliźniaków, którzy później stali się pierwszymi królami wyspy. Stworzyli kolisty układ urbanistyczny, na przemian składający się

z fos i sztucznych wysepek jako podstawę wielkiego miasta, niepodobnego do żadnego innego. Pierwszym półboskim synem boga morza był Atlas, od którego wyspa wzięła swoją nazwę. Imię Atlas, które znaczy Podtrzymujący, wywodziło się z jego alegorycznego obrazu jako góry podtrzymującej niebiosa. Oznacza to, że był wynalazcą astronomii i astrologii. W jego cieniu zbudowano wspaniałą stolicę, Córkę Atlasa, Atlantyde. Budowniczości megalitów wzniesli wielkie „stojące kamienie”, zorientowane na różne zjawiska na niebie jako część kultu ich Niebiańskiego Ojca, który złączył się z mistycyzmem Matki Ziemi lemuryjskich kolonistów.

W V tysiącleciu p.n.e. na Atlantydzie rozwinęła się mieszana cywilizacja, łącząca lemuryjską duchowość i neolityczną technikę. Jednak w 3100 roku p.n.e. pierwsza z serii kometarnych katastrof spustoszyła świat. Chociaż Atlantyda przetrwała, była zniszczona. To wydarzenie tak wstrząsnęło ocalałymi mieszkańcami wyspy, którzy żyli zgodnie z prawem naturalnym jako wyrazem boskiej woli, iż poczuli się zdradzeni przez bogów. Zaczęli się odwracać od duchowych zasad, którymi przez niezliczone pokolenia kierowali się ich przodkowie i oni sami. Nie byli już Lemuryjczykami czy budowniczymi megalitów, ale nowym ludem, Atlantydami. Nazwa ta odzwierciedlała przemianę, jaka się w nich dokonała. Wykorzystali swoje niemałe umiejętności do górnictwa, a potem szybko stali się kupcami handlującymi cennymi metalami z królestwami epoki brązu, wymagającymi miedzi wysokiej jakości i cyny, co zapewniło im przewagę nad sąsiadami w wytwarzaniu lepszej broni.

Kiedy bogactwa świata napełniły ich skarbce, Atlantydzi stali się twórcami pierwszego superpaństwa i światowego mocarstwa. Dla ochrony globalnych inwestycji zgromadzili floty i armie, które przekształciły się w narzędzia ekspansji. To Atlantydzi uruchomili nieunikniony mechanizm, który przyszli twórcy imperiów musieli powtarzać przez następnych kilka tysięcy lat. Ambicja zamieniła się w chciwość; chęć poczucia bezpieczeństwa w strach. Rezultatem była militarna agresja. Początkowo Atlantydzi odnosili sukcesy w podboju świata śródziemnomorskiego, ale potem stało się to, czego nie przewidzieli – ponieśli poniżającą klęskę z rąk bardziej prymitywnego wroga – mniej licznych Greków.

Lemuryjscy mistycy nauczali, że moralne prawo było nie tylko nieodłączną częścią prawa kosmicznego, lecz także, że oba są tym samym. Ponieważ cała energia jest wzajemnie powiązana – lub raczej stanowi różne wersje jedynej energii – dobrzy lub źli ludzie wywołują zmianę w społeczeństwie i świecie naturalnym. Taka była fundamentalna zasada odrzucona przez Atlantydów. Ale metafizyczne prawdy objawiły im się gwałtownie wraz z ostatecznym kataklizmem, który zniszczył ich potęgę i zatopił stolicę w oceanie. Epoka brązu, podczas

której dominowali w świecie przez 1800 lat, zakończyła się, jak napisał Platon, „w jeden dzień” i w jedną noc.

Wtedy pacyficzna Praojczyzna nie istniała już od 430 lat. Kiedy nadszedł czas opuszczenia areny światowej, czego nie uniknie żadna cywilizacja, niektórzy Lemuryjczycy poszukali schronienia w Azji Środkowej i w Japonii, gdzie ich duchowe zasady stworzyły podstawy dwóch wielkich religii, tybetańskiego buddyzmu i japońskiego Shinto. Inni uchodźcy wnieśli swój genetyczny wkład do licznych grup etnicznych w Oceanii i na pacyficznym wybrzeżu Ameryki Północnej. Lemuryjskie doświadczenie wzbogaciło ustną tradycję Polinezyjczyków, Mikronezyjczyków, Melanezyjczyków, Aborygenów australijskich, Indonezyjczyków, mieszkańców Azji Południowo-Wschodniej i rdzennych Amerykanów z południowego zachodu. Od wybrzeży Ameryki Południowej do Wysp Japońskich dowody materialne świadczące o istnieniu zatopionego królestwa wynurzają się z dna morza, ale te, które miałyby dać świadectwo obecności Atlantydy, są nieuchwytnie od czasów Ciemnych Wieków, które nastąpiły po jej zagładzie.

Atlantydzi, którzy kiedyś kontrolowali najbogatsze, najpotężniejsze imperium na Ziemi, dowiedzieliby się z goryczą, że dzisiaj zaprzecza się ich istnieniu jako legendzie, fantazji utopistów i marzycieli. Ich zniszczenie niesamowicie przypominało wybuch bomby wodorowej – stolica i geologiczne podpory podtrzymujące ojczyzną wyspę zostały starte na proch. Skala późniejszego potopu przekraczała najgorsze przewidywania; zginęło wtedy ponad 1 000 000 ludzi. Wydarzenie to wryło się w pamięć genetyczną ludzkości i stąd bierze się nasza odwieczna fascynacja Atlantydą. Porażona kataklizmami, zepchnięta na dno oceanu, może na zawsze pozostać poza zasięgiem badaczy i ujawnić się tylko w snach lub koszmarach.

Nie można powiedzieć tego samego o Lemurii. Wiele tubylczych tradycji opowiada, że jej mieszkańcy zostali odpowiednio wcześniej uprzedzeni albo przez naturalne wskazówki, albo przeczucia, na czas ewakuowali więc Praojczyzną. Inne źródła, jak hawajskie Kumulipo, utrzymują, że w ostatecznej katastrofie zginęło bardzo dużo ludzi. Lecz nawet te wersje, z wyjątkiem wątpliwej *Kroniki Lhasy* Churchwarda, nie sugerują niczego podobnego do atlantydzkiego holokaustu. Chociaż nasza epoka odrzuca samo pojęcie związku moralno-kosmicznego, czyż długotrwały brak etycznej równowagi Atlantydów nie mógł, znajdując odzwierciedlenie w naturze, spowodować straszniejszego kataklizmu?

Interesujące, że plamy na Słońcu dosłownie zniknęły w latach 1645–1715, w niezwykle długim okresie pokoju. Lecz poczynając od końca 1945 roku, czyli od pierwszego wybuchu atomowego, trwająca przez resztę XX-wiecznych prób

atomowych aktywność plam na Słońcu wzrosła jak nigdy przedtem w dziejach obserwacji naszej gwiazdy dziennej. Plamy słoneczne to chłodniejsze obszary, które poważnie zakłócają komunikację elektryczną na Ziemi i, jak uważają niektórzy uczeni, wpływają na ludzkie procesy myślowe. Od połowy lat 50. XX wieku parapsycholodzy stwierdzili związek między aktywnością plam słonecznych a nieoczekiwanymi przejawami zaburzeń emocjonalnych u ludzi. Wydaje się, że wpływa to również na inne ssaki, a nawet na ryby. Uczeni przypuszczają, że procesy na Słońcu wywierają bezpośredni wpływ na biopole wielu istot. Jeśli tak jest, to współczesna nauka i starożytny mistycyzm zaczynają się uzupełniać.

Nic z tego nie byłoby nowością dla Lemuryjczyków. Próbowali oni stosować prawo naturalne do ludzkiego społeczeństwa, szukając harmonii między nimi samymi a wszechświatem, zgody, w której ludzkość odnalazłaby swoją prawdziwą tożsamość. Zrozumieli, że energii duchowej, największej mocy we wszechświecie, nigdy nie można rozkazywać, ale tylko pozwalać, aby działała na własny sposób na rzecz zwykłych śmiertelników o tak czystych sercach, by służyły jako jej przewodnik. Taka była podstawa ich idealnej roli jako współtwórców współpracujących ze Stwórcą. Ale do tego konieczne było oczyszczenie. Dla jego osiągnięcia Lemuryjczycy znali tylko jedno przykazanie, z którego wynikały ich metafizyczne rozważania: „Bądź dobry!” Istniał tylko jeden grzech, który zrodził wszystkie inne: okrucieństwo.

Ich kuzyni po drugiej stronie planety wybrali bardziej przyziemnych bogów, tych samych idoli próżnych luksusów, dogadzania sobie, i samousprawiedliwiająca teologię, czczoną również dzisiaj, a wszystko w poszukiwaniu efemerycznego szczęścia. Edgar Cayce scharakteryzował ostatni okres istnienia Atlantydy jako walkę między materialistycznymi Synami Beliala a monoteistycznymi Zwolennikami Prawa Jedyne Boga. Walka bezgranicznej chciwości z nietolerancją religijną rozgrywa się teraz na nowo w Ameryce między odpowiednikami kapitalistów z Enronu i fundamentalistami ewangelicznymi, chociaż różnice między nimi się zacierają jak wtedy, gdy imperium Posejdonu przeżywało swoje ostatnie dni. Atlantydzi są nami. Atlantydzi byli Lemuryjczykami. Podzieliły ich nie tylko przeciwne krańce świata, lecz także bieguny etyczne. Jeden lud podzielił się na zwolenników światła i ciemności. Ta moralna dychotomia i jej kontrastowe konsekwencje dla obu zaginionych kultur to podstawa naszej podświadomej, powszechnej fascynacji Atlantydą i Mu. Podobieństwa między naszą epoką a ich czasami są dostatecznie liczne, aby umożliwić porównania. Jedni widzieli duchowy rozwój jako cel ludzkiej ewolucji, inni uwielbiali rozwój techniki jako rozwiązanie wszystkich przeszkód na drodze do fizycznego szczęścia.

Jaki byłby świat, gdyby Lemuria nie została zniszczona tak dawno temu? Gdyby jej rozwój trwał nieprzerwanie przez tysiąclecia do naszych czasów, mogłyby już być znane i stosowane środki do uniknięcia wszystkich katastrof naturalnych. Uniknęlibyśmy ataków tsunami, jak ten na Oceanie Indyjskim w 2004 roku, i choćby dlatego warto prowadzić dalsze poszukiwania i badania zaginionej Praojczyzny.

Cayce stwierdził, że więcej dusz Atlantydów niż kiedykolwiek wcześniej „powróciło” w XX wieku – jedno, aby przeciwdziałać samobójczej katastrofie, która zniszczyłaby nasz świat, drugie – aby ponownie rozegrać ją na jeszcze bardziej niszczycielską skalę. Jeśli tak, to XXI wiek może być okresem bezprecedensowej reinkarnacji dusz Lemuryjczyków jako naturalnej przeciwwagi. Przecież ich główną ideą była równowaga. Może zdołają zrównoważyć ciemniejsze strony ludzkiej natury z odwieczną formą oświecenia, której oznaką był ceremonialny kult Słońca. Ludzkość może jeszcze uniknąć powtórnej globalnej katastrofy, która pchnęła ją na skraj zagłady, poprzez odszukanie Praojczyzny, gdzie się narodziliśmy, z wszystkimi wielkimi nadziejami na nowy i potencjalnie bogom podobny gatunek.

Mimo że jej strzaskane szczątki leżały na dnie morza przez ostatnich 3300 lat, duch Praojczyzny żyje w pamięci i w zaawansowanej duchowości kilkunastu różnych plemion wokół Krawędzi Pacyfiku. I ta postawa najwyraźniej umacnia się w naszej zbiorowej świadomości, im bliżej jesteśmy Wielkiego Kryzysu majającego w niepewnej przyszłości. W naszej epoce, kiedy to, co nienaturalne, jest normalne, kiedy nic nie wydaje się za dobre, by dogodzić naszym apetytom, kiedy Ziemia znalazła się na skraju ekologicznej rewolty, potrzebujemy innego modelu życia z naszej własnej przeszłości. Nadszedł czas, żebyśmy wrócili do Lemurii.

Bibliografia

Wstęp: Terra incognita

- Diodor Sycylijski *Bibliothèque*, t. 1, nr 1.
- Frank Joseph *The Temple of Mu*, film fabularny AUS-TV International, Sydney, Australia 2000.
- Frederick Stoddy *Pioneers of Progress: Selected Biographies of Outstanding Nobel Prize Winners*, Feathermount Press Inc., Nowy Jork 1925.
- ### 1. Utracona supernauka
- Eufonio M. Alip *The Philippines of Yesteryears: The Dawn of History in the Philippines*, Manila 1964.
- Gene Ashby *A Guide to Ponape*, Rainy Day Press, Eugene 1987.
- Gene Ashby *Some Things of Value: Micronesian Customs and Beliefs*, Rainy Day Press, Eugene 1985.
- Bill S. Ballinger *Lost City of Stone: The Story of Nan Madol*, Simon and Schuster, Nowy Jork 1978.
- Vamos-Toth Bator *Supreme Tamana Witness-Data*, „Midwest Epigraphic Journal 16”, nr 2, 2002, s. 75–78.
- Felicia Beardsley *Kosrae Historical Research Preservation Office (KHRPO)*, raport 9(1), 2003.
- Henry Berkshire *Can the Philippines 8th Wonder of the World Survive?*, „UNESCO Bulletin 24”, nr 9, 2005.
- John MacMillan Brown *The Riddle of the Pacific* 1924, wydanie Adventures Unlimited Press, Kempton 2003.
- W.S. Cerve *Lemuria The Lost Continent of the Pacific*, Supreme Grand Lodge of AMORC, San Jose 1942.
- David Hatcher Childress *Ancient Micronesia and the Lost City of Nan Madol*, Adventures Unlimited Press, Kempton 1998.
- David Hatcher Childress *Zaginione miasta Lemurii i wysp Pacyfiku*, Amber, Warszawa 2000.
- James Churchward *The Lost Continent of Mu*, 1924, wydanie Brotherhood of Life, Albuquerque 1987.
- Arthur C. Clarke *The Other Side of Tomorrow*, „Science Reader Magazine 12”, nr 5, 1996.
- William R. Corliss *Ancient Structures*, The Sourcebook Project, Glenbrook 2001.
- Maria Davis *Weather Manipulation: Fact or Fantasy?*, „OMNI 11”, nr 7 1988.
- Paul Devereaux *Earth Lights*, Royal Oak Press, Londyn 1993.
- Bernard J. Eastlund *Can We Control the Weather?*, National Public Radio, Waszyngton, 6 września 1987.
- I.G. Edmonds *Micronesia*, Bobbs-Merrill Co., Nowy Jork 1974.

- Georgia Hesse *Micronesian Paradise Not*, „The San Francisco Examiner” 12 grudnia 1998, s. 8.
- David Hanlon *Upon a Stone Altar*, University of Hawaii Press, Honolulu 1988.
- Martha Ann Imel, Dorothy Myers Imel *Goddesses in World Mythology*, Oxford University Press, Oksford 1993.
- Jan Knappert *Mitologia Pacyfiku*, Rebis, Poznań 2001.
- Abraham Merritt *The Moon Pool*, Collier Books, Nowy Jork 1961.
- Joseph Newman *The Energy Machine of Joseph Newman*, Press Release, www.josephnewman.com.
- Mark R. Peattie *Nan'Yo: The Rise and Fall of the Japanese in Micronesia 1885 to 1945*, University of Hawaii Press, Honolulu 1988.
- Cynthia Russ Ramsay *On the Reef of Heaven w „Mysteries of Mankind”*, National Geographic Society, Waszyngton 1992.
- Herbert Rittlinger *Das mesenlose Ozean (The Measureless Ocean)*, Franz Eher-Verlag, Monachium 1939.
- Arthur Saxe *The Nan Madol Area of Pohnape*, „Institute of Electrical Electronics and Engineers 12”, nr 5, 1969.
- Edward Tompsen *More Than Half-a-Million Feared Dead in China Earthquake*, „The New York Times” 5 czerwca 1976, s. 1.
- Erich von Daniken *W imieniu Zeusa*, Świat Książki, Warszawa 2000.
- Neil Zimmerer *The Chronology of Genesis*, Adventures Unlimited Press, Kempton 2003.
- Robert Casey *Easter Island*, Bobbs-Merrill, Indianapolis 1931.
- Jack Chance *The Faces of Rapa Nui*, „Atlantis Rising” 46, 2004.
- Michael Cremona, Richard Thompson *Zakazana archeologia*, Arche, Wrocław 1998.
- Guillaume de Hevesy *The Easter Island and Indus Valley Scripts*, „Anthropos” vol. 35, Londyn 1938.
- E.S. Handy *Polynesian Religion*, Bishop Museum, Honolulu 1927.
- Richard Heine-Geldern *Easter Island Script Controversy*, „Anthropos” vol. 35, Londyn 1938.
- Thor Heyerdahl *Reports of the Norwegian Archaeological Expedition to Easter Island and the East Pacific*, vol. 1 i 2, Rand McNally, Chicago, 1965.
- G.R. Hunter *Easter Island's Written Language*, „Anthropos” vol. 35, Londyn 1938.
- T.A. Joyce *The Mystery of the Easter Island Images w „Wonders of the Past”*, Wise and Company, Nowy Jork 1952.
- Jane R. Macintosh *The Peaceful Realm*, McBurty Press, Nowy Jork 2003.
- Alfred Metraux *Easter Island*, Andre Deutsch, Londyn 1957.
- Katherine Routledge *The Mystery of Easter Island*, 1919, wydanie Adventures Unlimited Press, Kempton 1998.
- Lewis Spence *The Problem of Lemuria*, Rider and Company, Londyn 1933.
- Gunnar Thompson *American Discovery, The Real Story*, Argonauts Misty Isles Press, Seattle 1994.
- Elizabeth Wyse, red. *Past Worlds: The Times Atlas of Archaeology*, Crescent Books, Nowy Jork 1995.

2. Pępek Świata

- Johannes C. Andersen *Myths and Legends of the Polynesians*, Harrap, Londyn 1928.
- Rashnu Billimoria *The Rongo-Rongo and Mohenjo Daro Scripts*, „Anthropos” vol. 35, Londyn 1938.
- John MacMillan Brown *The Riddle of the Pacific*, 1924, wydanie Adventures Unlimited Press, Kempton 2003.

3. Giganci mówią

- Johannes C. Andersen *Myths and Legends of the Polynesians*, Harrap, Londyn 1928.
- Barbara Ann Karamenos Institute, 15 kwietnia 2004, www.tbakaramenos.org, info@karamenos.org.

- John MacMillan Brown *The Riddle of the Pacific* 1924, wydanie Adventures Unlimited Press, Kempton 2003..
- W.S. Cerve *Lemuria: The Lost Continent of the Pacific*, Supreme Grand Lodge of AMORC, San Jose 1942.
- David Hatcher Childress *Zaginione miasta Lemurii i wysp Pacyfiku*, Amber, Warszawa 2000.
- James Churchward *The Lost Continent of Mu*, 1924, wydanie Brotherhood of Life, Albuquerque 1987.
- Daniel Glyn, red. *The Illustrated Encyclopedia of Archaeology*, Thomas Y. Crowell Company, Nowy Jork 1977.
- Abraham Fornander *An Account of the Polynesian Race*, Charles E. Tuttle Company, Montpelier 1885.
- Gerald Hipskind *Easter Island* „Nature 15”, nr 3, 1892.
- Josephine Huppertz *Ancestor Worship on Easter Island* „Epigraphic Journal 16”, nr 1 2002, s. 71.
- Martha Ann Imel, Dorothy Myers Imel *Goddesses in World Mythology*, Oxford University Press, Oksford 1993.
- Jesse D. Jennings, red. *The Prehistory of Polynesia*, Harvard University Press, Cambridge 1979.
- Jordan Michael, *Encyclopedia of the Gods*, Facts On File, Nowy Jork 1993.
- Donald A. MacKenzie *South Seas Myths and Legends*, Senate Books, Londyn 1930.
- Susan Margrave *Stem-Cell Research Promising; Arguments Surrounding It Plentiful*. Henderson State University, <http://www.hsu.edu/content.aspx?id=1705>, 16 października 2004.
- Francis Maziere *Mysteries of Easter Island*, W. W. Norton, Nowy Jork 1968.
- Shawn McLaughlin *Lichenometry on Easter Island* Easter Island Foundation, listy do autora: ancient@compuserve.com, 27 września 2004.
- J.A. Moerenhout *Voyages aux lies du Grand Ocean (Voyages to the Islands of the Great Ocean)*, Quintillion, Paryż 1837.
- Katherine Routledge *The Mystery of Easter Island*, 1919, wydanie Adventures Unlimited Press, Kempton 1998.
- David Scarboro *Easter Island Possibilities*, MadSci Network: webadmin@www.madsci.org
- Lewis Spence *The Problem of Lemuria*, Rider and Company, Londyn 1933.
- Jo Anne van Tilburg *Respect for Rapa Nu: Exhibition and Conservation of Easter Island Stone Statues* „Antiquity 64”, 1990, s. 249–258.
- Nobuhiro Yoshida *The Prehistoric Stone Towers of Japan and Easter Island*, „Ancient American 5”, nr 31 2000.

4. Technika starożytnej Oceanii

- M.R. Allen *Male Cults and Secret Initiations in Melanesia*, Melbourne University Press, Melbourne 1967.
- Johannes C. Andersen *Myths and Legends of the Polynesians*, Harrap, Londyn 1928.
- Bengt Anell *Contributions to the History of Fishing in the Southern Seas*, „Studia Ethnographica Upsaliensia” 9 1955.
- Elston Best *Maori Religion and Mythology*, vol. 1, 2, Wellington Press, Londyn 1924.
- Niels Bohr *Hypo-Typographica*, Grosset and Dunlap, Nowy Jork 1949.
- Louis Chevalier *Revue de la Societe d'Etudes Melanesiennes*, University of New Caledonia Press, New Caledonia 1964.
- David Hatcher Childress *Zaginione miasta Lemurii i wysp Pacyfiku*, Amber, Warszawa 2000.
- David Hatcher Childress *Ancient Tonga and the Lost City of Mu'a*, Adventures Unlimited Press, Kempton 1996.
- David Hatcher Childress *The Kaimanawa Wall* „World Explorer 1”, nr 8, 1996, s. 19.
- William R. Corliss *Archaeological Anomalies: Small Artifacts*, The Sourcebook Project, Glenbrook 2003.
- William R. Corliss *Ancient Man: A Handbook of Puzzling Artifacts*, The Sourcebook Project, Glenbrook 1980.

- Ester Payne Davis *The Strange Lat'ite Stones of Guam*, „World Explorer 1”, nr 2, 1992.
- Roger Duff *The Prehistory of the Southern Cook Islands Canterbury Museum*, „Bulletin” 6, 1974.
- Mandy T. Etpison *Palau: Portrait of Paradise*, NECO Marine Corp., Koror, Palau 1995.
- Thor Heyerdahl *Z kontynentu na kontynent*, Wydawnictwa Morskie, Gdańsk 1983.
- Henry Hodges *Technology in the Ancient World*, Marboro Books, Londyn 1970.
- It's Still a Mystery* „World Explorer 1”, nr 4, 1994, s. 61.
- Jesse D. Jennings, red. *The Prehistory of Polynesia*, Harvard University Press, Cambridge 1979.
- Jan Knappert *Mitologia Indii*, Rebis, Poznań 1996.
- Heinrich Mahler *New Guinea's Strange Mummies*, „Science Newsletter 11”, nr 4, 1936, s. 22.
- Rosalind Moss *The Life After Death in Oceania and the Malay Archipelago*, Harrison House Ltd., Londyn 1925.
- Terry O'Neill, red. *Out of Time and Space*, Llewellyn Publications, St. Paul 1999.
- Philip K. Reynolds *The Banana*, Houghton Mifflin, Nowy Jork 1927.
- W.H.R. Rivers *Pacific Monuments*, „American Anthropologist 31”, nr 9, 1915.
- H. Ling Roth *The Natives of Sarawak and British North Borneo*, Harrison House, Ltd., Londyn 1896.
- Andrew E. Rothovious *Mysterious Cement Cylinders in New Caledonia*, „Pate 22”, nr 7, 1973.
- Albert Sanders *New Medical Research Breakthrough?*, „The Detroit Free Press”, 15 kwietnia 2004, s. 8.
- S. Percy Smith *Hawaiki: The Original Home of the Maori*, Wellington Press, Wellington 1921.
- M.P. Sorrenson *Maori Origins and Migrations*, Auckland University Press, Auckland 1979.
- Lewis Spence *The Problem of Lemuria*, Rider and Company, Londyn 1933.
- William Stern *Stem-Cell Research Offers Bright Prospects for Future Cures* „London Daily Herald” 14 października 2004, s. 12.
- C. Steubel, B. Herman *Tala o Vavao: The Myths, Legends and Customs of Old Samoa*, Auckland Polynesian Press, Auckland 1987.
- Giant Skeleton Found on Fiji*, „The Times of India” 14 lipca 2002.
- Nobuhiro Yoshida *Japan's Megalithic Links to Ancient America and Europe* „Ancient American 3”, nr 23, 1998.

5. Pułkownik z Mu

- Kenneth Caroli, korespondencja, listopad 2004.
- James Churchward *Cosmic Forces of Mu*, vol. 2, 1935, wydanie BE Books, Santa Fe 1998.
- James Churchward *Cosmic Forces of Mu*, vol. 1, 1933, wydanie BE Books, Santa Fe 1998.
- James Churchward *The Children of Mu*, 1928, wydanie BE Books, Santa Fe 1998.
- James Churchward *Books of the Golden Age*, 1927, wydanie BE Books, Santa Fe 1998.
- James Churchward *The Sacred Symbols of Mu*, 1926, wydanie BE Books, Santa Fe 1998.
- James Churchward *The Lost Continent of Mu*, 1924, wydanie Brotherhood of Life, Albuquerque 1987.
- Augustus Le Plongeon *Sacred Mysteries Among the Mayas and Quiches 11,500 Years Ago*, Macoy, Nowy Jork 1886.
- Augustus Le Plongeon *Queen Moo and the Egyptian Sphinx*, Kegan, Paul, Trench, Truebner, Londyn 1896.
- Hans Santesson *Understanding Mu*, Paperback Library, Nowy Jork 1970.

6. Rajski ogród?

- Martha W. Beckwith *The Kumulipo, A Hawaiian Creation Chant*, University Press, Chicago 1951.

- W.S. Cerve *Lemuria: The Lost Continent of the Pacific*, Supreme Grand Lodge of AMORC, San Jose 1942.
- James Churchward *The Lost Continent of Mu*, 1924, wydanie BE Books, Santa 1987.
- Edward Dodd *Polynesia's Sacred Isle*, Dodd, Mead and Company, Nowy Jork 1976.
- Mandy T. Etpison *Palau: Portrait of Paradise*, Neco Marine, Palau 1994.
- Abraham Fornander *An Account of the Polynesian Race*, Charles E. Turtle Company, Montpelier 1885.
- Jeffrey Goodman *American Genesis*, Doubleday, Nowy Jork 1979.
- Martin A. Grundy *Americans: Really Out of Asia?*, „Ancient American 4”, nr 3, 1999.
- Ernst Haeckel *Human Origins*, „The Hyklut Society Bulletin” 121, 1879.
- E.S. Handy *Polynesian Religion*, Bishop Museum, Honolulu 1927.
- Thor Heyerdahl *Reports of the Norwegian Archaeological Expedition to Easter Island and the East Pacific*, vol. 2, Rand McNally and Company, Chicago 1965.
- Martha Ann Imel, Dorothy Myers Imel *Goddesses in World Mythology*, Oxford University Press, Oksford 1993.
- Michael Jordan *Encyclopedia of the Gods*, Facts On File, Inc., Nowy Jork 1993.
- Frank Joseph *Buhl Woman Sheds Light on Ancient Americans*, „Ancient American 4”, nr 26, 1999.
- Frank Joseph *New Finds Demolish 'Bering Land-Bridge' Theory*, „Ancient American 20”, nr 60, 2005, s. 27.
- Jan Knappert *Mitologia Pacyfiku*, Rebis, Poznań 2001.
- Carol Lever, Peter Quinone *Kennewick Man: May He Rest in Peace?*, „Ancient American 6”, nr 37, 2001.
- Augustus Le Plongeon *Sacred Mysteries Among the Mayas and Quiches*, Kegan, Paul, Trench, Tuebner, Londyn 1898.
- Donald A. MacKenzie *Mythology of the Babylonian People*, The Gresham Publishing Company, Ltd., Londyn 1915.
- Leinani Melville *Children of the Rainbow: The Religion, Legends and Gods of Pre-Christian Hawaii*, Quest Books, Theosophical Publishing House, Wheaton 1969.
- Priscilla S. Meyer *Rewriting America's History: Genetics and the South Pacific*, „Ancient American 2”, nr 9, 1996.
- John Nugent *Who Were the Original Native Americans?*, „The Barnes Review 5”, nr 3, 1999.
- Chris Ogilvie-Herald *Older Than Expected*, „Quest 1”, nr 6, 1997.
- Stephen Oppenheimer *Eden in the East, The Drowned Continent of Southeast Asia*, Weidenfeld and Nicolson, Londyn 1999.
- Hans Santesson *Understanding Mu*, Paperback Library, Nowy Jork 1970.
- Lewis Spence *The Problem of Lemuria*, Rider and Company, Londyn 1933.
- Neil Zimmerer *The Chronology of Genesis*, Adventures Unlimited Press, Kempton 2003.

7. Hawajska praojczna

- W.D. Alexander *Polynesian Travels*, McVey and Company, Nowy Jork 1929.
- Martha W. Beckwith *Hawaiian Mythology*, Yale University Press, Harmouth 1940.
- Martha W. Beckwith *The Kumulipo, A Hawaiian Creation Chant*, University Press, Chicago 1951.
- Peter Bellwood *Man's Conquest of the Pacific*, William Collins, Londyn 1978.
- Scott Cunningham *Hawaiian Religion and Magic*, Llewellyn Publications, St. Paul 1994.
- Padraig Colum *Legendy hawajskie*, PIW, Warszawa 1977.
- William Ellis *Polynesian Researches*, Charles E. Tuttle Company, Montpelier 1833.
- Nathaniel B. Emerson *Unwritten Literature of Hawaii*, Smithsonian Institute, Waszyngton 1909.
- Francis X. Hezel *The First Taint of Civilization*, University of Hawaii Press, Honolulu 1983.

- Martha Ann Imel, Dorothy Myers Imel *Goddesses in World Mythology*, Oxford University Press, Oksford 1993.
- Shirley MacLaine *The Camino: A Journey of the Spirit*, Pocket Books, Nowy Jork 2000.
- David Malo *Hawaiian Antiquities*, Bishop Museum, Honolulu 1951.
- Leinani Melville *Children of the Rainbow: The Religion, Legends and Gods of Pre-Christian Hawaii*, Quest Books, Theosophical Publishing House, Wheaton 1969.
- Mike Morwood, Thomas Sutikna, Richard Roberts *The People Time Forgot* „National Geographic 207”, nr 4, 2005, s. 6.
- Brad Olsen *Sacred Places, North America*, Consortium of Collective Consciousness, San Francisco 2003.
- Mary Kawena Puku'i *The Water of Kane and Other Legends of the Hawaiian Islands*, Kamehameha Schools Press, Honolulu 1994.
- Mary Kawena Puku'i *New Pocket Hawaiian Dictionary*, University of Hawaii Press, Honolulu 1992.
- Jim Rogers *World Travels*, Backpack Press, Waszyngton 1990.
- Lewis Spence *The Problem of Lemuria*, Rider and Company, Londyn 1933.
- Robert Suggs *The Hidden Worlds of Polynesia*, Harcourt Brace, Nowy Jork 1962.
- Robert Suggs *The Island Civilizations of Polynesia*, Mentor Books, Nowy Jork 1960.
- The Bernice P. Bishop Museum Newsletter*, vol. 203, Bernice P. Bishop Museum, Honolulu 1950.
- Joseph B. Verrengia *A Tiny Human, A Giant Find*, Pioneer Press, St. Paul 28 października 2004.
- Mark R. Williams *In Search of Lemuria*, Golden Era Books, San Mateo 2001.
- Charles Allen *New Science in the Mountains*, „Chicago Herald” 16 stycznia 1999, s. 17.
- Michael Aveni *Mystery Lines of the Desert*, „Archaeology 26”, nr 64, 1998, s. 32.
- John Bierhorst *The Mythology of South America*, William Morrow and Company, Inc., Nowy Jork 1982.
- David Hatcher Childress *Lost Cities of North and Central America*, Adventures Unlimited Press, Kempton 1992.
- David Hatcher Childress *Lost Cities and Ancient Mysteries of South America*, Adventures Unlimited Press, Kempton 1986.
- James Churchward *Cosmic Forces of Mu*, vol. 1, 1933, wydanie BE Books, Santa Fe 1998.
- James Churchward *The Lost Continent of Mu*, 1924, wydanie BE Books, Santa Fe 1987.
- Ella E. Clark *Legendy Indian kanadyjskich*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1982.
- E.M. Davis, S. Winslow *Giant Ground Figures of the Prehistoric Deserts*, „Proceedings of the American Philosophical Society 109”, nr 1, 1965.
- William A. Donato *What ever happened to the 'Western Whites'?*, „Ancient American 3”, nr 17, 1997.
- Paul Dunbavin *Atlantis of the West*, Carrol and Graf, Nowy Jork 2003.
- William Ellis *Polynesian Researches*, Charles E. Turtle Company, Montpelier 1833.
- Knut R. Flagmark *British Columbia Prehistory*, National Museums of Canada Press, Ottawa 1986.
- Terry Glavin *A Death Feast in Dimlahamid*, New Star Books, Vancouver 1990.
- Frank Joseph *Sacred Sites of the West*, Hancock House, Elaine 1997.
- Edward S. Keithahan *Monuments in Cedar*, Superior Publishing Company, Seattle 1963.
- Frederico Kirbus *Enigmas, Miserias y Secretos de America*, Rio de Janeiro Press, Rio de Janeiro 1978.

8. Lemuryjczycy w Ameryce

William Alexander *North American Mythology*, Harcourt Brace, Nowy Jork, 1935.

- Laura Lee *Super Technology of Ancient Egypt and Peru*, „Ancient American 3”, nr 17, 1997.
- Lynne McCall, Rosalind Pery *California's Chumash Indians*, EZ Nature Books, Santa Anna 1990.
- Alice Marriott, Carol K. Rachlin, red. *American Indian Mythology*, New American Library, Nowy Jork 1968.
- Robert McNeary *The Mystery of the Andes*, „Reader's Digest 68”, nr 43, 1988, s. 52.
- Michael E. Moseley *The Incas and Their Ancestors*, Thames and Hudson, Londyn 1994.
- Rene Noorbergen *Secrets of Lost Races*, Barnes and Noble, Nowy Jork 1977.
- Arthur Posnansky *Tiahuanaco*, Augustin Press, Nowy Jork 1945.
- Froelich G. Rainey *Mystery of the Arctic*, „Natural History 46”, nr 12, 1941, s. 148–155.
- Maria Reiche *Mystery of the Desert*, Self-published, Nazca, Peru 1968.
- Bruce Scofield *Ecuador, America's Prehistoric Port of Call*, „Ancient American 3”, nr 23, 1998.
- Frederick Stoddy *Pioneers of Progress: Selected Biographies of Outstanding Nobel Prize Winners*, Feathermount Press, Inc., Nowy Jork 1925.
- Lewis Spence *Mexico and Peru: Myths and Legends*, 1920, wydanie Senate, Londyn 1994.
- Greg Steiner *Mysterious Tiahuanaco*, „World Explorer 1”, nr 6, 1995, 19.
- Peter Tompkins *Secrets of the Mexican Pyramids*, Harper and Row, Nowy Jork 1970.
- Frank Waters *Book of the Hopi*, Viking Press, Nowy Jork 1963.
- Joseph H. Wherry *Indian Masks and Myths of the West*, Funk and Wagnells, Nowy Jork 1969.
- Harold T. Wilkins *Mysteries of Ancient South America*, Adventures Unlimited Press, Kempton 2000.
- M. Wyss *Local Changes in Sea-Level Before Earthquakes in South America*, „Seismological Society of America” 66, 1976, s. 903–914.
- Helmut Zettl *Tiahuanaco and the Deluge*, www.crystalinks.com/preinca2.html-27k.

9. Dług Azji wobec Lemurii

- Charles Allen *A Mountain in Tibet*, Futura Publications, Londyn 1983.
- H.H. Bancroft *New World Mythology*, Charles E. Tuttle Company, Montpelier 1889.
- Tatjana Blau, Mirabai Blau *Buddhist Symbols*, Sterling Publishers, Nowy Jork 2003.
- Kenneth Caroli, korespondencja, listopad 2004.
- Basil Hall Chamberlain *A Translation of the Kojiki albo Records of Ancient Matters*, „Translations of the Asiatic Society of Japan” 10, 1882.
- David Hatcher Childress *Lost Cities of China, Central Asia and India*, Adventures Unlimited Press, Kempton 1985.
- Anthony Christie *Chinese Mythology*, Peter Bedrick Books, Nowy Jork 1977.
- James Churchward *The Sacred Symbols of Mu*, 1926, wydanie BE Books, Santa Fe 1998.
- Glyn Daniel, red. *The Illustrated Encyclopedia of Archaeology*, Thomas Y. Crowell Company, Nowy Jork 1977.
- Frederick H. Davis *Myths and Legends of Japan*, Graham Brash Publishing Company, Singapur 1989.
- Richard M. Dorson *Folk Legends of Japan*, Charles E. Tuttle, Montpelier 1962.
- Stephen C. Jett *The Jomon of Neolithic Japan: Early Ocean-Goers*, „Pre-Columbiana 1”, nr 2 i 3, 1999.
- Eugene B. Joe *Navajo Sandpainting Art*, Treasurechest Publications, Inc., Phoenix 1978.
- Frank Joseph *Ancient Wonders of Japan*, „Ancient American 3”, nr 17, 1997.
- Donald A. MacKenzie *Myths of China and Japan*, 1933, wydanie Gramercy Books, Nowy Jork 1994.

- Betty J. Meggers *Jomon-Valdivia Similarities: Convergence or Contact, Across Before Columbus?*, NEARA Publications, Edgecomb Maine 1998.
- Namkhai Norbu *Drung, Deu and Boen, Narrations, Symbolic Languages and the Boen Tradition in Ancient Tibet*, Library of Tibetan Works and Archives, Nowy Jork 1988.
- Ronald Schiller *Distant Secrets, Unraveling the Mysteries of Our Ancient Past*, Carol Publishing Group, Nowy Jork 1993.
- Lewis Spence *The Problem of Lemuria*, Rider and Company, Londyn 1933.
- Edgerton Sykes *Lemuria Reconsidered*, Markham House Press, Ltd., Londyn 1968.
- Gunnar Thompson *American Discovery, The Real Story*, Argonauts Misty Isles Press, Seattle 1994.
- David Villasenor *Tapestries in Sand: The Spirit of Indian Sand Painting*, Naturegraph Publishers, San Francisco 1966.
- Leland C. Wyman *Navajo Sandpainting: Symbolism, Artistry, and Psychology*, Taylor Museum, Phoenix 1960.
- Nobuhiro Yoshida *Japan's Megalithic Links to Ancient America and Europe*, „Ancient American 3”, nr 23, 1998.
- Nobuhiro Yoshida *Stone Tablets of Mu*, „Ancient American 3”, nr 21, 1997.
- Neil Zimmerer *The Chronology of Genesis*, Adventures Unlimited Press, Kempton 2003.
- 10. Co takiego jest w nazwie?**
- Gene Ashby *Micronesian Customs and Beliefs*, Rainy Day Press, Eugene 1985.
- R.H. Codrington *The Melanesians: Studies in Their Anthropology and Folklore*, Clarendon Press, Oxford 1891.
- Kenneth Caroli, korespondencja, listopad 1996.
- H.T. Colebrook *The Hindu Epics*, William Regnery, Chicago 1900.
- Scott Cunningham *Hawaiian Religion and Magic*, Llewellyn Publications, St. Paul 1994.
- I.G. Edmonds *Micronesia*, Bobbs-Merrill Co., Nowy Jork 1974.
- William Ellis *Polynesian Researches*, Charles E. Tuttle Company, Montpelier 1833.
- Abraham Formander *An Account of the Polynesian Race*, Charles E. Tuttle Company, Montpelier 1885.
- Thor Heyerdahl *The Maldive Mystery*, Adler-Adler, Annapolis 1986.
- Louis Jacolliot *Histoire de vierges: Les Peuples et les continents disparus*, Lacroix, Paryż 1879.
- Frank Joseph *The Atlantis Encyclopedia*, Career Books, Franklin Lakes 2005.
- Thor Heyerdahl *Z kontynentu na kontynent*, Wydawnictwa Morskie, Gdańsk 1983.
- Donald A. MacKenzie *South Seas Myths and Legends*, Senate Books, Londyn 1930.
- Leinani Melville *Children of the Rainbow. The Religion, Legends and Gods of Pre-Christian Hawaii*, Quest Books, Theosophical Publishing House, Wheaton 1969.
- Anthony S. Mercatante *Who's Who in Egyptian Mythology*, Clarkson N. Potter Inc., Nowy Jork 1978.
- Rosslyn Poignant *Oceanic Mythology*, Paul Hamlyn, Londyn 1967.
- William Ramsay Smith *Aborigine: Myth and Legends*, George G. Harrap, Londyn 1930.
- 11. Śpiący Prorok Lemurii**
- Edgar Cayce *Atlantis, The Edgar Cayce Readings*, vol. 22, A.R.E. Press, Virginia Beach 1987.
- Edgar Cayce *Mysteries of Atlantis Revisited*, A.R.E. Press, Virginia Beach 1982.
- James Churchward *The Lost Continent of Mu*, Santa Fe, N.Mex, BE Books, 1987.
- Rudy Evermann *The Gobi Desert*, Haversmill Press, Inc., Londyn 1955.
- Frank Joseph *Edgar Cayce's Atlantis and Lemuria*, A.R.E. Press, Virginia Beach 2001.
- Alice Marriott, Carol K. Rachlin, red. *American Indian Mythology*, New American Library, Nowy Jork 1968.

- Stephen Oppenheimer *Eden in the East, The Drowned Continent of Southeast Asia*, Weidenfeld and Nicolson, Londyn 1999.
- Stephen Plog *Ancient People of the American Southwest*, Thames and Hudson, Londyn 1997.
- William Ramsay Smith *Aborigine: Myth and Legends*, George G. Harrap, Londyn 1930.
- Lewis Spence *The Problem of Lemuria*, Rider and Company, Londyn 1933.
- Brad Steiger *Atlantis Rising*, Dell Publishing Co. Inc., Nowy Jork 1973.
- ## 12. Zagłada Lemurii
- William Alexander *North American Mythology*, Harcourt Brace, Nowy Jork 1935.
- Johannes C. Andersen *Myths and Legends of the Polynesians*, Harrap, Londyn 1928.
- Franco Barberi, red. *Volcanoes*, Firefly Books, Ltd., Kitchener, Ontario 2003.
- Kenneth Caroli, korespondencja, 1989–2004.
- Kenneth Caroli *Catastrophe: An Investigation into the Origins of the Modern World*, „Ancient American 5”, nr 32, 2000.
- Joseph Christy-Vitale *Watermark*, Paraview Pocket Books, Nowy Jork 2004.
- Michael Dobbs *Terrible Ravages of the Indonesian Tsunami*, „Washington Post”, 26 grudnia 2004, s. 2.
- Paul Dunbavin *Atlantis of the West*, Carrol and Graf, Nowy Jork 2003.
- Jonathan Eagle, William Hutton *Earth's Catastrophic Past and Future*, A.R.E. Press, Virginia Beach 2004.
- Dilip Ganguly *Devastating Waves Kill 11,000 after Quake*, „Pioneer Press”, 27 grudnia 2004.
- Richard Huggett *Cataclysms and Earth History*, Clarendon Press, Oksford 1989.
- Martha Ann Imel, Dorothy Myers Imel *Goddesses in World Mythology*, Oxford University Press, Oksford 1993.
- Stephen C. Jett *The Jomon of Neolithic Japan: Early Ocean-Goers*, „Pre-Columbiana 1”, nr 2 i 3, 1999.
- Frank Joseph *Survivors of Atlantis*, Bear and Company, Rochester 2004.
- Jan Knappert *Mitologia Pacyfiku*, Rebis, Poznań 2001.
- Augustus Le Plongeon *Sacred Mysteries Among the Mayas and Quiches 11,500 Years Ago*, Macoy, Nowy Jork 1886.
- Chris Ogilvie-Herald *Older Than Expected*, „Quest 1”, nr 6, 1997.
- Stephen Oppenheimer *Eden in the East: The Drowned Continent of Southeast Asia*, Weidenfeld and Nicolson, Londyn 1999.
- Trevor Palmer, Mark E. Bailey, red. *Natural Catastrophes During Bronze Age Civilizations: Archaeological, Geological, Astronomical and Cultural Perspectives*, Archaeo Press, Oksford 1998.
- Rosslyn Poinant *Oceanic Mythology*, Paul Hamlyn, Londyn 1967.
- David Sandwell *Floor Stratigraphy of the Mid-Pacific Ocean Basin*, Scripps Oceanographic Institute, Kalifornia 1996.
- T. Simkin, L. Siebert *Volcanoes of the World*, Geoscience Press, Phoenix 1994.
- Lewis Spence *The Problem of Lemuria*, Rider and Company, Londyn 1933.
- Marilyn Jesmain *Ancient Alaska and the Great Flood*, „Ancient American 6”, nr 4, 2001.
- Frank Joseph *Japan's Undersea Ruins*, „Atlantis Rising” 13, 1997.
- Frank Joseph *Underwater City Discovered in Japanese Waters*, „Ancient American 3”, nr 17, 1997.s
- Frank Joseph *Topper Is Fifty Thousand Years Old*, „Ancient American 9”, nr 60, 2004.
- Masaaki Kimura *Diving Survey Report for Submarine Ruins off Yonaguni, Japan*, University of the Ryukyus Press, Okinawa 2002.
- Gregory Little *The Search for Atlantis*, A.R.E. Press, Virginia Beach 2004.
- Robert J. Menzies, Edward Chin *Cruise Report #2, Research Vessel Anton Bruun*, „Cruise 11 OCLC333371904”, Galveston: Marine Laboratory, Teksas A&M, 1966.

- F. S. Pettyjohn *The Caucasian 'Mummy People' of Alaska*, „Ancient American 6”, nr 39, 2001.
- Froelich G. Rainey *Mystery of the Arctic*, „Natural History 46”, nr 12, 1941, s. 148–155.
- David T. Sandwell, Walter H. F. Smith *Exploring the Ocean Basins with Satellite Altimeter Data*, Scripps Institution of Oceanography, San Jose 1998.
- Robert M. Schoch *The Yonaguni Monument: An Enigmatic Underwater Feature off Japan*, „Pre-Columbiana 1”, nr 2 i 3, 1999.
- Robert M. Schoch *Voices of the Rocks*, Harmony Books, Nowy Jork 1999.
- Celine Shinbutsu *The Basic Facts of Submarine Ruins off Yonaguni, Japan*, University of the Ryukyus Press, Okinawa 2002.
- Lewis Spence *The Problem of Lemuria*, Rider and Company, Londyn 1933.
- Thomas Vanderveer, rozmowa telefoniczna z autorem, 9 listopada 2004.
- Nobuhiro Yoshida *Huge 'Pillars', Staircase Found in Sea off Japan*, „Ancient American 4”, nr 26, 1999.
- Marsha Walton, Michael Coren *The New Ancient Americans*, „Scientist 22”, nr 63, 2004.
- Harold T. Wilkins *Mysteries of Ancient South America*, Adventures Unlimited Press, Kempton 1986.
- W.W. Wood *Tombs in the Islands of Rotuma*, „Royal Anthropological Institute Journal”.

13. Odkrycie Lemurii

- Hiroshi Abe *Sunken Structure at Yonaguni*, „Tokyo: Mu Super Mystery Magazine 5”, nr 3, 1996.
- William A. Donato *Whatever Happened to the 'Western Whites'?*, „Ancient American 3”, nr 17, 1997.

Posłowie

- Lewis Spence *The Problem of Lemuria*, Rider and Company, Londyn 1933.

